Mirosław Tryczyk

Miasta śmierci

SĄSIEDZKIE POGROMY ŻYDÓW

RM

Mirosław Tryczyk

Miasta śmierci

SĄSIEDZKIE POGROMY ŻYDÓW

WYDAWNICTWO RM

Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów

Mirosław Tryczyk

Copyright © 2015 Wydawnictwo RM

All rights reserved

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25
rm@rm.com.pl, www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.

Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli.

Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książce, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

ISBN 978-83-7773-086-7
ISBN 978-83-7773-480-3 (e-Pub)
ISBN 978-83-7773-481-0 (mobi)

Redaktor prowadzący: Agnieszka Trzebska-Cwalina
Redakcja: Piotr Walkowicz
Korekta: Składnica Literacka
Nadzór graficzny: Grażyna Jędrzejec
Projekt okładki: Tomasz Bogusławski
Opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański
Weryfikacja wersji elektronicznej: Justyna Mrowiec

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl

Spis treści

Zamiast przedmowy
Jak pisano historię
Nacjonalizm w międzywojennej Polsce – szkic z ideologii
Jedwabne
Nim jutro przyjdzie wojna
W mieście pogromu
Radziłów
Sprawa D.
Wąsosz
Szczuczyn i okolice
Szczuczyn
Skaje
Bzury
Lipnik
Danowo
Dzięgiele
Goniądz
Rajgród
Kolno
Suchowola
Brańsk
Jasionówka
Chajim Nachman Bialik *W mieście pogromu* **(fragment)**
Wykaz materiałów archiwalnych i śledczych wykorzystanych w badaniach
Bibliografia
Źródła zdjęć
Od redakcji

Mojej córce Marii poświęcam

Zamiast przedmowy

Mirosław Tryczyk stworzył dzieło wielkie, jakie daremnie czekało od kilkudziesięciu lat na historyków zdolnych a chętnych się jego podjąć. Wielkie, bowiem doniosłe dla przywrócenia świadomości narodowej wiedzy o przeszłości, której brak ciąży na jej teraźniejszości, a przyszłości gorzej jeszcze jej przedłużająca się nieobecność wróży. Jak to autor sam celnie ujmuje, „trzeba walczyć nie tylko z czasem, który przysłania wszystko, niweluje i niszczy, ale i z człowiekiem, który pragnie zapomnieć o smutnych wydarzeniach. Trzeba też walczyć i z naszą cywilizacją zajmującą się dniem dzisiejszym, unikającą problemów zarówno przeszłości, jak i przyszłości". Tryczyk apeluje, by nie odkładać nadal patriotycznego i moralnego obowiązku wypełnienia białej plamy w zbiorowej pamięci, by badać „teraz, natychmiast, jeśli to możliwe. Stracono nieodwołalnie wiele czasu od zakończenia II wojny światowej i trudno to dziś usprawiedliwić. Można tylko spróbować zrozumieć". I na ten apel odpowiada, nie zwlekając, czynem.

Odtworzenie (oby niepowtarzalnej) atmosfery spuszczonej ze smyczy, rozpasanej, a sprzymierzonej z żądzą łatwego dorobku i ośmielonej bezkarnością nienawiści w całej jej iście niewyobrażalnej dla naszych współczesnych, bo na nasze szczęście osobiście nieprzeżywanych, potworności – to się autorowi udało, zamierzony efekt został osiągnięty: ilość zaiste przechodzi tu w jakość, dławiący zaduch ludzkiego bestialstwa gęstnieje ze strony na stronę, a groza nieposkromionego zła z każdym kolejnym głosem z ciemności potężnieje. I rośnie świadomość nieubłagalności logiki zła: wieś za wsią, miasteczko za miasteczkiem, wyłania się z mroków zawsze ta sama,

obezwładniająco jednostajna kolejność rzeczy. Tylko nazwiska w obsadzie złowieszczego dramatu zmieniają się od sceny do sceny, od czasu do czasu inne są słowa, do jakich dla wyrażenia swych emocji aktorzy dramatu się uciekają – ale emocje przez ich sprawozdania ujawniane i te u czytelników sprawozdań wzbudzane są te same; a scenariusz tragedii ani drgnie.

prof. Zygmunt Bauman
Uniwersytet Leedski

* * *

W niemałej liczbie publikacji poświęconych miejscu stosunków polsko-żydowskich w pamięci zbiorowej Polaków i ich znaczeniu w formowaniu ich tożsamości narodowej praca Mirosława Tryczyka pełni rolę szczególną. Przedstawienie przez autora w sposób systematyczny i szczegółowy koszmarnego obrazu grzechów popełnianych przez Polaków wobec swych sąsiadów Żydów jawi się jako warunek niezbędny ich odkupienia i zbawienia, wyzwalającego z pułapek tłumionych i represjonowanych zbiorowych uczuć winy i wstydu oraz zapobiegającego eskalacji wrogości i konfliktów z rozwijającą się spiralą przemocy w zemście i odwecie. Swoistość wkładu Mirosława Tryczyka polega przede wszystkim na nadzwyczaj szczegółowej dokumentacji i zewidencjonowaniu wydarzeń i czynów przestępczych, co zresztą we wprowadzeniu wymienia na pierwszym miejscu jako zadanie swej pracy.

prof. Aleksandra Jasińska-Kania
Uniwersytet Warszawski

* * *

Praca *Miasta śmierci* Mirosława Tryczyka wpisuje się w nurt polskich rozliczeń z antysemityzmem. Podkreślić należy jednak, że autor, podejmując tak trudny i bolesny problem, wykazał się szczególną starannością w doborze i krytyce źródeł oraz znajomością warsztatu naukowego historyka. Analizie poddane zostały akta ponad siedmiuset procesów karnych, tzw. sierpniówek, które toczyły się już po zakończeniu II wojny światowej wobec Polaków dopuszczających się zbrodni na osobach pochodzenia żydowskiego. Badania autora dotyczyły polskich przedwojennych organizacji głoszących hasła antysemickie, zwłaszcza w publikacjach książkowych i prasowych. Nie pominięto także materiałów zebranych przez Armię Krajową w okresie wojny i ustaleń Instytutu Pamięci Narodowej z ostatnich lat. Dzięki wręcz tytanicznej pracy Mirosława Tryczyka powstało obszerne dzieło opisujące tragiczne wydarzenia związane z zagładą Żydów na Białostocczyźnie w 1941 roku. Obok znanego już opinii publicznej Jedwabnego pojawiają się nazwy kolejnych miejscowości, w których doszło do krwawych pogromów Żydów.

Autor dokonuje ciekawej analizy, wiążąc te tragiczne wydarzenia z „pracą” propagandową antysemickich ugrupowań i ich działaczy w okresie międzywojennym. Nie pominięto tu jednak realiów historycznych, takich jak nazistowska propaganda, a także prosowieckie nastawienie niektórych środowisk żydowskich, przechodzące w różne formy kolaboracji w latach 1939–1941. Istotną częścią pracy są fotografie wpisujące się w narrację historyka i uzupełniające jego wywody. Zastosowanie tak wielu źródeł, które krzyżowo potwierdzają prawdziwość opisywanych wydarzeń, dało w efekcie pracę o wysokich walorach naukowych. Opisywany w niej fragment dziejów

niesie ze sobą wstrząsające przesłanie o naturze człowieka, uprzedzeniach, stereotypach i metodach manipulacji tłumem, których efektem są morderstwa.

dr hab. Piotr Rozwadowski, profesor Społecznej Akademii Nauk

* * *

Popieram ideę publikacji tej książki zarówno ze względu na jej treść, jak również ze względu na aktualność rozlicznych zjawisk ekskluzywizmu nacjonalistycznego, który przybiera w Polsce przede wszystkim postać antysemityzmu. Współczesne postacie antysemityzmu polskiego można bowiem w pełni zrozumieć na tle jego wcześniejszych postaci, a także konsekwencji, do jakich doprowadził w przeszłości oraz do jakich prowadzi obecnie. Innymi słowy, publikacja ta jest potrzebna z racji historycznych, jak również edukacyjnych i pedagogicznych. Jest to bardzo wnikliwie opracowane dzieło, rzetelnie i dojmująco obrazujące wagę podjętego przez autora problemu, będące wynikiem ogromnego wysiłku naukowego, które z całą mocą stawia problem nadal w Polsce nie w pełni zbadany ani tym bardziej rozliczony.

prof. Adam Chmielewski
Uniwersytet Wrocławski

Jak pisano historię

W książce, którą czytelnik trzyma w dłoniach, poddałem badaniu przede wszystkim dokumentacje procesów, jakie toczyły się na podstawie tzw. dekretu sierpniowego[1] przed sądami powojennej Polski. Były to procesy pod każdym względem wyjątkowe. Zwłaszcza w latach 1944–1946, kiedy to, jak podaje wybitny znawca tematu Andrew Kornbluth[2], rozstrzygano je w specjalnych sądach karnych. Dopiero od października 1946 r. sprawy te zaczęły podlegać sądom okręgowym, a od 1949 r. przeszły pod jurysdykcję sądów apelacyjnych.

Ten proces zmiany jurysdykcji ujawnia pojawiające się od samego początku problemy w osądzeniu zbrodni popełnianych przez Polaków na Żydach w czasie wojny[3] – istniała bowiem wyraźna tendencja do lekceważącego traktowania przez sądy spraw dotyczących takich mordów. Na przykład w postępowaniach przebadanych przez Kornblutha w Sądzie Okręgowym w Siedlcach wydano wyroki skazujące zaledwie dziewięciu z trzydziestu dziewięciu oskarżonych o zbrodnie popełnione na Żydach, z czego jednego tylko mężczyznę skazano na karę dożywotniego pozbawienia wolności[4]. Ta niezwykle niska zapadalność wyroków skazujących polskich zbrodniarzy antysemitów znalazła również pełne odzwierciedlenie w badaniach, jakie przeprowadziłem na potrzeby niniejszej książki. W ich perspektywie można powiedzieć, że ponad 80 proc. spraw prowadzonych z dekretu sierpniowego przeciwko osobom dopuszczającym się zbrodni na obywatelach polskich żydowskiego pochodzenia w czasie II wojny światowej zakończyła się uniewinnieniem bądź wyrokami w dolnych granicach kary. Szacuje się przy tym, opierając się na kolejnych badaniach, że w latach 1944–

1960 wydano na podstawie dekretu sierpniowego 21 000 wyroków, głównie dotyczących zbrodni popełnionych przez Polaków na Żydach, natomiast jeśli weźmie się pod uwagę jedynie działalność sądów wojskowych, które miały za zadanie zwalczać podziemie antypaństwowe, to wyroków skazujących było 54 000, i to w okresie znacznie krótszym, bo między 1945 a 1949 r.[5] We wrześniu 1947 r. Wydział Ogólnego Nadzoru Prokuratorskiego potępił „katastrofalny stan wymiaru sprawiedliwości" w kraju, podkreślił, że wyroki ferowane wobec zbrodniarzy wojennych są zbyt łagodne, i napiętnował prokuraturę za niewnoszenie od nich apelacji[6].

Andrew Kornbluth w przywoływanym już tekście dodaje w tej materii następującą uwagę:

> *Jerzy Sawicki, czołowy przedstawiciel zespołu prokuratorów w procesach norymberskich i w kilku najbardziej znaczących procesach zbrodniarzy wojennych w Polsce, oraz Arnold Gubiński, wiceprokurator i pełnomocnik do spraw ścigania osób podejrzanych o kolaborację, stwierdzili, że „niewspółmiernie niskie i niezrozumiałe" wyroki za zbrodnie popełnione na Żydach są dowodem na to, że za postępowaniem przedstawicieli władzy sądowniczej kryje się „logika werbalistyczna", pozwalająca im na uniknięcie konfrontacji z pewnymi aspektami „rzeczywistości" okupacyjnej. Zwrócili uwagę, że przy wąskiej interpretacji dekretu, jaką stosuje Sąd Najwyższy, ukaranie współwinnych zabójstw staje się niemal niemożliwe. Na naradzie sędziów w 1949 r. przewodniczący Wydziału Kryminalnego Sądu Najwyższego jako winne łagodnych wyroków za „szeptaną propagandę antyradziecką i za wydawanie*

[…] obywateli polskich narodowości żydowskiej" wskazał „podświadome instynkty antyradzieckie i antysemickie", charakteryzujące jego zdaniem „starsze pokolenie sędziów"[7].

Trzeba wskazać na jeszcze jeden niezmiernie interesujący aspekt powojennej rzeczywistości sądowej w Polsce. Otóż władze komunistyczne świetnie zdawały sobie sprawę ze swojej niepopularności w społeczeństwie polskim i dążyły do jej ograniczenia, np. starając się za wszelką cenę nie dopuścić do podejrzeń, że w jakikolwiek sposób faworyzują ocalałych z zagłady Żydów. W efekcie przyjęła się niepisana praktyka, że nawet przy wymierzaniu kary zbrodniarzom wojennym, kiedy trzeba było pociągnąć do odpowiedzialności Polaków, władze komunistyczne tolerowały łagodzenie wyroków. Wszystko po to, by nie pogłębiać wrogości społeczeństwa, już i tak negatywnie nastawionego do komunistów dławiących polski ruch oporu. Przez to wielu polskich zbrodniarzy uniknęło po wojnie kary.

Wrogość wobec władz komunistycznych obecna była również w samym korpusie sędziowskim, który z powodu braków kadrowych został po wojnie utworzony głównie z przedstawicieli przedwojennego środowiska sędziowskiego, mocno przenikniętego ideologią narodówki. Wyraźnie dał temu wyraz Władysław Grzymała, prokurator z Siedlec, który w swoich wspomnieniach napisał, że „co uczciwsi Żydzi, jako mniej zaradni, wyginęli" w czasie wojny i przetrwała tylko „hołota", która pragnie zemsty na Polakach i Polsce. W rezultacie opisał też działanie w zmowie z sędziami w celu oczyszczenia z zarzutów tych oskarżonych, o których winie nie był przekonany[8].

W jaki sposób najczęściej odbywała się owa obrona zbrodniarzy w polskim wymiarze sprawiedliwości po zakończeniu wojny? Kornbluth opisuje jeden nagminnie stosowany kruczek prawny pozwalający uniknąć odpowiedzialności polskim oprawcom. Otóż sądy, które odmawiały skazywania Polaków oskarżonych o udział w zabójstwach Żydów, odwoływały się najczęściej do art. 2 dekretu, tj. do zapisu: „Kto idąc na rękę władzy państwa niemieckiego lub z nim sprzymierzonego, działał w inny sposób lub w innych okolicznościach, niż przewiduje art. 1, na szkodę Państwa Polskiego, polskiej osoby prawnej, osób spośród ludności cywilnej lub osób wojskowych albo jeńców wojennych, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 3 lub dożywotnio albo karze śmierci”. Artykuł ten dawał rozwiązanie alternatywne wobec art. 1 dekretu, który nakazywał bezwzględnie karać śmiercią za wymienione zbrodnie, i w ten sposób pozwalał go ominąć z korzyścią dla oskarżonego. W praktyce cały mechanizm wyglądał tak, że gdy rozpatrywano np. sprawę kilku Polaków, którzy z własnej woli zadenuncjowali lub ujęli Żydów, byli oni skazywani właśnie na podstawie art. 2, i to w dolnych granicach kary, na wyroki co najwyżej kilkuletniego więzienia. Sąd Najwyższy zaś podtrzymywał tego rodzaju wyroki, ponieważ uznawał, że nie brali oni udziału w samym akcie zabójstwa. Jak można zauważyć, tego rodzaju dosłowna interpretacja drastycznie zmniejszała szanse na postawienie kogokolwiek w stan oskarżenia oraz skazanie.

Można powiedzieć, że ogólnie orzeczenia sądów z okresu powojennego w sprawie mordów popełnianych na Żydach przez osoby narodowości polskiej wyglądały jak apologie zbrodni, w których pomniejszano perfidię i negowano premedytację, z jakimi zbrodnie te popełniano, sceptycznie

traktowano dowody obciążające oskarżonych, a sprzyjające im wątpliwe świadectwa uznawano za wiarygodne. W ten sposób stworzono alternatywną historię okupacji: oskarżeni stawali się w niej ofiarami nazistów jako osoby bez żadnego wpływu na wydarzenia, w których z takim zaangażowaniem brały udział[9].

Trzeba też zauważyć, że do drastycznie niskiej zapadalności wyroków skazujących polskich zbrodniarzy dochodziło w wyniku powojennej słabości państwa polskiego. Przynajmniej do końca lat czterdziestych ubiegłego wieku trwała w nim bowiem wojna domowa, a w lasach, zwłaszcza na Lubelszczyźnie i w Białostockiem, działały silne oddziały partyzantki, które dokonywały zbrojnych napadów na placówki komunistycznej milicji, urzędy bezpieczeństwa, zastraszały miejscową ludność, wykonywały wyroki śmierci na przedstawicielach nowej władzy oraz na kolaborujących z nimi cywilach. Choć to był właśnie okres, gdy fala procesów wytaczanych polskim zbrodniarzom na podstawie dekretu sierpniowego przetaczała się przez polskie sądy najintensywniej. Jak wiadomo, od najdawniejszych czasów stan anarchii nie sprzyja praworządności.

Ten stan był zresztą przyczyną wystąpienia innego zjawiska, które przyczyniało się do tego, że wielu polskich zbrodniarzy antysemitów uniknęło po wojnie kary – zjawiska braku ochrony świadków, zwłaszcza świadków żydowskich, przez milicjantów, którzy sami w tym czasie byli obiektem ataku partyzantów antykomunistycznych. Najczęściej bowiem żydowscy świadkowie zbrodni popełnianych przez polskich antysemitów składali przed organami ścigania obciążające Polaków zeznania w latach 1944–1945; jednak gdy na podstawie tych zeznań w latach 1946–1949

przygotowywano akty oskarżenia oraz rozpoczynano procesy, świadków tych zwykle już nie było, bo albo wyemigrowali z Polski, zastraszeni przez swoich oprawców, albo zostali przez nich zabici. Wystarczy przytoczyć jako przykład historię rodziny D., omówioną w niniejszej książce w rozdziale poświęconym zbrodni w Radziłowie. Sędziowie nie brali pod uwagę z należytą starannością zeznań spisanych, dawali zaś wiarę zeznaniom, których mogli wysłuchać osobiście w czasie procesów, a zeznania te – składane przez polskich sąsiadów – były zwykle dla oskarżonych korzystne.

Zresztą sam stan polskich organów ścigania z tego okresu był na tyle mizerny, że bezpośrednio przekładało się to na małą liczbę aktów oskarżenia formułowanych przeciwko polskim zbrodniarzom. Śledztwa były prowadzone byle jak, bez należytej staranności, przez śledczych „ludowych” – często ludzi po dopiero co ukończonych kursach doszkalających, bez koniecznej wiedzy i doświadczenia, by w sposób właściwy zbierać dowody przestępstw, przesłuchiwać świadków czy zachować ekonomikę procesową. W efekcie zebrany przez nich materiał dowodowy był na ogół łatwy do obalenia przez adwokatów oskarżonych, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę to, że świadkowie zbrodni uciekali z kraju bądź byli zabijani, a za oskarżonymi murem stawali polscy członkowie wspólnot, z których się wywodzili.

Kolejnym przejawem zaniedbań i uchybień w tych procesach był fakt, że oskarżeni odpowiadali przed sądami na ogół z wolnej stopy, co urągało podstawowym zasadom profesjonalnego przewodu sądowego, zwłaszcza że byli oskarżeni o tak ciężkie przestępstwa. Dawało to im oczywiście okazję do zastraszania świadków i mataczenia – i z okazji tej skwapliwie korzystali. Trzeba też pamiętać, że

polscy świadkowie zbrodni zeznający w tych procesach sami też na ogół nie byli bez winy, zatem nie mieli żadnego interesu w tym, by świadczyć przeciwko swoim sąsiadom, którzy w efekcie, gdyby zostali skazani, mogliby się im odwdzięczyć pięknym za nadobne.

Nie można też zapominać o zgubnych dla polskiej pamięci historycznej skutkach amnestii ogłoszonej w 1956 r. po objęciu funkcji I sekretarza KC PZPR przez Edwarda Ochaba. Nakazywała ona zamknięcie wszystkich toczących się dochodzeń w sprawach zbrodni z dekretu sierpniowego i zabraniała otwierania nowych, z wyjątkiem spraw o zabójstwo. Praktycznie amnestia ta zamknęła zatem drogę do prowadzenia jakichkolwiek śledztw przeciwko polskim zbrodniarzom. W myśl słów Władysława Gomułki z 1945 r.: „mądra polityka umie zapomnieć”[10].

Idąc tropem słów towarzysza „Wiesława”, dwadzieścia lat później Waldemar Monkiewicz, młody podprokurator Prokuratury Powiatowej w Białymstoku, delegowany przez prokuratora generalnego do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Białymstoku, z determinacją zaangażował się w proceder zacierania pamięci o polskim udziale w Holokauście w czasie II wojny światowej i pisania historii od nowa. Oczywiście nie był w tym działaniu osamotniony, w procederze brała udział cała grupa prokuratorów, m.in. Janusz Morat i Eugeniusz Kukiełka. Jednak to właśnie Monkiewicz należał do najbardziej aktywnych, z czasem w nagrodę za osiągane wyniki awansował na najwyższe stanowiska w Komisji.

Na czym polegał ów proceder? Najogólniej mówiąc, na ponownym wzywaniu do prokuratury lub Komisji w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku świadków polskich zbrodni na ludności żydowskiej z lata 1941 r. i skłanianiu ich do złożenia zeznań bezpośrednią odpowiedzialnością za

nie obarczających jedynie Niemców. Pozwalało to zamknąć polską historię w kliszy „wyłącznego sprawstwa hitlerowców” i ukryć polski udział w zagładzie Żydów, co pozostawało w pełnej zgodzie z ówczesną polityką historyczną obozu komunistycznego w ogólności, a PRL w szczególności, czyli narracją prowadzącą do obciążenia winą Niemców z kapitalistycznego RFN – a nie „swoich”, przedstawicieli proletariatu – zbrodniami o podłożu antysemickim na terenie państwa polskiego. O tym, jak wyglądały te przesłuchania i jakich metod „przekonywania” używali w ich trakcie komunistyczni podprokuratorzy, m.in. Waldemar Monkiewicz, wspomniał np. dziennikarz „Rzeczpospolitej”, który po latach rozmawiał z uczestnikiem takiego przesłuchania:

> *Po wojnie wzywano z Radziłowa na przesłuchania ludzi do Białegostoku. Kto i kiedy ich przesłuchiwał, mój informator nie potrafił powiedzieć. Sam też był wezwany. Zeznał, że zagłady dokonali Polacy. Przesłuchujący gwałtownie zaoponował. – To po co pan mnie wzywał, jeśli wie pan lepiej? – zapytał mój rozmówca. Wtedy przesłuchujący pozwolił mu opowiedzieć swoją wersję, po czym poradził, żeby zachował ją dla siebie. Proces odbył się w Ełku. – Przed sądem nie zeznałem prawdy – wyznał*[11].

Wiele światła na to, w jaki sposób przesłuchania prowadził prokurator Monkiewicz, rzucają zeznania Polki Julii S., która była naocznym świadkiem zbrodni w Jedwabnem. Kilka lat po wojnie, gdy przesłuchiwał ją oficer UB, złożyła następujące zeznanie:

JULIA S.[12]
Polka, mieszkanka Jedwabnego

25 stycznia 1949 r., przesłuchuje oficer Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łomży

Kiedy wkroczyli Niemcy na ziemie polskie, to po kilku dniach mieszkańcy Jedwabnego wspólnie z Niemcami przystąpili do mordowania Żydów, gdzie wymordowali ponad półtora tysiąca osób narodowości żydowskiej. Zaznaczam, że ja nie widziałam, żebym Niemcy bili Żydów; jeszcze trzy Żydówki Niemcy przyprowadzili na posterunek żandarmerii i kazali mnie, żeby nie zamordowali tych Żydówek, więc zamknęłam je na zamek, a klucz oddałam dla Niemca. […] W bestialski sposób znęcała się nad Żydami ludność polska, stali po bokach i bili. Mordowanie Żydów odbywało się w następujący sposób: początkowo zaganiali na rynek i bili ich tam. Później dali im pomnik Lenina, ustawili go na drągi i kazali go nosić około czterech godzin, a Polacy chodzili i pilnowali, żeby Żydzi nie uciekli.

O godzinie osiemnastej pognali Żydów za miasto, gdzie zostali zagonieni do stodoły Ś. Bronisława i tam tych wspomnianych Żydów podpalili ponad półtora tysiąca osób. W tym morderstwie brali udział ci, których sama widziałam: dowódcą tej akcji był K. Marian, w ręku miał gumę i zaganiał wszystkich Polaków do mordowania Żydów, ja sama na swoje oczy widziałam, jak K. katował Żydów, wyganiał z mieszkania na rynek i tak bił, że aż strach.

Brał udział również W. Józef, był z gumą, zaganiał Żydów na rynek oraz znęcał się nad nimi w bestialski sposób, obecnie jest gdzieś koło Szczecina. K. Eugeniusz był z kijem i zaganiał Żydów na rynek oraz znęcał się nad nimi w bestialski sposób.

Ja w tym czasie byłam kucharką w żandarmerii i widziałam, jak K. zgłosił się do komendanta

żandarmerii, żeby wydać im broń, ponieważ Żydy nie chcą iść. Komendant zerwał się na nogi i powiedział, że „broni ja wam nie dam i róbcie, co chcecie”. Wtedy K. zawrócił się i prędzej poleciał za miasto, tam gdzie pędzili tych Żydów; jak tam było dalej, tego już nie widziałam.

Nad Żydami znęcał się też B. Karol, był on z gumą, on najgorzej znęcał się nad Żydami. Oraz brało w tym udział, jak widziałam, dużo rolników i różnych ludzi. Był tam D. Antoni, był z gumą, zganiał oraz zaganiał Żydów do stodoły, znęcał się nad nimi. K. Antoni miał rękawy zakasane, słyszałam od D. Jurka, że on zabił jednego Żyda w polu. R. brał również czynny udział w mordowaniu Żydów. Sama na swoje oczy widziałam, jak ww. na rynku bił kijem Żydów i zganiał ich na rynek i do stodoły. Znęcał się nad Żydami, dopóki ich nie spalili. Na własne oczy widziałam, jak stał na rynku z kijem, miał około pięćdziesięciu lat i był tam dotąd, dopóki Żydów zagnali do stodoły i spalili, wtenczas poszedł do domu. Ż. Mariana to widziałam, jak stał niedaleko kościoła i trzymał coś w ręku, lecz co, tego ja nie widziałam. L. Stefan stał z kijem i zaganiał Żydów, bił ich tam, brał do chwili spalenia oraz rabował bardzo dużo po zamordowanych Żydach. K. Kazimierz brał również udział w zganianiu i biciu, i zaganianiu do stodoły, do chwili spalenia Żydów w stodole oraz narabował dużo rzeczy w stodole po pomordowanych przez nich Żydach. K. Józef i jego ojciec brali czynny udział w mordowaniu Żydów, zganiali ich na rynek i bili kijami oraz pomagali zaganiać do stodoły i tam spalili, narabowali dużo rzeczy po zamordowanych przez nich Żydach.

Gdy jednak dwadzieścia pięć lat później przesłuchiwał Julię S. Waldemar Monkiewicz, potrafił tak nią pokierować, że złożyła zeznanie całkowicie sprzeczne z poprzednim:

JULIA S.[13]
Polka, mieszkanka Jedwabnego

10 kwietnia 1974 r., przesłuchuje Waldemar Monkiewicz

Kiedy Niemcy uderzyli na Związek Radziecki i zajęli Jedwabne, utworzyli posterunek żandarmerii niemieckiej w Jedwabnem. Miało to miejsce pod koniec czerwca 1941 r. Żandarmi zaangażowali mnie do pracy w charakterze kucharki. Przygotowywałam im codziennie 8 obiadów. W dniu 10 lipca 1941 r., rankiem komendant posterunku o nieznanym mnie nazwisku, średniego wzrostu, siwawy, szczupły, o okrągłej twarzy, powiedział mnie, że mam przygotować 240 obiadów. Mówiłam, że nie mam takiego kotła. Komendant powiedział, abym sobie jakoś poradziła. Miałam w zawiązku z tym dużo pracy. Zauważyłam, że tego dnia przyjechało wielu żandarmów z innych posterunków. Łącznie z miejscowymi było ich właśnie 240 osób. Byli to żandarmi z Łomży, z Kolna i chyba ze Stawisk. Nazwisk tych żandarmów nie znałam. Z miejscowych przypominam sobie H., lat około 30, średniego wzrostu, szczupły, ciemny blondyn, pociągła twarz, oraz R., lat około 30, szczupły blondyn. W dniu 10 lipca 1941 r. w godzinach południowych wyszłam na chwilę z kuchni i udałam się po wędlinę do masarza O.

Zwróciłam uwagę, że na rynku w Jedwabnem żandarmi zgromadzili dużą ilość miejscowych Żydów. Byli to mężczyźni, kobiety i dzieci, od najstarszych osób do najmłodszych. Żandarmi niemieccy zjedli

> przygotowany przeze mnie obiad, po czym widziałam, jak popędzili Żydów za miasto ulicą Przestrzelską. Stała tam stodoła Ś. koło żydowskiego cmentarza. Samego momentu pędzenia Żydów do tej stodoły nie widziałam. Żandarmi przyprowadzili do mnie do kuchni trzy młode dziewczyny żydowskie i kazali je pilnować, następnie ulokowali je w oddzielnym pokoju i do czego im one służyły, tego nie wiem, ale zajmował się nimi komendant. Słyszałam od mieszkańców Jedwabnego – od kogo, nie pamiętam – że żandarmi wszystkich Żydów wpędzili do stodoły Ś. i tam żywcem spalili. Faktem jest, że pozostali tylko nieliczni Żydzi przy życiu. Żydów tych po krótkim czasie zabrano do getta w Łomży. Liczbę ich określam na ponad 50. Łącznie z tymi Żydami w czasie nieobecności komendanta zostały zabrane z posterunku trzy wspomniane przeze mnie dziewczyny żydowskie. Jedna z nich nazywała się I., druga I., trzecia – nie wiem, jak. Miały one po 18–20 lat. Żadna z nich nie dała już znaku życia.

Nie trzeba być przy tym specjalnie obeznanym z zasadami kryminalistyki, by wiedzieć, że to zeznania złożone wkrótce po wydarzeniach są bardziej wiarygodne, a w zeznaniu Julii S. z lat siedemdziesiątych szokuje wręcz skala przekłamań, do wypowiedzenia których skłonić świadka był w stanie prokurator Monkiewicz. Przesłuchiwani przez niego byli bowiem prawie zawsze skłonni winę za zbrodnie na Żydach przypisywać Niemcom. Przykładów manipulacyjnej działalności śledczej prokuratora, przykładów zeznań, jakie pod jego wpływem składali świadkowie, i roli Niemców, która rosła z zeznania na zeznanie – urastając z czasem do wielkości batalionu SS z Białegostoku w Jedwabnem lub

mazurskich folksdojczów wożonych przez SS z miasteczka do miasteczka, by udawali Polaków i organizowali pogromy – jest w aktach Komisji znacznie więcej. Liczba takich zeznań wykreowanych przede wszystkim przez niego, ale i innych prokuratorów, idzie w dziesiątki albo nawet setki – i jedynie z powodu braku miejsca nie przytaczam tu wszystkich.

Dla przykładu przedstawię choć listę sprawców zbrodni w Bzurach i Skajach, jaką „ustalił" prokurator Monkiewicz – jak dalekie od prawdy były te ustalenia, można się przekonać po lekturze rozdziału *Szczuczyn i okolice*, w którym opisałem, co działo się w tych wsiach. Na liście Monkiewicza[14] znalazły się zatem jedynie niemieckie nazwiska:

1. Werner Fromm – SS-Gruppenführer i gen. mjr policji, dowódca SS i policji w okręgu Białystok w latach 1941–1943;
2. Otto Helwig – SS-Gruppenführer i gen. mjr policji, dowódca SS i policji w okręgu Białystok od 1943 r. do końca okupacji;
3. Hans Leberecht von Bradow – pułkownik żandarmerii Kommandeura Orpo w Białymstoku;
4. Eugen Dorsch – SS-Brigadeführer SS – prezydent [?] policji w Białymstoku;
5. Rachor – kreisskomisarz w Grajewie;
6. Kruspel – kreisskomisarz w Grajewie;
7. Gloksvert – kierownik placówki gestapo w Augustowie, której podlegał teren pow. grajewskiego;
8. Beer – amtskomisarz w Szczuczynie do 1942 r.;
9. Leimann – amtskomisarz w Szczuczynie od 1942 r. do końca okupacji;
10. Radko – zastępca amtskomisarza w Szczuczynie;

11. nieustalony z nazwiska komendant posterunku żandarmerii w Szczuczynie;
12. Paul – żandarm posterunku w Szczuczynie;
13. inni nieustaleni z nazwiska żandarmi.

A oto fragment z uzasadnienia wniosku o ściganie sprawców, autorstwa prokuratora Monkiewicza:

> *W czerwcu Niemcy uderzyli na Związek Radziecki, zajmując tereny Białostocczyzny, w tym i powiatu grajewskiego. W Białymstoku utworzyli „Bezirk Białystok". Grajewo i teren powiatu grajewskiego weszły w skład tej jednostki administracyjnej. Od początku była stosowana bezwzględna polityka eksterminacyjna w odniesieniu do miejscowej ludności polskiej, a także i żydowskiej. Realizowały ją wszystkie władze okupacyjne, w tym także terenowe, jak amtskomisarze i posterunki żandarmerii niemieckiej.*
>
> *[…] Najwięcej ofiar pociągnęła zbrodnia dokonana przez nich w pobliżu wsi Bzury. Żandarmi zamordowali tam 27 Żydówek, w późniejszym czasie ze wsi Bzury zamordowali jeszcze inne osoby*[15].

Prokurator z Oddziału IPN w Białymstoku Jerzy Kamiński w śledztwie S36/03/Zn z 2008 r. podtrzymał główne ustalenia prokuratora Monkiewicza i odpowiedzialnością za zbrodnie w Bzurach, na cmentarzu w Skajach oraz inne w tym rejonie winą obarczył Niemców. Dopiero prokurator Radosław Ignatiew (z tej samej instytucji) odrzucił te wnioski i wznowił śledztwo w sprawie zbrodni na Żydówkach z Bzur[16]. W postanowieniu o umorzeniu tego śledztwa z 22 lutego 2013 r. napisał:

[…] Powyższe okoliczności wskazują, że przyjęte w śledztwie S36/03/Zn ustalenia odnośnie sprawców zabójstw żydowskich kobiet, jako „osób pochodzenia niemieckiego”, zostały oparte na błędnych przesłankach. Również błędnie uznano, że pokrzywdzone zostały zastrzelone z broni palnej. Z treści protokołów zeznań świadków, przesłuchanych w latach 1970–1971, znajdujących się w aktach wspomnianego śledztwa, nie wynika bowiem taki sposób pozbawienia życia. Przyjęcie go jedynie w oparciu o deklaracje świadków, że rzekomo sprawcy niemieccy byli uzbrojeni (notabene bez sprecyzowania broni), należy uznać zatem za nieuzasadnione przypuszczenie. Także przyjęta data zbrodni oraz ilość ofiar nie odpowiadała prawdzie.

Chwała prokuratorowi Ignatiewowi za rzetelność i odwagę, jaką się wykazał, krytykując ustalenia kolegi z prokuratury. Nie uspokajają mnie one jednak jako obywatela, ponieważ jeden sprawiedliwy prokurator nie jest w stanie zastąpić pracy pozostałych śledczych. Miałem okazję poznać osobiście prokuratora Ignatiewa i jego szefa prokuratora Zbigniewa Kulikowskiego z Oddziału IPN w Białymstoku i dlatego wiem, że są odważni i bezkompromisowi w dochodzeniu do prawdy. Chciałem w tym miejscu wyrazić szczególne podziękowanie prokuratorowi Zbigniewowi Kulikowskiemu przede wszystkim za jego wierność etosowi prokuratorskiemu. A także podziękować za długie rozmowy, jakie odbywaliśmy, gdy przyjeżdżałem do Białegostoku badać akta. Rady, jakich mi wtedy udzielił, i jego życzliwe uwagi są trudne do przecenienia.

Książka opiera się na analizie materiału zebranego przez prokuratorów pionu śledczego Oddziału IPN w Białymstoku, w znacznej części jest też wynikiem badań, którym poddałem odnalezione przeze mnie akta. Część z cytowanych dokumentów znaleźć można w edycji materiałów archiwalnych *Wokół Jedwabnego*, pod red. Pawła Machcewicza i Krzysztofa Persaka[17], choć w pracy badawczej praktycznie nie korzystałem z pomocy tego źródła, wykorzystując na ogół akta oryginalne.

W tekście poddano anonimizacji nazwiska świadków, uczestników opisywanych wydarzeń, sprawców zbrodni, chyba że mieliśmy do czynienia z postaciami z życia publicznego, np. księżmi, prokuratorami i innymi funkcjonariuszami publicznymi, także postaciami historycznymi, których nazwiska pojawiały się już w innych publikacjach.

W pracy wykorzystałem jedenaście głównych źródeł badawczych, tj.: akta procesów, które toczyły się przed sądami polskimi na podstawie tzw. dekretu sierpniowego[18] – przebadałem akta ponad siedmiuset spraw, zeznania świadków żydowskich i polskich zebrane po wojnie, żydowskie księgi pamięci spisane przez ocalałych z zagłady, dokumentacje postępowań prowadzonych przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Wykorzystałem także meldunki i raporty przygotowywane dla rządu polskiego w Londynie przez Armię Krajową, archiwa niemieckie Zentrale Stelle der Landesjustizverwaltungen zur Aufklärung nationalsozialistischer Verbrechen (Centrali Badania Zbrodni Narodowosocjalistycznych) w Ludwigsburgu, archiwa radzieckie, w tym archiwa NKWD przekazane polskim instytucjom śledczym po 1989 r., materiały śledztw

prowadzonych przez pion śledczy Oddziału IPN w Białymstoku, zeznania świadków spisane po 1989 r.

Przyjąłem założenie, że badam źródła wielowymiarowo, przyglądając się omawianym problemom z różnych punktów widzenia: historycznego, dokumentalnego, politycznego, moralnego i psychologicznego.

Ujęcie *historyczne* było względnie jasne. Biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął od 1945 r., nie można było stwierdzić, że nieprzydatne byłoby odtworzenie kontekstu historycznego, wielu sytuacji, faktów biograficznych i ideologicznych, które doprowadziły do zagłady Żydów w lecie 1941 r. i w latach późniejszych w Polsce i których skutkiem była niepohamowana kampania antysemicka na terenach polskiego Podlasia przeprowadzona przez nazistów z udziałem struktur polskiego podziemia nacjonalistycznego. Uważam, że aspekt dokumentalny był podstawowym wśród tych, które musiałem przedstawić, mimo że nie zawsze miałem do dyspozycji kompletne, w pełni czytelne materiały archiwalne. Tak np. było z danymi dotyczącymi zbrodni w Jedwabnem, były one bardzo obszerne, choć jednocześnie bardzo kontrastowe; miałem mniej danych dotyczących pogromu w Szczuczynie, a jeszcze mniej na temat masakry Żydów w Suchowoli itd.

Ale jedynie porównując dane, odtwarzając cierpliwie wiadomości czerpane z różnych zeznań, mogłem otrzymać dość wierny obraz tego, co faktycznie zaszło. Na podstawie tego obrazu mogłem też pokusić się o odpowiedź na pytanie, dlaczego w ogóle do tego doszło, jakie mechanizmy kierowały ludzkimi działaniami.

Integralną częścią relacji z zagłady, która została przedstawiona w tej książce, są zdjęcia. Stanowią one odrębną, niejako bardziej podstawową strukturę narracji,

kolejny poziom przerażającego obrazu, jaki się z niej wyłania. Dzieje się tak, ponieważ, jak pisała Susan Sontag:

> *Pamiętać to coraz częściej nie tyle przywołać opowieść, ile umieć skojarzyć zdjęcie. Nawet pisarz tak biegły w poważnej literaturze dziewiętnastowiecznej i modernistycznej, jak W.G. Sebald, postanowił wpleść między swoje opowieści – opłakujące stracone życia, straconą przyrodę, stracone krajobrazy miejskie – fotografie. Sebald nie był po prostu elegijny, był walczącym autorem elegii. Pamiętając, pragnął, by czytelnik także zapamiętał. Dręczące zdjęcia nie muszą tracić mocy szokowania. Ale nie na wiele się zdają, gdy chodzi o zrozumienie. Opowieści mogą nam pomóc zrozumieć. Fotografie pełnią inną funkcję: one nas nawiedzają. Weźmy jedno z niezapomnianych zdjęć z wojny w Bośni, o którym korespondent zagraniczny „The New York Timesa" John Kifner napisał: „Obraz jest mocny, należy do najbardziej utrwalonych w pamięci zdjęć wojny bałkańskiej. Serbski ochotnik od niechcenia kopie umierającą Muzułmankę w głowę. To zdjęcie mówi wszystko". Rzecz jasna, zdjęcie nie mówi wszystkiego*[19].

Dlatego inne klucze zastosowane w tej książce – *polityka, moralność, emocje* – nie mają wcale mniejszego znaczenia, a jedynie znaczenie odmienne, zależne od środowiska, do jakiego się odnoszą. Ujęcie z punktu widzenia *politycznego* może być przydatne, bo zwracam się do młodego pokolenia, które często nic nie wie o przeszłości ani o jej cieniach. Dla pokoleń starszych, które również nie zostały naznaczone piętnem nazizmu, może zaś być przydatne naświetlenie *moralne,* które ma skłonić do namysłu, wzbudzić

wątpliwości, a nawet poczucie winy. Jeśli zaś chodzi o *emocje* – w książce tej jest wiele wstrząsających fragmentów, które nie nadają się do czytania przez prawdziwego naukowca badającego to, co można uchwycić w powtarzalnych w laboratorium doświadczeniach. Można stwierdzić za Brunonem Bettelheimem:

> *Jest bezsprzecznie łatwiej przeoczyć rzeczywistość, podczas gdy stawianie jej czoła oznacza podjęcie inicjatywy tak nieprzyjemnej, jak i trudnej. Przyznać się, iż nie stawia się czoła z powodów egoistycznych, powodowałoby poczucie się do winy. Aby nie czuć się winnym, nie robi się pewnych rzeczy, przeczy się istnieniu faktów*[20].

Tak właśnie dzieje się w przypadku polskiego antysemityzmu oraz polskiego udziału w deportacjach, prześladowaniu i zagładzie – neguje się fakty i podejście naukowe do zagadnienia po to tylko, by ocalić „mit niewinności" zaszczepiany przy udziale „historii dobrego samopoczucia", pisanej na użytek doraźnej polityki.

Kilka lat temu stanąłem przed pytaniem: kiedy badać? Teraz, natychmiast, jeśli to możliwe. Stracono nieodwołalnie wiele czasu od zakończenia II wojny światowej i trudno to dziś usprawiedliwić. Można tylko spróbować zrozumieć.

Taka działalność, jak „śledztwa" prokuratora Waldemara Monkiewicza, prowadzona w latach siedemdziesiątych, mająca na celu zafałszowanie polskiego udziału w Holokauście, szerzej: działalność polskich komunistów, ukrywających zbrodnie przeciwników politycznych z przedwojennej polskiej prawicy po to, by ocalić obraz robotniczo-chłopskiej ofiarności i ukryć obraz robotniczo-chłopskiej zbrodni, wreszcie działalność polskich

historyków po 1989 r., kierujących się podobnymi pobudkami, budzą sprzeciw, ale też refleksję, że nie można pozwolić na dalszą zwłokę. Ostatni świadkowie tragicznej polskiej historii właśnie na naszych oczach odchodzą.

Niech więc będą obchodzone rocznice, urządzane międzynarodowe kongresy, naukowe okrągłe stoły i sympozja specjalistyczne. Są to dobre okazje do potwierdzenia, że pamięć o tym, co minęło, pozostanie, mimo że świadkowie wydarzeń z czasem odejdą. Ale gdyby nawet zostało napisane, udokumentowane czy zanalizowane wiele już w ubiegłych latach, pozostałaby potrzeba zachowania w pamięci minionych zdarzeń, tak by kontynuacja badań była możliwa. Dopiero wtedy, gdy na pewne fakty jest skierowana uwaga opinii publicznej, można powiedzieć, że pamięć o tych, którzy zginęli, została należycie uczczona. Taki cel mi przyświecał.

Dlaczego badać? Wydaje się, że to pytanie retoryczne. Niewiele jest jednak osób, które zdają sobie sprawę, że trzeba walczyć nie tylko z czasem, który przysłania wszystko, niweluje i niszczy, ale i z człowiekiem, który pragnie zapomnieć o smutnych wydarzeniach. Trzeba też walczyć i z naszą cywilizacją zajmującą się dniem dzisiejszym, unikającą problemów zarówno przeszłości, jak i przyszłości.

Nazizm, niezależnie od formy, w jakiej występował, powinien być nadal badany, rozważany, choćby dlatego, że z historycznego punktu widzenia nie zakończył się w 1945 r. Badania powinny być prowadzone nie tylko dlatego, że we współczesnym świecie pojawia się neonazizm, ale również dlatego, że to, co nazywamy nazizmem, jest częścią nas samych, jest – potencjalnie – w nas, w każdym z nas. Można go zwalczać, jedynie znając dokładnie to, czego dokonano pod jego hasłem, aby nikt nie mógł powiedzieć

tak jak dawniej: nie wiedzieliśmy, nie wierzyliśmy, wydawało nam się to niemożliwe. Bettelheim pisał o zagładzie:

> *Jest zrozumiałym, że pragnie się uniknąć spojrzenia na odbicie głębokich przeżyć, jakie pojawiają się na twarzy człowieka, któremu udało się przeżyć; człowieka, który był świadkiem destrukcji, człowieka jako bezbronnej ofiary. Należy zrozumieć i wprowadzić do naszej wizji świata, że te straszne doświadczenia prowadzą do uniknięcia konfrontacji, do negacji niektórych niepokojących aspektów problemu*[21].

Zamiast zareagować na fakty, gdy tylko pojawiły się pierwsze oznaki prześladowania nazistowskiego, oznaki tego, co szybko się rozwinęło, ludzie, używając wielu pretekstów, negowali wszystko, aby w ten sposób poczuć się bezpiecznymi:

> *Negacja jest pierwszą, najbardziej prymitywną, najbardziej nieprzydatną, najbardziej nieskuteczną ze wszelkich form obrony psychologicznej stosowanej przez człowieka. Gdy wydarzenie jest potencjalnie niszczycielskie, staje się najniebezpieczniejszą obroną, ponieważ zabrania podjęcia właściwej decyzji, która mogłaby obronić nas przed rzeczywistym niebezpieczeństwem. Tak więc negacja pozostawia jednostkę całkowicie bezsilną wobec niebezpieczeństwa, przed którym chciałaby się obronić*[22].

Tak samo funkcjonowała przez dekady negacja faktu istnienia miast śmierci. To, co działo się na Białostocczyźnie w lecie 1941 r., w takich miejscowościach jak Jedwabne,

Radziłów, Szczuczyn, Rajgród i dziesiątkach innych, było straszne, prawie niewyobrażalne. Jednakże tylko znając fakty, będziemy w stanie przeciwstawić się tej części naszej osobowości, która mogłaby być zainteresowana powrotem do działań, jakich podjęli się w tamtym czasie tamci ludzie, tamci Polacy. Jako bezpośredni wykonawcy albo bardziej lub mniej zainteresowani widzowie, biorący udział w jedynej takiej, przekraczającej rozumienie, ludzkiej tragedii.

> *Gdy po zakończeniu wojny wielu Niemców oświadczyło, iż nigdy nie przypuszczali, iż istnieją obozy koncentracyjne (o których czytali codziennie w gazetach), […] było to zwyczajne kłamstwo albo pragnienie tego, by o niczym nie wiedzieć, mimo że mogli łatwo poznać prawdę. Prawdę tę woleli (nieświadomie) ignorować*[23]*.*

Książka ta powstała przede wszystkim po to, by uniemożliwić kontynuowania kłamstwa i ignorancji.

Przypisy

[1] Dekret z dnia 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego (DzU 1944, nr 4, poz. 16).

[2] A. Kornbluth, *Jest wielu Kainów pośród nas. Polski wymiar sprawiedliwości a Zagłada, 1944–1956,* „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2013, nr 9.

[3] A. Skibińska, *Dostał 10 lat, ale za co? Analiza motywacji sprawców zbrodni na Żydach na wsi kieleckiej w latach 1942–1944,* [w:] *Zarys krajobrazu. Wieś polska wobec Zagłady Żydów 1942–1945,* red. B. Engelking, J. Grabowski, Warszawa 2011, s. 313–344.

[4] A. Kornbluth, dz. cyt.
[5] J. Poksiński, *My sędziowie, nie od Boga… Z dziejów sądownictwa wojskowego PRL 1944–1956,* Warszawa 1996, s. 11.
[6] AAN, MS, 142, Normatywy podpisane przez kierownika Nadzoru Prokuratorskiego, s. 8–10, [w:] A. Kornbluth, dz. cyt.
[7] A. Kornbluth, dz. cyt.
[8] W. Grzymała, *Wspomnienia rozpoczęte w dniu 17 kwietnia 1982,* s. 23, 53, 61–62, 67, 76, 84, w zbiorach autora, [w:] A. Kornbluth, dz. cyt.
[9] Tamże.
[10] L. Chajn, *Kiedy Lublin był Warszawą,* Warszawa 1946, s. 209.
[11] A. Kaczyński, *Nie zabijaj. Naoczni świadkowie mówią o zagładzie Żydów w Jedwabnem i Radziłowie*, „Rzeczpospolita”, 10.07.2000 r.
[12] Akta śledztwa S1/00/Zn w sprawie spalenia osób narodowości żydowskiej 10.07.1941 r. w Jedwabnem, prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, OKŚZpNP, IPN Białystok.
[13] Tamże.
[14] Akta śledztwa S36/03/Zn w sprawie zbrodni popełnionych przez żandarmów niemieckich w Szczuczynie, prowadzący prokurator Jerzy Kamiński, OKŚZpNP, IPN Białystok.
[15] Akta śledztwa S8/12/Zn w sprawie wzięcia udziału w zabójstwie dwudziestu kobiet narodowości żydowskiej, o nieustalonych personaliach, dokonanej w bliżej nieokreślonym czasie, w sierpniu 1941 r., w lesie w okolicy wsi Bzury, gm. Szczuczyn, obecnie w pow. grajewskim, woj. podlaskim, przez sprawców narodowości polskiej,

prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, OKŚZpNP, IPN Białystok.

[16] Tamże.

[17] *Wokół Jedwabnego*, red. P. Machcewicz, K. Persak, t. 1 *Studia*, t. 2 *Dokumenty*, Warszawa 2002.

[18] Dekret z dnia 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary…, dz. cyt.

[19] S. Sontag*, Widok cudzego cierpienia*, przeł. S. Magala, Kraków 2010, s. 34.

[20] B. Bettelheim, *Przetrwać*, Milan 1981, s. 91, [za:] A. Devoto*, Psycholog społeczny wobec aparatu zbrodni hitlerowskich*, materiały międzynarodowej sesji naukowej *Hitlerowskie ludobójstwo w Polsce i Europie 1939–1945*, Warszawa, 14–17 kwietnia 1983 r.

[21] Tamże, s. 86.

[22] Tamże.

[23] Tamże s. 87.

Nacjonalizm w międzywojennej Polsce – szkic z ideologii

Przedstawione w tej książce zbrodnie popełniane przez polskich nacjonalistów były w dużym stopniu efektem tragicznego w skutkach oddziaływania ideologii nacjonalistycznej i faszystowskiej funkcjonującej w środowiskach prawicowych II Rzeczypospolitej.

Podstawową ideą, która krążyła w kręgach myślicieli Obozu Narodowo-Radykalnego oraz Stronnictwa Narodowego i którą posługiwali się główni przywódcy całej polskiej nacjonalistycznej prawicy, był totalizm katolicki. Na jej bazie budowali dychotomię pojęciową totalitaryzmu dobrego i, w ich rozumieniu, pożądanego dla Polski, czyli „totalitaryzmu religijnego i katolickiego", któremu przeciwstawiali „totalitaryzm państwowy" w typie sowieckim[1] lub faszystowskim. Sami działacze ONR-u określali się przy tym jako myśliciele i działacze „totalitarni". Pisali w swoich manifestach:

> *Nie demokracja parlamentarna, nie ustrój klasowy ani totalny system partyjny, ale zorganizowanie hierarchicznie może stanowić trwałą siłę*[2].

Znamienny pod tym względem był tekst, który ukazał się w „Ruchu Młodych", czasopiśmie międzywojennej skrajnej prawicy, noszący tytuł: *Totalizm nie jest sprzeczny z katolicyzmem*[3]; możemy w nim odnaleźć następujący pogląd:

> *Totalizm, o ile reprezentuje ideę zgodną z katolicyzmem, jest w naszej epoce rzeczą pożądaną*[4].

Program Obozu Narodowo-Radykalnego postulował przy tym, jak o tym pisali wybitni polscy historycy Jerzy J. Terej[5] i Jan Józef Lipski[6], budowę hierarchicznie zorganizowanego społeczeństwa i państwa, na czele z wodzem, który stałby na szczycie totalitarno-państwowej hierarchii. Działacze ONR-u i endecji pragnęli również budować w Polsce charakterystyczny dla systemów totalitarnych układ monopartyjny, w tym przypadku „katolicki układ monopartyjny". Zwłaszcza Stronnictwo Narodowe i ONR-Falanga określały się jako ruchy światopoglądowo katolickie i tylko partiom katolickim przyznawały prawo do istnienia na scenie politycznej Polski. Postawa taka sprawiała również, że z upodobaniem atakowały one liberalne środowiska chrześcijańskie, co prawda nieliczne w II Rzeczypospolitej, ale wyrastające z nurtu personalizmu chrześcijańskiego – często nazywając je kryptomasońskimi, żydowskimi, komunizującymi itd. Oczywiście totalizm komunistów w ZSRR, jako ten oderwany od katolicyzmu, oraz totalizm faszystowski święcący tryumfy w Niemczech, jako noszący cechy neopogańskie, były traktowane przez totalistów katolickich z ONR-u i narodówki również z dużą rezerwą. Choć powściągliwość ta była zmienna w czasie i uzależniona od bieżących wydarzeń politycznych.

Członkowie ONR-Falangi na wiecu partyjnym w Warszawie, 28 listopada 1937 r.

Równie dobitnie idea totalitaryzmu katolickiego została wyrażona przez działaczy obozu narodowego w programie budowy Katolickiego Państwa Narodu Polskiego, mającego być państwem wyznaniowym, czyli opanowanym przez „jednolity pogląd na świat” oraz jedną katolicką elitę i partię. Bardzo znamienne były słowa działacza endeckiego i przewodniczącego okręgu rzeszowskiego Stronnictwa Narodowego, Witolda Nowosada, które zostały wypowiedziane na Jasnej Górze po słynnym ślubowaniu młodzieży akademickiej 24 maja 1936 r.

> *Chcemy walczyć o Państwo Boże, o to państwo, które przed półtora tysiącem lat wysławiał tak wymownie wielki święty Augustyn. […] Chcemy walczyć*

o panowanie Chrystusa Króla na kuli ziemskiej. […] Chcemy […] Królestwo Chrystusa zaprowadzić w Polsce Wielkiej, o którą walczymy. […] Wołamy na Jasnej Górze do Matki Najświętszej […], abyśmy najszybciej umieli stworzyć z naszej Ojczyzny KATOLICKIE PAŃSTWO POLSKIEGO NARODU!!! Bóg i Naród są dla nas nierozdzielnymi ideałami i nieszczęsne, a nawet przeklęte byłoby w Polsce to pokolenie, które by te ideały chciało rozdzielić na naszą zgubę[7].

Ta deklaracja ideowa jest świadectwem fundamentalistycznego traktowania religii i jej miejsca w życiu społecznym, politycznym i kulturalnym przyszłego społeczeństwa totalitarnego, które chcieli w Polsce zbudować polscy nacjonaliści okresu międzywojennego. Oczywiście jasne jest przy tym, że totalitaryzm, niezależnie od przymiotnika, jakim się go określa, zawsze pozostaje totalitaryzmem, w którym przemoc dotyka wszystkich poza posłusznymi i konformistycznymi sługami reżimu. Głównie z tego powodu pewną trudność środowiskom nacjonalistycznym w Polsce, m.in. ONR-owi, sprawiało udowodnienie, że szerzenie idei totalitarnych pozostaje w zgodzie z ideami integrystycznymi Kościoła katolickiego – próby takie budziły na szczęście zdecydowany opór w kościelnych środowiskach postępowych, personalistycznych, tamtego czasu. Prawicowy publicysta Wojciech Wasiutyński ubolewał nad tym faktem:

[…] Przy pomocy kampanii przeciw totalizmowi usiłowano wbić klin między narodowców a Kościół[8].

Blisko związani z falangistami i narodowcami myśliciele katoliccy byli jednak wielkimi entuzjastami głoszonych

przez nich idei. Katolicyzm według nich stanął bowiem przed niepowtarzalną szansą historyczną, by stać się religią ruchu nacjonalistycznego prącego do zwycięstwa politycznego w międzywojennej Polsce. Nacjonalizm i katolicyzm miały stać się podstawą zarówno nowego ruchu politycznego, jak i przyszłego, zbudowanego przez ten ruch państwa. Sami falangiści też zresztą jasno wskazywali, że ideologia, która miała się stać „duszą" ich ruchu i przyszłego ustroju, była katolicko-nacjonalistyczna.

Jan Józef Lipski twierdził, że schemat idei totalitarnej wyrażanej przez środowisko Obozu Narodowo-Radykalnego i narodowców wyglądały następująco: po pierwsze, musiała według nich nastąpić pełna koncentracja władzy – w życiu zarówno państwa, jak i społeczeństwa – w rękach przedstawicieli Stronnictwa Narodowego i Obozu Narodowo-Radykalnego. Po drugie, władza ta miała być sprawowana wyłącznie przez aparat przemocy państwowej. Po trzecie, system polityczny takiego katolickiego państwa miał nabrać charakteru jednopartyjnego i być związany z dyktaturą jednej partii sterowanej przez Organizację Polityczną Narodu Polskiego. Po czwarte, społeczeństwo polskie i narodowa partia rządząca miały zostać zorganizowane hierarchicznie na wzór wojskowy z wodzem-dyktatorem na czele. Po piąte, tak skonstruowany aparat państwa względem obywateli miał się posługiwać przymusem, terrorem oraz propagandą. Po szóste, państwo nadawało sobie prawo do tworzenia obowiązujących wszystkich obywateli planów gospodarczych i społecznych. Po siódme, państwo legitymizowała jedna jedyna ideologia katolicka, wypełniająca misję dziejową narodu polskiego. Dopiero na samym końcu państwo ze swoim aparatem ideologicznego terroru zwracało się o poparcie narodu, które bynajmniej nie było warunkiem istnienia tak

skonstruowanej Polski, a raczej konsekwencją stosowanego przez nią wobec obywateli terroru, indoktrynacji i cenzury. Jeśli zaś chodzi o wychowanie młodzieży, środowiska narodowe pragnęły sięgać w tej materii po wzorce hitlerowskie i sowieckie:

> *Przekonanie o możności przekształcenia i ulepszenia psychiki nie tylko jednostki, ale również grupy społecznej, jaką jest naród, przez świadomą i planową działalność wychowawczą [...], przebija w takich poczynaniach, jak wychowanie faszystowskie, hitlerowskie czy sowieckie*[9].

> *Słusznie bowiem zauważa Kierck (w „Nationalpolitische Erziehung"), że uczniowi trzeba po prostu wpoić pewne ściśle określone ideały oraz dogmaty: religijne, narodowe i społeczne*[10].

Tego rodzaju obraz rzeczywistości państwowej i społecznej zbudowanej na ideach integryzmu i totalitaryzmu katolickiego myśliciele z obozu narodowego przekuwali następnie w bezpardonową krytykę demokracji i ustroju parlamentarnego. Bezwzględnej krytyce poddawali demokrację parlamentarną, choć sami głosili pochwałę przedziwnego tworu politycznego, który nazywali demokracją katolicko-narodową, utworzoną, jak planowali, w wyniku zamachu zorganizowanego przez małą grupkę terrorystów – bojowników z ONR-u lub w wyniku ogólnoprawicowego powstania narodowego. Na ogół ideolodzy narodowi odrzucali bowiem wybory parlamentarne jako narzędzie przejęcia władzy w państwie, co przejawiało się w powszechnych bojkotach wyborczych organizowanych przez działaczy narodówki w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Powstanie miało zostać

wzniecone, by urzeczywistnić pragnienia narodu budowania katolickiej i nacjonalistycznej Polski. Pragnienia, które, rzecz oczywista dla nacjonalistów, nie mogły być spełnione w wyborach powszechnych z powodu działań grup sprawujących rzeczywistą, acz tajną, władzę w polskiej i światowej demokracji, czyli znienawidzonych przez nich Żydów i komunistów. To zresztą w tym miejscu ideologii narodowej pojawiał się po raz pierwszy tak wyraźny akcent antysemicki.

Ostatecznie dopiero po przejęciu władzy na drodze zamachu stanu lub powstania zbrojnego narodowcy planowali „zdobyć poparcie" narodu w wyniku stosowania wobec tegoż narodu terroru i cenzury[11]. Alternatywą dla tej „narodowej demokracji", oczywiście złą i zgubną dla Polski, była w oczach ideologów ruchu demokracja parlamentarna, która była „zła", bo tworzona przez ciemne siły żydowsko-masońskie, sprawujące zakulisową kontrolę nad narodem polskim i jego politycznymi wyborami.

Lipski w swojej książce o ideologii ONR-u pisał, że aby poznać w przybliżeniu obraz świata, jaki mieli falangiści, wystarczyło przeczytać jeden z artykułów trzeciorzędnych publicystów skrajnej prawicy, którzy najlepiej wyrażali „światopogląd zwykłego oenerowskiego pałkarza". Nie należało raczej w tym celu czytać prac intelektualistów pokroju Wojciecha Wasiutyńskiego, Mariana Reutta czy Włodzimierza Sznarbachowskiego, którzy pięknymi sformułowaniami i uczonymi zwrotami mogli zaciemniać całą ideologiczną sprawę. Gdy jednak sięgniemy do zwykłych, codziennych artykułów z „Falangi" i „Sztafety" czy pism wydawanych przez Stronnictwo Narodowe na Podlasiu, to znajdziemy tam opis świata współczesnego widziany „prawicowymi oczami". Czyli świata zarządzanego przez „żydowskie struktury pracy politycznej", przez co

rozumie się zarządzanie przez tajne organizacje żydowskie, masońskie i inne, których zewnętrznymi przejawami miały być demokracja i liberalizm[12].

> *Mussolini stwierdził, że „faszyzm jest zorganizowaną, scentralizowaną i autorytatywną demokracją" […]. Goebbels o narodowym socjalizmie powiedział: „Narodowa rewolucja dała Niemcom najszlachetniejszą formę współczesnej europejskiej demokracji. […] Czemu monopol na używanie nazwy demokracja ma mieć akurat Blum czy Lloyd George, a nie na przykład Mussolini czy Hitler?*[13]

Powyższy cytat pokazuje jeszcze jeden ciekawy aspekt chaosu intelektualnego narodowców. Propagowali oni bowiem idee równości członków narodu polskiego, ale w ramach hierarchicznej struktury zarządzania tymże narodem, pochodzącej zresztą z partyjnego nadania, dyktatury partii narodowej ustanowionej w wyniku zamachu stanu. Jednym słowem, równość wszystkich miała być warunkiem istnienia katolickiego państwa totalnego, ale jednocześnie o miejscu zajmowanym przez jednostkę w tej „równej hierarchii" (sic!) miała decydować arbitralna decyzja partyjnego działacza ONR-u.

Oczywiście owa hierarchia społeczno-partyjna – wszak w społeczeństwie miała panować jedna katolicka partia zrośnięta z narodem jak dusza z ciałem – miała być ustanowiona przez samych działaczy narodowych, którzy z założenia, to oczywiste, byli najlepszymi synami i córkami Rzeczypospolitej. Dlatego to wyłącznie nominacja przez przełożonego z prawicy miała być, w ich planach politycznych, narzędziem uzyskiwania przez jednostkę pozycji w hierarchii społecznej. To oczywiste, że hierarchia zbudowana na relacji przełożony – podwładny miała

z założenia nigdy nie stanąć w obliczu problemu podwładnego, który jest bardziej rozumny i zdolny od przełożonego, zauważał Lipski. Koncepcja prezentowana przez narodowców oczywiście zakładała również, że nie tylko jednostki, ale też całe narody w takiej hierarchicznej relacji się znajdują, co doprowadzało ich do wniosku, że Polacy mogą dominować nad Żydami i Ukraińcami jak przełożeni nad podwładnymi.

Była to argumentacja typowa dla nacjonalistów niemieckich, ale też generalnie romantyków europejskich, którzy sprzeciwiali się rządom oświecenia, rządom racjonalnego prawa wyborczego, wskazując na jego bezduszność i brak swoistej mistycznej duchowości oraz ludowej, czystej sprawiedliwości. Niemieccy nacjonaliści przeciwstawiali im „dusze płowych germańskich bestii", które głosowania demokratycznego nie potrzebowały, a endecy i oenerowcy – doskonałość duchową Polaka-katolika.

Ponadto krytyka demokracji i parlamentaryzmu w wydaniu Obozu Narodowo-Radykalnego była połączona z krytyką najważniejszych idei w demokracji, tj. pluralizmu politycznego, obyczajowego i moralnego oraz tolerancji. Ponieważ narodowcy w swoim modelu państwa totalnego i wyznaniowego zakładali, że musi być ono depozytariuszem jedynej „prawdy bezwzględnej", czyli katolicko-narodowej, pluralizm idei uznawali za najpoważniejszy grzech demokracji II Rzeczypospolitej, który trzeba było jak najprędzej wyplenić. Z tych samych powodów polscy prawicowi nacjonaliści nienawidzili kolejnego fundamentu demokratycznego państwa prawa, czyli „rządów ludu". Nazywali je pogardliwie „rządami opinii publicznej", co w ich rozumieniu oznaczało rządy „głupich i pogardy godnych" mieszczan, co było zresztą

krytyką liberalizmu zaczerpniętą zarówno z myśli marksistowskiej, jak i romantycznej myśli niemieckiej oraz katolickiej. Narodowcy krytykowali również demokrację za jej anarchiczność, a także za schlebianie szlacheckim polskim wadom narodowym – „pieniactwu” i „warcholstwu”. Tylko totalitarne i silne swoim aparatem policyjnym państwo mogło – ich zdaniem – rozprawić się z anarchią demokratów.

Powinno niepokoić, że już w latach trzydziestych ubiegłego wieku narodowcy jako warunek zniszczenia nieakceptowanej przez siebie demokracji postulowali rozwiązanie z użyciem siły tzw. kwestii żydowskiej – pozbycia się Żydów jako naturalnego, ich zdaniem, zaplecza demokracji. Tak samo żądali rozgromienia w przededniu wojny „agentury demokratycznej” w Polsce[14].

> *Istnieją zorganizowane, ustabilizowane, potężne gospodarczo, świadome siły żydowskie, komunistyczne, masońskie, dla których kwestią bytu jest niedopuszczenie do jednolitości psychicznej i cywilizacyjnej Narodu*[15].

> *Trzy wrogie siły to żydostwo, komunizm i masoneria […]. Żydostwo […] jest w stosunku do tamtych obu sił w Polsce nadrzędne*[16].

„Żydowskie” struktury życia publicznego, o jakich pisali główni ideolodzy narodówki[17], to oczywiście żydowska masoneria, czyli faktyczna, zdaniem endeków i oenerowców, struktura odpowiedzialna za kształt demokracji w międzywojennej Polsce. Przy czym oenerowcy często używali pojęć synonimicznych wobec „masonerii”, by atakować również niemasońskie organizacje, z którymi konkurowali na scenie politycznej, wywodzące się głównie

z obozu sanacyjnego. Mówili zatem nagminnie o „rządach tajnych organizacji”[18]. „Demokracja – żydowski bękart XIX wieku”[19] – to zdanie wyraża istotę myśli ONR-u w obrębie krytyki demokracji. Krytyka zarówno liberalizmu, jak i komunizmu była przy tym w zasadniczych strukturach podobna, oba te nurty narodowcy przedstawiali jako emanacje „żydowskości”. Na tak zbudowanej podstawie ideologicznej, wyrażającej się w głoszeniu postulatów totalitarnych oraz antydemokratycznych i antysemickich, wyrosła też w środowiskach narodowych II Rzeczypospolitej zaciekła krytyka kapitalizmu jako systemu ekonomicznie złego pod każdym względem, bo z gruntu żydowskiego, degradującego zdrowe chrześcijańskie relacje społeczne, niszczącego ducha aryjskości[20].

Z tego powodu falangiści i endecy z radością wieścili upadek tego niebezpiecznego żydowskiego ustroju gospodarczego, a także zamierzali walnie przyczynić się do jego zniszczenia. Kapitalizm, zdaniem narodowców, zastąpić miał ustrój gospodarczy oparty na… *narodowej miłości*. Oczywiście miłości Aryjczyków do Aryjczyków, Polaków do Polaków i katolików do katolików. W żadnym razie w krąg oddziaływania owej *zbawczej miłości* nie planowano włączać obcych, innowierców, a już z całą pewnością Żydów.

Ponadto w tak *miłośnie* zorganizowanym, na wzór organizacji wojskowej, społeczeństwie polskim najważniejsze było zaspokajanie potrzeb mas pracujących, a nie generowanie zysków. Miłość, hierarchia i posłuszeństwo – tak miała wyglądać, zdaniem narodowców, wcielona w życie idea integryzmu katolickiego.

Kapitalizm jest niemoralny[21].

I oczywista dla prawicowego środowiska II Rzeczypospolitej uwaga:

> *W ustroju kapitalistycznym zawsze zwyciężają Żydzi*[22].

Co więcej, destrukcyjne wpływy żydowskie miały się też przejawiać w ich niszczycielskiej roli, dążeniu do wywołania destrukcji szlachetnej i idealistycznej „duchowości" polskiej. Widoczne to było, zdaniem endeków, w przypisywanym Żydom materializmie niszczącym „duszę polską", którego emanacją miał być kapitalizm – to jemu i Żydom wypowiedzieli otwartą wojnę.

> *Kto interesował się kwestią żydowską, ten wie, że stara kultura Izraela byłą kulturą na wskroś materialistyczną*[23].

> *Kto chce zniszczyć ustrój kapitalistyczny, musi być antysemitą*[24].

> *W ustroju kapitalistycznym żydostwo zawsze da sobie radę. […] Hasłem polskich mas robotniczych jest zniszczyć żydostwo wraz z kapitalizmem! I to nie jest walka klas, ale walka narodowa. To Polacy walczą z Żydami!*[25].

Kolejnym fundamentem ideologii środowisk narodowych reprezentowanych przez endecję, ale zwłaszcza przez Obóz Narodowo-Radykalny, był głoszony przez te środowiska rasizm[26]. Prym rasizmowi w ideologii narodowej nadał Roman Dmowski, który w jednym ze swoich artykułów wypowiedział znamienną deklarację, że nie jest „prawdziwym szowinistą", bowiem stawia wyżej wartość białej rasy niż „murzyńskich barbarzyńców", nawet jeśli owi biali należeli do wrogiego Polakom narodu[27].

Dmowski podkreślał także rolę instynktu, czynnika biologicznego, a więc rasowego, w którym upatrywał istoty więzi narodowej[28].

> *Jednostka zrośnięta przez pokolenia ze swym narodem w pewnej szerokiej sferze czynów nie ma własnej woli, ale musi być posłuszną woli zbiorowej narodu, wszystkich jego pokoleń, wyrażającej się w odziedziczonych instynktach*[29].

Twórczo tezy ojca polskiej myśli narodowej rozwijali też inni narodowcy oraz ideolodzy Obozu Narodowo-Radykalnego, podkreślając w swoich wypowiedziach, że różnicy obywatelskiej oraz prawnej między Polakiem a nie-Polakiem należy przeciwstawić różnicę biologiczną, rasową właśnie, między „Żydem" a „Aryjczykiem". Taką właściwą dla kręgów ONR-u typologią posługiwali się Marian Reutt i Jerzy Hagmajer. Przy czym „Aryjczyk" utożsamiany z Polakiem był przedstawiany wyłącznie w opozycji do Żyda, „nie-Aryjczyka". Polskość ponadto, na dobrą sprawę, nie była w piśmiennictwie endeków inaczej definiowana niż w opozycji do „żydowskości". Jedynym właściwie wyznacznikiem polskości w ideologii totalitarnej środowisk polskiej prawicy była znienawidzona „figura Żyda". To niezmiernie ciekawe, że ideolodzy tej totalitarnej doktryny nie dostrzegali w takiej konstrukcji myślowej, konstytuującej polskość, funkcji semity.

Rasistowska ideologia endecji i ONR-u wymuszała również stworzenie języka jej wyrazu[30]. Tutaj warto tylko za Lipskim przytoczyć, że specjalną kategorią w owej rasistowskiej nowomowie pełnił termin „Ariowie". Słowo to miało dla działaczy ONR-u wyraźny walor wartościujący. Ani razu bowiem nie padało w kontekście świadczącym o jego negatywnych konotacjach. To, co aryjskie – zawsze

było dobre, bohaterskie, podniosłe z definicji! Być Aryjczykiem więc – znaczyło co najmniej: mieć wiele dobrych cech. Do ich rejestru należało i to, że tylko Aryjczyk mógł tworzyć sztukę i poezję służącą swemu aryjskiemu narodowi[31].

Tak skonstruowane rasistowsko narzędzie ideologicznego odróżnienia Żyda od Aryjczyka, powołujące się na sferę uwarunkowań biologicznych, pozwoliło polskim prawicowcom także wzmocnić przekonania o własnej wszechpolskiej wielkości. Miała takowa wynikać z – ich zdaniem – dobrze dowiedzionego faktu, że aryjscy Germanie *de facto* wywodzą się od Słowian połabskich, których zasymilowali, co doprowadzić miało rasę germańską – to szczególnie interesujące – do… obłędu. Wywodzić się też mieli zarazem od… Żydów i dlatego czystymi Aryjczykami nigdy nie byli. Takimi zaś najczystszymi ze wszystkich Ariów i najbardziej aryjskimi z Aryjczyków byli, rzecz jasna, tylko Polacy. Słusznie zauważył Lipski, że trzeba było zaiste karkołomnej ekwilibrystyki intelektualnej, by najpierw uznać wyższość Słowian nad Germanami, a następnie głosić, że asymilacja obu nacji przyczyniła się do obłędu rasy germańskiej.

Takiej samej zresztą ekwilibrystyki intelektualnej wymagała głoszona na łamach katowickiej „Kuźnicy", jednego z organów ONR-u, teoria profesora Samuela Weinbauma z żydowskiego uniwersytetu w Jaffie, na podstawie której ideolodzy Falangi zaczęli twierdzić, że Niemcy i ich germańscy przodkowie zostali skolonizowani przez siedemnaście tysięcy Żydów około 127 r. p.n.e., przez co zasługują na głęboką pogardę polskich Aryjczyków. Godny uwagi, oprócz jawnej absurdalności tej tezy, jest fakt, że polskim antysemitom nie przeszkadzało głoszenie teorii profesora żydowskiej uczelni. Ideologie totalne

polskich narodowców gotowe były do przyswojenia każdej fikcji i każdego absurdu.

Rasizm jawnie głoszony przez polskich nacjonalistów stał się problematyczny dla ruchu narodowego po ukazaniu się encykliki Piusa XI *Mit brennender Sorge,* ponieważ ruch narodowy chciał uchodzić jednocześnie za katolicki, by z poparciem kleru łatwiej sięgnąć po władzę. Trudno było mu zatem utrzymać i głosić poglądy rasistowskie i antysemickie po ukazaniu się encykliki, która poglądy te wprost potępiła. Publicyści nacjonalistyczni wybrnęli z tej sytuacji w ten sposób, że wprowadzili do swej terminologii kolejne mętne rozróżnienie na „antysemityzm rasistowski", który nagle zaczęli po ukazaniu się encykliki odrzucać, i „antysemityzm gospodarczy" oraz „antysemityzm religijny", które tym goręcej zaczęli propagować. Oczywiście dla przeciętnego pałkarza z Białostocczyzny tego rodzaju rozróżnienia nie miały zupełnie znaczenia, grunt, że cała ideologia była wymierzona w Żydów.

Kolejnym powodem głoszonej przez narodowców nienawiści do Żydów, przynajmniej w perspektywie ich na każdym kroku podkreślanego katolicyzmu, był argument wskazujący na to, że byli oni „zabójcami Chrystusa": „Zabili Chrystusa, a teraz chcą z jego nauki uczynić tarczę ochronną"[32]. Narodowcy próbowali przy tym wykazać, że ich antysemityzm jest jak najbardziej zgodny z duchem katolickim, powoływali się przy tym przede wszystkim na osobę oraz nauczanie papieża Pawła IV. Powoływano się także szeroko na tradycję polskiego Kościoła, a zwłaszcza uchwałę synodu wieluńskiego z 1420 r., zakazującą chrześcijanom spędzania czasu w towarzystwie Żydów, handlowania z nimi, zabraniającą Żydom nabywania domostw i najmowania na służbę chrześcijan[33]. Najlepiej chyba pod tym względem relację pomiędzy narodowcami

a Kościołem katolickim wyraził jeden z ideologów ruchu Władysław J. Grabski:

> *Jaką miarą oceniamy zasługę kapłanów polskich dla narodu? Gdy ich nierozpoznawalna praca chroniła obyczaje i strzegła czystości rasy*[34].

Tak skonstruowana relacja między antysemityzmem endecji i ONR-u a Kościołem katolickim bynajmniej nie krępowała polskim środowiskom prawicowym rąk trzymających kastety i pałki. Szybko bowiem zauważono, że skoro „żydostwo to zło" w znaczeniu metafizycznym i moralnym, to właśnie katolickość deklarowana przez falangistów każe im z tym złem walczyć. Sformułowali zatem program katolicyzmu wspieranego przez pięści podniesione na Żydów.

> *Miłość jest także matką nienawiści – nienawiści do zła. Być chrześcijaninem, nie znaczy, być niedołęgą pozwalającym szerzyć się złu. A naród żydowski żyjący w rozproszeniu szerzy wszędzie zło i sieje zniszczenie*[35].

> *[…] Młodzież katolicka nie może pójść na lep obłudnego humanitaryzmu*[36].

Stanowisko członków ONR-u wobec relacji między faszyzmem niemieckim a katolicyzmem skomplikowało się po ukazaniu się encykliki Piusa XI oraz wraz ze wzrostem napięcia politycznego między III Rzeszą a Polską. Poprzednią entuzjastyczną apologię hitleryzmu zastąpiła jego ostrożna krytyka. Polscy faszyści i narodowi socjaliści prezentowali za to nieprzerwanie pełne estymy stanowisko wobec religii katolickiej, co świetnie przedstawił w swojej pracy Olgierd Grott[37]. Analizował on reprezentatywne dla

całego środowiska polskich nazistów publikacje Partii Narodowych Socjalistów i wykazał, że wyrażają one głęboką aprobatę dla chrześcijaństwa i wiary w Chrystusa[38] oraz zapowiadają potrzebę wykorzenienia wszystkiego, „co nie godzi się z polskim i chrześcijańskim charakterem Polski”[39] – oczywiście żydostwa i komunizmu.

Koncepcja Polaka-katolika była obecna w świadomości zwolenników PNS bardzo wyraźnie. Walkę z religią partia ta postrzegała także jako próbę zniszczenia narodu polskiego, którą świadomie podejmowali oczywiście Żydzi[40]. Równie zaangażowany stosunek do religii i Kościoła katolickiego można znaleźć w programie i publicystyce innej partii narodowosocjalistycznej – Radykalnego Ruchu Uzdrowienia, od 1937 r. działającego pod nazwą Narodowo-Radykalnego Ruchu Uzdrowienia. Jego przywódca Józef Kowal-Lipiński w swoich tekstach dużo bardziej emocjonalnie wyrażał poglądy dotyczące religii katolickiej[41].

Od końca lat trzydziestych w łonie ruchu narodowego, zwłaszcza wśród radykałów z ONR-u, narastało przekonanie, że w rozwiązaniu kwestii żydowskiej trzeba wzorować się na hitlerowskich Niemczech[42], nawet mimo pojednawczej encykliki ogłoszonej przez papieża.

> *Sądzimy, że należy poznać doświadczenia niemieckie odnośnie kwestii żydowskiej po to, by wyciągnąć z nich wnioski odpowiadające polskiej sytuacji*[43].

Z taką pozytywną oceną hitleryzmu i jego zbrodniczego stosunku do Żydów wiązały się szaleńcze koncepcje w sferze polityki zagranicznej, jakie narodowcy chcieli wprowadzić w życie po objęciu rządów w Polsce. Zgodnie z nimi relacje z faszystowskimi Niemcami miały się opierać

na strategicznym partnerstwie, którego celem byłoby zgniecenie Żydów w obu państwach. Dopiero po ich zgładzeniu chcieli polscy narodowcy pokonać „neopogaństwo hitlerowskie” w III Rzeszy i doprowadzić tam do zwycięstwa, podobnie jak w Polsce, „integryzmu katolickiego”. Po czym wspólnie z już katolickimi i równie jak Polska totalitarnymi Niemcami wspólnie zaatakować i pokonać bolszewicką Rosję. Co więcej, nawet ewentualny upadek III Rzeszy w konflikcie z Polską miał nie zamknąć drogi pochodowi antysemityzmu w Europie. W takiej sytuacji świętą żagiew antysemityzmu mieli ponieść dalej dzielni chłopcy z ONR-u.

> *Wyobrażają sobie [Żydzi], że klęska Hitlera będzie automatyczną likwidacją antysemityzmu. Płonne i głupie nadzieje […]. Ta wojna was nie ocali*[44].

> *Najważniejsza jest sprawa żydowska. […] Dziś właśnie, jak nigdy, nastręcza się okazja do jej rozwiązania*[45].

Trzeba zwrócić uwagę na datę, kiedy padły te deklaracje. Owo „dziś” wypowiedziane zostało 30 lipca 1939 r., a więc na miesiąc przed wybuchem wojny, która niemal całkowicie zgładziła Żydów w Polsce i Europie. Pod tym względem plany niemieckich i polskich antysemitów były zbieżne. Co więcej, „rozwiązanie kwestii żydowskiej” w Polsce i Europie postrzegano jako wstęp do zniszczenia komunizmu w Rosji, ze względu na oczywiste dla polskich nacjonalistów związki komunistów z Żydami[46].

Nie było jednak wcale tak, że to wraz ze zbliżaniem się II wojny światowej retoryka antysemicka w tym środowisku się zaostrzała. Właściwie bowiem zawsze było ono wobec Żydów nieprzejednane. Warto przytoczyć opublikowane

w Warszawie w 1891 r. na łamach „Głosu” zręby antyżydowskiego programu, do którego później po wielekroć odwoływali się ideolodzy Narodowej Demokracji. Schematów ideologicznych antysemickich i szowinistycznych trzeba szukać nie tylko w piśmiennictwie samego Obozu Narodowo-Radykalnego czy Stronnictwa Narodowego, ale także w organach i wydawnictwach nawet luźno powiązanych ze strukturami obu tych partii, takich jak: katowicka „Kuźnica”, należąca do prasy ONR-Falangi, „Młoda Polska”, „Pro Christo”[47] księży marianów, „Komunikat SARP” – opanowanych czasowo przez falangistów, dzienniku „Jutro”, a także periodykach prawicowych, np. „Podlasiaku” czy „Rózdze Podlaskiej”.

Niech za próbkę takich tekstów posłuży jeden z początkowych numerów pisma „Rózga Podlaska”. Trudno wyobrazić sobie przykład bardziej odpowiadający określeniu „mowa nienawiści”:

> *Najbardziej godna pogardy i najbardziej zgangrenowana, zgniła, zepsuta, żydowska rasa na świecie, a w swych dążeniach najpodlejsza i najbrutalniejsza…*
>
> *Żydzi – to wyrzutki ludzkości!*
>
> *Żydzi – to męty narodów!*
>
> *Żydzi, jesteście tak podli, że zasługujecie na karę od czasu swego zjawienia się na świecie.*
>
> *Mienicie się wybranem narodem – zaiste wybrał was szatan za narzędzie szerzenia zła i grzechy upodlenia…*
>
> *Jesteście plemieniem wiecznie czołgającem się, zamkniętem w sobie – zwierzęcem, znikczemniałem…*

Dosyć mam, gdy spojrzę na gromady żydostwa snującego się po ulicach, abym nie odniósł wrażenia, że patrzę na całe ławice, na całe bajory smrodliwego błota i kału…

Dosyć mam, gdy spojrzę na ten łeb żyda pejsatego sierścią obrośniętego, na te ślepia głodnego tygrysa pełne mściwości aż do obłędu, na te wargi wydęte, które zda się za chwilę mają się otworzyć jak czeluście krateru i bryznąć lawą przekleństwa na wszystko to, co wierzy w krzyż i co Polskie!

Żydzi – to kłamcy!

Żydzi – to pijawki krwiosące!

Żaden naród mordów i krwi chciwszy i mściwszy nie żył dotąd pod słońcem, niż żydzi.

Żydzi pełni wszelakiej złości i skąpstwa, zawiści i nienawiści są plagą naszą, ciężarem naszem, nieszczęściem naszem… […][48]

Współczesnemu czytelnikowi język takich wypowiedzi może wydawać się sztuczny, jednak podobnie napisane manifesty nie są rzadkością w tego rodzaju prasie. Uderza składniowe podobieństwo tekstu do modlitwy (liczne powtórzenia, zwłaszcza w ostatnim zdaniu) oraz zmieniający się adresat wypowiedzi (raz Żydzi, raz współrodacy). Nagromadzenie porównań oraz wyrazów nacechowanych negatywnie (*plaga, ciężar, nieszczęście, nienawiść, złość, skąpstwo, zawiść, przekleństwa, mordy*) wzmacnia pełną pogardy i nienawiści wymowę artykułu[49].

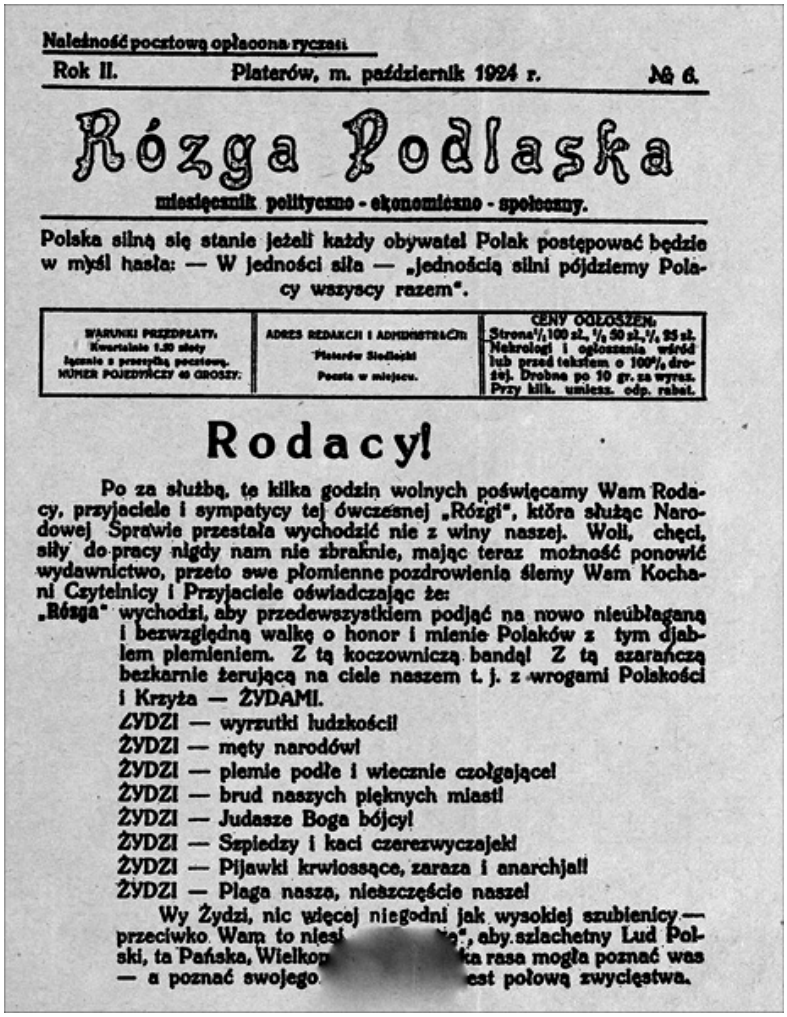

Należność pocztową opłacona ryczałt.

Rok II. Platerów, m. październik 1924 r. № 6.

Rózga Podlaska

miesięcznik polityczno - ekonomiczno - społeczny.

Polska silną się stanie jeżeli każdy obywatel Polak postępować będzie w myśl hasła: — W jedności siła — „jednością silni pójdziemy Polacy wszyscy razem".

WARUNKI PRZEDPŁATY: Kwartalnie 1.20 złoty. Łącznie z przesyłką pocztową. NUMER POJEDYŃCZY 40 GROSZY.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Platerów Siedlecki. Poczta w miejscu.

CENY OGŁOSZEŃ: Strona 1/1 100 zł., 1/2 50 zł., 1/4 25 zł. Nekrologi i ogłoszenia wśród lub przed tekstem o 100% drożej. Drobne po 10 gr. za wyraz. Przy kilk. umiesz. odp. rabat.

Rodacy!

Po za służbą, te kilka godzin wolnych poświęcamy Wam Rodacy, przyjaciele i sympatycy tej ówczesnej „Rózgi", która służąc Narodowej Sprawie przestała wychodzić nie z winy naszej. Woli, chęci, siły do pracy nigdy nam nie zbraknie, mając teraz możność ponowić wydawnictwo, przeto swe płomienne pozdrowienia ślemy Wam Kochani Czytelnicy i Przyjaciele oświadczając że:

„Rózga" wychodzi, aby przedewszystkiem podjąć na nowo nieubłaganą i bezwzględną walkę o honor i mienie Polaków z tym djablem plemieniem. Z tą koczowniczą bandą! Z tą szarańczą bezkarnie żerującą na ciele naszem t. j. z wrogami Polskości i Krzyża — ŻYDAMI.

ŻYDZI — wyrzutki ludzkości!
ŻYDZI — męty narodów!
ŻYDZI — plemie podłe i wiecznie czołgające!
ŻYDZI — brud naszych pięknych miast!
ŻYDZI — Judasze Boga bójcy!
ŻYDZI — Szpiedzy i kaci czerezwyczajki!
ŻYDZI — Pijawki krwiossące, zaraza i anarchja!!
ŻYDZI — Plaga nasza, nieszczęście nasze!

Wy Żydzi, nic więcej niegodni jak wysokiej szubienicy — przeciwko Wam to niesi[illegible]", aby szlachetny Lud Polski, ta Pańska, Wielko[illegible]ka rasa mogła poznać was — a poznać swojego [illegible]est połową zwycięstwa.

Strona tytułowa jednego z numerów wydawanego na Podlasiu w latach dwudziestych ubiegłego wieku miesięcznika „Rózga Podlaska”

Jan Józef Lipski pisał, że szowinizm i nacjonalizm to podstawowe pojęcia, na których oparł się zarówno ONR, jak i szeroko pojęta polska endecja. Polski szowinizm i nacjonalizm zakładały dążenie do dominacji nad innymi narodami pozostającymi w sferze ich interesów, co oczywiście musiało prowadzić do konfliktów z nimi. Przy czym podstawowym kryterium rozstrzygania tych konfliktów była w nacjonalizmie i szowinizmie polskim oczywiście racja i interes własnego narodu. Ale nawet ze skrajnie pojmowanych pojęć nacjonalizmu i szowinizmu nie wynikało bynajmniej, że w ten sposób zdefiniowany „naród

wrogi” miał być biologicznie eksterminowany lub wynarodawiany.

W tym sensie antysemityzm, jaki prezentowała polska skrajna prawica, choćby już tylko w świetle przytoczonych tu słów o rozprawieniu się z Żydami, był specyficznym typem nacjonalizmu i szowinizmu i trzeba go potraktować osobno. W nacjonalizmie i szowinizmie polskiej prawicy narodowej antysemityzm odgrywał szczególną rolę. Uznawał niemożność zarówno wynarodowienia Żydów, jak i ich podporządkowania.

Ta żydowska niepodatność na wynarodowienie czy podporządkowanie miała, zdaniem działaczy ONR-u, wynikać z samego charakteru kultury żydowskiej, która czyniła Żydów odrębnymi i niezdolnymi do asymilacji, zarówno w wymiarze psychicznym, jak i kulturowo-moralnym. Żydzi z tego powodu mieli być organicznie niezdolni do życia w strukturach jakiegokolwiek państwa, a jednocześnie marzyli o panowaniu nad światem, co miało czynić ich tak groźnymi dla funkcjonowania państwa polskiego. Wyraźnie tę tezę wypowiedział Jan Olechowski, prozaik i poeta związany z „Falangą”:

> *Kwestia żydowska jest przede wszystkim kwestią etyczną. Etyka żydowska Talmudu, psychika żydowska, jest nie tylko obca duchowi polskiemu, jest przede wszystkim bezwzględnie szkodliwa*[50].

W piśmiennictwie prawicowym żydowska kultura z racji przypisywanego jej materializmu stała się również depozytariuszką moralnego zła i wyrazicielką wszelkiej „zgnilizny moralnej”, podobnie jak żydowska sztuka, która nie prezentowała, zdaniem prawicowych estetów (?), żadnych wartości. Stąd był tylko krok do utożsamienia Żydów i ich kultury z satanizmem i złem eschatologicznym,

bo przecież satanizm od wieków był związany z kultem pierwiastka materialistycznego. I rzeczywiście polscy pisarze prawicowi taki krok wykonali, przypisując judaizmowi związki z religią Szatana.

> *W judaizmie mieści się duch satanizmu[…]*[51].

> *Szatański pierwiastek Zła – zorganizowana i fanatyczna międzynarodowa mafia żydowska*[52].

Jan Józef Lipski tak o tym pisał:

> *Przeniesienie sprawy na płaszczyznę metafizyczną, akcenty grozy temu towarzyszące, manichejski podział świata na to, co żydowskie, a więc szatańskie i w swej istocie złe, i to, co nieżydowskie, a zagrożone przez Szatana i służącego mu Żyda, miało wielorakie korzyści socjotechniczno-propagandowe: uproszczony obraz rzeczywistości, nasycający jej koloryt psychiczny pojęciami-nastrojami znanymi każdemu Polakowi-chrześcijaninowi od dziecka, zakorzenionymi w mitach, wyrażanymi w tysiącach dzieł sztuki sakralnej przedstawiającej diabła i sięgającymi w głąb podświadomości – był dobrym punktem wyjścia dla emocjonalnej mobilizacji wokół programu grupy politycznej, dawał uzasadnienie i usprawiedliwienie aktom nienawiści i przemocy*[53].

Po przygotowaniu w ten sposób gruntu metafizycznego, czyli utożsamieniu Żydów z siłami ciemności, przeszli ideolodzy ONR-u do uzasadnienia, dlaczego Żydzi powinni być wykluczeni z wszelkiej działalności państwowej i publicznej, pozbawieni dostępu do urzędów, do pracy w administracji publicznej, możliwości podejmowania aktywności politycznej i możliwości studiowania, wreszcie

pozbawieni wszystkich pozostałych praw obywatelskich, a nawet prawa do prowadzenia biznesu. Co więcej, wszelkie zło, jakie narodowcy dostrzegali w otaczającej ich rzeczywistości, miało pochodzić od tych „diabelskich pomiotów" Żydów. Zresztą utożsamienie Żydów z metafizycznym złem pozwoliło narodowcom wskazać na ich związki z organizacjami masońskimi równie „złymi", bo antykatolickim, oraz zrzucić na ich żydowsko-masoński sojusz odpowiedzialność za spiskowanie i potajemne kierowanie życiem partyjnym Polski i świata. Był to jeden z głównych motywów obecnych w piśmiennictwie narodowców z okresu międzywojennego. Obok Bolesława Piaseckiego to Wasiutyński i Reutt celowali w stawianiu podobnych tez.

Po ustaleniu związków Żydów ze złem i Szatanem, a następnie z masonerią, powstała też w piśmiennictwie prawicowym konieczność opisania relacji między Żydami a komunistami, bo że taka relacja istniała, było dla polskich narodowców zupełnie jasne i nie podlegało dyskusji. Oczywiście ideolodzy prawicy byli nieprzejednanymi wrogami komunizmu przynajmniej od 1920 r., ale jednocześnie twierdzili, że może on być, podobnie jak faszyzm, wykorzystany jako wzór politycznego funkcjonowania totalizmu katolickiego w Polsce. Co może jeszcze bardziej zadziwiać, ideolodzy ONR-u byli jednocześnie zwolennikami dyktatury Stalina. Uzasadniali to tym, że pokonał on „Żyda Trockiego" i w wewnętrznej walce o władzę w obozie sowieckim odsunął internacjonalistycznych Żydów w partii bolszewickiej, tym samym ogłaszając zerwanie Rosji z polityką globalnej rewolucji komunistyczno-żydowskiej na rzecz idei budowania komunizmu w jednym kraju. Choć oczywiście negatywny stosunek prawicy do komunizmu, choćby ze

względu na jego wrogość wobec religii katolickiej, pozostał niewzruszony.

Ogólnie można powiedzieć, że zdaniem publicystów „Falangi" marksizm wywodził się z „ducha żydowskiego" i z tradycji judaizmu, ale byli i tacy, którzy byli przekonani, że marksizm powstał specjalnie po to, aby rozłożyć i zniszczyć aryjskie państwa w Europie[54]. Przy czym konflikt między „żydowskim kapitalizmem demokratycznym" a równie żydowskim marksizmem oenerowcy tłumaczyli tym, że komunizm to nic innego jak „kapitalizm zamieniony w państwo"[55], a więc w zasadzie jedno i to samo, jednym i drugim rządzili zresztą ci sami Żydzi (!). Z tym że upaństwowiony kapitalizm, czyli marksizm, nawet bardziej niż sam „czysty" kapitalizm, uosabiał, według endeków, „ducha żydowskiego", ponieważ wyrażał tak charakterystyczne, ich zdaniem, dla kultury żydowskiej umiłowanie prawa i administracji jako odzwierciedlające umiłowanie Talmudu i rabinatu w judaizmie. W sumie:

> *Żydzi dziś czy kiedykolwiek stanowią jedność, kierują się jedną polityką, dążą do jednego celu [...]. Tym celem jest panowanie nad światem*[56[.

W konsekwencji tych ustaleń ideologowie polskiej prawicy sformułowali tezę, że Żydzi są największym wrogiem Polski, ponieważ są największym i najgroźniejszym „wewnętrznym" zaborcą Polaków. Jako pierwszy wyraził ten pogląd Dmowski, który w 1902 r., publikując w „Przeglądzie Wszechpolskim" *Myśli nowoczesnego Polaka,* zawarł w nich przekonanie, że Żydzi to „wrogowie wewnętrzni" Polaków, groźniejsi niż zaborcy polityczni, czyli Niemcy i Rosjanie.

Walkę z żydostwem musimy, mimo wszystko, porównać do walki z zaborcami[57].

Nic tu nie pomogą wymyślania od pałkowców czy bandytów. Tak samo nazywano bojowców, polskich terrorystów. […] Była okupacja rosyjska? Była. Jest okupacja semicka? Jest[58].

Stąd był już tylko malutki krok, jaki musieli poczynić ideolodzy polskich nacjonalistów, by w perspektywie „żydowskich zaborów" ogłosić konieczność walki z Żydami, czyli okupantami Polski, i wpisać ją w polską tradycję bohaterskich zrywów przeciwko zaborcom zewnętrznym. To pozwoliło im też uznać, że zniszczenie hitlerowców nie leży w interesie Polski, a nawet ostatecznie – choć nie były to poglądy powszechnie podzielane nawet w tak antysemickim środowisku politycznym – że w interesie Polski leży okupacja hitlerowska Rzeczypospolitej, pozwalająca rozwiązać „kwestię żydowską" raz na zawsze.

O międzynarodowe rozwiązanie kwestii żydowskiej walczy młody nacjonalizm polski od dawna[59].

Ze względu na naszą politykę wewnętrzną, a w szczególności ze względu na możliwości rozwiązania kwestii żydowskiej w skali międzynarodowej, pożądane jest istnienie w Europie jak największej ilości państw nacjonalistycznych[60].

Polska w najmniejszym stopniu nie jest zainteresowana w tym, żeby zniszczyć w Niemczech reżim hitlerowski, wprost przeciwnie, istnienie tego reżimu leży całkowicie w interesie Polski[61].

Prawdą jest, że kwestia żydowska jest kwestią międzynarodową, prawdą jest, że rozwiązać jej

w całości nie może jeden naród, ale nie jest prawdą to, że żadne państwo, żaden naród nie są w stanie rozwiązać jej samodzielnie. Rozwiązanie kwestii żydowskiej w tym czy innym państwie jest ciężkie i trudne do realizacji, ale nie niewykonalne[62].

W podobnym, antysemickim tonie wypowiadali się redaktorzy „Młodej Polski", organu Związku Młodej Polski, mającego ścisłe relacje z Ozonem oraz środowiskami ONR-u i narodówki. Podkreślali oni odmienność cywilizacyjną i kulturową Żydów, mającą w ocenie autorów destrukcyjny wpływ na państwo polskie.

Ponieważ uznawano zgubny wpływ kultury semickiej na kulturę polską, nacjonaliści postulowali przeprowadzenie lustracji artystów i pisarzy oraz odcięcie ich od życia kulturalnego Rzeczypospolitej.

Niezbędne będzie całkowite odcięcie żydów od wpływu kulturalnego na Polaków: wykluczenie żydów ze wszelkich związków społecznych polskich, ze szkół wszelkiego stopnia i rodzaju, z wszelkich stanowisk publicznych i nauczycielskich, z wojska, teatru, kina, radia, związków zawodowych i wydawniczych, z prasy polskiej, wyodrębnienie zewnętrzne prasy żydowskiej i książek autorów żydowskich[63].

Zagrożone nasiąkaniem żydowską dekadencją były – zdaniem endeków – nie tylko utwory artystów żydowskiego pochodzenia, ale także polskich twórców wychowujących się pod wpływem żydowskich książek, obrazów i filmów. Dlatego tak konieczna, według prawicowców, stała się separacja Żydów od aryjskich Polaków, np. poprzez utworzenie gett.

Nacjonaliści ze środowiska ONR-u formułowali także wyraźną pochwałę ustaw norymberskich, wprowadzających prawo nazistowskie i antysemickie w Niemczech. Według relacji Ignacego Chrzanowskiego na wieść o dojściu Hitlera do władzy Dmowski „skakał do góry z radości", nie ukrywając „podziwu i zazdrości pod adresem Niemiec hitlerowskich dla ich wojny z Żydami" i pragnąc naśladować w Polsce „integralną rewolucję w Niemczech"[64].

> *Ustawy norymberskie są ostatnim etapem polityki żydowskiej hitleryzmu, nadającym jej ramy prawne. Na ich mocy żydzi zostali zamknięci do getta i nie będą mogli już rozkładowo działać na naród niemiecki. Takie prawodawstwo jest wzorowane na prawodawstwie epoki, która miała najmądrzejszą politykę w stosunku do żydów, na średniowieczu i nauce Kościoła Katolickiego*[65].

Co więcej, oenerowcy z dumą przypisywali sobie pierwszeństwo w sformułowaniu zasad antysemickich, które, jak twierdzili, wyprzedziły nawet te obowiązujące w nazistowskich Niemczech.

> *Antysemityzm w Ruchu Młodych istniał dużo dawniej niż program antyżydowski w NSDAP*[66].

> *Żydzi z Polski będą usunięci, a majątki ich odebrane drogą ustaw. […] Etapem pierwszym będzie usunięcie żydostwa od życia polskiego. […] Żydzi pozbawieni będą praw politycznych, prawa udziału we wszystkich polskich związkach społecznych, prawa służby w armii polskiej. Będą pozbawieni prawa udziału w przedsiębiorstwach polskich, prawa zatrudniania Polaków i prawa pracy u Polaków. Szkoły polskie będą*

wolne od żydów, polskie życie kulturalne będzie dla nich zamknięte[67].

Żydzi […], jako czynnik zdecydowanie dla narodu wrogi i rozkładowy, zupełnie praw politycznych mieć nie powinni. Żaden żyd nie może być obywatelem państwa polskiego[68].

Żydzi muszą być wyodrębnieni przez poddanie ich prawom specjalnym[69].

Polscy nacjonaliści nie życzyli sobie także żadnej formy asymilacji z ludnością żydowską (do której Żydzi i tak, według nich, nie byli zdolni), bo prowadziło to – ich zdaniem – do zmieszania ras. Uwidaczniał się tu po raz kolejny rasizm tego środowiska politycznego:

Asymilację należy zdecydowanie zwalczać[70].

Małżeństwo z Polakiem nie czyni Żydówki Polką, a małżeństwa takie powinny być surowo zakazane pod karą pozbawienia wszelkich praw obywatelskich:

Widzi się na ulicach pary: polską Kasię, Małgosię czy Jasię o typowo nordyckiej twarzy z tym czy innym „bubkiem", którego nie można dostrzec poza semickim, krogulczym nochalem […]. Gdzie twoja godność Polki? Gdzie to poczucie równości w walce o unarodowienie naszego życia, wszak masz być matką polskich dzieci![71]

Podobnie chrzest i przyjęcie chrześcijaństwa nie chroniły Żydów w katolickiej Polsce przed prześladowaniami i pozbawianiem praw. Chrzest nie zmieniał bowiem, zdaniem narodowców, Żyda w Polaka, w tym sensie żydowski chrześcijanin był dalej Żydem w znaczeniu

narodowym, rasowym i jako taki musiał być prześladowany. Nacjonaliści domagali się także usunięcia Żydów z uczelni wyższych oraz szkół powszechnych, a także chcieli przeprowadzenia lustracji rasowej wśród profesorów i nauczycieli. Zaprowadzali swoje prawa, gdzie tylko mieli do tego okazję. Choćby w Stowarzyszeniu Architektów Rzeczypospolitej Polskiej, w którym przejęli władzę i wprowadzili do statutu antysemicką zasadę *numerus nullus*[72]. Podobnie stało się w Związku Muzyków Chrześcijańskich. Takie działania pokazywały, na co byłoby ich stać, gdyby przejęli realną władzę w państwie polskim.

Narodowcy żądali, aby pozbawić Żydów majątków bez odszkodowania. Ten postulat sankcjonował właściwie program „powszechnej grabieży", analogiczny do forsowanego w III Rzeszy przez nazistów. Wysuwanie go w przededniu II wojny światowej przeraża zwłaszcza z perspektywy czasu – wiedzy o czystce etnicznej i grabieży, jaka nastąpiła w 1941 r. na Białostocczyźnie. Oczywiście, narodowcy nie uznawali takich działań za grabież, raczej za akt wymierzenia dziejowej sprawiedliwości, trzeba bowiem pamiętać, że ich zdaniem to Żydzi przez stulecia grabili Polskę. Postulat został wygłoszony na spotkaniu marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego z członkami ONR-u w 1937 r., gdy rządzący Polską obóz sanacji szukał z narodowcami porozumienia[73]. Elementem antysemickiej strategii był także bojkot handlowy kupców żydowskich; propagowały go zwłaszcza środowiska endeckie, skrajnym falangistom jednak szybko przestał on wystarczać. Dmowski dodawał:

> *Ludność żydowska jest niezaprzeczenie pasożytem na ciele społecznym tego kraju, który zamieszkuje. Ale w tym właśnie jej charakterze szukać należy objaśnienia rozpatrywanego zjawiska. Ciało zdrowe,*

silne, którego wszelkie czynności odbywają się normalnie według wskazanego przez prawa przyrody porządku, jest najmniej odpowiednim podścieliskiem dla rozwoju pasożytów[74].

W 1936 r. Stronnictwo Narodowe i Obóz Narodowo-Radykalny przyjęły strategię inspirowania antyżydowskich zamieszek, tym samym godząc się na wykorzystywanie terroru jako narzędzia walki politycznej w kraju. Za cel ataków wzięto Żydów, także tych, którzy przyjęli chrześcijaństwo lub pochodzili z rodzin mieszanych[75].

Stosujemy [...] i będziemy stosować siłę, przymus i przemoc, a odpowiedzialność za to bierzemy ufnie i odważnie na swoje sumienie. To jest zasadniczy czynnik naszego totalizmu[76].

Nie mogą nie zastanawiać dwie sprawy. Pierwsza to czas, kiedy te słowa ujrzały światło dzienne, czyli rok 1939. Druga – to ogromna zbieżność omówionych wyżej postulatów z tym, czego żądali hitlerowcy w nazistowskich Niemczech. Istota programu narodowców nie sprowadzała się jednak do żądania dokonania owych zmian *po* objęciu władzy przez endeków i ONR, *po* „przełomie", jak to określano w ich piśmiennictwie. „Po przełomie" zadanie rozprawienia się z Żydami miało spocząć na barkach państwowego aparatu przemocy, ale „przed przełomem" odpowiedzialność za realizację postulatów spoczęła na bojówkarzach ONR-u. W rozumieniu dosłownym. To oni mieli bowiem, stosując terror i brutalną siłę, zepchnąć Żydów do gett, a potem zmusić do emigracji. Czy zakładano ofiary śmiertelne tego rodzaju działań? Oczywiście.

W kręgach ONR-u pojawił się też kilka razy wprost wyrażony program zgładzenia części Żydów, a części

wysterylizowania i następnie wygnania z Katolickiego Państwa Narodu Polskiego. Ludobójstwo Żydów miało zostać przeprowadzone na wzór ludobójstwa Ormian dokonanego przez Turków, bo tak sobie wyobrażali jego przeprowadzenie publicyści ONR-u.

> *Wyjechać muszą, ale czy wyjadą stopniowo […], zakładając nową „wylęgarnię", czy też wyjadą galopem i pokrzywdzeni bardzo boleśnie – np. na wpół wysterylizowani – to tylko od nas zależy. Ormianie w Turcji odgrywają rolę żydów. […] Ataturk powiedział sobie, że lepiej jest jedno wielkie barbarzyństwo z pozytywnym wynikiem niż szereg raz po raz tłumionych zamieszek. Toteż gdy po zwycięstwie nad Grekami we wschodniej Turcji rozpoczęła się jeszcze jedna rzeź Ormian, nie tylko nie przeszkadzał, lecz wręcz oświadczył, że Turcja jest dla Turków. […] Gdyby zaproponował Ormianom wyniesienie się w warunkach pokojowych […], byliby odpowiedzieli, że nie chcą wyjeżdżać i nie mają dokąd […]. Turecki sposób jest najlepszy!*[77]

> *Nalewki czekają dezynfekcji […], całe domy, bloki, ulice trzeba burzyć […]. I wrzątku nie żałować, bo to wszystko brudne, zaplute, zażydzone i parszywe. […] A jeśli te wszystkie czarne republikany, karaluchy, demokraty chałatowe i pluskwy zechcą rozleźć się po całej stolicy – dam jeszcze jedną radę […] otoczyć Nalewki wysokim murem*[78].

I najbardziej dosadna, nieowijająca w bawełnę teza programu fizycznej eksterminacji Żydów[79]:

> *W stosunku do wrogów wewnętrznych – propagandy obcej i żydowskiej – mechaniczny środek zniszczenia*

i separacji jest środkiem jedynie celowym i słusznym[80].

[…] To jest getto, tu mieszkają i […] są czczeni cadykowie, tu i w każdym miasteczku wzrasta pokolenie jadowitych, zaciekłych, fanatycznie gojów nienawidzących żydów. A my to wszystko mamy w garści – w krzepkiej garści warszawskiej. Tylko ścisnąć, a serce bić przestanie[81].

Obecnie Niemcy przystąpili do ostatecznej likwidacji żydostwa u siebie […]. Kiedy wreszcie my przystąpimy do męskiego poważnego rozwiązania tej sprawy?[82]

Słowa te padły w roku 1938, kilkanaście miesięcy przed wybuchem II wojny światowej i trzy lata przed antysemickimi wystąpieniami na Białostocczyźnie.

Przypisy

[1] J.J. Lipski, *Totalizm i demokracja w oczach ONR „Falangi”*, Warszawa 1987.
[2] K.H.S., *Sprawy ustroju politycznego*, „Ruch Młodych” 1936, nr 2 (5), s. 8, [w:] J.J. Lipski, *Totalizm…*, dz. cyt.
[3] *Totalizm nie jest sprzeczny z katolicyzmem*, „Ruch Młodych” 1937, nr 1 (16), [w:] J. J. Lipski, *Totalizm…*, dz. cyt.
[4] Tamże, s. 9.
[5] J.J. Terej, *Rzeczywistość i polityka. Ze studiów nad dziejami najnowszymi Narodowej Demokracji*, Warszawa 1971.
[6] J.J. Lipski, *Totalizm…*, dz. cyt.
[7] B. Grott, *Od „totalizmu katolickiego” do „monoidei”. Czy w II Rzeczpospolitej zanosiło się na ustrój totalny?*,

[w:] *Różne oblicza nacjonalizmów. Polityka – religia – etos*, red. B. Grott, Kraków 2010.
[8] W. Wasiutyński, *Przy pomocy agentur hitlerowskich w Polsce wrogowie Przełomu usiłują wbić klin między narodowców a Kościół*, „Falanga” 1938, nr 16.
[9] W. Kwasieborski, *O ideę w wychowaniu polskim*, „Pro Christo” 1937, nr 5.
[10] Z. Obrzud, *Bolączki i sprzeczności naszej szkoły i naszego wychowania*, „Kuźnica” 1937, nr 12.
[11] Por. J.J. Lipski, *Totalizm…*, dz. cyt.
[12] M. Rzętkowska, *Hierarchia przeciw Żydom i lożom*, „Ruch Młodych” 1936, nr 1 (4), s. 33, [w:] J.J. Lipski, *Totalizm…*, dz. cyt.
[13] K. Hałaburda, *Za czy przeciw demokracji*, „Falanga” 1938, nr 9.
[14] A. Łaszowski, *To nie będzie wojna żydowska!*, „Falanga” 1939, nr 10.
[15] B. Piasecki, *Przełom narodowy*, „Ruch Młodych” 1937, nr 5 (20).
[16] W. Wasiutyński, *Stosunek do teraźniejszości*, „Pro Christo” 1937, nr 1/2.
[17] J.J. Lipski, *Totalizm…*, dz. cyt.
[18] W. Kwasieborski, *Wytyczne ideowe i organizacja wychowania narodowego*, „Ruch Młodych” 1936, nr 4(7).
[19] J. Krawiec, *Małopolska – bastion Ruchów Ludowych*, „Falanga” 1938, nr 39.
[20] J.J. Lipski, *Totalizm…*, dz. cyt.
[21] K. Hałaburda, *Kapitalizm niszczy Polskę – Przełom Narodowy zniszczy kapitalizm. Szybko giną narody porażone kapitalizmem*, „Falanga” 1938, nr 20.
[22] M. Rzętkowska, *Czy chcecie walki z Żydami?*, „Falanga” 1937, nr 14.

[23] I.P., *O światowym rozwiązaniu kwestii żydowskiej*, „Ruch Młodych” 1936, nr 2 (5).
[24] J. Szeruda, *Kto walczy szczerze z kapitalizmem, musi walczyć także z żydami*, „Falanga” 1938, nr 14.
[25] K. Hałaburda, *To już nie jest sprawa robotnicza, ale sprawa bytu lub niebytu Polski*, „Falanga” 1938, nr 38.
[26] J.J. Lipski, *Antysemityzm ONR „Falangi”*, Warszawa 1985.
[27] R. Skrzycki [właśc. R. Dmowski], *Szowinizm,* „Przegląd Wszechpolski” 1903, nr 11.
[28] R. Dmowski, *Myśli nowoczesnego Polaka,* Warszawa 1933.
[29] R. Dmowski, *Podstawy polityki polskiej, „*Przegląd Wszechpolski” 1905, nr 7.
[30] Jest on szerzej analizowany przez Monikę Spławską-Murmyło w artykule poświęconym językowi nienawiści obecnemu w prasie endeckiej z rejonu Podlasia: *„Na naszem wysoce zażydzonem Podlasiu”. Mowa nienawiści skierowana przeciwko Żydom w podlaskiej prasie narodowej*, praca niepublikowana.
[31] J.J. Lipski, *Antysemityzm…*, dz. cyt.
[32] A. Łaszowski, *Apel do gruczołów łzawiących,* „Falanga” 1938, nr 25.
[33] M. Rzętkowska, *Konsekwentne rozwiązanie sprawy żydowskiej*, „Ruch Młodych” 1936, nr 6/9.
[34] W.J. Grabski*, Ofiara życia osobistego*, „Ruch Młodych” 1937, nr 1.
[35] *Źródła antysemityzmu*, „Kuźnica” 1937, nr 17.
[36] A. Łaszkowski, *Kościół wojujący*, „Falanga” 1938, nr 9.
[37] O. Grott, *Partie faszystowskie i narodowosocjalistyczne w Polsce*, Kraków 2005.
[38] Por. *Moja zasada*, „Przebojem”, 11.11.1933, nr 1, s. 1, [w:] J.J. Lipski, *Antysemityzm…*, dz. cyt.

[39] *Dla „Zwycięstwa” nie ma miejsca w kioskach „Ruchu”*, „Zwycięstwo” 1934, nr 2, s. 7, [w:] J.J. Lipski, *Antysemityzm…*, dz. cyt.

[40] *Z Bogiem czy bez Boga*, „Zwycięstwo” 1934, nr 4, s. 4, [w:] O. Grott, *Partie…*, dz. cyt.

[41] J. Kowal-Lipiński, *Radykalny Ruch Uzdrowienia a religia*, „Front Polski Zbudzonej” 1934, nr 10, s. 1, [w:] O. Grott, *Partie…*, dz. cyt.

[42] J.J. Lipski, *Totalizm…*, dz. cyt.

[43] S. Brochwicz (S. Kozłowski), *Narodowy socjalizm walczy o brunatny Wiedeń*, „Falanga” 1939, nr 4, [w:] J.J. Lipski, *Totalizm…*, dz. cyt.

[44] A. Łaszowski, *To nie będzie wojna żydowska!,* „Falanga” 1939, nr 10.

[45] J. Olechowski, *Wygrać musimy pokój,* „Falanga” 1939, nr 16.

[46] O. Szpakowski, *Polska przeciw marksizmowi*, Warszawa 1936.

[47] „Pro Christo” – miesięcznik wydawany w Warszawie, ukazywał się w latach 1924–1939. Jego nakład wynosił 1000 egzemplarzy. Początkowo (do 1933 r.) był wydawany przez młodzieżową organizację modlitewną – Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

[48] „Rózga Podlaska” 1923, nr 3.

[49] M. Spławska-Murmyło, *„Na naszem…*, dz. cyt.

[50] J. Olechowski, *„Bunt Młodych” o kwestii żydowskiej*, „Ruch Młodych” 1937, nr 3 (18).

[51] L. Cz., *Uniwersalizm – Nacjonalizm – Kosmopolityzm*, „Ruch Młodych” 1937, nr 11 (26).

[52] M. Porębski, *Teraz i zawsze,* „Falanga” 1938, nr 42.

[53] J.J. Lipski, *Antysemityzm…*, dz. cyt.

[54] K. Hałaburda, *Marksizm odepchnął bezrobotnych*, „Falanga” 1938 , nr 16.
[55] W. Wasiutyński, *Epoka kapitalizmu,* „Ruch Młodych” 1935, nr 1.
[56] J.R., *Gnębiąc komunizm – gnębimy żydostwo*, „Falanga” 1938, nr 52.
[57] *Sprawy ustroju politycznego*, „Ruch Młodych” 1936, nr 3 (6), s. 5, [w:] J.J. Lipski, *Antysemityzm…*, dz. cyt.
[58] A. Łaszowski, *Papierowa rewolucja*, „Ruch Młodych” 1937, nr 11 (26).
[59] S. Kopeć, *Niech ziemia polska parzy im stopy!*, „Falanga” 1936, nr 16.
[60] T. Lipkowski, *Wojnę prowadzimy dla siebie, nie dla masońskich demokracji*, „Falanga” 1939, nr 14.
[61] Tamże.
[62] T.S*., I znowu kwestia żydowska*, „Ruch Młodych” 1936, nr 4 (7).
[63] B. Płachecki, *Podstawy programu kulturalnego*, „Ruch Młodych” 1936, nr 6.
[64] Opinię tę przekazał Władysław Sikorski, powołując się na Ignacego Chrzanowskiego, w liście do Ignacego Jana Paderewskiego z 2 kwietnia 1933 r., zob. *Archiwum polityczne I. Paderewskiego,* Warszawa 1973.
[65] *Tragedia i konieczność*, „Ruch Młodych” 1935, nr 1, s. 2, [w:] J.J. Lipski, *Antysemityzm…*, dz. cyt.
[66] S. Kopeć, *Ustrój polityczny państwa narodowego*, „Ruch Młodych” 1935, nr 3.
[67] *Zasady programu narodowo-radykalnego*, [w:] B. Piasecki, *Przełom narodowy*, Warszawa 1936.
[68] S. Kopeć, *Ustrój…* dz. cyt.
[69] J. Millert, *Myśli o prawie narodowym*, „Ruch Młodych” 1936, nr 7 (8), 10 (11).

[70] A. Targ, *Dwie mniejszości narodowe*, „Kuźnica” 1935, nr 2.
[71] *Kobieto polska – stop!*, „Czyn” 1938, nr 2, [w:] J.J. Lipski, *Antysemityzm…*, dz. cyt.
[72] J. Poliński, *O nowym statucie SARP,* „Falanga” 1939, nr 7; J. Poliński, *Walka o nową architekturę,* „Komunikat SARP” 1939, nr 7.
[73] Z. Stermiński, *Komersz „Arkonii”*, „Ruch Młodych” 1937 nr 6 (21).
[74] R. Wapiński, *Roman Dmowski,* Lublin 1988.
[75] *Kogo uważamy za Żyda,* „Kurier Poznański” 1934, nr 206; S. Pieńkowski, *Szlachta jerozolimska,* „Myśl Narodowa” 1935, nr 15.
[76] O.B. Kopczyński, *Totalizm narodowo-radykalny*, [w:] J.J. Lipski, *Antysemityzm…*, dz. cyt.
[77] K. Hałaburda, *Dopiero dyktator nacjonalistycznej Turcji rozwiązał zagadnienie mniejszości*, „Falanga” 1938, nr 22.
[78] W. Jocz, „Falanga” 1938, nr 28 [artykuł bez tytułu], [w:] J.J. Lipski, *Antysemityzm…*, dz. cyt.
[79] W rozpowszechnianiu idei terroru stosowanego wobec Żydów w okresie „przed przełomem”, czyli spodziewanym objęciem władzy przez falangistów, stosowali oni „budujące przykłady” własnych akcji terrorystycznych organizowanych przeciwko Żydom, które miały wskazać sojusznikom cele i metody działania oraz sławić przeprowadzających te akcje „bohaterów”. Warto też zauważyć, za Lipskim, że nie szczędzono przy okazji słów krytyki pod adresem Stronnictwa Narodowego Dmowskiego, które – co prawda delikatnie i ostrożnie ważąc słowa – jednak od takich krwawych pogromów się odcinało. Falanga donosiła więc, z nietajoną satysfakcją, o bombach rzucanych do sklepów żydowskich,

o poranieniu nożami w Łodzi „trzech obywateli wyznania mojżeszowego”, o bombach w Wilnie, z których jedna rzucona została do mieszkania rabina Rubinsteina, o zdemolowaniu w Żytni pod Radomskiem kilkunastu straganów, „przy czym wielu Żydów mocno poturbowano” itd., itp. Zob. J.J. Lipski, *Totalizm…*, dz. cyt.

[80] O.B. Kopczyński, *Narodowa Rewolucja Kulturalna*, „Ruch Młodych” 1936, nr 11 (14).

[81] *Nigdy nie zwalczy wroga, kto się go boi*, „Falanga” 1938, nr 23.

[82] *Naszym zdaniem*, „Kuźnica” 1938, nr 22.

Jedwabne

Interpretacja wydarzeń powstała na podstawie relacji polskich i żydowskich świadków, które są dostępne w materiałach sądowych i śledczych Instytutu Pamięci Narodowej, głównie w materiałach ze śledztwa S1/00/Zn w sprawie spalenia osób narodowości żydowskiej 10 lipca 1941 r. w Jedwabnem, prowadzonego przez prokuratora Radosława Ignatiewa, pracach Jana Jerzego Milewskiego: *Polacy – Żydzi w Jedwabnem i okolicy do 22 czerwca 1941 roku* oraz *Stosunki polsko-żydowskie w Ostrołęckiem i Łomżyńskiem w latach trzydziestych i w czasie II wojny światowej*, innych publikacjach oraz materiałach z epoki.

NIM JUTRO PRZYJDZIE WOJNA

Pierwsze wzmianki na temat miasteczka Jedwabne pojawiły się w źródłach historycznych stosunkowo wcześnie, bo już w 1455 r. – zostało wówczas odnotowane jako siedziba parafii. Informacja o nim pojawiła się wraz z opisem sporu pomiędzy miejscowym plebanem Marcinem a synem Wszebora Karwowskiego. W latach 1660–1664 z pobliskiego Tykocina przybyli do Jedwabnego pierwsi Żydzi, którzy w następnym wieku stanowili już większość ludności miasteczka. W XVI w. jedwabieńska parafia obejmowała około czterdziestu wsi. W 1736 r. Jedwabne otrzymało prawa miejskie. W tym samym roku wybudowano w mieście drewniany kościół, a trzydzieści cztery lata później – okazałą bożnicę[1].

W 1776 r. Jedwabne kupił niejaki Stanisław Rembliński i to również był fakt istotny dla późniejszych losów miasteczka. Po pierwsze, dlatego, że od tej pory przez wiele lat jego historia była związana z rodem Remblińskich. Po drugie, fakt ten zdecydował, że bez przeszkód, nieprzerwanie mogli w Jedwabnem osiedlać się Żydzi, bo miasto pozostało w rękach prywatnych. W sąsiednich miasteczkach królewskich, tj. Kolnie, Radziłowie, Wąsoszu czy Wiźnie, zgodnie z wolą ludności obowiązywał zakaz osiedlania się Żydów. Kierowali się więc oni do miast prywatnych, takich jak Jedwabne i Stawiska. W konsekwencji około 1800 r. odsetek ludności żydowskiej w pierwszej grupie miast wynosił od 3 do 13 procent, natomiast w Jedwabnem – 71, a Stawiskach 76 procent[2].

W 1855 r. w Jedwabnem było już ponad 2400 mieszkańców, z tego prawie dwa tysiące (82 proc.) stanowili mieszkańcy narodowości żydowskiej. Żydowsko-polskie sąsiedztwo nigdy nie należało w tym mieście ani do łatwych, ani tym bardziej do harmonijnych. Polacy nie rozumieli swoich żydowskich sąsiadów, ich wiedza na temat żydowskiej kultury była szczątkowa. Żydzi reprezentowali styl życia miejskiego, który polskim chłopom z pobliskich wsi i drobnej mazowieckiej szlachcie zaściankowej wydawał się zupełnie obcy. Oni, panowie na swojej ziemi, przyzwyczajeni z dziada pradziada do pracy na roli i do wojaczki, nie byli w stanie zaakceptować stylu życia Żydów, opartego na handlu, pracy rzemieślniczej i pacyfizmie wypływającym z judaizmu.

Najbardziej różnicowała obie wspólnoty oczywiście religia. Polacy traktowali Żydów podejrzliwie, ponieważ ci byli nie tylko innego wyznania, ale w ich przekonaniu reprezentowali tych, którzy „zabili Chrystusa”. W ludowym polskim światopoglądzie wprost nie do pomyślenia było też,

aby być Polakiem i nie być jednocześnie katolikiem. Katolicyzm wyznaczał dla miejscowej polskiej szlachty zaściankowej istotną granicę polskości. Miało mieć to swoje tragiczne konsekwencje później, w XX w., gdy pytanie o „religię i narodowość” stało się decydującym o życiu lub śmierci.

Sami Żydzi też zresztą nie poprawiali swoim sposobem życia tych międzykulturowych relacji. Stanowili odrębną, izolowaną i izolującą się grupę, wewnętrznie zorganizowaną według zamożności i wykształcenia. Jednak ludność chrześcijańska, polska, nie znała tego wewnętrznego zróżnicowania i traktowała wszystkich z uniwersalnym dystansem, a czasem wrogością. W 1901 r. w miejscowej jedwabieńskiej szkole wśród 78 uczniów było tylko dwoje dzieci żydowskich.

Najlepiej jednak chyba sytuację rozdzielenia obu wspólnot w Jedwabnem odmalowuje fakt, że Polacy, którzy zeznawali po wojnie w procesach wytoczonych osobom oskarżonym o zbrodnie na swoich żydowskich sąsiadach, na ogół nie byli w stanie poprawnie podać ani jednego żydowskiego nazwiska i używali w zamian przezwisk, takich jak: Srułka, Kuropatwa, Rybka, Marchewka, Pietruszka, Flaszka itp. Polacy z Żydami żyli od pokoleń, nie na tyle blisko jednak, by wiedzieć, jak się nazywali.

W latach dwudziestych XX w. dość gwałtownie wzrosła liczba ludności Jedwabnego. Podjęto więc starania o odzyskanie praw miejskich, które miejscowość utraciła po I wojnie światowej. Liczba mieszkańców zwiększyła się w tym okresie do około 2500. W stosunku do poprzednich wieków odsetek ludności polskiej znacznie wzrósł i wynosił 52 procent. Było to związane z tym, że ludność żydowska w wyniku kryzysu ekonomicznego, jaki pojawił się w Polsce po wojnie 1920 r., oraz w efekcie wzbierającej fali

antysemickich wystąpień emigrowała, najczęściej do Stanów Zjednoczonych, ale też Palestyny, Ekwadoru i Boliwii, a nawet odległych Indii. Według danych ze spisu powszechnego z 1921 r. w Jedwabnem ostało się wtedy jedynie 757 osób narodowości żydowskiej. Ci, którzy pozostali, musieli pogodzić się z wszechobecną dyskryminacją obejmującą właściwie wszystkie wymiary życia, zarówno te polityczne, jak i społeczne czy ekonomiczne.

Na przykład w radach gmin wiejskich radni żydowscy byli rzadkością, zdarzali się nieco częściej jedynie tam, gdzie znajdowały się osady miejskie. W latach trzydziestych był jeden radny narodowości żydowskiej w Wąsoszu, Wolf Skroblacki, nie było natomiast Żydów w radach okolicznych miasteczek, choćby w Radziłowie, mimo że procent ludności żydowskiej był tam o wiele większy niż w Wąsoszu[3]. Oto skład osobowy rady gminnej Jedwabnego z 1931 r.: Józef Godlewski, Józef Grabowski, Jan Grądzki, Ludwik Konopka, Antoni Kosakowski, Apolinary Kotlewski, Jan Kotyński, Józef Lipiński, Teofil Pieńkowski, Franciszek Rogowski, Stanisław Śleszyński, Baltazar Święszkowski (wójt od 1928 r.), Jan Wyszykowski, Augustyn Zachalski (sekretarz od 1923 r.).

Jeśli przyjrzymy się strukturze politycznej gminy Jedwabne i gmin sąsiednich, to z łatwością zauważymy wybijające się tendencje polityczne o charakterze narodowym i nacjonalistycznym. W wyborach do sejmu w 1922 r. w gminie Jedwabne na listę Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej padło aż 82 proc. głosów, na listy reprezentujące wspólnotę żydowską, tzw. Blok Mniejszości Narodowych, głosowało 12,5 proc. wyborców, a na ludowców – zaledwie 5 proc. W 1930 r. Lista Narodowa w mieście uzyskała poparcie 25 proc. wyborców, prawie 70

proc. głosowało zaś na Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, na Centrolew i socjalistów żydowskich głosowali nieliczni. Bardzo dobry wynik BBWR zawdzięczał poparciu żydowskich mieszkańców Jedwabnego. Wyniki te spotkały się z natychmiastową reakcją miejscowego kleru, który w swoim zaangażowaniu politycznym niemal od zawsze był skrajnie prawicowy. Ówczesny proboszcz ks. Marian Lis skomentował je tak: „Dużo złego zrobili Żydzi, bo nie mieli żadnej listy i oddawali [głosy] za jedynką, niosąc kartki zupełnie otwarcie. Wielu zmuszonych było do ich naśladowania, a wielu czyniło to pod presją”[4].

W okolicznych wsiach już zdecydowanie dominowała Narodowa Demokracja: w gminie Jedwabne zdobyła ona 73 proc. głosów, w Radziłowie – 56 proc., tu też prawdopodobnie wielu Żydów oddało głosy na BBWR, który poparło 37 proc. wyborców, w Wąsoszu – 71 proc. Odsetek głosów oddanych na Centrolew wahał się w granicach od zaledwie 3 do 6 procent[5]. W latach trzydziestych w regionie Jedwabnego wytworzył się w zasadzie dwubiegunowy układ polityczny: z jednej strony obóz sanacyjny, do którego zbliżały się dawne środowiska demokratyczne, z drugiej – obóz narodowy. Ruch ludowy osłabł, inne ugrupowania się nie liczyły[6]. Sytuacja taka w oczywisty sposób sprzyjała też polaryzacji postaw ludności w okresie między wyborami i wzrostowi napięć między społecznością polską i żydowską.

W działalność ruchu komunistycznego przed wojną były zaangażowane tylko jednostki, np. w Jedwabnem prym wśród komunistów wiedli Polacy, bracia K. i W. Od 1926 r. istniał Komitet Dzielnicowy Komunistycznej Partii Polski w Jedwabnem, któremu podlegały komórki KPP w pobliskich: Radziłowie, Wąsoszu, Stawiskach,

Szczuczynie i Wiźnie[7]. Jednak w wyborach na listy lewicy rewolucyjnej padało bardzo mało głosów[8].

Przeważające wpływy endecji i Obozu Narodowo-Radykalnego w całym rejonie utrzymywały się do końca okresu międzywojennego. W ostatnich w dwudziestoleciu wyborach do sejmu, które odbyły się w 1938 r., ludność zachowała się według wskazań Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego i w większości nie wzięła w nich udziału. Poza miastem głosowało tylko 10 proc. uprawnionych. „Z księży dekanatu żaden udziału w wyborach nie brał”[9]. Stronnictwo Narodowe, Obóz Wielkiej Polski, Obóz Narodowo-Radykalny aktywnie wspierali jedwabieńscy księża, przede wszystkim najważniejsza osoba w mieście ks. dziekan Marian Szumowski, będący także członkiem, a nawet lokalnym przywódcą Narodowej Demokracji w Jedwabnem.

Z ważniejszych dla społeczności katolickiej wydarzeń w Jedwabnem należy odnotować konsekrację nowego murowanego kościoła 21 sierpnia 1935 r.; we wrześniu 1937 r. oddano też do użytku Dom Katolicki z salą nazwaną imieniem biskupa Stanisława Łukomskiego, a Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej otrzymało sztandar. Na rynku odbyła się wówczas defilada młodzieży katolickiej, którą odbierał bp Łukomski. Bardzo charakterystyczne były słowa, jakie tego dnia wypowiedział prezes Akcji Katolickiej w Jedwabnem, Michał Jałoszewski, miejscowy aptekarz – zachowały się zapisane w kronice parafii jedwabieńskiej pod datą 26 września 1937 r.:

> *Nazwa tego domu ma przemawiać do dorastających pokoleń, mają one być katolickimi z myśli i czynu, jeśli chcą być dobrymi Polakami zdolnymi do poświęceń.*

Bo dobry katolik to dobry Polak. Tak było i tak powinno być dziś i zawsze[10].

Konflikt polsko-żydowski, czy raczej endecko-żydowski, trwał jednak w Jedwabnem w najlepsze. Jego tłem były nacjonalistyczne i antysemickie dążenia partii narodowych, które w regionie zdobyły wyjątkowo silną pozycję. Nie bez znaczenia był również wpływ ideologii faszystowskiej panującej na terenie pobliskich Prus oraz to, że w sąsiedniej wsi Drozdowo częstym gościem bywał Roman Dmowski, niekwestionowany lider Narodowej Demokracji, który tam także zakończył swoje życie – co sprzyjało rozwijaniu się kultu tej charyzmatycznej postaci politycznej wśród miejscowych polskich elit.

Propagandę antysemicką i endecką na tym terenie uprawiała również regionalna prasa katolicka, bezustannie pisząca o „zagrożeniu żydowskim". W wydawanym w drukarni diecezjalnej tygodniku „Życie i Praca", którego redaktorem był ks. Antoni Roszkowski (po wojnie został także proboszczem w Jedwabnem), oraz w będącej kontynuacją tego periodyku „Sprawie Katolickiej" zamieszczano liczne artykuły o antysemickiej treści, alarmujące o „zażydzeniu" różnych dziedzin życia w Polsce, krytykujące wszelkie próby współpracy polsko-żydowskiej, przeciwdziałające asymilacji.

Już w 1939 r. redakcja „Sprawy Katolickiej" z oburzeniem poinformowała o zorganizowaniu przez łomżyńską Straż Ogniową opłatka bożonarodzeniowego z udziałem osób narodowości żydowskiej. Szczególnie zdegustowana była faktem dzielenia się opłatkiem przez prezydenta miasta z Żydami[11].

Dobrze oddaje też spektrum antysemickich poglądów prezentowanych na łamach tego tygodnika wiersz pt. *Perz*, opublikowany w lutym 1939 r., czyli niedługo przed wybuchem II wojny światowej:

Polacy, czy wiecie, kto wśród nas
Też tak się panoszy, jak we zbożu chwast?
I nas wyzyskuje i opija też
Jak w polu rosnące zboże perz?
Co zawsze mu mało i nigdy nie syt?
To jest każdy handlarz i sklepikarz Żyd[12].

Niezwiązany ze środowiskami nacjonalistycznymi „Przegląd Łomżyński" w 1933 r. zarzucał drukarni diecezjalnej w Łomży, że wydawała organ Obozu Wielkiej Polski pt. „Młodzi", głoszący hasła bicia i niszczenia Żydów, które miały być sprzeczne z zasadą miłości bliźniego. Drukarnia diecezjalna – zdaniem redakcji „Przeglądu Łomżyńskiego" – przyczyniała się do szerzenia nienawiści wobec Żydów, a nieuświadomieni czytelnicy pisma „Młodzi", widząc na nim znak tejże drukarni, uważali się za rozgrzeszonych z bicia Żydów. Doprowadziło to do tragicznych wydarzeń w Radziłowie – konkludowała redakcja[13]. Redaktorzy „Przeglądu Łomżyńskiego" widzieli zagrożenia i zgubne skutki tego rodzaju propagandy antysemickiej na własne oczy, ponieważ w tym samym czasie, w marcu 1933 r., doszło do zamieszek antyżydowskich w nieopodal Jedwabnego położonym Radziłowie. Tym samym, w którym masakra Żydów poprzedziła spalenie ich w stodole w Jedwabnem w 1941 r.

W 1933 r. antyżydowskie zamieszki w Radziłowie poprzedziły natomiast ekscesy w pobliskim Grajewie, gdzie zaczęło się od zakłócenia przez narodowców uroczystości z okazji imienin Józefa Piłsudskiego. Narodowcy, niechętni

wobec marszałka, chcieli tylko przerwać akademię, ale gdy zobaczyli, że zamierzają w niej wziąć udział także członkowie żydowskiego przysposobienia wojskowego (Brit Trumpeldor), pragnący w ten sposób zamanifestować swoje przywiązanie do Rzeczypospolitej, lojalność wobec niej oraz gotowość do strzeżenia jej granic, wpadli we wściekłość. Z okrzykami „Opamiętaj się Polaku, Polska tylko dla Polaków" zaatakowali młodzież żydowską przybyłą na uroczystości. Doszło do zamieszek, w wyniku których kilku członków Stronnictwa Narodowego osadzono w miejscowym areszcie. Następnego dnia jednak odbito z aresztu najaktywniejszego bojówkarza i doszło do dalszych wystąpień antyżydowskich, w trakcie których zniszczono szyby w 53 lokalach handlowo-usługowych i mieszkaniach żydowskich. W tym czasie podobne zajścia miały miejsce w Jedwabnem[14].

Żydowski świadek tych wydarzeń, B., przypominał w swoich wspomnieniach po wojnie, że w Jedwabnem bojówki endeckiej młodzieży stały z metalowymi prętami przed sklepami żydowskimi, tak by Polacy nie mogli w nich kupować. Wspominał również o napaściach na Żydów, przypadkach morderstw, mówił o co najmniej dwóch pogrzebach Żydów zamordowanych przez Polaków. Podobne relacje złożyli po wojnie Polacy, m.in. Teodor Eugeniusz L., który potwierdził w 1995 r., że w Jedwabnem przed wojną organizowano akcje antyżydowskie polegające na np. smarowaniu smołą schodów wejściowych do sklepów żydowskich, wybijaniu szyb wystawowych czy naklejaniu ulotek o treści „nie kupuj u Żyda!".

W pobliskiej wsi Orlikowo działacze ONR-u i Narodowej Demokracji byli szczególnie aktywni; jak twierdzili świadkowie, miejscowi narodowcy byli zorganizowani tak, że przypominało to „obóz hitlerowski" – młodzieńcy

urządzali marsze czwórkami, ze śpiewem i pochodniami, brali udział w bojkotach sklepów żydowskich w Jedwabnem, w pobiciach i napaściach. Nie lepiej było w innych, w pobliżu leżących miejscowościach:

> *W końcu maja 1936 roku aresztowano braci Bolesława i Czesława D., rolników ze wsi Ignacewo, którzy w nocy z 27 na 28 maja tegoż roku podłożyli bombę pod domem Żyda Cybulki w Stawiskach (wybuch nie spowodował na szczęście większych strat). Zamach miał miejsce w trakcie trwania procesu przeciwko obu braciom i kilku innym narodowcom za rozplakatowanie odezw, w których m.in. pisano „Niech żyje rewolucja i ONR! RŻNĄĆ ŻYDÓW!” Bracia D. za odezwy otrzymali po 6 miesięcy więzienia*[15].

W protokole oględzin księgi parafii w Jedwabnem, który możemy odnaleźć w materiałach śledztwa prowadzonego przez prokuratora Radosława Ignatiewa z Oddziału IPN w Białymstoku, znajdują się niezwykle interesujące wpisy na temat nastrojów politycznych i społecznych w Jedwabnem i okolicach. Zdecydowanie dominują tam nuty narodowe i nacjonalistyczne. Wpis z księgi parafialnej Jedwabnego z 25 sierpnia 1937 r. głosił:

> *Dziś dzień targowy, na rynku już od rana rozstawili Żydzi stragany z towarami, ale już o godzinie dziesiątej członkowie Stronnictwa Narodowego usunęli ich cały handel, został polski. Na rynku nikt nie ośmielił się wejść do sklepu żydowskiego, a jedna kobieta mimo ostrzeżeń weszła do piekarza Żyda, za to dostała lanie (kijami)*[16].

Dnia 6.11.1937 r., gdy narodowcy szli do Łomży, to policja nie dopuszczała ich do Łomży, a po poświęceniu sztandaru na sumie policja zagrodziła ulicę Dworną, czyli Piernackiego, a gdy narodowcy wyszli w kierunku domu katolickiego w Łomży, policja zaatakowała kolbami i bagnetami, zostało wielu rannych. Policjanci wykonywali to, jak stwierdzają naoczni świadkowie księża, „con amore”. *Między pobitymi jest jeden nauczyciel, tajny policjant, a mówią, że i prokurator, chociaż to ostatnie nie jest sprawdzone*[17].

Pod datą 20 listopada 1937 r. roku widnieje następujący zapis:

W zeszłym tygodniu rozeszła się pogłoska, która okazała się prawdziwą, że ustąpił dotychczasowy starosta łomżyński p. Kornecki, a na jego miejsce mianowano starostą p. Równiskiego, zamiana nastąpiła po zajściach w Łomży na poświęceniu sztandaru Stronnictwa Narodowego[18].

Na stronie 17 kroniki parafii Jedwabne pod datą 6 listopada 1938 r. możemy też przeczytać o nastrojach politycznych panujących w miasteczku:

Odbyło się głosowanie na kandydatów do Sejmu. Ludność do wyborów była usposobiona negatywnie i według wskazań Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego postanowili nie głosować. Pomimo zachęty ze strony władz administracyjnych, a nawet obietnic, to głosowało faktycznie niespełna 10 proc., jednak dawnym zwyczajem działy się »cudy« przy urnach. A po wyborach Polskie Radio ogłosiło, że 144 000 uprawnionych do głosowania oddało głosy,

w naszym okręgu 120 000, jest to nieprawda, bo lokale wyborcze świeciły pustkami. […] Wyniki głosowania to jeden wielki grzech publicznej korupcji zasiany w 1926 roku przez Piłsudskiego, a ludność jest niezadowolona z rządów obecnych i z niecierpliwością czeka wyzwolenia, a z tej racji nurtują prądy, które pchają nawet na drogę do rewolucji. Z księży dekanatu jedwabińskiego nikt udziału w głosowaniu nie wziął[19].

W latach trzydziestych jednak nie tylko w Jedwabnem utrzymywały się nastroje pogromowe. W pobliskiej Wiźnie wikariusz ks. Czesław Rogalski w lutym 1936 r. przed wyświęceniem nowej piekarni, której właścicielem był Polak i katolik, nawoływał do zaniechania zakupów w piekarniach żydowskich, bo: „grzechem jest zanoszenie pieniędzy do Żydów, wrogów Kościoła katolickiego i propagatorów komunizmu”[20].

Członkowie Ruchu Narodowo-Radykalnego na pogrzebie Romana Dmowskiego, który odbył się 7 stycznia 1939 r.

Od 1936 r. prawie we wszystkich miasteczkach zachodniej części województwa białostockiego wprowadzono stałe pikietowanie sklepów i straganów żydowskich w czasie targów. Bojówki Narodowej Demokracji wobec chłopów kupujących u Żydów stosowały ostre represje. Przy okazji akcji bojkotowej dochodziło też do wystąpień szumowin społecznych, często opłaconych przez kupców chrześcijańskich, by zastraszali żydowską konkurencję, lub przyłączających się do zamieszek politycznych w celach rabunkowych[21].

Udział elementu przestępczego spowodował, że duchowieństwo katolickie, opowiadając się za bojkotem ekonomicznym Żydów, zaczęło coraz częściej publicznie potępiać burdy. Proboszcz ze Śniadowa został wezwany do Łomży, gdzie bp Łukomski[22] przypisał mu odpowiedzialność za ekscesy na terenie parafii.
Z Zambrowa natomiast przybyła do biskupa łomżyńskiego delegacja na czele z ks. Czesławem Majewskim, który zapewniał, że zajścia antyżydowskie w tej miejscowości już się nie powtórzą[23].

W końcu listopada 1936 r. inspekcję zachodnich części województwa białostockiego przeprowadził premier Felicjan Sławoj-Składkowski. Po tej wizycie ze względu na nasilenie wystąpień antyżydowskich w 1937 r. zawieszono w kilku powiatach tego województwa działalność Stronnictwa Narodowego[24].

Tak o tej sytuacji opowiadał po wojnie jeden z ocalałych z Jedwabnego Żydów, Kahau Awigdor N.:

KAHAU AWIGDOR N.[25]
Żyd, przed wojną mieszkaniec miejscowości Wizna

Urodziłem się w miasteczku Wizna, powiat łomżyński, osada Wizna… 15-go, siódmego, 1925 r. w rodzinie… Nazywam się Awigdor N.… A tutaj zmieniłem imię na Kahau. Ojca zwali Icek N., matka z domu S., Dina. Mieszkałem w Wiźnie aż do… do okupacji niemieckiej, w czterdziestym pierwszym roku.

[…] Kształciłem się w szkole hebrajskiej „Tarbut” w Wiźnie, do roku 1939. Ukończyłem siedem klas. Mój ojciec handlował zbożem. Dziadek – Meir Hersz N. – był właścicielem majątku ziemskiego, aż został zmuszony do jego sprzedaży w roku 1921 lub 1922. Majątek dziadka znajdował się koło Jedwabnego. Mój ojciec pracował razem z dziadkiem.

Wysokich dochodów nie miał. Przed wojną sytuacja ekonomiczna mojej rodziny nie była dobra – jednak dało się przeżyć. Ja byłem najstarszym synem w rodzinie. Poza mną były dwie młodsze siostry: Felga N., urodzona w 1930 r. – została spalona w Jedwabnem. Druga siostra – Chaja N. – urodziła się w roku 1934 i również została spalona w Jedwabnem. Moja matka – Dina N., z domu S., urodzona w 1903 lub 1905, została spalona w Jedwabnem lub została zabita. Mój ojciec – Icchak N., urodzony w 1898, trudniący się handlem zbożem, a także innymi zajęciami – również został spalony w Jedwabnem.

[…] W Wiźnie nie było jarmarków już jakieś pięć lat przed wojną. Nie wiem, dlaczego skasowali to… Myślę, że dlatego, że we wszystkich miejscowościach to na dzień jarmarkowy to były pogromy na Żydach. Bo przyjeżdżali Żydzi, rozkładali stragany… nam, kupcom, to była wojna zawsze z polskimi chłopakami. Kamieniami.

Śmy szli do rzeki, to rzucali na nas kamienie, albo na polskich ulicach… na ulicach Długiej i innych… kamienie. A my odrzucaliśmy zawsze i biliśmy się z nimi. Taka była nasza młodzież syjonistyczna i myśmy się uczyli, że trzeba się bronić, że Żydzi mają być traktowani tak jak wszyscy… A myśmy się uczyli od Polaków… po polsku myśmy się uczyli nawet w szkole żydowskiej. Ja Mickiewicza znałem lepiej niż wielu Polaków. Albo „Potop" i Sienkiewicza, i „Pana Wołodyjowskiego", i to wszystko… ale myśmy od tego chcieliśmy się wyuczyć.

Ale antysemityzm był.

Na przykład żydowskie sklepy w Wiźnie… W rynku to wszystkie sklepy były niemal żydowskie. Był tylko jeden sklep, który się nazywał Spółdzielnia, ale to był prywatny. Nie pamiętam tego pana, co miał ten sklep. To był jedyny. A to przecież wtenczas… ja nie pamiętam dokładnie, pan prezydent wzywał, by bojkotować… jak on się nazywał… Składkowski… premier Polski.

To w Wiźnie bojkotowali i stały bojkoty przy tych… przy tych sklepkach żydowskich… zawsze dwóch, trzech było takich z endecji… na przykład teraz pamiętam – B. jeden, to on stale był bojkotarzem takim. A potem był w Wiźnie ksiądz katolicki, stary ksiądz… ja go dobrze znałem, bo ojciec mojego kolegi wydzierżawiał od księdza ten sad i myśmy zawsze pilnowali… tego sadu nocami. A ten proboszcz umiał troszkę po hebrajsku. A on wiedział, że my rozmawiamy po hebrajsku, zawsze z nami rozmawiał po hebrajsku troszkę. A potem, nie wiem dlaczego, wywieźli go z Wizny do Jabłonki. I na jego miejsce przyszedł ksiądz – kapelan, który przedtem był

wojskowym. I ten ksiądz kapelan stał razem z bojkotami przy sklepach… Młody był i stał razem z tymi bojkotarzami przy żydowskich sklepach. W tym się przejawiał ten antysemityzm, że Żydzi dostali nieraz pałką po łbie czy coś takiego. Był antysemityzm.

Ja miałem ciocię, ale to było, jeszcze zanim się urodziłem w Wiźnie, ta moja ciotka miała 15 lat, szła przez ulicę, to była niedziela rano, i stało trzech chłopców. Jeden, jego ojciec był potem wójtem w Wiźnie, porządny człowiek… powiedział – ja muszę dzisiaj zabić Żyda. Jak ona przeszła, to on wyjął nóż i… zabił ją. Ona jeszcze poszła z nożem do domu mego ojca i tam upadła, i umarła. I takie… dużo tego się stało w Wiźnie.

Ale w Jedwabnym, jak się potem wie, że w każdy jarmark tam bili straganiarzy i sklepy rabowali, i wybijali szyby, i to wszystko. W Wiźnie tego nie było, a w Rudkach to było, w Zambrowie to raz byłem z rodziną, w dzień jarmarku przyjechaliśmy, mieliśmy tam też ciotkę, i wtenczas… wpadliśmy na pogrom. Było dużo policji polskiej z Łomży… na ten pogrom. To było w 1938 roku, jak był ten pogrom… Myśmy z wujkiem młodym kawalerem przygotowali się na ten pogrom. Myśmy przygotowali siekiery, to… jak będzie pogrom, to nie damy się.

Stronnictwo Narodowe i Obóz Narodowo-Radykalny były wówczas głównymi organizatorami wystąpień antysemickich, a miejscowi księża katoliccy – aktywnymi działaczami tych partii. Zaliczał się do nich dziekan z Wąsosza (gdzie w czasie wojny doszło do jednego z najbardziej krwawych pogromów) ks. prałat Piotr Krysiak,

który na zebraniach Stronnictwa Narodowego nawoływał do bojkotu handlu żydowskiego. Zapoczątkował on także akcję bojkotową w Szczuczynie, kolejnym z miast, które spłynęły krwią w 1941 r. Bojówki urządzające przed wojną pikiety antysemickie w Szczuczynie pochodziły z Wąsosza i były inspirowane przez ks. Krysiaka[26]. Po przeniesieniu go do Łomży w październiku 1937 r. został wybrany p.o. prezesem Zarządu Powiatowego miejscowego Stronnictwa Narodowego. Na jego miejsce zaś do Wąsosza przybył z Lipska ks. Antoni Kuklewicz, również zwolennik Narodowej Demokracji[27].

Część radykalnie nacjonalistycznego duchowieństwa kształtowała poglądy i postawy większości tych, którzy wcześniej nie głosowali na Narodową Demokrację. Ale duchowieństwo pod tym względem też było podzielone, choć z trudnością przebijały się głosy umiaru i rozsądku. I tak ks. Jan Ostrowski ze Złotorii, prezes zarządu Stronnictwa Narodowego w Białymstoku, wzywał do bojkotu handlu żydowskiego i walki z żydokomuną, ale białostocki dziekan ks. Aleksander Chodyko nie udzielał mu zezwoleń na odbywanie zgromadzeń publicznych na placach kościelnych.

Słaby sprzeciw kapłanów o bardziej centrowych poglądach nie trafiał jednak na podatny grunt. Najlepiej o tym świadczy fakt, że ks. prałat Saturnin Rostkowski w czasie przeprowadzania transakcji handlowej z Żydami w Piątnicy został wygwizdany i zwymyślany przez członków Stronnictwa Narodowego. Narodowcy przepędzili też żydowskich kupców przybyłych 10 kwietnia 1938 r. w sprawach handlowych do majątku kurii biskupiej Marianowo. Działacze Stronnictwa zwracali się także do bp. Łukomskiego o przeniesienie ks. Rostkowskiego z Łomży ze względu na jego przychylny stosunek do Żydów[28].

Ekscesy antyżydowskie trwały jeszcze w pierwszej połowie 1939 r., a więc tuż przed wybuchem II wojny światowej. Wielu Żydów odczuwających narastające zagrożenie, także zewnętrzne, ze strony pobliskich Niemiec, wyjeżdżało wtedy za granicę, co było jednym z głównych powodów zmiany konstelacji etnicznej samego Jedwabnego przed wielką wojną. Inni próbowali się bronić w sposób pokojowy: ze zdwojoną energią demonstrowali postawy propaństwowe i swoją lojalność wobec Rzeczypospolitej, obniżali ceny i udzielali długoterminowych kredytów chrześcijanom. Wspierali także finansowo polskie środowiska umiarkowane i demokratyczne. Organizacje żydowskie starały się eksponować swoją propolską postawę także poprzez uczestnictwo w uroczystościach państwowych, co z kolei doprowadzało do pasji narodowców i polskich nacjonalistów. Kiedy na początku 1939 r. wizytował parafie abp Romuald Jałbrzykowski, we wszystkich miasteczkach witały go delegacje żydowskie z rabinami na czele[29].

W samym Jedwabnem nie przyniosło to jednak większych pozytywnych efektów. Na przeszkodzie stała centralna postać miasta, zagorzały zwolennik Stronnictwa Narodowego, ks. dziekan Marian Szumowski, który lubował się w krytyce rządu i lokalnych władz za ich zbytnią, jego zdaniem, uległość wobec mniejszości narodowych. Choć i władze te nie pozostawały mu dłużne, bo ks. Szumowski został ukarany grzywną w wysokości 20 zł za obelżywe wypowiedzi o komendancie miejscowego posterunku policji, który zapobiegł pogromowi Żydów w Radziłowie w marcu 1933 r.

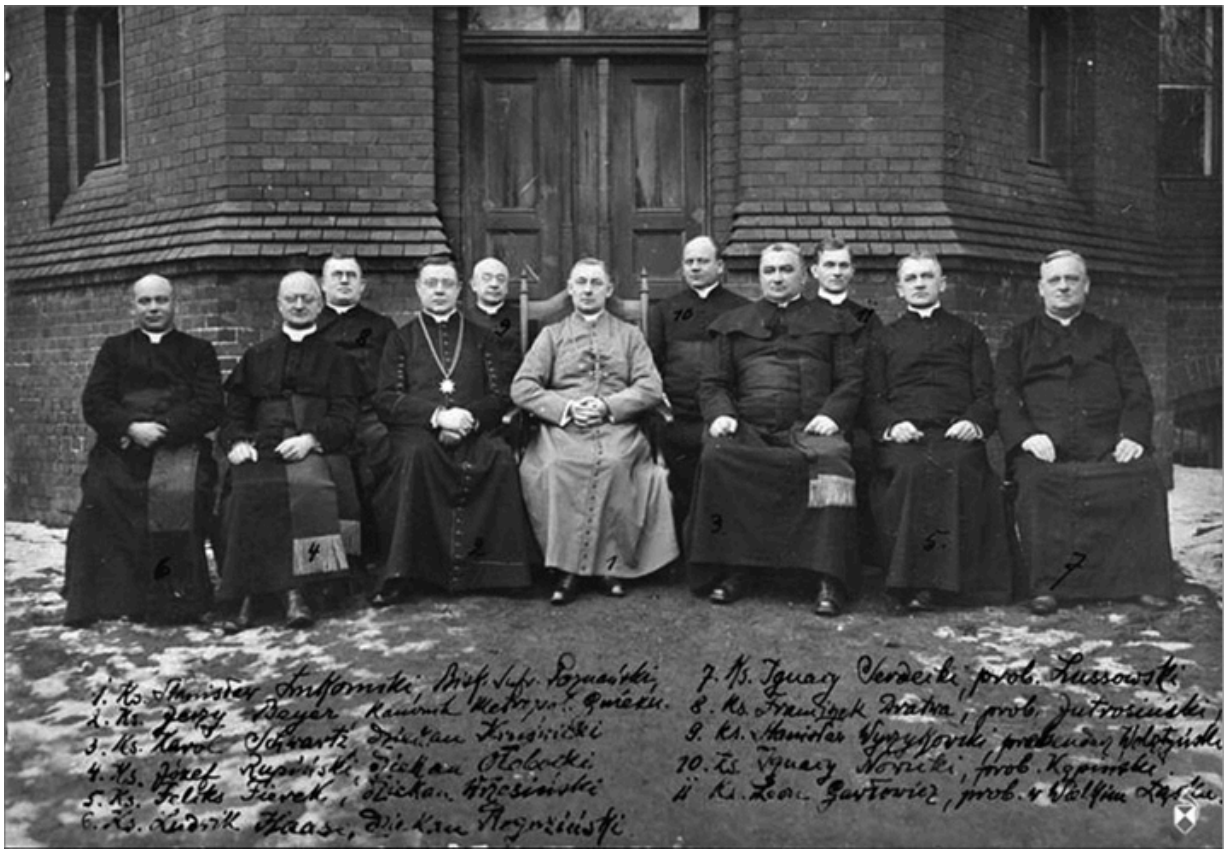

Poznań 1923 r., zjazd księży wyświęconych w Gnieźnie w 1898 r., pośrodku siedzi biskup Stanisław Łukomski

W kazaniu z 6 sierpnia 1933 r. ks. Szumowski stwierdził, że „w Polsce jest gorzej niż w Niemczech” (a trzeba pamiętać, że wygłosił te słowa w roku objęcia władzy przez Adolfa Hitlera) i rządzący dążą do podporządkowania Kościoła państwu. „Biskupi i księża są karani aresztami, nakładane są na nich kary pieniężne”. Wezwał też wiernych do modłów o wytrwałość dla prześladowanych przez rząd kapłanów. Obecni na nabożeństwie członkowie Związku Strzeleckiego, Związku Rezerwistów i Ochotniczej Straży Pożarnej w trakcie kazania wstali i wyszli z kościoła. Kazanie to było powodem ponownego ukarania ks. Szumowskiego dwutygodniowym aresztem w zawieszeniu za rozpowszechnianie fałszywych wiadomości mogących wywołać niepokój społeczny[30].

Kompetentnym referentem w materii poglądów politycznych kleru diecezji łomżyńskiej i jego wpływu na nastroje społeczne wydaje się ks. Wojciech Guzewicz:

Działalność polityczna duchowieństwa łomżyńskiego wyrażała się również w popieraniu określonych ugrupowań katolicko-narodowych, których programy uważano za sprzyjające Kościołowi Katolickiemu. Do takich partii zaliczano w okresie międzywojennym Chrześcijańską Demokrację (chadecja), Stronnictwo Chrześcijańsko-Narodowe, Narodową Demokrację (endecja), Stronnictwo Katolicko-Ludowe, Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast" oraz Narodową Partię Robotniczą. W diecezji łomżyńskiej najsilniejszy wpływy wśród wymienionych stronnictw posiadała endecja […]. O popularności tej partii wśród duchowieństwa zadecydował głównie jej prokatolicki program i silnie rozbudowana sieć organizacyjna. Według danych sporządzonych przez wojewodę białostockiego w 1934 r. zwolennikami endecji byli „prawie wszyscy księża diecezji łomżyńskiej" na czele z bpem S. Łukomskim i bpem B. Dembkiem.
O poparciu duchowieństwa dla SN może świadczyć udział znacznej liczby księży we władzach okręgowych i powiatowych tej partii. […]
Niezależnie od udziału we władzach statutowych wpływy duchowieństwa łomżyńskiego w endecji były duże. Często zdarzało się, że zebrania członków zarządów organizowano w mieszkaniach księży. Tak było na przykład w Wysokiem Mazowieckiem, gdzie od 1926 r. proboszczem był ks. J. Rogiński. Odegrał on znaczącą rolę w organizacji i rozwoju wysokomazowieckiego koła SN, które obok

powiatowego koła łomżyńskiego należało do najsilniejszych i najbardziej aktywnych w skali nie tylko województwa, ale i całego kraju. Ponadto ks. J. Rogiński był inicjatorem i animatorem licznych kursów, propagujących to Stronnictwo wśród ludności zamieszkującej region łomżyński. Przykładowo tylko w 1928 r. zorganizował dwa takie szkolenia, w których wzięło udział blisko 200 osób. Warto też wspomnieć, że wielu księży uczestniczyło w otwartych zgromadzeniach członków i sympatyków SN. […]

Wyrazem sympatii duchowieństwa do SN było także organizowanie przez wielu kapłanów – stosunkowo często – nabożeństw w intencji pomyślnego rozwoju Stronnictwa. Zwykle połączone były z poświęceniem proporców oraz sztandarów poszczególnych kół na terenie parafii. Po zakończonych uroczystościach kościelnych z reguły urządzano zebrania polityczne, w których kapłani brali aktywny udział. Poza tym duchowieństwo łomżyńskie pomagało także przy organizowaniu wieców poselskich.

Niektóre z nich gromadziły duże rzesze słuchaczy. Tak na przykład wiec Witolda Staniszkisa w Zambrowie w dniu 24 stycznia 1932 r. zgromadził blisko 330 osób, a Jana Choromańskiego w Piskach – 300. Środki finansowe na ich prowadzenie pochodziły głównie od miejscowego ziemiaństwa, proboszczów i części zamożniejszego mieszczaństwa. Wszystkie wiece były poprzedzane zapowiedziami, w tym także w kościołach – w ramach ogłoszeń parafialnych.

Na uwagę zasługuje również stosunek duchowieństwa do ludności żydowskiej. Relacje te miały często podłoże społeczno-ekonomiczne i wiązały się z obawą przed rosnącymi wpływami Żydów.

Problem był aktualny zwłaszcza w małych miasteczkach, gdzie w rękach żydowskich znajdowała się kontrola nad handlem, co niejednokrotnie doprowadzało do konfliktów z ubogą ludnością polską. Szczególnie chłopi czuli się wykorzystywani przez Żydów. Nic więc dziwnego, że głoszone hasła nacjonalistyczne, czy też podejmowane przez SN akcje mające zniechęcić ludność polską do handlu z Żydami znajdowały podatny grunt wśród ludności i części duchowieństwa polskiego. […]

Swoją działalność na polu narodowo-politycznym w okresie kampanii wyborczej oraz samych wyborów księża kontynuowali również po ich zakończeniu, szczególnie po niekorzystnym dla obozu narodowego wyniku głosowania z marca 1928 r. Wyrazem tego był chociażby list, jaki wystosował bp S. Łukomski do swoich diecezjan 14 marca 1928 r., w którym wyraził ubolewanie, że odezwa Episkopatu Polski z grudnia 1927 r. w sprawie wyborów do sejmu i senatu nie znalazła należnego posłuchu wśród mieszkańców łomżyńskiego. W związku z tym bp S. Łukomski zarządził, aby na znak smutku i żałoby we wszystkich parafiach, w których oddano znaczniejszą liczbę głosów na PPS i PSL „Wyzwolenie" i BBWR, zaniechano uroczystych procesji rezurekcyjnych oraz poświęcenia pokarmów wielkanocnych. Oprócz tego polecił duchowieństwu łomżyńskiemu, aby odmawiali sakramentów świętych i pogrzebu kościelnego tym, którzy nie wyrzekną się przynależności do partii komunistycznych i socjalistycznych. Zalecenie to dotyczyło również tych wszystkich, którzy czytali prasę tych ugrupowań lub wspierali je swoimi składkami[31].

Zapowiedziane sankcje nie zostały wprowadzone w życie, gdyż biskup cofnął rozporządzenie po tym, jak do Łomży zaczęły z całej diecezji przybywać liczne delegacje parafialne, prosząc biskupa o wybaczenie i zapewniając jednocześnie, że „do podobnej szkody dla wiary i Kościoła w przyszłości już nie przyłożą ręki”[32]. Zanotowano jedynie odosobnione wypadki zastosowania tego rozporządzenia. Przykładowo ks. Antoni Gerwel w sześciu wsiach parafii Piekuty odmówił mieszkańcom poświęcenia pokarmów wielkanocnych za to, że głosowali na listę BBWR. Z tych samych powodów kilku proboszczów z powiatów ostrołęckiego i kolneńskiego w uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego odprawiło tylko cichą mszę[33].

Rok 1926. Pamiątka z uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod kościołem w Jedwabnem; pośrodku bp Stanisław Łukomski (siedzi), za nim Czesław L.

Warto tu zaznaczyć, że represje, jakie stosował łomżyński kler wobec nie dość narodowo czy nacjonalistycznie usposobionych wiernych, musiały mieć doniosłe skutki dla ich świadomości w latach późniejszych. Co bowiem znaczy dla chłopa, mieszkańca tamtych terenów, odmowa kościelnego pochówku, może jedynie domyślać się ten, kto sam wywodzi się z chłopskiej rodziny. Dość powiedzieć, że posunięcie takie równoznaczne było z symbolicznym odebraniem takiej osobie prerogatyw ludzkich, z pozbawieniem człowieczeństwa. Odmawiając pogrzebu tym, którzy głosowali na listy socjalistyczne, bp Łukomski wykluczał ich tym samym ze wspólnoty ludzi, z której zresztą od wieków byli wyłączeni – w umysłach chłopskich – polscy Żydzi.

Nieznana wieś z Białostockiego, zdjęcie wykonane w latach trzydziestych XX w.

Wśród powojennych zeznań najobszerniejszą relacją na temat sytuacji w Jedwabnem przed 1939 r. jest ta złożona

przez Zygmunta L., jednego z prowodyrów zbrodni, do której doszło w miasteczku w 1941 r. W opowieściach o przedwojennych losach swojej rodziny podkreśla jej trudną sytuację ekonomiczną.

Ojciec Zygmunta, Czesław L., był murarzem, a matka gospodynią domową. W domu się nie przelewało, choć starali się żyć godnie. Chyba największą tragedią, jaka dotknęła rodzinę w tym okresie, była śmierć jedenastoletniej siostry Zygmunta, zabitej przez Adama T. w czasie kłótni, do której doszło pomiędzy nim a Czesławem L. Zawsze się zastanawiałem, analizując tę historię, jaki wpływ na umysły młodych wówczas braci L. mogło mieć to wydarzenie. Tragiczna śmierć ukochanej siostry, połączona z przemocą sąsiedzkiego zatargu. Myślę, że ten wpływ musiał być zarówno istotny, jak i destrukcyjny.

Wydarzenie to pokazuje też, że w ogóle życie w Jedwabnem przed wojną było pełne przemocy, która pojawiała się nie tylko w relacjach polsko-żydowskich, ale także między samymi Polakami. Choć rodzina L. nie zamieszkiwała jedynie w Jedwabnem – brat Zygmunta, Kazimierz, mieszkał w Porębie nad Bugiem. On sam zaś z bratem Jerzym i ojcem Czesławem żyli w miasteczku.

Ich stryj Franciszek był murarzem tak jak Czesław, ale też zawodowym podoficerem Wojska Polskiego i komendantem miejscowego oddziału „Strzelca”, co nie przysparzało mu sympatii kanonika ks. Szumowskiego.

Nie przeszkodziło to jednak rodzinie L. cieszyć się w mieście dobrą opinią i poważaniem za rzetelność zawodową i zagorzały patriotyzm – wszyscy bracia byli bowiem sympatykami narodówki. Najlepiej wysoką pozycję w miejscowej hierarchii społecznej oraz szacunek, jaki ród L. budził w miasteczku, obrazuje fotografia (zob. s. 64) wykonana z okazji wmurowania kamienia węgielnego pod

miejscowy kościół. Na zdjęciu wśród przywódców lokalnej polskiej wspólnoty, tuż za krzesłem, na którym zasiada bp Łukomski, stoi nie kto inny tylko nestor rodu Czesław L.

Z czasów przedwojennych znany jest też spór, jaki wiódł ród L. z rodziną K., w której było dziewięciu braci, a z nich część należała do partii komunistycznej. Zwłaszcza Kazimierz K., przed wojną karany więzieniem za przynależność do KPP, oraz jego rodzeni bracia Czesław, Henryk i Zygmunt, jako komuniści mieli na pieńku z rodziną L. Lecz nie tylko oni, także ich bracia stryjeczni Stanisław, Czesław, Wacław, Henryk i Mieczysław, choć komunistami nie byli, nieraz wdawali się z familią L. w bijatyki. Powodem były jednak często sprawy prozaiczne, a nie wielka polityka – bracia K. zajmowali się bowiem stolarstwem i to na tym tle dochodziło między krewkimi młodzianami z obu rodzin do awantur. Czesław L., jak wieść niesie, lubił bowiem oskarżać braci K. o „partolenie roboty".

Bracia K. odpłacili się familii L. za czasów okupacji sowieckiej, wówczas to Zygmunt K. miał przygadać Zygmuntowi L.: „K. to byli źli stolarze, ale teraz są dobrzy urzędnicy", a następnie dokonać aresztowania nestora rodu Czesława L., zarzucając mu przynależność do partii narodowej.

Ciekawie, w świetle powyższego, brzmią słowa Janiny B. z domu Ś., córki Bronisława Ś., który ofiarował swoją stodołę, by spalono w niej żydowskich mieszkańców miasteczka. Otóż jej ojciec, który miał w Jedwabnem piętnastohektarowe gospodarstwo rolne, zajmował się również budową szkół i budynków publicznych razem z rodziną L. Wszedł w spółkę z Czesławem L. i gdy ten zajmował się murarką, to Ś. wykonywał roboty stolarskie, pozbawiając tym samym zarobku w miasteczku rodzinę

komunistów K. W tym czasie do zdobywania zleceń oczywiście bardzo przydatne były dobre kontakty z ks. kanonikiem Szumowskim. Spółka L.-Ś. zbudowała szkoły m.in. w Konopkach, Karwowie i Glinkach. Ś. pomagał też stawiać mleczarnię w Przytułach. Co więcej, przedwojenny wójt Jedwabnego Ludwik K. był rodzonym bratem żony Bronisława Ś., a sam Ś. sprawował też przez pewien czas urząd jedwabieńskiego radnego.

Z zeznań Leokadii B., do których udało mi się dotrzeć, wyłania się niemal idylliczny obraz przedwojennego Jedwabnego. Zawierają one też kilka ciekawych faktów z życia miasteczka.

LEOKADIA B.[34]
Polka, mieszkanka Jedwabnego

[…] Mój ojciec Franciszek L. był mistrzem kowalskim. Miał warsztat w Jedwabnem, przy ul. 11-go Listopada, pod numerem 21. Tam także był nasz dom, gdzie mieszkała cała rodzina. Moja mama Zofia L. z domu T. prowadziła dom. Jak zapamiętałam, to ludność Jedwabnego przed wojną składała się przeważnie z rzemieślników i sklepikarzy. Jak pamiętam, było w mieście 9 kowali, w tym jeden Żyd, na którego mówili Szmujeł. Miał on kuźnię na ulicy Cmentarnej. Wykonywał różne drobne naprawy. Mój ojciec nawet podsyłał mu klientów, bowiem sam nie był zdolny wszystkiego zrobić. Ojciec zajmował się budową nowych maszyn rolniczych, jak wialnie, sieczkarnie, kieraty. Nawet zatrudniał przy tym stolarza Władysława M., który wykonał wszystkie części drewniane do tych maszyn. Ponadto mój ojciec był

najlepszym w okolicy podkuwaczem koni, a nawet leczył konie.

[…] Wracając do obrazu miasteczka Jedwabne przed wojną, jaki zapamiętałam, to w całym Jedwabnem było 6 odbiorników radiowych. Ostatni kupił mój ojciec w 1935 r., żeby słuchać sprawozdania z pogrzebu Piłsudskiego. Pamiętam dobrze, że radio stało na parapecie okna, a pół miasta przybiegło, żeby posłuchać tej transmisji.

Do inteligencji miejscowej zaliczali się ksiądz Szumowski, imienia nie pamiętam, potem w czasie wojny był ksiądz Kępliński bądź Kembliński, felczer J., jego żona była akuszerką, lekarz K., którego żona była dentystką, kierownik nowej szkoły, którego nazwisko wypadło mi z pamięci.

Ponadto do inteligencji zaliczali się nauczyciele, których nazwisk nie potrafię podać, bowiem naukę zaczęłam tuż przed wojną. Kiedy wojna wybuchła, ukończyłam dopiero pierwszą klasę szkoły podstawowej.

Do inteligencji należał też aptekarz pan J. On miał aptekę w rynku, gdzie wchodziło się po schodkach. […] Wśród sklepikarzy, jak zapamiętałam, w Jedwabnem było więcej sklepików żydowskich. Były te sklepiki w okolicach nowego i starego rynku. W tych okolicach też przeważnie mieszkała ludność żydowska, jak na ulicy Przytulskiej i Łomżyńskiej.

Mieszkali oni też na ulicy Dwornej naprzeciwko tego skwerku, gdzie w czasach okupacji radzieckiej stał pomnik Lenina.

Obok kirkutu przebiegała polna dróżka. Po przeciwnej stronie stała stodoła Bronisława Ś. Znałam go. Był on stolarzem. Jego syn Edward był piekarzem.

Miał piekarnię przy kościele, na ulicy Przestrzelskiej. […] Dookoła tej stodoły nieraz ganialiśmy się z koleżankami. Dołączali do nas chłopcy. Bawiliśmy się w chowanego. Była to drewniana stodoła, na podmurówce z kamieni. Miała wierzeje wjazdowe i drugie wyjazdowe, po drugiej stronie. Ci L. byli z dobrej rodziny. Ojciec L. budował kościół w Jedwabnem. To była szanowana rodzina.

W MIEŚCIE POGROMU

Interpretacja wydarzeń powstała na podstawie relacji polskich i żydowskich świadków, które są dostępne w materiałach sądowych i śledczych Instytutu Pamięci Narodowej, głównie w materiałach ze śledztwa S1/00/Zn w sprawie spalenia osób narodowości żydowskiej 10 lipca 1941 r. w Jedwabnem, prowadzonego przez prokuratora Radosława Ignatiewa, pracy Tomasza Strzembosza *Antysowiecka partyzantka i konspiracja nad Biebrzą X 1939 – VI 1941*, pracy Jana Jerzego Milewskiego, *Polacy – Żydzi w Jedwabnem i okolicy do 22 czerwca 1941 roku*, pracy Stanisława Kalbarczyka *Jedwabne 1939–1941. Polacy, Żydzi, okupant sowiecki – wzajemne relacje w świetle przejrzanych źródeł*, innych publikacjach oraz materiałach z epoki.

22 czerwca 1941 r. rozpoczęła się inwazja Niemiec na ZSRR opatrzona kryptonimem „Barbarossa”. Jednostki niemieckie błyskawicznie parły naprzód. Polscy partyzanci antykomunistyczni z rejonów przygranicznych, które po 17 września 1939 r. weszły w skład ZSRR, m.in. z rejonu Jedwabnego, obejmującego ogromne sowieckie fortyfikacje zwane linią Mołotowa, atakowali rosyjskie jednostki

frontowe, rozbrajali radzieckich żołnierzy, dezorganizowali obronę sowiecką, wysadzali mosty i przeprawy, m.in. w pobliżu twierdzy Osowiec, oraz przerywali linie telegraficzne, ułatwiając natarcie niemieckim oddziałom.

Wraz z wybuchem działań wojennych w czerwcu 1941 r. w miejscowościach przygranicznych – m.in. w Radziłowie, Wąsoszu, Jedwabnem, Wiźnie, Szczuczynie, Bzurach, Skajach, Goniądzu, Rajgrodzie i Grajewie – tworzyła się polska administracja, straż obywatelska i posterunki polskiej milicji. Te samorzutnie powstające formacje – istniejące zaledwie kilkanaście tygodni, co najwyżej kilka miesięcy, dopóki nie zainstalowała się tam administracja niemiecka, która następnie część ich członków zatrudniała w szeregach własnej policji pomocniczej (Hilfspolizei) – kierowały częścią pogromów i mordów w białostockich miasteczkach.

I tak na czele rzezi w Wąsoszu stało dziewięć osób, wszystkie ze straży obywatelskiej, wszystkie też – jak zeznawali świadkowie – należały przed wojną do Stronnictwa Narodowego. W Radziłowie zapamiętano, że Henryk D. i Feliks G. dokonywali zbrodni w biało-czerwonych opaskach polskiej antysowieckiej straży obywatelskiej na ramieniu.

MENACHEM F.[35]
Żyd, mieszkaniec Radziłowa

> […] Szalone tempo toczących się wydarzeń potrzebowało szybszej decyzji. Zostać na miejscu nie miało w ogóle sensu, jedyną szansą uratowania życia była ucieczka na wschód i za wszelką cenę wyrwanie się z coraz mniejszego pierścienia niemieckiej armii. Ale i ta jedyna nadzieja spełzła na niczym z powodu

dobrze uzbrojonych polsko-faszystowskich band, którymi od razu zapełniły się wszystkie drogi. Bandyci zatrzymywali uciekających Żydów, wszystko u nich zabierali, grożąc zastrzeleniem, i bestialsko bili. Bandy te nieraz rzucały się na oddziałki Czerwonej Armii, rozbrajali żołnierzy i też ich bili. […] Wszyscy ci, po wejściu Niemców, od pierwszego momentu zaczęli pracować w ich służbie. Dnia 23 czerwca 1941 r. Ł. Aleksander, mieszkaniec wsi Łoje-Awissa, P. Tadeusz z Radziłowa i inni ostrzeliwali cofające się oddziały Armii Czerwonej; rozbrajali czerwonoarmistów, bijąc ich.

[…] Dnia 24 czerwca 1941 r. grupa Polaków, z której znani mi są K. Antoni, K. Józef, M. Feliks z Radziłowa, została uzbrojona i przeprowadziła czołgi niemieckie przez rzekę Biebrzę w kierunku Taczany. Celem tego przejścia przez rzekę miało być okrążenie twierdzy w Osowcu. Po zajęciu Osowca dowództwo niemieckie wynagrodziło wyżej wymienionych Polaków pieniędzmi i listami dziękczynnymi. Razem z tymi Polakami wyróżniano żołnierzy niemieckich, ale ci ostatni dostawali ordery zamiast pieniędzy.

O tym, że mordowanie Żydów odbywało się z pobudek ideowych, antysemickich, próbował po wojnie przekonywać Henryk D., uporczywie powtarzający w śledztwie, jakie toczono przeciwko niemu, oskarżając go o zbrodnie na Żydach, oraz w trakcie procesu, że apelował do mieszkańców, by wstrzymali się od grabieży, a rzeczy żydowskie po prostu spalili. Chciał, by ten akt czystego patriotyzmu nie został zbrukany kradzieżą. Spośród ośmiu oskarżonych o udział w mordzie na Żydach w Radziłowie sześciu konspirowało w czasie okupacji sowieckiej, w czasie

okupacji niemieckiej było w Armii Krajowej, a część z nich po wojnie działała w podziemiu niepodległościowym[36].

Jeden z morderców, Feliks G., tak został opisany w książce poświęconej działalności Armii Krajowej w regionie: „W konspiracji od 1939 r. W plutonie Kedywu od 1944 r. Walczył w 3. szwadronie 9. psk na Grzędach. Zdecydowany i odważny. Po wojnie skazany na wieloletnie więzienie”[37]. Tyle że G. został skazany w procesie o zamordowanie Żydów w Radziłowie. Choć i ten wyrok w miejscowej pamięci wchodzi w skład jego bohaterskiej biografii, bo w trakcie śledztwa dołożono mu zarzut pobicia osób współpracujących z władzą sowiecką[38].

Również o innych uczestnikach radziłowskiej zbrodni wiadomo, że byli później w AK. I tak w pamiętniku Chai F. czytamy zapis o Zygmuncie M.: „On był z tych, co mordowali Żydów, a należał do inteligentniejszych wśród morderców. Rodzina M. zaliczała się do miejscowej inteligencji, ojciec Jan, felczer, był porządnym człowiekiem opatrującym pobitych Żydów (Syn dba, by ojciec miał co robić – komentowała Chaja)”[39].

Niemieccy żołnierze w Jedwabnem we wrześniu 1939 r.

Zygmunt M., pseudonim „Kuba” vel „Kula”, pracował jako nauczyciel (po wojnie został lekarzem na Pomorzu) i był w strukturach AK najwyższym rangą mieszkańcem nieodległego od Jedwabnego Radziłowa. Prowadził referat informacyjno-wywiadowczy obwodu grajewskiego. Gdy łomżyńska AK nie podporządkowała się decyzji Komendy Głównej o rozwiązaniu struktur konspiracyjnych, pełnił podobną funkcję w Armii Krajowej Obywatelskiej. To on był adiutantem mjr. Jana Tabortowskiego „Bruzdy” w najgłośniejszej w tym rejonie akcji podziemia po wojnie – zdobyciu budynku Urzędu Bezpieczeństwa, milicji i komendantury sowieckiej w Grajewie w maju 1945 r. Również kilku innych oskarżonych w procesie z 1949 r. o mordowanie Żydów w Jedwabnem działało w konspiracji. Między nimi byli: Bolesław R., Roman G. i Franciszek Ł., żołnierze AK (ujawnili się w 1947 r.). W domu jednego z przywódców mordu, Józefa S. (przed wojną brał udział

w demolowaniu żydowskich sklepów), odbywały się po wojnie zebrania oddziału Narodowych Sił Zbrojnych.

> *[…] W zarządzie miasta Jedwabnego ważną rolę odgrywał Karol B., który przybył ze Śląska na te tereny w latach trzydziestych (pracował jako mechanik, najpierw w Radziłowie, w młynie Chai F., potem w Jedwabnem, w młynie Hirsza Z.), a w czasach sowieckich był radnym do gorsowietu oraz przewodniczącym wydziału aprowizacji miasta Jedwabne. Może był niemieckim agentem i liczono się z nim, sądząc, że reprezentuje Niemców? Na przełomie czerwca i lipca 1941 r. rządził miasteczkiem burmistrz Marian K. I to on kierował akcją zganiania Żydów. Dlaczego wszyscy mu się podporządkowali?*
>
> *Czyżby dlatego, że – jako zięć przedwojennego, wieloletniego burmistrza Jedwabnego Walentego G. – miał oparcie w miejscowej elicie?*[40]

W Radziłowie, Wąsoszu, Jedwabnem, Wiźnie, Szczuczynie, Bzurach, Skajach, Goniądzu, Rajgrodzie, Grajewie, Jasionówce i innych miejscowościach regionu doszło do masakr polskich obywateli narodowości żydowskiej, dokonywanych przez ich polskich współobywateli – trzon tej grupy stanowili członkowie miejscowych prawicowych elit.

Miasteczko Jedwabne wojska niemieckie zajęły 23 czerwca 1941 r., lecz nie zatrzymały się w nim na dłużej. Rozpoczęły kolejne natarcie, bo trwała ofensywa, a istotą niemieckiego blitzkriegu było nie dać odpocząć przeciwnikowi, ciągle atakować i nacierać. Niemcy ruszyli więc za cofającymi się żołnierzami Armii Czerwonej, zostawiając w miasteczku jedynie kilku żandarmów z jednostki żandarmerii przyfrontowej. Natychmiast wykorzystały to polskie

organizacje konspiracyjne, których członkowie skrywali się w lasach wokół miasteczka i walczyli dotąd z władzą radziecką. Po wyjeździe głównych sił niemieckich w Jedwabnem ukonstytuowały się nowe polskie władze. Burmistrzem został Marian K., a Józef S., przedwojenny działacz Stronnictwa Narodowego w Jedwabnem i właściciel sklepu z materiałami łokciowymi (tekstyliami) – wiceburmistrzem. W mieście i okolicach utrzymywały się przez cały czas silne nastroje pogromowe.

Ich korzeni należy szukać już w 1940 r. To od tego czasu w Jedwabnem dominowała żądza mordu i odwetu na Żydach i na tych, którzy zostali uznani za współpracowników sowieckich. Potwierdziło to wiele relacji, choćby Kazimierza L. i Karola B., który zeznał, że w krótkim czasie między 22 czerwca a 10 lipca Jedwabne i okolice ogarnęło bardzo silne wzburzenie społeczne. Jeśli dodamy do tego że 6–7 lipca miał miejsce mord w pobliskim Radziłowie, to wszystko wskazuje na to, że duże grupy Polaków były w tamtym okresie żądne odwetu, a nastroje te miały podłoże antysemickie.

Akcje eksterminacyjne wobec ludności żydowskiej miały charakter planowy i zbrodniczy. To nie przypadek, że zbrodnia w Radziłowie poprzedziła tę w Jedwabnem, ani przypadkiem nie było to, że mieszkańcy Jedwabnego czekali, aż ci z Radziłowa uporają się ze swoim zadaniem. Wszystko świadczyło o koordynacji i synchronizacji działań Polaków.

Istnienie takiej zsynchronizowanej akcji polskich struktur podziemnych potwierdził również m.in. Kahau Awigdor N. Jego zdaniem polscy partyzanci, których nazywał „narodowcami”, przejęli władzę nie tylko w Jedwabnem, ale także w jego rodzinnej Wiźnie, gdzie tuż po wkroczeniu Niemców powołali własną milicję wydającą zalecenia

zakazujące Polakom ukrywania Żydów i grożące tym, którzy się tego dopuszczą, wygnaniem oraz pobiciem. Polscy partyzanci z tej grupy zakazali też Żydom poruszania się po drogach, co potwierdzało, że wzorowali się w swoich działaniach na postępowaniu nazistów i rozporządzeniach władz okupacyjnych. N. potwierdził również powstanie takiej polskiej milicji w Wąsoszu oraz Piątnicy i Łomży.

Na podstawie relacji kolejnego z żydowskich świadków, którzy przeżyli czystkę w Jedwabnem, Szmula W. oraz opowieści Stanisława P. możemy wyodrębnić trzy fazy zbrodni w Jedwabnem, rozciągnięte w czasie przynajmniej kilku dni. Właściwie bowiem mordowanie w miasteczku trwało od 23 czerwca – wtedy zabito członków rodziny polskich komunistów W. z pobliskiej wsi Bartki, co rozpoczęło pierwszy etap zbrodni.

Rodzinę W. zaatakowano, ponieważ podejrzewano ją – tak jak i Żydów z tego rejonu – o współpracę z Sowietami. Jeden z uczestników mordu na Żydach w Jedwabnem Karol B. na rozprawie sądowej po wojnie zeznał, że 25 czerwca 1941 r. grupa mieszkańców Jedwabnego dokonała także samosądu na sześciu komunistach: trzech Żydach i trzech Polakach, wśród których byli właśnie bracia W.

KAROL B.[41]
Polak, mieszkaniec Jedwabnego

> Przy drugim domu na rynku i ulicy Łomżyńskiej stali pod domem […] rymarza. Już pobici i zakrwawieni cywile, ręce w górę, pierwszy K., były milicjant, ochotnik milicji radzieckiej, mieszkaniec miasta Jedwabne, drugi W., były priedsiedatiel sielsowieta, trzeci W., sekretarz sielsowieta, to bracia zamieszkali we wsi Bartki, gm. Jedwabne, 10 km od Jedwabnego,

dalej 3 ludzi wyznania mojżeszowego, jeden z nich właściciel piekarni w Jedwabnem, róg Rynek i ulica Przestrzelska. Następnych dwóch nie poznałem.

Świadkowie wskazywali na Jerzego L. i Eugeniusza K. jako głównych sprawców tego pobicia. Sześciu pobitych zostało wywiezionych później za miasto i rozstrzelanych. Zeznanie to uzupełnił po wojnie Szmul W., podając nazwiska zamordowanych Żydów. Zabito wtedy Chaję W., Jakuba K. i Eliasza K.

O tym, że w chwili wkroczenia Niemców w czerwcu 1941 r. do Jedwabnego wśród miejscowych członków podziemia antykomunistycznego panowały mordercze nastroje oraz że ich zemsta na domniemanych zdrajcach, pochodzenia polskiego i żydowskiego, była straszna i bezwzględna, dobrze świadczy zeznanie złożone przez Stanisławę W., żonę Władysława W., komunisty, mieszkańca wsi Bartki, na temat tego, co spotkało ją i jej bliskich z rąk polskich partyzantów antykomunistycznych.

STANISŁAWA W.[42]
Polka, mieszkanka wsi Bartki

Do miesiąca czerwca 1941 r. wraz z mężem Władysławem W. i czworgiem dzieci zamieszkiwałam na siedmiohektarowym gospodarstwie we wsi Bartki, gmina Jedwabne, pow. Łomża. W latach przedwojennych do 1939 r. mąż mój był prześladowany przez władze sanacyjne i kler za swoje przekonania lewicowe.

Kiedy w roku 1939 na tereny przez nas zamieszkane wkroczyła Armia Czerwona i kiedy ustanowiono władzę ludową, mąż mój czynnie poświęcił się pracy nad ugruntowaniem władzy ludowej. Początkowo

pełnił funkcję sołtysa we wsi Bartki przez okres kilku miesięcy, później zaś wójta zarządu gminnego w Siestrzankach, należał również do WKP(b). Najstarsza moja córka Helena i syn Władysław należeli do organizacji młodzieżowej Komsomołu również jak mój mąż. W roku 1940 na tamtejszym terenie zaczęła działać zbrojna organizacja faszystowska mająca na celu obalenie przemocą władzy ludowej.

[…] W miesiącu czerwcu 1940 r. członkowie nielegalnej organizacji i działający z jej ramienia D. Henryk i jego kolega W. – zamieszkały w Szostakach, gm. Jedwabne – oraz wychowanek księdza z Burzyna [ks. Stanisława Cudnika – przyp. M.T.], na imię miał Wacek, dokonali napadu na nasz dom celem zamordowania mego męża. Napad ten został udaremniony przez NKWD i wymienieni schwytani. W dniu 24 czerwca 1941 r., po napaści Niemców na Związek Radziecki w godzinach rannych banda faszystowska w sile kilkudziesięciu ludzi dokonała napadu na nasze zabudowania i na zabudowania brata mego męża W. Aleksandra, który też był przekonań lewicowych i pełnił obowiązki sołtysa wsi Bartki. Ja z dziećmi i mój mąż oraz jego brat Aleksander zdołaliśmy ujść z życiem. Natomiast żona W. Aleksandra została w bestialski sposób pobita, tak że po upływie kilku miesięcy zmarła.

Bandyci podpalili nasze zabudowania wraz z inwentarzem żywym i martwym. Inne rzeczy, jak garderobę, która znajdowała się u mieszkańca wsi Bartki M. Tadeusza, zrabowali. W skład tej bandy wchodzili: M. Józef, syn Marcelego; Józef O. ze swymi synami Józefem i Bronisławem; Tadeusz W.; S.

Ludwik; Bolesław P.; S. Andrzej, zamieszkały Bartki, gmina Jedwabne; bracia D., Hieronim i Wacław; Ignacy W.; bracia M., Jarosław i Jan; Kazimierz M., przezwisko „Wiktorczuk”; bracia Ś., Stefan i Jan; bracia M., synowie Tadeusza, przezwiskiem „Patraje”, oraz wielu innych, których nazwisk nie pamiętam, zamieszkali we wsi Makowskie, gmina Jedwabne. W. Józef i Marian, Tadeusz W. i inni, nazwisk nie znam, zamieszkali we wsi Koniecki, gmina Jedwabne, pow. Łomża.

Całe to zajście widział M. Stanisław, syn Piotra, i Marianna M. z domu K., do której po spaleniu zabudowań bandyci przyszli po brony celem rozszarpania nimi żony mego brata W. Aleksandra oraz wielu innych mieszkańców wsi Bartki.

W tym samym składzie, składająca się z osobników zamieszkałych w Burzynie, Szostakach i Mocarzach, gmina Jedwabne, pod dowództwem wychowanka księdza z Burzyna, na imię miał Roman [U. – przyp. M.T.], dokonała napadu na działaczy demokratycznych [tj. komunistycznych – przyp. M.T.] K. i W., których w bestialski sposób pomordowali, połamali im ręce i nogi, powybijali zęby, powyrzynali języki. Kto wchodził w skład tej bandy, muszą wiedzieć mieszkańcy wsi Siestrzanki, którzy to zajście obserwowali, ponieważ działo się to porą dzienną. Ja z dziećmi zbiegłam do rodziny mego męża pod Warszawę.

Mąż mój ze swym bratem Aleksandrem w dniu 25 czerwca, ukrywając się na polach, zaszli do Jedwabnego, prosić o posiłek. Wówczas spotkał ich mieszkaniec Jedwabnego Czesław L., męża mego spoliczkował i wydał Niemcom. Podczas kiedy męża

> mego prowadzili na rynek w Jedwabnem, niejaka S. i wielu innych pluli im w twarz, nazywając komunistami. Następnie Niemcy wywieźli ich wraz z trzema Żydami za miasto i zostali rozstrzelani. Członkowie tej bandy, jak później chodziły wieści, brali udział w paleniu osób narodowości żydowskiej w Jedwabnem.

Na podstawie tych dwóch relacji oraz świadectw wielu innych świadków wyróżnić możemy **etap pojedynczych mordów**, dokonywanych przez mieszkańców miasteczka Jedwabne. Polegał on na pojedynczych aktach terroru i samosądach, połączonych ze znęcaniem się nad podejrzewanymi o współpracę z aparatem komunistycznym. Ofiarami tych działań byli zarówno Polacy, jak i Żydzi. Ważne jest to, że już w trakcie tych mordów ukazała się cała bezwzględność sprawców oraz poczucie społecznej bezkarności. Zabójstwa były bowiem połączone z wyjątkową, nawet jak na okoliczności wojenne, dozą sadystycznej przemocy oraz dokonywane zbiorowo, w biały dzień, z licznym udziałem oraz wsparciem świadków z miejscowej społeczności.

Po tych wydarzeniach zbrodnia w Jedwabnem wkroczyła w drugi etap i przez miasto przetoczyła się fala „samobójstw". Niektórzy żydowscy mieszkańcy, zastraszeni oraz poddani przemocy przez Polaków, postanowili sami zakończyć swoje życie. Jest to znany mechanizm psychologiczny opisywany w literaturze przedmiotu, gdy ofiary przemocy wyprzedzają działania oprawców, by zachować kontrolę nad momentem swojej śmierci. W Jedwabnem akty samobójstw połączyły się również z dzieciobójstwem.

SZMUL W.[43]
Żyd, mieszkaniec Jedwabnego,

K. Chaja, 28 lat, i B. Zosia, 26 lat, obie z niemowlętami na rękach, widząc, co się dzieje, poszły nad sadzawkę, woląc raczej utopić się wraz z dziećmi, aniżeli wpaść w ręce bandytów. Wrzuciły one dzieci do wody i własnymi rękami utopiły, później skoczyła B. Baśka, która poszła od razu na dno, podczas gdy K. Chaja męczyła się przez kilka godzin. Zebrani chuligani zrobili z tego widowisko, radzili jej, aby się położyła twarzą do wody, a wtedy to się szybciej utopi, ta widząc, że dzieci już utonęły, rzuciła się energiczniej do wody i tam znalazła śmierć.

ICCHAK JAAKOW (JANEK) N.[44]
Żyd, mieszkaniec Jedwabnego

Również żona i siostra Aarona K., które próbowały bezskutecznie uciec z Jedwabnego, gdy zobaczyły, że zostaną pochwycone przez goniących je Polaków, wbiegły do wody i przecięły sobie żyły, by uniknąć zgwałcenia przed śmiercią.

W efekcie tych wydarzeń, po przekupieniu Niemców przez środowiska żydowskie miasteczka, w Jedwabnem został wzmocniony posterunek polowej żandarmerii niemieckiej do liczby jedenastu żołnierzy. Z sytuacjami przekupywania przez Żydów żołnierzy niemieckich dla ochrony przed Polakami mieliśmy do czynienia później również w Goniądzu i Grajewie. Żandarmeria otrzymała zadanie zaprowadzenia w mieście spokoju i porządku. Stacjonowała tam przez miesiąc, czyli w najbardziej newralgicznym okresie. Żandarmi jednak zachowywali się biernie, nie

interweniowali w obronie ludności żydowskiej, jako Niemcy nie mieli w tym zresztą żadnego interesu. Poza tym otoczeni przez żywioł polski – a pamiętajmy, że w okolicy samego Jedwabnego od 1940 r. przebywało w lasach około 200 polskich partyzantów – nie chcieli się narażać pomaganiem Żydom.

Na jakiej podstawie możemy mówić o takiej właśnie liczbie polskich partyzantów przebywających w okolicach miejscowości Jedwabne w lipcu 1941 r.? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba cofnąć się nieco w czasie do wydarzeń związanych z upadkiem partyzanckiej bazy na uroczysku Kobielno w pobliżu Jedwabnego w 1940 r. W świetle relacji świadków, które znajdują się w dokumentach archiwalnych IPN, baza na Kobielnie mogła być w niektórych okresach zamieszkiwana maksymalnie przez 500 partyzantów polskich, choć zwykle przebywało w niej od 40 do 80 ludzi stałej obsady.

Jak powstała ta partyzancka baza? Jak zgodnie stwierdzają wszystkie zachowane relacje ustne oraz pisemne, *spiritus movens* antykomunistycznej konspiracji polskiej w regionie Jedwabnego byli dwaj księża katoliccy: opisywany już tu ks. Marian Szumowski, proboszcz parafii Jedwabne, oraz ks. Stanisław Cudnik, proboszcz parafii Burzyn. Który z nich podjął decyzję o tworzeniu ruchu oporu na terenie gminy Jedwabne, nie jest do końca jasne. Faktem natomiast bezsprzecznym jest to, że już późną jesienią 1939 r. obaj ściśle ze sobą współpracowali.

Potwierdzają to raporty NKWD[45] z tego rejonu, akcentujące sprawczą rolę katolickich księży w inicjowaniu polskiej działalności „kontrrewolucyjnej” i powstańczej w ramach organizacji określanej przez nich nazwą Narodowe Oddziały Wojskowe[46]. Bez wątpienia rola, jaką odegrali obaj księża, była trudna do przecenienia

w tworzeniu struktury podziemnej na tym terenie. Obaj byli autorytetami moralnymi i religijnymi we wspólnotach miejscowych polskich elit i chłopstwa, obaj przywódcami partii narodowych z okresu międzywojennego. Byli zatem predestynowani do podjęcia tego wyzwania.

Kim byli owi księża? Wedle ustaleń Tomasza Strzembosza[47] ks. kanonik Marian Szumowski urodził się w 1895 r., zatem gdy rozpoczynała się okupacja sowiecka, nie miał jeszcze czterdziestu pięciu lat, był więc w pełni sił witalnych i intelektualnych. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1922 r. w diecezji łomżyńskiej. Od 1931 r. był proboszczem w Jedwabnem, a od 1935 r. dziekanem dekanatu łomżyńskiego. Od zawsze był też związany z polską skrajną prawicą i zdecydowanie przeciwstawiał się w swojej pracy duszpasterskiej wyimaginowanej lub realnej „dominacji ludności żydowskiej" na tych terenach.

Ksiądz Stanisław Cudnik był o rok starszy od swojego towarzysza w posłudze kapłańskiej i pracy konspiracyjnej, jednak mimo to święcenia kapłańskie przyjął w tym samym roku co on. Jego droga do kapłaństwa była bardziej skomplikowana. Mimo że z urodzenia był łomżyniakiem, wcielony został do armii rosyjskiej w 1916 r. i przez rok służył w carskiej piechocie jako oficer kadrowy. Dopiero po zwolnieniu ze służby wojskowej ukończył seminarium w Łomży. Pracował najpierw w kilku parafiach na terenie Łomżyńskiego, a 1 września 1938 r. otrzymał nominację na stanowisko proboszcza we wsi Burzyn nad Biebrzą. Był więc tutaj kimś nowym i dopiero musiał zdobyć autorytet wśród parafian, choć szło mu to bardzo sprawnie – np. zyskiwał sympatię wiejskich chłopaków, imponując im szybką jazdą na motorze, której był pasjonatem. Już sam jednak fakt, że znalazł się na tym terenie stosunkowo późno, pozwala przypuszczać, że to raczej kanonik

Szumowski, z jego przez wiele lat ugruntowywanym autorytetem wśród miejscowej ludności i rozległymi wpływami politycznymi, był głównym twórcą zawiązanej na jesieni 1939 r. organizacji konspiracyjnej.

Mieliśmy zatem do czynienia z następującą sytuacją: pod koniec 1939 r. na terenie Łomżyńskiego, w gminie Jedwabne, było dwóch aktywnych kapłanów w sile wieku, o zdecydowanych antykomunistycznych i w jakimś stopniu antysemickich poglądach. Jeden o ogromnym politycznym i religijnym wpływie na miejscowych Polaków, drugi z przeszkoleniem wojskowym i osobowością sportowca-turysty. Wszystko to sprzyjało podjęciu działalności konspiracyjnej, co rzeczywiście wkrótce obaj uczynili.

Organizacja, którą powołali do życia, bardzo szybko się rozrastała. Miejscowi polscy mężczyźni masowo garnęli się do konspiracji tworzonej przez obu kapłanów, wstępowali w tajne szeregi, by walczyć z bolszewikami i Żydami o swoje prawa. Wstępowali tym chętniej, że na terenie gminy Jedwabne pod koniec 1939 r. pojawił się trzeci charyzmatyczny przywódca polskiej konspiracji, major Aleksander Burski.

Pod koniec 1939 r., po przegranej kampanii wrześniowej oraz po objęciu jurysdykcją tych terenów przez ZSRR, również w pobliskim Radziłowie powstały organizacje konspiracyjne, które po scaleniu pod dowództwem Teofila K. „Kosy”, „Dołęgi”, przeszły następnie pod komendę mjr. Burskiego i ks. Szumowskiego z Jedwabnego. Zgodnie z założeniami organizacji mjr. Burskiego przez cały 1940 r. przygotowywano się do powstania przeciwko Sowietom, wierząc, że z pomocą nadejdzie armia generała Andersa lub „jakieś inne polskie wojsko” – o istnieniu wśród miejscowych konspiratorów takich powstańczych planów i przekonań świadczą relacje Henryka P., kpr. Antoniego B.

czy inżyniera P. oraz wielu innych świadków działania i członków tej organizacji konspiracyjnej.

HENRYK P.[48]

Polak, inżynier, mieszkaniec Burzyna

[…] W grudniu 1939 r. zjawił się na terenie Jedwabnego nowo przybyły osobnik, który zgłaszając się u dziekana jedwabińskiego, przedstawił się jako delegat rządu londyńskiego, legitymując się legitymacją majora dyplomowanego wystawioną przez MSW na nazwisko Burski i odpowiednim pismem na wstążce jedwabnej, żądając przekazania kierownictwa w jego ręce. Dziekan, ulegając prawdopodobnie przedstawionym dokumentom, kierownictwo przekazał, ułatwiając mu osobiście kontakt z księdzem Cudnikiem i resztą wtajemniczonych, nakazując podporządkowanie się jego dalszym zarządzeniom. Ponieważ przyjazd takiego delegata był oczekiwany, osobnik ów nie wzbudził żadnych podejrzeń. Zorganizował on na nowo sieć placówek i łączników na wsie Nadbory, Radziłów, na Łomżę, Jedwabne, Wiznę, Burzę [Burzyn], Mocarze, Szczuczyn i inne, których nazw nie pamiętam.

Nakazywał on w dalszym ciągu zbieranie broni, dokładne raportowanie jej ilości oraz stanów, nie zalecał jednak sabotowania zarządzeń bolszewickich, motywując to, że wzmożona przez to czujność NKWD będzie utrudniała właściwą pracę organizacji, tj. przygotowanie się do powstania.

[…] Drugi rozkaz, jaki wydał Burski, żądał wykonania spisów imiennych i pseudonimów z całego stanu organizacji. Rozkazowi temu oparłem się z całą

stanowczością i wraz z panem K. przeprowadziłem agitację za niewykonywaniem tego rozkazu, wywierając presję na księdzu Cudniku, do ustąpienia i niemieszania się w te sprawy. Dzięki temu udało się nam niemal w ostatniej chwili obronić dwie wsie od aresztowań. Burski bowiem po otrzymaniu spisów rozkazał przenieść się do obozu warownego stworzonego na zalesionych bagnach pod Giełczem celem przygotowania się do powstania. Godna wzmianki jest w tym miejscu ofiarność naszego społeczeństwa, które nie szczędziło swego dobytku na utrzymanie wspomnianej partyzantki w liczbie około 1500 osób. Niedługo jednak nastąpił atak bolszewicki na obóz, mimo że akcja ta, jak nam się zdawało, była doskonale zakonspirowana, skończyła się rzezią partyzantów. Co gorsza, Burski, poddając obóz, wydał wspomniane spisy. Nastąpiły masowe aresztowania i deportacje w głąb Rosji.

[…] Po tych represjach cała akcja została poważnie zahamowana, a jednostki bardziej bojowe organizowały małe oddziały partyzanckie, które prowadziły akcje terrorystyczne w stosunku do NKWD i ich współpracowników.

ANTONI B.[49]

Polak, kapral, wieś Witynie (gmina Jedwabne, powiat Łomża)

Została u nas zawiązana tajna organizacja wojskowa na terenie powiatu Łomża oraz powiatu Białystok. Działaliśmy wspólnie. Zadaniem tej organizacji było się zorganizować i wywołać powstanie [przeciwko] wojskom sowieckim, które się znajdowały i okupowały

Ukrainę i Białoruś oraz część Królestwa. Organizacja dotarła do nas 3 stycznia 1940 r. Ja, kapral B. Antoni ze wsi Witynie, powiat Łomża, zostałem zawiadomiony, ażeby przyjąć na siebie obowiązki zastępcy dowódcy placówki. Zadanie nasze było zorganizować zdatnych i najlepszych obywateli Polski. Organizacja nasza na tym terenie, który nam został powierzony, poszła nam doskonale. Zadanie nasze było jak najwięcej dostarczyć broni i amunicji do naszego sztabu głównego, który się wtenczas mieścił na terenie powiatu Białystok, było to u gajowego W. w lasach państwowych należących do lasów Grajewo.

Dowódcą naszego sztabu był Burski, w sztabie znajdowali się oficerowie i nauczyciele, i wielu innych, których Sowieci mieli wywieźć do Rosji lub osadzić w więzieniach [i] których w czas ostrzeżono, bowiem ukryli się oni w sztabie. Było tam bardzo dobre miejsce dla głównej organizacji dlatego, że to było w lesie otoczone naokoło błotem. […] Więc jeszcze się mieściła główna placówka w miasteczku Jedwabnem powiatu Łomża i druga we wsi Kąty na terenie powiatu Łomża. Komendantem placówki wieś Kąty na terenie powiatu Łomża był B. Józef, waleczny kapral z 1920 r.

A więc dalej nasza wioska stoi na środku i prostej drodze z Jedwabnego do głównego sztabu Kobielna i wciąż nocami jeżdżą gońce i oficerowie placówka główna Jedwabne a główny sztab Kobielna przez naszą wioskę.

[…] W tym czasie nasza organizacja idzie bardzo dobrze. Wszyscy pracujemy, jak dzień, tak i noc, przeprowadzamy zbiórki w nocy, tajnie zbieramy broń, gdzie się rozbrajało polskie wojsko i broń była

zakopana, a więc my ją dostarczali do swego sztabu, jak kbk, amunicję i broń maszynową, dostarczaliśmy do sztabu, co tylko mogliśmy. Ja sam dostarczyłem do sztabu kilka kbk, 4 tysiące sztuk naboi, 7 szabel polskich, około 12 par ładownic i jeszcze różnych rzeczy, a ze sklepu dostarczyłem materiały różne, jak papier do pisania, ołówki, opatrunki osobiste, jodynę, apteczki. O doktora było trudno, a w sztabie było czasem około 100–200 ludzi w organizacji, byli zbiórki zboża, mieliśmy i dostawaliśmy mąkę, mięso żywe sztuki, dostarczaliśmy bardzo dużo pieniędzy na zakup broni, gdzie nie można było dostać darmo, ale wszystko szło tajnie. Dalej w wiosce robiliśmy zbiórki w niedzielę, gdzieś w lesie lub w stodole się ubezpieczaliśmy i przygotowaliśmy żołnierza do boju. Byli tacy, co w wojaku nie byli, przerabialiśmy z nimi trójkąt błędu i celowanie rzutu granatem, przygotowaliśmy się, cośmy tylko mogli, już na wypadek powstania zapisane było zgodnie u gospodarzy konie, wozy pod broń i wozy pod żywność. Mieliśmy dużo prowiantów, jak mięsa suchego wieprzowego i słoniny. Komunikowaliśmy się z innymi placówkami, u nich tak samo.

Było w naszej placówce 35 ludzi, w tym jeden plutonowy, 5 kaprali, byli to ludzie najlepiej oddani ojczyźnie naszej. A więc na wypadek powstania jeszcze mieliśmy zebrać ze sobą około 50 ludzi z naszej wioski, którzy o organizacji nie wiedzieli. A więc naszych placówek naokoło miasteczka Jedwabnego było bardzo dużo, bo prawie w każdej wiosce była placówka.

W szeregach partyzantów walczyły dwie kobiety: Helena L., krewna braci L., uczestników późniejszego mordu w Jedwabnem, oraz Józefa P. Helena L., urodzona w 1914 r., mieszkanka Jedwabnego, należała do organizacji antykomunistycznej Burskiego od jesieni 1939 r. Jej mąż był działaczem „Strzelca", ale po wkroczeniu Rosjan uciekł do Generalnego Gubernatorstwa, a ona została sama w domu z dziećmi. W lutym 1940 r., ostrzeżona przez nieznaną przyjaciółkę pochodzenia żydowskiego, że znajduje się na liście wyznaczonych do wywózki na Sybir, uciekła z miasteczka do bazy na Kobielnie wraz z córką Ireną L. oraz siostrą Ireną H.

Baza znajdowała się w głębi mokradeł okalających Jedwabne, w miejscu, gdzie przez lata stała gajówka zamieszkana przez gajowego W. z rodziną. Wokół rozciągały się ostępy leśne i bagna, a dodatkowo mjr Burski kazał bazę otoczyć gęstą siecią czujek i patroli, które miały informować o zbliżaniu się wroga. Baza była świetnie wyposażona i uzbrojona. Broń powstańcy zdobywali, najczęściej odkopując składy pozostawione przez żołnierzy polskich z kampanii wrześniowej lub kupując ją nielegalnie od Rosjan. W wyposażeniu oddziałów Burskiego była więc broń polska i rosyjska. To interesujący szczegół, który warto zapamiętać, ponieważ, jak się okaże, w wyniku prac ekshumacyjnych prowadzonych przy stodole w Jedwabnem w 2001 r. odnaleziono na miejscu łuski pochodzące m.in. właśnie z broni rosyjskiej. W bazie była ponadto broń ciężka – pięć karabinów maszynowych. Cekaemy ustawiono na wszystkich podejściach do bazy, tak by tworzyły pole śmierci i strefę rażenia, przez które żaden z wrogich oddziałów nie mógł się przedostać. O jej zabójczej skuteczności mieli się wkrótce przekonać nacierający na bazę enkawudziści.

Niefrasobliwa, często wynikająca z przekonania o własnej sile militarnej postawa antykomunistycznych partyzantów z Kobielna musiała przynieść tragiczne dla organizacji mjr. Burskiego efekty. Do NKWD dość szybko dotarły informacje o położeniu samej bazy i jej umocnieniach. To, że przyczyną jej okrążenia i rozbicia była zdrada, zostało udowodnione ponad wszelką wątpliwość. Przy czym różni świadkowie wskazywali na różnych „zdrajców", choć na ogół na członków samej organizacji bądź znających jej członków polskich chłopów. Przyjąłem najbardziej prawdopodobną wersję wynikającą z zeznań kpr. Antoniego B. z Wityń, że zdrajcą był miejscowy polski komunista W., bo to także wyjaśnia przyczyny ataku na jego gospodarstwo dokonanego przez polskich antysowieckich partyzantów w pierwszych dniach inwazji Niemiec na ZSRR w czerwcu 1941 r. O tym, że W. był agentem sowieckim i donosił (choć w innych sprawach), mówi też raport NKWD z Jedwabnego autorstwa lejtnanta Kostrowa, znajdujący się w aktach śledztwa prowadzonego przez IPN.

ANTONI B.[50]
Polak, kapral, wieś Witynie (gmina Jedwabne, powiat Łomża)

> […] Dąbrowski się porozumiał z teściem W. i zaraz W. zameldował NKWD, a NKWD zaraz zawiadomiło Białystok, i zaraz przyjechali Sowieci w 40 maszyn, i maszyny postawili o 10 km, a sami otoczyli naokoło ten las i błota i tyralierą maszerowali naprzód, i coraz więcej zaciskali pierścieniem, i zbliżali się do sztabu [na Kobielnie – przyp. M.T.]. Tylko z jednej strony od wsi Chyliny nie zamknęli drogi, posterunek na ten czas zasnął, który stał na warcie, jak się ocknął, był

wschód słońca, a Sowieci już byli od niego o 200 metrów. On natychmiast przybiegł i zaalarmował naszą placówkę.

Otworzyliśmy ogień, było to dnia 22 czerwca 1940 r. Sowieci atakowali, gwałtownie padając na ziemię jak dziki, ponieśli duże straty, stwierdzili, że było 36 zabitych i około 90 rannych. Straty po naszej stronie wyniosły 6 zabitych i 2 rannych i 2 kobiety zostały zabite – L. z Jedwabnego i gajowego żona, które się broniły ręcznymi granatami, rzucając granaty przez okna.

[…] W kierunku Chylin uciekł Burski komendant, gajowy W. i T. Antoni z Jedwabnego. […] Kiedy Sowieci nagle zaatakowali, to nasi schwycili wszystkie nasze dokumenty i zakopali pod krzakiem nie bardzo daleko od mieszkania; więc Sowieci znaleźli nasze wszystkie dokumenty, a tam było napisane każde nazwisko i imię, i pseudonim, i wszystko było jasne, co kto działa, jak tylko Sowieci zdobyli książkę. Zaraz zaczęli nocami otaczać całe wioski, w których były nasze placówki, i wyłapywali wszystkich chłopów, i patrzyli do spisu – kto figurował w książce, tego zabierali do więzienia, kogo nie było, tego puszczali, zaczęły się masowe aresztowania.

Mimo tchórzliwej ucieczki majora Aleksandra Burskiego, który nawet nie próbował organizować obrony, jego ludzie stanęli do walki. Bitwa na Kobielnie trwała do południa. W jej wyniku zginęło dziewięciu powstańców i około stu żołnierzy NKWD, a więc obrona była zaciekła i skuteczna! Duże straty Rosjan wiązały się z koniecznością ataku po nieosłoniętych łąkach na dobrze zamaskowane karabiny maszynowe powstańców Burskiego. W trakcie ataku zginęły

także kobiety. Anna W., żona gajowego, i Helena L. stanęły przy oknach, gdzie znajdowały się kosze z granatami. Helena L. krzyknęła do Józefy P., żeby paliła dokumenty. Ta wyniosła je na podwórze i podpaliła. Gdy żołnierze sowieccy zbliżyli się, Anna W. i Helena L. z córką Ireną L. wybiegły, by wydostać się z otoczonego terenu. Obie jednak zostały na podwórzu zastrzelone. Helena L. zginęła na miejscu. Annę W. pocisk trafił w brzuch, „wylały się wnętrzności”[51]. Irenka, malutka córka Heleny L., przeżyła bitwę, żołnierze sowieccy zabrali ją do ochronki. Później została zwrócona rodzinie L. na wychowanie.

Bramy powitalne ustawione na cześć wojsk sowieckich, na zdjęciu najprawdopodobniej ulica w Białymstoku, 1939 r.

Postawa samego Aleksandra Burskiego nie dość, że tchórzliwa, przyniosła katastrofalne skutki. Major Burski przygotował bowiem dużo wcześniej, o czym już pisałem, listę swoich bojowników, na której zawarł ich dane osobowe oraz stopnie i funkcje pełnione w organizacji. Na kilka dni przed atakiem na Kobielno ukrył spis pod jednym z drzew na bagnach. Gwałtowność ataku NKWD sprawiła, że nie zdołał listy zabrać ze sobą, a kobietom będącym w bazie nie udało się jej spalić. Enkawudziści bardzo szybko, po zastosowaniu brutalnych metod przesłuchań wobec

pochwyconych na Kobielnie powstańców, znaleźli ów bardzo szczegółowy wykaz wszystkich konspiratorów z organizacji Burskiego z okolic Jedwabnego. Okazało się to najbardziej tragiczną w skutkach konsekwencją zdobycia przez Rosjan bazy na Kobielnie. Sowieci skrupulatnie, zgodnie z listą przygotowaną przez dowódcę partyzantów oraz informacjami pozyskanymi w brutalnym śledztwie, chodzili teraz od domu do domu w Jedwabnem i Radziłowie i aresztowali członków organizacji partyzanckiej.

F.I. SEWOSTIANOW[52]

Rosjanin, młodszy lejtnant bezpieczeństwa, funkcjonariusz jedwabieńskiego NKWD

Ja, pełnomocnik operacyjny Jedwabińskiego Rejonowego Wydziału NKWD BSRR, uznałem, że D.S.A. figuruje w głównej księdze, skonfiskowanej podczas likwidacji kontrrewolucyjno-powstańczego sztabu w Rejonie Jedwabnowskim.

[…] Zapytałem: Kogo z członków organizacji powstańczej znacie?

D.S.A. odpowiada: We wsi Burzyn w Rejonie Jedwabnowskim członkami powstańczej organizacji są:

D. Józef, syn Józefa,
K. Władysław, syn Stanisława,
jego brat K. Franciszek,
M. Wacław, syn Aleksandra,
M. Jan, syn Antoniego,
M. Józef, syn Antoniego,
T. Józef, syn Adama,
K. Władysław, syn Franciszka.

JAN K.[53]
Polak, w trakcie przesłuchania w NKWD, 6 maja 1941 r.

[…] Do grona uczestników powstańczej organizacji ja, K., byłem zwerbowany w miesiącu marcu 1940 r. przez członka tej organizacji Baltazara Ś., w następujących okolicznościach: Ś. przyszedł do mnie do domu, w Grądy Duże, i zaczął mi opowiadać o tym, że na terytorium Rejonu Jedwabnego istnieje „partyzancka organizacja", która stawia sobie za cel obalenie władzy radzieckiej na terytorium byłej Polski w drodze zbrojnego powstania, oprócz tego mówił, że wszyscy chłopi już zaczynają wstępować do tej organizacji. Po czym Ś. zaproponował, bym wstąpił do powstańczej organizacji, na co ja wyraziłem swoją zgodę. Od tego czasu zostałem uczestnikiem powstańczej organizacji.

JAN G.[54]
Polak, w trakcie przesłuchania w NKWD, 29 czerwca 1940 r.

[…] Zadanie Burskiego dotyczące tworzenia powstańczych placówek we wsi Kamionki, Koniecki, Grądy Małe, Grądy Duże i Makowskie zostało w pełni przeze mnie wykonane. Zgodnie ze wskazówkami Burskiego przeze mnie osobiście były zwerbowane do powstańczej organizacji następujące osoby: Ś. Baltazar, K. Jan.

ANTONI M.[55]
Polak, bojowiec organizacji Burskiego

[…] Po rozbiciu oddziału w Kobielnem w ręce Sowietów wpadła książka, w której zapisane były

nazwiska wszystkich członków organizacji, i wtedy zaczęły się aresztowania. W dniu 6 sierpnia 1940 r. Sowieci otoczyli Pluty, rano 7 sierpnia 1940 r. Sowieci chodzili po domach z zapisanymi nazwiskami tych, którzy należeli do organizacji, i po kolei zabierali. Wtedy aresztowano mnie, Jana R., Bolesława S., Aleksandra M. i M. Władysława i Adama K. Pozostali ukryli się i nie zostali tego dnia zabrani.

Zwykli bojownicy, jak Jan S., ps. „Lis", którego zeznanie cytuję poniżej, i ich rodziny, nie mając świadomości, czym jest i skąd ta lista pochodzi, a widząc w szeregach enkawudzistów również Żydów (np. w pobliskiej Wiźnie spośród ośmiu milicjantów sowieckich czterech było narodowości żydowskiej, a czterech polskiej), szybko połączyli fakty w swojej, nasiąkniętej antysemickimi obrazami, wyobraźni.

JAN S., „LIS"[56]
Polak, bojowiec organizacji Burskiego

[…] Przysięgę złożyłem na ręce „Jaszcza". Sami byliśmy w pokoju. Dopiero wtedy dostałem zadanie. Jednak po trzech miesiącach Żydzi wydali organizację [podkreślenie – M.T.]. Chodziło o to, że część oficerów wycofała się za Biebrzę. Były tam ogromne torfowiska. I tam założyli obóz. Sowieci w odróżnieniu do Niemców nie bali się iść w las. […] No i niestety ich obóz, który był na błotach jakieś 2 kilometry za Młociarzami [Mocarzami], został otoczony przez Sowietów i wszyscy zostali wybici. Może jednak nie wszyscy, skoro zaczęły się aresztowania.

Ludzie od Burskiego, karmieni przez dziesięciolecia przedwojenną agitacją antysemicką, nie potrzebowali innych odpowiedzi. „To Żydzi wydają naszych!”, jak echo przetaczało się w formie plotki podawanej z ust do ust przez łomżyńskie zaścianki. „To Żydzi komuniści wysyłają Polski naród na Sybir!”, zagrzmiało w duszach miejscowych Polaków święte oburzenie. Niewielu bowiem zdawało sobie sprawę, skąd jedwabieńskie NKWD zdobyło tak szczegółową listę partyzantów, a zresztą też nikt się nad tym specjalnie nie zastanawiał, bo winni zostali szybko odnalezieni i wskazani – w osobach żydowskich sąsiadów. Tylko na zemstę trzeba było jeszcze poczekać aż do przyjścia Niemców. Na razie, w 1940 r., zagryziono wargi i zduszono nienawiść, czas zemsty miał dopiero nadejść.

Transparenty powitalne. Zdjęcie najprawdopodobniej wykonane w Białymstoku lub innej miejscowości tzw. Zachodniej Białorusi po wkroczeniu wojsk radzieckich w 1939 r.

Ich wściekłość była zresztą o tyle uzasadniona, że rzeczywiście kilku członków żydowskiej społeczności ściśle współpracowało z sowieckimi okupantami.

JANINA B. Z DOMU Ś.[57]
Polka, mieszkanka Jedwabnego

[…] Na końcu tej ulicy Przestrzelskiej zobaczyłam na środku ulicy stół nakryty czerwonym płótnem. Nad nim przez ulicę wisiał czerwony transparent od piekarni Żyda S. do domu Bronisława M. Na nim było napisane „Witamy”. Ten S. i M. to byli komuniści. Na ulicy na pewno byli jacyś ludzie, lecz ich nie pamiętam. […] Potem nadeszły te wojska, była to piechota. Witali ich Kazimierz K. z żoną Bolesławą oraz Żyd Socher L. z żoną. Jej imienia nie znam. To była sąsiadka z ul. Poświętnej. Mówiliśmy o niej L. Oni witali Sowietów chlebem i solą. Co do Kazimierza K., to przed wojną siedział za komunę. Także po wejściu Sowietów Kazimierz K. został aresztowany. Chodziło o to, że podobno skrytykował on ustrój bolszewicki, widząc, jak wykopuje się kartofle w Jedwabnym, aby je wywieźć do Rosji. Sowieci zamurowali go podobno żywcem w więzieniu w Łomży. Jak tam było naprawdę, tego nie wiem.

LUCJAN STANISŁAW Ś.[58]
Polak

Utkwiło mi natomiast w pamięci zdarzenie, które miało miejsce w tygodniu poprzedzającym rozpoczęcie wojny niemiecko-radzieckiej w 1941 r. Było to jakoś w środku dnia. Przez okno, bo nie wychodziłem z domu, widziałem, jak drogą, jakieś 30

metrów od domu, gdzie mieszkałem, szedł pochód ludzi. Byli to ludzie, którzy szli piechotą w kierunku Jedwabnego. Nieśli jakieś bagaże i pakunki.

Nie potrafię określić, ile szło osób i przez jaki okres czasu je obserwowałem. W każdym razie było ich dużo. Ludzie ci byli eskortowani przez umundurowanych żołnierzy radzieckich z karabinami oraz cywilami z karabinami. Z opowiadań starszych u mnie w domu wynikało, że cywilami byli Żydzi.

Po przeanalizowaniu składu osobowego administracji sowieckiej w rejonie Jedwabnego należy stwierdzić, że teza o szczególnie licznej obecności Żydów w jej strukturach nie znajduje potwierdzenia. Otóż po wkroczeniu wojsk radzieckich:

[…] Aparat władzy składał się w Jedwabnem z ludzi ze wschodnich obwodów Białorusi. W ciągu pierwszego roku okupacji przybyło stamtąd do rejonu 165 urzędników. Zdecydowanie przeważali wśród nich Białorusini (105), Żydów było 14 (8,5 proc.), Polaków – 3 i pod tym względem sytuacja była podobna, jak w innych rejonach[59].

„Radzieccy” Polacy pełnili następujące funkcje: Antoni S. był dyrektorem Niepełnej Szkoły Średniej w Wiźnie, Kazimierz R. – pracownikiem Wydziału Organizacyjno-Instrukcyjnego Rejonowego Komitetu Komunistycznej Partii Białorusi KP(b)B w Jedwabnem, a Józef G. – kierownikiem Wydziału Propagandy w tymże komitecie[60]. Co więcej, agentura NKWD w rejonie Jedwabnego składała się głównie z Polaków. Z NKWD utrzymywał kontakty nawet jeden z najaktywniejszych uczestników późniejszego pogromu, Zygmunt L.

ZYGMUNT L.[61]

Polak, mieszkaniec Jedwabnego, uczestnik mordu

[…] Ojca aresztowano najpierwszego. Henryk K. chodził potem i robił listy osób. Było tak, że rodziny tych aresztowanych wysyłano na Sybir. Henryk K. był także z Ruskimi w naszym domu. Spisywał całą naszą rodzinę – matkę i dzieci. Henryk K. nie mówił, po co to jest robione, lecz ja zacząłem się domyślać. Było to w 1940 r., w kwietniu, przyszli wtedy, żeby nas wywieźć dokładnie 13 kwietnia. Wcześniej jednak dowiedziałem się, że na ten dzień Sowieci kazali podstawić na rynek w Jedwabnym dużo furmanek. Dlatego myśmy się ukryli, żeby nas nie złapano w domu. Ja skojarzyłem, że mogą wywozić rodziny aresztowanych. Ukrywałem się u różnych znajomych osób. Podobnie mój brat Jerzy L. […] Tak chowaliśmy się przez pół roku.

To już mi obrzydło, tak być na cudzej łasce. Kiedyś od jakichś kolegów dostałem książeczkę napisaną po polsku. Zawierała ona streszczenie konstytucji stalinowskiej. Takie książeczki rozdawali wojskowi agitatorzy sowieccy, którzy robili zebrania na wsiach. W tej książeczce wyczytałem, że według konstytucji nikt nie może odpowiadać za innego, nawet ojciec za syna, a syn za winy ojca. Wobec tego ja nie mogłem odpowiadać za mojego ojca, nawet gdyby był winny. Ja przekradłem się w Jedwabnym do księdza Mariana Szumowskiego. Powiedziałem mu, że zamierzam napisać skargę. Dostałem papier kancelaryjny i napisałem skargę bezpośrednio do Stalina. Podałem w niej, że albo konstytucyjka kłamie, albo łamią ją osoby sprawujące władzę w Jedwabnym. Wysłałem ten

list – skargę w niezapieczętowanej kopercie, którą wrzuciłem do skrzynki pocztowej w Łomży. Koperty nie zaklejałem, bo liczyłem się, że list będzie cenzurowany.

Aby się zabezpieczyć, napisałem w liście, aby wszelką odpowiedź kierować na adres Franciszka S. z Jedwabnego. To był kolega, który nic nie wiedział o liście. Byłem więc przekonany, że nic mu nie zrobią.

Zaznaczyłem w liście do Stalina, że odpowiedź odbiorę osobiście. Rzeczywiście po miesiącu czasu przyszła odpowiedź na mój list. Do Franciszka S. zaszedłem nocą, aby sprawdzić, czy nie otrzymał jakiejś odpowiedzi, i ewentualnie powiedzieć, że spodziewam się listu i go odbiorę. Franciszek S. powiedział, że niczego nie dostał, ale byli Ruscy, że szukają mnie, że mówią, że jestem niewinny. Mieli także wypytywać moich stryjów, gdzie ja jestem. Stryj Konstanty L. – szewc, który mieszkał w jednym podwórzu z nimi, kiedy zaszedłem do niego, powiedział, że NKWD w Jedwabnym mnie szukało. Powiedział, że był wezwany do NKWD.

Powiedzieli, że do NKWD przyszło moje pismo i załączniki – do załatwienia. Stryj się tam bardzo zestraszył. Żeby go uspokoić, NKWD dało mu do ręki te moje pismo i załączniki. Powiedzieli, że wiedzą, iż ja jestem niewinny, i żebym się zgłosił. Ja byłem przezorny. Nie byłem pewny, czy mojego pisma nie zawrócono z drogi, ale stryj Konstanty powiedział, że widział na tych pokazanych materiałach pieczęć moskiewską.

To dało mi pewność, że moja skarga była w Moskwie i że dlatego powinienem się zgłosić. Poszedłem za kilka dni do NKWD w Jedwabnym. Byłem

przesłuchiwany 4,5 godziny. Dokładnie to pamiętam. Przesłuchiwało mnie dwóch oficerów – kapitan i porucznik, oraz kobieta w cywilu. Oni rozmawiali po rosyjsku, ale rozumieliśmy się bez tłumacza. Mieli problem z moim pismem. Ja im tłumaczyłem te pismo. Pytali mnie, po co pisałem do Stalina. Wyjaśniłem im, że z powodu niesłusznego posądzenia mnie o winy ojca. Oni trochę chcieli mnie wziąć na strachy. Mówili, że napisałem do Stalina, ale „popałem" do nich. Ja jednak pamiętając, co stryj Konstanty powiedział o moskiewskiej pieczątce na materiałach, powiedziałem, [że] oni mnie nie złapali, że sam się zgłosiłem.

Zrozumiałem, że chodzi o to, że oni tak całą sprawę utrzymywali w tajemnicy, bo bali się, że rozniesie się, że można pisać skargi do Stalina. W tym czasie żona stryja Franciszka L. już nie żyła. Jej mąż, brat mojego ojca, który był komendantem „Strzelca", krył się po lasach. Ona natomiast była w jakiejś partyzantce. Sowieci to wykryli. Z opowieści słyszałem, że ona, w jakimś bunkrze, w lesie z innymi partyzantami broniła się i strzelała do Sowietów. Została zabita. Jej siostra, Łucja z domu Ch., była w tym bunkrze i została wzięta żywcem. Była tam także trzyletnia córeczka Jadwigi L. – Irena. Rosjanie przekazali ją do ochronki. Potem stryj Franciszek odnalazł to dziecko. Siostra Jadwigi L. już nie żyje.

Podobno partyzanci zostali zdradzeni przez jakiegoś kapusia, który wkradł się do organizacji. O bronieniu tego bunkra opowiadała mi Łucja Ch., jak jeszcze żyła. Podobno Jadwiga L. broniła się do ostatka, rzucała granatem i została zastrzelona.

[…] Wracając do przesłuchiwania mnie na NKWD, ja przetłumaczyłem im moje pismo. Zaprzeczyłem, żebym ukrywał się jako partyzant. Oni byli grzeczni.

Bardzo inteligentnie mnie wypytywali. Notowali wszystko. Częstowali mnie obiadem i chcieli dać wódki. Ja odmówiłem, bo byłem zdenerwowany, a zresztą może myśleli, że po pijanemu ze mnie coś wyciągną. Po tym badaniu zostałem puszczony. Ale za tydzień – dwa tygodnie mnie wezwali. […] Przez tydzień – dwa tygodnie do następnego wezwania na NKWD Sowieci rozpytywali ludzi. Okazało się, że rozpytywano o mnie głównie Żydów. Pamiętam, że jeden z nich nazywał się G., imienia nie znam. On przed wojną miał sklep ze słodyczami przy dużym rynku, przy wyjeździe na Łomżę, od strony ulicy Łomżyńskiej. Przesłuchano sporo świadków. Śledczy mówił mi, że mam nadspodziewanie dobrą opinię od Polaków i od Jewriejów. Ja już dokładnie nie potrafię powiedzieć, kto był przesłuchiwany.

Tego Żyda G. to zapamiętałem, bo sam mi opowiedział o tym pytaniu go i że dał mi dobrą opinię. Ja zresztą i moja rodzina mieliśmy dobre stosunki z Żydami. Ja byłem dość biednym człowiekiem, bo z dochodami z murarki różnie było. U Żydów wszędzie miałem otwarty kredyt. Przy tym drugim moim pobycie na NKWD powiedziano mi, że uznają moją niewinność. Dano mi jednak niedwuznacznie do zrozumienia, abym nie rozgłaszał, że można pisać do Stalina, bo mogę mieć do czynienia z NKWD.

Ja zapewniłem, że dobrze to zrozumiałem. Ja nie mówiłem o tym nikomu, aczkolwiek potem napisałem za ojca, początkowo do Kalinina – sowieckiego ministra spraw wewnętrznych, a potem do Stalina.

Pytałem, dlaczego ojciec siedzi tak długo w więzieniu. Skoro jest winny, to powinien dostać wyrok, a jeśli niewinny, to niech go wypuszczą. Dostałem po dość długim oczekiwaniu powiadomienie, że pismo skierowano do Prokuratury Generalnej w Moskwie przy ul. Puszkińskiej 16 czy 17. Zapamiętałem ten adres, bo stamtąd dostałem odpowiedź, że skierowano pismo do prokuratora wojewódzkiego, aby ponaglił załatwienie sprawy. W przypadku, gdyby ojca uznano za winnego, miałem zostać poinformowany, za co został skazany i na wiele więzienia. Tak zostało napisane w tej odpowiedzi. Ta odpowiedź przyszła krótko przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 r. Wtedy Ruskie uciekli, a więźniowie z więzienia w Łomży uwolnili się i wrócili do domów. Mój ojciec także.

Oddawanie głosów na tzw. Zachodniej Białorusi (prawdopodobnie październik 1939 r., wybory do Zgromadzeń Ludowych)

[…] Natomiast kiedy ja nosiłem paczki do ojca do więzienia, żeby taką paczkę przekazać, na podaniu przy niej musiał podpisać się naczelnik NKWD z Jedwabnego. Bez takiego potwierdzenia można było podać tylko bieliznę. Kiedy ja poszedłem po taki podpis, naczelnik przeprowadził ze mną rozmowę. Powiedział, że zabili im dobrego człowieka.

Pytał, czy nie mógłbym im pomóc. Zdziwiłem się, jak mógłbym udzielić im pomocy. Ten naczelnik powiedział, że może będą się kręcić jacyś obcy po Jedwabnym i żeby wtedy ich zawiadomić, tj. NKWD. Ja ostrożnie podszedłem do takiej propozycji.

> Nie chcąc zrażać naczelnika, powiedziałem, że nie wiedziałbym, jak zawiadomić NKWD. Na to on odpowiedział, żeby wrzucić list do skrzynki pocztowej, która była przy NKWD, i podpisać „Popow”, a on już będzie wiedział, od kogo jest ten list.

Według danych na 1 stycznia 1941 r. w rejonie było czterdziestu sześciu członków i osiemnastu kandydatów WKP(b) skupionych w siedmiu organizacjach podstawowych. Spośród tych sześćdziesięciu czterech osób aż sześćdziesiąt było urzędnikami. Biorąc pod uwagę kryterium narodowościowe, znajdowało się wśród nich czterech kandydatów narodowości żydowskiej oraz dwóch członków narodowości polskiej[62], reszta to ludzie z zewnątrz. Trzy miesiące później stan organizacyjny powiększył się o pięć osób, ale byli to ludzie również przybyli z ZSRR. Z miejscowych jako jedyny na liście kandydatów KP(b)B w maju 1941 r. pojawił się czołowy aktywista w rejonie Władysław W. ze wsi Barki – przewodniczący komitetu wiejskiego w Siestrzankach, a wcześniej miejskiego w Jedwabnem[63]. Władysław W. nie figurował na liście przedwojennych komunistów, a z kolei byli miejscowi członkowie KPP nie znaleźli się w szeregach KP(b)B. Jako byli członkowie KPP w sowieckich władzach rejonu Jedwabnego zarejestrowało się zaledwie sześć osób, w tym cztery narodowości żydowskiej i dwie polskiej[64].

Do najwyższego szczebla władzy w rejonie, dziewięcioosobowego Komitetu Wykonawczego, dostał się tylko jeden polski komunista – najstarszy z braci K., z miejscowych Żydów nie było nikogo. K. był także kierownikiem wydziału komunalnego; wydziałem rolnym kierował natomiast Chaim W., Żyd, który został także wybrany na członka Rejonowej Rady Deputowanych

i „reprezentował” wieś Łoje-Awissa. W trakcie spotkania przedwyborczego w tej miejscowości został jednak wyśmiany jako „Jewriej” i nawet chciał zrezygnować z kandydowania[65].

Po wojnie mówiło się o znacznej „nadreprezentacji” ludności żydowskiej w sowieckich komisjach wyborczych. Ale prawda była taka, że w skład powołanej w listopadzie 1940 r. sześcioosobowej Jedwabińskiej Komisji Wyborczej oprócz dwojga robotników polskich i przybysza z Białorusi wchodziło troje, więc połowa, Żydów: Eliasz K., Ecek D. i Ena L.

Również struktura i skład jedwabieńskiego oddziału NKWD nie pozwala postawić tezy, że był obsadzony przede wszystkim pracownikami pochodzenia żydowskiego. Nie odnalazłem ani jednej informacji potwierdzającej taką opinię.

Obsada kadrowa władz terenowych w rejonie jedwabieńskim[66]:

1. Mark Timofiejewicz Radczenko – pierwszy sekretarz Komitetu Rejonowego KP(b),
2. Dimitrij Borysewicz Ustiłowskij – drugi sekretarz Komitetu Rejonowego KP(b),
3. Piotr Iwanowicz Bystrow – sekretarz ds. kadr,
4. Iwan Nikołajewicz Miedzwiedżko – po nim stanowisko objął Danił Kirejewicz Suchaczew – przewodniczący Rejonowej Rady Wykonawczej,
5. Paweł Wasilijewicz Kostrow – po nim stanowisko objął Sobolew Afanasij Fiedorowicz – naczelnik Rejonowego Wydziału NKWD,
6. A.F. Sobolew – pracownik RW NKWD,
7. D.N. Masłow – pracownik RW NKWD.

Wydział Kontrwywiadowczy NKWD z rejonu:

1. Naczelnik wydziału, starszy lejtnant bezpieczeństwa A.D. Litwinow,
2. Starszy pracownik operacyjny, sierżant bezpieczeństwa G.M. Fanina,
3. Pracownik operacyjny, sierżant bezpieczeństwa P.M. Gniedoj,
4. Pracownik operacyjny, sierżant bezpieczeństwa Kozaczew.

Tajny Wydział Polityczny:

1. Naczelnik wydziału, młodszy lejtnant bezpieczeństwa T.T. Sulejmanow,
2. Starszy pracownik operacyjny, sierżant bezpieczeństwa P.F. Popow,
3. Pracownik operacyjny, F.I. Szczyrow.

Wydział Śledczy:

1. Naczelnik, sierżant bezpieczeństwa A.F. Kukuszkin,
2. Starszy śledczy, D.A. Diaczkow,
3. Śledczy, sierżant bezpieczeństwa N.A. Iwaszyn

Struktura rejonowego Wydziału NKGB w Jedwabnem:

1. Naczelnik referatu, lejtnant bezpieczeństwa A.F. Sobolew,
2. Pracownicy operacyjni: W.A. Szewielew, M.A. Kisłow, młodszy lejtnant bezpieczeństwa F.I. Sewostjanow.

Co ciekawe, tak skonstruowane osobowo jedwabieńskie NKWD oceniało, że rady wiejskie w Siestrzankach, Łojach, Przestrzelach, Kossakach, Romanach i Radziłowie, miejscowościach leżących wokół Jedwabnego, zostały opanowane przez podziemną polską organizację powstańczą – tym samym przyznawało się do swojej całkowitej bezradności w związku z tą sytuacją[67].

Za szczególnie nieprzychylne władzy radzieckiej enkawudziści uznawali przedwojenne nauczycielstwo. Spośród pracujących przed wojną na terenie rejonu

sześćdziesięciu dziewięciu nauczycieli w ciągu roku szkolnego 1939/1940 aresztowano trzynastu jako związanych konspiracyjnie, siedmiu wysiedlono, a osiemnastu odsunięto od pracy. Nadal jednak uważano, że spośród pozostałych dwadzieścia sześć osób jest wrogo nastawionych wobec władzy radzieckiej, aktywnie przeciwdziała komunistycznemu wychowaniu młodzieży i należy je odsunąć od nauczania[68]. Bardzo nieliczni cieszyli się zaufaniem władz radzieckich – należał do nich przedwojenny nauczyciel Józef N., zatwierdzony nie tylko na stanowisku dyrektora Niepełnej Szkoły Średniej w Jedwabnem, ale także jako przedstawiciel ludowy do sądu okręgowego[69]. Z kolei sektor handlu był – jak narzekano w sprawozdaniach – „zanieczyszczony" byłymi kupcami i spekulantami, z których większość była narodowości żydowskiej.

Z Jedwabnego deportowano w głąb Rosji głównie Polaków. Dwie pierwsze deportacje (z lutego i kwietnia 1940 r.) objęły maksymalnie pięćset osób; wysiedlono siedem rodzin leśników i siedemdziesiąt siedem rodzin wcześniej represjonowanych, tj. aresztowanych[70]. Żydów jednak dotknęła trzecia deportacja, w czerwcu 1940 r., która objęła tzw. bieżeńców, czyli uciekinierów z obszarów okupowanych przez Niemców. W kwietniu 1940 r. potwierdzono obecność w rejonie około 150 rodzin bieżeńców, głównie narodowości żydowskiej, które – zdaniem władz sowieckich – dezorganizowały życie, zajmowały się spekulacją i innymi działaniami niezgodnymi z prawem[71]. Wysłano ich na wschód w trakcie deportacji czerwcowej.

Podobny obraz wyłania się z analizy zestawienia aresztowanych przez NKWD mieszkańców Jedwabnego. Analizując te dane, możemy się przekonać, że NKWD

aresztowało do września 1940 r. w Jedwabnem nie tylko Polaków, ale także Żydów, za działalność antysowiecką i kontrrewolucyjną (!). Zatrzymano bowiem: 221 członków OZON-u, 387 członków Stronnictwa Narodowego, 80 syjonistów żydowskich, 30 członków Stronnictwa Ludowego, 14 członków żydowskiego Bundu, 5 członków PPS-u oraz 37 członków POW i „Strzelca". Aresztowano także 31 członków „Młodej Polski", 19 członków „Sokoła", 25 członków organizacji młodzieży katolickiej, a także 181 tzw. kułaków, w tym Żydów.

Te dane najlepiej pokazują, jak fałszywa była teza o wyłącznym udziale Żydów w aresztowaniach oraz ich kolaboracji z władzami ZSRR, o ich komunizowaniu. Antysemicka teza „Żyd = bolszewik" w świetle powyższych danych nie znajduje potwierdzenia. Co bowiem z nich wynika? Gdy się zestawi 37 300[72] Polaków zamieszkujących rejon jedwabieński w 1940 r. z 757 zatrzymanymi działaczami polskich organizacji politycznych i porówna z 1400 Żydami mieszkańcami rejonu miasteczka Jedwabne oraz zatrzymanymi 94 żydowskimi działaczami politycznymi Bundu i ruchu syjonistycznego, to łatwo obliczyć, że Polaków zatrzymano 2 proc. w stosunku do całej polskiej ludności rejonu, a Żydów 6 proc. w stosunku do całej żydowskiej ludności rejonu. W rejonie Jedwabnego zatem w wyniku aresztowań i wysiedleń prowadzonych przez sowieckie NKWD Żydzi w swojej społeczności ponieśli większe straty niż Polacy. Stosunkowo więcej Żydów niż Polaków zatrzymało NKWD w Jedwabnem, ale to mit „żydokomuny" utrwalił się na długie dziesięciolecia w polskiej świadomości historycznej.

Po likwidacji bazy partyzanckiej na Kobielnie i zdobyciu listy członków organizacji powstańczej nastąpiły kolejne masowe aresztowania. Do końca lata aresztowano około

250 partyzantów – ponieważ na listach sporządzonych przez majora Aleksandra Burskiego było 425 nazwisk, reszta, aby uniknąć zatrzymania, ukrywała się. Te dane dają podstawę, by liczbę polskich partyzantów ukrywających się w okolicach Jedwabnego do czerwca 1941 r. szacować na około 200 osób.

Wśród aresztowanych w czerwcu 1941 r., na kilkadziesiąt godzin przed wkroczeniem do Jedwabnego Niemców, znalazły się czołowe postacie konspiracji Burskiego. Zostali ujęci, wraz z rodzinami, przez enkawudowskie trójki. Ich rodziny od razu wysyłano na wschód, a ich samych zamykano do dyspozycji śledczych w Łomży. Ponieważ żydowscy milicjanci eskortowali ich bliskich na stację kolejową, to Żydzi byli winni całemu nieszczęściu – ocenili miejscowi Polacy. Ostatnia deportacja stworzyła sprzyjający klimat do tragicznych wydarzeń następnych lipcowych dni.

> *Antysemicka struna naciągana w latach trzydziestych, dramatycznie napięta w czasie okupacji sowieckiej – pękła. Antysemickie uprzedzenia, nazistowska zachęta, oskarżenia o kolaborację, chęć zemsty i grabieży, splotły się ze sobą w zbrodniczy węzeł*[73].

Od czerwca 1941 r. Jedwabne zajmowali już Niemcy. Żandarmi polowi, stacjonujący w miasteczku przed dniem zagłady jego żydowskich mieszkańców, nie mogli czynnie powstrzymać pogromu, ponieważ było ich kilkunastu, a polskich partyzantów w okolicy – około dwóch setek. Żandarmi niemieccy starali się jedynie zapobiegać pojedynczym zabójstwom i, jak powiada świadek Kahau Awigdor N., rzeczywiście pierwsza fala mordów w Jedwabnem na jakiś czas ustała.

KAHAU AWIGDOR N.[74]

Żyd, mieszkaniec Wizny

> […] Chcę dodać, że jak przybyliśmy do Jedwabnego, żandarmeria i milicja istniały od około dziesięciu dni. Policję niemiecką zorganizowano po kilku zabójstwach Żydów i komunistów, zarówno żydowskich, jak i polskich, dokonanych przez bandy Polaków. Dlatego właśnie zorganizowano policję niemiecką – ustały zabójstwa, ale nad Żydami znęcała się milicja polska. Oni zbierali Żydów jakoby do pracy, zmuszali ich do czyszczenia wychodków gołymi rękami, do wyrywania chwastów rosnących między kamieniami, którymi wybrukowane były ulice, i do innych poniżających prac. Polacy co rano szukali Żydów do pracy.
>
> Szukali tylko mężczyzn. Mój ojciec i ja ukrywaliśmy się w polu. Co rano po Jedwabnem chodzili polscy milicjanci, żeby ich zaprząc do pracy.

Mimo to Żydzi zachowali spokój. Nie widać było w tym okresie exodusu z Jedwabnego. Najprawdopodobniej liczyli na to, że wszystko się z czasem uspokoi, a może mieli też nadzieję na interwencję bp. Łukomskiego, od którego otrzymali zapewnienie, że są w Jedwabnem bezpieczni (o czym także po wojnie mówili w zeznaniach Kahau Awigdor N. i inni świadkowie).

KAHAU AWIGDOR N.[75]
Żyd, mieszkaniec Wizny

> Ten brat mego wujka, co był naczelnikiem gminy żydowskiej, nazywał się P. Elij, on był w wojsku sowieckim. On mówi tak: byłem w gminie żydowskiej i myśmy już dwa tygodnie temu słyszeli, że będzie pogrom w Jedwabnem. Niemcy chcieli kontrybucję

> i nie mieliśmy dość marek, żeby im dać, marki czy złote wtedy polskie. Tośmy pojechali do biskupa wtedy, do Łomży, i przywieźliśmy jego eminencji biskupowi różne rzeczy żydowskie… no lichtarze, co Żydzi mieli, srebrne… a on dał nam te pieniądze i powiedział, że nic nie będzie w Jedwabnem, wszystko będzie w porządku. On jest odpowiedzialny za to. To nie może być, że tu będzie coś takiego.

Ostatni, trzeci etap bezpośredniej czystki etnicznej w Jedwabnem rozpoczął się 8 lipca 1941 r., tuż po zakończeniu takiej samej czystki w pobliskim Radziłowie. Wtedy do Jedwabnego przybyli niemieccy oficerowie z oddziałów specjalnych, i tu, w zależności od relacji, pojawiają się rozbieżności: jedni świadkowie mówią o kilku, a niektórzy nawet o kilkunastu żołnierzach niemieckich. Najbardziej jednak prawdopodobne wydają się te zeznania, które mówią bądź o jednym oficerze niemieckim z obstawą, bądź co najwyżej o kilku, którzy pojawili się tego dnia w mieście, nie licząc oczywiście istniejącej już obsady posterunku żandarmerii polowej.

Żydzi zmuszeni do wywiezienia pomnika Stalina przed Pałacem Branickich w Białymstoku

Oficerowie udali się bezpośrednio do magistratu i rozpoczęli tam rozmowy z K. i S. Niemcy dobrze wiedzieli, kim są ci ludzie. Świetnie wiedzieli, z kim mają rozmawiać w Jedwabnem, komu mogą zaufać, komu pozostawić akcję „samooczyszczenia” do samodzielnego wykonania. Sposób zachowania się „komanda śmierci” w Jedwabnem to ważny, chociaż pośredni dowód na to, że Niemcy mieli doskonałe rozeznanie wśród miejscowych Polaków.

Z relacji Szmula W. wynika też, że to dwaj Polacy prosili Niemców o zgodę na dokonanie całościowej czystki w Jedwabnem. Niemcy zgodzili się, ale próbowali jeszcze zachęcić Polaków do pozostawienia w miasteczku rzemieślników żydowskich, na których pracy mogliby

ekonomicznie skorzystać. Widząc jednak nieprzejednaną postawę polskiego zarządu miasta, odstąpili od tego pomysłu.

Jeszcze tego samego dnia na polecenie K. i S. przed budynkiem zarządu miejskiego w Jedwabnem zebrało się kilkudziesięciu mężczyzn – mieszkańców miasteczka – zaopatrzonych w baty, kije i drągi. Następnie K. i S. polecili zebranym spędzić wszystkich Żydów z Jedwabnego na plac przed zarządem. Zapędzeni na rynek Żydzi pozostali na nim do 10 lipca, na polecenie swoich oprawców ponownie wyrywali trawę spomiędzy kamieni bruku. W tym czasie byli przez nich bici, głodzeni, pozbawiani wody oraz snu. Na podstawie istniejących zeznań nie można ustalić, czy żydowscy mieszkańcy Jedwabnego byli puszczani na noc do swoich domów.

10 lipca 1941 r. o świcie do miasteczka zaczęli zjeżdżać się ludzie z okolicznych wiosek. Polacy przyjeżdżali przede wszystkim „rżnąć Żydów", cel rabunkowy był poboczny, nie najważniejszy. Świadczy o tym fakt, że w trakcie ekshumacji przeprowadzonej w Jedwabnem w 2001 r. znaleziono na miejscu zbiorowej mogiły w stodole wiele cennych przedmiotów, monet, zegarków, kluczy. Ofiary zatem nie zostały obrabowane przed śmiercią. To nie grabież była tym, czego Polacy chcieli dokonać tego dnia w miasteczku, rabunek w mieście zaczął się dopiero po spaleniu stodoły. To, że żydowscy mieszkańcy Jedwabnego nie zostali obrabowani przed śmiercią, świadczy dobitnie o tym, że intencje sprawców mordu były polityczne i ideologiczne, a nie rabunkowe.

Ludzie, którzy 10 lipca dowodzili działaniami w miasteczku, robili to z wojskowym profesjonalizmem. Jak Jerzy T., członek Stronnictwa Narodowego i antykomunistyczny partyzant – tego dnia należał do

najbardziej aktywnych zbrodniarzy i razem z S. zmuszał Żydów do rozbijania pomnika Lenina w Jedwabnem. Pozostali też byli zdyscyplinowani i karni, zahartowani w bojach partyzanckich i wsławieni bitwą na Kobielnie oraz likwidacją miejscowego naczelnika NKWD Szewielewa, w maju 1941 r. Byli też sprawnie dowodzeni, polecenia wydawał im K. i S.

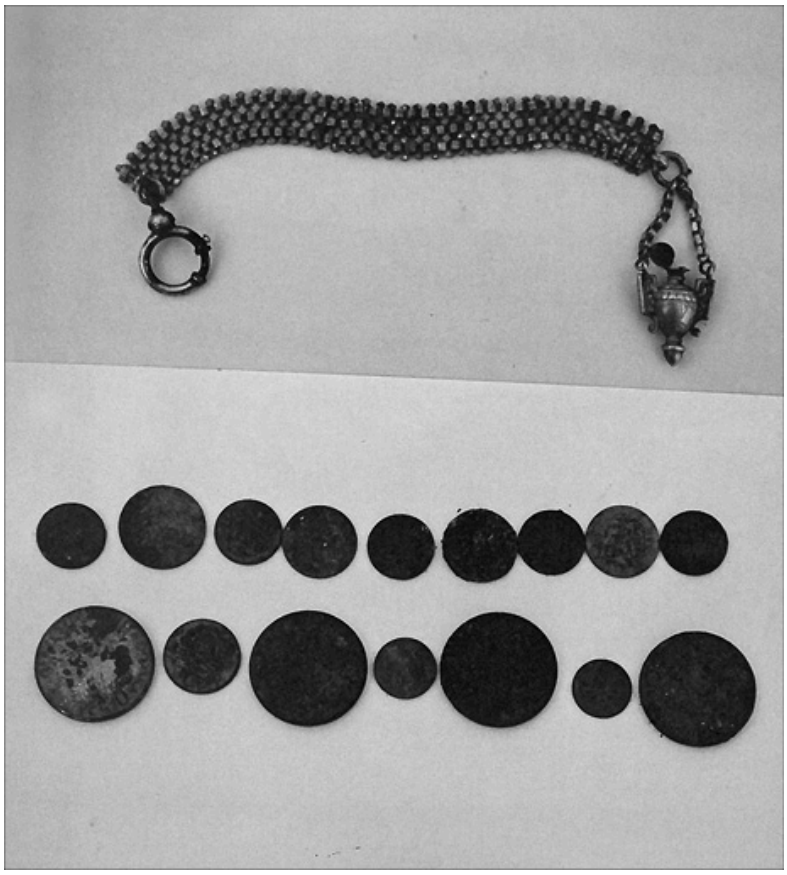

Wydobyte podczas ekshumacji w Jedwabnem w 2001 r. przedmioty należące do ofiar pogromu

10 lipca 1941 r. niczym nie kierował w Jedwabnem przypadek ani chaotyczna logika tłumu. Wszystko zostało wcześniej zaplanowane i przygotowane. W ów czwartkowy poranek, zgodnie z przećwiczonym już w poprzednich masakrach schematem, Polacy otoczyli miasteczko i zgrupowali Żydów na rynku. Henryk Z. zeznał po wojnie,

że jeźdźcy penetrowali teren wokół Jedwabnego i chwytali tych Żydów, którzy podjęli próbę schronienia się przed pogromem na polach. Byli mordowani na miejscu lub topieni w pobliskim stawie. Z., podobnie jak N. i W., twierdził, że ludzie na koniach to te same osoby, które już wcześniej „zrobiły porządek" z Żydami w Wąsoszu, Szczuczynie i Radziłowie.

Polacy najpierw wybrali siedemdziesięciu pięciu najmłodszych i najzdrowszych Żydów, którym rozkazali podnieść z miejsca i zanieść na rynek pomnik Lenina, postawiony przez Rosjan w centrum miasteczka. Potem część z tych mężczyzn została utopiona w dworskim stawie, a część zamordowana, a następnie pochowana w masowym grobie, który sprawcy wykopali w stodole przed jej spaleniem. Ich ciała przygnieciono fragmentami pomnika Lenina i prawdopodobnie nie zasypano, bo pomnik nosił liczne ślady opalenia, co stwierdzono w trakcie ekshumacji przeprowadzonej w 2001 r.

To posunięcie było w pełni racjonalne i świadczyło o żelaznej logice zbrodni, zgodnie z którą tego dnia w Jedwabnem działali sprawcy. Zamordowanie w pierwszej kolejności młodych, silnych mężczyzn, ojców rodzin, sprawiło, że pozostali przy życiu, tj. kobiety, dzieci i starcy, stali się bezbronni i zdani na łaskę oprawców. Trzeba też pamiętać, że żydowska społeczność w Jedwabnem została częściowo pozbawiona swoich obrońców jeszcze przez Sowietów, gdy około 100 młodych Żydów zostało aresztowanych przez NKWD w 1940 r. Ci, którzy wówczas zostali przy życiu i uniknęli wywózki na Sybir lub wcielenia do Armii Czerwonej, teraz zostali zabici w pierwszej kolejności. Tak jak miało to miejsce w Grajewie, Goniądzu czy Szczuczynie, tak też w Jedwabnem na rynku odbyła się najpierw selekcja, a potem zabijanie najsilniejszych. To

potwierdza istnienie schematu działania stosowanego przez Polaków operujących tamtego dnia w mieście.

Usuwanie pomnika Lenina, Bielsk Podlaski, 1941 r.

W tym samym czasie kilka Żydówek zostało utopionych w studniach na rynku. Być może planowano likwidację wszystkich miejscowych Żydów właśnie w ten sposób, bo o topieniu mowa w wielu zeznaniach; wskazywano w miasteczku też różne miejsca, w których do niego dochodziło: staw dworski w Jedwabnem, rowy melioracyjne, studnie. Metoda ta jednak szybko okazała się nieefektywna. Mordercy podjęli więc decyzję o spaleniu Żydów w stodole.

Najpierw chcieli spalić ich w stodole Józefa Ch., ale gdy ten zaprotestował, Bronisław Ś. zaproponował, że odda na ten cel swoją. Akcją na rynku dowodzili bracia z rodziny L., a Ś. jeszcze przed wojną miał spółkę budowlaną z rodziną L., znali się i pomagali sobie wzajemnie. Pomógł więc i teraz. K. i L. obiecali Bronisławowi Ś. szybko dostarczyć drzewo na nową stodołę, co zresztą nastąpiło.

Spirala przemocy w Jedwabnem od tego momentu zaczęła się rozkręcać. Fala okrucieństwa zalała także okolice miasteczka.

ICCHAK JAAKOW (JANEK) N.[76]
Żyd, mieszkaniec Jedwabnego

> […] Bracia młynarze, Eljasz i Moszk Dawid P., oraz ich rodziny ukrywali się w młynie w czasie zagłady o godzinie 10 rano, kiedy Staszek Sz. z innymi gojami, takimi jak ich sąsiedzi L. i Sz. ze wsi Kossaki, pobiegli do młyna szukać ofiar i zakatowali ich na śmierć.
>
> Na drodze leżała zamordowana synowa pana Chonka G., która była w dziewiątym miesiącu ciąży – jej brzuch rozciął R., goj, który wcześniej pracował u G. Pan G. i jego syn uciekli, ale goje gonili ich i złapali na polu, gdzie ich zabito. Chatskell [Chaskiel], syn Szmula i Pesze W., kowal, został zamordowany rękami R. kawałem skórzanej końskiej uprzęży. Na własne oczy widziałem, jak Abram Aaron I. leżał na ulicy z wyciętym na piersi krzyżem. Wnuczka Chany J., 3-letnia dziewczynka, schowała się w kurniku. Goje znaleźli ją i wrzucili w ogień jak kawałek drewna […]. Jankiela, rymarza, zabili w jego domu.

W tym czasie także na rynku w Jedwabnem rozgrywały się dantejskie sceny. Zgromadzeni Żydzi byli bici bez ustanku przez Polaków, którzy utworzyli szpaler i tłukli ofiary z obu stron. Potem, gdy już mieli dość, rozkazali im zebrać się w kolumnę marszową na czele z rabinem Awigdorem B. i miejscowym rzezakiem. Rabinowi wręczyli czerwoną chorągiew i tak sformowany pochód ruszył w stronę stodoły Bronisława Ś., śpiewając po drodze „przez nas wojna, za nas wojna”. Niemcy zachowywali się biernie, nie

interweniowali, nie brali udziału. Wszystko jedynie filmowali i cały czas robili zdjęcia.

STANISŁAW P.[77]

Polak, mieszkaniec Jedwabnego

> Wielokrotnie […] słyszałem w Jedwabnym o panu K., imienia nie pamiętam. Był to masarz, który mieszkał przy Nowym Rynku. Ten K. to była postać powszechnie szanowana w miasteczku. Wszyscy się z nim liczyli. Ten człowiek 10 lipca 1941 r. wyciągnął małą dziewczynkę żydowską z pochodu ludzi prowadzonych na spalenie. Po prostu podszedł, wziął dziecko za rękę i wyprowadził. Nikt się temu nie sprzeciwił. W Jedwabnem ten fakt uratowania przez K. dziecka żydowskiego urósł do rangi świetlanego przykładu, że ratowano Żydów. Nie pamiętam imienia tej dziewczynki żydowskiej.

W tym samym czasie inny K. wpadł na posterunek, do komendanta polowej żandarmerii niemieckiej, która w ogóle nie włączyła się do wydarzeń w miasteczku, i zażądał wydania broni, bo Żydzi nie chcieli iść do stodoły. Jednak komendant odmówił i wyrzucił K. z posterunku! Odmówił także wydania kilku Żydów, którzy tam tego dnia pracowali. Po jakimś czasie jednak zmienił zdanie i oddał ich w ręce Polaków. Żydzi zaczęli pędem uciekać, kilku zostało zabitych, ale niektórym, jak Jackowi K., udało się zbiec i ocalić życie. Opowiedział o tym wszystkim po wojnie.

W tym czasie Antoni N. wydał zapas nafty z magazynu, którego był kierownikiem, i to ona posłużyła do spalenia Żydów w Jedwabnem. Wydał osiem litrów. Polacy naftą tą oblali stodołę Bronisława Ś. pełną żydowskich mieszkańców

miasteczka i podpalili. Już z płonącej stodoły, gdy jej drzwi zajęte ogniem rozpadły się, uciekł Icchak Jaakow (Janek) N. Za drzwiami stał S. z siekierą i pilnował, by nikt z Żydów nie uciekł. Jankowi N. po szamotaninie udało się jednak dać nura w zboże. W ten sposób uratował swoje życie.

Z zeznań kolejnych świadków, m.in. Julii S., wyłoniła się po latach lista ludzi, którzy wzięli udział w tej makabrycznej zbrodni. Należeli do nich: Władysław B., który jeździł konno i zaganiał ofiary, Marian K., który przez cały dzień kierował akcją i wydał rozkaz spalenia Żydów, Karol B., który masowo zabijał, oraz Bronisław Ś., który dobrowolnie oddał stodołę na spalenie Żydów i rabował rzeczy po zamordowanych. Aleksander Ł., który zabił nożem Mojsza W., brał udział w mordowaniu i biciu Żydów na rynku oraz pomagał zaganiać ich do stodoły. Zygmunt P., który z kijem wyganiał Żydów na rynek i pilnował, żeby z niego nie uciekali, zaganiał ich potem do stodoły, tam gdzie zostali spaleni. Czesław (nazwisko nieczytelne w zapisie protokołu), który brał udział w zganianiu ofiar na rynek, pilnowaniu ich oraz dokonał gwałtu na Judis I., a później ją zabił. Gieniek K., który brał udział w zaganianiu na rynek, w biciu i był najgorliwszy w mordowaniu. Józef K., który brał udział w zaganianiu na rynek, a potem do stodoły i w zabijaniu na cmentarzu. K. i jego syn Marian, którzy brali udział w mordowaniu, zaganiali na rynek, pilnowali i pomagali zaganiać do stodoły. Stanisław M., który brał udział w zganianiu Żydów na rynek, do stodoły, znęcał się nad ofiarami oraz zabił kłonicą Żydówkę (nazwisko nieczytelne w zapisie protokołu). Anna P., która wygnała z domu Żydówkę G. na rynek i zrabowała wszystkie rzeczy, które po niej pozostały w mieszkaniu. Władysław Ł., który był jednym z głównych organizatorów akcji w Jedwabnem, topił także Żydów w stawie przy ul. Łomżyńskiej.

Franciszek L., który brał udział w mordowaniu Żydów na rynku i zaganianiu do stodoły, tam gdzie zostali spaleni[78].

Bolesław R. wymienił po wojnie następujących sprawców: Stanisław K., Wincenty G., … (imię i nazwisko nieczytelne), Michał T., Stanisław S., Bolesław (nazwisko nieczytelne), Wacław B., Jan K., Roch K., Marian Ż., Stanisław Z., Władysław D., Jan O., Eugeniusz F., Jan Z., Szymon Z., Bolesław (nazwisko nieczytelne), Stanisław G., Michał Ż., Józef W., Feliks T., Józef B., Franciszek Z., Władysław Ś., Roman G., Józef K., Antoni D., Aleksander Ł., Stanisław D., Franciszek B., Józef Ch., Antoni B., Edward Sz., Julian Sz., Czesław L., W., M., G., B., N., D., P.

Dwa dni po zbrodni, tj. 12 lipca 1941 r., Leona D. i około trzydziestu innych Polaków zagnano do grzebania ciał ludzi spalonych w stodole. Wtedy Leon D. miał zauważyć, że ciała zostały już wcześniej przysypane cienką warstwą piasku. Halina I.-B. zeznała, że dzień wcześniej widziała, jak grupa Polaków przeszukiwała pogorzelisko w poszukiwaniu złota. Ludzie ci zostali schwytani i rozstrzelani przez żandarmów niemieckich.

Jedna z ostatnich scen dramatu Jedwabnego rozegrała się w Oświęcimiu. Icchak Jaakow (Janek) N., który trafił do obozu Auschwitz, pewnego dnia rozpoznał wśród współwięźniów Polaka z Jedwabnego, który pomagał w spaleniu Żydów.

ICCHAK JAAKOW (JANEK) N.[79]

Żyd, mieszkaniec Jedwabnego

> […] W obozie Oświęcimiu na lewym ramieniu otrzymałem numer 89879. Byłem tam trzy lata. Nie jestem w stanie opisać, co przeszedłem przez te trzy lata. Śmierć byłaby łatwiejsza. […] Pewnego dnia

> rozpoznałem goja z Jedwabnego, który pomagał w spaleniu Żydów. Powiedziałem o tym Herszelowi, synowi rzeźnika z Wizny. Goj doniósł na mnie do SS, że próbuję go zabić. SS zabrało mnie z magazynu żywności i wysłało do obozu za karę. Tam co wieczór wybierali ludzi, których zmuszano do powieszenia się. W tym czasie byłem członkiem żydowskiej organizacji podziemnej w obozie. Moim przyjaciołom z podziemia, którzy byli już poza tym przeklętym obozem, udało się mnie stamtąd wydostać.

Do dziś nie udało się ustalić, czy Icchak Jaakow (Janek) N. próbował zabić L. czy K., bo obaj ostatnie lata wojny także spędzili w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia kwestia udziału Niemców w zbrodni w Jedwabnem. Aby to uczynić, trzeba zacząć odpowiedź od tego, że wkraczanie hitlerowców na tereny wschodnie Rzeczypospolitej, zajęte po 17 września 1939 r. przez ZSRR, było połączone z aktami entuzjastycznego witania oddziałów wermachtu i Waffen SS przez tamtejszą ludność polską. Zjawiska te dały nadzieję niemieckiemu aparatowi terroru oraz propagandy na wykorzystanie miejscowych Polaków do tzw. akcji samooczyszczania, które następnie niemiecka machina propagandowa prezentowała w różnych częściach Europy jako dowód na to, że Żydów nienawidziły również ludy słowiańskie.

O fali proniemieckich wystąpień i o entuzjazmie związanym z wkraczaniem wojsk III Rzeszy na wschodnie rubieże Rzeczypospolitej mówiły liczne raporty wysyłane do rządu polskiego w Londynie, a więc materiały, którym trudno zarzucić stronniczość lub chęć działania na niekorzyść Państwa Polskiego.

W meldunku dla rządu londyńskiego z lipca 1941 r. można przeczytać:

> *Stwierdzamy tylko, że z chwilą przekroczenia granic sowieckich Niemcy rozpoczęły na zajmowanych terenach gwałtowną agitację antykomunistyczną, skierowaną w pierwszym rzędzie przeciw komunistom, GPU oraz oczywiście Żydom (jako rezerwuarowi bolszewizmu). Agitacja ta spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem ze strony ludności z terenów świeżo przyłączonych do ZSRR, na ogół wrogo usposobionej do komunizmu*[80].

Z okręgu jedwabieńskiego z podobnego okresu pochodzi ten meldunek:

> *Na kresach ciągła obawa przed wywiezieniem. Niemcy witani byli jak zbawcy. Na kresach nie wiedziano nic prawie o rządach niemieckich w Polsce. Prześladowana jest ludność podejrzana o sprzyjanie bolszewikom, szczególnie Żydzi*[81]*. Masakry ludności żydowskiej miały miejsce m.in. w Stawiskach k. Łomży, Tykocinie, Zarębach Kościelnych. W Rajgrodzie pod Szczuczynem te masowe egzekucje były filmowane. Filmy pokazuje się następnie, komu należy […], przy czym przedstawiają one stosownie do okazji: terror bolszewicki, polski wobec Niemców przed wojną*[82].

W raporcie sytuacyjnym dla rządu londyńskiego za okres od 15 sierpnia do 15 listopada 1941 r. pt. *Stosunek do mniejszości narodowych* przeczytać zaś możemy:

> *W początkach okupacji umiejętna propaganda niemiecka wywołała przyjazne dla siebie nastroje.*

Twierdzono stale, że Niemcy przyszli, by uwolnić kraj od bolszewików i Żydów, co było łatwe do uwierzenia, gdy podszepnięto myśl urządzenia pogromów żydowskich, które to miały miejsce na większą skalę w powiatach szczuczyńskim, łomżyńskim, augustowskim i białostockim. Żołnierze rozdawali ludności zrabowane zapasy z kooperatyw sowieckich, zyskując sobie w ten sposób sympatię. Sytuacja uległa zmianie z chwilą zaprowadzenia administracji cywilnej.

Ogólny nastrój ówczesny wśród ludności polskiej – to radość z powodu uwolnienia się spod terroru bolszewickiego i połączenia z resztą kraju. Na tym tle w pierwszych miesiącach odnoszono się raczej z sympatią do Niemców, zachowując jednak na ogół rezerwę i nie angażując się politycznie. Zdarzały się jednak wypadki, szczególnie na Białostocczyźnie i na terenach białoruskich, że część młodzieży o przekonaniach faszystowskich, a nawet szereg dawnych członków organizacji niepodległościowych poszło na służbę niemiecką, tworząc oddziały milicji [podkreślenie – M.T.]. Chęć odwetu na pozostałych agentach sowieckich, którzy powodowali uwięzienia poszczególnych ludzi, czy wsyp organizacji, czy wreszcie dopuścili się szykan i nadużyć, wywołała wypadki samosądu i denuncjacji.

Fala antysemityzmu, wzmożona wiadomościami o zachowaniu się Żydów pod zaborem sowieckim, obecnie osłabła pod wpływem ciężkiego losu, jaki przeżywa ten naród. Jednak potencjalny antysemityzm tkwiący w społeczeństwie polskim, wygrywany w propagandzie niemieckiej i prawicowych odłamach prasy tajnej, jest najbardziej drażliwym problemem,

który może stać się w nastrojach politycznych mas linią podziału społeczeństwa. Najpowszechniejsza jest opinia, że sprawa żydowska da się rozwiązać tylko przez szeroką, zorganizowaną w skali międzynarodowej akcję emigracyjną mas żydowskich z Polski. Po odebraniu Żydom prymatu w życiu gospodarczym wzajemne stosunki w przyszłości muszą się ułożyć kompromisowo na podstawie pełnej lojalności Żydów wobec państwa polskiego.

W pewnych sferach duchowieństwa, związanych ideowo ze Stronnictwem Narodowym, stosunek do rządu gen. Sikorskiego staje się bardziej krytyczny z powodu jego rzekomo lewicowych i filosemickich tendencji (np. życzenia na Nowy Rok żydowski, nominacja, a później pośmiertne odznaczenie dla Libermana). Pewne wpływy wśród kleru posiada również Obóz Wielkiej Polski (grupa Szaniec). […] Nastroje antysemickie wśród duchowieństwa są dość rozpowszechnione[83].

Aneks nr 12/1 – 15 lipca 1941 r.:

W szeregu miast (Brześć nad Bugiem, Łomża, Białystok, Grodno) dokonała pogromów czy nawet rzezi Żydów ludność miejscowa polska, niestety, wespół z żołnierzami niemieckimi. Ściślejsze wiadomości podamy następnym razem[84].

Aneks nr 17, za okres od 16 do 30 września 1941 r.:

Wkroczenie wojsk niemieckich rozpętało w stosunku do Żydów potwornych wręcz rozmiarów terror, uprawiany przez wojsko ze znacznym udziałem ludności miejscowej[85].

Aneks nr 19, za okres od 16 października do 15 listopada 1941 r.:

> *Białystok. Tworzone jest getto, do którego spędzani są Żydzi z okolicznych miasteczek. Prowokowane są pogromy z udziałem ludności miejscowej (Rajgród pow. szczuczyński), po czym dokonuje się filmowania ekscesów*[86].

W materiałach wytworzonych natomiast przez Departament Informacji i Prasy Rządu w Londynie z 15 lipca 1943 r. pt. *Sprawy narodowościowe w okresie 15 III – 15 IV 1943 roku* znajdują się następujące wpisy:

> *Ziemie Wschodnie. […] Pewna ilość Żydów, którzy w niewielkich grupach bandyckich zdołali przetrwać dotąd w lasach, jest zwalczana przez ludność miejscową nastawioną do nich wrogo zarówno ze względu na ich stanowisko pod rządami bolszewickimi, jak i obecną działalność bandycką. W licznych wsiach w łomżyńskim widnieją tablice wystawione przez ludność polską „Żydom wstęp wzbroniony”.*
>
> *Partyzanci bolszewiccy w zasadzie nie przyjmują do siebie Żydów, a schwytanych na swych obszarach – rozbrajają, zabijają, a w najlepszym razie biją i przepędzają od siebie. Żydzi w oddziałach partyzanckich to prawie wyłącznie obywatele sowieccy, żołnierze czerwonej armii*[87].

Podobnie wsparcie ludności polskiej okazane oddziałom niemieckim, jej nastroje oraz chęć współpracy z niemieckim aparatem przemocy oceniali sami Niemcy. Świadczą o tym meldunki nadsyłane przez „komanda śmierci” należące do Einsatzgruppe B, w których słowa „akcja

samooczyszczająca z udziałem ludności miejscowej” należy rozumieć jako czystki etniczne wobec ludności żydowskiej z udziałem Polaków.

Meldunek Einsatzgruppe B, 2 lipca 1941 r.:

> *Naczelne dowództwo Armii (AOK 17) zainicjowało na nowo okupowanych terenach mieszkających tam Polaków, którzy są nastawieni antyżydowsko i antykomunistycznie, najpierw wykorzystać do akcji samooczyszczających*[88].

Szef Sipo i SD Reinhard Heydrich 1 lipca 1941 r. wydał wszystkim Einsatzgruppen następujący rozkaz:

> *Polacy mieszkający na nowo okupowanych, dawniej polskich obszarach okażą się z powodu swych doświadczeń zarówno antykomunistyczni, jak i antyżydowscy. Jest zrozumiałe, że akcje oczyszczające mają objąć przede wszystkim bolszewików i Żydów. Jeśli chodzi o polską inteligencję, z wyjątkiem pojedynczych przypadków, gdy z powodu bezpieczeństwa środki muszą być zastosowane, decyzja zostanie podjęta później. Jest przez to oczywiste, że do akcji oczyszczających w ten sposób nastawieni Polacy nie powinni być wciągani, zwłaszcza że oni, jako element inicjatywny zarówno przy pogromach, jak i informacjach [podkreślenie – M.T.], mają szczególną wartość. Taka taktyka obowiązuje we wszystkich tego typu wypadkach*[89].

Meldunek Einsatzgruppe B, 13 lipca 1941 r.:

> *Okazało się, że polska część ludności wspiera wykonawczą działalność Sipo, dostarczając*

wskazówek przeciw żydowskim, rosyjskim, a także polskim bolszewikom[90].

Swoistą kropkę nad „i” pod tym względem postawił Heydrich, który podległym sobie wojskom polecił:

Nie stawiać żadnych przeszkód próbom samooczyszczenia podejmowanym przez kręgi antykomunistyczne i antyżydowskie na nowo okupowanych terenach. Wręcz przeciwnie, należy je wspierać, jednakże nie pozostawiając śladów i w taki sposób, aby lokalne koła „samoobrony” nie mogły później powołać się na [niemieckie] zarządzenia lub dane im polityczne zapewnienia[91].

Reinhard Heydrich, głównodowodzący „komandami śmierci” (Einsatzkommando), szef policji bezpieczeństwa i SD na nowo zajętych terenach w 1941 r., decydował o tym, że oficerów do tej formacji specjalnej powoływano spośród kadry dowódczej gestapo, SD, SS i policji kryminalnej. Żołnierzy zaś powoływano z szeregów Waffen SS, gestapo oraz z przedstawicieli miejscowych, polskich kolaborantów wcielanych w szeregi policji porządkowej na żołdzie niemieckim. „Komanda śmierci” mogły też w razie potrzeby za każdym razem liczyć na wsparcie wermachtu. Początkowe niepowodzenia w realizacji zadań specjalnych były w niemieckim aparacie przemocy, jak wolno sądzić, czynnikiem, który czynił palącą potrzebę wykorzystania do swoich celów miejscowej ludności. Do działania musiały zachęcać Niemców, z jednej strony, dokonywane przez Polaków po wyjściu Rosjan samosądy, akty odwetu i inne demonstracje wrogości wobec Żydów, z drugiej zaś – witanie wkraczających wojsk niemieckich z entuzjazmem, jako wyzwolicieli.

Każda z Einsatzgruppen, z których jedna wkroczyła na tereny Białostocczyzny w czerwcu 1941 r., liczyła w przybliżeniu tyle osób, co batalion piechoty, tj. między 800 a 1200. Organizacyjnie dzieliły się one na Einsatzkommando i Sonderkommando, odpowiedniki kompanii piechoty. Komanda dzieliły się z kolei na odpowiedniki plutonów, czyli Teilkommandos. W 1941 r. powołano cztery Einsatzgruppen, które miały uczestniczyć w ofensywie na ZSRR: A na kraje bałtyckie, B na Białoruś, C na północną Ukrainę oraz D na południową Ukrainę, Besarabię, Krym i Kaukaz. Łącznie liczyły one około 3000 ludzi. Na tyły poszczególnych grup armii zostało skierowanych także po kilka lotnych batalionów policji porządkowej (Orpo).

W czerwcu 1941 r. na tzw. Zachodnią Białoruś, obejmującą Białostocczyznę, weszły cztery bataliony policji porządkowej, tj. 307, 309, 316 i 322. Trzy z nich, oprócz batalionu 309, utworzyły pułk policyjny „Środek” dowodzony przez płk. Maksa Mantua.

Zwierzchnikiem Sipo i SD oraz Waffen SS na obszar Białorusi został SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski. Co jest dla nas niezwykle ważne, każde z „komand śmierci” było zobowiązane do przedkładania szczegółowych, opartych wyłącznie na faktach raportów z podejmowanych przez siebie działań likwidacyjno-zabezpieczających. Unterkommandoführer (dowódca Teilkommando lub Sonderkommando) był zobligowany informować na bieżąco przełożonego Kommandoführera (dowódcę Einsatzkommando) o przebiegu wszystkich wydarzeń i akcji na swoim terenie. Z kolei Kommando-führerzy składali meldunki dowódcy Einsatzgruppe, a ten przekazywał je drogą radiową lub pocztą do

Reichssicherheitshauptamtu (RSHA) – Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie.

W ten sposób powstał obszerny materiał faktograficzny i badawczy, dzięki któremu możemy w miarę dokładnie prześledzić historie zbrodniczych operacji podejmowanych przez „komanda śmierci" i który po wojnie zostały wykorzystany jako materiał dowodowy w śledztwach toczonych przeciwko ich członkom. Ogólna liczba akcji likwidacyjnych przeprowadzonych przez wszystkie cztery Einsatzgruppen to według stanu na 20 sierpnia 1941 r., a więc w najbardziej interesującym nas okresie, 17 017 (sztab i Vorkommando Moskwa – 194; Vorkommando 7a – 999; Vorkommando 8 – 886; Einsatzkommando 8 – 6842; Einsatzkommando 9 – 8096). Była to liczba ogromna. Nas jednak najbardziej interesuje, w jakich rejonach na terenach zajmowanych przez Niemców latem 1941 r. operowały „komanda śmierci", a gdzie główny ciężar akcji samooczyszczającej pozostawiono miejscowym sojusznikom III Rzeszy, wspierając ich jedynie niewielkimi pododdziałami EG.

Główną siłą przeznaczoną do zadań specjalnych w strefie działań Grupy Armii „Środek", obejmującej Białostockie, była grupa operacyjna (Einsatzgruppe) B, dowodzona przez Arthura Nebe. Stan liczebny jego pododdziałów wynosił 655 ludzi wywodzących się z szeregów Gestapo, Sipo, Orpo, Schupo i Waffen-SS. Grupa dzieliła się na dwa oddziały specjalne (Sonderkommando) 7a i 7b oraz dwa oddziały specjalne Einsatzkommando 8 i 9.

Z analizy sprawozdania z działalności Einsatzgruppe B za okres od 23 czerwca do 13 lipca 1941 r.[92] wynika, że po otrzymaniu rozkazu szefa policji bezpieczeństwa i SD z 16 czerwca 1941 r. grupa zajęła swój rejon koncentracji w okolicy Poznania, a stamtąd, po przybyciu 2. kompanii 9.

batalionu rezerwowego policji, odmaszerowała 23 czerwca 1941 r. o godzinie 7.45 na wschód.

W wyniku zmasowanej ofensywy i manewru kleszczowego, wykonanego przez 2. i 3. Grupę Pancerną, do której przydzielono Einsatzgruppe B, marsz na wschód prowadzony był w niezwykle szybkim tempie. Dlatego Sonderkommando 7a grupy operacyjnej B pod dowództwem Waltera Blume już 4 lipca 1941 r. dotarło do Mińska, a 14 lipca znalazło się w rejonie Witebska.

Sonderkommando 7b grupy operacyjnej B pod dowództwem Günthera Rauscha już 27 czerwca 1941 r. realizowało „przedsięwzięcie zabezpieczająco-policyjne" w okolicy Brześcia i Kobrynia, a 4 lipca operowało już w rejonie Baranowicz, tak by rzutem czołowym osiągnąć 6 lipca również Mińsk.

Z tego samego raportu wynika, że Einsatzkommando 8 pod dowództwem Otto Bradfischa 8 lipca 1941 r. również dotarło swoimi czołówkami do Mińska, a w tym samym czasie część jego pododdziałów operowała w rejonie Baranowicz. Towarzyszyły mu bataliony policyjne 322 i 316, jako jego rezerwa operacyjna.

Z całą pewnością to 322. batalion policyjny, działający od 5 lipca w rejonie Białegostoku, pozostawał w tym rejonie najdłużej i to jego pododdziały podejrzewać możemy o wspierający udział w pacyfikacjach miasteczek z rejonu Jedwabnego. Faktem jest, że batalion przemieszczał się szybko, podobnie jak pozostałe pododdziały, i 5 sierpnia znalazł się już w okolicy Baranowicz, 14 sierpnia był w Mińsku, zaś 7 września 1941 r. zatrzymał się w odległym Mohylewie. Dowództwo operacyjne Einsatzkommando 9, którego dowódcą był Alfred Filbert, 1 lipca 1941 r. osiągnęło Wilno i tam rozpoczęło realizację swoich zadań zabezpieczająco-policyjnych. Sztab Einsatzgruppen B,

razem z Arthurem Nebe, od 5 lipca roku również stacjonował już w Mińsku.

Dane te świetnie pokazują dynamikę procesu zajmowania tzw. Zachodniej Białorusi przez wojska niemieckie i podążające za nimi „komanda śmierci". Ukazują też ogromne problemy z objęciem zabezpieczeniem ogromnego obszaru zdobytego przez Niemców. Wszystkie te raporty mówią o tym, że podstawowe struktury Einsatzgruppe B podążyły głęboko na wschód i już na początku lipca osiągnęły rejon bądź Wilna, bądź Mińska, nie mogły zatem być obecne w okolicach Jedwabnego czy innych miejscowości tego rejonu, by wspierać tam akcje pacyfikacyjne.

Ponieważ sytuacja na Białostocczyźnie była dla Niemców z Einsatzgruppe B trudna ze względu na tempo natarcia wermachtu i konieczność zabezpieczenia tyłów, sztab grupy operacyjnej B tylko na krótko zatrzymał się w Białymstoku, bo już 5 lipca dotarł do Mińska i działał tam dwa tygodnie. W tym czasie Nebe ściągnął do Mińska większość swoich sił. Ale dopiero na jego rozpaczliwą prośbę 3 lipca 1941 r. w kierunku Białostockiego wyruszyły z Warszawy cztery oddziały wsparcia. Pierwszym, liczącym 31 ludzi, dowodził Adolf Bonifer, drugim, liczącym 27 żołnierzy, Erich Engels, trzecim, 26-osobowym, Johannes Böhm, nad czwartym dowództwo objął Wolfgang Birkner. Grupa tego ostatniego dotarła w rejon Białegostoku i działała na terenie Białostockiego do 10 sierpnia 1941 r. To żołnierze jego grupy są pierwszym i głównym podejrzanym o wspieranie pacyfikacji Jedwabnego. On sam prawdopodobnie zginął na Pomorzu pod koniec wojny. Grupa trzecia, pod dowództwem Böhma, 8 lipca dotarła do Mińska, grupa druga 4 lipca weszła do akcji w Nowogródku, a następnie Lidzie,

Baranowiczach i Słonimie. Białystok i jego okolice stały się zatem polem działalności jedynie grupy Birknera.

W tym samym czasie na tereny Białostockiego ruszyły również kolejne oddziały wsparcia, naprędce sformowane w rejonie Olsztyna, Tylży, Ciechanowa i Płocka z miejscowych funkcjonariuszy gestapo i Sipo. Ta oddolna inicjatywa została zatwierdzona rozkazem Reinharda Heydricha nr 6 z 4 lipca 1941 r. Heydrich wyraził w nim zgodę na podjęcie „akcji oczyszczających" (Reinigung-saktionen) na terenach przygranicznych, co miało za zadanie odciążyć Einsatzgruppen oraz Einsatzkommandos, a przede wszystkim zapewnić im konieczną swobodę ruchu w czasie marszu na wschód[93].

Historycy są zgodni, że działalność tych pomocniczych oddziałów operacyjnych Sipo i SD, szczególnie tzw. oddziałów pomocniczych specjalnego znaczenia, została do tej pory zbadana jedynie w niewielkim stopniu. Zachował się wprawdzie niezwykle cenny zbiór tzw. Ereignismeldungen – meldunków zbiorczych, opracowanych w centrali RSHA, jednak materiały wyjściowe, na podstawie których meldunki te sporządzano, a mianowicie raporty poszczególnych pomocniczych Eisatzgruppen i Einsatzkommandos, poza wyjątkami, jak przywoływany już raport Nebego z 14 lipca 1941 r.[94] – zaginęły. Jednak dla niniejszych rozważań najistotniejsze jest to, że wedle istniejących materiałów i świadectw dowódcą grupy wsparcia z Ciechanowa, działającej na terenie Łomżyńskiego latem 1941 r., w interesującym nas czasie, tj. w pierwszej połowie lipca, był Herman Schaper, którego świadkowie, m.in. Chaja F., rozpoznali jako współorganizatora zbrodni w Radziłowie[95].

Herman Schaper

Należy zatem domniemywać, że zbrodnia, do której kilka dni później doszło w Jedwabnem, również odbyła się z udziałem jego ludzi. Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że Schaper był tylko zbrodni tej współorganizatorem, ponieważ z zeznania Chai F. jasno wynika – i co pozostaje w pełnej zgodzie z wcześniejszymi ustaleniami – że współdziałał on pod tym względem z polskimi organami samorządowymi powołanymi w Radziłowie tuż po wkroczeniu Niemców na tereny objęte okupacją sowiecką. Także inni świadkowie w czasie procesu toczącego się przeciwko niemu w latach 60. w RFN rozpoznali go na podstawie fotografii jako dowódcę kierującego akcją pogromową w Radziłowie 7 lipca 1941 r. Rozpoznano go także jako dowódcę kierującego razem z polską milicją akcją mordowania Żydów w Tykocinie 25 i 26 sierpnia 1941

r. Z zeznań kreiskomisarza z Łomży wynika, że latem 1941 r. Schaper przeprowadzał także egzekucję Żydów w rejonie Łomży, po czym jego komando zostało wycofane[96].

Komando Schapera nie występowało jednak w znanych wcześniej dokumentach, takich jak meldunki i raporty z działalności Einsatzgruppe B. To sprawiło, że materiały zebrane przez Zentrale Stelle der Landesjustizverwaltungen zur Aufklärung nationalsozialistischer Verbrechen (Centralę Badania Zbrodni Narodowosocjalistycznych w Ludwigsburgu) nie wystarczyły do postawienia go w stan oskarżenia i śledztwo zostało umorzone w 1965 r.

BYLIŚCIE ŚWIADKAMI I OFIARAMI ZBRODNI W JEDWABNEM. WASI BLISCY I SĄSIEDZI ZGINĘLI, ALE WAM UDAŁO SIĘ PRZEŻYĆ. CO ZAPAMIĘTALIŚCIE Z TEGO KOSZMARNEGO LIPCOWEGO DNIA I Z DNI NASTĘPNYCH?

KAHAU AWIGDOR N.[97]

Żyd, mieszkaniec Wizny

> […] Gdy weszli Niemcy, zajęli okręg i bombardowali Wiznę, Wizna była spalona i między… za niejakiś czas, cośmy się ukrywali i poszliśmy ja z ojcem, z matką i dwoje… siostrzyczki moje, dwie siostrzyczki moje młodsze ode mnie. Jedna się nazywała Cypora, Fela, a druga Haja…
>
> Do Jedwabnego, w Jedwabnym… nasz dom był spalony w Wiźnie i byliśmy zmuszeni uciec… groźby Polaków, co grozili nam, byśmy wyszli z Wizny. Nie tylko nam, bo wszystkim.

[…] To partyzanci polscy, narodowce, co się ukrywali za czasów Ruskich, bo Ruskie chcieli wywieźć ich na Sybir, zorganizowali się tam w Wiźnie przeciwko Żydom i oznajmili, że kto ukrywał Żyda czy Żyd chce żyć w domu żydowskim, to też jego się… wygna. […] Natenczas zabili tak kilka Żydów, jednego komunistę… drugich tak zastrzelili, co się zachciało im w polu, dwóch… Polacy. Milicja polska też była, powstała w Wiźnie, milicja nie była – jak to powiedzieć – państwowa, to byli ci chłopcy, co zrobili się milicjantami, a Niemcy ich… nie wiem, czy pozwolili im, czy nie pozwolili, jak to tam było, Wizna była spalona przecież… 22 czerwca już byli tam Niemcy…

I ludzie, Żydzi, myśleli, że jeśli jest już żandarmeria, jest zarząd gminy, to nic się nie stanie Żydom, bo dotychczas niemal się nic nie stało według tego, co wiedzieli, w okolicy, co się stało. A zawsze się powtarzało między Żydami, jak się spotkali – no pewnie już nie będzie u nas nic teraz, bo rząd niemiecki powstał. On będzie nam robił różne trudności, ale przecież i w Warszawie już dwa lata Żydzi żyją… a tutaj będzie lepiej niż w Warszawie i będzie co jeść. I tak dalej, i tak dalej… I to… przecież moi rodzicie też to samo mówili.

Jak Niemcy zbombardowali Wiznę, to uciekliśmy w pole, ja z moją rodziną. Mieliśmy furmankę swoją i konie. Co mogliśmy ocalić z ognia, to na furmankę, i dużo sąsiadów Żydów też się przyłączyło do nas na furmankę, i tak byliśmy w polu. Kręciliśmy się tam jakiś dzień, pół dnia. W nocy poszliśmy na kolonię w okolicy Wizny, Mirkowa i tam napadło na nas wielu rabuśników, Polaków i zaczęli… byliśmy na tej kolonii… było drugich rodzin żydowskich też razem

z nami. Oni chcieli bić… więcej chcieli rabować i nam porabowali konia i wóz, i cośmy mieli na wozie też. Ale mój stryjek, co był z nami i z drugim wozem i koniem, jakoś nie znaleźli go, bo on był ich… no… w małym lasku – jak to się nazywa, zapomniałem już teraz – i ten koń jego został. A tam oni nas… ten gospodarz, co u niego byliśmy, nie dał im wejść… oni chcieli wejść do stodoły i tam w stodole byliśmy. Lamenty, krzyki żeńszczin, kobiet i dzieci, i jakoś dotrwaliśmy do rana. A ranem wszystko się skończyło. I śmy poszli w drugie miejsce.

Po drodze z tym… z drugą furmanką mego stryjka napadło na nas w pobliżu Karolina-Kramkowo, napadła banda polska na nas i zabili tego ojca mego stryja… Myśmy uciekali wszyscy od furmanki, a oni to chcieli widocznie tylko też rabować, a ten był stary i siedział na furmance, i nie mógł zleźć, to dostał kilka kijów i zakończyli go tam.

On się nazywał Fajwuś… L. … Fajwuś L., był stary, 70 lat, myślę. A myśmy potem uciekli z powrotem w pole i byliśmy do nocy w polu… ojciec miał znajomego gospodarza w Karolinie… to Karolin-Kramkowo to dwie wioski, jedna przy drugiej – i śmy poszli do tego gospodarza, on tam dał nam jeść i byliśmy w stodole. A tam się naszła grupa więźniów z więzienia łomżyńskiego u niego na werandzie – weranda się mówi po polski, tak? – siedział Żyd z Wizny, kowal D. się nazywał. On nie chciał uciec i kryć się, został na werandzie.

A ja się skryłem niedaleko werandy w życie. I rodzice moi też. Uciekliśmy ze stodoły, bo baliśmy się tych bandytów, a oni tam siedzieli z tym kowalem, a potem

napadli na niego. Zabili. Widziałem to na własne oczy. A on taki mocarz był…

[…] Idąc z rodziną przez pola, natknęliśmy się na ciało dziewczyny, której nie znałem, ale mój ojciec ją znał, i powiedział mi, że to była siostrzenica tego kowala D. Nie dawała znaku życia i, sądząc z jej stanu – została zgwałcona. Była naga w dolnej części ciała. Potem dowiedzieliśmy się w Wiźnie od tamtejszych Polaków, że ta siostrzenica została zgwałcona i zamordowana przez sąsiada jej rodziny, M. z miasteczka Radziłów.

[…] Ja widziałem trzy przypadki mordu: D., L., i jeszcze jeden przypadek, kiedy nie widziałem samego aktu mordu, ale widziałem zwłoki – siostrzenicy D.

Mówiło się o grupie Polaków, określanej mianem „partyzantów”, która zakazywała ukrywania Żydów i mordowała Żydów. Ta grupa groziła, że będzie bić Polaków, którzy udzielą schronienia Żydom.

Uciekliśmy potem do Wizny. Mój stryjek miał znajomego Polaka, co on razem z nim służył w armii polskiej w czasie… wojny bolszewickiej. P., zdaje mi się nazywał. Mieszkał w Wiźnie. I tam ukrywaliśmy się u niego w stodole. Byliśmy w ośmiu – ojciec mój, nie, ojca nie było, stryjek i wujek, jeden z trzech kuzynów moich młodszych ode mnie i myśmy tam ze stodoły widzieliśmy, jak [Niemcy – przyp. M.T.] prowadzili Żydów na drodze do Rutki…

[…] Na tej samej ulicy był dom kowala, M. zdaje mi się nazywał, murowanka. Dużo Żydów, co się zostało i ocaliło, kobiet i dzieci, poszło do tego domu. Tam było, jak mnie powiedziano, jakie trzydziestu czy czterdziestu ludzi, Żydów, ludności żydowskiej.

Niemcy tam wykopa… wzięli kilka Żydów i wykopali rów w ogrodzie tego pana M., tego kowala, i oni łapali Żydów, co im polskie chłopcy przywieźli, i rozstrzeliwali ich tam, na tym dworze. I tak rozstrzeliwali Żydów, między innymi kolegę mojego G. Motka, jego ojca G. Honek, drugiego też, co razem ze mną się uczyliśmy w szkole, K. i ojca.

A wtenczas te obie matki, tj. Chana K. i Hanan G., poszły do tego Niemcy i powiedzieli mu – zabiłeś mego męża i syna, zabij i mnie też. To okay – rozstrzelał i ją też, jedną i drugą. Ale to tylko te dwie byli tylko rozstrzelane przez Niemców, dwie kobiety. A potem, jak oni skończyli z tymi mężczyznami, to Niemcy wrzucili ze trzy, cztery granaty do tego domu, a tam czy wszyscy pomarli czy nie, ja nie wiem dokładnie, ale skończyli ich.

[…] Chcę dodać, że wraz z K. i G. został wtedy zamordowany mój dziadek – Cwi [hebrajskiemu imieniu Cwi odpowiada w języku jidysz imię Hersz – przyp. M.T.] N. i jeszcze jeden Żyd – Moszek J., i jeszcze kilku, których nazwisk dziś nie pamiętam. Zostali oni wyprowadzeni na śmierć z domu J., który stał przy ul. Srebrowskiej. Było ogłoszone… jak to było, to nie wiem… matka powiedziała, ojciec powiedział… Wiem, że ojciec poszedł poradzić się z panem wójtem w Wiźnie, zdaje mi się, że był wtenczas G., może i mylę się, może i S. był wójtem.

I on poszedł, i mówi – musimy odejść, nie możemy tu zostać. Niebezpiecznie. Myśmy mieli ciotkę, wtenczas w Jedwabnem. Tam poszliśmy.

[…] Drogę znaliśmy. I przed wieczorem poszliśmy, bo mówili, że Żydom nie wolno chodzić po drodze. Przyszliśmy wieczorem do Jedwabnego. Wiem, że

polscy partyzanci zakazali Żydom poruszania się po drogach. Zakaz ten został wydany z powodu nienawiści do Żydów – antysemityzmu. W nocy 28 lub 29 czerwca, nie pamiętam dokładnej daty, dotarliśmy do krewnych w Jedwabnem. Ulokowaliśmy się tam w domu siostry mojego wujka. Oni mieli trzy domy i ulokowaliśmy się w jednym z nich. Była ze mną cała moja rodzina: ojciec, matka i dwie siostry.
W Jedwabnym były władze niemieckie, wybrano także polskiego burmistrza, którego nazwiska nie pamiętam, i była miejscowa milicja – polska, oprócz żandarmerii, która liczyła jedenastu żandarmów – Niemców.

To znaczy były dwa organy władzy: milicja polska i żandarmeria niemiecka. Członkami lokalnej milicji byli Polacy, nie znam ich nazwisk. Byli nieuzbrojeni. Moi krewni, u których zamieszkaliśmy, mieli młyn i kaszarnię, owiarnię i była u nich też… siostra mieszkała razem z nimi.

[…] I byliśmy tam kilka dni, a zaraz na drugi dzień to milicja polska już była w Jedwabnym i była już żandarmeria, milicjanci, bez żandarmów, Polacy, łapali Żydów do pracy.

Miałem dwóch kuzynów, Józefa Lejbla P. i Beniamina P. Zostali oni złapani przez żandarmów niemieckich i pracowali u nich – czyścili konie, szykowali drewno do kuchni. Ponieważ zostali złapani przez Niemców, co rano szli pracować u Niemców, zamiast się ukrywać przed milicją polską. Gdyby zostali złapani przez milicję – mogli powiedzieć, że już pracują u Niemców.

[…] Wszystkie prace [jakie polscy milicjanci przydzielali Żydom – przyp. M.T.] były brzydkie,

powiem. Dokładnie to nie mogę powiedzieć jakie, bo ja nie pracowałem, ja uciekłem, ale wiem, co drudzy robili – czyścili wychodki, rękoma… na co się da, aby… tylko upokorzyć.

[…] Oni szukali tylko mężczyzn… kobiet nie brali do pracy. Ja razem z moim ojcem uciekłem na pola w owies, byliśmy tam aż do wieczora. A potem złapali kogoś, dostał kijów, słyszeliśmy to schowani.

Zapędzono go do pracy. W Wiźnie to też jak z początki kilku Żydów, co brali na rozstrzał, to też mówili – Juden… Żydzi do pracy. To ja już wiedziałem, że ta praca… to niebezpieczeństwo.

Ale tu jakoś pracowali i wracali do domu.

Za kilka dni mój ojciec z matką wrócili do Wizny, żeby odebrać pieniądze, co mu Polacy byli winni. Myśmy mieli żyć teraz w domu Chai P. w Jedwabnym i moim rodzicom było przykro żyć z tego, co wujek nam daje. To oni poszli. A że było niebezpiecznie, to poszedł ojciec z matką razem wieczorem, bo wieczorem była godzina policyjna. Poszli wieczorem przez pola, znaliśmy drogę zawsze, a ja zostałem z moimi siostrzyczkami i z rodziną, z wujkiem, jego dziećmi.

[…] To był dzień targowy 9 lipca 1941, znowu ukrywałem się na polu koło domu, żeby mnie nie zabrali do poniżających prac, tj. wyrywania chwastów spomiędzy płyt, którymi brukowane były ulice, a także czyszczenia klozetów. Ponadto podaję, że Żydów zbierano do poniżających prac już od początku lipca, jeszcze przed 8 lipca.

[…] Przed wieczorem przyszła do nas dziewczyna Z., […] koleżanka mojej kuzynki, moja kuzynka nazywała się Dworka i ja stałem obok nich, i słyszę, jak Z. mówi

do mojej kuzynki: Dworka, uciekajcie jutro wszyscy, bo jutro będzie z wami źle. Wyrżną was, czy wybiją, coś… ja nie pamiętam, jak ona to powiedziała. Dworka przyszła do domu i mówi ojcu, i potem mówi temu stryjkowi, co się planuje w miasteczku, i ona wie, i oni też wiedzą, że brat tej Z. jest niezły macher w tym miasteczku. Bo on się ukrywał za czasów ruskich, widocznie był w endecji… i uciekł do Warszawy, a teraz wrócił. To jak ona to powiada, to widocznie coś w tym jest.

Wieczorem siedzieliśmy, mój wujek i chłopcy starsi ode mnie, i ja też siedzę z nimi i mówię do nich – słuchajcie, trzeba jutro uciec w pole. A pole było przed żniwem, żyto wysokie, można się ukryć i wszystko… będzie dobrze.

[…] Eli P. powiedział, że usłyszał to od samego biskupa Łomży. Eli P. był kiedyś – przed okupacją komunistyczną – zastępcą przewodniczącego gminy żydowskiej. Od Żydów zażądano, żeby zapłacili Niemcom okup w kwocie trzydziestu tysięcy – nie wiem, czy chodziło o złote, czy o marki. Takiego okupu żądano od Żydów w każdej miejscowości okupowanej przez Niemców. Gmina w Jedwabnem nie miała takiej kwoty, więc Żydzi zebrali biżuterię i judaika o wartości odpowiadającej tej kwocie. Zebrane kosztowności przekazali biskupowi albo jego sekretarzowi. Eli powiedział mi, że przekazano to bezpośrednio biskupowi. Biskup wziął sobie kosztowności pod zastaw kwoty, jaką przekazał Niemcom.

[…] A potem on opowiadał, bo on był w gminie, wiedział o tym, że ten czwartek – czwartek to był dzień jarmarku w Jedwabnym… nie w czwartek, środa

– w tę środę przyjechało dużo wozów i chłopów z okolicy Jedwabnego i chcieli się zacząć z Żydami… ten pogrom, to wyszedł naczelnik żandarmerii niemieckiej i rozegnał wszystkich. No to mówi – jak mamy takiego naczelnika żandarmów i pana biskupa, to nie będzie nic tutaj. To niemożliwe.

To ja im mówię: w Wiźnie też mówili na roboty i wystrzelali wszystkich Żydów. To będzie to samo w Jedwabnem!

Ale on mówi: Co ty dziecko wiesz? U nas jest już żandarmeria, a Niemcy nie dadzą zrobić coś takiego, co zrobili w Wiźnie. W Wiźnie to byli chuligani, może jakieś żołnierze, co zeszli z frontu, napili się i bili Żydów. A tu teraz to już porządek. Ordunk… u Niemców! A w Warszawie co, Żydzi nie żyją? Już dwa lata żyją, to co? W Jedwabnym nie będą żyć? W Warszawie nie ma co jeść. Ale w Jedwabnym będzie. My mamy młyn przecież i młynarza… i tak dalej mówił.

No co ja mu powiem? Ja jeszcze raz mówię – uciekajmy! To dwóch kuzynów poszło ze mną. Icchak P. i Mosze P. Myśmy się ubrali ciepło, bo ja powiedziałem – co zostanie w domu, porabują. Wszystko wam wezmą, to, co ubierzesz na siebie, to twoje. Znałem to już z Wizny, jak zostałem bez niczego. Poszliśmy w pole, ja i kuzyni. To pole to było między drogą do Łomży, do Janczewek [Janczewka], a drogą do Radziłowa.

Na górce leżeliśmy w tym polu, ja z tymi kuzynami, wzięliśmy wody ze sobą troszkę, i do jedzenia, i siedzieliśmy tam cicho. Było po północy. Moi kuzyni mówią – co ty narobiłeś, wracamy do domu.

Minęła jeszcze godzina i słyszymy, że furmanki jadą i z Radziłowa, i z łomżyńskiej drogi. Co to za…? Dzisiaj nie jarmark, nic podobnego, to dlaczego tyle furmanek jedzie do Jedwabnego? I to o czwartej rano? […] Pełno furmanek. A to jest – jeśli się nie mylę – to był czwartek. A w czwartki nie ma targu… Wczoraj był jarmark w Jedwabnym, a dzisiaj nie ma. To co za cholera ? To i nie święto, i nie… – jak to się nazywa – odpust. Po czemu jadą? Tyle furmanek… pełno.

[…] Za chwilę ja słyszę, że furmanki dojechały już do Jedwabnego, i słyszę krzyki kobiet żydowskich, i słychać, jak… szkło… rozbijają tam okna i drzwi… to ja mówię do moich kuzynów – słuchajcie, moi rodzice przyjadą teraz, o tej godzinie, bo oni będą szli od strony Wizny. Ja muszę ich ostrzec! A ja znam Jedwabne, bo jak byłem na wakacjach, to zawsze jeździłem do kuzynów i miałem tam znajomego dobrego, chłopca w moim wieku, potem był przechrztą – jeśli pani słyszała o tym, ten G.… to ten najmłodszy syn był moim kolegą… Ja muszę iść ostrzec rodziców!

I poszedłem przez pola, przez drogę radziłowską, ale nie mogłem przejść przez tą drogę. Furmanki jadą do Jedwabnego, jedna za drugą. Tabor cały. Ale przeszedłem… przeszedłem i poszedłem za ziemię tych moich wujków. Tam był cmentarz polski. Przeszedłem cmentarz i potem tam była łąka.

Jak byłem na łące, to już było widno, już rano było, a widzę z daleka z dziesięciu, piętnastu chłopców polskich w moim wieku czy większych…

[…] Trzymali kije i gdy tylko mnie zobaczyli, krzyknęli: „Łapać Żydka!”. I ja chciałem uciec, by mnie nie złapali. Postanowiłem obejść Jedwabne

dookoła i zajść drogą do Wizny. Byłem w sportowym ubraniu, pumpy takie były wtenczas modne i trzewiki, a te chłopcy wszystkie byli bose, pończoszniaki… to oni za mną krzyczą „To Żydziak! Dawaj Żydziaka!”. I za mną, za mną… ja… no złapali mnie. Ja byłem ubrany w dwie pary spodni, nie tylko jedną parę. To ciężko mi było biegać. Złapali mnie i dostałem troszkę po mordzie.

Prowadzą mnie do Jedwabnego, do Żydów.

Stara jakaś pani, to do śmierci nie zapomnę, stoi na swojej werandzie i mówi „bierzcie tego Żyda razem ze wszystkimi Żydami, wykończem go”. A co ta stara baba ode mnie chce? Czy ona mnie zna?

No i zabrali mnie na rynek. Byłem na rynku, to tam kaźń.

[…] Jakem doszli do rynku, to widzę dużo Żydów, pełno na rynku i dużo furmanek dookoła, tak jak w dzień jarmarku. I chodzą, lecą, biegają chłopi polscy kłonicami od wozów, co wyjęli, biczami, pałkami, biją Żydów dookoła… Bili nas ze wszystkich stron pałami i kłonicami. Kłonice to w wozie są… to gorsze niż baseball. I za Żydami, i biją wszystkich! A ja tam nie widzę nikogo znajomego, bo ja przecież nie znam wszystkich z Jedwabnego. Znajomych tam nie widzę.

Tylko rabina w jakimś kącie… Awigdora B.

[…] Z początku zrobili szpaler, co zrobili widocznie wcześniej, ja nie widziałem, bo nie byłem na początku na rynku. I bili wszystkich, gnali przez ten szpaler i bili… potem z powrotem tak jak bydło.

Potem zdjęli Lenina i noszą tego Lenina, ale ja… nie jestem razem z nimi.

Po pierwsze, dlatego, że byłem młodszy, a drugie, że byłem sprytniejszy, bo biją wszystkich, co na zewnątrz kręgu, a wszyscy do środka chcą się wepchnąć, żeby nie dostać pałami po łbie.

„Przez nas wojna, myśmy Żydy wojny chcieli" – zmuszali nas, żebyśmy to śpiewali, i „przyszedł Hitler złoty, dał Żydom roboty". Zmusili tam wszystkich Żydów śpiewać tak… Ci, co byli blisko tych bandytów chłopów, to z całej okolicy byli i z Jedwabnego, a ja nie mogłem rozpoznać, bo ja nie znałem jedwabińskich Polaków i drugich też z Wizny, nie widziałem tam ani jednego.

[…] Nie było tam żadnych Niemców.

Nie wiedziałem, co tu będzie, czym to się skończy. W jednym momencie zdało mi się, że ja widzę moją matkę w drugim kącie, to zacząłem tam się pchać… i dookoła biją, i to… nie ma matki. Ja w środku.

Przyszła pora obiadu… zabili kilku, co Lenina nosić nie chcieli… i zaczęli nas gnać w kierunku ulicy Ciesielskiej, zdaje mi się, a potem w kierunku cmentarza.

A ja sobie myślę – to nie może być na robotę… Mimo że cały czas nam mówią „Żydy idziecie na robotę!"… Idę razem ze wszystkimi, pcham się do środka, żeby nie dostać po łbie.

Jakeśmy wyszli za Jedwabne, widziałem stodołę z daleka, ale nie wiedziałem, że prowadzą nas do tej stodoły. Potem sobie myślę – cholera, pewnie za-prowadzą nas do tej stodoły jak w Wiźnie do domu i wrzucą granaty. Ale Niemców nie widzę, ni jednego Niemca nie widzę. Nie ma Niemców. Tam są wszystko Polacy.

Weszliśmy między żyto. I wtedy ludzie zaczęli uciekać. Ja też. Nie mam matki, nie mam nikogo. Nie znam nikogo. Myślę – z Wizny uciekłem, tutaj też trzeba spróbować. Zabiją – trudno, jak pójdę do stodoły, też zabiją. Nie ma co tracić. I uciekłem od tej kompanii… Kilku młodych też uciekło… myślę, że jeszcze nawet pięćdziesiąt czy może więcej młodych uciekło w pole. Ja leciałem w pole do żyta wysokiego… na lewą stronę. I dobiegłem do żyta wysokiego do bruzdy i padłem w ziemię. A dokoła Polacy biegną… gonią za tymi chłopcami i dziewczętami, co uciekli, i słyszę, jak ich biją, jak krzyczą, połapali ich i zaprowadzili… ja nie wiem, dokąd… A ja leżę i się nie ruszam, ale czekam na granaty albo strzały. Nie ma strzałów, nie ma granatów. To leżę. Co mam zrobić? Leżę, leżę… jakoś za godzinę, czy za dwie zdaje mi się, że słyszę i to… I to zawsze mi się kręci w głowie, tak jakbym leżał na brzegu morza i fale… fale morskie robią szum, a potem znów wszystko cichnie. Szum, a potem cicho. Co to może być? Nie wiem.

W jednej chwili przekręcam się… bałem się wstać, bo żyto się ruszy i może ktoś stoi na górce, to zobaczy… przekręcam się na bok i widzę… ogień.

Nie ogień, tylko dym. Myślę – co za dym? Jak cholera… to nie ma granatów, nie strzelają, a dym…? Bo kto myślał, że spalą ludzi żywcem? I nie wiem, co to jest. Znów to morze – fala idzie, fala odchodzi. Wtenczas jeszcze nad morzem nie byłem ani razu i nie wiedziałem, że to tak wygląda na morzu.

A ja leżę… Leżę i leżę, i myślę sobie, że to pewnie pali się gdzieś. Albo wioska, albo coś, to pewnie przecież straż jest ochotnicza w Jedwabnym, to

pewnie Polacy puścili Żydów i poszli ratować te paleniska. Tak sobie myślę.

[…] A potem cicho i znów szum, i znów cicho. I nie wiedziałem, co to jest, ale w jednym momencie poczułem spalenisko… mięso spalone.

[…] Słyszałem straszne krzyki od kierunku stodoły i od kierunku pola, gdy złapali tych, co uciekli widocznie, tak wtedy myślałem. I potem zaczęło być ciszej i ucichło w ogóle, tylko szum słyszałem. I znów cicho, i znów ten szum. Teraz to dzwoni mi to w uszach, jakby to fale morza w czasie przypływu i odpływu fal.

Jak ściemniało, wstałem i mówię sobie – teraz pójdę do wujka do domu i zobaczę, co jest, bo wiedziałem, że jeśli oni usłyszeli coś, to pewnie się skryli w tym kopcu, co mieli na polu, a może te kuzyni, co byli w polu razem ze mną, też się uratowali?

I zacząłem iść po cichu w kierunku domu P., moich krewnych. Jak ja idę w życie, to słyszę, że ktoś też skrada się, tak jak ja. Jak przestałem iść, to tamten też przestawał. Idę jeszcze troszkę a… ten podchodzi bliżej… Ja krzyknąłem – kto tam? To ten też krzyczy – kto tam? Ale ten „kto tam”, to już wiedziałem, że to żydowskie „kto tam”. To ja już po żydowsku do niego. Wyszedł.

Spotkaliśmy się. On mówi „byłem cały dzień, jakiś Polak w Jedwabnym mnie ukrył”. Ja mówię, że ja z Wizny.

– Aaaa, wiem, że ty też w Wizny, pracowałeś w piekarni… to ty z Wizny… W porządku.

To on mówi mi – ten Polak mi powiedział, że spalili wszystkich Żydów w stodole.

To teraz ja już wiedziałem, co to był ten ogień… nie ogień, ten dym, co był. Teraz już wiem. Tamten mówi mi, że Polak ukrył go do nocy, ale teraz kazał iść sobie. Odpowiedziałem mu, że myślę, że mój wujek, stryjek może się ukryli tam w kopcu, i że ja do nich idę. Może matka, może ojciec, bo zdaje mi się, że widziałem moją matkę. Ale tamten odpowiada – głupi, nie idź tam, ten twój wujek i stryjek byli bardzo bogaci i teraz… to już są za miastem… Teraz Polacy tam rozkopują i rozwalają ten dom, i szukają złota u niego… nie masz tam co iść. To co zrobić? Chodź, pójdziemy razem. Dokąd? Pójdziemy w pole. Tak zrobiliśmy. Po godzinie spotkaliśmy jeszcze pięciu Żydów, tak że byliśmy w siedmioro. Jeden z nich mówi – mam znajomego Polaka w Janczewku. Pójdziemy tam i on da nam chleba i mleka. Tak zrobiliśmy. Poszliśmy za Janczewek [Janczewko]. Po drodze dowiedziałem się wszystkiego. Polacy spalili wszystkich Żydów, a Niemcy tylko to fotografowali.

Poszliśmy w pole tam za Janczewek [Janczewko], to przynieśli nam do jedzenia co niecoś i tak myśmy się kręcili jakieś dwa czy trzy dni po polach. Wiedzieliśmy już, że do Jedwabnego to nie ma co iść… postanowiliśmy iść do Łomży. Ja w Łomży też miałem wujka. K. się nazywał, był zegarmistrzem, jeszcze miałem stryjka w Piątnicy. Baliśmy się… bo jak Jedwabne spalili, to może i w Łomży też to samo się dzieje?

[…] W Łomży też była polska milicja i łapali do pracy… Po jakimś czasie musiałem założyć gwiazdę Dawida, musiał założyć każdy od 10 lat, zdaje mi się, to było. Rozkaz niemiecki. W Łomży było cicho z Polakami. Ciekawiło mnie – dlaczego tutaj Polacy nie

biją Żydów? To powiedziano mi, że jak Niemcy weszli do Łomży, to rozstrzelali jakichś dziesięciu czy pięciu i dlatego Polacy siedzieli cicho. Nie bili Żydów wtenczas. […] Ale w ten dzień, cośmy do getta szli, a myśmy szli z ulicy Pięknej, to dość daleko do getta. I przez Rządową zdaje się, już nie pamiętam imion tych ulic, to po drodze stali Polacy na trotuarach. A myśmy… Żydom nie było wolno po trotuarze iść, tośmy szli po drodze i co kilka chwil tam ktoś skoczy chłopak jakiś… i zdejmuje ci z pleców ten… ten… co uratowałeś i chcesz iść do getta z tym. I wszystko to zabierali Polacy, nie Niemcy. Niemcy tego nie robili. Tylko w getcie potem przychodzili Niemcy i strzelali jakby na polowanie… szli.

WRÓĆMY JESZCZE DO WYDARZEŃ NA RYNKU W JEDWABNEM. W JAKI SPOSÓB ŻYDOM UDAŁO SIĘ PRZEWRÓCIĆ POMNIK LENINA?

[…] Z daleka to widziałem ten pomnik Lenina, jak Żydzi go zdjęli, potem jak nosili, ale ja nie byłem razem z nimi. Mówiłem, że byłem sprytny, a możliwe, że to dlatego, że nie byłem silny, żebym z nimi nieść ten pomnik. Nie wiem, czy on był ciężki, możliwe, że zrobili go z tego… gipsu. Jak dwa tygodnie później w Łomży spotkałem moich dwóch kuzynów, co pracowali u Niemców w Jedwabnym, i oni mi powiedzieli, że do wieczora oni byli u Niemców i tam Polacy przyszli. Ja nie wiem, kto.

[…] Na tym rynku w Jedwabnym to bili Żydów, a Żydzi się nie bronili. A ja byłem uczniem w szkole Tarbut – syjonistycznej, pierwszej rzeczy, jakiej myśmy się uczyli, to ta, że Żydzi mają się bronić i bić tak jak

inni. Dlaczego Żyd ma uciekać jak… jako chłopiec… myśmy zawsze szli z Wizny do Jedwabnego do szkoły, pięciu, dziesięciu chłopców, a po drodze mijaliśmy Mączki i rzucali nas tam kamieniami, to i my rzucaliśmy z powrotem. Ja byłem sprytny na kamienie wtenczas. To tak mi wyglądało niedobrze – biją nas, zabijają, ale dlaczego my się nie bronimy? To cały czas, jak stałem na tym rynku w Jedwabnym, myślałem o tym. Myśmy się uczyli jeszcze w szkole o pogromie, co był w Kiszyniewie, żydowski narodowy wieszcz, Bialik, pisał o tym pogromie, a myśmy się uczyli w szkole o tym. To zawsze mówiliśmy, że to nie może być, żebyśmy się nie bronili. Musimy się bronić. Jak w Polsce był ten pogrom w Przytyku, to ja wiem, ja miałem stryjka… jeszcze był kawaler, ja bardzo go lubiłem, a on mnie też, tośmy przygotowali się dobrze na ten pogrom – i siekiery, i noże tak jak trzeba.

A tam ja stałem w Jedwabnem i widziałem jednego… on był z Wizny. T. się nazywał, co nie dał się wziąć do tego pomnika… i zabili go tam na miejscu, ale… ale on nie dał się. No a reszta to szli jak owce.

O tym myślałem wtenczas. Jako syjonista. Przecież już byłem syjonistą! Miałem tego dnia pięć dni do moich urodzin, a musiałem oddać na ofiarę ojca, matkę i siostry moje. Co się z nimi stało, nie wiem do dnia dzisiejszego, czy byli tam, czy nie byli? Może być, że rodziców mi zabili, gdy szli do Wizny. Siostrzyczki wzięte były przez sąsiadów… złapali ich w polu widocznie. Siostry zaprowadzili na rynek, to wiem, to słyszałem od kogoś. A ojca i matkę, to nie wiem… gdzie ich zabili?

Pewnie, że ich zabili w jakimś miejscu, i pewnie, że nie Niemcy. O tym też wiem. A co ja jeszcze mogę

powiedzieć o Jedwabnym? To straszne. Nie wiedziałem, że tak może być. Nie myślałem o tym, że spalą ich.

Cały czas czekałem na te granaty albo strzały i strzałów nie było.

[…] Ale Polacy nie… nie szli tam z bronią palną, bo nie wolno było, bo się bali Niemców. To bili Żydów pałkami, siekierami, co… co im wpadło w ręce. Widziałem, jak pałkami zabijali. Siekierą nie widziałem, ale pałkami to widziałem.

Bili… wiem… czy umarli, czy nie, nie poszedłem zobaczyć, jakbym poszedł, toby i mnie zabili. Ja się cały czas pchałem do środka. Nie tylko ja. Wszyscy.

KIM BYLI LUDZIE, KTÓRZY W NOCY PRZYJECHALI NA FURMANKACH DO JEDWABNEGO? SKĄD BYŁY TE FURMANKI?

Furmanki… Autobusów tam nie było, to trzeba przyjechać. Można było przyjechać konno, można było przyjść pieszo, tak jak te chłopcy, co mnie złapali, oni przyszli pieszo. Widocznie ze wsi pobliskiej jakieś byli, myślę tak. Nie znałem ich, nie wiem po dziś dzień, skąd oni byli. No tam były przecież wioski wokół Jedwabnego, jak Janczewka [Janczewka], to ja znam jej nazwę. Innych już nie pamiętam… oni szli z drogi od tego Radziłowa. To z tamtej części szli. Tam też były wioski. A kto był z daleka… z Goniądza… za Radziłowem… czy coś, to musiał furmanką jechać po pierwsze, a po drugie, widocznie oni szykowali się, żeby można było rabować. Rabowali przecież, rabowali wszystko. Nocą był… policyjski czas… godzina policyjna… tak… to nie wolno było rabować.

Ale mówiłem już, że ten żydowski chłopak, co spotkałem go jako pierwszego, powiedział mi – nie idź to twego wujka, bo tam teraz rabują. A tam nie było nikogo i oni mogli robić, co chcą… Pewien chłopak, poznałem go w Łomży, był przy stodole w Jedwabnym, nie pamiętam jego imienia, ale on razem z nimi był. To on powiedział, że przy stodole stali Niemcy i filmowali film. To słyszałem od niego. Czy to prawda, nie wiem, ale że Niemcy… ci Niemcy, co stali przy stodole, nie bili Żydów i nic nie robili, tylko filmowali. Fotografowali, filmowali, nie wiem.

[…] Furmanki przyjechały rabować. Chłopi albo same ich baby pojechały tymi furmankami z rynku do sklepów. Rabowali, co mogli. I domy żydowskie… bo przecież wygnali wszystkich z domów i rabowali. I to na tą rzecz przyjechali na furmankach… bo było tam ludzi bardzo dużo i z daleka, a potem w czasie wojny się dowiedziałem, że z wioski Przytuły, to zdaje mi się jakieś 15–16 kilometrów od Jedwabnego, dużo z nich poszło do Jedwabnego w ten dzień.

[…] Na rynku widziałem tylko Polaków. Ja nie widziałem ani jednego Niemca. O Niemcach słyszałem od moich kuzynów, ale to już później, jak byłem w getcie w Łomży.

JAK UDAŁO SIĘ PANU PRZEŻYĆ?

Ja w wojnę udawałem, że jestem Polakiem i byłem w partyzantce, w pierwszym pułku piechoty polskiej, Armii Krajowej, miałem pseudonim „Grodniak”. […] W 44 roku poszliśmy na Warszawę. Spotkaliśmy po drodze Żyda i tego Żyda potem zabili… On przyszedł i szukał partyzantów, a naszedł na mnie, a ja miałem

rozkaz szukać Żydów. Byłem w jakiejś wiosce, co tam… komunistów i Żydów szukali. Szukali komunistów więcej jak Żydów, bo tam Żydów nie było.

To przyszli do mnie i powiedzieli – jeszcze jakiś Żyd się kręci tutaj. Ja się kręciłem też kiedyś… ale rozkaz był, wziąłem konia i na tym koniu jechałem po laskach, po zagajnikach… Widzę, wcale niepodobny na Żyda, ale ubrany, brudny i… jak zaczął ze mną rozmawiać, to wiedziałem, że… po polsku nie umiał dobrze. Za krótki czas zastrzelili go… ale on… ja mu powiedziałem…. on wiedział, że są partyzanci w tej okolicy.

Mówię mu – pamiętaj, nie idź do partyzantów polskich, bo cię zabiją. Ja wiem, kto oni… on nie wierzył, że ja jestem w partyzantce też.
I powiedziałem mu… dokąd iść, ale on nie zdążył niestety. On poszedł w jedne miejsce, złapali go Polacy z drugiego oddziału, strzelili go rewolwerem małym. Dostał dwie kule w łeb no… Upadł. A oni poszli… I on leżał.

A potem się obudził, a oni poszli szukać łopaty, żeby go zakopać. I przyszli, i nie ma Żyda. Ale on… on… krew mu się lała. Poszli za śladem. On wszedł do jakieś wioski, teraz nie pamiętam już jej nazwy.
I wlazł… on się tam ukrywał dłuższy czas u Polaków wcześniej… On był ze Stawisk. Wlazł na stodołę, partyzanci za nim i złapali go. Wzięli od psa… jak to się nazywa… łańcuch i nałożyli mu jak na psa, i poprowadzili go z powrotem na tamto miejsce, by go zakopać i wykończyć go.

Ja mu powiedziałem wcześniej – pamiętaj, jeśli coś się stanie, to zabij, tak jak Samson. Ty umrzesz, ale i tamten musi umrzeć. On w ostatniej chwili odwrócił

się, złapał karabin tego polskiego kaprala i dał mu raz po głowie karabinem. Nie umiał strzelać. I ten upadł.

A potem w tej wiosce była legenda, że „Żyd po śmierci naszego kaprala zabił". To było niedaleko Przytuł w jakimś miejscu, po wojnie słyszałem to.

Moi kuzyni byli w Błotach pod Strykowem, mieli tam bunkier. Ja nie myślałem, że oni przeżyją tam miesiąc… a im udało się przeżyć do powstania w Warszawie, było tam ponoć szesnastu Żydów z okolic Stawisk, z Łasi, Laskowca, z Zawady… ale jak Armia Krajowa zaczęła iść na Warszawę, to zatrzymali się tam w Czerwonym Borze i na Błotach. To moi kuzyni uciekli pod Stryków, bo tam mieli drugi bunkier, i myśleli, że wszystko będzie w porządku. Ale Armia Krajowa napadła tam na nich też i wszystkich rozstrzelali… wrzucili granaty do bunkra, a potem wyjęli wszystkich, co jeszcze żyli, i tam wykopali dół, i wrzucili ich, i w dole rozstrzelali. I zakopali.

[…] W partyzantce miałem granaty, jedno co… mieliśmy po dwa granaty, ja miałem trzy i wiedziałem, że jeśli ktoś z moich kolegów znajdzie, że ja jestem Żydem, to jestem skończony. To wtenczas… – ja rozerwę granaty razem z nim. To myślałem.

[…] W tym czasie w tej okolicy zaczęły tworzyć się grupy NSZ, oni mieli hasło „My jesteśmy awangardą, szturmowy oddział przyszłej polskiej armii, oczyszczamy kraj od Żydów i komunistów".

SZMUL W.[98]

Żyd, mieszkaniec Jedwabnego

W Jedwabnie do wybuchu wojny żyło około 1600 Żydów, z których uratowało się tylko 7

przechowywanych przez Polkę W., zamieszkałą niedaleko miasteczka. W poniedziałek wieczorem, 23 czerwca 1941 r. Niemcy wkroczyli do miasteczka. Już 25 przystąpili swojscy bandyci, z polskiej ludności, do pogromu Żydów. Dwóch z tych bandytów B – „Borowiuk” Wacek ze swoim bratem Mietkiem, chodząc razem z innymi bandytami po żydowskich mieszkaniach, grali na harmonii i klarnecie, aby zagłuszyć krzyk żydowskich kobiet i dzieci. Ja, własnymi oczami, widziałem, jak niżej wymienieni mordercy zamordowali:

Chajcie W.,
Jakuba K., 73 lat
i K. Eliasza.

Jakuba K. ukamienowali oni cegłami, a K. zakłuli nożami, później wydłubali mu oczy i obcięli język. Męczył się nieludzko przez 12 godzin, dopóki nie wyzionął ducha.

[…] Okoliczna ludność przestała sprzedawać produkty żywnościowe, wskutek czego położenie stało się coraz cięższe. W międzyczasie rozpowszechniono pogłoskę, że Niemcy wkrótce wydadzą rozkaz zniszczenia wszystkich Żydów. Taki rozkaz został wydany przez Niemców 10 lipca 1941 r. Mimo że taki rozkaz wydali Niemcy, ale polscy chuligani pojęli go i przeprowadzili najstraszniejszymi sposobami, po różnych znęcaniach się i torturach spalili wszystkich Żydów w stodole. W czasie pierwszych pogromów i podczas rzezi odznaczyli się okrucieństwem niżej wymienieni mężczyźni:

– Sz.,
– K.,
– B. Mietek,

– B. Wacław,
– J.,
– R. Bolek,
– S. Stanisław,
– S. Franciszek,
– K. Geniek,
– T.,
– T. Jerzyk,
– L. Jurek,
– L. Czesław.

10 lipca 1941 r. przybyło do miasteczka 8 gestapowców. Odbyli naradę z przedstawicielami władz miasteczka. Polacy powiedzieli, że trzeba wszystkich zgładzić. Niemiec powiedział, ażeby z każdego zawodu zostawić przy życiu jedną rodzinę żydowską; obecny miejscowy stolarz Sz. Bronisław odpowiedział wtedy: mamy dość swoich fachowców, musimy wszystkich Żydów zgładzić, nikt z nich nie może zostać żywym. Wtenczas burmistrz K. i wszyscy pozostali zgodzili się z jego słowami. Postanowiono wszystkich Żydów zabrać w jedno miejsce i spalić. Do tego celu oddał Sz. swoją własną stodołę znajdującą się niedaleko miasteczka. Po tym zebraniu rozpoczęła się rzeź. Miejscowi chuligani, wszyscy uzbrojeni w siekiery, w specjalne kije – w których były nabite gwoździe – i inne narzędzia zniszczenia i tortur, wypędzili wszystkich Żydów na ulicę.

Jako pierwszą ofiarę swoich diabelskich instynktów wybrali 75 najmłodszych i najzdrowszych Żydów, którym kazali podnieść z miejsca i zanieść wielki pomnik Lenina, którego w swoim czasie Rosjanie postawili w centrum miasteczka.

Było to niemożliwie ciężkie, ale pod gradem straszliwych uderzeń musieli Żydzi to zrobić, niosąc pomnik musieli jeszcze do tego śpiewać, aż przynieśli go na wskazane miejsce.

Tam zmuszono ich do wykopania dołu i wrzucenia pomnika. Po tym ci sami Żydzi zostali zakatowani na śmierć i wrzuceni do tego samego dołu.

Drugim znęcaniem się było: mordercy zmusili każdego Żyda do wykopania grobu i pogrzebania poprzednio zabitych Żydów, później ci z kolei zostali zamordowani i pochowani przez innych. Trudno jest do odzwierciedlenia wszystkich okrucieństw chuliganów i trudno jest znaleźć w historii naszych cierpień coś podobnego. Spalono brody starych Żydów, zabijano niemowlęta u piersi matek, bito morderczo i zmuszano do śpiewów, tańców itp. Pod koniec przystąpiono do głównej akcji – do pożogi. Całe miasteczko zostało otoczone przez straż, tak że nikt nie mógł uciec, później ustawiono wszystkich Żydów po 4 w szeregu, a rabina, powyżej 90 lat Żyda, i rzezaka postawili na czele, dano im czerwony sztandar do rąk i pędzono ich, śpiewając, do stodoły. Po drodze chuligani bili ich bestialsko.

Obok bramy stało kilku chuliganów, którzy grając na różnych instrumentach, starali się zagłuszyć krzyki nieszczęśliwych ofiar. Niektórzy z nich próbowali się bronić, ale byli bezbronni. Pokrwawieni, skaleczeni zostali wszyscy wepchnięci do stodoły.

Potem stodoła została oblana benzyną i podpalona, po czym poszli bandyci po żydowskich mieszkaniach, szukając pozostałych chorych i dzieci. Znalezionych chorych sami zanieśli do stodoły, a dzieci wiązali po kilka za nóżki i przytaszczali na plecach, kładli na

widły i rzucali na żarzące się węgle. Po pożarze z jeszcze nierozpadłych ciał wybijali siekierami złote zęby z ust i na różne sposoby zbezczeszczali ciała świętych męczenników.

[…] 18 dni po wejściu Niemców w 1941 r., w czwartek dnia 10 lipca Polacy się zorganizowali, grasowali po piwnicach, wyrzucali z domów, wyciągali z kryjówek. Byłem na ulicy, uciekłem w krzaki. Całe miasteczko było na ulicy, był upał, ludzie ginęli z pragnienia. Nie pozwolili przystąpić do studni. D. prosiła o wodę, zemdlała, nie pozwolili ratować, matkę zabili, bo chciała wodę podać. Natka B. zginęła z dzieckiem na ręku. Polacy zabili jej dziecko. Ośmiu gestapowców było obecnych. Nie mordowali.

Stali i robili sobie zdjęcia.

[…] Sz. Stanisław mordował hakiem żelaznym, nożem w brzuch. Zeznający był w krzakach. Słyszał, jak krzyczą. Wymordowali 28 mężczyzn w jednym miejscu i to najsilniejszych. Sz. zabrał jednego Żyda. Język mu wycięli. Później długa cisza.

Widział, jak wyciągano meble z domów, ludzi ustawiono czwórkami. Polacy mieli drągi z gwoździami. Ludzie krzyczeli wniebogłosy, a Polacy stali obok, gwizdali i śpiewali. Podpalili stodołę z ludźmi. Młodą dziewczynę najpierw zgwałcili, potem zabili. Rano znowu podpalili zamkniętych w szopach. Później ściągali złote zęby.

LEON D.[99]

Polak, mieszkaniec wsi Przestrzele, gmina Jedwabne

Cała sytuacja z prześladowaniem Żydów miała miejsce w czasie żniw. Był to lipiec, było ciepło. To

było już za Niemców, jak przyszli, roku nie pamiętam. Pierwsze zajście, jakie pamiętam, miało miejsce jeszcze przed spaleniem żydostwa w stodole w Jedwabnym. Ja miałem znajomego Żyda – Szmula W. On się uczył ze mną w jednej klasie, w polskiej szkole. Żydzi chodzili do polskiej szkoły i do żydowskiej. Obie szkoły były na tej samej ulicy w Jedwabnem. Polacy nie chodzili do żydowskiej szkoły, a Żydzi do polskiej tak. Szmul W. wraz ze swoim bratem rodzonym, którego nazwiska nie pamiętam, trudnili się jatką mięsną, kupowali mięso. Mieli wóz i jednego konia. W czasie, jak o tym powiadam, Szmul W. nie miał już wozu i konia. Wiem od niego, że zabrali mu wóz i konia oprawcy, ci Polacy. On nie mówił, jacy, ale w tym czasie, o czym opowiadam, to już Polacy czepiali się do Żydów.

Moja rodzina znała się z rodziną W., bo ich matka była wdową i krawcową, która tanio szyła. U nas matka miała osiem dzieci, to szyliśmy koszule u matki W. Któregoś dnia Szmul W. przyszedł do nas do domu. On prosił mnie, żebym zaprzęgał konia do furmanki i pomógł mu zabrać swoje rzeczy. Te rzeczy to Szmul W. wiózł do Jedwabnego, jak nastali Niemcy, żeby je uchronić. Nie pamiętam nazwiska gospodarzy, u którego trzymał te swoje rzeczy, ale to było na kolonii za Sierszankami. Szmul W. prosił mnie o to, bo nie miał swojego konia i wozu. Zgodziłem się i zaprzęgłem konia do furmanki. Pojechałem razem z nim na tę kolonię, do tego gospodarza, po rzeczy Szmula W.

Zabraliśmy te rzeczy i potem przewieźliśmy do Jedwabnego do domu Szmula W. na podwórko. Kiedy tam zajechaliśmy, to wyszli z domu i inni Żydzi, którzy

tam mieszkali. Oni mieli zabrać rzeczy Szmula z mojej furmanki. Wtedy ja zobaczyłem, że na podwórko wchodzi trzech Polaków: jeden to był Bolesław R., szklarz, którego znałem, drugi to P., imienia zapomniałem, i trzeci, którego nie mogę sobie teraz przypomnieć.

Oni mieli ze sobą kociuby, czyli laski, jakimi podpierali się starsi ludzie. Ale ci Polacy mieli specjalne kociuby, okute blachą. Ja miałem wtedy szczęście, że nie dostałem sam w łeb.

Kiedy Bolesław R., P., który potem został w Jedwabnem żandarmem, i ten trzeci przyszli na podwórze, gdzie wcześniej przyjechaliśmy, to Żydzi uciekli. Nagle zostałem sam i tylko tych trzech Polaków, co przyszli. Oni to wszystko z fury, co przywiozłem, wywalili na ziemię i zaczęli w tym grzebać. Wybierali, co im się nada. Któryś z nich uderzył konia po zadzie kociubą i ja odjechałem. Odwracałem się i widziałem, jak grzebią w tych rzeczach Szmula W.

Za kilka dni, może dwa, może trzy byłem w domu. Była to pora już po obiedzie, może druga, może trzecia godzina po południu. W pewnym momencie usłyszałem jakby echo takiego strasznego krzyku „Eeeee…” i jednocześnie od strony Jedwabnego pojawił się czarny dym. Dobrze to pamiętam.

Ten dym był czarny, jak z palonego budynku. Ten krzyk, który usłyszałem, zacichł. On trwał tyle co ułamek czasu. Nie wiem, może trwał ten krzyk do minuty. Dodaję, że w tym czasie chodziła pogłoska, że wcześniej Żydów spalono w Wąsoszu i Radziłowie i stamtąd ci, co ocaleli, uciekli do Jedwabnego.

[…] Kiedy był ten krzyk i ten pożar, to matka zabroniła nam iść do Jedwabnego, żeby zobaczyć, co się stało. U nas rządziła w domu matka i co ona powiedziała, to było święte. Myśmy zostali w domu.

[…] Nad wieczór tego dnia, już zmrok zapadł, ja poszedłem do stodoły naszej, żeby nakarmić konia. Brałem widłami paszę dla konia, kiedy spod tej paszy wylazł Szmul W. Złapał mnie za nogę. Mówił do mnie: „Daruj” płaczącym głosem. Ja mu oświadczyłem, że nie przyszedłem go zabijać, tylko dać źreć koniowi. Powiedziałem jemu, żeby cicho siedział, bo ściany mają uszy. Powiedziałem mu, że potem przyjdę od matki, to mu coś przyniosę do okrycia, bo był chyba tylko w koszuli. Był lekko ubrany. Potem przyniosłem mu kruczak, tj. ciepłą kapotę do krycia. Potem dałem mu jeść w chałupie, jak się ściemniło, bo zaprowadziłem go do naszego domu. Szmul W. ukrywał się u nas w stodole, w piwnicy i w kryjówce pod podłogą chałupy, przez dwa tygodnie.

Szmul W. opowiadał mi, że uciekł w Jedwabnym z gromady Żydów, których prowadzili do stodoły, i schował się na cmentarzu żydowskim, w leszczynie. Mówił, że Polacy gnali Żydów do stodoły, a kilku żandarmów niemieckich tylko szło z tyłu grupy z aparatem fotograficznym i robili zdjęcia. Szmul wymieniał nazwiska Polaków, którzy gnali Żydów do stodoły, ale ja już nie pamiętam tych nazwisk. To tyla czasu. Szmul nie mówił, ilu Polaków brało udział w gnaniu Żydów do stodoły, a ja nie pytałem.

[…] Powiedzenie jego było i takie, że obserwował z tego ukrycia na żydowskim cmentarzu, jak potem ci polscy oprawcy, bo ja ich inaczej nie mogę nazwać, doganiali ukrywających się Żydów. Jak którego złapali,

to Szmul W. widział, jak jeden nóż ofierze wbijał między nogami, to znaczy w brzuch, i ciągnął w górę do szyi. Potem drugi lał lachą w głowę i spychał ofiarę do kanału. Tam był taki kanał wodny niedaleko tej stodoły, jeszcze z pierwszej wojny światowej. Teraz to wszystko zaplanowane i kanału nie ma. Tych Żydów, co ich zabijali, to wrzucali do kanału, bo ogień w stodole już dogasał. Nie pamiętam, jacy to robili, ale lachą w głowę to Żydów bił S., imienia nie pamiętam, ten, co miał drewnianą kulę zamiast nogi. To mówił Szmul W. […] Szmul W. chyba niczego nie mówił o zachowaniu Karola B. w czasie mordu w Jedwabnem. Nie mówił też o Józefie Ch. Nie kojarzę też nazwiska Władysław D. Szmul W., nie pamiętam, żeby mówił o Wincentym G., Romanie G. ani Aleksandrze J. Natomiast Szmul W. wspominał o udziale w rzezi trzech L.: Czesława, Zygmunta i Jerzego, ale nie mogę panu powiedzieć, co o nich mówił, bo nie pamiętam. Nie mówił niczego o Czesławie L. chyba i nie o Aleksandrze Ł. ani Czesławie Ł. Chyba nie wspominał o Władysławie M. i Antonim N.

Szmul W. mówił też o Bolesławie R. i P., tym, co potem został żandarmem. Oni dwaj brali czynny udział w zabijaniu Żydów.

[…] Upłynęło tyle czasu, a głowa skołatana. Po tych dwóch tygodniach ukrywania się u nas Szmul W. przeszedł do rodziny W., do Janczewka, gdzie się ukrywał.

[…] Dwa dni po spaleniu Żydów przyszedł do sołtysa goniec z żandarmerii w Jedwabnem z poleceniem, aby na jutro na żandarmerię stawiły się dwie osoby z łopatami. Wypadło na mnie oraz sąsiada. Sąsiad już

nie żyje. Rano obaj zgłosiliśmy się na żandarmerię. Byli tam już ludzie z innych wsi. Z tych, co pamiętam, już nie żyją. Było nas w sumie 25 czy 30 ludzi. Trzech żandarmów zaprowadziło nas na pole, na peryferiach Jedwabnego koło żydowskiego cmentarza. Stała tam ta spalona stodoła, która należała do Bronisława Ś. Był on jednym ze sprawców mordu. Ludzie mówili, że oddał dobrowolnie swoją stodołę na spalenie, bo miał dostać nową. Początkowo to Żydzi mieli zostać spaleni w stodole Ch. starego, imienia nie pamiętam.

Ale odstąpili od tego, bo chyba stodoła była za blisko miasta, tak mi się coś kojarzy. Co do Ś., to kojarzy mi się, że dostał drewno na nową stodołę, ale nie jestem pewny. Kołacze mi się, ale stary łeb, schorowany u mnie, nie pamiętam. Kiedy przyszliśmy do stodoły, to na kupie trupów w stodole było nasypane piasku na sztych łopaty. To znaczy, że musiała przed nami pracować jakaś grupa. W stodole zobaczyłem, że w zasieku ze strony wschodniej oraz na klepisku pośrodku stodoły zwłoki są bardzo spalone. Widać było to głowę, to nogę, a reszta to był popiół, no szczątki ludzkie takie częściowo niedopalone. Z tych szczątków to nie można było określić, z ilu ludzi były te szczątki.

Natomiast w zachodnim zasieku stała cała góra ludzi, masa zabitego narodu. Małe, duże, dzieci, dorośli. To było pokrzyżowane, cały tłum. Trupy stały, leżały, to kłębowisko miało na półtora – dwa metry wysokości. Na wierzchu byli popaleni, a głębiej nawet nieruszeni ogniem. Nie dało się ruszyć, tak pokrzyżowani byli. Nie dało się rozerwać. My powiedzieliśmy to żandarmom. Oni kazali ludziom z Jedwabnego przywieźć widły i kulasy, takie widły

z zakrzywionymi zębami. Zaczęliśmy wbijać te widły i kulasy w to kłębowisko i rwać – nogi, głowy, jak popadło. Wrzucaliśmy to do dołu, który wcześniej po przyjściu wykopaliśmy wzdłuż zachodniego sąsieku. Był to rów do 2 metrów głęboki i szeroki na gdzieś półtora metra. On był długi tak jak zasiek. Jak wspomnę to rwanie ludzi, to aż mnie serce boli…

…płacze…

Tam były pomordowane malutkie dzieci, z matkami. Tyle ludzi zabić, zagnać do ognia, w taki sposób. Pamiętam takie zdarzenie, że przy końcu tej roboty to starsi ludzie kazali nam młodszym spychać do rowu resztki z tych ludzi, co zostały, to nogę, to wątrobę.

Ja szedłem i na środku sąsieku zachodniego zobaczyłem leżące duże metalowe pudełko po paście „Dobrolin”. Odruchowo ciepłem je łopatą i przeciąłem. Wtedy z zewnątrz wyleciały złote ruble.

Wszyscy rzucili się do ich zbierania. Żandarmi, którzy siedzieli niedaleko, zobaczyli to i przylecieli z karabinami. Kazali podnieść ręce do góry. Zaczęli zbierać te złote ruble. Rewidowali też ludzi. Kto był mądry, to wpuścił ruble w spodnie i zleciały do buta, to Niemcy nie znaleźli. Jak ktoś wsadził do kieszeni, to żandarmi zabrali i jeszcze walnęli kułakiem po głowie. Mówili przy tym, że ruble to dla nich, a dla nas los Żydów.

Jak zaczęliśmy pracę przy stodole, to początkowo żandarmi kazali sypać piasek na ciała. Ale wkrótce przyszedł Ś. – właściciel stodoły do żandarmów. Pogadał coś z nimi i potem oni razem z nim podeszli do nas. Żandarmi powiedzieli, żebyśmy przestali zasypywać trupy piaskiem. Wytyczyli obszar i kazali kopać rów wzdłuż sąsieku. Myślę, że chodziło o to, że

inaczej te ciała toby psy rozwłóczyły, nawet gdyby nie wiem ile ziemi na nie nasypać. Kiedy kończyliśmy robotę pod wieczór, to rów był pełen trupów. Warstwa ziemi do ich zasypania to około pół metra, nie więcej.

Takie złożyłem zeznanie w dniu 10 kwietnia 1968 r. Powiedziałem prawdę. Nie mówiłem wszystkiego, bo to były takie czasy, że lepiej było milczeć.

SZMUL W. URATOWAŁ SIĘ DZIĘKI POMOCY MAŁŻEŃSTWA W.

ANTONINA I ALEKSANDER W.[100]

Polacy, mieszkańcy Jedwabnego

Kiedy getto w Łomży było niszczone, sześciu Żydów uciekło do mnie i przebywali u mnie, razem siedmiu do wyzwolenia. Kryjówki ich były wykopane w ziemi pod kartofliskiem. Jeden w oborze, gdzie stały owce, a drugi w kurniku. Trudno im było wytrzymać bez dopływu świeżego powietrza, dlatego też wychodzili na wierzch obory, gdzie leżała słoma. Jeden z nich zawsze pełnił straż przy szczycie i przez szparę obserwował, czy nie zbliża się jakieś niebezpieczeństwo. Najgorsze było podawanie im żywności, żeby nie wzbudzić podejrzeń Niemców, którzy mieli w piwnicy wędzarnie w odległości 15 metrów od ich kryjówki, cały czas tak było, tylko czekanie, sześć miesięcy, kiedy Niemcy do nas przyszli, a front był niedaleko.

[…] Jeden z sąsiadów musiał nas oskarżyć, że my przechowujemy Żydów. Przyjechali żandarmi robić rewizję. Ponieważ we wsi jest mój brat o takim samym nazwisku, pojechali do niego, ponieważ byłem

w pobliżu, zgłosiłem się i zapytałem, o co tu chodzi? Mogłem uciekać, ale żeby nie wzbudzać żadnych podejrzeń, zostałem. Zapytali mnie, jak się nazywam, i oni zabrali mnie ze sobą z bronią gotową do strzału, żebym nie uciekł. Przyprowadzili mnie pod mój dom i postawili pod ścianą, jeden celował we mnie z karabinu.

Kazali mi oddać Żydów, bo wiedzą, że ja ich mam. Powiedzieli, że jeśli oddam, mnie nic nie będzie, a oni zastrzelą tylko Żydów. Powiedziałem im, że nie mogę Żydów oddać, ponieważ ich nie mam. Ukląkłem na kolana i płakałem bardzo, i prosiłem Boga, żeby mi Pan Bóg darował i mnie ocalił i moją rodzinę, i tych ludzi, skończyła się dyskusja, jeden mnie pilnował, żebym nie uciekł, a reszta dokonywała rewizji w mieszkaniu, w stodole, ze stodoły wyrzucili słomę, bardzo szczegółowo szukali. Później poszli do obory, tam gdzie byli Żydzi. Jeden z Niemców wszedł na wierzch obory, gdzie oni wychodzili, żeby złapać świeżego powietrza, i tam słoma mocno była ubita. Zawołali mnie i zapytali, co to jest? Kto tak tu chodzi? Ja im odpowiedziałem, że mam ciasne mieszkanie i tu śpię. Od tej rewizji żyliśmy pod strachem wielkim.

[…] Gdy przyszła Armia Radziecka, ci męczennicy wyszli na wolność, poubieraliśmy ich, jak mogliśmy, który był pierwszy, to poszedł do swego domu, ale żona zginęła, więc on przyszedł do nas jeść, reszta poszła do swoich miejsc. Pewnej niedzieli w nocy zauważyłem, że idzie partyzantka i rozmawiają, że zajdziemy dziś i załatwimy z tym Żydem, a drugi, że wszystkich jednej nocy zastrzelą. Od tej pory ten Żyd nocował na polu w dole po kartoflach, dałem mu poduszkę i swoje palto. Poszedłem do tej reszty i ich

ostrzegłem, co im grozi. Te dwie dziewczyny, które były ich narzeczonymi, partyzantka nic do nich nie miała i im przykazali, żeby one nic nie mówiły swoim narzeczonym o ich przyjściu, to oni przyjdą po resztę.

Tej samej nocy przyszli do nas po Żyda, żeby go oddać, to oni go zabiją i nam już więcej nie będą dokuczać. Moja żona odpowiedziała, że męża nie ma, bo poszedł do siostry, a Żyd pojechał do Łomży i nie wrócił. Wtedy zaczęli ją bić, tak że nie miała białego ciała na sobie, tylko czarne. Zabrali co lepszego z domu i kazali, żeby ich odwieźć. Zawiozła ich pod Jedwabne.

Gdy wróciła, Żyd już wyszedł z kryjówki i zobaczył, że jest pobita, później po jakimś czasie przyszedł drugi Żyd Janek K. [nieczytelne – przyp. M.T.], porozmawiali i postanowili wiać z tego miejsca. Mnie poszukiwano później jeszcze trzykrotnie, kryłem się i musiałem wyjechać. Mieszkaliśmy w Łomży. Żona zostawiła dzieci przy rodzicach. Z Łomży przeprowadziliśmy się do Białegostoku, gdyż w Łomży też nie byliśmy pewni swego życia. W Białymstoku doktor Datner widział żonę pobitą i wydał nam papiery, lecz zostały zagubione. W 1946 r. przeprowadziliśmy się do Bielska Podlaskiego. Po paru latach też wydało się i zmuszeni byliśmy opuścić Bielsk Podlaski.

CO ZAPAMIĘTALI Z TEGO TRAGICZNEGO DNIA INNI ŻYDOWSCY MIESZKAŃCY MIASTECZKA, KTÓRZY PRZEŻYLI ZAGŁADĘ?

HERSZEL P.B.[101]

Żyd, mieszkaniec Jedwabnego i Goniądza

[…] W dniu 14 lipca 1941 r. moja matka przybyła do Goniądza. Biegła przez lasy i pola z Jedwabnego i była wyczerpana. Była w drodze od trzech dni. Udało jej się uniknąć rzezi popełnionej przez Polaków na ludności żydowskiej w Jedwabnem. Udało jej się uciec, bo nosiła ubiór, jaki zazwyczaj nosiły polskie kobiety, mówiła po polsku bez akcentu i nie można było w niej rozpoznać Żydówki. Poprzedniego dnia z sąsiednich wsi przyjechało kilka wozów. Miały one zabrać Żydów do obozów koncentracyjnych do pracy. Jednak Polacy postanowili zabić Żydów na miejscu. Polacy zebrali razem wszystkich Żydów z Jedwabnego, Wizny, Radziłowa, w sumie około tysiąc czterysta osób. Stary rabin Awigdor B. stał na rynku, kiedy trzymano ich w palącym słońcu. Polacy uderzali i bezlitośnie bili dowolnie wybranych ludzi. Żydom kazano pójść na cmentarz, Polacy zamknęli ich w stodole, zaryglowali drzwi, oblali naftą stodołę i podpalili. Polacy stali, śpiewali i uderzali w drewniane kołatki, by zagłuszyć straszne krzyki, które dobiegały z płonącej stodoły.

[…] Na początku 1945 r. zdobyłem rower i pojechałem prawie 60 kilometrów do Jedwabnego w nadziei znalezienia Żydów. Jedynym, który pozostał, był Izrael G., stolarz przechrzta. Zapukałem do jego drzwi, które otworzyła polska kobieta. Kiedy powiedziałem, że chcę się z nim widzieć, natychmiast zamknęła drzwi, mówiąc „on nie chce widzieć Żydów”. Spotkałem wielu Polaków, których znałem przed wojną; kilku z nich brało udział w zagładzie Żydów. Jeden z nich zapytał: „Herszel, to ty jeszcze żyjesz?”. Zrozumiałem, że grozi mi niebezpieczeństwo, i wyjechałem bocznymi drogami.

RYWKA F.[102]
Żydówka, mieszkanka Jedwabnego

Pierwszego dnia po wkroczeniu Niemców do miasteczka Jedwabne zamordowali rymarza Jakuba K., krawca Eliasza K. i kowala Szmula W., handlarza Moszka F., Chonka G. i jego syna. Siostry, żona Abrahama K. i żona Saula B., których mężowie uciekali z Rosjanami i których Niemcy okrutnie męczyli, postanowiły zakończyć swoje własne życie i życie swoich dzieci. Zamieniły się dziećmi i skoczyły w głęboką wodę. Goje, którzy stali niedaleko, wyciągnęli je z wody, ale udało im się wskoczyć raz jeszcze i utonęły.

Wtedy Żydzi zaczęli szukać sposobów na przeżycie. Ja, Rywka, i mój mąż Jankiel R., razem z naszymi dziećmi Herszelle i Leibele, dołączyliśmy do rodziny P., którzy także mieli dwójkę dzieci, i wszyscy pobiegliśmy do sąsiedniej wsi położonej pięć kilometrów od Jedwabnego. Mieliśmy nadzieję, że nasi przyjaciele wśród gojów pomogą nam się tam ukryć. Ale nasi przyjaciele bali się. Nie mieliśmy innego wyboru, jak ukrywać się na polach wysokiej kukurydzy. Pani P., z jednym ze swoich dzieci i jednym z moich, wróciła do Jedwabnego dowiedzieć się, co się tam dzieje. Nigdy nie wrócili na pole. Jednego dnia dostaliśmy wiadomość od pani P., dostarczoną do domu przez jednego z naszych przyjaciół wśród gojów we wsi, który pozwolił nam przespać się przez jedną noc na podłodze w swoim domu.

Prosiła, byśmy wrócili do miasteczka, bo męczyło ją sumienie, że ona była w domu, a my na polu. Kiedy czytaliśmy wiadomość, przyszedł mężczyzna

i powiedział: „Szybko uciekajcie. Bandyci was szukają”. Zobaczyliśmy, że idą, i wskoczyliśmy do piwnicy. Grozili nam bronią, zabrali wszystkie rzeczy, załadowali mężczyzn na wóz i odjechali. Zabrali ich do pobliskiego lasu i kazali mężczyznom stanąć plecami do nich. Pani P. błagała ich, by pozwolili im odmówić viduy (spowiedź), na co pozwolili. Wtedy mój mąż rozpoznał jednego z gojów, upadł na kolana i błagał: „Ty znasz mnie, wiesz, że nie jestem komunistą. Proszę, nie przelewaj niewinnej krwi. Ulituj się nad moją żoną i dziećmi”. Jego słowa zrobiły wrażenie na mordercach i nie zabili ich, ale zamiast tego zabrali ich do miasta.

W owym czasie magistratem kierował człowiek nazwiskiem K. Znany jako najbardziej niebezpieczny, straszny antysemita i przestępca. Zorganizował bandę kryminalistów i antysemitów, w tym ojca i syna K., niesławnych braci J. i innych bandytów.

Zwrócili się do władz niemieckich o pozwolenie na zabicie wszystkich Żydów w miasteczku i w okolicy. Niemcy pozwoli im jedynie zabić komunistów.
W tamtym czasie wszystkich Żydów uważano za komunistów, poza rzemieślnikami, których Niemcy potrzebowali do pracy w zakładach.

W dniu 10 lipca 1941 r. (15 dnia tamuza) jedwabińskim Żydom kazano iść na rynek z miotłami w rękach. Mężczyzn, kobiety, dzieci, starych i chorych wypędzano z domów i zapędzano jak bydło na miejsce zgromadzenia. Mój mąż wziął dwójkę naszych dzieci i poszedł tam. Ja zostałam w domu na chwilę, starałam się zrobić trochę porządków, dobrze pozamykać okna i drzwi. Pan P. był w swojej farbiarni i farbował spodnie dla niemieckiego oficera, myśląc,

że to go uratuje. Nagle wpadła pani P. i, głośno krzycząc, powiedziała mężowi, by uciekał. Powiedziała, że bardzo źle się dzieje. Ja też pobiegłam z nimi na ziemię dziedzica, gdzie ukryliśmy się pod drzewami. Tam mogliśmy słyszeć okropne krzyki młodego chłopca, Josefa L., którego goje zakatowali na śmierć.

Żydów trzymano w upale od godziny jedenastej rano do wieczora. Wybrano czterdziestu ludzi, którzy zostali wysyłani na cmentarz, gdzie zmuszono ich do wykopania dołów, w których miano ich zakopać żywcem. Na rynku goje postawili na desce pomnik Lenina i zmusili Żydów, by go nieśli i śpiewali bolszewickie pieśni. Położyli duży kamień na głowie rabbiego Awigdora B. i zmusili, by go niósł po całym rynku.

Goje złapali córkę Judke N., Gidele, odcięli jej głowę i bawili się nią niczym piłką.

Nim zapadła noc, mężczyzna nazwiskiem W. przyszedł i wydał na wszystkich Żydów wyrok śmierci przez spalenie na stosie. Powiedział dalej: „Ponieważ jesteście przyzwoitymi Żydami, dla was wybraliśmy łatwiejszą śmierć”. Mieli już przygotowane pojemniki z benzyną i kazali Żydom iść na cmentarz. Goje, z bronią i nożami w rękach, bili i zabijali na prawo i lewo, aż wreszcie, po pokonaniu wszystkich, wepchnęli Żydów do stodoły Sz., która znajdowała się blisko cmentarza. Wtedy oblali benzyną stodołę, podpalili ją. Z miejsca, w którym ukrywaliśmy się, słyszeliśmy krzyki i lamenty ludzi, którzy cierpieli przed śmiercią.

[…] Innym człowiekiem był Żyd o nazwisku Izrael G. Był stolarzem i dobrze znanym obywatelem, który

w tym czasie niedoli […] on i jego rodzina pobiegła do katolickiego kościoła, upadła do stóp księdza i prosiła, by ich przechrzcił na chrześcijan, by uratować im życie. Ten sam człowiek zwrócił się przeciwko swoim. Około stu dwudziestu pięciu Żydom udało się ukryć i uniknąć spalenia żywcem. Nowy chrześcijanin powiedział gojom, gdzie jest ich kryjówka. Ale po tym okropnym dniu gniew gojów przeciwko naszemu ludowi zgasł.

Skierowali Żydów do ciężkich robót i znieważali ich, ale nie zabijali. […] Razem z rodziną P. uciekliśmy do miasta Łomża. Tam Żydzi mieszkali w getcie i warunki były bardzo złe. Nie mieli jedzenia i schronienia podczas tych zimnych, mroźnych dni. Ryzykując życie, udało nam się jakoś wydostać z getta i kupić trochę jedzenia od gojów. Tydzień później Niemcy wybrali dwa tysiące Żydów, zawieźli do Lasu Gelcziner i zabili. Przypadkiem znalazłam się w grupie ciężarnych kobiet, co mnie uratowało.

ICCHAK JAAKOW (JANEK) N.[103]

Żyd, mieszkaniec Jedwabnego

Urodziłem się w Jedwabnem w roku 1906 z ojca Reb Sz. i matki Itka Liba N. Moja matka zmarła w 1936 r. Przed II wojną światową byłem kawalerem i opiekowałem się moimi braćmi i siostrami. Wkrótce po wojnie ożeniłem się z obecną żoną i osiedliłem w Australii. […] Kiedy Niemcy zaatakowali Rosjan w 1941 r., wielu Żydów uciekło do Rosji.

Ja nie mogłem tak zrobić, bo musiałem opiekować się moim starym ojcem i siostrą, i jej dzieckiem, której mąż był w owym czasie w Urugwaju.

Musiałem też pomagać żonie mojego brata i czwórce jej dzieci. Mój brat też był w Urugwaju. Natychmiast po zdobyciu przez Niemców tego terenu polscy goje z okolicznych wsi zaczęli planować z nimi zagładę Żydów. Przyprowadzili wszystkich Żydów z Jedwabnego, wśród których byli Żydzi z Wizny i Radziłowa, na rynek i trzymali ich tam w słońcu bez wody i picia. Było tam 1440 osób, wśród nich mężczyźni, kobiety i dzieci, zaprowadzili ich do stodoły należącej do Bronka Ś.

Obok stali znani wrogowie Żydów: Jacek i Stefan K., kowal z ulicy Pshestreler [Przestrzelskiej] niedaleko cmentarza, piekarz K., A. jego zięć, cała rodzina O., która mieszkała niedaleko stodoły. Śpiewając wesołe piosenki, oblali stodołę benzyną i podpalili z Żydami w środku. Przy drzwiach stał Staszek S. z siekierą w ręku. Gotów obciąć głowę każdemu, kto by próbował wydostać się ze stodoły. Stałem z rodziną tuż przy wejściu, ponieważ na szczęście zostaliśmy jako jedni z ostatnich wepchnięci do stodoły. Nagle od płomieni wrota rozpadły się.

Wtedy zobaczyłem Staszka S. po drugiej stronie drzwi, jak zamierza się na mnie siekierą, ale udało mi się wyrwać mu siekierę z rąk i zabrać moją siostrę, jej pięcioletnią córeczkę i syna Icchaka Aarona M. Plecy tego ostatniego były już tak poparzone, że rany nigdy się już nie zagoiły. Później zginął w Oświęcimiu. […] Widziałem, jak mój ojciec padł w płomieniach w klepisko. Pobiegliśmy na cmentarz i leżeliśmy tam, aż zapadła noc. W ciemności nocy zabrałem moją siostrę Esterę-Leę i jej córkę Rejzel do księdza we wsi Przytuły, a sam ukryłem się w domu doktora K.

Po wojnie dowiedziałem się, że moja siostra Estera-Lea zginęła na dwa tygodnie przed końcem wojny. Ktoś ją rozpoznał jako Żydówkę. Nie znalazłem żadnych śladów jej córki Rejzli. W domu doktora mogłem ukrywać się tylko przez kilka dni. Nie było tam bezpiecznie. Nocą wędrowałem przez pola, aż dotarłem do Zawad, gdzie pracowałem u gospodarza przez około trzech miesięcy.

Ani jeden Niemiec nie uczestniczył w tym dniu śmierci, wręcz przeciwnie. Dwaj oficerowie przyszli pod stodołę, aby ocalić przynajmniej rzemieślników, krawców, szewców, kowali i cieśli, których pracy Niemcy potrzebowali.

Ale goje powiedzieli: „Nie może ani jeden Żyd pozostać przy życiu. Wystarczy rzemieślników wśród chrześcijan". Szwagier R. próbował kogoś uratować, ale był zmuszony uciekać do Warszawy, bo w innym wypadku zabiliby go swoi. Amerykańskiego goja, który nie chciał przyłożyć ręki do rzezi, wrzucono do płonącej stodoły. […] Pan R., komendant policji w Jedwabnem przed wejściem Niemców, nie brał udziału w mordzie.

ABRAM B.[104]

Żyd, mieszkaniec Jedwabnego

W 1941 r. to ludność miejscowa Jedwabnego przystąpiła do mordowania obywateli narodowości żydowskiej, gdzie wymordowali około półtora tysiąca przez zabijanie i spalenie w stodole Ś. Odbywało się to w następujący sposób: początkowo wszystkich zagnali na rynek, bijąc kijami, po zagnaniu wszystkich Żydków na rynek, dali im nosić pomnik Lenina i kazali

śpiewać piosenkę „Jeśli zawtra wojna”. Później wybrali zdrowych mężczyzn i zagnali na cmentarz, i kazali im wykopać rów. Po wykopaniu rowu przez Żydków wzięli ich i pozabijali, kto czym mógł, ktoś żelazem, ktoś nożem, ktoś kijem. Po wymordowaniu wspomnianych Żydów na cmentarzu resztę starszych i dzieci zagnali do stodoły i spalili. Zaznaczam, że Niemcy udziału w mordowaniu Żydów nie brali, a mordowali sami Polacy, Niemcy stali z boku i fotografowali, jak Polacy mordują Żydów. Ja w tym czasie z rynku uciekłem, kiedy oni nas mordowali.

Brali udział w mordowaniu następujące osoby:

L. Jerzy, Zygmunt i ich ojciec, kierowali tą akcją na Żydów, zaganiali na rynek, na rynku bili kijami, bili na cmentarzu. Zaganiali Żydów do stodoły, tam gdzie zostali spaleni, oraz po zamordowaniu rabowali rzeczy pożydowskie.

Ś. Edward, Rozalia i jej mąż, oddali dobrowolnie stodołę na spalenie Żydów oraz rabowali rzeczy po zamordowanych Żydach. Stali z kijami i pilnowali, żeby Żydzi nie uciekali z rynku aż do chwili spalenia.

Ł. Aleksander, zabił nożem W. Mojsza oraz brał udział w mordowaniu i biciu Żydów na rynku i pomagał zaganiać do stodoły.

K. Marian, był całym dowódcą wspomnianej akcji na Żydów i wydawał rozkaz spalić Żydów.

P. Zygmunt, wyganiał Żydów na rynek z kijem i pilnował, żeby Żydzi nie uciekali z rynku, i zaganiał ich do stodoły, tam gdzie zostali spaleni.

[nazwisko nieczytelne – przyp. M.T.] Czesław, brał udział w zganianiu Żydów na rynek, pilnowaniu ich oraz dokonał gwałtu na I. Judis i później ją zabił.

K. Gieniek, brał udział w zaganianiu na rynek, w biciu, on najbardziej wykazywał się w mordowaniu Żydów.

K. Józef, brał udział w zaganianiu Żydów na rynek oraz zaganianiu do stodoły i zabijaniu Żydów na cmentarzu.

K. i jego syn Marian, brali udział w mordowaniu Żydów, zaganiali na rynek, pilnowali i pomagali zaganiać do stodoły, tam gdzie zostali spaleni.

M. Stanisław, brał udział w zganianiu Żydów na rynek, zaganianiu do stodoły i znęcał się nad Żydami oraz zabił Żydówkę [nazwisko nieczytelne – przyp. M.T.] kłonicą.

P. Anna, wygnała z domu Żydówkę G. na rynek i zrabowała wszystkie rzeczy, które po niej pozostały w mieszkaniu.

Ł. Władysław, był organizatorem wspomnianej akcji na Żydów w Jedwabnem, utopił on Żydów kowali w stawie przy ul. Łomżyńskiej.

L. Franciszek, ojciec, brał udział w mordowaniu Żydów na rynku i zaganianiu do stodoły, tam gdzie zostali spaleni.

Dodaję, że było jeszcze bardzo dużo ludności polskiej, którzy brali udział w mordowaniu Żydów, których to ja nazwisk nie znam, a tylko znam ich z widzenia i będę mógł poznać, ponieważ widziałem na własne oczy, jak oni mordowali.

JAKOB G.[105]

Żyd, mieszkaniec Jedwabnego

Zginęli w stodole: ojciec mój Elij P., matka Jante P. z domu C., bracia Mojsze i Hone, siostra Sara. Zginął

stryj Mojsze P., żona stryja Szejne, jego dzieci Josef, Dwerja, Icchak, Benjamin, Lejzer, Brajna i Chaja. Ja wszystkich zabitych z mojej rodziny nie pamiętam. Ich było z trzydzieści osób albo więcej. Nikt nie ocalał.

Mój jeden brat i siostra, co nie zabili ich w Jedwabnem, to zginęli gdzie indziej potem. […] Słyszałem, że w Jedwabnem mordowali Żydów Polacy, słyszałem nazwiska morderców: bracia S., ci, co nas wcześniej okradli, trzej L.

ABRAM Ś.[106]

Żyd, mieszkaniec Jedwabnego

Na początku lipca 1944 r. grupa 25 Żydów, m.in. rodzina H. – 2 chłopców i dziewczyna, rodzina G. z Drohiszowa, łomżyńska panienka Rachela P. i inni ukrywali się wśród bagien obok wsi Podasz, 10 km od Śniadowa. Całą grupę otoczyli okoliczni chłopi i obrzucili granatami. Powstała wielka panika. 13 padło trupem, a 12 ocalało.

JAN C.[107]

Żyd z Jedwabnego, ożeniony z Polką Pelagią S.

[…] Kiedy mieszkałem w Jedwabnem, to w mojej obecności, nawet przy różnych spotkaniach towarzyskich, niczego nie poruszano. Jakby była jakaś zmowa. NIC przy mnie nie mówiono na temat tamtego zabójstwa Żydów w Jedwabnem. Wydaje mi się, że powodem tego było, iż byłem postrzegany jako Żyd.

JAK TEN TRAGICZNY DZIEŃ ZAPAMIĘTALI POLSCY MIESZKAŃCY MIASTECZKA?

JANINA B.[108]

Polka, z domu Ż., najstarsza córka Józefa Ż., mieszkanka Jedwabnego

Co do sprawy spalenia Żydów w Jedwabnem, to było w 1941 r. zaraz po ucieczce Ruskich. Daty dokładnej nie mogłabym podać, ale ostatnio dużo się pisze o tej sprawie i wiem, że to było 10 lipca 1941 r. Ja dość dobrze pamiętam dzień, w którym spalono Żydów w Jedwabnem. Moja rodzina mieszkała wtedy na 3 Maja. […] Ja wówczas miałam 9 lat.

Tamtego dnia byłam w domu wraz z moją mamą Anną, która zmarła w 1941 r., oraz braćmi: Kazimierzem oraz Jerzym, który miał wtedy 4 lata. […] Z tego, co słyszałam, to ojca ktoś zawołał z łąki, żeby stawił się do spędzania Żydów na rynek. Ojciec po powrocie z łąki nigdzie już więcej nie wychodził.

Przyszedł Żyd. […] Był to Żyd w wieku mojego taty. Nie wiem, czym się zajmował. Miał dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę w moim wieku. Nie pamiętam ich imion. Ten Żyd przyszedł do Żydów mieszkających w domu pana C. Ich nikt nie wypędzał. Oni się ukryli. Kto ich ostrzegł, tego nie wiem. Zdaje mi się, że oni nie zostali spaleni, ci lokatorzy C. Także Żyd, który do nich przyszedł i stał, i rozmawiał z ludźmi, kiedy pojawili się żandarmi, schował się w malinach.

One były na tej uliczce, gdzie mieszkał C., w ogródku jego sąsiadów państwa L. Właśnie w tym czasie od ul. Przestrzelskiej przyszła jego córeczka. Pytała o tatusia. Moja mama nawet podeszła do niej, pocałowała ją w głowę i powiedziała, żeby została, a tatuś zaraz przyjdzie. Ta dziewczynka jednak płakała i mówiła, że musi wracać do mamusi i braciszka na

rynek, a jeśli jej tatuś przyjdzie, żeby do nich tam poszedł.

Ta dziewczynka potem odeszła w kierunku rynku. Dodaję, że nikt w tym czasie nie wiedział, że ten Żyd, ojciec tego dziecka, chowa się w malinach. On wyszedł z nich grubo potem, już pod wieczór. A nawet nie widzę tego teraz. Nie mogę tego skojarzyć, przypomnieć. Pamiętam, jak był u nas na noc. Przyszedł chyba wieczorem do nas. Wtedy mówił, że słyszał, jak go szukała córka, ale bał się wyjść z malin, bo szli żandarmi. Dodaję, że widziałam dym z tej palonej stodoły. Nie pamiętam dobrze tego dymu. Słyszałam także taki krzyk: „Aaaaaaaaa…", coś takiego. To była chwila. Wtedy wszyscy byliśmy na podwórkach, rodzice, dzieci, sąsiedzi. Pamiętam, że ja miałam zabronione wychodzić z obejścia. Rodzice nam nie pozwolili, mi i braciom. Pilnowali nas, żeby nigdzie nie ruszyć.

STANISŁAW P.[109]

Polak, mieszkaniec Jedwabnego

[…] Moja matka zmarła w 1997 r. Moja rodzina zamieszkiwała od kilku pokoleń w Jedwabnem. Nasz dom znajdował się przy Nowym Rynku, bezpośrednio obok domu, w którym mieściła się apteka J., a w czasie wojny posterunek niemieckiej żandarmerii. Z relacji różnych osób, głównie mojej matki, wiele wiem na temat zbrodni w Jedwabnem. Moja mama miała fenomenalną pamięć i np. mogła powiedzieć o wielu żydowskich mieszkańcach miasta, których znała. Żałuję, że nie zapisywałem jej opowiadań. Jednakże jej wiedza była bezdyskusyjna i opowiadała

mi o tych sprawach wiele lat przed śmiercią. Przede wszystkim matka i ojciec zawsze mi opowiadali, iż wystąpienia przeciwko Żydom w Jedwabnym trwały trzy dni, a więc od 8 lipca 1941 r.

Tego dnia, tj. 8 lipca 1941 r., Polacy spędzali Żydów na rynek na cały dzień, aby wykonywali prace pielęgnacyjne, jak czyszczenie rynku z trawy, jakieś porządki. Tego dnia byli oni cały dzień trzymani na rynku w upale, bez jedzenia i bez picia. Nie wiem, czy na noc Żydów wypuszczano do domów. Tego nie pamiętam, moja matka mi mówiła. Nie wiem także, czy spędzano na rynek wszystkich Żydów, to jest mężczyzn, kobiety i dzieci. Chciałbym podkreślić, że w ciągu tych trzech dni było w Jedwabnem kilku – kilkunastu żandarmów.

Mama mówiła, że oni nie brali udziału w mordach. Nadmieniam, że posterunek żandarmerii w Jedwabnym był mały. Było w nim trzech, czterech żandarmów.

W dniu 9 lipca 1941 r. Żydzi ponownie na rynku wykonywali jakieś różne prace porządkowe. To było doskonale widoczne, bo moi rodzice mieszkali przy samym Nowym Rynku. Sytuacja Żydów była analogiczna jak poprzedniego dnia. Cały dzień nie pozwalano im jeść ani pić. Także tego dnia nie wiem, czy Żydzi wrócili na noc do swoich domów. W dniu 10 lipca 1941 r., lecz nie wiem, czy wcześnie rano, czy jeszcze w nocy, mojego ojca nie było w domu. Schował się w ogrodach, należących po wojnie do M.

Ogrody te znajdowały się między Nowym Rynkiem a wówczas ulicą 11-go listopada, obecna Sadowa. Jak wynika z relacji moich rodziców, ojciec ukrył się, bowiem poprzedniego dnia było polecenie burmistrza

K., że wszyscy mężczyźni z Jedwabnego mają od rana zganiać na rynek wszystkich Żydów z miasteczka, bez względu na płeć i wiek.

To spędzanie miało być preludium do zgładzenia całej ludności żydowskiej miasteczka. O tym wiadomo było już 9 lipca 1941 r., skoro mój ojciec ukrywał się już wcześniej, aby nie uczestniczyć w planowanej zbrodni. Nie jest zatem prawdą, iż cała sytuacja prześladowania żydowskich mieszkańców miała miejsce tylko 10 lipca 1941 r. Żydzi na Nowym Rynku pracowali spędzeni przez trzy dni, a rzeczywiście dopiero w dniu 10 lipca 1941 r. dokonano na nich zbrodni zabójstw. Dodaję, że nie mam żadnych wiadomości na temat ewentualnych wcześniejszych przestępstw popełnianych na Żydach.

Podkreślam także z całą stanowczością, że w dniu 10 lipca 1941 r. nie doszło do jednego zbiorowego morderstwa poprzez spalenie Żydów w stodole Bronisława Ś. Tamtego dnia dokonywano wielu pojedynczych zabójstw w różnych miejscach w miasteczku. Między innymi topiono Żydów ukrywających się w zbożu przy dworskim stawie. Zboże to rosło od strony Łomży. Było przeszukiwane przez T. Takie nazwisko słyszałem.

Prawdopodobnie byli to niejacy T. z miejscowości Łoje-Awissa. Z drugiej strony nie wiem, czy w tym czasie ktoś o takim nazwisku nie mieszkał w Jedwabnem. Ci T. topili wytropionych w zbożu Żydów. Ilu ich utopiono, tego nie wiem. W Jedwabnem na ulicy Sadowej jeszcze do lat osiemdziesiątych była kuźnia, która w czasie wojny należała do Franciszka L.

[…] Moi rodzice byli obserwatorami zdarzenia w dniu 10 lipca 1941 r., kiedy to kowal L. przed swoją kuźnią złapał jakiegoś Żyda, *nota bene* swojego sąsiada. Niestety nie znam nazwiska tego schwytanego. Franciszek L. zaczął bić tego Żyda jakimiś metalowymi przedmiotami z kuźni, nie wiem, czym. Dosłownie zmasakrował tego Żyda, zabił go na oczach wielu gapiów. To jest znana historia i pojawiała się w relacjach różnych osób.

[…] Moja mama z moją siostrą, jak mówiła, schowała się do moich dziadków K., aby być dalej od rynku, gdzie spędzano Żydów i słychać było ich jęki i płacze. Wtedy przecież w dniu 10 lipca 1941 r. wiadomo było, że Żydów czeka zagłada.

Poza tym nasza posesja graniczyła z posesją, gdzie znajdowała się żandarmeria. Było bezpiecznie wtedy oddalić się z okolic rynku. Matka i siostra schowały się na strychu w domu dziadków.

Tam też schował się ojciec po przyjściu z ogrodów. Tam na strychu jest małe szczytowe okienko. Przez te okienko widać było, jak ulicą Sadową w kierunku ulicy Cmentarnej szła grupa młodych Żydów. Nieśli oni na drągach szczątki pomnika Lenina, takie popiersie. Ten skwerek, gdzie stał pomnik Lenina, znajdował się niedaleko domu dziadków, jakieś 10–15 metrów do domu.

Rodzice mówili, że ci Żydzi byli eskortowani przez Polaków, jak twierdzili, grupa Żydów została „pogoniona” z rynku na skwerek, gdzie polecono im młotami rozbić pomnik Lenina. Ci Żydzi byli cały czas bici przez Polaków. Podkreślam, iż kiedy słyszałem o tych zbrodniach na ludności żydowskiej, nigdy nie mówiło się o jakimkolwiek uczestnictwie czynnym

Niemców. Ta kwestia wypłynęła dopiero po opublikowaniu książki Grossa „Sąsiedzi”.

Nie wiem, czy przy rozwalaniu tego pomnika był rabin, jednak rodzice przekazali, iż w czasie przemarszu Żydów dźwigających pomnik ulicą Sadową rabin szedł na czele tej grupy. Jakoś, jak przez mgłę, kojarzy mi się również, iż moja matka mówiła, że za rabinem jakiś Żyd w tym pochodzie niósł czerwoną flagę, a dopiero za nim szły osoby dźwigające popiersie Lenina. […] Po przejściu tego pochodu moja matka z córką uciekły z domu dziadków w kierunku drogi do Łomży. Ojciec nie poszedł z nimi. Kiedy były już przy tej drodze, usłyszała nagle straszny krzyk, który trwał krótko.

[…] Kilka razy dowiedziałem się od matki, iż następnego dnia po jej powrocie do naszego domu przy rynku, a więc 11 lipca 1941 r., okazało się, że w studni znajdującej się na naszej posesji przy rynku są ciała dwóch Żydówek. Nie wiem, kim były te kobiety. Matka mi opowiadała, że ojciec wyciągnął te ciała. Zostały one wywiezione na mogiłki żydowskie.

Nie wiem, kto tam wywiózł te ciała. Matka zawsze, kiedy mówiła o tych ciałach kobiet w naszej studni, to głos się jej łamał. […]

Moi rodzice w rozmowach o okolicznościach zbrodni w Jedwabnem wymieniali nazwiska następujących sprawców tej zbrodni: stary Ł. Rodzice mówili też o Bolku R. Nie mówili jednak, jaki był jego udział w zbrodni.

Rodzice kwitowali, że to jeden z „oprawców”. Podobnie jako „oprawców”, morderców, wskazywali M., Z., Ż. Nie pamiętam ich imion i nie wiem, co robili. Pamiętam również nazwisko braci L.,

uczestników zbrodni, i imię jednego z nich „Jurek”. Co robili L., tego mi rodzice nie mówili.

Przypomniałem sobie również, że wymieniano nazwisko starej P., imienia nie znam, jako osoby czynnie uczestniczącej w rabowaniu mienia pożydowskiego, jeszcze w dniu zbrodni. Generalnie zresztą osoby podawane jako sprawcy zbrodni to nie był żaden „margines”, jak się podaje w mediach. To byli przeciętni ludzie.

STANISŁAW D.[110]

Polak, mieszkaniec Jedwabnego

Na drugi dzień, kto był chętny, to poszedł, dużo ludzi się nie stawiło. Po stawieniu się ludzi zarząd magistratu wydał polecenie, aby ludziom tym dać wódki, co też i uczyniono.

Po tej biesiadzie burmistrz K. oraz cały zarząd, w którym również był S. Józef, wydali zarządzenie tym ludziom, aby pobrali drągów i spędzili wszystkich Żydów miasta Jedwabne, kto był z ludzi chętny, a dużo się znalazło, chodzili po mieszkaniach żydowskich i spędzali Żydów, zaś burmistrz, S. Józef i inni członkowie magistratu sprawdzali, czy wszyscy Żydzi zostali spędzeni.

Po spędzaniu Żydów kazano im najpierw wyrywać trawę na bruku, zaś później pognali ich w stronę pomnika Lenina, gdzie przyniesiono drągi i dynamit i kazali tym Żydom rozwalać tenże pomnik. Żydzi, było ich około 2 tysięcy, pod przymusem zaczęli rozbierać pomnik Lenina.

W rozwalaniu tegoż pomnika pomagali im członkowie magistratu, a między nimi i S. Józef, który

zakładał drągi w szczeliny i linami pomagał ściągać poszczególne części tegoż pomnika. Po rozrzuceniu tegoż pomnika magistrat nakazał wszystkim Żydom wziąć części tegoż pomnika na drągi i obnosili go dookoła rynku, po czym wszystkich wpędzono razem z częściami pomnika do stodoły Ś. Bronisława i tam ich wszystkich zamknęli, oblali benzyną i podpalili, i tam Żydzi ci spalili się. Przy tym obalaniu pomnika i spaleniu Żydów cały czas był obecny zarząd magistratu, jak i S. Józef, który pomagał w poszczególnych czynnościach wykonywania powyższego. Nadmieniam, że zaraz po wkroczeniu Niemców na drugi dzień S. Józef, L. Jerzy, K. Eugeniusz poszli przed mieszkanie K. Czesława, członka WKP(b), który wyszedł w tym czasie przed mieszkanie, i tam zaczęli go bić kijami. Bili go wówczas do nieprzytomności, zaś później przyszła żandarmeria i zabrała K. Czesława, poprowadzili go za miasto i zabili.

[…] Józef S. w roku 1936 przybył do Jedwabnego i prowadził tam do wybuchu II wojny światowej sklep z materiałami łokciowymi. Był on wtedy zastępcą komendanta rezerwy. Po wybuchu w czerwcu 1941 wojny niemiecko-radzieckiej widziałem na własne oczy, jak Józef S. rozbijał wraz z innymi mieszkańcami Jedwabnego pomnik Lenina. Zaraz po wkroczeniu Niemców do Jedwabnego powstał w Jedwabnem Zarząd Miejski i na czele tego Zarządu stanął burmistrz K. Marian, a S. Józef został wtedy wiceburmistrzem. W końcu 1941 r. K. i S. prosili żandarmów niemieckich i gestapo, aby pozwolono ludności miejscowej rozprawić się z Żydami.

[…] Po dokonaniu powyższego K. i S. polecili mieszkańcom Jedwabnego zapędzić wszystkich Żydów w ilości około 1800 osób, różnej płci i różnego wieku, do stodoły Stanisława Ś. [Bronisława Ś., świadek myli imię – przyp. M.T.] Widziałem na własne oczy, jak wówczas K. i S. z batami w ręku zapędzali zgromadzonych Żydów do stodoły burmistrza Ś. Po tym wszystkim na polecenie K. i S. wezwani mężczyźni oblali benzyną całą stodołę, która miała dach słomiany, i później tę stodołę podpalili. W ten sposób w stodole tej spalili się wszyscy Żydzi i całą tą akcją kierowali K. i S. Na to wszystko patrzyłem własnymi oczami i wszystko to utkwiło w mojej pamięci.

ALEKSANDRA K.[111]
Polka, mieszkanka Jedwabnego

Kiedy wojska niemieckie wkroczyły do Jedwabnego, to Polacy przystąpili do mordowania Żydów, gdzie wymordowali bardzo dużo osób przez spalenie w stodole. Słyszałam, że z ludności polskiej brał udział K. Józef, który zarżnął nożem osiemnastu Żydów. Mówił mi to w moim mieszkaniu, kiedy stawiał piec.

MÓWIĄ CI, KTÓRZY BEZPOŚREDNIO BRALI UDZIAŁ W TRAGICZNYCH WYDARZENIACH W JEDWABNEM NA POCZĄTKU LIPCA 1941 R.

CZESŁAW S.[112]
Polak, mieszkaniec Jedwabnego

O ile pamiętam, w czerwcu [lipcu – przyp. M.T.] 1941 r. miałem jechać po piwo do Drozdowa, bowiem

dowiedziałem się od ówczesnego burmistrza K., że w dniu tym w Jedwabnym będą strzelać Żydów lub ich palić. Gdy wracałem już z piwem z Drozdowa tuż przed zachodem słońca, zauważyłem wybuch ognia w Jedwabnym. Zorientowałem się zaraz, że wybuch ognia ma związek z paleniem Żydów.

BOLESŁAW R.[113]
Polak, mieszkaniec Jedwabnego

[…] Brałem tylko czynny udział w zgromadzeniu tych Żydów do stodoły. Kto podpalił, tego ja nie wiem, tylko że to my, Polacy, Żydów zganialiśmy około półtora tysiąca i wspomniani Żydzi zostali spaleni, kto podpalił, tego ja nie wiem. Ze mną w spędzaniu brali udział: K. Stanisław mieszkaniec Jedwabnego, G. Wincenty mieszkaniec Jedwabnego, T. Michał mieszkaniec Jedwabnego, L. Stanisław mieszkaniec Jedwabnego, B. Wacław mieszkaniec Jedwabnego, [nazwisko nieczytelne – przyp. M.T.] Czesław mieszkaniec Jedwabnego, K. Jan mieszkaniec wsi Kaimy, K. Roch mieszkaniec wsi Kazimierowo, Ż. Marian mieszkaniec Jedwabnego, Z. Stanisław mieszkaniec Jedwabnego, D. Stanisław mieszkaniec Jedwabnego, F. Eugeniusz mieszkaniec Jedwabnego, Z. Roman mieszkaniec Jedwabnego, S. Czesław mieszkaniec Jedwabnego, G. Stanisław mieszkaniec Jedwabnego, Ż. Michał mieszkaniec Jedwabnego, W. Józef mieszkaniec Jedwabnego, T. Feliks mieszkaniec Jedwabnego, B. Józef mieszkaniec Jedwabnego, Z. Franciszek mieszkaniec Jedwabnego, M. – imienia nie pamiętam – mieszkaniec Jedwabnego, M. Władysław mieszkaniec Jedwabnego, K. Józef mieszkaniec

Jedwabnego, M. Józef mieszkaniec Jedwabnego, W. Antoni mieszkaniec Jedwabnego, G. Roman mieszkaniec Jedwabnego, Ł. Aleksander mieszkaniec Jedwabnego, W. Stanisław mieszkaniec Jedwabnego, B. Franciszek mieszkaniec Jedwabnego, Ch. Józef mieszkaniec Jedwabnego, B. Antoni mieszkaniec Jedwabnego, Sz. Edward mieszkaniec Jedwabnego, Sz. Julian mieszkaniec Jedwabnego, L. Czesław mieszkaniec Jedwabnego, G. mieszkaniec Jedwabnego, B. mieszkaniec Jedwabnego, N. mieszkaniec Jedwabnego, W. mieszkaniec Jedwabnego, D. mieszkaniec Jedwabnego, P. mieszkaniec Jedwabnego, ich imion nie pamiętam.

Wszyscy wyżej wymienieni brali czynny udział w mordowaniu Żydów w 1941 r., kiedy tylko wkroczyły wojska okupacyjne niemieckie.

JÓZEF CH.[114]

Polak, mieszkaniec Jedwabnego

W 1941 r., kiedy wkroczyli Niemcy, ludność miejscowa przystąpiła do mordowania Żydów. Początkowo zgonili ich na rynek. Ja, idąc ulicą, spotkał mnie W. [nazwisko nieczytelne – przyp. M.T.] i S. i kazali mnie stawić się na rynek, i powiedzieli, żebym ja oddał swoją stodołę na spalenie Żydów, więc ja zacząłem prosić, żeby mojej stodoły nie palić. Stodołę mi zostawili, tylko mnie kazali, żebym pomógł zganiać Żydów do stodoły Ś. Bronisława. Żydów ustawili w czwórki i my, Polacy, obstawiliśmy ich z jednej strony i z drugiej, żeby Żydzi nie uciekli. Kiedy dognali ich do stodoły, wtedy kazali wszystkim Żydom wleźć do stodoły, a my pilnowaliśmy, żeby Żydy nie rozbiegli się. Kiedy już

Żydzi wszyscy weszli do stodoły, to stodołę podpalili i Żydzi zostali spaleni… Wtedy ja już poszedłem do domu.

Gnać Żydów rozkazu od Niemców nie miałem. Żydów mordowali w Jedwabnym: K. burmistrz Jedwabnego, S. – imienia nie znam, W. Józef, innych nie pamiętam, ale było ich bardzo dużo.

JERZY L.[115]
Polak, mieszkaniec Jedwabnego

[…] W lipcu 1941 r. ja mieszkałem w Jedwabnym i byłem w żandarmerii. […] Ja na polecenie swojego brata L. Zygmunta poszedłem pracować do żandarmerii w mieście Jedwabnym i w 1941 r. przyjechało taksówką czterech czy też pięciu gestapowców i zaczęli w magistracie rozmawiać, lecz co oni tam rozmawiali, tego ja nie wiem.

Po niejakim czasie K. Marian powiedział do nas Polaków, żeby zawezwać obywateli polskich do Zarządu Miejskiego. Po zawezwaniu ludności polskiej nakazano im zaganiać Żydów na rynek do pracy, co i ludność uczyniła. Ja w tym czasie również brałem udział w spędzaniu Żydów na rynek z K. Eugeniuszem. Z K. zapędziliśmy około osiem osób narodowości żydowskiej. Kiedy my już powracaliśmy z powrotem po zagonieniu wszystkich, to już Żydzi wzięli pomnik Lenina na rynku ze śpiewem, śpiewali „przez nas wojna”, kto im to nakazał śpiewać, tego ja nie wiem. My, Polacy, pilnowaliśmy, żeby Żydzi nie pouciekali. Zaznaczam przy tym, że chodzili tam i Niemcy. Później K. Marian, burmistrz Jedwabnego, wydał nam rozkaz wszystkich znajdujących się na

rynku zganiać do stodoły Ś. Bronisława, co i my uczyniliśmy. Przygoniliśmy Żydów pod stodołę i kazaliśmy wchodzić do niej, co i Żydzi byli zmuszeni uczynić. Po wejściu do stodoły zamknęli stodołę i podpalili, kto podpalił, tego ja nie widziałem. Żydzi spalili się w stodole. Wszystkich Żydów było więcej jak tysiąc osób. Ze mną udział w mordowaniu Żydów brali: 1. M. Władysław, pomagał zganiać i zaganiać do stodoły, ja to widziałem na własne oczy. 2. K. Józef, miał w ręku kija i zaganiał Żydów. Widziałem go przy stodole, tam gdzie byli spaleni. 3. K. Eugeniusz, brał udział w zaganianiu, jak również zaganiał do stodoły. W ręku miał kij. Było nas bardzo dużo narodowości polskiej, którzy brali w tym udział, lecz obecnie ich nazwisk nie pamiętam.

SZCZEPAN G.[116]
Polak, mieszkaniec Kajetanowa

[…] Teraz sobie nie przypominam, kiedy to było, w dniu, w którym spłonęła stodoła, wcześniej czy później, ale pamiętam, że do Kajetanowa przyjechało dwóch mężczyzn na koniach i szukali Żydów. Napotkali R. i myśleli, że on Żyd. Ci, co przyjechali na koniach, to byli Polacy, bo mówili po polsku, R. zostawili i pojechali, nie wiem, gdzie. […] Ja Żydów nie lubiłem.

ALEKSANDER J.[117]
Polak, mieszkaniec Jedwabnego

W miesiącu lipcu 1941 r., kiedy Niemcy wkroczyli do Jedwabnego, to przyszedł do mnie burmistrz miasta K. Marian wraz z W., imienia nie pamiętam, zastali moją

i pytali się jej, gdzie jest mąż. Burmistrz powiedział do żony, żebym ja za 10 minut był na rynku. Ja w tym czasie byłem ukryty, ale żona przyszła do mnie i powiedziała: „Wychodź, bo K. powiedział, że śmierć będzie całej naszej rodzinie”, jak ja nie pójdę na rynek pilnować Żydów. Po paru minutach wyszedłem więc z kryjówki i poszedłem na rynek.

Czynny udział w mordowaniu Żydów brał N. Jerzy, miał rękawy zakasane i trzymał w ręku kawał żelaza, ja tylko pilnowałem, bo co mi nakazał burmistrz, to tylko kopać małe dziecko. Ja pilnowałem od 12 godziny do trzeciej lub czwartej. W tym czasie, gdy ja pilnowałem, zaczęli spędzać Żydów w stronę cmentarza i stamtąd zagnali ich do Ś. stodoły.

JAK ZAPAMIĘTANO TRAGICZNY LIPIEC? JAK PRZETRWAŁ W PAMIĘCI TYCH, KTÓRZY PO WOJNIE ŻYLI W JEDWABNEM?

WITOLD M.[118]

Polak, mieszkaniec Białegostoku

[…] Przypominam sobie, że kiedyś, nie pamiętam kiedy, pamiętam, że była to niedziela, pojechałem do Jedwabnego. Józef K. oprowadzał mnie po miasteczku. Pokazywał mi rynek. Potem poszliśmy za zabudowania Jedwabnego.

W pewnym miejscu Józef K. pokazał mi zarośnięty trawą teren i powiedział, że w tym miejscu Niemcy w czasie wojny spędzili do stodoły wszystkich Żydów z miasteczka i spalili. Potem zaczęliśmy wracać do miasteczka.

Ja, zaciekawiony, wypytałem go, jakie były okoliczności tej tragedii. Mój teść zaczął opowiadać. Mówił, że któregoś dnia przyjechał samochodem z Łomży niemiecki oficer, tylko z kierowcą. Zwołał on mieszkańców miasta na rynku. Nie pamiętam, jak teść był mówił, czy, że ten oficer powiedział czy też wydał polecenia. W każdym razie mieszkańcy miasteczka poszli zgromadzić wszystkich Żydów z całego miasteczka w jednym miejscu, zaś K. powiedział, że zgromadzono wszystkich Żydów właśnie w stodole. Sami Polacy oblali stodołę benzyną i podpalili z tymi Żydami w środku. Potem, kiedy z Józefem K. wracaliśmy do domu, idąc po rynku, on wskazał na drugą lub trzecią z pożydowskich kamieniczek i powiedział, że w czasie tamtego zdarzenia mieszkańcy Jedwabnego w jednym z domów na górze znaleźli ukryte niemowlę żydowskie i, mimo próśb, jak zrozumiałem, bliskich tego dziecka, nie było „zmiłuj” i niemowlę wyrzucono na bruk. Zginęło na miejscu. To zdarzenie szczególnie utkwiło mi w pamięci. Jak pamiętam, teść nie wymieniał żadnych nazwisk uczestników tamtego zdarzenia w Jedwabnym. Jednakże wydaje mi się, iż mógł podawać imiona uczestników zdarzeń z niemowlęciem. Jednakże nie pamiętam tych imion. […] Dom, z którego wyrzucono niemowlę, znajduje się w ciągu kamieniczek pożydowskich, które są ustawione frontem do rynku.

HENRYK Z.[119]
Polak, mieszkaniec Jedwabnego

Do Jedwabnego przybyłem w połowie 1955 r. po skończeniu studiów […]. Zatrudniłem się w […].

Zamieszkałem u Czesława M. Zauważyłem, że między M. a jego żoną panują napięte stosunki. Byli oni w wieku około 45 lat. Po powrocie z urlopu zauważyłem płaczącą żonę M. Zapytałem się, co się stało. […] Powiedziała mi, że Czesław M. w drodze do przysiółka Kajetanowo w dniu 10 lipca 1941 r. dopędził młodą Żydówkę, zgwałcił ją, a następnie zamordował.

[…] Z tego, co mi powiedziała, to jednak nikt [z Żydów – przyp. M.T.] nie uciekł, bo podobno Jedwabne miało być nietykalne. Przypuszczam, że mogło to być związane z obietnicą biskupa w Łomży, po złożeniu u niego przez Żydów darów. Wiem, że były już przygotowane narzędzia zbrodni. Teściowa mego syna P. powiedziała mi, że widziała, jak jej sąsiad Ż. przyszedł około południa 10 lipca 1941 r. z olbrzymią pałką, na której zakończeniu wbite były gwoździe na drugą stronę, było to narzędzie oplecione drutem kolczastym i zakrwawione. Franciszek K. powiedział mi natomiast, że już rano z okolicznych wsi furmankami i konno zjeżdżali się chłopi, którzy potem uczestniczyli w wydarzeniach.

Powiedział, że jeźdźcy na koniach penetrowali teren wokół Jedwabnego i mordowali na miejscu lub spędzali Żydów do Jedwabnego. Podał, że byli to ci, co już zrobili porządek z Żydami w Wąsoszu, Szczuczynie, Radziłowie oraz dorobili się na tych pogromach. Krystyna K. powiedziała mi, że Polacy zmuszali wybranych przez siebie Żydów do likwidacji pomnika Lenina i do przeniesienia go ze śpiewem w okolice cmentarza żydowskiego; co się stało z tymi, co nieśli ten pomnik, ona nie wiedziała. Wiedziała natomiast, że udział Niemców w mundurach

ograniczał się do fotografowania i filmowania wydarzeń z pewnej odległości. Nie mówiła, gdzie znajdowała się i co robiła podczas tych wydarzeń.

Musiała być na miejscu pogromu, bo powiedziała, że najaktywniejszymi w tych wydarzeniach byli bracia L. Szczegółów jednak nie podała. Rozmawiałem z wieloma ludźmi i te informacje się powtarzały.

Zawsze rozmawiałem tylko z jedną osobą, bo w grupie mieszkańcy Jedwabnego nie chcieli o tym mówić. Widziałem, że pamięć o tych wydarzeniach bardzo im ciąży. Ilu Polaków brało udział w tych wydarzeniach, nie mogłem ustalić. Wiadomo mi, że Polacy – mieszkańcy Jedwabnego – zajęli w krótkim czasie całe mienie pożydowskie. Uważam więc, że jedni brali udział w mordzie, a inni tylko przejęli mienie i stąd liczba poczuwających się do winy była duża. Biorąc pod uwagę powiązania rodzinne i sąsiedzkie, do dnia dzisiejszego niechętnie między sobą o tym mówią. Ja pochodziłem z zewnątrz i być może dlatego otworzyli się przede mną. Żaden jednak z rozmawiających nie mówił o swoim udziale, ale o udziale innych osób.

ALINA BARBARA G.[120]

Polka, mieszkanka Jedwabnego wywieziona na Syberię

[…] W Rosji mieszkaliśmy obok rodziny żydowskiej R., w sowchozie nr 4. Była tam matka i trzech synów. Pamiętam imiona trzech synów: Mojsze (Misza), Szlome (Szura), Lejba (Lonia). W 1945 r. można było już pisać listy i rodzina R. napisała do miejscowości, skąd pochodzili. Nie wiem, skąd oni pochodzili. Otrzymali oni odpowiedź od sąsiadów Polaków, nie

wiem dokładnie, od kogo, o treści: „Z waszej rodziny Hitler zrobił kiełbasę, szkoda, że was nie było, bo z wami zrobiłby to samo”. Cała polska społeczność sowchozu była oburzona.

Moja babcia Marianna K. pochodząca z Jedwabnego powiedziała mi wówczas: „Zapamiętaj sobie, że gdybyś kiedykolwiek coś takiego zrobiła, to nie będziesz godna leżeć w poświęconej ziemi. Ziemia cię wyrzuci i nie przyjmie”.

Przypisy

[1] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi w Jedwabnem i okolicy do 22 czerwca 1941 roku*, IPN – OBEP Białystok, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn w sprawie spalenia osób narodowości żydowskiej 10.07.1941 r. w Jedwabnem, prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, OKŚZpNP, IPN Białystok, t. XI, karta 2031–2049.

[2] Tamże.

[3] Tamże.

[4] Archiwum Diecezjalne w Łomży, *Akta parafii Jedwabne – pismo ks. M. Lisa z dn. 17 11 1930 r.*, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.

[5] Dane statystyczne dotyczące wyników wyborów do sejmu w latach 1922–1930 podawane za: „Statystyka Polski”, t. X, Warszawa 1930; „Statystyka Polski”, seria C, z. 4, Warszawa 1935, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.

[6] Za: J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…*, dz. cyt.

[7] J. Kowalczyk, *Komunistyczna Partia Polski w okręgu łomżyńskim 1919–1938*, Warszawa 1975, s. 46, 49, 55–56. Czołowymi działaczami byli: Enoch G., Dawid K., Henryk K., Berek Cz., Jankiel J.

[8] Za: J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…*, dz. cyt.

[9] Kronika parafii Jedwabne, k. 19, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[10] Tamże.
[11] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…*, dz. cyt.
[12] Tamże.
[13] Tamże.
[14] Tamże.
[15] Tamże, APB, z. UWB, sygn. 94, k. 69, 86, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[16] Kronika parafii Jedwabne, dz. cyt.
[17] Tamże.
[18] Tamże.
[19] Tamże.
[20] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…*, dz. cyt.
[21] Tamże.
[22] Biskup Stanisław Łukomski, ordynariusz diecezji łomżyńskiej, to bardzo kontrowersyjna, ale też interesująca postać. Przed wojną o jego walorach moralnych z uznaniem wypowiadał się profesor Witold Staniszkis, jeden z przedwojennych liderów Stronnictwa Narodowego, działacz Obozu Wielkiej Polski i Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga”.
[23] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[24] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…*, dz. cyt.
[25] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[26] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…*, dz. cyt.
[27] Tamże.
[28] Tamże.
[29] Tamże.
[30] „Życie i Praca”, nr 23, 10.06.1934, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[31] W. Guzewicz, *Zaangażowanie narodowo-polityczne duchowieństwa diecezji łomżyńskiej w latach 1918–1939*,

„Ełckie Studia Teologiczne”, t. 2, 2001, s. 53–55, 61–62.

[32] Tamże, s. 63.

[33] Tamże.

[34] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.

[35] Akta śledztwa S15/01/Zn w sprawie zabójstw w dniu 7.08.1941 r. w Radziłowie 800 osób narodowości żydowskiej, z których część zastrzelono, a część spalono w stodole, prowadząca prokurator Małgorzata Redos-Ciszewska, postępowanie zawieszone, OKŚZpNP, IPN Białystok.

[36] Na podstawie: A. Bikont, *My z Jedwabnego,* Wołowiec 2012.

[37] Tamże; cytat podawany za tą publikacją pochodzi z książki: J. Orzechowski, *Aby pamięć nie zginęła. Służba Zwycięstwu Polski, Związek Walki Zbrojnej, Armia Krajowa na terenie powiatu grajewskiego w latach okupacji 1939–1944*, Rajgród 1993.

[38] Na podstawie: A. Bikont, dz. cyt.

[39] Tamże.

[40] Tamże.

[41] T. Strzembosz, *Antysowiecka partyzantka i konspiracja nad Biebrzą X 1939 – VI 1931,* Warszawa 2004, s. 135.

[42] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.

[43] Tamże.

[44] Tamże.

[45] T. Strzembosz, *Antysowiecka…*, dz. cyt., s. 78.

[46] S. Kalbarczyk, J*edwabne 1939–1941. Polacy, Żydzi, okupant sowiecki – wzajemne relacje w świetle przejrzanych źródeł*, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt. Dodać trzeba, że Narodowe Oddziały Wojskowe to formacja powstała na bazie powołanej 13 października 1939 r. przez członków Komitetu Głównego i Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego tzw. Armii Narodowej.

Po 1 lipca 1941 r. organizacja ta przyjęła kolejną formę organizacyjną, tzn. przekształciła się w Narodową Organizację Wojskową, nad którą nadzór sprawował Wydział Wojskowy Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego.

[47] T. Strzembosz, *Antysowiecka…*, dz. cyt.

[48] Akta śledztwa S25/03/Zk w sprawie fizycznego i moralnego znęcania się nad Janem Kiełczewskim przez funkcjonariuszy NKWD w Brześciu 1940 r., prowadzący prokurator Jerzy Kamiński, OKŚZpNP, IPN Białystok.

[49] Tamże.

[50] Tamże.

[51] Tamże.

[52] Tamże.

[53] Tamże.

[54] Tamże.

[55] Tamże.

[56] Tamże.

[57] Tamże.

[58] Tamże.

[59] PAOSOG, sygn. 6195/1/759, k. 42–49.

[60] Tamże.

[61] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.

[62] PAOSOG, sygn. 6204/1/1, k. 2, [w:] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…* dz. cyt.

[63] PAOSOG, sygn. 6204/1/2, k. 20, [w:] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…* dz. cyt.

[64] PAOSOG, sygn. 6195/1/296, k. 122, [w:] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…* dz. cyt.

[65] PAOSOG, sygn. 6204/1/4, k. 151, 158, 174, [w:] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…* dz. cyt.

[66] Akta śledztwa S25/03/Zk, dz. cyt.

[67] Na podstawie: PAOSOG, sygn. 6195/1/188, k. 41, [w:] Akta śledztwa S25/03/Zk, dz. cyt.
[68] NARB, sygn. 4/21/2062, k. 4, [w:] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…*, dz. cyt.
[69] Tamże. Józef. N. był jedynym z nielicznych nauczycieli pozytywnie ocenianych w latach trzydziestych przez dziekana z Jedwabnego ks. Szumowskiego.
[70] NARB, sygn. 4/21/2062, k. 10, [w:] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…*, dz. cyt.
[71] PAOSOG, sygn. 6204/1/3, k. 4, [w:] Akta śledztwa S25/03/Zk, dz. cyt.
[72] Dane powstałe na podstawie dokumentacji z NARB w Mińsku, sygn. 4/21/2062, k. 2, [w:] Akta śledztwa S25/03/Zk, dz. cyt., s. 1191.
[73] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi…*, dz. cyt.
[74] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[75] Tamże.
[76] Tamże.
[77] Tamże.
[78] Na podstawie zeznania Julii S., [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[79] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[80] AAN, NSZ, mikrofilm 1866/2, k. 85, oraz ten sam meldunek: AAN, Antyk, 228/24-6, k. 87, 92, 93.
[81] AAN, Delegatura, mikrofilm 2266/3, k. 52.
[82] AAN, Delegatura, sygn. 202/III – 7, t. 1, k. 8.
[83] AAN, mikrofilm 2225/1, sygn. 202/II – 6, Delegatura Rządu RP na Kraj, Departament Spraw Wewnętrznych, Sprawozdanie sytuacyjne 1941–1942.
[84] AAN, mikrofilm 2266/3, sygn. 202/III/8 t.1, Delegatura Rządu RP na Kraj, Departament Informacji i Prasy. Aneksy do raportów.
[85] Tamże.

[86] Tamże.
[87] AAN, mikrofilm 2266/3, sygn. 202/III/8 t.2, Delegatura Rządu RP na Kraj.
[88] Einsatzgruppe B, meldunek nr 10 z 2 lipca 1941 r., T 175, R 233, k. 2, 3, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt., oraz S15/01/Zn, dz. cyt.
[89] R. Heydrich, rozkaz nr 2 z 1 lipca 1941 r., [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt., oraz S15/01/Zn, dz. cyt.
[90] Einsatzgruppe B, meldunek nr 21 z 13 lipca 1941 r., T 175, R 233, k. 12, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt., oraz S15/01/Zn, dz. cyt.
[91] *Die Einsatzgruppen in der besetzten Sowjetunion 1941/1942,* red. P. Klein, Berlin 1997, s. 319; dokument ten został opublikowany po raz pierwszy w literaturze polskiej przez Tomasza Szarotę w książce *U progu Zagłady. Zajścia antyżydowskie i pogromy w okupowanej Europie. Warszawa, Paryż, Amsterdam, Antwerpia, Kowno,* Warszawa 2000, s. 294–296.
[92] BStU ZUV 9, Bd. 31, Bl. 3-17, kopia sprawozdania znaleziona w postępowaniu karnym prokuratury wschodnioniemieckiego Karl-Marx-Stadt (obecnie Chemnitz). Miejsce przechowywania oryginału jest nieznane, prawdopodobnie dokument znajduje się w archiwach Federacji Rosyjskiej, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt., oraz S15/01/Zn, dz. cyt.
[93] *Die Einsatzgruppen…*, dz. cyt., s. 329.
[94] *Tätigkeitsbericht für die Zeit vom 23.6.1941 bis 13.7 1941,* [w:] *Die Einsatzgruppen…*, dz. cyt., s. 375–385.
[95] E. Dmitrów, *Oddziały operacyjne niemieckiej Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa a początek zagłady Żydów w województwie białostockim w lecie 1941 r.*, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz.cyt.

[96] Informacje Chai F. nie wystarczyły do udowodnienia winy Schaperowi, mimo że rozpoznała go ona jako kierującego działaniami Niemców w Radziłowie. Śledczy niemieccy uznali jednak, nie bez racji, że widziała go ona ledwie przez chwilę. Już w tym aspekcie nie można było wykluczyć możliwości popełnienia pomyłki. Doświadczenie kryminalistyczne nauczyło bowiem, że okazanie zdjęć tylko wówczas gwarantowało sukces procesowy, gdy świadkowie przez dłuższy okres (np. w getcie) mieli z obwinionym bliższy kontakt. Bez wątpienia w tym przypadku tak nie było.
[97] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[98] ŻWKH, Białystok 5.04.1945 r., Rzeź w Jedwabnie, okręg łomżyński. Opowiedziane przez Szmula W., urodzonego i zamieszkałego w Jedwabnie. Protokołowane przez mgr. Turka i E. Sztejmana, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[99] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[100] Tamże.
[101] Tamże.
[102] Tamże.
[103] Tamże.
[104] Tamże.
[105] Tamże.
[106] Tamże.
[107] Tamże.
[108] Tamże.
[109] Tamże.
[110] Tamże.
[111] Tamże.
[112] Tamże.
[113] Tamże.
[114] Tamże.

[115] Tamże.
[116] Tamże.
[117] Tamże.
[118] Tamże.
[119] Tamże.
[120] Tamże.

Radziłów

Interpretacja wydarzeń powstała na podstawie relacji polskich i żydowskich świadków, które są dostępne w materiałach sądowych i śledczych Instytutu Pamięci Narodowej, głównie w materiałach ze śledztwa S15/01/Zn w sprawie zabójstwa 800 osób narodowości żydowskiej 7 lipca 1941 r. w Radziłowie, z których część zastrzelono, a część spalono w stodole, prowadzonego przez prokurator Małgorzatę Redos-Ciszewską (postępowanie zawieszone), oraz na podstawie pracy Tomasza Strzembosza *Antysowiecka partyzantka i konspiracja nad Biebrzą X 1939 – VI 1941*, Jana Jerzego Milewskiego *Polacy – Żydzi w Jedwabnem i okolicy do 22 czerwca 1941 roku*, a także innych opracowań i materiałów z epoki.

Radziłów to miasteczko położone kilkanaście kilometrów od Jedwabnego, 39 kilometrów od Łomży. Rozpościera się na ziemiach, które przez długi czas opierały się wpływom cywilizacji łacińskiej i jeszcze w XIII w. były dobrze obwarowanymi terenami bronionymi przez Jaćwingów. Miasto lokował Władysław I, a władcy mazowieccy nadali mu prawo chełmińskie. W 1495 r., po włączeniu tych ziem do Korony Królestwa Polskiego, Radziłów stał się miastem królewskim, z wyjątkiem lat 1511–1526, kiedy należał do Księstwa Mazowieckiego. Na początku XVIII w. miasto zostało zniszczone podczas wojen, a zaraza dokonała ostatecznego spustoszenia wśród jego mieszkańców. Od 1795 r. Radziłów należał do Prus Nowowschodnich, a w latach 1815–1915 do Królestwa Polskiego. Miasteczko

mocno podupadło w XVII w., a w XIX w. nawet odebrano mu prawa miejskie. W latach dwudziestych minionego stulecia w Radziłowie żyło około 670 Żydów, którzy stanowili 34 proc. populacji, ale biorąc pod uwagę procesy migracyjne spowodowane kryzysem ekonomicznym lat trzydziestych oraz zasiedleniami, których dokonywali Rosjanie po zajęciu tych terenów po kampanii wrześniowej 1939 r., liczbę Żydów w Radziłowie w czerwcu 1941 r. można szacować na od 900 do 1000. Miasteczko nie stanowiło wyróżniającego się centrum handlowego ani kulturalnego w regionie, ale w okresie międzywojennym miało swoją cegielnię, młyny i olejarnie, co dawało jego mieszkańcom dobre widoki na przyszłość.

Od pierwszych lat II Rzeczypospolitej miasto było też bastionem narodowej i nacjonalistycznej prawicy. W dwudziestoleciu międzywojennym struktury antysemickich organizacji, takich jak Obóz Narodowo-Radykalny, Obóz Wielkiej Polski czy Stronnictwo Narodowe, były w Radziłowie wyjątkowo silne, nawet jak na region łomżyński. Właśnie z tego powodu tragicznie zakończyły się w miasteczku antyżydowskie zamieszki wzniecone przez narodowców 23 marca 1933 r. Wtedy to kilku członków Obozu Wielkiej Polski zostało aresztowanych przez policję. Około południa podburzony przez narodowców tłum uwolnił aresztowanych i zaczął wybijać szyby w lokalach należących do Żydów, a także rabować stragany żydowskie i nacierać na policjantów. Zginęły cztery osoby (dwie zmarły na miejscu, dwie kolejne – w szpitalu). Tego dnia pobito również dziewięciu Żydów; jedna z ofiar, kobieta, zmarła po odwiezieniu do szpitala. Rany odnieśli też interweniujący policjanci[1].

Wydarzenia te nazywano później w Radziłowie „małą rewolucją”. Zdecydowana interwencja policji jej jednak nie

zakończyła. Wszystko powtórzyło się dwa lata później, w 1935 r. Wówczas uczestnikiem zamieszek był m.in. Józef L., który do 1939 r. mieszkał we wsi Słucz i pracował tam jako robotnik rolny. Odnalazłem jego złożone po wojnie zeznania, w których opisuje swój udział w zajściach. Aż do 1939 r. Józef L. należał do stowarzyszenia katolickiego w Słuczu oraz do organizacji strzeleckiej. W stowarzyszeniu pełnił funkcję oddziałowego, w „Strzelcu" był szeregowym członkiem. Józef L. brał udział w wybijaniu szyb w domach żydowskich, rozbijaniu straganów itp. Razem z nim w zamieszkach uczestniczyli Józef J., zamieszkały w Radziłowie dowódca całej akcji, Józef W. i Witold B. Po tych zajściach zostali na miesiąc aresztowani.

Z relacji, jaką po 1989 r. złożył inny świadek tych wydarzeń, Teodor Eugeniusz L., jasno wynika, że nacjonaliści przed wojną inicjowali w Radziłowie nie tylko rozruchy, ale także, podobnie jak w Jedwabnem, inne akcje antyżydowskie, np. smarowanie smołą schodów wejściowych do żydowskich sklepów, naklejanie na nie ulotek o treści „nie kupuj u Żyda!" czy wybijanie szyb wystawowych[2].

Członkowie Ruchu Narodowo-Radykalnego

Szczególnie popularne były akcje narodowców polegające na biciu pałkami tych polskich mieszkańców miasteczka, którzy dokonywali zakupów w sklepach żydowskich, oraz na oblewaniu naftą zakupionych przez nich produktów.

W organizowaniu akcji antysemickich w Radziłowie niechlubną rolę odgrywali miejscowi księża katoliccy. Echa ich działań możemy odnaleźć we wspomnieniach Henryka P. [3], który już po 1989 r. zeznał, że ks. Józef Choromański z Radziłowa na lekcjach religii szykanował zarówno jego, jak i inne polskie dzieci za to, że kupowały na przerwach bułki w żydowskiej, a nie chrześcijańskiej piekarni. Dzieci ze starszych klas nakłaniał do bojkotu handlu żydowskiego i tłumaczył np., że żydowscy piekarze często mieszają ciasto brudnymi nogami i plują w nie. Tenże duchowny w czasie religii wyjaśniał dzieciom, dlaczego ówczesny minister spraw wojskowych Edward Rydz-Śmigły nie ma

włosów: „bo gdy walczył o niepodległość Polski, to Żydzi oblali mu głowę gorącą wodą – z tego powodu żywi do nich nienawiść i wkrótce wypędzi z Polski”[4]. Rok później, w lutym 1937 r., ks. Choromański osobiście rozprowadzał i kontrolował pikiety przed sklepami żydowskimi w Radziłowie, a na lekcjach wyszydzał dzieci tych rodziców, którzy kupowali u Żydów. Pod jego wpływem uczniowie zaczęli sobie pozwalać na antysemickie wybryki. Po interwencji władz administracyjnych miejscowy proboszcz upomniał wikariusza[5]. Nie przyniosło to jednak większego efektu, bo w sierpniu tegoż roku znowu ks. Choromański osobiście wysyłał pikiety pod sklepy żydowskie. Po przeniesieniu do Kolna wszczął tam z kolei kampanię w szkole powszechnej przeciwko nauczycielkom i uczniom narodowości żydowskiej. W jej wyniku 22 września 1938 r. dzieci nie wpuściły żydowskich kolegów do szkoły. Zatarg został jednak załagodzony po interwencji kierownika placówki[6].

Jego zaś poprzednik w radziłowskiej parafii, ks. Kamiński, zapisał się w pamięci radziłowiaków specyficznym zachowaniem wobec żydowskiej rodziny M., która miała to nieszczęście po prostu mieszkać w budynku sąsiadującym z radziłowskim wikariatem.

HENRYK P.[7]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

> Jeszcze przed wojną wikariusz ks. Choromański, imienia nie pamiętam, na lekcjach religii kazał nam przez całą lekcję trzymać bułki kajzerki w ustach. Była to kara za to, iż na przerwach kupowaliśmy w piekarni żydowskiej w pobliżu szkoły, a nie w piekarni chrześcijańskiej S. Sam stałem kiedyś

w kącie z taką bułką w zębach. Ten Choromański zastąpił poprzedniego wikariusza ks. Kamińskiego, imienia nie pamiętam. Ten Kamiński z kolei zasłynął tym, że kiedyś z dubeltówki strzelał w okna Żyda M., krawca, który z rodziną mieszkał na ul. Kościelnej, obok wikariatu.

JAN R.[8]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

Ja Radziłów poznałem w roku 1938, miałem wtedy 10 lat, w takim wieku polityki się nie zna, ale wiedziałem, co to narodówka. Co robią spod tego znaku i co śpiewają, a śpiewali tak:

Dalej chłopcy, dalej żywo,
otwiera się dla nas żniwo.
Bierzmy w ręce handel wszelki,
wyrwiem Żydom pieniądz wielki.

[…] Polacy mieli tylko: restauracja – W., duży sklep żelazny – T., rzeźnik – K., apteka – nazwiska nie znam, rzeźnik – J., kamasznik – J., była jeszcze piekarnia przy ul. Pięknej w domu S. pod szyldem „Piekarnia chrześcijańska u Odyńca”. Był jeszcze duży dom piętrowy, róg rynku i ul. Łomżyńskiej, należał do Ś., później w tym domu była szkoła, a za okupacji niemieckiej żandarmeria.

Z opowiadań wiem, że największy bojkot Żydów był w 1933 r., musiała interweniować policja. Następny duży bojkot był w roku 1936, były ofiary śmiertelne. Bojkoty organizowano w dni targowe, w Radziłowie był to czwartek, bojówkarze wywracali stragany żydowskie, niszczyli towar, najczęściej do tego celu

była używana nafta, po prostu oblewali naftą wszystko, co było sprzedawane. Pamiętam 1939 r., w poście Żyd na rynku sprzedawał śledzie, miał kilka beczek, różne gatunki. Dwóch młodych chłopaków podeszło do niego, jeden pałą uderzył Żyda, a drugi wlewał naftę do beczek ze śledziami. Po zniszczeniu przystąpili do wybijania szyb w oknach żydowskich domów. Krzyk i płacz kobiet nie odstraszył napastników, wołanie policji też nic nie daje. Policja nie słyszy i nie widzi, co się dzieje. Po skończonej akcji udają się do restauracji na piwo lub coś mocniejszego na poprawę humoru, po udanej akcji. Trzeba się pochwalić, jak dobrze wykonali zadanie.

Na rynku już jest cisza, słychać tylko brzęk sprzątanego szkła, wtedy pojawia się policja, zdziwieni, że tyle szkody, a policji nikt nie powiadomił o napaści. Szukanie winnych bez rezultatu, nie ma, nikt nie widział, nikt ich nie znał. Prawdopodobnie byli to chłopi spoza Radziłowa, ponieważ sąsiada lub kolegi nie można wskazać, że to oni byli.

Często było tak, że w dni targowe narodowcy obstawiali sklepy żydowskie, żeby nikt nie kupował u Żyda. Stało dwóch chłopów przy wejściu do sklepu z pałami i naftą. Wyjść można było, ale z zakupionym towarem nie! Artykuły spożywcze były oblewane naftą, inne zakupione trwałe towary były tłuczone, niszczone, w ten sposób odstraszali kupujących. Komu raz zniszczono zakupy, to więcej nie próbował kupić u Żyda, szczególnie w czwartki. Pozostałe dni tygodnia można było kupować w żydowskich sklepach. Takie bojkoty trwały do wybuchu wojny w 1939 r.

Ta nienawiść do Żydów była podsycana w kościele i szkole, na religii przypominano, kto ukrzyżował

Chrystusa. Kto jest za to odpowiedzialny i komu się lepiej powodzi. Za to, że bieda panowała w polskich domach. Winę za wszystko ponosili Żydzi. Za to wszystko dokuczano Żydom w różny sposób, najlepszym dniem do kawałów była sobota, był to szabas, święto, w którym nie wolno było im nic robić. Najczęściej takie kawały polegały na wrzucaniu przez otwarte okno do mieszkania różnego rodzaju świństw, jak zdechła wrona, innym razem zdechły kot. Po wrony chłopaki chodziły na kirkut, było tam ich bardzo dużo, wronie gniazda były na sosnach, które tam rosły. Pamiętam, jak w lipcu 1939 r. duża grupa młodzieży była na jagodach, w lesie złapali żmiję; przyniesiono ją w słoiku do Radziłowa. Wieczorem przez otwarte okno wrzucono ją do żydowskiego mieszkania. Wybuchł krzyk i wrzask niesamowity, ku uciesze chłopaków. Ludzie mówili, że pokazują swój program, że tak i tu będzie.

Tego rodzaju wydarzenia, jak pogromy, pobicia i bojkoty, organizowane przed wojną przez nacjonalistyczne bojówki w Radziłowie, oraz indoktrynacja antysemicka, której ofiarami na lekcjach religii oraz w miejscowym kościele byli najmłodsi Polacy, musiała wydać zatrute owoce.

STANISŁAW R.[9]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

[…] Ja z okresu do wojny przypominam [sobie], że Polacy z Radziłowa i okolic zrobili pogrom Żydów. Ja nie pamiętam, w którym to było roku, ale w latach trzydziestych. Nawet w tym dniu byłem w Radziłowie. Widziałem, jak młody wikary z Radziłowa – ks. Kamiński – prowadził grupę narodowców.

Przypominam sobie, że między nimi był krawiec Zygmunt S., stolarz W., imienia nie pamiętam, obaj byli z Radziłowa.

Było tam dużo tych narodowców w tym pogromie, ale już nie przypominam [sobie] ich wszystkich. Pamiętam, że był to jarmarczny dzień i cały rynek w Radziłowie był zapchany furmankami. Ci narodowcy tłukli szyby w sklepach żydowskich przy rynku. Ja to widziałem. Na samym rynku narodowcy przewrócili stragan żydowski. Przypominam [sobie], że z beczki rozsypały się śledzie. Ludzie zaczęli rabować te śledzie. Ja blisko tych narodowców bałem się podchodzić. Niektórzy z nich to byli moi znajomi. Bałem się, że będą chcieli mnie zająć przy tym pogromie. Kiedy zaczęli rozbierać te śledzie, to na rynku pojawiła się policja. Zaczęła strzelać. Zrobiła się panika. Ludzie, furmanki uciekali z rynku. W czasie strzelaniny trafili przypadkiem takiego K. ze wsi Kownatki. On zginął na miejscu. Ja już nie pamiętam, czy potem był jakiś sąd nad tymi narodowcami, którzy zrobili pogrom w Radziłowie.

JAN S.[10]

Polak, mieszkaniec Radziłowa

Mój ojciec Zygmunt S. był krawcem i miał warsztat w Radziłowie w naszym domu przy ul. Pięknej. Kiedy w latach trzydziestych ojciec zbudował dom, wydzierżawił w nim parter piekarzowi O. z Tykocina. Na ścianie szczytowej domu na całej szerokości wymalowano napis „Piekarnia chrześcijańska”. Stanowiła ona konkurencję dla piekarzy żydowskich w Radziłowie. Z czasów przedwojennych pamiętam

> jedynie, jak na rynku w Radziłowie przed sklepami żydowskimi stali młodzi ludzie z pałkami w rękach. Nie widziałem, żeby kogoś bili. Z relacji rodzinnych wiem, że przed wojną w Radziłowie były dwa razy wystąpienia antyżydowskie, które organizowali członkowie i sympatycy tzw. narodówki, to jest ONR – Obozu Narodowo-Radykalnego. Wystąpienia takie miały miejsca w 1933 i 1935 r.. Mój ojciec był narodowcem. Nie wiem, czy należał do ONR, czy był tylko jego sympatykiem. W każdym razie był wówczas dwudziestokilkulatkiem i tak pojmował swój patriotyzm. Co do pierwszego z tych wystąpień, to nazywano je nawet „małą rewolucją". Wtedy policja i wojsko zaprowadziły ład w mieście.
>
> Na rynku w Radziłowie, bo to był dzień targowy, śmiertelnie postrzelono wówczas jednego człowieka spoza Radziłowa, który handlował glinianymi naczyniami. […] Mój ojciec zawsze przejawiał ambicję, aby być kimś, aby coś znaczyć w swoim środowisku.

Nienawiść do Żydów rosła w Radziłowie z każdym rokiem, choć na początku lekceważono jej przejawy. Także sami Żydzi zdawali się nie zwracać uwagi na coraz bardziej radykalne postawy swoich polskich sąsiadów i z niesłychaną cierpliwością, a może nawet naiwnością pomieszaną z irracjonalną wiarą w poprawę ich zachowania, nie reagowali na nie. Bo jak nazwać to, że godzili się na taką sytuację i nie odpowiadali na przemoc, której byli ofiarami, choćby poprzez emigrację z miasta? Nie reagowali mimo dwóch miejscowych pogromów w latach trzydziestych, mimo wielu innych pobić, zaborów i niszczenia mienia, mimo wszelkich szykan.

Co prawda w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku mieliśmy do czynienia z falą emigracji Żydów z Radziłowa, pobliskiego Jedwabnego i innych miasteczek z regionu przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych, w wyniku której diaspora żydowska zmniejszyła się prawie o połowę, ale dlaczego nie wyjechali wszyscy, pozostaje dla mnie zagadką. Czy jedynie względami ekonomicznymi, tym, że nie było ich stać na opłacenie biletu, można wytłumaczyć decyzję o pozostaniu? A może decydowało coś jeszcze? Czy było to przywiązanie do ziemi, do swojej małej ojczyzny, do Polski? Tak dla nich tragiczne w skutkach. Spirala przemocy przecież rozkręcała się w Radziłowie z każdym kolejnym rokiem, a Żydzi trwali w miasteczku z uporem godnym chyba lepszej sprawy. Po 1935 r. już nawet wyrostki atakowały żydowskie domy, zwłaszcza w szabas. Stworzyło to w Radziłowie mieszankę nastrojów społecznych, której wybuch musiał nastąpić, z trudnymi do zrozumienia i do zaakceptowania skutkami.

Sytuacja taka rzeczywiście nastąpiła wraz z rozpoczęciem działań wojennych w 1939 r. oraz wkroczeniem na tereny Radziłowa wojsk najpierw bolszewickich, a następnie niemieckich. Podobnie jak to miało miejsce w Jedwabnem, gdzie partyzantkę narodową i antykomunistyczną animował ks. kanonik Szumowski, w grudniu 1939 r., razem z przybyłym na te tereny tajemniczym majorem Aleksandrem Burskim, tak i w Radziłowie organizacje podziemne tworzyły się z intensywnym wsparciem miejscowego proboszcza, zagorzałego narodowca i antysemity ks. Aleksandra Dołęgowskiego.

Obie te organizacje powstawały niezależnie od siebie, ale na początku 1940 r. zostały scalone i podporządkowane Burskiemu oraz założonej przez niego bazie partyzanckiej

na uroczysku Kobielno. Już na jesieni 1939 r. konspiracyjną organizację w Radziłowie stworzył ppłk Straży Granicznej, a zarazem przedwojenny pracownik polskiej dywersji Franciszek Ś. Tworzona przez niego organizacja działała na terenie gmin Radziłów i Białaszewo, aż do scalenia jej z siatką Burskiego[11].

W październiku 1939 r. powstała też w Radziłowie inna grupa konspiracyjna, złożona z miejscowej nacjonalistycznej młodzieży, której przewodzili Stanisław G. oraz ppor. rezerwy Teofil K., późniejszy organizator i uczestnik mordu na Żydach, a następnie dowódca miejscowego batalionu Armii Krajowej o pseudonimie „Kosa", „Dołęga"[12]. Opierając się na pracy Jana Orzechowskiego *Aby pamięć nie zginęła*[13], trzeba przyjąć, że z kolei starszych mężczyzn organizował w Radziłowie przedwojenny peowiak Paweł K. W grudniu 1939 r. obie grupy połączyły się, co stymulowało ich dalszy rozwój organizacyjny. Bez wątpienia jednak były to konspiracje zależne od organizacji Burskiego oraz ks. Szumowskiego z Jedwabnego.

Wpływ Burskiego osłabł na wiosnę 1940 r., choć zniknął całkowicie dopiero wraz z rozbiciem obozu na Kobielnie przez NKWD, ucieczce Burskiego oraz zejściu jego organizacji do głębszego podziemia pod koniec 1940 r. Przyczyniło się do tego również częściowe scalenie rozbitych przez NKWD organizacji powstańczych z tego rejonu pod skrzydłami Związku Walki Zbrojnej pod dowództwem mjr. Władysława Liniarskiego, również pod koniec 1940 r.

Wykorzystując już ustalenia poczynione przez Tomasza Strzembosza[14], powtórzmy: po zdobyciu przez NKWD bazy na Kobielnie w ręce sowieckich śledczych wpadły listy Burskiego z nazwiskami jego ludzi. Bazę prawdopodobnie

wydał jeden z Polaków, mieszkaniec wsi Bartki, miejscowy komunista, niejaki W. Rozpoczęły się masowe aresztowania oraz zsyłki na Sybir. Ostatnia największa deportacja, do której doszło w Jedwabnem i Radziłowie tuż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, tylko potwierdziła, że w miejscowościach tych mieliśmy do czynienia z fragmentem wielkiej antykomunistycznej siatki Burskiego.

Wiadomo bowiem z dostępnych materiałów NKWD, że wywózka ta była dokonywana na podstawie list zdobytych w bazie na Kobielnie oraz zeznań członków organizacji, które pracownicy sowieckiego aparatu bezpieczeństwa wydostali w trakcie brutalnych śledztw, prowadzonych przeciwko schwytanym bądź aresztowanym konspiratorom.

W pamięci miejscowych radziłowiaków ta ostatnia deportacja uczestników konspiracji z organizacji Burskiego i ich rodzin zapisała się jako „czarny czwartek", a ponieważ NKWD dokonało jej tak nieszczęśliwie, że mężczyzn – konspiratorów aresztowanych w jej trakcie – zamknęło w Łomży oraz Białymstoku do dyspozycji sowieckich śledczych, a ich rodziny wysłało w bydlęcych wagonach na Daleki Wschód, to gdy kilka dni później wybuchła wojna, a Rosjanie uciekli, konspiratorzy wydostali się z więzień w Łomży i Białymstoku i powrócili co rychlej do Radziłowa. Nie zastali tam jednak swoich bliskich. Ból, wściekłość oraz chęć zemsty rozpoczęły wtedy niewyobrażalny spektakl przemocy, którego ofiarami padli miejscowi Żydzi. Ich to bowiem uczyniono bezpośrednio odpowiedzialnymi za wywózki, co było zgodne z narodowymi i antysemickimi poglądami politycznymi przywódców radziłowskich mężczyzn, nie miało jednak nic wspólnego z prawdą. Z tego samego powodu kilka dni później z otwartymi ramionami witano w Radziłowie Niemców, postawiwszy im bramę

powitalną, na której włodarze miasta umieścili swastykę oraz portret Hitlera.

JÓZEF R., „KRUK”, „RAWICZ”[15]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

> Niektórym udało się ukryć i mścili się na komunistach oraz na konfidentach. Wtedy [w maju 1941 r. – przyp. M.T.] zginął młody komendant NKWD z Jedwabnego Szewielow. Na dwa dni przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej zaborca zarządził na dużą skalę wywózkę rodzin polskich w głąb Związku Radzieckiego, szczególnie tych, z których ukrywali się. Nie darowali nawet starcom i dzieciom. Pozwolono zabrać ze sobą tylko stukilogramowy bagaż. Setki furmanek na drodze, płacz nieszczęśliwych dzieci i matek, ogólny smutek, przygnębienie i rozpacz – oto atmosfera tamtych dni.

Miejscowi, nie znając prawdziwych przyczyn deportacji, a widząc za to wśród enkawudzistów kilku miejscowych Żydów, postanowili zemścić się na całej społeczności żydowskiej.

To zresztą bardzo charakterystyczne, że nikogo z rodziny narodowców K., G., K. czy M. nie wywieziono w trakcie tej ostatniej deportacji, a to oni stanęli na czele mordów, które w Radziłowie rozpoczęły się po wkroczeniu Niemców, oraz na czele nowych, polskich władz miasteczka. To oni nadali ton tragicznym wydarzeniom, jakie wkrótce miały się tu rozegrać.

Polska administracja oraz polska milicja powstały po wkroczeniu Niemców w Wąsoszu, Jedwabnem, Szczuczynie, Grajewie, Rajgrodzie, Goniądzu, Jasionówce i wielu innych miejscowościach rejonu. Powstały również w Radziłowie.

Najpierw doszło do pogromu w Wąsoszu, później, 7 lipca, w Radziłowie i 10 lipca w Jedwabnem. Kolejność masakr nie była przypadkowa.

Wielu świadków potwierdziło obecność w Radziłowie w tragiczny dzień mordu 7 lipca mieszkańców innych miejscowości, przede wszystkim polskich milicjantów z Wąsosza i Szczuczyna. To oni, razem z miejscowymi polskimi władzami i milicjantami, wiedli prym w pogromie. Ani nie znaleźli się tam przypadkiem, ani nie działali pod wpływem wzburzenia. Nawet miejscowy ksiądz w cytowanej poniżej rozmowie z Chają F. podkreślił, że nie ma na tych ludzi żadnego wpływu.

Zanim jednak doszło do czystki w Radziłowie, po wkroczeniu Niemców ukonstytuowały się polskie władze administracyjne, w skład których weszli: niejaki G., miejscowy felczer Jan M. oraz miejscowy proboszcz ks. Aleksander Dołęgowski. Jeśli chodzi o złożoną z mieszkańców Radziłowa polską milicję, która wzięła później udział w pacyfikacji ludności żydowskiej, to na jej czele stanął Konstanty K., a współtworzyli ją wymieniani przez świadków: Leon K., Feliks G., Leon P., Henryk Dz., Władysław Ł., Ludwik K., Feliks M., L. i Dz. (imiona nieznane), Marian K., Antoni K., Aleksander P. (miejscowy szewc), Bronisław M., Leszek M., Wincenty P., Eugenia S. i jej starszy brat, Jan K., Józef R., Andrzej R., Ignacy R., S. (miejscowy krawiec), Aleksander N., Jerzy S., Stanisław L., bracia G., Janek M., M. (imię nieznane), Mieczysław S., Józef K. i Józef P. (miejscowy masarz). Większość z nich stanowili ukrywający się do czerwca 1941 r. polscy konspiratorzy z organizacji majora Burskiego i ks. Szumowskiego. Menachem F. wymienił po wojnie następujących partyzantów w szeregach polskiej milicji

w Radziłowie: Henryk Dz., K., P. młodszy, Mieczysław M., K., Paweł S., Leon K.

Osobą, która weszła w skład milicji radziłowskiej, a którą z całą pewnością można powiązać z organizacją konspiracyjną Burskiego, był Józef R. – „Kruk”, „Rawicz” – urodzony w 1909 r., miejscowy nauczyciel, w konspiracji od 1939 r. Był szefem wywiadu, a następnie wydziału III rejonu w Janczewie, gmina Jedwabne, później zaś jednym z głównych oskarżonych o sprawstwo mordów na ludności żydowskiej w Radziłowie. Również takim konspiratorem był Feliks G., obok K. jeden z głównych organizatorów milicji w Radziłowie, żołnierz polskiej konspiracji od 1939 r., później członek Armii Krajowej.

Także Leon K.[16], główny uczestnik mordu, po wojnie zeznawał, że od 1939 r. należał do organizacji mjr. Burskiego. Zwerbował go do niej Jan W. „Okoń”. Zadaniem organizacji była walka przeciwko ZSRR. Dowódcą jej radziłowskiej komórki był Józef R. „Adam”, ale to na polecenie Jana W. „Okonia” K. wstąpił do polskiej milicji w Radziłowie, a także to na jego rozkaz pełnił, już w ramach administracji III Rzeszy, obowiązki sołtysa osady Radziłów od czerwca 1941 r. do końca 1944 r., kiedy to Niemcy zwolnili go z urzędu za pijaństwo. Również Ludwik K., brat Leona, wskazywał na Jana W. „Okonia” jako na tego, z którego rozkazu wstąpił do polskiej milicji organizowanej przez Konstantego K. w Radziłowie[17].

LUDWIK K.[18]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

> […] Po wkroczeniu Niemców w 1941 r. na nasze tereny wstąpiłem do policji, która składała się

> z Polaków, a zorganizowana została przez K. Konstantego. Będąc w tej policji nosiłem opaskę na lewym ręku. W służbie tej byłem cztery miesiące. Po zwolnieniu z tej policji pracowałem znów jako krawiec do 1943 r.
>
> […] W 1946 r. byłem zatrzymany przez Urząd Bezpieczeństwa Grajewo za przynależność do organizacji Armii Krajowej, 4 czerwca 1946 zostałem zwolniony.

W dodatkowych wyjaśnieniach uzupełnił poprzednie zeznanie w taki sposób:

> W 1941 r., w czerwcu, kiedy wojska niemieckie weszły na nasze tereny i Sowieci wycofali się, zaczęła się tworzyć tzw. policja pomocnicza organizowana przez K. Konstantego, mieszkańca Radziłowa. K. Konstanty był komendantem tej policji. Ja również zostałem wciągnięty w tym samym czasie do policji pomocniczej w czerwcu 1941 r. Wciągnął mnie do tej policji W. Jan z Radziłowa. Razem ze mną byli na służbie G. Feliks, P. Leon, Dz. Henryk, Ł. Władysław, K. Konstanty, wszyscy mieszkańcy Radziłowa. […] Broni własnej nie posiadałem. Lecz na posterunku były dwa karabiny rosyjskie, które to karabiny zdali miejscowi ludzie. Jeśli ktoś pełnił służbę, wtedy brał karabin i szedł na wartę. Ja sam bardzo często pełniłem służbę z karabinem.

Mordowanie żydowskiej ludności miasteczka trwało właściwie od chwili wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Polscy milicjanci z Radziłowa oraz mieszkańcy miasteczka codziennie, na ogół wieczorami i późną nocną porą, dokonywali napadów na swoich żydowskich sąsiadów, bijąc

ich, torturując, gwałcąc kobiety. Ataki miały charakter skoordynowany i zindywidualizowany. Jak opowiada o tych Chaja F., polscy sąsiedzi przychodzili nocami, zorganizowani w bojówki, włamywali się do wybranych wcześniej mieszkań żydowskich, wyciągali mężczyzn na dwór i katowali ich tak długo, aż ich zabili lub gdy ci, nieprzytomni, nie mogli utrzymać się na nogach. Dopiero wtedy następował atak na ich dom, rabunek, pobicie rodziny i dzieci, często połączone ze zgwałceniem młodych Żydówek, co musieli również obserwować ich bliscy. Najgłośniejszego tego rodzaju ataku w Radziłowie dopuścił się miejscowy milicjant Ludwik K., który w biały dzień wywlókł na ulicę matkę i córkę z rodziny B. i po kolei je zgwałcił, a następnie zamordował uderzeniami kolby karabinu. Milicjanci radziłowscy byli uzbrojeni w karabiny produkcji radzieckiej, zdobyte w trakcie rozbrajania oddziałów Armii Czerwonej lub zgromadzone w trakcie działalności konspiracyjnej w 1940 r.

Trzeba też podkreślić, że wojska niemieckie po wkroczeniu na te tereny po 22 czerwca nie utworzyły w Radziłowie posterunku swojej żandarmerii, wszystko pozostawiając w rękach Polaków. Jak zeznał Bolesław K., taki posterunek powstał dopiero późną jesienią 1941 r., wtedy polska milicja została rozwiązana i rozbrojona. Kilku jej członków wstąpiło do pomocniczej żandarmerii niemieckiej, m.in. Ludwik K. i jego brat Leon.

CHAJA F.[19]

Żydówka, mieszkanka Radziłowa

> Zupełnie inny i o wiele straszniejszy był wybuch wojny w 1941 r. niż w 1939 r. Wówczas Polacy także uciekali, więc nie mieli czasu na antysemickie akty, tzn. mieli

co robić ze sobą. Z niecierpliwością oczekiwali wojny w 1941 r. (nie była dla nich niespodziewana).

Mieli powiązania, tajne oczywiście, z Niemcami hitlerowskimi i mieli już wskazówki, w jaki sposób pomagać w akcji wyniszczania Żydów.

[…] Noc była nie do opisania. Strach wielki ogarniał, kiedy się wyglądało na zewnątrz. Niebo było całkowicie czerwone, w płomieniach.

Od czasu do czas rozlegały się wybuchy, towarzyszyły im nowe języki ognia od strony Osowca. Słyszano ciągle, bez ustanku, warkot samolotów, które wśród innych swoich zadań ścigały uciekających. To była wspólna praca z Polakami, którzy to wcześniej przygotowali. Polacy wysadzili mosty oraz główny most blisko twierdzy Osowiec. Utonęły setki osób, które były na moście, a z pozostałych ludzi samoloty zrobiły błoto. Gorzkie wspomnienia, których jeszcze dzisiaj nie jestem na siłach opisać z powodu zdenerwowania. Jak powiedziałam, noc z 21 na 22 czerwca była jak halel[20].

Dalej iść nie pozwalano, ponieważ czekano na przybycie armii niemieckiej. Młodzieńcy zajęli się dekorowaniem bramy tryumfalnej, którą Polacy wznieśli dla Niemców. Przystrojono ją zielonymi girlandami, kwiatami i portretami Hitlera oraz swastyką. Przy dekorowaniu bramy zatrudniły się wczorajsze rejonowe deputatki i dawne sprzedawczynie w sowieckich sklepach (komsomołki). Nie czekaliśmy długo… Przyszli nie główną szosą, tylko boczną drogą, przez pola. Dokładnie tam była przygotowana brama tryumfalna. Niemcy wmaszerowali w niezwykłym wyposażeniu, wszystko nowe, wszystko na nich błyszczało. To byli piechurzy,

na których broń dzwoniła. Byli uzbrojeni od stóp do głów w najnowocześniejszą w owym czasie broń. Każdy z nich wyglądał jak żywa twierdza. Z jaką dumą i siłą wkraczali!

– Nasi wybawcy od morderców, Sowietów – mówił jeden.

– Spójrz tylko, jacy są piękni! – druga. – Czuć ich z daleka.

To prawda, w nos uderzał zapach perfum. Nie do porównania z zaniedbanymi żołnierzami sowieckimi, których warunki życiowe były o wiele gorsze niż za carskich czasów 25 lat temu.

Stałam razem z chrześcijanami, wśród których byli także nasi dawni robotnicy. Nieliczni mnie pozdrowili, ale większość odwróciła głowę i udawała, że nie widzi. Stojąc tak, widziałam, jak Niemcy prowadzą grupę Sowietów, wśród których byli także ranni, oparci na ramionach towarzyszy. Ich twarze były podobne bardziej do umarłych niż do żywych. Dały się słyszeć obelgi i przekleństwa pod adresem pojmanych. Chrześcijanie krzyczeli:

– Wy takie a takie psie syny, wysyłaliście naszych braci!

Znaleźli się także tacy, którzy rzucali kamienie na nieszczęsnych. Widzowie stawali się śmielsi i zaczęli iść razem z maszerującymi Niemcami wzdłuż drogi. Ja jedyna Żydówka pomiędzy nimi.

[…] Kiedy się teraz przyglądałam wejściu [Niemców – przyp. M.T.], modliłam się po cichu w duszy, abyśmy jeszcze dożyli dnia wielkiej zemsty i zobaczyli, jak uciekają z powrotem, tak jak to [w 1918 r. – przyp. M.T.] widziałam. Wtedy byłam pewna, że ten dzień nadejdzie, ale nie byłam pewna, czy tego doczekamy.

Poszłam do drzwi naszego domu i wyjęłam klucz, by go otworzyć. Nagle usłyszałam strzelaninę. Odwróciłam głowę, aby zobaczyć, co się tu dzieje: na wielkim balkonie młyna stali Niemcy, którzy przyszli otworzyć młyn. Chrześcijanie, widząc to, pomyśleli, że otwierają młyn, żeby rozdzielić między nich majątek pozostały po Sowietach. Zaczęli biec z torbami ze wszystkich stron. Niemcy, widząc tak wielką masę, zaczęli strzelać w powietrze i w ten sposób rozpędzili Polaków. Nie żałowałam mojego przyjścia, widząc wszystko, co się dzieje.

Nie weszłam już do domu. Poszłam na ulicę, na której znajdował się bet midrasz, spotkałam tam nielicznych żydowskich sąsiadów, ludzi potwornie zgorzkniałych. Wśród nich spotkałam dziewczynę, która uczyła się z naszym synem. Cała była czarna, tzn. jej twarz, usta, po prostu spalone węgle. Opowiedziano mi, że nocą przyszli Polacy i ograbili dom, a dziewczynę tak mocno zbili za to tylko, że była wystawiona przez nauczyciela do wygłaszania wykładów w imieniu gimnazjum. Była zdolna, potrafiła przemawiać. Ale nieboga nie miała politycznego rozsądku. Przemawiała zawsze z silnym entuzjazmem. Teksty dawali jej nauczyciele.

Obrabowane zostały także inne żydowskie domy.

Zrobiłam porównanie: teraz właśnie widziałam, jak byłe rejonowe deputatki zajęły się bramą tryumfalną, były prawdziwymi gospodarzami wielkiego święta, a przestępczynią została dziewczyna, za którą kryli się polscy nauczyciele, aby nie padło na nich podejrzenie ze strony Rosjan. Nie zajmowała za Sowietów żadnego stanowiska. Nie należała do Komsomołu, lecz zjadała kawałek suchego chleba, który dali jej rodzice.

Jak już powiedziałam, niedaleko od bet midraszu była synagoga, w której Sowieci zrobili magazyn. Magazyn był wypełniony produktami dla wojska. Polacy jak dzikie zwierzęta rzucili się do środka. Wyniesiono wszystko, co tylko się dało, nawet w wiadrach na wodę. Kto nie miał u siebie wiadra, brał hełm, jaki noszą żołnierze w czasie wojny, i tam wkładali produkty. Brali także buty i ubrania.

Przyszli tam Niemcy, strzelali w powietrze i rozpędzili tłum, ponieważ znajdowało się tam to, czego sami potrzebowali. Przed sobą widziałam nie ludzi, lecz zwierzęta. Zdrętwiałam zupełnie, ale doszłam do siebie, aby zachować rozsądek. Prosiłam Boga o pomoc. Przypomniałam sobie, że mąż i dzieci nie będę wiedzieć, co się ze mną dzieje, postanowiłam więc do nich wrócić.

Kiedy wracałam, było już spokojniej. Weszłam do naszego domu. W pokoju, gdzie mieszkała milicja, pozostawiłam indyczkę na jajach. Był to czas tuż przed wylęgiem. Otworzyłam drzwi: 30 piskląt biegało po pokoju, a indyczka siedziała na pustej słomie. Ten obraz wciąż stoi mi przed oczami.

Przy wylęgu kładzie się małe pisklęta na piórach, aby było im ciepło, daje im się jeść i pić. Nawet wtedy rzadko się zdarza, aby wszystkie przeżyły. Teraz bez jedzenia, picia i opieki było wiele jajek, wylęgło się tyle piskląt, jak na złość.

Kiedy z powrotem przyszłam na kolonię do chrześcijanina, dzieci mi opowiedziały, że byli bardzo niespokojni o mnie i mąż poszedł mnie szukać.

Bardzo mnie to zdenerwowało i zmartwiło, po co on wyszedł. Niedługo wrócił śmiertelnie blady. Był mocno wystraszony i bez opowiadania widać było, że przeżył

coś strasznego. Z początku trudno mu było mówić. Kiedy się trochę uspokoił, opowiedział: Kiedy szedł drogą do miasta, naprzeciw niego szedł nieznajomy chrześcijanin. Znać było, że ten chrześcijanin idzie z dalekiej drogi. Kiedy zobaczył męża, Żyda, rzucił się na niego z gniewem:

– Wysłano mnie z powodu was, Żydów!

Przy tym wyciągnął nóż z kieszeni i rzucił się na męża, który w porę zorientował się, że nie ma innego wyjścia, jak uciekać. Ze wszystkich sił biegł w kierunku kolonii. Czuł blisko siebie ścigającego go bandytę. Aby móc biec szybciej, zrzucił z siebie marynarkę. Morderca, widząc przed sobą marynarkę, która była całkiem nowa, i sądząc, że każdy Żyd ma kieszenie pełne pieniędzy, podniósł ją. Dzięki temu mąż miał możliwość ucieczki. Wbiegł do stodoły, gdzie pełno było znajomych chrześcijan. Przypadkowo znalazł się tam jeden z naszych dawnych robotników, który zaprowadził go niedaleko placu, gdzie my się znajdowaliśmy.

Ciężko było na sercu. Poczuliśmy się zupełnie bezbronni. Nasuwało się pytanie, co robić i jak dać sobie radę w nowo powstałej sytuacji z tak wieloma okrucieństwami.

Z miasta przyszedł chłop, u którego wcześniej przebywaliśmy, i opowiedział, że w mieście jest spokojnie i że wielu Żydów powróciło. Równocześnie powiedział, że jest zarządzenie, by nie sprzedawać Żydom jedzenia. Kto zaś będzie ukrywał Żyda – zostanie surowo ukarany.

Zarządzenie wyszło od samych Polaków. Chłop ten był całkiem spokojnym chrześcijaninem i w jego mowie wyczuwało się współczucie dla nas, ale także

strach o siebie… Zrozumiałe, że nie mieliśmy innego wyjścia, jak wrócić do miasta. Odebraliśmy krowę ze wspomnianej wsi. My, tak jak wszyscy Żydzi, wróciliśmy do miasta, nie mając dokładnego wyobrażenia o tym, co nas czeka i jakie mordy zostaną popełnione na bezbronnych Żydach. Kiedy wróciliśmy, nasz dom był już zajęty przez niemieckich oficerów sztabowych. W naszym domu były trzy duże mieszkania dla trzech rodzin. Kiedy przyszliśmy z dziećmi, Niemcy zwolnili dla nas nasze mieszkanie, a także drugie i skupili się w jednym.

[…] Od czego jednak rozpocząć akcję ratunkową, gdy jest się bezbronnym jak owieczka pośród tylu wilków!

Pierwszy nikczemny akt gwałtu w naszym miasteczku
25 VI 1941 r.

[…] Zaraz z rana przyszła do Niemców delegacja Polaków i zapytała, czy grozi kara za zabicie Żyda. Niemcy odpowiedzieli, że Żydów nie chroni żadne prawo i można z nimi czynić, co się podoba.

Co kilka godzin przychodziły straszne wieści. Jedna informacja straszniejsza od drugiej. Położenie Żydów stawało się coraz bardziej ponure i smutne.

Po pierwszym strasznym akcie, który hitlerowscy mordercy zrobili z Żydami, całe bandy hitlerowców jak zdziczałe zwierzęta puszczały się przez miasto, by szukać kobiet i dziewcząt. Niestety było wiele ofiar…

W całym mieście wiedziano o wstawiennictwie S[ymy] u komendanta miasta i że dzięki niej Żydzi nie zostali zamęczeni na śmierć. Zaczęto przychodzić ze wszystkich kątów miasta i prosić ją o pomoc w różnych sprawach. Przyszła także delegacja kobiet

i poprosiła, aby S[yma] poszła z nimi do komendanta. Opowiedziały jej, że rozeszła się pogłoska, że Niemcy zabiorą wszystkie dziewczęta i młode kobiety poza front dla żołnierzy. Diabelski dekret został anulowany i wierzono, że dzięki jej interwencji.

Każdy miał swoje zmartwienie, poza ogólnymi zmartwieniami. Nie mogłam dać sobie rady. Była już połowa dnia, a mąż ze starszym synem jeszcze nie wrócili ze swej kryjówki, w której ukryli się dzień wcześniej, aby nie wpaść w ręce hitlerowskich morderców. Nie wiedziałam, gdzie ich szukać. Ciężko mi także było pozostawić dzieci, ponieważ były mocno przestraszone. Nie mogłam odpoczywać i poszłam ich szukać. Szłam przez pole i kolonie, gdzie nigdy nie byłam, jak długo mieszkałam w Radziłowie. Pytałam wszystkich napotkanych po drodze chrześcijan. Każdy mówił co innego. Żaden z nich, pod różnymi pretekstami, nie chciał mnie wpuścić do domu. Jeden się bał; u drugiego zakwaterowali się Niemcy (mówili tak, aby mnie odstraszyć); kiedy trzeci zobaczył mnie z daleka, wybiegł mi naprzeciw:

– O, kochana, miej litość, nie wchodź na moją kolonię, ponieważ u mnie trwa rewizja. Oskarżono mnie przed Niemcami, że ukrywam Żydów.

– Nie idę ukryć się u ciebie – odpowiedziałam. – Powiedz mi tylko, czy nie widziałeś mojego męża z synem. Jeszcze wczoraj poszli i nie wrócili.

– Nie, nie widziałem Izraela z jego synem. Widzisz tam tę rzekę – wskazał mi chrześcijanin – tam pod krzakiem leżą ukryci Żydzi, wśród nich także kuśnierz. Niedawno jego żona zaniosła mu jedzenie.

Rozejrzałam się i zauważyłam, że nie tylko ja widzę kryjówkę Żydów, lecz na polu znajdują się jeszcze

chrześcijanie, którzy obserwują każdy ruch ukrytych Żydów. Tak mówiąc, wskazał mi:

– Widzisz, żona kuśnierza idzie już z powrotem przez wodę.

Zauważyłam tylko głowę z ramionami, co widać było z wody. Kobieta wyszła z wody, ledwo zdążyła się ubrać, a chłop zaczął krzyczeć:

– Uciekajcie! Uciekajcie!

Widziałam, jak polski chłopak prowadził młodego hitlerowca, dokładnie w tym kierunku, gdzie staliśmy. Chłopi nam wskazywali, abyśmy weszli w zboże, które było niedaleko. Także ta kobieta poszła z nami w zboże, które nas zasłoniło od nadchodzących diabłów. Kobieta mi opowiedziała, że nie ma miejsca, gdzie można się ukryć przed Polakami. Jej mąż próbował już ukryć się w wielu miejscach, ale wszędzie szpiegowali Polacy. Gdy tak rozmawialiśmy, usłyszałyśmy strzały oddane w kierunku ukrytych Żydów.

[…] Dzień się jeszcze na tym nie skończył. Wokół naszego mieszkania i młyna stały kucharki, które gotowały dla wojska. Obok nich zgrupowało się wielu polskich młodzieńców; wskazywali, że mamy drób. Poszli przez stajnie i gromadzili kury. Nie byli zbyt leniwi, by pójść szukać na strychu, gdzie kilka kur ukryliśmy, ponieważ na to liczyliśmy. Zrabowali wszystkie. Skończyły się także jajka dla dzieci. Nie wiedziano, o co się najpierw troszczyć. Głód w mieście był okropny. Nie można było nic kupić, ponieważ chłopi nie chcieli sprzedawać Żydom. Była to zorganizowana akcja.

Jeśli ktoś miał jeszcze coś w domu, to nie mógł przygotować jedzenia. Strach było wychodzić na

zewnątrz. Na ulicach, jak już pisałam, poniewierały się podarte księgi, kawałki pergaminu ze zwojów Tory. Kiedy tylko pokazał się Żyd albo kobieta żydowska, chłopacy i siksy od razu pokazywali ich Niemcom:

– Zobacz, Jude!

Nawet zupełnie małe chrześcijańskie dzieci pokazywały i krzyczały „Jude, Jude!”.

Kiedy Niemiec nie słyszał albo nie chciał słyszeć, podchodziły bliżej i ciągnęły go za ubranie: „O, Jude!”, szczuły psy na Żydów, wołając: „Huzia na Żyda!”, tak to wyglądało. Wszystko to odgrywało się na naszych oczach, blisko naszego okna.

[…] Do domu przyjechałam o godzinie 10 przez południem. Dzieci jeszcze nie jadły. Co miałam, dałam im do jedzenia. Przypomniałam sobie, że jest piątek i trzeba coś przygotować na szabas, jeśli mordercy nie przychodzą… W piwnicy miałam jeszcze ukrytą gęś. Wyjęłam ją, związałam, sama ubrałam się w letnią chustę, gęś schowałam pod chustę. Tylnymi drogami ruszyłam do rzezaka na rynek, gdzie mieszkał. Ulice były nie do poznania. Zewsząd czuć było uważne spojrzenia ludności polskiej.

Bałam się tylko, aby mnie nie napadli i nie zrabowali ostatniej gęsi albo by nie wskazali na mnie Niemcowi. Wszyscy mnie widzieli, ponieważ nie mogłam ich uniknąć. Przypatrywali mi się tylko, ale się nie odezwali. Kiedy weszłam do domu rzezaka, dopiero teraz zobaczyłam całą potworność. Stary rzezak leżał chory w łóżku. Młody był gdzieś ukryty. Mieszkanie było zdemolowane i ograbione. Córka rzezaka, która była moją przyjaciółką z młodości, opowiedziała mi, że do domu weszli znajomi chrześcijanie i wszystko zrabowali. Kiedy stawili silny opór podczas rabunków,

wywlekli z kryjówki pluszowe koce i pobili ją. Ze łzami w oczach opowiadała mi, co wtedy jej powiedzieli:

– Głupia Żydówko, co ci jest za różnica, kto ci to zabierze? I tak ci zabiorą…

Nie mogłam wrócić do domu z niczym. Wzięła ode mnie gęś i poszła do swego męża, gdzie się ukrywał. Z powrotem przyniosła mi zarżniętą gęś. Jako zapłatę rzezak wziął nóżki gęsi, ponieważ nie mieli co jeść. Dałam im także trochę mąki, którą ze sobą przyniosłam. Bardzo się ucieszyła, ponieważ wprost głodowali. Byli sześcioosobową rodziną. Więcej ich już nie widziałam… Tę kobietę spotkałam jeszcze z jej trzymiesięcznym synem na rękach. Dziecko było zupełnie nagie, ponieważ goje wszystko z niego zdarli; z niej także chustę, pod którą ściskała dziecko. Polscy sąsiedzi zapędzili ją na rynek w tym tragicznym dniu akcji wyniszczenia wszystkich Żydów z naszego miasta.

Do domu doszłam spokojnie. Po drodze zauważyłam jakąś zmianę. Wyglądało na to, że hitlerowscy bandyci się pakują. Ale nie było nadziei na zmianę na dobre. Krótko potem także kucharki zaczęły się szykować do drogi (tzn. zaraz po południu). Około godziny drugiej po południu wszyscy hitlerowcy odjechali. Także komendantura, która znajdowała się u nas w domu i do której od czasu do czasu zwracano się o pomoc… Słyszeliśmy, że przed odjazdem Niemców został utworzony zarząd cywilny Polaków. Do zarządu należeli: ksiądz, felczer (jedyny lekarz w mieście), sekretarz gminy za władzy polskiej, a następnie za sowieckiej, oraz dwaj sołtysi, synowie chłopa, który na drugi dzień po wkroczeniu Niemców przyszedł żądać

od nas pieniędzy za torf. Wszyscy sobie życzyli, aby nie trzeba było szukać u nich ochrony…

Było już późne popołudnie, między czwartą a piątą, zasiedliśmy do jedzenia i z wielu powodów nie czekaliśmy jak w normalnych czasach z jedzeniem w piątek wieczór. Po pierwsze – nie było się pewnym, co będzie kilka godzin później; po drugie – nie wolno było zapalić światła, a po trzecie – nie mieliśmy już sił dłużej czekać. Ledwo zaczęliśmy jeść, usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Pod drzwiami stała wystraszona kobieta ze złą wieścią; słyszała od chrześcijan, którzy zbierają się na ulicy, że wkrótce specjalnie przybędzie kompania rozliczyć się z Żydami.

Jadą z Jedwabnego, gdzie ograbili i pobili Żydów. Ośmiu Żydów pobili na śmierć… Zaraz zauważyłam, jak sąsiedzi wychodzą ze swoich mieszkań. Także mój brat opuścił dom. Mąż nie chciał nigdzie iść. Co ma być, niech będzie, ze wszystkimi razem! Nie ma gdzie pójść. Nalegałam, aby ze starszym synem poszli się gdzieś ukryć.

– Nie zostawię cię samej z dziećmi – powiedział.

– Ale i tak nie możesz nas ochronić – prosiłam go.

Uparł się i nie chciał wyjść z domu. Prosiłam go, aby chociaż wszedł do ciemnego pokoju, w którym były żelazne okiennice. Ledwo zdążył zamknąć drzwi, a już zauważyłam przez okno, jak ze wszystkich stron biegną goje – młodzi i starsi.

Zrozumiałam, że biegną przywitać ważnych gości… natychmiast dały się słyszeć silne uderzenia wozów o bruk. To były wielkie skrzynie, niczym duże samochody ciężarowe, zaprzęgnięte w cztery pary koni. Skrzynie i konie były przykryte siecią – derką, jak do łapania ryb. Na sieci były wyhaftowane zielone

liście, które wyglądały jak zarośnięte pole. Służyło to do maskowania przed samolotami.

Było wiele wozów, nie mogłam ich zliczyć, orientowałam się tylko według hałasu dwunożnych bestii, które się na nich znajdowały. Wszystkie wozy zatrzymały się wzdłuż drogi, blisko nas.

Błyskawicznie dwunożne bestie zeskoczyły z wozów. Ich ubrania miały ten sam kolor co derki. Wszyscy, jak jeden, byli olbrzymimi mężczyznami i sprawiali wrażenie dzikich rabusiów. Widziałam, jak na dworze chrześcijanie wskazywali nasz dom. Natychmiast dało się słyszeć pukanie do drzwi. Otworzyłam, weszło kilku i poprosiło o wiadro na wodę, aby napoić konie. Ile miałam – tyle im oddałam. Widziałam, jak nosili wodę z pobliskiej studni i poili konie. Chciałam wierzyć, że może zatrzymali się tu tylko z powodu wody. Z jednej strony była rzeka, a z drugiej studnia.

Rodzina F., 1946 r. W dolnym rzędzie od lewej: Izrael, Chaja, Menachem; w górnym: Chana, Szolem i Szejna (Jaffa)

Pojenie koni nie trwało długo. Słońce zaczęło już zachodzić. Nie odchodziłam od okna, aby widzieć, co się dzieje na dworze. Zgromadziło się z pewnością od 40 do 50 ludzi, wokół nich wszyscy, przybyli chłopi, chłopki i młodzieńcy. Rozmawiali. Nie słyszałam, co mówili. Widziałam tylko, jak naraz podniosło się kilka rąk i wskazało na nasz dom. Zaraz weszło ośmiu lub dziesięciu ludzi i zażądali jajek. Zaczęłam im tłumaczyć, że nie mamy jajek, ponieważ nie mamy kur. Chłopi powiedzieli, że je mamy. Wdarli się do jadalni, zobaczyli na stole podzielone na talerzach na porcje mięsa, których nie skończyliśmy jeść.
Z sadystyczną radością rzucili się i chwycili mięso rękami. Dziko krzyczeli jeden do drugiego:

– Przeklęci Żydzi, żrą kurze mięso!

Próbowałam ich uspokoić, że kupiliśmy je za nasze pieniądze i nikomu nie ukradliśmy. Z furią zaczęli uderzać gumowymi pałkami w żyrandol wiszący nad stołem. Żyrandol poleciał i kawałki podskoczyły do sufitu. Następnie zaczęli szukać w pokojach. Co im wpadło w ręce, wynosili dla chłopów, którymi zapełniła się ulica. Kiedy tak szukali, znaleźli męża. Gdy go dojrzeli, stali się jeszcze dziksi. Można było ogłuchnąć od ich dzikich krzyków „Jude!”.

Zaraz zaczęły się podnosić ich olbrzymie łapy. Grube, gumowe pałki spadały na głowę męża. Złapałam ich za łapy i powiedziałam do męża „Uciekaj!”. Pamiętam jak dziś, że kiedy trzymałam mordercę za jego łapy, powiedział do mnie:

– Nie łap mnie swoimi brudnymi rękami!

– Moje ręce są czyste, nikomu nic złego nie zrobiły – odpowiedziałam mu. – Brudne są wasze ręce, które dręczą niewinnych ludzi. Czy jako Żyd coś wam zrobił?

Tymczasem w zamieszaniu mąż wydarł się z ich łap i wybiegł na zewnątrz. Widziałam, że na dworze jest ich wielu i że im pomogą, wpadłam na pomysł, aby również wybiec i robić wrzawę. Może to ich trochę zmiesza i mąż zdoła uciec? Tak też było. Gdy Polacy go zauważyli, zaczęli krzyczeć, hitlerowskie psy zaczęły go gonić. Pobiegłam i krzyknęłam:

– Chodźcie, tu jest Żyd!

Nie wiedzieli, od kogo ten krzyk pochodzi, i zatrzymali się na chwilę, potem znowu zaczęli go gonić. Wtedy usłyszałem, jak jeden rozkazał strzelać. I od razu dały się słyszeć strzały. Nic nie widziałam. Mąż wbiegł na podwórze między stajniami. Było już ciemno. Ze skamieniałym sercem wróciłam do domu.

Nie czułam razów gumowych pałek otrzymanych od morderców, kiedy szłam z powrotem. Kiedy weszłam do sieni, wybiegły mi naprzeciw wszystkie dzieci. Morderców już nie było. Zaczęłam krzyczeć do naszego starszego syna, aby miał litość nade mną i ukrył się. Nie słuchał tego, co mu mówiłam, tylko nie przestawał pytać: „Gdzie jest tatuś?”. Słyszał, jak strzelano? Nie mogłam znieść mojego największego bólu i odpowiedziałam:

– Kto wie, czy go jeszcze mamy!

– Jeśli zabili tatusia, ja także nie chcę żyć. Nie mam powodu, żeby się ukrywać.

Nie pomogły moje prośby i pocieszenia. Tak długo, jak nie widzieliśmy go na własne oczy, nie możemy mieć nadziei, że kule go nie trafiły. Gdy tak

rozmawialiśmy, wszedł młodzieniec, a za nim banda hitlerowskich psów. Rozpoznałam tego chłopaka i zawołałam go po imieniu. Był synem byłego polskiego policjanta. Wszyscy ciągle od nas coś wynosili… Ten sam chłopak był za Sowietów urzędnikiem na poczcie. Przychodził do nas wiele razy. Przyjmowałam go po ludzku. Znaliśmy się dobrze i nie miał powodu, by się mścić. Zapytałam go:

– Powiedz, dlaczego to robisz? Masz coś do nas? Czy kiedykolwiek zrobiliśmy coś złego?

– Nie ma litości – odpowiedział. – Wszyscy Żydzi są tacy sami! Nad nami też nikt nie miał litości, kiedy naszych braci wywożono na Sybir.

Zaprowadził ich do domu mego brata, gdzie były wszystkie moje dzieci, ja także tam weszłam.
W mieszkaniu było ciemno, ponieważ okiennice były już zamknięte, a słabe światło z zewnątrz nie mogło przeniknąć. Tylko w kuchni okiennica była otwarta, można było coś jeszcze zobaczyć. Wyważyli szafę na jedzenie (bufet), wszystko wyjęli, naczynia potłukli. Produkty żywnościowe wysypali na ziemię. Gumowymi pałkami wybili szyby, a szkło rozprysło się po kuchni. Nasze dzieci zebrały się w ciemnej jadalni. Nie mogły wyjść, ponieważ trzeba było przejść przez kuchnię, która pełna była pogromczyków. Kiedy skończyli z kuchnią, weszli do pokoi, zaczęli rabować i wynosić na zewnątrz, co tylko wpadło im w ręce. Łup podzielili między chłopów, którymi zapełniła się ulica. Podczas rabowania natknęli się na dzieci i zaczęli je bić. Obroniłam je ponadludzkimi siłami. Wszystkie gumowe pałki wycelowane w dzieci dzięki ciemności spadały na mnie. Od czasu do czasu pokazywał się promień światła z małej latarki.

Usłyszałam głos chłopaka:

– To nie są wszystkie ich rzeczy, resztę ukryli w piwnicy.

Zejście do piwnicy było w tym samym pokoju. Chłopak wskazał drzwiczki. Słabe światło latarki oświetlało i otworzyli drzwiczki. Jeden z morderców wziął naszą najstarszą córkę, aby poszła przodem, ponieważ Żydzi na pewno mają tam miny. Moja rozpacz przekroczyła wszystkie granice, kiedy usłyszałam rozkaz, aby Szejnkele zaprowadziła go do piwnicy z powodu obawy przed wybuchem bomby. Walczyłam nie jak człowiek, lecz jak lwica. Nie mogli dać sobie ze mną rady. Okropnie krzyczałam, chociaż wiedziałam, że pomoc znikąd nie nadejdzie. Trzymałam ich za łapy i biłam ich po nich. Jeden z bandy krzyknął, że mnie zastrzeli.

– Strzelaj – odpowiedziałam mu w rozpaczy. – Nie umiera się więcej niż jeden raz. Ale jak długo moje oczy są otwarte, jestem matką i nie pozwolę męczyć moich niewinnych dzieci.

W wielkim zdenerwowaniu i rozpaczy wpadła mi do głowy myśl: morderca rozkazał, aby poszła przodem do piwnicy z powodu podejrzenia o bombę, ale kto zna jego psie zamiary?! Błyskawicznie zeskoczyłam do otwartej piwnicy i z całą ponadludzką siłą, którą wtedy posiadałam, rzuciłam się z niezwykłym krzykiem, słysząc wołanie o pomoc mojego dziecka:

– Morderco, męczysz moje dziecko!

Rzuciłam się na niego. Jeszcze dzisiaj nie wiem, jak to się stało. Ale zdaje się, że morderca był tchórzem. Błyskawicznie wyskoczył z piwnicy i ratunek przyszedł w samą porę. Bestia zaczęła już rozrywać ubranie na moim dziecku…

Kiedy ją uratowałam od takiego niebezpieczeństwa, chciałam wrócić do innych dzieci, ale mordercy zatrzasnęli drzwiczki do piwnicy. Uniosłam drzwi głową. Usłyszałam, jak dzieci krzyczą. Krzyczałam ostatkiem sił, ale mordercy nie pozwolili mi otworzyć drzwi. Kopnęli mnie w głowę czubkami butów.

Nie wiem, co się stało ani w jaki sposób. Będąc w piwnicy, usłyszałam, że na górze się uspokoiło. Moje siły się wyczerpały i nie mogłam otworzyć drzwiczek głową. Usłyszałam ruch kół na dworze, dobrze się przysłuchiwałam: ruszał wóz za wozem.

Nie chciałam wierzyć własnym uszom. Wydawało mi się, że to sen. Zebrałam wszystkie siły i zaczęłam pukać w drzwi piwnicy. Z góry, tzn. z mieszkania, przyszły mi z pomocą dzieci. Potwierdziło się to, co słyszałam. Nagle, jak podaje legenda, kiedy zaczyna piać kogut, a zegar wybije dwunastą – znikły demony…

Zabrałam dzieci i wypytałam je. Pocieszeniem było, że dzięki Bogu, pozostały przy życiu. Ciosy, które otrzymały, nie były groźne. Najwięcej razów otrzymał nasz starszy syn. Na szczęście wetknął głowę pod stół i wszystkie ciosy spadły na ciało.

W zamieszaniu udało się uciec żonie mojego brata z dziećmi. Byłam najciężej pobita i ranna. Z głowy i z wielu miejsc ciekła mi krew. Dzieci przyłożyły mi do głowy ręcznik z zimną wodą.

Zebraliśmy się z powrotem w naszym domu, gdzie można było zobaczyć przez okno, co się dzieje na zewnątrz. W pokoju było ciemno, tak więc wszystko było wyraźnie widać: nie było już nikogo z hitlerowskich morderców. Po ulicach biegali polscy młodzieńcy, a także starsi. Widzieliśmy, jak z domów

wynosili ubrania, bieliznę i pościel. Od kuśnierza, który mieszkał niedaleko, wynieśli owcze skóry. Dochodziły dźwięki rozbijanych szyb i im dalej, tym coraz wyraźniej słychać było krzyki i tłuczenia szyb. Polscy bandyci szybko zbliżali się do naszych okien i zaczęli rzucać kamienie w nasze szyby. Odsunęliśmy się na bok, aby nie trafiły nas kamienie i szkło. Chcieliśmy zobaczyć, kim są zbrodniarze.

Do pokoju, którego okna były zamknięte żelaznymi okiennicami, rzucili z wściekłością tak wiele kamieni, że je zgięli i rozbili szyby, ale te się nie rozprysły. Zbrodniarzami byli miejscowi, w większości sąsiedzi. Buszowali tak do świtu.

Kiedy ucichło, dzieci poszły do zamkniętego pokoju i usnęły ze zmęczenia. Nie czułam fizycznego bólu i nie zwracałam uwagi na zmęczenie. Czekałam z niecierpliwością, aż na dworze zrobi się jaśniej, abym mogła pójść zobaczyć, co się stało z moim mężem. Nie mogłam ustać, a siedzieć nie pozwoliła mi moja niecierpliwość, ściślej mówiąc, moje zdenerwowanie. Oparłam się o ścianę, po stronie wybitego okna, abym mogła wyjrzeć na ulicę.
Z powodu wielkiego zmęczenia zdrzemnęłam się. Nie wiem, jak długo drzemałam, możliwe, że tylko kilka sekund, ponieważ na zewnątrz jeszcze nie zrobiło się jaśniej.

[…] Stałam przy oknie na chwiejnych nogach, bliska omdlenia i czekałam, aż się na zewnątrz rozwidni. Patrząc tak, zauważyłam cień człowieka. Cień się zbliżał, rozpoznałam go: mój mąż! Nie chciałam wierzyć własnym oczom i sądziłam, że to tylko fantazja. Wszedł do mieszkania. Jego pierwsze pytanie brzmiało, czy nikogo nie brakuje, czy wszyscy żyją.

Rozpłakałam się z radości… To samo było, kiedy dzieci się przebudziły. Ponownie zebrałam w sobie odwagę, by walczyć dalej, i prosiłam Boga o pomoc.

[…] Widać było, że sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Mordercze akty wykonywali zgodnie z programem, żeby Żydów złamać duchowo i fizycznie. Nikt nie wiedział, co robić. Nie potrafiono nawet z nikim rozmawiać, naradzać się wspólnie i szukać wyjścia.

Nawet we własnych rodzinach brakowało słów, nie u wszystkich mózg potrafił normalnie pracować i wyrażać się jasno. Co się wtedy działo ze mną – sama nie wiem. Nawet dzisiaj, po tylu latach, nie mogę tego pojąć. Po tak strasznej nocy, kiedy całe moje ciało było pokryte czarnymi plamami, a głowa pełna otwartych ran od ciosów, które zadali mi mordercy, nie zważałam na to, mój mózg chłodno pracował, ciągle poszukiwał rady i rozważał. W tej sytuacji zrozumiałam: „Jeśli nie ja sobie – kto mnie?”.

Postanowiłam pójść do polskiego zarządu cywilnego. Jak już wspomniałam, nikt z tych, którzy wchodzili w skład zarządu, nie miał nam nic do zarzucenia. Jak pomyślałam, tak zrobiłam. Nie zastanawiałam się i poszłam. Co miałam do stracenia? Poprzez moje odejście niczego nie pogorszę. Najpierw poszłam do chłopa, którego dwaj synowie zostali mianowani sołtysami (jak już wspomniałam). Chłop przyjął mnie po ludzku. Wszystko wiedział i nie musiałam wszystkiego opowiadać. Na początku wyraził swoje współczucie. Synów nie było w domu, jeszcze spali po wczorajszej pracy, której byli organizatorami. Powiedziałam temu chłopu, po co do niego przyszłam. Wyjaśnił mi sprawę: jego synowie wykonują tylko to,

co im każą na górze… Nie mają nic do powiedzenia i w tym wypadku nie mogą mi nic pomóc.

– Jeśli tak, panie M., poradź mi, do kogo mam się zwrócić?

Spuścił głowę, pomyślał chwilę i powiedział:

– Wiesz co, pani F., idź do Stanisława G., sekretarza, on może ci pomóc.

Podziękowałam mu i pożegnałam się. Powiedział mi, gdzie ów mieszka, i od razu poszłam pod wskazany adres.

Zapukałam do drzwi i natychmiast otrzymałam odpowiedź „proszę”. Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam w mieszkaniu samego G. Na jego twarzy zauważyłam grymas niezadowolenia, ale na zewnątrz starał się uśmiechać. Odpowiadając na moje „dzień dobry”, od razu spytał, co mnie do niego przyniosło. Na czym polega sprawa? Nie przestawał spacerować po pokoju i za każdym razem, kiedy podchodził do bufetu, zupełnie spokojnie kroił małe kromki chleba i grube kawałki słoniny, leżącej na talerzu. Słoninę kładł na chleb, całość wkładał do ust, następnie dalej spacerował. Wysłuchał mojego opowiadania, bez najmniejszego wyrazu współczucia. Skończyłam moje straszne opowiadanie o rzeczach, o których, byłam więcej niż pewna, wiedział, gdyż rozkaz został wydany przez niego samego…

Zapytałam go:

– Niech mi pan powie, panie G., dlaczego tak się nas traktuje? Czy ktoś może nam zarzucić, że byliśmy przyjaciółmi komunistycznego porządku? Pamiętasz, że mieliśmy ci wiele do zawdzięczenia, kiedy nie pozwolono nam wrócić do mieszkania? Wycierpieliśmy za Sowietów więcej niż cała okolica.

Dało się zauważyć, że zmiękł trochę, i odpowiedział mi na to:

– Myślisz, że mogę coś dla ciebie zrobić? Wiesz przecież, że ja także nie byłem całkowicie czysty?

Zapukano do drzwi. Do domu wszedł chłop ze skargą, że stracił konia. G. wysłał go do księdza. Kiedy chrześcijanin spytał się go, co tutaj może pomóc ksiądz, odpowiedział:

- Co to znaczy? Jutro jest niedziela, ksiądz ogłosi z ambony, że jeśli ktoś wie o koniu, powinien się zgłosić…

Chłop wyszedł. Zwróciłam się do niego:

– Co masz mi do powiedzenia? Chodzi o sprawę znacznie ważniejszą od konia.

Znowu przechadzał się po pokoju i wkładał do ust chleb ze słoniną. Widać było, że się zastanawia.

– Wiesz co, pani F., powiem ci całą prawdę: rzeczywiście utworzył się zarząd cywilny, ale tylko dla Polaków. Żydów nie można ochraniać!

– Pozwolisz mi odejść z niczym? Wiem, że jest takie ludowe powiedzenie, że dla chcącego nie ma rzeczy niemożliwych…

Ponownie się zamyślił i zwrócił do mnie:

– Wiesz co, radzę ci, żebyś poszła do M., felczera. On ma o was bardzo dobre zdanie. Także jego słowo jest ważniejsze niż moje. Jego urząd jest wyższy. Jeśli zechce, może wam pomóc.

Zrozumiałe, że kontynuowałam moją misję ratunkową. U felczera w domu zastałam tylko jego żonę. Jego samego nie było. Nie było również jego syna, który należał do inteligentniejszych morderców i ostatnio miał dużo pracy… Był wśród organizatorów napadów na Żydów. Żona felczera przyjęła mnie

bardzo przyjaźnie, poprosiła, abym usiadła, i wyraziła ogromne współczucie, zanim jeszcze dowiedziała się, po co przyszłam.

„Z pewnością przyjdzie nam wiele wycierpieć z powodu złych, którzy żyli między Żydami”. Według mnie ona zrozumiała, że ja przyszłam do lekarza. Poprosiła, abym poczekała, jeśli mam czas. On powinien wkrótce przyjść. Opowiedziała mi także, co jej mąż, biedaczyna, musi znosić. Nie może spokojnie usiąść w domu. Co kilka godzin biją innego Żyda i wzywają go do chorego. On jest dobrym człowiekiem i nie może odmówić… To znaczy syn dba o pracę dla ojca.

Nie musiałam długo czekać, przyszedł. Kiedy mnie zobaczył, pozdrowił mnie uprzejmie, jak nigdy dotąd. Zupełnie szczerym tonem zaczął opowiadać żonie, a zarazem i mnie, że nocą chłopcy ciężko pobili Żydów, którzy leżą bardzo chorzy. Wśród nich byli także całkiem spokojni Żydzi. Wyliczył, kim oni są. Wtedy zwrócił się do mnie, że jest zmęczony, ma tak dużo pracy, że po prostu nie może dać sobie rady. Spytał, czego chcę od niego. Zaczęłam opowiadać – wysłuchał mnie uważnie. Nie mogę powiedzieć, że bez współczucia.

Opowiedziałam mu wszystko ze szczegółami i zarazem powiedziałam, że dzisiaj nie przyszłam do niego szukać pomocy medycznej, chociaż jej potrzebuję, ale ochrony. On jest już trzecią instancją. Jeden odsyła mnie do drugiego.

– Naprawdę nie może wziąć Żydów pod naszą ochronę – powiedział mi – ale z wami jest inaczej. Ja sam nic nie mogę zrobić. Idź do księdza, on może wam pomóc.

Pożegnałam się z nimi, jemu podziękowałam. Podpowiedział mi, jak mam iść, aby psy mnie nie napadły. Na drodze od felczera do księdza natknęłam się na tragiczną scenę, która rozegrała się przed moimi oczyma. W chrześcijańskiej okolicy mieszkała rodzina żydowska, uchodźcy ze Szczuczyna, Motes K. z żoną i dwoma synami, jeden w wieku około 16 lat, a drugi – 14 lat. Sowieci wypędzili go ze Szczuczyna za grzech, że był zamożnym człowiekiem. U nas w mieście znalazło się wiele takich rodzin. Sowieci im nie dowierzali i nie pozwalali im mieszkać przy niemieckiej granicy, np. w Kolnie, Myszyńcu i innych. Nie było łatwo o mieszkanie. Było prawo, że otrzymywano mały domek u chrześcijanina albo pokój. Także K. miał krowę, o której chłopi zapomnieli, kiedy się zajmowali zabieraniem krów Żydom. Nie zapomniała za to dziewucha, która w szabas doiła krowę. Sama poszła do obory, gdzie stała krowa, i zabrała ją do siebie. Pani K. z obojgiem dzieci pobiegła, aby ją zatrzymać i nie pozwolić jej zabrać krowy. Dziewucha biła kijem po głowie panią K. i jej dzieci.

Do tego krzyczała i wzywała pomocy. Momentalnie zbiegli się chłopi. Nie pomogły prośby pani K. i jej dzieci, że krowa jest jedynym źródłem utrzymania. Mordercy pomogli wyrwać krowę z rąk właścicieli i przekazali szabesgojce. Krowa wyciągnęła łeb do swych właścicieli i zaryczała okropnie.

Przypomniałam sobie o moim zadaniu, które musiałam przeprowadzić do końca. Zebrałam siły i kontynuowałam drogę. Doszłam do tylnej bramy, gdzie było wejście na wielkie podwórze, a stamtąd do kuchni księdza. Psy strasznie szczekały. Kiedy

otworzyłam furtkę, szczekanie się wzmogło. Kilka psów się już zbliżało. Zaraz otworzyły się drzwi i wyszła pobożna dziewczyna, moja dobra znajoma, o której już pisałam. Uspokoiła psy i wypędziła je.

Pozdrowiła mnie i zapytała, czego potrzebuję. Powiedziałam jej, że chcę się widzieć z szanownym panem proboszczem. Poprosiła mnie ze sobą i wprowadziła do olbrzymiej kuchni, gdzie siedziała gospodyni księdza ze służbą i wykonywała swoją pracę. Ksiądz kręcił się wokół nich. Dziewczyna, która mnie wprowadziła, usiadła koło gospodyni. Wielka kuchnia była zastawiona wieloma dużymi miedzianymi kotłami, jakich tylko Żydzi używają do prania. Błyskawicznie przemknęło mi przez myśl: to jest łup z Żydów i u świętego ojca przygotowuje się w nich jedzenie dla krów! Kiedy ksiądz mnie dostrzegł, wyszedł mi naprzeciw i pozdrowił. Powiedziałam mu, że przyszłam do niego z wielką prośbą. Opowiedziałam mu, gdzie byłam i że odsyłano mnie od jednego do drugiego. Byłam także u M. i to on wysłał mnie do szanownego pana proboszcza.

– Tylko ty możesz mi pomóc!

Spokojnie mnie wysłuchał i zapytał, kim jestem. Wcześniej zauważyłam, że pobożna dziewczyna coś mu szepnęła. Powiedziałam mu, kim jestem i czy jest gotów mnie wysłuchać. Kazał mi opowiadać. Opowiedziałam mu wszystko, co się u nas nocą wydarzyło i kto na samym końcu wprowadził do naszego domu hitlerowskich morderców, którzy zdemolowali i ograbili nasze mieszkanie, a nas ciężko pobili. Wskazałam mu na głowę pełną ran, na spuchniętą twarz, która była czarna, na siniaki, które można było zobaczyć na moim małym dekolcie.

Przeprosiłam go i powiedziałam, że tak wygląda całe moje ciało. Spytałam go, dlaczego D. nam to zrobił. Czy ma coś przeciwko nam? Albo ktoś inny?

– Powiedz mi, co chcesz, bym dla ciebie zrobił? – zapytał mnie ksiądz.

Nazwałam go jego czcigodnym imieniem i powiedziałam, że przyszłam go prosić, jako ojca duchowego całej parafii, bo przecież do każdego zwykłego ojca nie mogę pójść, aby wielce poważany proboszcz rzekł do zgromadzonych ze swej parafii, że wojna nie trwa przecież wiecznie i swymi złymi czynami wobec Żydów nie powinni plamić imienia ludności polskiej. Także rodzice powinni oddziaływać na swe dzieci, aby nie pomagały Niemcom. Niemcy sami czynią wiele złych rzeczy przeciwko Żydom. Kiedy skończyłam, zwrócił się do mnie odrobinę zdenerwowanym tonem:

– Czy myślisz, że ja mogę z ambony wstawić się za Żydami? Jak wielki jestem (przy tym uniósł rękę ponad głową i naprawdę był tak wysoki i gruby, że nie zmieściłby się w zwykłe drzwi, po czym opuścił rękę nisko), wtedy stanę się mały w ich oczach. Nie jestem pewien, czy mnie nie zabiją na miejscu. Może później by żałowali, ale w gorącej chwili, nie mam pewności, czy tego nie zrobią. Tak wielka jest nienawiść do Żydów, psiakrew. Oni wszyscy oszaleli! Wszyscy mają was za komunistów, od 12 do 60 lat!

– Wielce szanowny proboszczu – odpowiedziałam mu – jak możesz tak mówić? Przecież żyłam i żyję wśród nich. Było wielu łobuzów, ale zbiegli, zostali tylko ci, którzy są całkowicie niewinni i nie czują się komunistami. Nawet ci, którzy próbowali w spółdzielniach, byli wrogami komunistów, ponieważ

70 procent zabierała im panująca władza. Robotnicy ze swoimi rodzinami wprost głodowali.

– Co ty mi będziesz opowiadała – zagotował się ksiądz. – Psiakrew, wszyscy Żydzi są komunistami!!!

Stałam trochę zmieszana, ale momentalnie postanowiłam:

– Jeśli nie chcesz przyjąć mojej gwarancji za cały ogół żydowski, to za moją rodzinę gwarantuję nawet moim życiem. Jestem gotowa dać sobie uciąć głowę, że u nas w rodzinie nie ma komunistów.

– To ja wiem – powiedział ksiądz. – Wy jesteście uczciwymi ludźmi. Wiem nawet, że wasze dzieci nie chciały w szkole założyć czerwonych chusteczek. Bezpośrednio nie mogę wam pomóc, ale pośrednio zrobię dla was, co tylko będę mógł.

Serdecznie mu podziękowałam i powiedziałam, że mam jeszcze jedną prośbę do niego, aby pozwolił naszemu starszemu synowi ukryć się u niego w spichlerzu albo w stajni, ponieważ jest on po ciężkiej chorobie. W nocy został straszliwie pobity i jeśli znowu coś takiego go spotka, uchowaj Boże, nie wytrzyma tego.

– Tego nie mogę zrobić, ale dam ci radę – powiedział. – Weź swoją rodzinę i wyjedźcie na wieś. Macie we wsiach wielu dobrych przyjaciół. Będą was trzymać przez kryzys, który może potrwać tylko kilka tygodni… Potem, kiedy się uspokoi, powrócicie do domu.

– Nie mogę tego uczynić – odpowiedziałam. – Nie mogę się odłączyć od ogółu żydowskiego. Postępując w ten sposób, postąpiłabym wbrew naszemu sumieniu.

– No – powiedział – jest, jak powiedziałem, co będę mógł, zrobię dla was pośrednio.

Pożegnał się ze mną uprzejmie i odprowadził z błogosławieństwem. Przy wyjściu pozdrowiłam się także z obecnymi w kuchni. Ta sama pobożna dziewczyna odprowadziła mnie do bramy.

– Mój Boże, jakie złe czasy dla was nadeszły! Współczuję wam!

Moja interwencja u księdza trwała ponad godzinę i nie miałam wielkiej nadziei. W każdym razie niczego to nie pogorszy. Wychodząc, przypomniałam sobie, że w okolicy znajduje się jeszcze jedna rodzina żydowska, która mieszka w małej izdebce u chrześcijanina. Była to rodzina I., nauczyciela naszych dzieci, o którym już pisałam. Weszłam do nich, chcąc się dowiedzieć, co u nich słychać. Opowiedzieli mi, że gospodarz wypędza ich z mieszkania. Nie chce im pozwolić dłużej u siebie mieszkać, ponieważ młodzi grożą mu wybiciem okien za to, że trzyma u siebie Żydów w mieszkaniu. Co kilka godzin przychodzą do niego chłopi i opowiadają mu straszne nowiny, jedna gorsza od drugiej.

Opowiedziałam mu w skrócie, skąd idę i jaką otrzymałam odpowiedź. Kazał mi iść do Sz. i powtórzyć mu to. Może da się coś zrobić, negocjować z polskimi bandytami. Równocześnie powiedział mi, że boi się, czy moja wizyta u nich nie przyniesie im szkody, ponieważ chłopi nie dopuszczają do niego Żydów. Oni także pójdą do Sz., tam się spotkamy.

Kiedy weszłam do Sz., byłam zaskoczona wyglądem domu i ludzi. Dom wyglądał jak na szabas; wszyscy byli odświętnie ubrani, siedzieli wokół wielkiego stołu

w pokoju jadalnym. Była cała rodzina Sz. i rodzina G. (uchodźcy ze Szczuczyna) oraz synowa Z. (także ze Szczuczyna). Czuło się, że coś się tam odbywa. Spotkałam także ukrywające się dwie panie z miasteczka. Na moje pytanie, czemu ich dom jest bezpieczniejszy od innych domów żydowskich, odpowiedział mi, że pozostaje w kontakcie z prawicowym przywódcą Polaków, który mu obiecał, że jego rodzina i majątek pozostaną nienaruszone. Może być spokojny. Zrozumiałe, że wywołało to we mnie rozbawienie. Ale jak się mówi: godzina życia więcej także jest dobra… Na razie żyją jeszcze po ludzku, normalnie, nie tak jak my. Nie słyszeli, co się zdarzyło u nas ostatniej nocy. Ich nadzieje osłabły, kiedy usłyszeli o naszych ostatnich przeżyciach. Nie mogli uwierzyć, że dochodzi do napadów… Streściłam im odpowiedź księdza. Bardzo się zdziwili, że wpadłam na pomysł pójścia do księdza, strasznego antysemity, przed którym drżeli wszyscy Żydzi, i byli przekonani, że to on stoi na czele morderców.

– Właśnie dlatego poszłam do niego – powiedziałam. – Cóż miałam do stracenia?

Oczywiście nikt w mieście nie wiedział o kulisach rozmowy między mną a księdzem, nie było zresztą o czym mówić, ponieważ mało na nim polegaliśmy. Tymczasem przyszedł I., który także wierzył, że u Sz. będzie można zaznać kilka godzin spokoju. Kiedy był już także I., zaczęłam mówić o sprawie. Spieszyłam się do domu, ponieważ zastanawiałam się, co się tam dzieje, i byłam pewna, że oni także są o mnie niespokojni. Po tym wszystkim ledwo trzymałam się na nogach.

– Skoro pan mówi, panie Sz., że jest w kontakcie z prawicowym przywódcą ludności polskiej, może można coś uczynić dla ogółu Żydów? Dla miasta? Za pieniądze albo wartościowe rzeczy – zaproponowałam mu.

– Możliwe, że tak – odpowiedział mi – ponieważ największe zdenerwowanie u chrześcijan dotyczy ostatniej branki, którą Sowieci przeprowadzili w piątek przed wybuchem wojny. Mężczyznom udało się uciec w połowie drogi, ale kobiety i dzieci Sowieci zawlekli do Rosji. Mężczyźni, wróciwszy do pustych domów, pragną krwi, zemsty! Gdyby można było się z nimi skontaktować, wytłumaczyć im, że Żydzi nie są temu winni, że także Żydów wywieziono, wśród nich znalazł się także brat Sz. z rodziną. Sz. wziął na siebie zadanie prowadzenia z nimi pertraktacji.

Kiedy zamierzałam odejść, zaproponował mi, abym wysłała do nich najstarszego syna. Mimo wszystko do dzisiaj nikt ich nie niepokoił… a przy okazji syn trochę się odpręży. Chcę tu zauważyć, że Sz. bardzo lubił nasze dzieci, a szczególnie Menachema. Wyszłam stamtąd bez większej nadziei na wybawienie. Było mi ciężko na duszy z powodu tego wszystkiego, co widziałam i słyszałam.

[…] Kiedy dzieci skończyły jeść, zaczęłam namawiać Menachema, naszego starszego syna, aby poszedł na jaki czas do Sz., którego mieszkanie miało jeszcze normalny wygląd, a nastrój był lepszy niż u nas. Posłuchał mnie i poszedł. Wrócił o zmierzchu i opowiedział, że do mieszkania Sz. weszło kilku młodych chłopców i przeszukali wszystkie pokoje. Znaleźli tam kobiety, które szukały u niego ochrony. Chłopi pobili je i ostrzegli Sz., by nie wpuszczał

nikogo do siebie do domu. Pozostałym nic nie zrobili i poszli.

Tak więc i tam nastrój był taki sam. Zrozumieli, że ich znajomości są nic niewarte.

Słońce zaczęło zachodzić. Ogarnął nas strach przed nadchodzącą nocą, nie wiedziano, co może przynieść. Skoro okna są wybite, to po co zamykać drzwi? Spać poszły tylko dzieci. Dorośli siedzieli w ciemności i wyglądali przez okna. Można było przez nie zobaczyć przechodzących od czasu do czasu parami młodych chłopaków. Jak się potem dowiedzieliśmy, we wszystkich zakątkach miasta rozstawiono patrole. Także blisko nas i na moście. Celem tych patroli było niedopuszczenie do ucieczki Żydów z miasta.

W późnych godzinach nocnych dały się słyszeć straszliwe krzyki i wołanie o pomoc z różnych części miasta. Krew się w żyłach mroziła ze strachu. Tak było przez całą noc. Ledwo się to przeżyło, nastał dzień.

Rankiem dowiedzieliśmy się, że z wielu domów zabrano głowy rodzin. Bito ich aż do utraty przytomności. Wtedy oblewano ich zimną wodą. Kiedy pobitego ocucono, bijący podnosili go i pod rękę odprowadzali do domu. Kiedy żona i dzieci wybuchały płaczem, widząc, co zrobiono z ich mężem i ojcem, mordercy nakazywali im milczeć. Grozili, że jeśli będę krzyczeć, wtedy oni w taki sam sposób zatroszczą się o każdego z rodziny. Nie mając wyjścia, musieli zdusić w sobie ból, patrząc na swych ojców, zanurzonych we krwi. Tak działo się w nocy. Od rana zaczęły się nowe egzekucje, w inny sposób: mordercy prowadzili Żydów obładowanych księgami, ile się tylko dało i ile tylko umęczeni mogli unieść swoimi rękami. Zapędzano ich

do rzeki i zmuszano, aby sami wrzucili święte księgi do wody.

Następnie, kiedy księgi już leżały w wodzie, mordercy popędzili kijami Żydów, aby kładli się w wodzie, wstawali i znowu się kładli tak długo, aż męczeni zostali bez sił. Bezlitośnie przy tym bili swoje ofiary ledwo trzymające się na nogach. Ociekali wodą. Ich ubrania były przemoczone. Takich ich widzieliśmy, gdy przechodzili koło naszych okien. Zebrani, którzy przyszli się przyglądać, obrzucali ofiary przekleństwami i śmiali się szyderczo. Łatwo sobie wyobrazić, co wtedy czuliśmy. Panowało przekonanie, że wszystkich spotka ten sam los.

Tego ranka, zaraz po tej scenie przyszedł do nas ten sam chłopak, który w piątek w nocy przyprowadził do nas morderców. Zwrócił się do mnie i prosił o wybaczenie, że tak bardzo nas skrzywdził. Był pijany, dlatego to zrobił. Zrozumieliśmy, że wyższa instancja wysłała go, aby nas przeprosił… Tak jak się dzień zaczął, tak też się zakończył. Cały dzień powtarzały się te same egzekucje. Za każdym razem nowe ofiary. O zmierzchu weszło do nas dwóch młodych chłopaków, chcieli, abyśmy dali im wódki. Udało się nam wytłumaczyć im, że my nie pijemy wódki i nie mamy alkoholu. Zakończyło się spokojnie.

Mieliśmy butelkę koniaku jako lekarstwo. Kiedy wyszli, zakopaliśmy butelkę w rogu piwnicy. Nie chcieliśmy jej rozbić ani wylać.

Drugiej nocy było tak samo jak poprzedniej, oprócz dzieci nikt nie kładł się spać. Siedzieliśmy przy oknie. Na zewnątrz kłusowali bandyci. Wciąż było słychać straszne krzyki i wołania o pomoc z drugiego zakątka miasta. Kiedy siedzieliśmy w potwornym strachu,

zobaczyliśmy, jak jeden z bandytów zbliżył się do naszego okna. Skuliliśmy się w kącie przy oknie. Podszedł do okna i rozkazał:

– Idźcie spać! Nic złego się wam nie stanie!

Dalecy byliśmy od uwierzenia w to i pozostaliśmy w tym samym miejscu. Bandyta odszedł. Noc była straszna, nie lepsza od poprzedniej. Ciężko było doczekać się dnia. Noc ciągnęła się jak wieczność. Za każdym razem na nowo drżeliśmy, słysząc coraz to nowe krzyki. W końcu doczekaliśmy nadejścia poranka. Wraz z nim nadeszły straszne wiadomości o zmaltretowanych, wpółzamęczonych Żydach. Wkrótce zaczęły się te same sceny przy wodzie z Żydami i ich świętymi księgami, znajdującymi się w każdym domu, u jednego więcej, u drugiego mniej.

Przyszedł do nas Sz., prosząc, aby ktoś z naszej rodziny poszedł z nim pertraktować z mordercami. Mocno wierzył, że nic mu się nie stanie. W ogóle, co takiego może się zdarzyć – powstanie getto. W najgorszym razie wezmą do obozu. Niech już będzie prawo, nawet prawo Goebbelsa, ale prawo!

Pokazał nam, że nosi podwójną bieliznę i garnitur, gotowy jest do pójścia do obozu. Niestety niewłaściwie ocenił sytuację. Mój brat poszedł z Sz. Obiecano dać im wszystko, co sami będą chcieli. Byli także tacy, którzy mieli krowy i bydło we wsiach u chrześcijan; także je im oddali. Sz. oddał pokój, w którym zbierano rzeczy i kosztowności. Niełatwo szła zbiórka, ponieważ niebezpiecznie było przejść przez ulicę. Większość mężczyzn się ukrywała.

Ukrywano się na strychach domów, poddaszach i w piwnicach. Kto miał boczny pokój, przesuwał szafę do drzwi, aby je zamaskować. Byli i tacy, którzy robili

podwójne szczyty strychów. W ten sposób wielu uniknęło męczenia zarówno w dzień, jak i w nocy. Mordercy, kiedy weszli do domu i nie spotykali mężczyzn, nie robili gruntownych przeszukiwań.

Informacje o pertraktacjach szybko przekazywały kobiety jedna drugiej. Miało się nadzieję, że to będzie deska ratunku na sztormowym morzu. Następnego dnia kobiety zaczęły znosić do domu Sz. najdroższe sprzęty domowe, pościel, bieliznę, ubrania, sprzęty kuchenne, prożet, srebro, serwisy i inne.

Zgodnie ze wszystkimi oznakami sytuacja się nie zmieniła. Każdego dnia było to samo. Źle było przede wszystkim w nocy. Każdej nocy było kilku pobitych i wpółzamęczonych; niestety, wśród nich był także Sz. Ale nie przerwano akcji zbierania rzeczy, pomimo przekonania, że nic to nie da.

Wszyscy to zrozumieli, kiedy Sz. także już leżał ciężko pobity, ale mimo to kontynuowano akcję. Nie chciałam się wyłączać z ogółu, zgorzkniała i zrozpaczona pakowałam to, co postanowiłam oddać. Udałam się pod określony adres. Nogi się pode mną uginały. Idąc, zauważyłam, jak obserwują mnie dziesiątki oczu grupujących się band, których pełno było na rynku.

Kiedy weszłam do bramy, zobaczyłam, że u chrześcijanina, który mieszkał po drugiej stronie ogrodzenia Sz., stoją niezliczeni chłopi i chłopki na stole i deskach przyniesionych w tym celu. Zaglądali przez wysoki parkan i szpiegowali każdy ruch na podwórzu Sz.

Ciężko mi było otworzyć drzwi. Ściskało mnie w sercu. Weszłam do domu, zamiast otworzyć usta i pozdrowić, smutno skinęłam głową. Pierwsza zaczęła

mówić pani Sz. Opowiedziała mi, jak ciężko go pobito. Nie ma na ciele kawałka całego. Mordercy odbili mu płuca. Kiedy przynieśli go półżywego do mieszkania, strumień krwi płynął z jego szyi. Jeszcze teraz pluje krwią. Poprosiła mnie, abym weszła do niego do pokoju i zobaczyła, co mordercy mu zrobili. Prawdę powiedziawszy, nie chciałam tego oglądać. Po prostu nie czułam się na siłach, ale ciężko mi było jej odmówić. Zebrałam siły i dałam się prowadzić żonie człowieka, który wierzył, że mordercy go uszanują, i poszedł pertraktować z polskimi bandytami, wierząc, że w ten sposób pomoże także wszystkim Żydom z miasta.

Wychodząc z kuchni, pani Sz. otworzyła drzwi pokoju pełnego przyniesionych rzeczy. Wzięła ode mnie pakunek i zapisała. Wydało mi się to tragiczne, a zarazem komiczne. Wtedy otworzyła drzwi do drugiego pokoju, w którym leżała jej stara i chora matka. Wskazała mi na nią, że też musiała dożyć czegoś takiego… Następnie zaprowadziła mnie do pokoju swego męża. Minęłyśmy jadalnię, gdzie zebrały się ich dzieci, dzieci G. i dzieci sąsiadów w wieku od 14 do 16 lat, wszystkie jak piękne kwiaty. Rozmawiały między sobą po cichu i półsmutno. Serce mnie bolało, kiedy patrzyłam na te niewinne istoty.

Pani Sz. otworzyła drugie drzwi, a sama odeszła. Jej mąż leżał w łóżku obłożony białymi okładami z zimnej wody. Opiekował się nim sąsiad M. – O., starszy człowiek. Był on naszym wspólnikiem za czasów sowieckich. Spod kompresów wyglądała tylko twarz Sz.

Twarz była cała czarna, nie do poznania. Zwrócił na mnie swoje oczy, z których wyglądał smutek, ból

i rozpacz. Odjęło mi mowę i nie mogłam wydobyć słowa z ust. W pokoju panowała cisza. Sz. spojrzał na mnie, ja na niego, a O. smutno potrząsnął głową. Opuściłam pokój i nieszczęśliwego chorego bez słowa, jak opuszcza się osobę w żałobie, nie mając słów pocieszenia…

Chcę powiedzieć kilka słów o Sz. On sam był grodzieńskim Żydem, jego żona pochodziła z najbogatszej rodziny w mieście. Kiedy przybył do nas z miasta, miastowi syjoniści wciągnęli go do aktywnej pracy na rzecz Keren Kajemet i Keren ha-Jesod [fundusze gromadzące środki na zakup ziemi i zasiedlenie Palestyny – przyp. M.T.]. Miał wielką siłę przemawiania i przyniósł nam wielką korzyść przy powiększeniu funduszy Erec Israel [hebr. Ziemia Izraela; Palestyna jako Ziemia Obiecana – przyp. M.T.]. W ogóle był mądrym i inteligentnym człowiekiem. Wiedział, jak porwać ogół swymi trafnymi hasłami. W ostatnich latach, kiedy w Polsce wzmógł się bojkot żydowskich sklepów i ciężko było mu wyżyć ze sklepu żelaznego, jedynego w mieście, objął stanowisko w centralnym komitecie syjonistycznego Keren Kajemet. Tuż przed wojną komisja centralna wyznaczyła go, by pojechał do Ameryki jako instruktor w Keren Kajemet. Niestety było już za późno i pozostał w Polsce.

Kiedy już chciałam wyjść z mieszkania Sz., przyszły jeszcze kobiety z pakunkami dla akcji ratunkowej. Przyglądając się załamanym kobietom, pomyślałam: kto wie, co nas czeka i czy cała praca nie jest daremna? Wróciłam do domu bardzo przybita i podłamana tym, co widziałam. Prześladowania i dręczenia ciągnęły się, powtarzały dniem i nocą. Nie

było spokoju i nawet na minutę nie położyłam się spać.

[…] Taka sytuacja trwała dwa tygodnie. Jeden dzień podobny do drugiego i straszne noce. Nasza mała społeczność była złamana fizycznie i duchowo. Przyczynił się do tego także głód. Jeżeli znalazł się uczciwy chłop, który współczuł swoim znajomym Żydom i przynosił im trochę kartofli albo coś innego, był ostrożny, myśląc o przyszłości, ponieważ po prostu nie był pewien życia.

Dokładnie dwa tygodnie po wkroczeniu Niemców, właściwie jeden dzień przed ich upływem, w niedzielę 5 lipca, bandy hitlerowskie weszły bowiem 23 czerwca, pamiętam to jeszcze dzisiaj bardzo dobrze, że właśnie coś ugotowałam i chciałam podawać do stołu, kiedy przyszła do nas była stróżka i powiedziała, że z pobliskiego miasteczka Wąsosz przyjechało wiele wozów z chłopami, aby pomóc radziłowiakom zabić Żydów z miasteczka. Zamierzała zabrać nasze rzeczy z naszego mieszkania, zanim przyjdą inni. Nie skończyła jeszcze tłumaczyć, że zasłużyła na to bardziej niż inni, którzy byli nam zupełnie obcy, gdy nagle wpadła do mieszkania żona naszego buchaltera, która pochodziła z tego samego miasteczka Wąsosz. Na rękach miała niemowlę. Miała wygląd ściganego zwierzęcia… Poprosiła mnie o kawałek chleba dla dziecka. Powiedziała mi, że mordercy jej opowiadali, że całą jej rodzinę zarżnęli jak cielaki, wyliczyli przy tym imiona braci i sióstr. Teraz przyszli skończyć z nią, a potem wymordują wszystkich radziłowskich Żydów.

– Uciekajcie! Uciekajcie! – krzyczała nieludzkim głosem. Złapała kawałki chleba i jak burza wybiegła

z dzieckiem na ręku. Zaraz po niej wyszłam z domu, by zobaczyć, co słychać na dworze. Widziałam już biegnących mężczyzn, kobiety i dzieci. Ten biegł prostą drogą przez ulicę, tamten pastwiskami przez wodę. Momentalnie postanowiłam opuścić dom i szukać gdzieś azylu, na polu. Szybko ubrałam dzieci w płaszczyki, wzięłam kawałek chleba, jaki jeszcze miałam, i przeszliśmy przez małą rzeczkę koło młyna. Pobiegliśmy przez pastwiska na pola żyta. Także tam było wielu chłopów i chłopek, którzy pilnowali każdego ruchu Żydów. Przed nami było jeszcze wielu Żydów, którzy pobiegli w zboże. Słyszeliśmy krzyki chłopów, że tratuje się żyto. Widzieliśmy, jak wypędzają nieszczęsnych i nie wpuszczają w żyto.

Niedaleko była kolonia chrześcijanina, u którego ukryliśmy się za pierwszym razem. Weszliśmy do niego do domu. Tym razem nie chciał nas wpuścić, ponieważ się bał. Zaprowadził nas na swoje pole żyta i obiecał, że będzie nas strzec z dala i przekazywać informacje.

Noc była okropna. Często słyszeliśmy w nocnej ciszy krzyki męczonych i mordercze okrzyki sprawców. Wydawało się nam, że dzieje się to bardzo blisko, ponieważ słychać było także rozmowy i tłuczenie szyb. Nie słyszeliśmy, o czym rozmawiano. Krótka letnia noc ciągnęła się jak wieczność. Ledwo doczekaliśmy świtu. W szarości świtu przyszedł do nas chrześcijanin, właściciel pola, i opowiedział nam, że miastowi chrześcijanie wypędzili obcych i powiedzieli im, aby nie mieszali się w ich sprawy. Sami dadzą sobie radę ze swoimi Żydami. Powiedział, że możemy już iść do domu, ponieważ wielu Żydów powraca już do miasta. Zapytaliśmy go, skąd dochodziły krzyki,

uderzenia i wybijanie szyb. Opowiedział nam, że w pobliskiej wsi, Brodawie [Brodowie], graniczącej z jego polami, ukryła się żydowska rodzina z Łomży. Za to, że chrześcijanin ich wpuścił, bandyci wybili mu wszystkie szyby i, jak się zdaje, nie wie na pewno, zabili tę rodzinę.

Można sobie łatwo wyobrazić, co wtedy czuliśmy. Podziękowaliśmy chłopu i ruszyliśmy do domu. Kiedy wyszliśmy z pola, ujrzeliśmy wielkie zbiegowisko na polu Brodawy [Brodowa]. Postanowiliśmy nie iść od razu do domu, ale zajść do chrześcijanina, który przez wiele lat był u nas furmanem. Zawoził naszą mąkę do kupców w odległych miastach. Miał swoją kolonię niedaleko miejsca, w którym się teraz znaleźliśmy. Weszliśmy do niego do domu. Jego i dzieci nie było. Chrześcijanka przyjęła nas przyjaźnie. Wyraziła wielki smutek z powodu tego, co się dzieje. Wskazując na zbiegowisko, opowiedziała nam tę samą smutną historię. Jej mąż, Staszek, pojechał tam konno, aby zobaczyć, co tam się dzieje.

Opowiedziała nam także, że tej nocy nocował u nich brat z rodziną. Podała nam chleb i mleko. Jedzenie nie przechodziło nam przez gardło. Nawet dzieci nie mogły jeść. Długo nie czekaliśmy i na koniu przyjechał chrześcijanin. Był bardzo zdenerwowany i przeklinał morderców. Powiedział nam, że oni śmiertelnie pobili wyżej wspomnianą rodzinę P. Jedna córka była wpółżywa. Siedziała obok martwego ciała ojca, nie mówiąc ani słowa, bez rozumu. Była to 16-letnia dziewczyna. Wykopano grób, wrzucono do niego zwłoki ojca i wpółżywą córkę, która nawet nie zaprotestowała.

– Nie mogłem się przyglądać takiemu zdziczeniu – powiedział. – Psie syny! I jeszcze pogrzebać żywcem!

Zrozumieliśmy, że rozpoczął się już drugi, a właściwie ostatni akt tragedii. Jeszcze dzisiaj nie mogę zrozumieć, jak mogliśmy dojść do domu. Chrześcijanin kazał żonie dać nam coś do jedzenia, ponieważ na pewno nie mamy nic w domu. Dała nam chleba i kilka jajek. Kiedy przyszliśmy do domu, był już mój brat z rodziną. Wszyscy siedzieliśmy zatopieni w smutnych myślach. Nikt nie powiedział do drugiego ani słowa. Każdy zrozumiał to samo: kto wie, czy nie pozostało tylko kilka godzin życia…?

Po długim milczeniu mój brat zerwał się z miejsca i powiedział, że idzie do księdza, cóż ma do stracenia? Wszedł do domu. Z niecierpliwością czekaliśmy, by usłyszeć, co ksiądz mu odpowie. Ale nie pokładaliśmy wielkich nadziei w jego odpowiedzi. Jak się mówi, tonący brzytwy się chwyta. Po długim czekaniu wrócił mój brat, ale nic dobrego nie mógł opowiedzieć. Ksiądz napadł na niego z wyrzutami i pretensjami. Nie pomogły jego prośby, słowa obrony, nawet płacz. Odpowiedź brzmiała: „Nic nie może pomóc. Nic mu nie pomoże ani wszystkim Żydom”. Chociaż inaczej tego sobie nie wyobrażaliśmy, jednak odpowiedź księdza bardzo nas przybiła. Kiedy weszliśmy do mieszkania, była już pora obiadu, a nikt z nas nie miał jeszcze nic w ustach, nawet odrobiny wody. Na stole stało jeszcze wczorajsze jedzenie, którego nie zjedliśmy.

Chcę tu zauważyć, że przez cały czas, kiedy mordercy buszowali, nikt się już nas nie czepiał.

Rozpaliłam w piecu, odgrzałam jedzenie i podałam do stołu. Zaraz ktoś przyszedł powiedzieć nam, że

przyjechało gestapo, które teraz dopiero zaprowadzi porządek. Bezwiednie przemknęła mi przez głowę myśl: a może? W co także nie chciało się wierzyć. Może z ich przybyciem nie będzie gorzej?

Z drugiej strony, słysząc, co gestapo zrobiło z Żydami w Białymstoku i w innych miastach, trudno wierzyć, że z jego przybyciem sytuacja się poprawi. W każdym razie nie można oczekiwać niczego dobrego.

Wyszłam na dwór, aby zapędzić do kurnika indyczkę z małymi pisklętami, które wypuściłam po powrocie z naszej kryjówki. Zagarniając je, zauważyłam, że koło bet midraszu idzie sekretarz G. z gestapowcem. Zaglądali przez wybite okna i dziury w drzwiach bet midraszu. Polscy bandyci zdemolowali go jeszcze w pierwszych dniach razem z niszczeniem ksiąg. Wtedy wybili szyby, wyłamali drzwi i wyrwali deski z podłogi. Wyszli na ulicę, a gestapowiec zwrócił się do mnie:

– Jude?

– Tak – odpowiedziałam mu.

– Natychmiast na plac – rozkazał mi.

– Po co ? – zapytałam.

– Oczyszczać rynek! Jest zarośnięty trawą. Weź łyżkę!

Podczas gdy gestapowiec ze mną rozmawiał, G. trzymał głowę spuszczoną, ponieważ dobrze wiedział, o co chodzi. Kiedy weszłam do domu, jedzenie stało jeszcze na stole. Nikt nie wziął łyżki do ust. Powiedziałam rodzinie, że dostałam już rozkaz pójść do pracy i kto wie, czym to się skończy.

– Teraz już nie wiem, co wam powiedzieć. Bóg da, będzie dobrze.

Wyszłam z domu. Idąc, widziałam jak G. i gestapowiec wypędzali z domów sąsiadów – chrześcijan. Wszystkich młodych i starych, oprócz dzieci, pędzili do pracy. Na rynku było już kilku Żydów, którzy wyrywali trawę, którą był porośnięty rynek. Usadowiłam się blisko ogrodu miejskiego, gdzie było trochę cienia padającego z drzew, w pobliżu stały trzy taksówki z gestapowcami. Błyskawicznie rynek zapełniał się chłopami, młodymi i starymi (w większości młodymi). Ze wszystkich zakątków miasta przypędzono całe rodziny żydowskie. Chociaż gestapowcy rozkazali spędzać do pracy osoby od 14. roku życia, to polscy bandyci pędzili wszystkich bez wyjątku poza całkiem małymi dziećmi. Polacy ustawili się dookoła w szpaler, po 5–6 osób w rzędzie. Pilnowali, aby nikt z Żydów nie uciekł.

Rozkazy od gestapowców odbierał młody chłopak o bladej twarzy i czarnych, przenikliwych morderczych oczach. Nosił jasny letni płaszcz. Wyglądał znajomo, ale nie wiedziałam, jak się nazywa. Był to student w wieku 22–25 lat. Wokół ogromnego placu zgromadzili się prawie wszyscy chrześcijańscy mieszkańcy miasta. W krótkim czasie rynek zapełnił się Żydami, młodymi i starymi, oprócz małych dzieci. Najmniejsze dzieci matki trzymały na rękach. Obserwowałam wszystko, jak daleko mogłam sięgnąć wzrokiem. Kilku Żydów, którzy nie dali się prowadzić chłopakom, pobito do krwi.

Widziałam także, jak przyprowadzono pana I., jego żonę i ich 14-letniego jedynego syna. Także panią K. z jej dwoma chłopcami na rękach. Rynek był już przepełniony. Podeszło do mnie kilka przyjaciółek z małymi dziećmi na rękach i zapytało:

– Chajeczko, co będzie dalej?

– Śmierć jest pewna, nie wiadomo tylko, w jaki sposób – odpowiedziałam.

Na taksówkach gestapo znajdowała się broń maszynowa, więc sądzono, że wszyscy zostaną zabici za jej pomocą. Kiedy odpowiedziałam, że „śmierć jest pewna” – druga kobieta powiedziała „oby tak się stało”.

– O wiele lepsza śmierć niż takie życie – odezwała się trzecia.

Podczas rozmowy myślałam tylko o tym, co się dzieje z moją rodziną. O ucieczce z rynku nie było mowy! A nawet gdyby to było możliwe, przecież nie jesteśmy razem i nie mamy jak się spotkać. Gdy tak rozmyślałam, zauważyłam, że polskie podrostki prowadzą naszego najstarszego syna. Zobaczywszy go, zapomniałam o wszystkim, co nas otaczało. Później zmniejszył się napływ Żydów na rynek. Gestapo przestało wydawać zarządzenia. Wyjęli z taksówek wino i przekąski. Kiedy skończyli jeść i pić, chuliganie ruszyli z gumowymi pałkami w kierunku nieszczęsnych, których było pełno na rynku. Wśród miejscowych Żydów było wielu nieznajomych, którzy w ostatnich dniach przybiegli z pobliskich miast i miasteczek szukać spokojnego miejsca…

Rozpoczęło się znęcanie.

Jednemu chłopcu Niemcy przywiązali do szyi ciężki kamień, ważący na pewno ponad dwa pudy. Kazano mu się położyć na brzuchu, bito go pałkami i kazano chodzić z jednego miejsca w drugie. Jego twarz stała się niebieska, strach było na to patrzeć. Drugiego Żyda, który siedział obok mojego syna, Polak, starszy

już człowiek (W., zwany „Amerykaninem”, ponieważ wiele lat temu powrócił z Ameryki), tak długo bił kijem zakończonym grubą gałką, aż ten przewrócił się, a strumień krwi zaczął płynąć z szyi i uszu. Jak już wyżej napisałam, obok siedział mój syn. Byłam twardsza niż żelazo, skoro serce we mnie nie pękło… Zaraz potem gestapowiec zaczął bić gumową pałką po głowach nieszczęsnych. Podszedł także do naszego syna, złapał go za głowę, wykręcił jego twarz do siebie, przyglądał mu się przez kilka sekund i puścił go, nic mu nie robiąc.

[…] Bito i męczono starszych Żydów, wyrywano im brody, znęcano się, ile tylko zachęciły ich mordercze serca. Było widać, jak usta większości Żydów poruszają się w cichej modlitwie. Od czasu do czasu słychać było hałas jak gdyby drzew leśnych podczas burzy: Szema Izrael – odmawiali spędzani. W końcu nadszedł kres męczarni, gestapowcy wsiedli do swych taksówek i odjechali.

Nagle słyszę, jak ktoś woła mnie po imieniu. Rozpoznałam głos męża. Wstałam i zauważyłam ruch jego ręki z drugiej strony rynku. Ruszyłam tam, gdzie stał mąż. Nasz syn także słyszał to i widział. Myślał, że teraz zabierają się za nas, postanowił więc podzielić los rodziców. Także nasza starsza córka widziała to ze swego kąta, gdzie stała. Pomyślała to samo, abyśmy zginęli wszyscy razem… Kiedy podeszłam do męża, zobaczyłam, że obok niego stoi chłop, już niemłody. Kazał mu się zbierać i powiedział, że wszyscy mamy iść do domu. Zapytałam po polsku męża, kim jest ten człowiek. Odpowiedział, że to stary dobry przyjaciel. W trakcie naszej rozmowy nadeszła nasza szwagierka. Bardzo go prosiliśmy, aby także jej pozwolił iść razem

z nami. Kategorycznie odmówił, tłumacząc, że ma rozkaz uwolnić tylko naszą rodzinę. Zauważyliśmy, jak ten sam amerykański hallerczyk (o którym już wspomniałam) prowadził naszą bratanicę. Powiedział, że jest wolna, ponieważ nie była komunistką. Nie chciano za to uwolnić jej matki, która stała z boku. Poszliśmy w stronę domu, nie wiedząc, co nas dalej czeka, nie mogliśmy też wiedzieć, co stanie się z resztą ludności. Chcieliśmy wierzyć, że stopniowo uwolnią wszystkich. Kiedy doszliśmy do drugiego końca rynku i chcieliśmy pójść w kierunku naszej ulicy, zostaliśmy zatrzymani przez żywą ścianę ludzi, którzy zastawili przejście do naszej ulicy. Stało tam kilkudziesięciu chrześcijan, którzy nie chcieli nas przepuścić. Zaraz jednak usłyszeliśmy, jak ktoś [krzyknął] zza naszych pleców: „Puśćcie ich! Puśćcie ich! Zwolniono ich!”.

Nie cieszyliśmy się naszym uwolnieniem. Gdy zbliżaliśmy się do naszego mieszkania, zobaczyliśmy wiele błąkających się dzieci, pomiędzy nimi także dwoje naszych. Kiedy weszliśmy do domu, usłyszeliśmy, jak z drugiej strony ulicy krzyczy do nas przez okno sąsiad chrześcijanin:

– Uciekajcie! Uciekajcie! Ukryjcie się! W domu wasze życie jest niepewne. Jedna banda was zwolniła, a druga może ponownie przyjść po was!

Nagle moja bratanica stwierdziła, że źle uczyniła i nie powinna była iść bez matki. Wysłała swego ośmioletniego braciszka, mając nadzieję, że przez wzgląd na dziecko zwolnią ją. Nie byliśmy w stanie ocenić, czy dobrze robi. Prosiła także naszego małego synka, rok starszego od jej brata, aby także poszedł. Dzieci wyszły z domu.

Poderwałam się z miejsca:

– On idzie do swojej matki, ale twoi rodzice są tutaj. Nie mogę zabronić mu iść, ale ty wracaj natychmiast!

Dziecko posłuchało mnie od razu i zawróciło, a dziecko brata poszło sprowadzić swoją matkę… Na zewnątrz błąkały się większe i mniejsze dzieci. Nasze dzieci nosiły na rękach płaczące niemowlęta i nie mogły dać sobie rady z nimi. Wzięłam do domu dziewczynkę od sąsiada, która nosiła niemowlę na rękach, prosiła mnie, abym zlitowała się i przyjęła ich do siebie. Ich matka wyszła i zostawiła w domu dziewczynkę z dzieckiem. Chłopi weszli do nich do mieszkania, wyrzucili ją nago wraz z dzieckiem na ulicę. Zawinęłam niemowlę w to, co było pod ręką. Wtem przyszło z ulicy dziecko i powiedziało, że mój brat prosi, abym otworzyła tylne oko, ponieważ boi się wejść do domu drzwiami. Otworzyliśmy okno, ale nikogo nie było, zawołaliśmy – nikt się nie odezwał.

Nasza starsza córka wyszła na zewnątrz szukać mojego brata. Jak tylko wyszła na dwór, z rynku przybiegło do niej kilku jej szkolnych przyjaciół i krzyczeli z płaczem:

– Wiesz, Szejna, co zrobią z Żydami? Wszystkich spalą żywcem w stodole!

Córka weszła do domu z wielkim płaczem, ale nie mogliśmy w to uwierzyć… Nie mieliśmy dokąd pójść. Sąsiad z drugiej strony drogi nas ostrzegał, że powinniśmy uciekać. Nie chcieliśmy nigdzie pójść. Zamknęliśmy drzwi do domu i zatarasowaliśmy podporami. Zamknęliśmy także wszystkie drzwi. Wiedzieliśmy, że to słabe zabezpieczenie, ale czy mogliśmy zrobić coś innego? Nie zdążyliśmy jeszcze wszystkiego pozamykać, kiedy rozległo się pukanie do

drzwi. Zrozumiałe, że nie spieszyliśmy się z ich otworzeniem. Pukanie było coraz mocniejsze i ponaglające. Widzieliśmy, że odpadają zawiasy. Otworzyliśmy. Do mieszkania wdarło się kilku chłopaków, których przywódcą był syn naszej praczki, piorącej u nas 22 lata. Nie mogła nic do nas mieć. Zawsze dobrze ją traktowałam. Oprócz wynagrodzenia stale dawałam im prezenty i produkty żywnościowe, zawsze była mi wdzięczna. Prosiliśmy ich i mówiliśmy, że na ulicy zostaliśmy zwolnieni.

– Kto was uwolnił?

Powiedzieliśmy im, kto.

– Na razie chodźcie. Mamy rozkaz was przyprowadzić, a tam, jeśli jest tak, jak mówicie, ci sami was uwolnią.

Próbowaliśmy jeszcze apelować do ich serc i sumień. Niektórzy byli wściekli jak psy, ale syn praczki nie pozwolił nas bić i rozkazał, abyśmy poszli. Zabrałam dzieci i nie zwracałam uwagi na to, co krzyczeli, i nie spieszyłam się. Kiedy wyszliśmy z domu, akurat nadeszła praczka, która prowadziła z pastwiska konie. Zwróciłam się do niej i opowiedziałam, że zwolniono nas z ulicy, a teraz jej syn zmusza nas do pójścia tam. Zaczęła prosić swojego syna, aby nas puścił. On jednak odmówił, tłumacząc, że ma taki rozkaz. Kiedy już zamknęłam drzwi, przypomniałam sobie o kawałku chleba, który dała mi rano chrześcijanka. Pomyślałam, że może jeszcze nas nie zabiją, nie można więc wpaść w głód. Powiedziałam, że czegoś zapomniałam, ale bandyci nie pozwolili mi wrócić do domu. Syn praczki powiedział, aby mi pozwolili wejść do domu. Kiedy po raz drugi zamknęłam drzwi, mordercy chcieli mi zabrać klucze.

– Już nie potrzebujesz kluczy! – powiedzieli.

Także tym razem syn praczki ich powstrzymał. Zauważyłam, jak mrugnął do nich, dając do zrozumienia, że klucze nie są wcale ważne.

Nie wiedzieliśmy, dokąd nas prowadzą i po co, ale byłam czujna i w pełni świadoma. Ponownie obserwowałam okolicę, jak daleko mogłam. Rozglądałam się na wszystkie strony.

Po ulicy krążyły płaczące dzieci (teraz płakały już także większe, nie tylko małe, które nosiły na rękach). Dzieci szły do swoich rodziców.

Nasza sąsiadka, starsza kobieta, biegała wokół jak szalona. Twarz jej była zgorzkniała, w oczach palił się dziki ogień. Krzyczała:

– Gdzie są moje dzieci?

Od dalszego sąsiada, z sutereny, dochodziły straszne krzyki. Dom był otoczony przez bandę chłopaków. Żyd nie chciał się poddać i wraz z rodziną nie pozwalał wyprowadzić się z domu. Mordercy ich pobili. Wszystko zostawiliśmy za sobą i poszliśmy prowadzeni przez chłopaków tam, gdzie chcieli. Całą drogę rozmawiałam z synem praczki i apelowałam do jego psiego sumienia. Reszta mocno protestowała, że idziemy tak wolno. Twierdziłam, że nie mogę iść szybciej. Uległ także i tym razem. Na drodze spotkaliśmy polskiego nauczyciela, który był również nauczycielem naszych dzieci. Zatrzymaliśmy się i krótko mu opowiedzieliśmy, że zwolniono nas z rynku, ale potem znowu wzięto nas z domu. Zwrócił się do nich uprzejmym tonem:

– Puśćcie ich, chłopcy!

Tak jak to zostało powiedziane, taki był też efekt… Bandyci prowadzili nas dalej. Nagle usłyszeliśmy

strzelaninę. Syn praczki wskazał ręką do góry. Podnieśliśmy głowy i zobaczyliśmy w oddali biały dym. Było to około 60–70 metrów od nas.

– Wasze szczęście – powiedział. – Idźcie do domu.

Kiedy zobaczyliśmy dym i usłyszeliśmy strzelaninę, wiedzieliśmy już, co się tam zdarzyło. Teraz już uwierzyliśmy. Córka mojego brata i nasza starsza córka wybuchły płaczem. Wtedy odezwał się przywódca bandy:

– Nie płaczcie. Nie wiadomo jeszcze, co będzie z wami jutro.

Błagałam je, aby przestały płakać, ponieważ teraz nie ma czasu na łzy. Łzy są wyrazem bólu i smutku. Zwierzęta jednak tego nie znają. Wkrótce znalazła się sąsiadka, która opowiadała, że dziecko brata wisiało u szwagierki na szyi. Dziecko płakało i krzyczało… To spowodowało jeszcze większy płacz u naszych dzieci. Prosiłam je, aby przestały płakać, ponieważ musimy zebrać siły i skupić myśli. Można było przecież stracić zmysły. Widząc załamanie wszystkich, stałam się twarda i zimna jak żelazo. O łzach nie było mowy. Nabrałam więcej odwagi. Przyspieszyłam kroku.

Kiedy dotarliśmy do naszego mieszkania, polscy sąsiedzi już wynosili od nas pakunki. Na ulicy było cicho, już nie było słychać płaczu błąkających się dzieci i krzyków żydowskich sąsiadów. Rabusie, widząc nas, byli zaskoczeni i w pierwszej chwili zatrzymali się. Powiedzieliśmy im, że mogą brać, my do domu nie wrócimy. Postanowiliśmy bowiem tymczasowo uciec z miasta. Zostać spaleni zawsze zdążymy… Gorzej nigdzie nam już nie będzie. Nie mamy nic do stracenia…

Poszliśmy ulicą koło młyna przez mosty i kontynuowaliśmy wędrówkę prostymi drogami, nie starając się zacierać śladów. Wyszliśmy poza miasto i doszliśmy do tego samego miejsca, gdzie dwa tygodnie wcześniej Polacy z wielką paradą witali armię hitlerowską. Tam, na tym samym miejscu, stałam wtedy wśród chłopów. Było to przy wjeździe na drogę do Dębówki. Kiedy nadeszliśmy, stała tam duża grupa chrześcijanek, nie widać było między nimi żadnego mężczyzny. Gdy nas dostrzegły, wybuchły płaczem i załamywały ręce. Była to biedna okolica, żyjąca głównie z Żydów. Nie odezwaliśmy się do nich ani one do nas. Poszliśmy dalej szosą.

Przy polach żyta stał chrześcijanin z tej samej okolicy. Pilnował swojej krowy, pasącej się w rowie między jezdnią a żytem. Każdego lata kopał dla nas torf (z zawodu był rolnikiem). Ze swoimi ludźmi kopał, osuszał i przygotowywał torf do ogrzewania motoru. Kiedy nas dostrzegł, zawołał ze strachem:

– W żyto! W żyto! Ukryjcie się!

Zrozumieliśmy, że ma rację. Nie minęło pięć minut i nadjechał jeździec na białym koniu. Zbliżył się do chrześcijanina pilnującego krowy i zapytał, czy nas nie widział. Chrześcijanin odpowiedział mu, że nikogo nie widział. Wszystko słyszeliśmy i widzieliśmy, ponieważ byliśmy niedaleko, może pięć metrów od drogi. Jeździec pognał szukać nas dalej. Naprzeciw niego nadszedł z pola chłop z koniem i wozem. Jeździec zatrzymał się i zapytał także jego. Powiedział mu, że wszystkich Żydów zapędzono do stodoły (S.) i spalono. Pokazał przy tym na ogień, który jeszcze było widać. Tylko jedna rodzina uciekła, młynarza Izraela.

– Nie spotkałeś ich?

Chłop odparł, że nikogo nie widział.

– Jeśli tak, nie mam po co jechać dalej – powiedział i zawrócił do miasta.

Obserwowaliśmy to z żyta. Widząc, że nie ma nikogo, polami oddaliliśmy się od miasta. Jeszcze dzisiaj trudno mi to wszystko opisać, nasze uczucia, drogę i mękę. Byliśmy na granicy obłędu. Trzymaliśmy się tylko po to, aby nie stracić głowy.

Doszliśmy blisko miejsca, gdzie szosa dzieliła się na dwie drogi: jedna do Łomży, a druga do wsi Konopki, gdzie mieszkał bandyta, który nas uwolnił z ulicy. W ogóle ta wieś była najgorsza dla Żydów z naszego miasta. Mieszkańcy tej wsi stawali z kijami przy żydowskich sklepach i nie pozwalali chrześcijanom kupować u Żydów. Kiedy znalazł się ktoś, kto wchodził tylnymi drzwiami i kupował u Żyda, a ci dowiedzieli się o tym, oblewali naftą kupione produkty. Staliśmy na wzniesieniu i mogliśmy zobaczyć całą okolicę, jak również płonącą stodołę. Dochodziła do nas potworna woń spalonych włosów, ubrań i ciał.

[…] Izrael postanowił pójść do sołtysa wsi Kubry, by uzyskać jego pomoc[21]. Mieszkał tam człowiek, który zwolnił ich z ulicy – Marian K.

Powiedziałam wtedy do męża:

– Powinieneś wiedzieć, że Polacy dla nas dzisiaj są wrogiem numer jeden, z którym za wszelką ceną musimy zawrzeć pokój. Kiedy go z nim zawrzemy, może uda nam się ukryć wśród nich przed wrogiem numer dwa.

Chciał już iść, kiedy znowu przyszło mi coś do głowy:

– Znam ich nienawiść do nas oraz ich fanatyzm. Możliwe, że zaproponują ci ochrzczenie się. Nie

odrzucaj! Obiecaj im to w tej strasznej godzinie. Może być tak, że inne miasta będą mieć więcej szczęścia i nic takiego się nie stanie, następnie uciekniemy.

Zaczęło już zmierzchać. Po stronie, gdzie w stodole spłonęli Żydzi, niebo przybrało czerwony kolor. Wiatr gnał dym przez pola. Dochodziła do nas potworna woń. Okropność nie do opisania. Czułam się tak, jak po wielkim trzęsieniu ziemi, jak po wybuchu wulkanu. Wszystko wokół jest zalane płonącą lawą, tylko my pozostaliśmy i paznokciami trzymaliśmy się skały.

[…] Ukryliśmy się we wsi, obiecawszy, że się przechrzcimy. Sołtys powiedział nam, że to jedyny ratunek. U sołtysa zebrało się pół wsi, po tym jak się rozeszło, że F. chcą się ochrzcić. Chłopi powiedzieli nam, że radziłowscy bandyci biegają po wsiach i szukają Żydów. Niektórzy byli nawet w tej wsi, ale zostali przepędzeni. Zaproponowali nam, abyśmy ukryli się na polu – bali się napadu na wieś. […] Sołtys powiedział nam, że wielu Żydów ukryło się w różnych dziurach. Szuka się ich i zabiera zewsząd. Prowadzi się ich do stodoły. Część oblewa naftą i pali się. Większość się rozstrzeliwuje. Ciała wrzuca się do dołu lodowni, znajdującej się przy stodole, należącej do tego samego właściciela.

Opowiedział nam także, że pojechał swym wozem do miasta, aby coś uratować z naszego domu. Radziłowiacy nie pozwolili mu nawet wjechać do miasta. Wpuszczali tylko pieszych, bez furmanek. W jego słowach nie można jednak było zauważyć najmniejszego ludzkiego żalu. Chociaż, jak się go później lepiej poznało, okazało się, że był dobrym człowiekiem. Jednak nienawiść do Żydów była tak

wielka, że to, co się stało i co nadal się dzieje, było nieuniknione… to rzecz zrozumiała.

Musieliśmy się starać, aby nie stracić zmysłów, słysząc, z jaką obojętnością opowiada on o rzeczach, od których krew zastygała w żyłach.

Gestapo dało Polakom wolną rękę przez trzy dni. W ciągu tych trzech dni przeszukali i przewrócili każdy kąt w naszym mieście, gdzie według nich mogli ukrywać się Żydzi. Kogo znaleźli, tego zabijali. Wszystkie dzieci i niemowlęta wrzucili do płonącej stodoły.

Starszym dzieciom, trzymając je za nóżki, rozbijali główki o kamienną ścianę i ciała wrzucali do dołu. Stali przy tym porządkowi, wśród nich felczer M., który pilnował strony medyczno-higienicznej: każdą warstwę ciał należy zasypać gaszonym wapnem, aby ustrzec się epidemii. Wszystko zostało dokładnie zorganizowane.

Sz. i jego siedmioletniego syna zastrzelił w łóżku jego furman. Następnie oba ciała pogrzebał w dole ze skrzyniami na śmieci koło jego mieszkania. Starą, chorą matkę mordercy wyciągnęli z łóżka, położyli na otwartym wozie i mocno popędzili konia. W szybkim biegu spadła pod koła, o które zaczepiła się jej koszula nocna, i wlokła się po kamiennym bruku. Kiedy przyniesiono ją z masakry, zostały z niej zakrwawione nogi.

To nie był jedyny przypadek. Niedaleko naszego mieszkania ukrywało się w piwnicy dwóch starców. Trzeciego dnia pogromu znaleźli ich tam mordercy i zabili. Inny przypadek zdarzył się z dwoma starcami, którzy mieszkali na naszej ulicy. Jeden leżał już w łóżku. Od wczesnej młodości był w Ameryce, tam

spędził życie, ale nie chciał umierać w obcej Ameryce i wrócił do swego kraju urodzenia – Polski. Także jego nie oszczędzono i zabito na łóżku. W taki sam sposób zabito tego drugiego starca. Były przypadki, kiedy chrześcijańscy sąsiedzi ukrywali Żydów, ale potem wydawali ich mordercom albo sami zabijali.

Podobny koniec spotkał Motesa K. ze Szczuczyna, o którym już mówiłam.

Trzeciego dnia, dokładnie o tej samej porze, o której zaczęła się zagłada trzy dni wcześniej, gestapo przyjechało do stodoły i do dołu z na wpół zasypanymi zabitymi i powiedzieli: „dość", pozwolono sobie na zbyt wiele. W obecności gestapo cienka warstwa ziemi, którą byli przysypani zabici, zaczęła się rozstępować i poruszać. Spomiędzy martwych wypełzł ośmioletni chłopczyk. Dziecko nie rozumiało, co się do niego mówi. Gestapowcy nie pozwolili go zabić. Pozostali także ci, których przyprowadzono z cmentarza. Niemcy kategorycznie zabronili dalej zabijać. Dziecko pozostało w szoku do czasu likwidacji resztek Żydów w naszym mieście. Wtedy zakończyli okropne cierpienia nieszczęsnego dziecka. Gdy w mieście skończyły się akty mordów, powrócił na wieś morderca, który uwolnił nas na ulicy.

Jak później zrozumieliśmy, wypełnił misję wsi. Dowiedział się, gdzie się znajdujemy, i natychmiast przyszedł do nas w zarośla. Od razu po nim przyszli brat i żona sołtysa, za nimi chory sołtys wsparty na kiju.

Mogła być godzina trzecia po południu. Zrozumieliśmy, że coś nie jest w porządku… Strasznie było oglądać twarz mordercy. W jego dzikich, strasznych oczach odbijały się jego potworne czyny

z trzech ostatnich dni. Każdy błysk w jego diabelskich oczach mroził nam krew w żyłach. Wszyscy usiedli wokół nas. Próbowali wciągnąć mordercę w rozmowę. Widać było, że chcą zająć jego myśli czymś innym i zmienić jego nastrój. Rozmawiano o tym, kto z Żydów pozostał przy życiu itd. Zaczął wtedy wyliczać, kto jeszcze żyje. Wtedy ktoś się odezwał, że słyszał, że ojciec mojej bratanicy, tj. mój brat, także żyje. Odpowiedział, że nie, takim tonem, że wszyscy zamarliśmy.

Staraliśmy się, aby nie zauważyli, co się w nas dzieje. Zobaczył strach w pięknych oczach mojej bratanicy. Zwróciła się do mnie cicho, że pewnie on ją zabije. Widzi to w jego morderczym spojrzeniu.

– Spójrz, jak on na mnie patrzy!

– Bądź spokojna, samej ciebie nie zabije. Jeśli już, to nas wszystkich.

Opowiadał o strasznych rzeczach. Na pytania chłopów odpowiadał niechętnie. Naraz zwrócił się do nas:

– Co tutaj siedzicie? Przyjdźcie do wsi. Nikt wam nic nie zrobi. Zabijanie się skończyło. Nie wolno już więcej zabijać Żydów.

Chłopi postanowili więc, że pójdziemy do wsi. Sołtys wziął nas do siebie do stodoły. Kiedy morderca poszedł, opowiedzieli nam, po co przyszli wszyscy, nawet chory sołtys. Kiedy po trzech dniach morderca przyszedł z miasta do wsi, sam im opowiadał, że własnymi rękami zabił trzydziestu Żydów. Od nich usłyszał, że jest tu z nami także nasza bratanica. Rzucił się i wrzasnął: Nie! Nie pozwolicie jej żyć!

W domu sołtysa podniósł się wielki krzyk. Kobiety zaczęły płakać, że w żadnym przypadku nie pozwolą

zabijać. Sołtys z bratem zabrali mu nóż z ręki. Nie wypuścili go z domu, dopóki nie obiecał, że ich posłucha. Kiedy powiedział, że idzie do naszego krzaka, przestraszyli się i poszli za nim, ponieważ mu nie wierzyli.

Nasze położenie było okropne. Byliśmy załamani, wyczerpani, bezradni, bez wyjścia. Samodzielnie nic nie mogliśmy zrobić. Wierzyliśmy, że Żydzi z pobliskich miast mieli więcej szczęścia… Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy u nas skończył się pogrom, od strony Jedwabnego (14 km od nas) oświetlił ogień płonącej stodoły, do której zapędzono tamtejszych Żydów… Ich stodoła była drewniana, ich męka i agonia nie trwały długo…

Dowiedzieliśmy się o męczeniu i zagładzie innych miast, gdzie znajdowały się duże gminy żydowskie, jak Grajewo, Szczuczyn, Kolno, Stawiski i Łomża. Dla pozostałych przy życiu w Łomży mordercy zrobili getto, tak samo w Szczuczynie i w Grajewie. Mordowano wszędzie, nawet w zapadłych kątach, gdzie się jeszcze znajdował jakiś Żyd.

[…] Widzieliśmy, jak znosi się z miasta łupy z żydowskich domów, wśród nich poznaliśmy nasze rzeczy. Ale, broń Boże, nie powiedzieliśmy słowa. Chłopka mi opowiadała, że radziłowiacy po prostu oszaleli. Mają tak wiele po Żydach, a nie pozwalają wieśniakom nic zabrać. Gonią i nie dopuszczają, ponieważ przy zabijaniu Żydów wieśniaków nie było, dopiero teraz przychodzą brać!

– Słyszysz? – zapytała mnie. – Dlatego, że to oni zabili Żydów, wszystko im się należy.

Ja zrozumiałam jej słowa inaczej: my nie zabiliśmy Żydów, więc nam się wszystko należy. Powinniśmy

zabrać wszystko, co pozostało po Żydach.

Ze wsi chodzono obejrzeć spalone, półzasypane zwłoki. Potem każdy miał coś do opowiedzenia. Opowiadali nam, że wielu ze spalonych rozpoznali, ponieważ byli tylko zaduszeni. U innych były spalone tylko włosy na głowie. Małe dzieci były w ogóle nienaruszone, ponieważ matki zasłoniły je swoimi ciałami.

Opowiadali, że kiedy trzeciego dnia pogromu przyszli rabować do domu rzezaka, znaleźli w szafie jego żonę z dwojgiem dzieci, 14-letnim chłopcem i 17-letnią dziewczyną. Zaczęli biec w kierunku klasztoru, ale dogoniono ich i schwytano. Dzieci trzymały matkę za ręce. Rzezakowa prosiła, aby ją puścili, chce pójść do księdza, by wziął ich pod skrzydła religii chrześcijańskiej.

– Nasz Bóg nas opuścił – powiedziała. – Mój mąż nie był komunistą. Był religijnym człowiekiem…

[…] To samo opowiedziano nam o moim bracie. Chrześcijanin, murarz, który wiele lat u nas pracował i zarobił dużo pieniędzy, był przy tym, jak zabito mojego brata, i widział, kto to zrobił:

– Gdybym powiedział tylko jedno słowo, aby go nie zabijano, żyłby. Ale pomyślałem, że całą jego rodzinę już zabito, to na co mu życie? Lepsza śmierć niż takie życie!

Ten sam opowiedział mi, jak się wzbogacił. Nie musi już więcej pracować ani jego dzieci. Sami nie znają swego bogactwa, tyle mają pieniędzy, całe pęki! Wyjął przy tym zwitek banknotów:

– Uwierz mi, że nie wiem, ile tutaj mam. I po co mam je liczyć?

[…] Generalnie rozmowa między nimi była ciągle taka sama, kto ile zrabował i jacy bogaci Żydzi byli w miasteczku. U Sz. przecież znaleziono pokój cały drogich rzeczy. Przyniesiono stamtąd całe skrzynie srebrnych sztabek i jeszcze inne rzeczy, które spodobały się księdzu i jego gospodyni. Najwięcej ktoś zrabował u nas w domu.

Znaleziono zakopaną w piwnicy szafę z drogimi trunkami. Nie wiedzą nawet, co to było, ale lepsze niż wódka. Wszyscy się upili.

Poniżej znalazł się dopisek tłumaczki, streszczający dalszy ciąg pamiętnika Chai F.:

W listopadzie 1942 r. Niemcy likwidują getto w Szczuczynie, sołtys dostał rozkaz, żeby dostarczyć także rodzinę F. Chcieli ich wydać, dzięki kilku osobom udało im się uciec i ukryć w drugiej wsi, dopóki nie zakończono akcji likwidacji szczuczyńskich Żydów. Odtąd członkowie rodziny zaczynają swoje życie pod ziemią. Czytywali polskie podziemne wezwania.

Ich sytuacja pogarsza się, kiedy ludność cywilna opuściła wieś z powodu zbliżającego się frontu, i zostali sami z Niemcami. Po klęsce Niemców polskie bandy podziemne wzięły się za mordowanie tej resztki Żydów, która pozostała. W styczniu 1946 r. wyjeżdża do Izraela. Kończy wspomnienia na wyjściu z domu na wojnę najmłodszego syna, który zginął w wojnie wyzwoleńczej.

Trzeba zwrócić uwagę, że w czasie pierwszych dwóch tygodni po wkroczeniu do Radziłowa Niemców do ataków na żydowskich mieszkańców miasteczka dochodziło prawie

wyłącznie nocami. Sprawcy pragnęli zatem w pewien sposób ukryć swoje czyny. W Radziłowie powstała przedziwna dychotomia dnia i nocy. Za dnia sąsiedzi – Polacy i Żydzi – spotykali się na ulicach, nawet rozmawiali ze sobą, wszystko jak na warunki wojenne funkcjonowało pozornie normalnie. Za to nocami ci sami ludzie zamieniali się w bestie. Przed wieczorem mogłeś rozmawiać z Polakiem o zbliżających się żniwach albo o cieleniu się twojej krowy, a po zmroku ten sam Polak z grupą mu podobnych napadał na twój dom, katował ciebie i twoją rodzinę. Chaja F. we wspomnieniach opowiada, jak po takim nocnym ataku na jej dom – ataku, w czasie którego tylko cudem nikt z jej bliskich nie został zamordowany – poszła do polskiego chłopa, o którego synach wiedziała, że w tej napaści wzięli udział, i została przyjęta z kurtuazją, uprzejmie, a nawet zaoferowano jej pomoc. Z podobną reakcją spotkała się w trakcie wizyty u felczera M., którego syn był przecież prowodyrem mordów.

Mordercze instynkty radziłowiaków dawały o sobie znać tylko pod osłoną nocy, ponieważ mechanizm narastającej przemocy na ogół wyklucza natychmiastowe przejście do jej najwyższej formy – zbrodni – a raczej ma charakter stopniowalny. W społecznościach ludzkich przemoc wobec współbraci przeważnie wzbiera stopniowo, krok po kroku. Człowiek ma bowiem wpajane w procesie wychowania pewne fundamentalne zasady, zwane wzorcami moralnymi, będące dla umysłu barierami, które mają powstrzymywać przed mordowaniem czy biciem współbliźnich.

Te bariery są zazwyczaj bardzo trwałe, na ogół wzmacniane przekonaniami religijnymi, i były w takiej formie również obecne w umysłach radziłowskich morderców. Trzeba było lat pracy propagandowej, jaką wykonali ideolodzy polskiego antysemityzmu, a następnie

trzeba było tych dwóch tygodni nocnej przemocy w Radziłowie, by wszystkie te moralne bariery postawione w umysłach młodych radziłowskich chłopaków pękły i dzika żądza mordu rozlała się po miasteczku niepohamowanym strumieniem. Ale to świadczy o czymś jeszcze. Ataki i zabójstwa dokonywane były pod osłoną ciemności, ponieważ ich sprawcy wciąż jeszcze owe bariery moralne, przynajmniej w pewnym stopniu, posiadali. One dopiero były tamtymi nocami w ostateczny sposób niszczone. Owo niszczenie dokonywało się w ciemności, bo sprawcy wciąż jeszcze odczuwali wstyd z powodu tego, co czynili. Ten okres dla późniejszej zbrodni, do której doszło w Radziłowie, był kluczowy. Był taki, ponieważ w tym czasie można było jeszcze wszystko zatrzymać. Nie dopuścić do najgorszego. Gdyby znalazł się człowiek o odpowiednim autorytecie wśród Polaków, który jasno i zdecydowanie wystąpiłby przeciwko makabrycznym nocnym wydarzeniom, przemoc zostałaby prawdopodobnie zatrzymana. Takiego człowieka jednak zabrakło.

Miejscowy autorytet, proboszcz ks. Aleksander Dołęgowski, milczał i nigdy nie wypowiedział słów potępienia morderców, co więcej, w swoich kazaniach siał nienawiść wobec Żydów. Rozpalał nastroje pogromowe. Ostatnia szansa na powstrzymanie bezpośredniej przemocy została tym samym zaprzepaszczona.

Mord zapoczątkowało przybycie do Radziłowa posiłków z pobliskiego Wąsosza oraz Szczuczyna – członków polskiej milicji powołanej w tych miastach przez struktury polskiego podziemia antykomunistycznego. Po dokonaniu pogromu w Wąsoszu i po pierwszych pogromach w Szczuczynie grupy Polaków przyjechały dokonać pacyfikacji Żydów w Radziłowie. O obecności tam 7 lipca 1941 r. nieznanych mężczyzn ze Szczuczyna i Wąsosza wspominało wielu

polskich świadków wydarzeń. Potwierdzili to również Józef E. i Antoni O., który jako mały chłopiec był tamtego dnia na rynku w Radziłowie. Z relacji Antoniego O., przywołującej wspomnienia jego matki, wyłania się następujący przebieg zdarzeń:

ANTONI O.[22]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

Jak wybuchła wojna, miałem roczek. O zdarzeniach, które rozegrały się w mojej rodzinnej miejscowości w Radziłowie w dniach 7 i 8 lipca 1941 r., wiem jedynie z opowiadań mojej nieżyjącej matki i kuzynki. Informacje też uzyskiwałem od różnych ludzi, którzy do nas przychodzili. Ludzie nie chcieli na ten temat rozmawiać, dzisiaj również nie chcą. Mama na temat tych wydarzeń nie chciała z nami rozmawiać, zaraz płakała. Mogę podać na temat przebiegu wydarzeń z lipca 1941 r. w Radziłowie to, co usłyszałem od mamy.

W dniu 7 lipca 1941 r. w Radziłowie pod szkołą przy rynku miał być wiec. Nie wiem, co to był za wiec, zwołał go przewodniczący rady gminy, nazywał się G. […], nie wiem, czy brał on udział w mordowaniu Żydów. Nie wiem, czy ten wiec odbył się.

W tym czasie w Radziłowie nie było ani Sowietów, ani milicji niemieckiej czy Ukraińców. Rano 8 lipca 1941 r., jak opowiadała mi mama – byliśmy na mszy świętej w kościele. Siostra była malutka i została w domu razem z kuzynką Helą K. Ojciec był na wojnie. Jan S. był wówczas ministrantem i służył do tej mszy. Mama mi mówiła, że na tej mszy byli obecni jacyś obcy mężczyźni, mama tego nie precyzowała. Po

zakończeniu mszy ci właśnie obcy mężczyźni wraz z proboszczem – Aleksandrem Dołęgowskim, utworzyli procesję. Proboszcz szedł z krzyżem, były też flagi kościelne i ta procesja poszła na rynek. Na rynku było bardzo dużo ludzi, mieszkańców Radziłowa i sąsiednich miejscowości. Po prostu pozganiani zostali na rynek. Wiem, że mój wuj ze strony matki Władysław D. (w 1947 r. popełnił samobójstwo) – przykro mi to mówić – ale on był jednym z prowodyrów tej akcji zganiania ludności, mama mówiła, że jeździł na koniu i agitował ludzi, aby przybyli na rynek. Jednym z agitatorów był też brat mojego majstra, u którego później uczyłem się zawodu kowalstwa – Mieczysław M. (on mieszkał przy rynku). Ja wraz z matką musieliśmy też iść z kościoła na rynek. Zgromadzeni Polacy wykrzykiwali. Mama poszła do domu do młodszej siostry, a Hela K., kuzynka, miała 15 lat i z nią poszedłem na rynek. Na rynku Żydzi – mężczyźni, dzieci, kobiety, starcy, pielili kamienie brukowe na rynku z trawy. To pielenie miało na celu poniżenie godności Żydów. Słyszałem, że jak Żydów wypędzano z domów, nic im nie wolno było ze sobą zabrać, jedynie małą łyżeczkę. Ludność miała kije i wrogo bardzo wykrzykiwali w stosunku do Żydów. Pamiętam, że ktoś mi też mówił, że były takie zdarzenia – że mężczyźni, „bandyci czy partyzanci” Polacy, chodzili po ulicach i wybijali szyby w sklepach żydowskich, bili też z nimi Polaków, którzy kupowali w żydowskich sklepach.

Ksiądz Dołęgowski też z ambony nawoływał do nienawiści przeciwko Żydom. Gdy proboszcz z orszakiem doszedł do rynku, od Heli dowiedziałem [się], że Żydów ustawiono wówczas w czwórki, na

początku tej kolumny ustawiono kobiety i dzieci, następnie mężczyzn… Na początku szedł proboszcz Dołęgowski z krzyżem. Był też Niemiec z aparatem fotograficznym, bo robił zdjęcia. Innych Niemców nie było, przyjechali później, ludność witała ich chlebem i solą. Kolumnę prowadził ksiądz – nie wiem, kto pilnował Żydów w kolumnie. Ksiądz prowadził ich ulicą Piękną do stodoły mieszczącej się na końcu ul. Pięknej. To była stodoła mojej mamy najstarszej siostry, Stanisławy Ś. Jej mąż był na wojnie, a ona sama z dziećmi została przez Polaków dwa dni wcześniej wywieziona pod Przytuły. Sądzę, że była to przygotowana akcja – przygotowywanie miejsca – gdzie będą spaleni Żydzi. Wszystko to przygotowywali „swoi" wójt gminy – G. […], sekretarz gminy M. Piotr (po wojnie był wójtem Radziłowa), ksiądz Dołęgowski i lekarz M., tak mi mówiono. To oni byli prowodyrami. Żydów zaprowadzono pod stodołę. Tam już czekano na nich. Nie potrafię podać nazwisk, mieli ze sobą kije. Wrota stodoły były otwarte. Wpędzano kobiety, dzieci, mężczyzn – wszystkich Żydów z rynku do środka stodoły.

Wzdłuż domu mieszkalnego siostry mojej matki – wykopany był rów. Tam mężczyźni stawiali dzieci żydowskie w wieku 6 do 10 lat. Jak dziecko było starsze, wpędzano je razem z dorosłymi do stodoły. Dzieci ustawiano po 10 koło siebie i mój wuj Władysław D., który miał jako jedyny karabin – strzelał w pierwszego. Pociski po przejściu przez ciało pierwszego dziecka – zabijało następnego. Mówili, że szkoda kulek na Żydów. Jednym pociskiem wuj mordował 10 dzieci żydowskich.

Ciała dzieci wrzucano do dołu i zasypywano wapnem. Nie wiem, ile dzieci w ten sposób zamordował. Podobno jeden chłopiec uratował się. Tych dzieci żydowskich zamordowanych przez wuja było dużo. Żydów w ogóle było bardzo dużo – kilkaset osób. Podobno około 800 osób. W tym samym czasie, jak mordowano dzieci, podpalono stodołę z ludźmi wewnątrz. Wiem, że stodołę oblewał środkiem palnym K., imienia nie znam, tak mi mówiono.

Sam proboszcz podpalił stodołę, to znaczy podłożył ogień. Ludzie krzyczeli, potem krzyk ustał.

Gdy ogień i żar ustał, ludzie chodzili po palenisku z sitkami i szukali złota. Domy żydowskie zostały ograbione – rozebrane i wywiezione do innych miejscowości. Wiem, że moja mama uratowała przed śmiercią dwóch chłopców i dwie dziewczynki żydowskie. Najstarszy chłopiec miał 13 lat. Było to rodzeństwo, nosili nazwisko S. Mama je ukryła w piwnicy. Po pewnym czasie – po może dwóch tygodniach, jeszcze nie było Niemców – wywieźli te dzieci furmanką, przykrywając słomą, do lasu do wsi Czerwonki – do pana R., prowadził on młyn wodny. Dzieci zostały następnie umieszczone u K. Następnego dnia po wywiezieniu od nas dzieci Polacy, nasi kuzyni, zrobili nam w domu rewizję. Z. Szymon (mąż siostry mojego ojca) po wojnie był sekretarzem PZPR w Radziłowie, Aleksander D. – sąsiad, wiem, że powiesił się w Łomży nad Narwią w latach osiemdziesiątych, K. Lucjan (wiem, że chciał matkę zastrzelić) – widziałem go na odpuście w Radziłowie 26 lipca w latach sześćdziesiątych. Wszyscy oni brali udział w pogromie Żydów.

W pogromie Żydów brał też udział teść Piotra K. – kuzyn Jana S. Wiem, że mieszka w Radziłowie do dnia dzisiejszego. Jego teść to – Józef L. To wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie.

Za bezpośrednimi przygotowaniami mordu w Radziłowie mieli stać: przewodniczący rady miasta G., sekretarz gminy Piotr M. (po wojnie był wójtem Radziłowa), ksiądz Dołęgowski i felczer M. Na drodze prowadzącej do stodoły po przejściu kolumny Żydów pozostały na ziemi łyżki, pojedyncze buty. Polska dzieciarnia zbierała je, walcząc o te resztki zawzięcie.

Jak zeznali kolejni świadkowie, gdy Żydów z Radziłowa zaprowadzono do stodoły, wpędzono do niej najpierw kobiety i młodzież, dopiero później mężczyzn. I podpalono. Choć stodoła była zbudowana z kamienia, dach był kryty słomą. Wsadzono więc na niego czternastoletniego wówczas Józefa E. vel K., który był na tyle lekki, że słomiany dach nie mógł się pod nim załamać. To on oblał go naftą.

Ze stodoły wydostało się kilka ofiar, ale zostały natychmiast zabite przez Polaków, którzy czekali na zewnątrz, otoczywszy budynek ciasnym kordonem. Strzelano do uciekinierów z broni radzieckiej, a jedną dziewczynę przebito widłami i wrzucono z powrotem do paleniska. W pobliżu stodoły doszło też do gwałtów. Zgodnie z opowieścią Antoniego O., opartą na relacji jego matki i krewnych, to proboszcz Dołęgowski osobiście podpalił stodołę. Inne relacje tego jednak nie potwierdzają.

Interesujące, że nikt poza Antonim O. i Chają F. nie wspominał nigdy po wojnie o udziale ks. Dołęgowskiego w mordzie czy prześladowaniach ludności żydowskiej. To może świadczyć o jednym z dwojga: albo że to nieprawda,

albo że większość zeznających chroniła kapłana ze względu na szacunek oraz władzę, jaką księża cieszyli się i cieszą do dziś we wsiach i małych miasteczkach Białostocczyzny. Gdyby to jednak była prawda, to msza poprzedzająca mord na Żydach, procesja z krzyżem i sztandarami, na czele której miał iść ks. Dołęgowski, a także akt podpalenia, którego by dokonał, świadczyłyby o tym, że mord w Radziłowie nie tylko miał charakter czystki etnicznej, ale także stał się dla miejscowych Polaków wydarzeniem o charakterze religijnym. Wydarzeniem, którym dokonali oni – chrześcijanie – rytualnej zemsty na „zabójcach Chrystusa", jak określano Żydów w Kościele katolickim od niepamiętnych czasów. Samo zaś spalenie w stodole nosiłoby wówczas znamiona sakralnego spalenia na stosie wrogów wiary i takie właśnie funkcje by pełniło.

Jak pisał Edmund Dmitrów, tego rodzaju mordercze widowiska, będące połączeniem upokarzania Żydów i ich śmierci, miały obrazować upadek świata zła – komunizmu – i jego kapłanów – Żydów. Prawie zawsze kończyły się ich zamordowaniem. Symbolika wykorzystywana w tych przedstawieniach wyrażała zawsze jedną z naczelnych tez ówczesnej propagandy faszystowskiej, która głosiła, że Żydzi są sprawcami wojny i rozsadnikami komunizmu oraz ponoszą pełną winę za związane z tym nieszczęścia.

> *Wypędzenie setek Żydów z domów i ulic wspólnego miasta na wydzieloną „arenę" powodowało drastyczne pogłębienie izolacji. Sprowadzeni do roli bezsilnej gromady, bezkarnie bici i poniżani, zmuszeni do wykonania czynności ośmieszających bądź odrażających, byli w ten sposób odzierani z godności i szacunku, jakim się przedtem cieszyli jako indywidualne osoby oraz jako grupa polskich*

współmieszkańców, a przynajmniej jakiejś ich części. Prowadziło to do pogłębienia negatywnego stereotypu w wizerunku narodowości żydowskiej oraz dehumanizacji Żydów. W konsekwencji łatwiej było wyzwolić się spod hamującego oddziaływania norm, już nie tylko prawnych, ale również moralnych i obyczajowych, które w normalnych warunkach regulowały przecież sposób traktowania Żydów[23].

Po podpaleniu stodoły polscy milicjanci i polska ludność ruszyli w głąb miasteczka na polowanie na tych Żydów, którzy zdołali się ukryć przed spaleniem, oraz by pochwycić żydowskie dzieci, które pozbawione rodziców wałęsały się zapłakane po uliczkach. Wyciągano je z kryjówek, jakie Żydzi zrobili sobie w piwnicach lub na strychach swoich domów, i albo mordowano na miejscu, albo prowadzono do stodoły i wrzucano do ognia. Grabiono też żydowski dobytek, walcząc o niego między sobą zawzięcie.

Gdy płomienie zgasły, schwytanych w miasteczku doprowadzano nad dół wykopany przy stojącej obok stodoły mleczarni, w którym przed wojną trzymano lód do schładzania mleka. Nad tym dołem, dość głębokim, nazywanym przez miejscowych „lodownią”, mordowano schwytanych, ponownie gwałcono też złapane Żydówki. Ciała wrzucano warstwami do środka.

Miejsce spalenia ludności żydowskiej, widok od strony Radziłowa

Nie oszczędzano małych dzieci. Ponieważ, jak zeznali świadkowie, m.in. Antoni O., zabójcom szkoda było amunicji, zabijali je na tzw. dziesiątaka, to znaczy dziesięcioro dzieci ustawiano jedno za drugim, a następnie oddawano strzał z karabinu tak, by pojedyncza kula przebiła jak najwięcej małych ciał. Skutek był taki, że wiele z tych postrzałów nie było śmiertelnych i wiele dzieci Polacy pochowali w lodowni żywcem. Zabijano też w ten sposób i dorosłych.

Polskie władze miasteczka przygotowały mord od strony organizacyjnej perfekcyjnie. Nad przebiegiem wydarzeń czuwali członkowie rady miasta. To na ich polecenie zwłoki ze spalonej stodoły przeniesiono również do dołu po lodowni oraz wykopano dwa dodatkowe doły, które szybko wypełniono ciałami nowo pomordowanych. Felczer M., czuwając, by wszystko odbyło się zgodnie ze standardami sanitarnymi i nie doszło do wybuchu epidemii, rozkazał

ciała Żydów we wszystkich trzech dołach posypać grubą warstwą gaszonego wapna, tak jak zawsze postępowało się z każdą gospodarską padliną.

Gdy Niemcy po trzech dniach ponownie przyjechali do Radziłowa i zetknęli się z bestialstwem panującym w miasteczku, byli wściekli. Kazali natychmiast zaprzestać mordów. Udali się też nad dół lodowni i wydobyli spośród zwłok żywego żydowskiego chłopca, który przeżył trzy dni w wypełnionym ciałami grobie. Odesłali go do getta w Łomży. Uratowano też kilka innych żydowskich dzieci ukrytych u nielicznych litościwych polskich mieszkańców, m.in. rodzeństwo S., które ocaliła matka Antoniego O. Zamieszkali przy polskiej rodzinie, ale po pewnym czasie, wydani przez sąsiadów Niemcom, również zostali wysłani do getta.

Różne były losy sprawców masakry radziłowskich Żydów. Po wojnie kilku popełniło samobójstwo bądź zmarło w niewyjaśnionych okolicznościach. Ci najbardziej aktywni zwykle jednak trafiali do oddziałów partyzanckich i w szeregach Narodowych Sił Zbrojnych czy Armii Krajowej Obywatelskiej nareszcie mogli dać wyraz swoim antykomunistycznym i antysemickim przekonaniom. Tak postąpił Feliks G., który w zeznaniach składanych 29 grudnia 1953 r. przyznał, że do 1950 r. przebywał w oddziale mjr. Jana Tabortowskiego[24] „Bruzdy”, razem z Leonem i Ludwikiem K. Wyrokiem z 28 września 1954 r. został skazany na cztery lata więzienia za pobicie żydowskich mieszkańców Radziłowa. Od zarzutu spalenia Żydów został jednak uniewinniony. Leon K. należał do oddziału mjr. „Bruzdy” niemalże do samego końca jego szlaku bojowego. Walcząc u jego boku, dokonał napadu na posterunek Milicji Obywatelskiej w Grajewie 9 maja 1945

r., zginęli wówczas porucznik i szeregowy MO. Ataku dokonał pododdział dowodzony przez por. K. „Bora”.

Zaangażowanie polityczne nie przeszkodziło jednak Leonowi K. po schwytaniu go przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa wydać wszystkich członków swojej organizacji, a także ujawnić miejsca ukrycia magazynów broni.

LEON K.[25]

Polak, mieszkaniec Radziłowa, główny sprawca mordu

Ja, K. Leon, syn Michała i Anny z domu M., urodziłem się 2 listopada 1910 r. w rodzinie rolniczej w osadzie Radziłów. […] Ja należałem od lutego 1940 r. do Polskiego Związku Powstańczego. Zwerbował mnie W. Jan „Okoń”. Jego zadaniem była walka przeciw Związkowi Rad. Naszym głównym dowódcą był Rutkowski Józef „Adam”. […] Z polecenia mojego dowódcy W. Jana ps. „Okoń” byłem sołtysem osady Radziłów od czerwca 1941 r. Byłem nim do lutego 1944 r. W roku 1944, 27 lipca, wstąpiłem do partyzantki AK.

W organizacji AK ja pełniłem funkcję dowódcy Kedywu przy kompanii (P.A.S). Miałem automat niemiecki „Bertman”. Przy końcu czerwca 1945 r. wziął ode mnie broń dowódca kompanii K. Marian „Kret”, przy tym był M. Zygmunt „Kuba” [vel „Kula” – przyp. M.T.]. Ja ze swoją grupą Kedywu w liczbie 4 ludzi w połowie kwietnia 1945 na szosie koło Dziewięcina, na polecenie ustne od dowódcy K. Teofila „Kosa”, rozbroiłem 4 milicjantów ze Szczuczyna. Zostało zabrane milicjantom 2 kbk, 2 automaty PPS. Z grupy rozbrojonych dwóch ludzi zostało dołączone

do mego oddziału Kedywu, a dwóch po napadzie na posterunek MO w Radziłowie odesłano do Komendy Głównej we wsi Żebry, gmina Wąsosz, pow. Szczuczyn, i jako członków AK wypuszczono. W tym samym miesiącu dokonaliśmy napadu na posterunek MO w Radziłowie, gdzie podczas napadu został zabity komendant posterunku.

W napadzie na posterunek MO w Radziłowie razem ze mną K. Leonem, pseudonim „Janek", „Śmiały", brali udział:

1. P. Tadeusz „Bohun", mieszkaniec Radziłowa;
2. P. Stanisław „Kogut", mieszkaniec Radziłowa;
3. M. Kazimierz „Majtek", mieszkaniec Radziłowa;
4. C. Czesław, mieszkaniec Radziłowa;
5. K. Antoni „Ława", mieszkaniec Radziłowa;
6. K. Józef, został zabity;
7. ludzie z oddziału „Nadrzecza", ich pseudonimy to „Jastrząb", „Komar", „Jaskółka";
8. R. Henryk.

Na początku miesiąca maja 1945 r. został dokonany napad na mieszkankę Radziłowa B. Eugenię, podczas którego ona została zabita na podwórzu swego mieszkania. W napadzie brał udział mój oddział Kedywu w całym składzie w liczbie 8 ludzi.
W miesiącu maju został dokonany napad na Grajewo. W napadzie ja brałem udział ze swoim oddziałem. Dowodził napadem na Grajewo „Bruzda". Zabraliśmy ze sobą 5 osób cywilnych i 7 osób, w tym 3 kobiety (żołnierzy sowieckich).

Uprowadzeni w liczbie 12 osób zostali na rozkaz „Bruzdy" zabici i pogrzebani w okolicy wsi Łojki. […] Skład broni organizacji znajduje się u B. „Torfa".

Żona Leona K. skierowała do prokuratora wojskowego w Białymstoku list z prośbą o łagodne potraktowanie aresztowanego męża:

Do Prokuratora Wojskowego w Białymstoku
Uprzejmie proszę Ob. Prokuratora o złagodzenie wyroku i zwolnienie mojego męża Leona K. z Radziłowa, aresztowanego w Białymstoku 17 listopada 1945 r.
Na zarzuty, jakie ma w oskarżeniu, że współpracował z okupantem niemieckim, składam podpisy świadków, którzy stwierdzają swoimi podpisami Jego lojalność i dobre postępowanie w stosunku do Narodu Polskiego.
Mąż mój był wybrany przez ogół w 1941 r. na sołtysa i na tym stanowisku uratował wiele córek i synów Narodu Polskiego od pracy w Niemczech. Swoją postawą względem wroga niemieckiego nie cieszył się dobrą opinią u miejscowej żandarmerii i komisarza, toteż wkrótce został zrzucony ze stanowiska sołtysa. Z tą chwilą zaczęły się szykany i poszukiwania za moim mężem.
Mąż mój Leon K. cieszył się dobrą opinią w całej miejscowości Radziłów, gdyż niejednego Polaka uratował od niechybnej śmierci w obozach i na pracach przymusowych w hitlerowskich Niemczech. Jeszcze raz uprzejmie proszę o rozpatrzenie zarzutów przeciwko mojemu mężowi i o zwolnienie go z więzienia.
Z poważaniem: Maria K.
[następuje sześćdziesiąt podpisów świadków][26]

Ciekawe w liście żony Leona K. nie jest jednak to, w jakim celu go napisano, lecz liczba podpisów, jakie się pod nim

znalazły. Podpisów mieszkańców Radziłowa, którzy zaświadczyli własnoręcznie o „lojalności i dobrym postępowaniu względem Narodu Polskiego” Leona K. Przecież ci ludzie wiedzieli o mordach, jakich się dopuścił, czy zatem bronili go, bo nie uważali Żydów za przedstawicieli narodu polskiego? A może po prostu kłamali, broniąc Leona K., bo byli współwinni i obawiali się, że z zemsty wyjawi w śledztwie ich udział w zbrodni? Zresztą wiele nazwisk pośród podpisów jest zbieżnych z nazwiskami sprawców radziłowskiej masakry. Właśnie takimi sposobami „pisano” po wojnie historię Radziłowa.

Leon K. został wyrokiem z 23 maja 1947 r. skazany na sześć lat więzienia oraz trzy lata utraty praw publicznych. Również jego brat, Ludwik K., uczestnik zbrodni w Radziłowie, członek milicji polskiej w tym miasteczku, po wojnie był członkiem oddziału Jana Tabortowskiego „Bruzdy”, a następnie Stanisława Marchewki ps. „Ryba”[27]. Do oddziału WiN/AKO „Bruzdy” należeli także Józef R. „Kruk” i Aleksander Ś.

Podobnie skomplikowane losy były udziałem Henryka Dz., który od 1941 r. należał do polskiej milicji powołanej przez Aleksandra K. w Radziłowie i mordował Żydów, następnie wstąpił na służbę niemiecką, a w 1944 r. został na krótko żołnierzem AK, po czym ponownie zdecydował się na współpracę z Niemcami, tym razem jako agent gestapo. Po wojnie został skazany na osiem miesięcy więzienia.

HENRYK DZ.[28]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

K. Ludwik z przyjściem wojsk niemieckich 22 czerwca 1941 r. na nasze tereny do Radziłowa wstąpił do samorzutnej policji, która bez niczyjego rozkazu

formowała się w Radziłowie. K. tak jak i inni miał na ręku biało-czerwoną opaskę i miał karabin sowiecki, z którym chodził. Kiedy to przyjechali do Radziłowa dwa samochody gestapowców w czerwcu 1941 r., zaczęli podjudzać ludność polską przeciwko Żydom, że to przez nich Polacy cierpieli za Sowietów. Kazali Niemcy spędzać wszystkich Żydów na rynek w Radziłowie, K. pomimo to, że rodziny nie miał wywiezionej do Związku Radzieckiego, brał udział przy spędzaniu Żydów na rynek.

Przy spędzaniu chodził z karabinem, od czasu do czasu bijąc ich kolbą od karabinu. […] Spędzono Żydów do pobliskiej stodoły w Radziłowie, do murowanej, tam ich zamknięto, oblano benzyną i tam ich spalono. Obecny przy tym pędzeniu Żydów był również K. Ludwik, który szedł z karabinem gotowym do strzału, jako eskorta, ażeby żaden Żyd nie uciekł. Obecny był również K. przy spaleniu stodoły, kiedy już Żydów palono. Wtedy K. wraz z innymi pilnował, ażeby Żydzi nie uciekali ze stodoły. Po spaleniu tych sześciuset Żydów zaczął się rabunek mienia po spalonych Żydach. K. również brał udział w rabunku mienia pożydowskiego. Rabował sklepy, różne towary i znosił do domu dla własnej korzyści materialnej.

[…] W pierwszej chwili pracowałem w policji pomocniczej w Radziłowie przez okres miesiąca, następnie przeniosłem się do gminy jako woźny i tam pracowałem do 1944, miesiąca lipca. Następnie poszedłem do oddziału AK na Kapicach pod dowództwem „Groma”, dostałem pseudonim „Młot”. Kiedy zostaliśmy rozbici, ja dostałem się do niewoli niemieckiej i dostarczono mnie do dyspozycji gestapo w Szczuczynie, tam siedziałem miesiąc czasu, gdzie

> po przeprowadzeniu śledztwa przez gestapo zostałem skazany na karę śmierci. Jednocześnie zaproponowano mi współpracę z gestapo, co miało mnie uratować od śmierci. Ja, widząc tą propozycję, podpisałem zobowiązanie i otrzymałem od gestapo pseudonim „Grzybek”.

Feliks M.[29], mieszkaniec Radziłowa, uczestnik mordu, przyznał, że w 1943 r. wstąpił do Armii Krajowej i otrzymał pseudonim „Olbrzym”. Kolejny z braci, Piotr M.[30], uczestnik mordów w Radziłowie, wybrał inną drogę życiową, a zarazem polityczną. Po II wojnie światowej został przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej w Radziłowie i wieloletnim informatorem miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa. Podobnie Szymon Z., uczestnik mordu, po wojnie został sekretarzem PZPR w Radziłowie.

Zygmunt M. „Kuba” został natomiast dowódcą placówki, a później kompanii AK z Radziłowa, zaś K., który zginął po wojnie w ataku na posterunek MO, był dowódcą 9. Pułku PSK Armii Krajowej, walczył w czasie akcji Burza na linii Biebrzy – Grąd Lipowy na Czerwonym Bagnie. Wacław B. [31] ze wsi Romany, gmina Przytuły, powiat Łomża, w czasie wojny był uczestnikiem mordów na Żydach w Radziłowie, a po wojnie jako żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych organizował napad na posterunek MO w Stawiskach.

Również Teofil K. „Kosa”, „Dołęga”, Józef K., Henryk D., Wacław D., Jan Ch., Józef D., Stanisław B., Kazimierz M., Józef L., Feliks G., Stanisław K., Zygmunt S. należeli po wojnie do Narodowych Sił Zbrojnych. Józef L.[32], zbrodniarz z Radziłowa, był nawet zastępcą dowódcy miejscowego plutonu tej formacji.

Aleksander D., który zabijał 7 lipca 1941 r., powiesił się w Łomży nad Narwią w latach osiemdziesiątych, Lucjan K. był zaś widziany na odpuście w Radziłowie jeszcze w latach sześćdziesiątych.

SPRAWA D.

Do najbardziej bulwersujących historii, jakie rozegrały się w Radziłowie i jego okolicach już po koszmarnych wydarzeniach z lipca 1941 r., należy historia rodziny żydowskiej D. Pierwsza z rąk Polaków zginęła Dora D. Zabili ją Zygmunt S. i Antoni K. Zabili ją, ponieważ pewnego kwietniowego poranka 1941 r. wzięli ją ze sobą funkcjonariusze NKWD, jadący pod dom Antoniego K., by go aresztować.

Dora była komsomołką, nastoletnią dziewczyną, która dała się uwieść agitacji komunistycznej. Czy to był wystarczający powód, by ją zabić? Nawet jeśli mogła przyczynić się do aresztowania Antoniego K.? Dziś wiemy, że jedwabieńskie NKWD, które dokonywało aresztowań w 1941 r., posługiwało się listą konspiratorów stworzoną przez Aleksandra Burskiego i materiałami zdobytymi w partyzanckiej bazie na Kobielnie oraz w trakcie brutalnych śledztw bezpośrednio od powstańców. Co o tym mogła wiedzieć nastoletnia Żydówka? Enkawudziści zabrali ją najpewniej po to, by wskazała im, które mieszkanie zajmuje K. Nie zrobiłaby tego ona, najpewniej zrobiłby kto inny. A i sam Antoni K. długo w sowieckim łagrze nie siedział, wszystkiego raptem cztery dni, po których jako niegroźnego chłopaka odesłano go do domu.

Mimo to Dora D. zginęła jako sowiecka kolaborantka, bo po wkroczeniu Niemców Antoni K. razem z Zygmuntem S. poszli na kolonię Słucz do K., gdzie Dora się ukrywała,

wyprowadzili ją na pole i zabili za pomocą kamienia i pałki. Tak twierdził Antoni K. W ludzkiej świadomości jednak utkwiło przekonanie, że zginęła w straszliwych męczarniach, ponieważ Antoni K. i Zygmunt S. mieli odpiłować jej głowę, tępą piłą. Szczątki Dory zapewne do dziś leżą na polu K. w bezimiennym grobie.

Nie był to też zresztą koniec tragicznej historii rodziny Dory. Wojnę przeżyli bowiem jej ojciec i brat. Ukrywali się w pobliżu wsi Konopki w samodzielnie wykopanym bunkrze. Ojciec Dory był dobrym szewcem. Świadcząc usługi mieszkańcom wsi w zamian za jedzenie i ochronę, doczekał z synem wyzwolenia. Wtedy dowiedział się o nich Antoni K. Bał się, że brat i ojciec Dory zgłoszą władzom, że zamordował ją z Zygmuntem S., poszedł więc do swojego dowódcy z AK Antoniego B. ps. „Torf" i powiedział mu o sprawie. Ten się długo nie zastanawiał, wysłał z nim patrol, w skład którego wszedł brat Zygmunta Józef K. oraz Feliks M. We trzech zwabili w zasadzkę brata i ojca Dory, a następnie Antoni K. zamordował ich siekierą.

JAN R.[33]

Polak, mieszkaniec Radziłowa

> […] Z radziłowskich Żydów dwóm udało się przeżyć masakrę i okupację, był to D. z synem. Ukryli się i przeżyli całą okupację we wsi Konopki. Kryjówkę mieli zrobioną na polu. Bunkier był przykryty dużą kupą polnych kamieni. W czasie ukrywania nie próżnowali, zajmowali się naprawą obuwia dla miejscowej ludności, bo D. był dobrym szewcem. Zajęcie w ukryciu to mniej czasu na umartwianie się, szybciej upływał czas. Kontakt z wioską był za pośrednictwem tylko jednego człowieka. Najgorsze

dla nich nastąpiło z chwilą ewakuacji tych terenów jako strefy przyfrontowej. Ewakuacja nastąpiła pod koniec 1944 r., tak samo Radziłów był wysiedlony. Ci dwaj zostali na polu wyłącznie z wojskiem frontowym. Po sześciu miesiącach, w styczniu 1945 r., nastąpiło wyzwolenie. Wychodzą z ukrycia szczęśliwi, że koniec męki, że udało się przeżyć ten koszmar, i tu się pomylili, dosięgła ich ręka morderców, ojciec i syn giną już po wyzwoleniu. Zabili ich, bo bali się, że to są świadkowie ich zbrodni.

ANTONI K.[34]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

W 1940 r., 13 kwietnia, aresztowany byłem przez Sowietów i siedziałem w Jedwabnem w NKWD przez 4 dni, posądzony o szpiegostwo. Po czterech dniach zostałem zwolniony. Za okupacji niemieckiej pracowałem jako stolarz w Radziłowie, przeważnie wszystko robiłem dla Niemców. Co mi nakazali, to robiłem. […] Ujawniłem się 2 kwietnia 1947 r. w Grajewie, jako członek nielegalnej organizacji „WiN”, ps. „Ława”. […] Żydów D. znałem od młodych lat, gdyż oni mieszkali w osadzie Radziłów. W 1940 r. mieszkaliśmy po sąsiedzku. Rodzina D. składała się z 6 osób, w tym dwóch synów i dwie córki. D. zajmowali się szewstwem. Jedna córka była kucharką w Trzciannem.

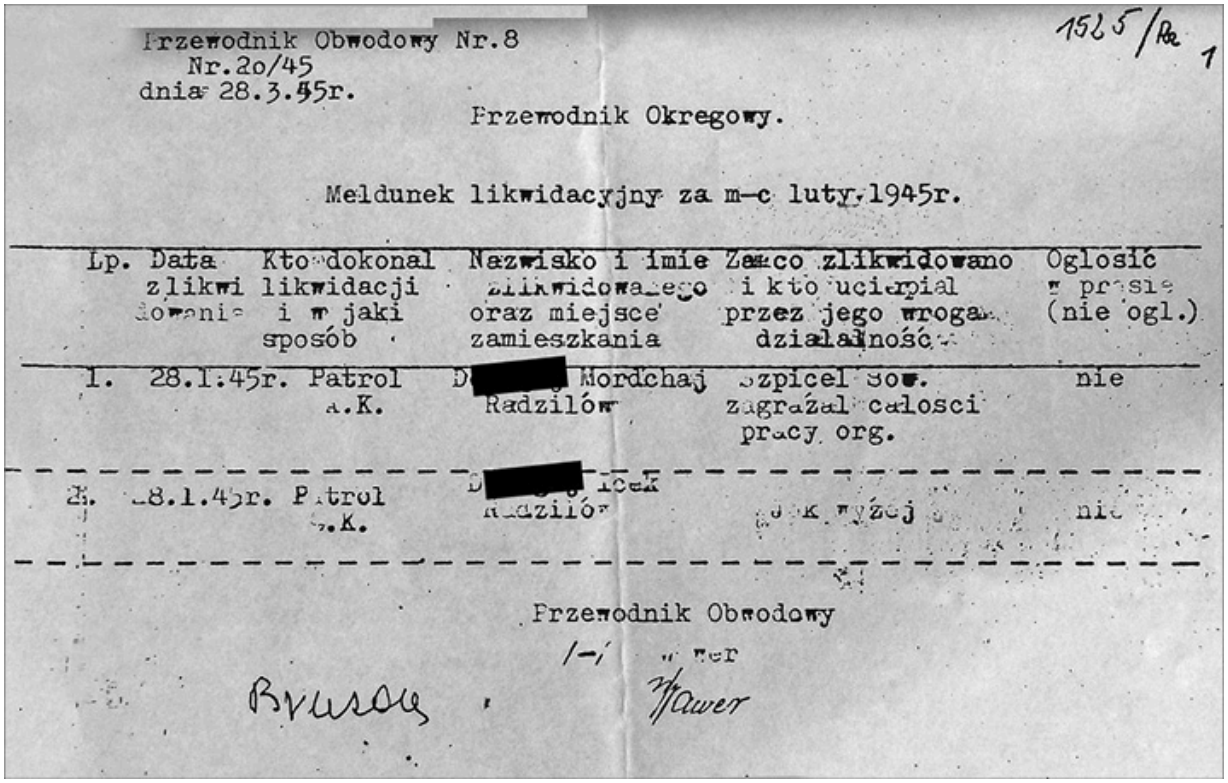

Przewodnik Obwodowy Nr.8
Nr.2o/45
dnia 28.3.45r.

1525/Rz 1

Przewodnik Okregowy.

Meldunek likwidacyjny za m-c luty 1945r.

Lp.	Data zlikwidowanie	Kto dokonał likwidacji i w jaki sposób	Nazwisko i imie zlikwidowanego oraz miejsce zamieszkania	Za co zlikwidowano i kto ucierpiał przez jego wroga działalność	Ogłosić w prasie (nie ogł.)
1.	28.1.45r.	Patrol A.K.	D[redacted] Mordchaj Radzilów	Szpicel Sow. zagrażał całości pracy org.	nie
2.	28.1.45r.	Patrol A.K.	D[redacted] Radzilów	[illegible] wyżej	nie

Przewodnik Obwodowy
/-/ [illegible]

Bruzdy

Wawer

Dotyczący ojca i syna z żydowskiej rodziny D. meldunek likwidacyjny przewodnika obwodu AKO Grajewo krypt. „nr 8” por. Franciszka Warzyńskiego „Wawra”. Pod meldunkiem znajduje się podpis mjr. Jana Tabortowskiego „Bruzdy”. Dokument pochodzi z byłych zasobów Centralnego Archiwum MSWiA, z. AK, sygn. D/48

Natomiast za okupacji niemieckiej dwóch D. – ojciec i syn – ukrywali się. Matka i jeden syn wywiezieni zostali przez Niemców do lagrów w Boguszach.

[…] Było to 13 kwietnia 1940 r. Kiedy usłyszałem, jak furmanka skręciła z głównej ulicy w boczną, ja krzyknąłem: „Janek, uważaj, bo na klocki wjedziesz”, gdyż dużo drzewa było na podwórzu. Jednocześnie z furmanki ktoś skoczył i krzyknął do mnie: „Ruki wierch” – ja zauważyłem w tym czasie przy mnie jednego Sowieta z NKWD M. (Żyda), Żydówkę D. Dorę i B., priedsiedatiela sielosowieta. Zaraz zrobili przy mnie rewizję i zabrali mnie na furmankę razem z N. i W. z dziećmi i M. Janem, a następnie odwieźli nas do Jedwabnego do NKWD. Tam mnie zatrzymali

w NKWD, a resztę odesłali do Łomży. Po czterech dniach zostałem zwolniony. Od tego czasu czułem nienawiść do Dory D. Kiedy w 1941 r. na nasze tereny weszły wojska niemieckie, a Armia Czerwona cofnęła się, zacząłem poszukiwać Dory D., by się na niej zemścić. […] Od tego czasu zeszło ze dwa dni i przybiegł do mnie do Radziłowa goniec, nazwiska nie znam, od K., że u nich w domu przebywa D. Dora.

Wtenczas ja zaraz poszedłem do S. Zygmunta (krawiec z Radziłowa), który też poszukiwał D. Dory, i oznajmiłem mu, że D. Dora dziś przebywa na kolonii w Słuczu u K. Zaraz ja i S. udaliśmy się na kolonię Słucz do K., gdzie D. Dora skrobała kartofle. Gdy weszliśmy do mieszkania, D. Dora poznała nas i była bardzo wylękniona. S. kazał jej zabrać, co ma, i iść na podwórze. Gdy wyszliśmy na podwórze, S. zaraz na podwórzu sprawił jej lanie, gdyż opierała się i nie chciała iść. S. na podwórzu znalazł szpadel i dał do ręki Dorze, żeby go niosła. Ona zaczęła prosić i mówiła: „Już ja wiem, gdzie idę”.

Wtedy S. odezwał się, że „powinnaś wiedzieć”.

Odeszliśmy do 150 metrów od zabudowań K. – będąc jeszcze na polu, zdaje się, K. – i obaj z S. kazaliśmy jej kopać dół. Kiedy już wykopała dół głębokości około 60 cm, szerokości 80 cm na 50 cm, wtedy zaczęliśmy bić D. Dorę. S. Zygmunt kijem, takim jak bijak u cepów. Ja, K. Antoni, biłem kamieniem, który trzymałem w ręku. I tak biliśmy obaj, aż zabiliśmy ją i w tym dole zasypaliśmy ją zaraz po zabiciu. Było to o godzinie trzeciej po południu w czerwcu 1941 r. Oprócz mnie i S. nikogo tam więcej nie było.

[…] W miesiącu lutym 1945 r. spotkałem się z S., zamieszkałym we wsi Słucz, i R., też ze Słucza, którzy

powiedzieli mi, że „uważaj, bo D. ma cię kropnąć”. Ja się pytam, czym. Wtedy S. i R. powiedzieli, że Żydzi D. mają nagan dziewiątkę i z niego mają mnie zastrzelić.

Więc ja byłem w strachu i udałem się do dowódcy kompanii, gdyż należałem do nielegalnej organizacji AK, pytając, co zrobić z tymi Żydami, i opowiedziałem mu całą rozmowę z S. i z R. Dowódca mi powiedział, że jak masz świadków na to, to ich kropnij. Dowódca ten nazywał się B. z Radziłowa, lecz już nie żyje [Antoni B. ps. „Torf” – od 1942 r. dowódca 2. kompanii, zginął w 1946 r. wskutek wybuchu miny – przyp. M.T.].

Na drugi dzień wieczorem wziąłem furmankę od brata Józefa Gabriela K. i z bratem Józefem pojechaliśmy do wsi Słucz na podwórze W. Stanisława. Konia zostawiliśmy na podwórzu. Ja sam wszedłem do W. do mieszkania – jeszcze nie spał – i oznajmiłem mu, że Ruscy nadchodzą, a Żyd D. przygraża się, że zabije mnie i S. Zygmunta z Radziłowa za córkę, którą my zabiliśmy obaj z nim. Nadmieniłem W., że mam litr wódki w kieszeni i idę przeprosić tych Żydów, ażeby się z nimi zapogodzić i przeprosić ich za to, że im zabiłem córkę. W. mnie usłuchał i uwierzył, że mam wódkę i rzeczywiście chcę przeprosić Żydów.

Poszedł do S., tam gdzie Żydy przebywali – i przyprowadził ich na swoje podwórze. W tym czasie ja czekałem z siekierą, którą wziąłem od Ch. Franciszka, schowany za futryną. Pierwszy wszedł W. do mieszkania, a za nim wchodził D. stary. D. stary, wchodząc do sieni, został przeze mnie silnie uderzony siekierą obuchem w głowę i przewrócił się, ani nie pisnął. Widząc to, młody D. zaczął uciekać i krzyczeć. Ja go dopędziłem i postawiłem mu swoją nogę tak, że

przewrócił się na ziemię, a ja momentalnie dwa razy uderzyłem go siekierą w głowę, też obuchem, i zabiłem go na śmierć. Brat Józef w tym udziału nie brał. Po zabiciu tych Żydów zawołałem brata Józefa, gdyż był oddalony o jakieś 10 metrów, i M. Feliksa z Radziłowa, a będącego w tym czasie w Słuczu. Gdy oni przyszli, pokładliśmy Żydów na sanie i wywieźliśmy do lasu w Słuczu, i tam zrzuciliśmy ich na śnieg, i zostawiliśmy na wierzchu.

Tam ja przeprowadziłem u nich rewizję, szukając przy nich broni, lecz nic nie znalazłem. Co dalej stało się z trupami Żydów D., nie wiem do dziś. Było to na początku 1945 r.

[…] Na froncie nie byłem i przez cały okres okupacji żadnego Niemca nie zabiłem.

[…] Po zabiciu tych Żydów w 1945 r. wezwany zostałem do dowódcy batalionu AK K. Teofila i K. spisał ze mnie protokół, a ja tak zeznawałem, jak było z tymi Żydami.

I tu przechodzimy do najbardziej haniebnego wątku tragicznej historii rodziny D. Otóż po dokonanym morderstwie Antoni K. udał się do swojego brata, a jednocześnie dowódcy batalionu Armii Krajowej Obywatelskiej, w którym służył, Teofila K. ps. „Kosa”, „Dołęga”, przedstawił mu całą historię i poprosił o pomoc w zatuszowaniu sprawy. Teofil K. się nie wahał. Sporządził notatkę z zajścia, w której obu D. określił mianem „szpicli sowieckich”, a sam mord opisał jako wyrok mający ochronić organizację podziemną. W jaki sposób D. mieli zagrażać organizacji, skoro nie byli nawet uzbrojeni i, jak wynika z samej relacji Antoniego K., ukrywali się, a nie byli „szpiclami”, tego „Kosa” już nie wyjaśnił.

Charakterystyczne dla tej sprawy jest to, że pod notatką, skierowaną do przewodnika Okręgu AKO Białystok ppłk. Władysława Liniarskiego „Mścisława”, podpisali się, akceptując jej treść, również por. Franciszek Warzyński „Wawer” oraz przewodnik Rejonu „D”, były inspektor AK Łomża – obwodu Łomża, Grajewo, legenda podziemia Narodowych Sił Zbrojnych mjr Jan Tabortowski ps. „Bruzda”.

Antoni K. oraz Zygmunt S. zostali po wojnie oczyszczeni z wszelkich zarzutów.

W CZASIE TRAGICZNYCH WYDARZEŃ W RADZIŁOWIE BYLIŚCIE DZIEĆMI, A JEDNAK WYDARZENIA TE WYRYŁY SIĘ W WASZEJ PAMIĘCI, MIMO ŻE OPOWIADACIE O NICH DOPIERO POD KONIEC ŻYCIA. CO WIECIE O 7 LIPCA 1945 R. W RADZIŁOWIE?

JAN S.[35]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

Jako młody chłopak obserwowałem kolumnę Żydów pędzonych ulicą Piękną z rynku w stronę stodoły, w której dokonano zbrodni. Nie widziałem wówczas pośród osób, które „pędziły” tych ludzi w stronę stodoły, żadnego mężczyzny ubranego w mundur wojskowy lub też jego elementy, mogące przez to sugerować, iż pośród pilnujących Żydów – byli żołnierze formacji niemieckich. Byli to z całą pewnością mieszkańcy Radziłowa oraz mieszkańcy okolicznych wsi.

Oświadczam, iż w Radziłowie postawiono pomnik, którego tablica zawiera następujący napis – „W

sierpniu 1941 r. faszyści zamordowali .. 00 [nieczytelne – przyp. M.T.] osób narodowości żydowskiej, w tym 500 osób spalili żywcem w stodole. Cześć ich pamięci". Na podstawie wiedzy, którą dysponuję, stwierdzam, iż jest to „kłamstwo historyczne" – zarówno odnośnie [do] czasu popełnienia tej zbrodni oraz jej sprawców.

[…] Z 1941 r. […] dobrze pamiętam dwa obrazy. Okna szczytowe naszego domu wychodziły na rynek, natomiast okna frontowe na ulicę Piękną. To był słoneczny dzień i popołudnie. Tak to zapamiętałem. Wtedy widziałem przez okno szczytowe zgromadzoną na rynku w Radziłowie ludność żydowską. Prawie cały rynek był zapełniony ludźmi.

Trudno mi określić, ilu było tam ludzi. Właściwie byłem zbyt mały, żeby o tym myśleć.

[…] To był zbity tłum, zróżnicowany, od starców do dzieci. Obserwując sytuację na rynku, odnosiłem wrażenie, że panuje wśród tych ludzi jakiś niepokój, coś się dzieje. Widać było, jak przy ulicach wiodących na rynek stali jacyś ludzie i gapili się. Nie widziałem żadnych umundurowanych ludzi. Jestem pewien tego. W pewnym momencie tłum na rynku ruszył w kierunku ulicy Pięknej. Ja przeszedłem do okna, z którego widać było tę ulicę. Widziałem, jak po ulicy od strony rynku idzie tłum Żydów. Ten obraz mam do dzisiaj w pamięci. To nie była zorganizowana kolumna, lecz nieuporządkowany tłum, pędzony całą szerokością ulicy.

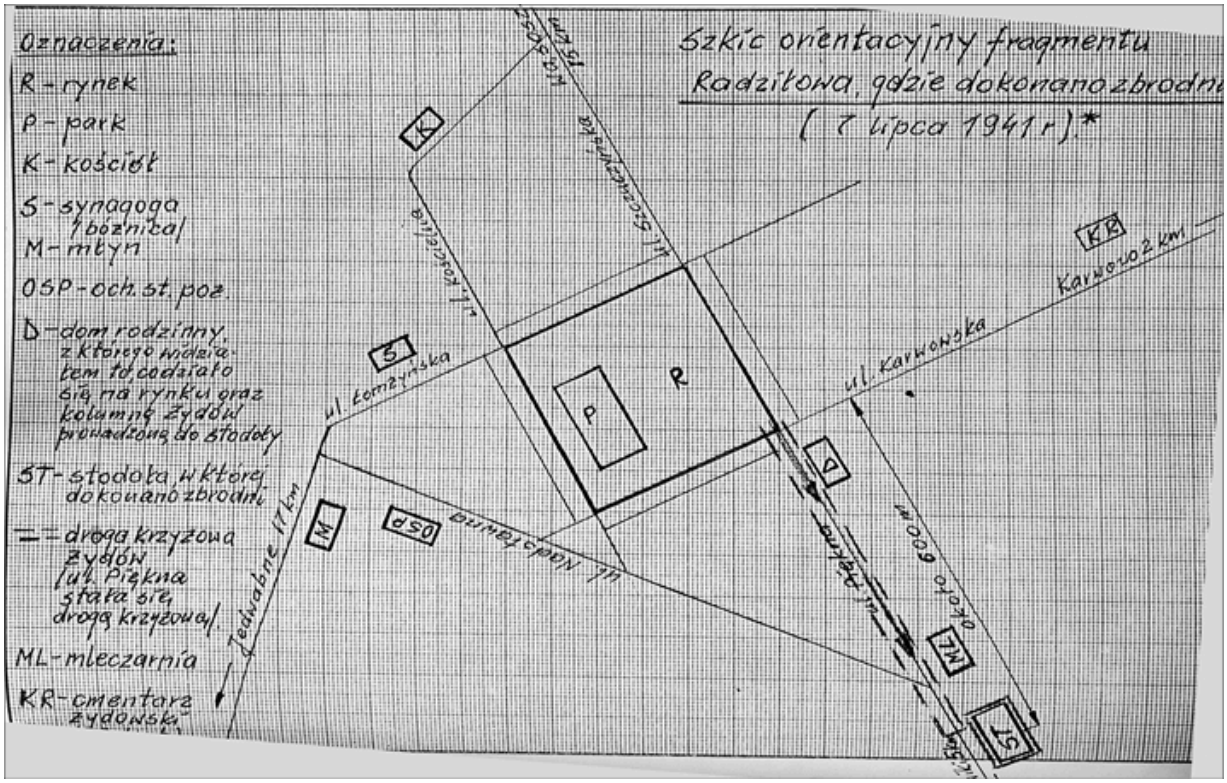
Szkic orientacyjny fragmentu
Radziłowa, gdzie dokonano zbrodni
(7 lipca 1941 r.)*
Oznaczenia:
R - rynek
P - park
K - kościół
S - synagoga (bożnica)
M - młyn
OSP - och. st. poż.
D - dom rodziny, z którego mieszkańcem to wszystko zaczęło się na rynku oraz kolumnę Żydów prowadzoną do stodoły
ST - stodoła, w której dokonano zbrodni
= = droga krzyżowa Żydów (ul. Piękna stała się drogą krzyżową)
ML - mleczarnia
KR - cmentarz żydowski
ul. Kościelna
ul. Łomżyńska
ul. Karwowska
Karwowo 2 km
ul. Piękna
ul. Kapki Tawuna
Jedwabne 17 km
Łomża 50 km

Szkic orientacyjny miejsca zbrodni wykonany przez Jana S.

Widziałem, że po obu bokach, w pewnej odległości jeden od drugiego, w pewnym odstępie szli cywile uzbrojeni w grube pałki. Ja potem oglądałem zdjęcia i filmy archiwalne, na których widocznie były grupy ludzi prowadzone w czasie wojny przez uzbrojonych Niemców, częstokroć używających psów. Te zdjęcia przypominały mi ten obraz z tego dnia. Zawsze porównywałem je. To było to same pędzenie, gnanie ludzi.

Przy czym z całą stanowczością stwierdzam, że ja nie widziałem żadnych umundurowanych ludzi. Żydzi byli eskortowani przez cywilów. O tych eskortujących mówiło się potem, że to byli Polacy z Radziłowa i sąsiednich wsi. Ja jednak wtedy w momencie obserwowania tych eskortujących nikogo nie rozpoznałem. Po przejściu tej kolumny zobaczyłem, że

na ulicy zostały różne drobne przedmioty, jakieś widelce, pojedyncze buty. Dzieciaki w moim wieku i starsze biegały po ulicy i zbierały te przedmioty. […] Trudno mi powiedzieć, co mój ojciec robił tego dnia. Takich informacji nie posiadam. Natomiast po wojnie były dwie sprawy w sądzie w Ełku. Ojciec był aresztowany za udział w zbrodni. […] Ojciec ujawnił się w 1947 r. W AK był od takich spraw gospodarczych, jak szycie różnych rzeczy.

HENRYK P.[36]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

[…] Z okupacji radzieckiej nie pamiętam żadnych represji ze strony komunistów. Przypominam sobie klub-bibliotekę założony przez Rosjan. Mieścił się w rynku na ul. Pięknej. Pracowała tam starsza, garbata Żydówka, u której wypożyczałem książki. Były to pozycje w języku polskim. Pamiętam *Przygody Guliwera*, *Przygody barona Manchausena* [Münchhausena]. Ta Żydówka z Radziłowa, nazwiska nie znam, chętnie zapraszała dzieci do wypożyczalni. Kiedyś jakaś nasza chuliganeria wymalowała ekskrementami wąsy na portretach Stalina i Kaganowicza w tym klubie. Nie spowodowało to żadnych represji komunistycznych. Wiem, że była wywózka ludzi z Radziłowa na Sybir. Miało to miejsce w tzw. „czarny czwartek” w czerwcu 1941 r. tuż przed tym, jak wybuchła wojna niemiecko-radziecka.

Mnie wówczas nie było w Radziłowie. Obcięło mi palec w maszynie do młócenia zboża i leżałem w szpitalu w Szczuczynie. W czasie „czarnego czwartku” wywieziono moich dziadków ze strony

mamy Jana i Konstancję P. Oni nie wrócili. Umarli w Kazachstanie. Jeszcze wcześniej z mojej rodziny wywieźli brata matki – Walerego, jego żonę Halinę i starszą córkę Wilhelminę. Wujek zmarł w Archangielsku. Także Wilhelmina zmarła w Związku Radzieckim, Halina natomiast wróciła po wojnie. Brat Walerego – Bolesław P., ukrywał się przed wywózką na Sybir. Wywieziono natomiast jego żonę Reginę i syna Czesława. Oni po wojnie także wrócili.

[…] W książce Grossa przeczytałem, że Polacy z Radziłowa postawili bramę powitalną dla Niemców. Na bramie tej miały być jakieś hasła powitalne. To nieprawda. Rzeczywiście bramę powitalną wybudowano jakieś 50 metrów od mojego domu przy ulicy Łomżyńskiej. Ją zbudowano, bo poszła pogłoska, że armia Sikorskiego przybędzie razem z Niemcami. Już sama ta pogłoska wskazuje na poziom wiedzy ludzi w Radziłowie, którzy przyjęli ją za prawdę. Bramę tę zbudował mój ojciec z sąsiadami. Były to dwa drągi brzozowe połączone trzecim, ot taka bramka, jak na boisku, tyle że wyższa. Drągi opleciono gałęziami brzozowymi. Nie było żadnych haseł.

Ktoś na kawałku kartonu ołówkiem niezdarnie narysował orła i swastykę. Tę bramę fotografowali przejeżdżający tamtędy Niemcy. Brama stała jakieś trzy dni.

[…] W dniu, kiedy spalono Żydów w Radziłowie, rankiem byłem na rynku miasta. Na rynku byli ci z tego luźnego towarzystwa M., G., K. i cała grupa takich młodych Polaków w wieku około dwudziestu, dwudziestu kilku lat. Było ich z pięćdziesięciu lub więcej. Większość z nich miała takie grube pałki,

kłonice do wozów. Nie widziałem u tej grupy broni palnej, siekier.

Na rynku było dużo dzieciarni, takiej jak ja. Ci z tej grupy kazali nam, dzieciom, biegać po domach żydowskich i mówić, aby Żydzi wychodzili na rynek, gdzie będzie wiec. Żydzi mieli wszystko zostawić w domach, tylko zabierać łyżki. Ja byłem wtedy w kilku żydowskich domach na ul. Nadstawnej i przekazałem, co mi kazano. Pamiętam, że byłem m.in. w domu D. Po zawiadomieniu Żydów o poleceniu stawienia się wróciłem jeszcze na rynek. Byłem tam w sumie ze dwie–trzy godziny. Widziałem, jak Żydzi przychodzą na rynek. Byli to dorośli i dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym. Tych Żydów zgromadziło się na rynku na pewno dobrze ponad dwieście osób. Młodzi, uzbrojeni w kije i orczyki Polacy otoczyli rynek. Ci Żydzi na rynku stali bezwolnie, grzebali tymi łyżkami między brukiem, pielili trawę. Nie wiem, kto im to polecił.

W tym [czasie] z domów żydowskich dookoła rynku niektórzy młodzi Polacy z tej grupy wynosili toboły, jakieś rzeczy w prześcieradłach, i odchodzili z nimi z rynku. W tym czasie nie widziałem, poza jednym przypadkiem, aby nad Żydami zgromadzonymi na rynku ktoś się znęcał, bił ich. Młodzi Polacy jedynie otaczali rynek. Ten wyjątek dotyczył jednego młodego Żyda. Nie znałem go. To była osoba spoza Radziłowa. Był to młody, wygolony na łyso mężczyzna. Słyszałem, że miał być radzieckim milicjantem, ale skąd, tego nie wiem. To młodzież polska biła go tymi kijami. Nie potrafię powiedzieć, kto to robił personalnie. Po pobiciu go tymi kijami zawiesili mu kamień na szyi i kazali patrzeć w słońce. Ja nie mogłem tego znieść

i uciekłem do domu. Potem dowiedziałem się, że tego Żyda milicjanta spalono w stodole.

Z tego, co słyszałem, nie mogę się zgodzić z tym, że wówczas na rynku w Radziłowie, w dniu spalenia Żydów, byli także ludzie z okolicznych wsi. Przecież ci młodzieńcy z Radziłowa nienawidzili się z rówieśnikami ze wsi. Jeszcze przed wojną na jarmarkach, odpustach dochodziło do bójek np. Radziłowa ze Słuczem czy z Bujakami. Bili się kołkami, sztachetami, nożami. Gdzie by ci mordercy z Radziłowa dopuścili konkurencję do rabunków mienia żydowskiego.

Nie widziałem wtedy żadnych Niemców w Radziłowie. Skąd by taki Niemiec pojawił się wtedy w miasteczku? Podkreślam, iż w dniu spalenia Żydów w Radziłowie nie było żadnego niemieckiego wojska, żandarmerii. […] Absolutnie nie było wtedy w Radziłowie jeszcze żandarmerii ani poczty niemieckiej. Ja byłem na rynku i żadnych Niemców nie widziałem.

Nie słyszałem, aby Niemcy rozdawali broń Polakom. Przecież było o tym głośno. To prawda, że mordercy Żydów używali broni palnej, ale to były karabiny radzieckie Mosin. Nikt karabinów nie musiał im dawać, bo pełno zostało na pobojowisku pod wsią Dębówka. Tam Niemcy rozbili w 1941 r. kompanię radzieckiej piechoty. Leżała masa zabitych Rosjan i walała się broń. Nadmieniam, że broń palną mordercy Żydów zaczęli używać w noc po spaleniu ich w stodole.

Po odejściu z rynku wróciłem do domu. Zjadłem tam jeszcze posiłek i był to ostatni przez kilka dni. Potem z tych spalonych Żydów szedł straszny swąd i tak

śmierdziało, że niczego nie mogłem przełknąć. Po posiłku chciałem wracać na rynek, ale ojciec mnie nie puścił, bo mówił, że coś mi się może stać. Muszę zaznaczyć, że ja, będąc uprzednio na rynku, nie wiedziałem, jaki los czeka Żydów.

Nie słyszałem, aby ktokolwiek mówił, że mają być zabici, a zwłaszcza spaleni w stodole. Tego dnia już nie wychodziłem z domu. Widziałem potem łunę płonącej stodoły, czarny, smolisty dym. Ścielił się on nad łąkami, bo nie było wiatru. Nie można było wytrzymać w mieszkaniu.

Kiedy stodoła płonęła, słyszałem okropne krzyki, taki zbiorowy jęk. Nie uspokoiło się i później. Krzyki i jęki oraz wystrzały karabinowe słychać było przez całą noc, aż do rana. Potem dowiedziałem się, że w nocy mordercy wyszukiwali ukrytych Żydów, prowadzili ich w okolicę stodoły i zabijali. Ja nie spałem do rana. Następnego dnia po spaleniu Żydów pobiegłem pod stodołę. To było koło godziny 10–11 rano. Kiedy do niej dotarłem, była ona wypalona. Był to murowany budynek z kamienia, o drewnianych wrotach i słomianej strzesze.

[…] Co do dołu lodowni, to wcześniej nie byłem tam i nie wiem, jak był głęboki. Kiedy byłem pod stodołą, jak powiedziałem, dół ten był wypełniony zwłokami.

Słyszałem potem, że z tego dołu uratowało się dwóch żydowskich chłopców w wieku 6–7 lat. Ludzie o tym mówili i ja ich widziałem. Nazwisk ich nie pamiętam. Jeden z nich wygrzebał się z tego zasypanego dołu lodowni. Był ranny w głowę. Jeszcze wyciągnął swojego żywego kolegę. Przygarnął ich potem E. Był to legionista spod Lwowa. Ani on, ani jego synowie nie brali udziału w pogromie. O tym E. mówili „bez ręki”.

Był inwalidą i rękę stracił w I wojnie światowej. On właśnie przygarnął obu ocalałych chłopców. Ochrzcił ich i wychowywał, mimo że miał jeszcze kilku synów.

Potem ktoś zadenuncjował do żandarmów i jakoś zimą, jeszcze w 1941 r., żandarmi zabrali obu chłopców żydowskich do getta w Łomży. Mówiło się o tym w Radziłowie.

Kiedy przyszedłem pod spaloną stodołę, oprócz zwłok w niej i w dole lodowni był jeszcze kolejny, mniejszy grób, stanowiący jakby przedłużenie grobu lodowni. […] On także był pełny zwłok, kiedy przyszedłem pod spaloną stodołę. Nie pamiętam, abym rozpoznał kogoś z zabitych, których widziałem w obu grobach. Ci w stodole byli tak spaleni na zewnątrz, że nie do rozpoznania.

Kiedy przyszedłem, koło stodoły był wykopany rów, który potem stał się kolejnym grobem. W tym rowie leżało dwóch nieżywych Żydów – mężczyzn, których nie rozpoznałem. Ponadto w innym miejscu tego rowu leżały zwłoki młodej, obnażonej Żydówki. Miała ona zadartą sukienkę. Była bez majtek i widać było przyrodzenie. Rozpoznałem ją. Ona mieszkała w dużym, drewnianym domu na ul. Kościelnej, przy aptece. Jej nazwiska nie pamiętam.

Jeszcze przy mnie felczer Jan M., który był wtedy w okolicy stodoły, kijkiem opuszczał sukienkę tej zabitej. M. powiedział jeszcze, aby zwłoki w obu grobach zasypać wapnem, żeby nie było zarazy. Z tego, co wiem, to Jan M. nie brał udziału w mordach. Potem widziałem, jak wapno w dwóch beczkach przywieźli na furmankach z tego sanitarnego magazynu przy synagodze. Wapnem tym posypywali zwłoki. Nie pamiętam, kto to zrobił.

Kiedy przyszedłem pod stodołę, widziałem, jak obecni mordercy zabijali kolejnych Żydów. Mordował Stanisław L. Był to krawiec, który mieszkał chyba na ulicy Nadstawnej. Przed wojną terminował u krawca żydowskiego M., tego samego, w którego okna strzelał ksiądz Kamiński. Oprócz Stanisława L. był tam ten milicjant z czasów radzieckich Sz. oraz niejaki Cz. Było tam jeszcze takich dwóch młodych dwudziestolatków, których nazwisk nie znam. Mieszkali w Radziłowie. Przyprowadzili oni pod stodołę dwóch młodych Żydów, równych im wiekiem. Nazwisko jednego z tych Żydów zapamiętałem. Nazywał się Rz. lub N. i mieszkał w domu na rynku. Ci dwaj Żydzi uciekali po zbożach, a obaj młodzi Polacy gonili ich i złapali. W nagrodę dostali dwa karabiny Mosin od Stanisława L. lub Sz. Z tych karabinów obaj młodzi Polacy zastrzelili tych dwóch schwytanych Żydów. Ich ciała leżały w grobie trzecim.

Także Stanisław L., Sz. i Cz. zabijali Żydów. Doprowadzali tych Żydów różni Polacy. Spomiędzy tych doprowadzających ja znałem swojego kuzyna, nieżyjącego już Teofila S. z Radziłowa. To był mój daleki kuzyn ze strony ojca. On przyprowadzał Żydów w okolice stodoły. W tym czasie widziałem, jak żydowski młynarz kończył kopać rów. Pytał przy tym Stanisława L.: „Stasiu, czy mnie będzie bolało, jak będziesz strzelał?”. Stanisław L. kazał mu dalej kopać. Potem któryś z morderców, nie wiem, który, zastrzelił tego młynarza w trzecim grobie.

Widziałem jeszcze, jak któryś z morderców zastrzelił starego Żyda z Radziłowa, znanego mi z widzenia, nie z nazwiska. Strzał oderwał dół twarzy temu Żydowi.

Strzelano do niego na schodach wiodących do murowanego domu.

Syn tego Żyda ciągnął jeszcze żyjącego, jęczącego ojca za nogi do grobu. W tym grobie zastrzelono i tego syna. Mnie zemdliło, jak zobaczyłem, że temu Żydowi urwało pół twarzy. Zaraz stamtąd odszedłem do domu. Jeszcze przed odejściem widziałem, jak doprowadzano kolejnych Żydów w okolice stodoły. O pozostałych faktach wiem już z relacji innych osób.

[…] Słyszałem także o zabójstwie starej Żydówki K. Ona mieszkała w rynku, w starym murowanym domu niedaleko ul. Szkolnej. Była to prosta kobieta, gospodyni domowa. Otóż tę K. jacyś Polacy w czasie zbrodni w Radziłowie zakopali żywcem na ogólnych łąkach koło Radziłowa. Podobno powodem tego było, iż K. miała nieostrożnie wyrazić się, że Żydzi za późno zabrali się do robienia porządku z Polakami. Nie wierzę w to. To była prosta kobieta i raczej nie zajmowała się takimi rzeczami.

Słyszałem również o siostrze mojego szkolnego kolegi z ławki Dawida G. To była piękna Żydówka, w wieku około 20 lat. Opowiadali ludzie, że stary kawaler z Radziłowa Józef B. tę G. zabrał ze stodoły jeszcze przed jej paleniem. Miał ją wyprowadzić w pobliskie zboże i zgwałcić. Potem odprowadził ją z powrotem i wepchnął do płonącej stodoły. Rodzina G. pochodziła ze Szczuczyna i przeniosła się do Radziłowa w czasie okupacji sowieckiej. […] Słyszałem, iż koło stodoły zabito piekarza M., który ze swoim ojcem prowadził piekarnię w Radziłowie. Podobno strzelano do niego kilkanaście razy.
Z opowiadań wiem, że mordercy mieli mało amunicji. Dlatego kazali Żydom doprowadzonym pod stodołę

siadać jeden za drugim w grobie. Następnie od tyłu strzelali do kilku tak siedzących osób jednym nabojem. Jak zeznałem, dokonywano grabieży mienia pożydowskiego. Ja chodziłem po opuszczonych domach żydowskich, już po ich ograbieniu. Leżały tam różne książki. Wziąłem kilka z nich. Pamiętam „Trylogię” Sienkiewicza i książkę J.I. Kraszewskiego.

JAN JERZY R.[37]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

[…] Z okresu 1939 r. pamiętam, jak jeszcze przed wojną na rynku w Radziłowie przed sklepami żydowskimi stali młodzi ludzie z grubymi kijami i naftą. Oni oblewali tą naftą towar zakupiony w żydowskich sklepach. Sam to widziałem. Nie widziałem sytuacji, aby ci mężczyźni zabraniali komuś wchodzić do żydowskich sklepów albo kogoś za to bili.
[…] Kiedy Ruscy się pojawili, widać było, że są mile widziani przez Żydów. Chodziło o żydowską młodzież, która wszędzie towarzyszyła żołnierzom sowieckim. Widziałem, że młodzi Żydzi zapisali się do Komsomołu, który bardzo szybko powstał w mieście. Nosili oni czerwone krawaty. W budynku piętrowym przy rynku, sąsiadującym z domem W., zrobiono dom kultury. Zaprowadziła mnie tam żydowska koleżanka z mojej klasy. Miała na imię Helena, ale nazwiska nie pamiętam. W tym domu kultury były zainstalowane „kukuruźniki”, takie głośniki, z których nadawano audycje radiowe. Były tam szachy i różne gry planszowe. Chyba stał także jakiś fortepian. Helena zginęła w dniu 7 lipca 1941 r. Widziałem ją wśród ludzi prowadzonych do stodoły.

[…] Oprócz niektórych młodych Żydów, którzy radośnie powitali Ruskich, pozostali nie mieszali się do niczego, [nie]którzy źle patrzyli na to, co się dzieje. To byli dobrzy sąsiedzi. Znam fakt z września 1940 r., kiedy umarł mój ojciec. Moja matka była w niedostatku, z pięciorgiem dzieci i miała problemy z opłaceniem pogrzebu. Księdza Dołęgowskiego nie interesowało to. Pogrzeb miał być z góry opłacony. Wtedy mojej matce pomógł znajomy żydowski właściciel sklepu z obuwiem. Niestety jego nazwiska nie pamiętam. Ten człowiek opłacił księdzu koszty pogrzebu, przywiózł trumnę. Była to bezinteresowna pomoc ludziom w potrzebie.

Jeśli chodzi o wywózki, to […] takie drobniejsze wywózki miały miejsce od początku przyjścia Rosjan. Słyszało się, że z jednej miejscowości wywieźli jakąś rodzinę, gdzieś drugą. Oprócz tych drobniejszych wywózek zapamiętałem jedną dużą. Miała ona miejsce w ostatni czwartek przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. Wydaje mi się, że musiało to być z 19 na 20 czerwca 1941 r. Ponadto o tym dniu wywózki ludzie długo potem opowiadali jako o „ostatnim czwartku" bądź „czarnym czwartku". Wtedy Ruscy podjeżdżali pod domy w nocy i pakowali ludzi. To była masowa wywózka.

Z relacji różnych ludzi wynikało, że tą wywózką kierował Żyd z Radziłowa. W pierwszych dniach po rozpoczęciu wojny w 1941 r. i ucieczce Sowietów temu Żydowi przywiązano kamień do szyi i pytano, bijąc pałami, gdzie jest rodzina wywiezionych K. Kazano mu przy tym patrzeć na słońce. Potem mu kazano skoczyć z mostu do rzeki. Biło go dwóch Polaków, ja jednak nie pamiętam, kto go bił. Było przy

nim wtedy w ogóle kilku Polaków. Ja mogę z pewnością podać, że w tej grupie był Henryk D. i Leon K. Jednak nie pamiętam, kto bił tego Żyda. Utrwalił mi się widok, jak tego człowieka raz uderzano z jednej strony w głowę i ona mu odskakiwała w przeciwną stronę. Potem od drugiego uderzenia jak piłka odskakiwała z powrotem. Widziałem to i potem, jak go prowadzono do rzeki ulicą Łomżyńską. […] Ja byłem bardzo wścibskim dzieckiem i wszędzie było mnie pełno. Dlatego widziałem wiele.

Jak Rosjanie uciekli, zaraz ludzie rzucili się do rabowania wojskowego magazynu żywności i wyposażenia. Był on w jednej z dwóch bożnic, jakie znajdowały się w Radziłowie. Ludzie zabierali stamtąd, co popadło. Zaraz w dniu wybuchu wojny albo następnego dnia, spaliła się gorzelnia w Słuczu koło Radziłowa. Ludzie tam także rabowali. Mówiło się, że pożar spowodował kierownik tej gorzelni, jakiś Żyd.

Miał on rzucić zapałkę, nie mogąc znieść tego rabowania. W każdym razie bardzo dużo ludzi w wyniku tego pożaru zginęło. Z relacji dowiedziałem się, że tego, który podpalił gorzelnię, to ludzie złapali. Prawdopodobnie rozebrali go do naga i powiesili głową w dół między dwoma drzewami. Opowiadano, że członkowie rodziny spalonych robili mu żywcem nacięcia i sypali sól do ran.

Ja widziałem także ciało Żyda przy drodze do Racibór. To było w okresie przed wejściem Niemców. Ciało leżało w rowie. Obok leżała głowa. Wcześniej ja słyszałem w mieście, że w kierunku Racibór wiozą jakiegoś żydowskiego aktywistę na zarżnięcie,

opowiadano, że przywiązano tego człowieka do dennicy wozu konnego i piłą od drzewa żywcem odpiłowano głowę. Co do aktywistki D., to słyszałem, że w tym czasie mówiono, że Leon K. z Radziłowa utopił ją w kanale potorfowym przy strudze w okolicach ulicy Łomżyńskiej. Tych kanałów już nie ma, bo teren osuszono.

Druga rzecz zastanawiająca to fakt, iż ludzie wcześniej wiedzieli, od której strony przyjadą Niemcy. Na ulicy Łomżyńskiej zrobiono bramę powitalną, oplecioną kwiatami.

Był tam jakiś transparent. Napisu nie pamiętam, poza pierwszym słowem „Witamy”. Tak panowanie sowieckie ludziom dopiekło, że witali Niemców z radością. Ciekawe, że do ówczesnej granicy z Niemcami było zdecydowanie bliżej od strony Szczuczyna. A jednak ludzie wiedzieli, że Niemcy nadejdą od strony Łomży, tam budując bramę powitalną.

Na drugi dzień po wejściu Niemców widziałem, jak na ulicy Łomżyńskiej dwóch żołnierzy niemieckich zatrzymało starego Żyda z brodą. Obcięli mu tą brodę nożyczkami. Kiedy na początku ten Żyd szarpnął się, to jeden z Niemców uderzył go szpicrutą po twarzy. Takie widoki strzyżenia bród żydowskich powtarzały się. Ja je jeszcze widziałem. Któregoś dnia zaobserwowałem, jak Żydzi ze starej bożnicy wynosili swoje stare księgi religijne. Robili to pod nadzorem Niemców. Z ich też polecenia musieli Żydzi każdą z ksiąg wrzucić do strugi przy ulicy Łomżyńskiej i przydeptywać nogami, żeby się zamoczyły i szły na dno. Innym razem widziałem, jak na beczce w tej samej strudze siedziało dwóch młodych Niemców

w kąpielówkach. Do beczki był doczepiony coś w rodzaju zaprzęg. W uprząż ubrani byli starzy Żydzi. Ciągali oni Niemców na tej beczce. To ciąganie po wodzie powtarzało się kilka razy, w różne dni.

W dzień mordu […] po południu, po zjedzeniu obiadu ponownie wyszedłem na rynek. Widziałem wtedy, jak na rynku jest pełno ludzi. Byli tam i Żydzi, i Polacy. Żydzi byli zgromadzeni na rynku, kobiety, dzieci, mężczyźni. Polacy doprowadzili innych Żydów do tych na rynku. Mówiło się, że Żydzi mieli pielić rynek. Polacy mieli w rękach grube pały.

Nie widziałem, kto miał karabiny. Dopiero potem pod stodołą widziałem tę broń. Na rynku widziałem z pałami braci Jana i Henryka D., Władysława D. Z innych na rynku widziałem z pałami: Leona i Ludwika K., braci D., z których jeden miał na imię Feliks, a drugi Dominik. D. po wojnie otworzyli stragan z tekstyliami. Mieli tam materiały pożydowskie, które zachwalali jako przedwojenne.

Na rynku, gdzie spędzano Żydów, widziałem także Józefa K., Franciszka W., Aleksandra L. Żydzi na rynku udawali, że pielą rynek. Był hałas, dzieci żydowskie płakały, kobiety lamentowały. Trudno to opisać. Wyczuwało się jakąś atmosferę strachu. Ci Polacy z pałami to popychali Żydów, krzyczeli na nich. Wszystko to nie było spokojnie. To na rynku trwało jakiś czas. Nie mogę powiedzieć jak długo. Jakoś tak późnym popołudniem, około godziny 17, ci z pałami sformowali z Żydów jakby kolumnę. Ludzie w niej nie byli jednak ustawieni równo.

To nie był jakiś regularny szyk. Następnie Żydów poprowadzono ulicą Piękną w kierunku stodoły S., który był wtedy w Ameryce. Żydzi, idąc tą kolumną,

krzyczeli kilka razy: „Oj, ludzi, ludzi, chrześcijańska miłość niech nie zabija naszych ludzi”. To mi z uszu nigdy nie wyjdzie. Prowadzona kolumna była obstawiona przez Polaków z pałami. Gdzie tu szukać Niemców? Nie było wtedy innych. To robili sami Polacy. Mieli w tym całkowicie wolną rękę. Kiedy Żydów prowadzono do stodoły, ja nie wiedziałem, że tam ich prowadzą. Poszedłem za kolumną.

Nie widziałem, aby ktokolwiek uciekł z tej kolumny. Widziałem, jak Żydów wpędza się do stodoły. Była to stodoła ze ścianami z kamienia polnego. Dach miała słomiany. Wrota od strony rynku były rozwarte. Drugie wrota, po przeciwnej stronie były zamknięte i podparte drągami. Nie mogę tego powiedzieć precyzyjnie, ale moim zdaniem ta grupa mogła liczyć około 300 osób, może trochę więcej, może mniej. Należy pamiętać, że jeszcze po spaleniu Żydów przez wieczór, noc i cały następny dzień łapano Żydów i doprowadzano do lodowni znajdującej się w pobliżu stodoły. Tam tych złapanych mordowano. Po zamknięciu wrót stodoły od strony ulicy Pięknej Józef K. znalazł się na jej dachu. Nie widziałem, jak on tam wszedł.

Nie było tam na pewno żadnej drabiny. Józef K. na dachu oblewał go jakimś płynem z jakiejś metalowej dużej bańki o wielkości wiadra. Chlustał tym płynem po strzesze. Ja to obserwowałem z odległości, stojąc na ulicy. Nie podchodziłem bliżej, bo to wtedy pod stodołą dostałem pałą od D., za to, że się plątam i przeszkadzam. Było tam też dużo gapiów. Józef K. jeszcze nie zeskoczył, jak na strzesze stodoły pojawił się ogień.

Zaraz z wewnątrz wybuchł krzyk „Uj, fajer, fajer, fajer!”. Ten krzyk stopniowo zmieniał się w straszny jęk, który do dzisiaj pamiętam.

Wtedy zobaczyłem, że od środka stodoły oderwano deski na dole wrót. Ludzie chcieli uciekać dziurą, jaka się zrobiła we wrotach. Wtedy zobaczyłem karabiny. Polacy pilnujący stodoły strzelali z nich do osób w dziurze. Zrobił się stos ciał. Nie mogę powiedzieć, kto strzelał, bo w tym wszystkim, przy tym krzyku, jęku, ogniu, nie patrzyłem, kto strzela. Zapamiętałem tylko te karabiny. Zobaczyłem także, że kiedy paliła się cała strzecha, bo kamienne mury nie paliły się, jak spod strzechy wysunęła się jakaś dziewczyna. Ja ją widziałem w Radziłowie przed spaleniem i wiem, że to była jakaś przyjezdna z Warszawy. Miała 17–18 lat i wołali na nią „warszawianka”. Jej nazwiska i imienia nie znam. Na tej dziewczynie paliło się ubranie, sukienka. Ona zaczęła uciekać w pole, w żyto koło stodoły. Zobaczyłem, jak biegnie za nią Józef K. Dopędził ją i zabił, uderzając kilka razy pałą w głowę. To widziałem osobiście. Ja byłem do końca tego ognia.

Kiedy strzelano do Żydów próbujących uciec ze stodoły po wyrwaniu desek we wrotach, jeden z zabitych leżał twarzą oparty o betonową futrynę. Widocznie od jego tłuszczu na betonie odcisnął się wizerunek jego twarzy. Bardzo długo był tam widoczny. Ludzie chodzili to oglądać. Nawet jacyś to próbowali zdrapać, ale beton był głęboko nasycony tłuszczem. On wyglądał podobnie, jak na całunie turyńskim.

Odnośnie [do] tej zabitej przez Józefa K. „warszawianki” to jej ciało K. z kimś drugim, kogo nie pamiętam, za nogi zaciągnęli do dołu po lodowni,

który znajdował się w pobliżu stodoły. Przed wojną tam była mleczarnia. Między nim a stodołą znajdował się dół, w którym trzymano lód na potrzeby mleczarni. Ten dół był głęboki, miał ze trzy metry głębokości. Był też dość długi.

Do tego dołu po lodowni doprowadzano Żydów, którzy nie byli spaleni. Ja byłem jeszcze przy stodole i lodowni, kiedy przyprowadzono na miejsce grupę złapanych Żydów. Było tam kilka osób, między nimi chyba dwie kobiety. Widziałem, jak kazano, żeby objęli się ramionami, po kilka osób. Strzelano do nich tak, żeby jedną kulą trafić kilku. Chodziło o to, żeby oszczędzać kule. Mówili, że trzeba strzelać na „dziesiątaka", to jest żeby zastrzelić jedną kulą 10 osób. To było niemożliwe, żeby tak wszystkich zabić. Ci trafieni ściągali do dołów innych, bo byli objęci. Nad dołem stało pełno oprawców. Nawet jak ktoś nie zginął, to nie było szans, żeby uciekł z tego dołu. Potem ludzie mówili, że jeszcze trzy dni po zasypaniu dołu ziemia się tam ruszała.

Ja widziałem tylko tę pierwszą grupę Żydów, którą przyprowadzili nad lodownię i do nich strzelali. […] W tym dole było więcej żywych jak zabitych, bo jak można zabić jedną kulą kilka osób? Dziwne było to, że ci ludzie szli spokojnie i posłusznie bez żadnego bronienia się, szli jak baranki na śmierć. W dole warstwa po warstwie przybywało. Wieczorem przywieziono pięć beczek wapna do sypania na te ofiary, po posypaniu wapnem po kilku minutach słychać było jęk ciężki, jakby spod ziemi. Trudno było dłużej słuchać tego i udałem się do domu. […] Słońce właśnie zachodziło za horyzont.

Nie wiem, czemu nie uciekłem do domu, kiedy zaczęto palić Żydów. Ja miałem jakiś strach, trwogę, ale stałem i patrzyłem.

Kiedy poszedłem do domu, to przez wieczór i noc było słychać, jak trwa rabunek. Po mieście ludzie latali i plądrowali po domach żydowskich, jeździły jakieś wozy. Następnego dnia Polacy już byli w pozajmowanych pożydowskich domach. Ja byłem na ulicy Pięknej i widziałem, że dół lodowni jest wciąż otwarty. Nie można było podejść i nie widziałem, ilu jest tam trupów. Byli ci tam od konwojowania i mordowania. Nawet zapamiętałem jednego o nazwisku C., nazywali go C. Kiedy wracałem do domu, to widziałem, jak Henryk D. i Władysław D., mający kije w rękach, wyprowadzili żydowskiego mężczyznę i jego żonę. D. i D. poprowadzili tych ludzi w kierunku ulicy Pięknej. Nie bili prowadzonych. Nadal trwał rabunek. Widziałem takie zdarzenie, jak jeden dom był zajęty, a druga grupa walczyła z tymi pierwszymi, co wcześniej zajęli ten dom. Nawet nie znałem tych ludzi. Wtedy to po Radziłowie chodzili już rabusie z Racibor, z Karwowa, ze Słucza.

[…] Co do losów niektórych zabójców Żydów to mówiono, że za karę Władysława D. przygniotło drzewo. Feliks M. zmarł na gruźlicę w szpitalu. Franciszek S. zwariował z powodu złota zrabowanego Żydom. O nim opowiadało się, że w czasie zagłady Żydów zabił siekierą Żyda Sz. […] Wiem o fakcie ukrywania się dwóch Żydów, ojca i brata tej aktywistki D. Ukrywali się na polu Bolesława B. Kiedy przeszedł front, to w styczniu 1945 r. wyszli z ukrycia. Zabili ich jacyś Polacy, którzy mordowali Żydów.

[…] Pozostała jeszcze sprawa wybudowania szkoły na żydowskim cmentarzu. Kto dał taką lokalizację? Poprzednia władza z tamtych lat całkowicie chciała zatrzeć ślady istnienia w tym mieście Żydów. Trzy kilometry za miastem. Dla wygody dzieci? Chyba nie. Według planów z 1939 r. szkoła miała być wybudowana przy ul. Karwowskiej na skraju miasta. Był to duży plac. Na cmentarzu szkoła to barbarzyństwo.

JÓZEF E. VEL JÓZEF K.[38]

Polak, mieszkaniec Radziłowa

Przypominam sobie dokładnie, że w lipcu 1941 r. zostało spalonych około 1000 Żydów w Radziłowie, pow. Szczuczyn. Głównymi sprawcami tej zbrodni byli: Henryk D., Feliks G., Leon i Ludwik K., Feliks M. i L. którego imienia nie znam. Niejaki K., który był komendantem, odnośnie [do] mordowania Żydów brał również udział w tym mordowaniu Żydów, jednocześnie imienia jego nie pamiętam. Wszyscy ww. osobnicy służyli w polskiej policji porządkowej i na rozkaz Niemców spędzili Żydów do stodoły S. w Radziłowie, i tam ich zamordowali. Polecili mi oni oblać naftą tę stodołę, co ja uczyniłem. W kilka godzin później stodoła ta została podpalona – lecz przez kogo, tego ja nie wiem. Wszyscy Żydzi się spalili. W czasie kiedy paliła się stodoła, to ja byłem w mieście i słyszałem przerywane wystrzały karabinowe.

[…] W 1941 r. pełniła służbę w Radziłowie milicja porządkowa składająca się z miejscowych Polaków; kiedy się zawiązała, tego nie pamiętam. Gestapowcy dali rozkaz zgrupowania Żydów, wówczas na rynek

zagnano Żydów, których następnie pognano do stodoły i spalono. Za pędzącymi kolumnami Żydów biegli ludzie. Konwojowała Żydów milicja porządkowa miejscowa oraz zamiejscowa z Wąsosza i Szczuczyna.

Zamiejscowa milicja przyjechała do Radziłowa wcześniej jak samo gestapo. Niektórzy z nich mieli karabiny, ale czy wszyscy, nie przypominam [sobie].

Do milicji porządkowej miejscowej należeli D., K. Ludwik, K., G.; K. był komendantem milicji porządkowej. […] Niejaki K. Marian, który należał do milicji, pochwycił mnie i jeszcze jednego za ramię, aby oblać dach ropą. Ja jeszcze dostałem kociubą od K. Mariana, bo nie chciałem iść, ale później weszłem i wspólnie z drugim chłopakiem obleliśmy dach ropą z bańki. Bańki z ropą podano nam, kiedy my byliśmy na dachu. Po zejściu ja uciekłem do miasta; kto podpalił, tego nie wiem. W drodze usłyszałem strzały karabinowe pojedyncze. Kto dostarczył ropę, tego nie wiem. […] Po zagonieniu Żydów na rynek gestapo pojechało, a Żydów na rynku pilnowali później Polacy.

JANINA S.[39]

Polka, mieszkanka Radziłowa

[…] Mnie zapadło w pamięć to, że na ulicy Pięknej zobaczyłam, jak leży dużo różnych rzeczy. Były tam łyżki, widelce, różne dziecięce buciki. Te rzeczy zapamiętałam. One zostały po przejściu tych Żydów. Ja zaraz wróciłam do domu. Nie szłam za tymi Żydami. Już koło pierwszej po południu ja poszłam i zaniosłam na pastwisko obiad dla Antoniego W. On pasł krowy u Zygmunta K. To pastwisko było za miastem. Ja siedziałam na tym pastwisku jakiś czas.

Wracałam do domku wujka już pod wieczór. To była może trzecia godzina. Szłam tą samą polną drogą. Już było widać dym. Krzyków nie słyszałam.

Kiedy szłam drogą polną, z żyta wyskoczyło dwóch młodych dryblasów z pałami w rękach. To byli jacyś nieznajomi. Takie szczeniaki w wieku 18–20 lat. Oni mnie zapytali „Kto ty jesteś”? Ja już nie przypominam sobie, co powiedziałam, bo taka byłam wystraszona.

Oni mnie złapali za ubranie i mówią „Marsz z nami!”. Na całe moje szczęście pojawił się hycel J. On na nich wyskoczył. Nakrzyczał, czemu oni mnie trzymają, czego ode mnie chcą. Krzyczał, czego chcą od szoferówny?! Tak mnie nazywano, bo mój tato był kierowcą.

Kiedy J. krzyczał [na] tych dwóch, oni nic nie mówili. Zostawili mnie i poszli sobie. To było w czasie tego spalenia. Myślę, że oni chcieli mnie złapać i zaprowadzić do tej stodoły. Tak sobie myślę, że jak palili tych Żydów, to oni uciekali. Pewnie tych dwóch ganiało tych, co uciekali.

NIEKTÓRYM OFIAROM POGROMU W RADZIŁOWIE UDAŁO SIĘ WYRWAĆ Z RĄK POLSKICH SĄSIADÓW I PRZEŻYĆ. JAK ZAPAMIĘTALIŚCIE TEN DZIEŃ?

MENACHEM F.[40]

Żyd, mieszkaniec Radziłowa

[…] 5 lipca 1941 r. obstawiła polska policja miasteczko Wąsosz (pow. grajewski). Chuligani miejscowi mordowali w domu i poza domem, kobiety gwałcili, ucinali piersi, małe dzieci rozbijali o mur, zabito też żony komandirów sowieckich, kilku

urzędników sowieckich; trupom obcinano palce ze złotymi pierścieniami, ze szczęk wyrywano złote zęby: gdy w domu zastali rodziców i dzieci, to najpierw mordowali dzieci, a na końcu rodziców. Pogrom trwał 3 dni. Tyle czasu dali im Niemcy na mord i grabież. Wykopali doły na kolonii i tam zakopali zwłoki. Zginęło około 1200 Żydów (przyszli z okolicy, bo normalnie było 800). Uratowało się około 15. Zostali oni do czerwca 1942 w Wąsoszu. Posterunek niemiecki w mieście w tym czasie zachowywał się poprawnie, zaś Polacy szykanowali, jak mogli.

[…] K. […] miał własną ziemię i ją uprawiał, zajmował się też częściowo handlem. Należał on również do miejscowej bojówki endecji. Już w początkach 1940 r. zaczął się ukrywać, przebywał w partyzantce w lasach blisko wsi Glinki powiatu łomżyńskiego. Wykonywał on dużo aktów terrorystycznych na obywatelach sowieckich i na Polakach, którzy byli w służbie sowieckiej. Wiadomo mi jest, że K. brał udział w zabójstwie naczelnika NKWD pow. jedwabińskiego w czerwcu 1941 r. Zabili go w lesie koło wsi Glinki pow. łomżyńskiego.

Gdy Niemcy zajęli Radziłów 23 czerwca 1941 r., pokazał się jawnie w miasteczku. Pragnę jeszcze powiedzieć, że gdy wybuchła wojna sowiecko-niemiecka, brał on udział w rozbrajaniu ustępujących wojsk sowieckich. Brał on również udział w wysadzeniu mostu na rzece Biebrzy w twierdzy Osowiec, przez który została przerwana cała linia frontu. Brał on również udział w zabójstwie dwóch sowieckich żołnierzy w czasie ich odwrotu. Gdy Niemcy przyszli, zaczął K. rozbijać żydowskie mieszkania. Dobrał on sobie paczkę ludzi, z którymi

urządzał napady. […] 26 czerwca władze rozdały broń swoim zaufanym ludziom, aby oni mogli się porachować z bolszewikami i Żydami.

Pierwszym „bohaterskim” czynem tych ludzi było bestialskie zamordowanie 17-letniej komsomołki D. Frumy. Żałując niemieckiej kuli, mordercy odpiłowali głowę od ciała, a ciało nogami wepchnęli do bagna. Mord odbył się w lesie koło K. „Bohaterami” tego czynu byli K. Antoni z Radziłowa, S. z zawodu krawiec.

[…] Dnia 3 lipca 1941 r. w nocy napadł wraz ze swoimi ludźmi na Sz. Wolfa i Ł. Nota i pobili ich do nieprzytomności. Dnia 7 lipca w nocy brał udział w zabójstwie P. Mojżesza z córką na polu blisko wsi Brodowo, gmina Radziłów, widziałem to osobiście.

[…] W niedzielę, dnia 6 lipca o dwunastej w południe przybyło do Radziłowa wielu Polaków z Wąsoszy (sąsiedniego miasteczka). Doszło do naszej wiadomości, że ci, którzy przybyli, wymordowali w potworny sposób, siekierami i nożami, wszystkich Żydów w swym miasteczku, nie oszczędzając nawet małych dzieci. Panika była ogromna. Zrozumiano, że był to smutny sygnał zagłady.

[…] Dnia 7 lipca 1941 r. o czwartej po południu przybyły 4 auta z gestapowcami wraz z Polakiem ubranym w mundur „narodówki”. Do ich dyspozycji stawili się natychmiast wszyscy mężczyźni – Polacy od młodego do starego. Grupy uzbrojone w kije, na czele których stał gestapowiec, oraz przedstawiciel administracji polskiej, wypędzili wszystkich Żydów powyżej 14 lat z domów. […] Pod gradem kijów przygnano też starych ludzi, którzy już nie mogli chodzić, a także chorych i pobitych, niepodobnych już

do ludzi, zapuchniętych od ran na twarzy. Dnia 7 lipca 1941 r. brał [Leon K. – przyp. M.T.] udział w zegnaniu Żydów z miasteczka na rynek, wypełniając polecenie gestapo. Był on jednym z tych, którzy otrzymali broń długą od Niemców i którą używał w zabijaniu Żydów. Brał on również udział w tym dniu w zaganianiu wszystkich Żydów do stodoły, którą ze swoimi ludźmi podpalił.

Widziałem naocznie, jak publicznie zgwałcił matkę i córkę B., które odnalazł w kryjówce w ich domu, i następnie ich zabił. Po tym pogromie został wybrany na sołtysa i słynął swoim bogactwem, które zrabował w czasie pogromu. Jednak w 1944 r. zaczął się on ukrywać przed Niemcami z powodu jego częstych bijatyk i bałaganu, który wyprawiał w miasteczku. Gestapowcy, nasyciwszy się widokiem krwi, zwrócili się do swoich „pupilków", mówiąc: dajemy wam 3 dni czasu do zupełnego rozrachunku z Żydami. Potem gestapowcy zostawili bandytom broń, a sami odjechali.

Po odjeździe gestapowców nastąpił ciąg dalszy egzekucji. Bandyci uzbrojeni w karabiny i rewolwery pędzali zebranych Żydów do stodoły S., znajdującej się niedaleko wsi Radzibierz [Racibory]. Drzwi stodoły zabili gwoździami, a całą stodołę oblali benzyną i zapalili. Gdy stodoła płonęła, bandyci doprowadzili do niej złapanych w tym czasie Żydów. Tych Żydów bandyci zmusili, dając im drabinę, do wejścia w płonący dach stodoły i z dachu skakać do wnętrza palącej się stodoły. Kto nie wykonał tego rozkazu, został przez tych bandytów pocięty bagnetami, a potem wrzucony do ognia. Niektórym z Żydów udało się wydostać z płonącej stodoły, ale zostali od razu

zastrzeleni przez tych zbirów, gdyż stodoła była przez nich otoczona.

Śpiewy i dzikie okrzyki pijanych krwią bandytów zagłuszały przeraźliwe jęki i okrzyki bólu smażonych żywcem niewinnych ludzi. Te dzikie bestie nie miały jeszcze dość, byli jeszcze spragnieni krwi i dlatego powstało u nich hasło „wybić do jednego”. Wtedy rozpoczęła się nagonka na Żydów w całej okolicy.

Owocem tych dokładnie robionych poszukiwań było zebranie grupy Żydów liczącej kilkuset osób, których zamordowano w bestialski sposób. Niektórych z Żydów wprowadzono do stodoły, gdzie oblano ich benzyną i podpalono żywcem, część z tych Żydów, uprzednio zbitych do nieprzytomności, została rozstrzelana przed stodołą. Z powodu braku amunicji zwierzęta te rozbijały dzieciom główki kułakami lub roztrzaskiwały główki dziecięce o mur. Gwałcili swe ofiary przed zabójstwem, nożami obcinali części ciał u żyjących jeszcze ludzi. Po pożarze weszli do stodoły i wyrywali złote zęby z ust spalonych ofiar.

Pogrom ten trwał 3 dni od 7 do 10 lipca 1941 r. Na trzeci dzień przyjechali Niemcy, którzy zwrócili się do swoich pupilków, mówiąc im, że sobie za dużo pozwolili. Niemcy wyrwali też z rąk bestii kilka żywych ofiar. Można sobie wyobrazić, jak wyglądały te bestialskie mordy, że nawet Niemcy, ci arcykaci, poczuli wstręt i obrzydzenie.

Wykonawcami tych ohydnych mordów są:

K. Józef, Antoni i Leon (bracia),

K. Ludwik, w przyszłości zostanie niemieckim żandarmem,

P. Leon,

G. Aleksander i brat jego Feliks, którzy zbiegli z więzienia 22 czerwca 1941 r.,
L., niemiecki policjant,
D. Henryk i brat jego Jan.
Po wkroczeniu Armii Czerwonej był [Leon K. – przyp. M.T.] w AK lub NSZ. Nie dopuszczali oni do ustanowienia władzy cywilnej, rozbrajali posterunek MO w Radziłowie, zabijając jego komendanta i milicjanta. Po tych wypadkach cała okolica dostała się w ich ręce, którzy się nie obawiali chodzić nawet jawnie w dzień z bronią. Odbierali oni kontyngenty od gospodarzy i ściągali różne podatki. Sprawiali oni również sądy nad ludnością cywilną. Najsławniejszym w tym wszystkim był K. Leon. Po wprowadzeniu władzy był ścigany przez UBP powiatu grajewskiego, jednak uniknął aresztowania.

IZRAEL F.[41]

Żyd, mieszkaniec Radziłowa

[…] Gdy Niemcy przyszli, byłem na miejscu w Radziłowie i wiem, że zaraz K. zebrał bandę składającą się z kilkunastu osób i zaczął rozbijać mieszkania ludności żydowskiej. Wyciągali oni z mieszkania i bili do utraty przytomności. Również bardzo dużo gwałcili młodych dziewczyn, a specjalnie zwróciło uwagę zgwałcenie matki i córki B., które później zabili. Te grasowanie po nocach odbywało się dwa tygodnie aż do 7 lipca 1941 r.
Banda składała się z przywódców:
K. Leon,
K. Antek,
P. Aleksander szewc,

M. Bronisław,
M. Leszek,
P. Wincenty,
S. Eugenia i jej brat starszy,
K. Jan,
R. Józef,
R. Andrzej,
R. Ignacy,
S. krawiec, kolejny dowódca,
N. Aleksander,
S. Jerzy,
L. Stanisław,
bracia G.,
M. Felek,
M. Janek
M. (imię nieznane),
S. Mieczysław,
K. Ludwik,
P. Józef, masarz,
bracia D.

Dnia 7 lipca 1941 r. szajka wygnała wszystkich mieszkańców żydowskich na rynek, tam po uprzednim biciu zagnali [ich] do stodoły i tam wszystkich spalili. Jeszcze potem trwała obława i kogo złapali, zaraz zabijali. Gdy im brakło naboi do karabinów, zaczęli zabijać łopatami [i] tymi podobnymi rzeczami, ja wtenczas siedziałem ukryty i się ratowałem.

BEREK W.[42]

Żyd, mieszkaniec Radziłowa

Pragnę również złożyć zeznanie, że dużo przyczynił się ksiądz Dołęgowski do tego, który swoimi

kazaniami pobudzał nienawiść do Żydów i był prowokatorem do zajścia. Również felczer M. brał w tym udział i jeszcze po spaleniu tych ciał w stodole kazał wszystko zasypać wapnem, żeby się nie roznosiła epidemia. Również […] komendant całej bandy K. Jan brał w tym udział. W czasie tego pogromu moja żona była schowana z dzieckiem i w stodole nie była, i kiedy ją wykryli, zaprowadzili zaraz do płonącej już stodoły. K. kazał jej wchodzić wraz z dzieckiem do stodoły, ale z powodu silnych płomieni i zabitej już stodoły przystawił jej drabinę i po niej kazał wchodzić.

Żona moja zaczęła prosić, żeby chociaż zabrano od niej dziecko, które miało dziesięć dni, to K., złapawszy dziecko za nóżki, wrzucił je przez dach do stodoły, a moją żonę przebił bagnetem i również wrzucił.

ALE PRZECIEŻ NIE WSZYSCY POLSCY SĄSIEDZI ZABIJALI. BYLI I TACY, NIELICZNI, KTÓRZY POMAGALI ŻYDOM, RATOWALI ICH. NA PRZYKŁAD STANISŁAW R.

STANISŁAW R.[43]

Polak, mieszkaniec Radziłowa

Miałem m.in. łąkę w okolicach Radziłowa, w Dziewięćsinie. Łąka ta graniczyła z terenami żydowskiej rodziny F. z Dziewięćsina. Mieli oni młyn wodny w tej miejscowości. Z racji tego, że często bywałem w Dziewięćsinie, poznałem dobrze rodzinę F. Należeli do tej rodziny: matka Sara, była wdową. Jej mąż zmarł wcześniej. Ja go nie znałem. Sara F. miała syna Szabsa oraz dwie córki. Starsza – imienia teraz

sobie nie przypominam. Miała ona dwóch małych synów Izaaka i Henela. Sama ich wychowywała, bo mąż gdzieś od niej uciekł. Młodsza córka miała na imię Rachela. Jest to moja małżonka Marianna R. Rodzina F. to byli bardzo porządni ludzie. Do niczego się nie mieszali. Wiem, że oni pomagali różnym biednym ludziom, Żydom i Polakom. Dawali zapomogi biednym.

[…] Kiedy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka w czerwcu 1941 r., to przypominam, że Niemcy bardzo szybko wkroczyli do Radziłowa. Pamiętam też, że predsiedatiel z Kramarzewa – K., mówił, kiedy leciały samoloty, że to manewry. Ja wtedy, kiedy wybuchła wojna, to jakiś czas nie byłem w Radziłowie. Nikt nie wiedział, co będzie. Różni ludzie straszyli, że Niemcy mordują. Wielu zaczęło więc przed Niemcami uciekać. Ja uciekałem także rowerem, a mój brat rodzony, nieżyjący już, Władysław, furmanką. Uciekliśmy aż za Biebrzę, ale potem dowiedziałem się, że Niemcy w tym czasie już doszli pod Smoleńsk. Wróciliśmy za kilka dni do domu, do Kramarzewa. Nic nie było słychać, żeby coś miało być w Radziłowie. Ja pamiętam, że to morderstwo Żydów to do rozpoczęcia było objęte wielką tajemnicą. Nie mówiło się, żeby Żydom miało coś zagrażać. Nawet rodzina F. z Dziewięćsina nie wierzyła, żeby coś złego ich miało spotkać. Oni mieszkali na kolonii. Tam w ogóle Niemców nie było.

W tym czasie ja nie myślałem o tym, że mogę być mężem Racheli. Nie byłem żadnym starającym się. Po prostu byłem dobrym znajomym rodziny F. i ich odwiedzałem. W przeddzień tego morderstwa w Radziłowie przyszedł do mnie do Kramarzewa taki

M. Józef z Czerwonek. On już nie żyje. Wiedział, że ja jestem dobrym znajomym F. On przyszedł do mnie powiedzieć, żebym ich ostrzegł, że następnego dnia mają jechać do Radziłowa jacyś oprawcy z Wąsoszy i ze wsi Żebry koło Wąsoszy.

Nie mówił żadnych nazwisk, ale powiedział, że mają mordować Żydów albo zabierać ich do Radziłowa. Ja się go nie pytałem, skąd on to wie. Nie było czasu. Było to już w nocy. Ja poleciałem do Dziewięćsina, do F., żeby ich ostrzec. Początkowo nie chcieli mi wierzyć. Później ja ich przekonałem. Oni spakowali rzeczy i schowaliśmy te rzeczy do kurnika na poddasze. Zabrałem tę rodzinę i zaprowadziłem na swoje pole, w żyto.

Nie było możliwości ich do wsi od razu prowadzić. Rano oni chcieli wody. Nie mogłem tej wody oficjalnie nieść, bo bałem się ludzi. Gnałem gęsi, a za nimi niosłem wiadro z wodą i kubek. Matka tej rodziny Sara F. poprosiła mnie, żebym poszedł do Radziłowa i zobaczył, co tam się dzieje. Ja tak zrobiłem. Jak poszedłem do Radziłowa, to widziałem, że Żydzi z Radziłowa są wypędzani na rynek. Polacy dookoła rynku chodzili i pilnowali Żydów. Teraz już nie przypominam [sobie], czy ci Polacy, co pilnowali Żydów, to byli w coś uzbrojeni. Na tym rynku to była sodoma i gomora. Spędzeni mężczyźni, kobiety, małe dzieci. Policzyć ich trudno. Oni byli nie w jednej, lecz w takich trzech gromadach. W tym czasie widziałem, jak z żydowskich domów przy rynku Polacy rabowali, workami wynosili, leciało pierze.

Przypominam [sobie], że tych, co pilnowali i rabowali, to nie byli same radziłowiaki, ale było dużo z sąsiednich wiosek. Byli z Żebr, Słucza, Orlikowa. Ja

w tym samym czasie widziałem tam w Radziłowie tylko jednego Niemca. Był on w takim ceglastym, żandarmskim mundurze. Ja go nie znałem. On stał na balkonie na pierwszym piętrze bloku na rogu rynku, jak się jedzie w kierunku Łomży. Po wojnie w tym budynku był posterunek milicji. Ja nie wiem, czy on miał lornetkę, czy aparat fotograficzny, ale trzymał coś przy oczach. To krótko trwało, jak widziałem tę sytuację na rynku. W tym czasie podszedł do mnie kolega z Radziłowa. Oj, zapomniałem jego nazwiska, jakoś B. czy coś. On nie brał udziału potem w mordowaniu.

Ale wtedy powiedział do mnie, żebyśmy poszli zobaczyć, jak będą mordować Żydów. Ja byłem wstrząśnięty, że on może tak spokojnie o tym mówić. Mnie to przerażało, jak ja patrzyłem na tych biednych ludzi zgromadzonych na rynku. Oni siedzieli z pospuszczanymi głowami. Myślę, że wiedzieli, że czeka ich śmierć, ale nie wiedzieli, że taka okrutna. Co do tych, którzy ich pilnowali i rabowali domy żydowskie, to ja teraz nie mogę przypomnieć [sobie] ich nazwisk. Ale to byli znajomi Polacy, bo widziałem, że są to ludzie z Radziłowa i okolicznych wsi. Ja dalej nie byłem w Radziłowie. Wycofałem się z Radziłowa i poleciałem do swoich ludzi, co ich ukrywałem w życie. Tylko przyleciałem i zaraz widzieliśmy, jak od strony Radziłowa dym poszedł do góry. Nie było wtedy wiatru.

Pamiętam, że zaraz jak zobaczyłem ten dym, to zaraz usłyszałem okropny krzyk od strony dymu. To było po prostu wycie. Ten krzyk długo nie trwał. Później ja go już nie słyszałem. Ja już wtedy wiedziałem, że to spalili Żydów w Radziłowie, bo jak wcześniej, jak

byłem w Radziłowie, to słyszałem, że mają ich spalić. Nie wiem, czy już wtedy mówili w Radziłowie, że spalą ludzi w stodole. Ja rodzinę F. sprowadziłem do swego gospodarstwa. Zrobiłem im kryjówkę w niezamieszkanym domu. Ukrywałem ich do 1943 r. Potem ktoś musiał donieść, nie wiem kto.

W nocy przyjechali Niemcy i zabrali F. do Radziłowa. Było tam takie tymczasowe getto. Dodaję, że kiedy Niemcy zabierali F., to Rachela nie była z resztą rodziny. Jej nie zabrali. Następnego dnia do mnie przyjechał Polak, który pracował jako żandarm dla Niemców – Ludwik K. On zobaczył Rachelę u mnie w domu. Zabrał ją do Radziłowa. Jechał rowerem, a Rachelę gnał przed sobą. Ja w pewnym oddaleniu szedłem za nimi. Chciałem zobaczyć, gdzie on ją umieści. Zobaczyłem, że on uchylił drzwi do bożnicy w Radziłowie i ją wpuścił.

Tam zrobili to tymczasowe getto. Potem Ludwik K. poszedł sobie. Bożnica była zamknięta i pilnował jej jakiś żandarm. Ja czekałem do wieczora. Kiedy się ciemno zrobiło, a żandarm poszedł na drugą stronę ulicy, ja wpadłem do środka bożnicy. Miałem latarenkę i znalazłem Rachelę, która siedziała w kącie. Było tam kilku innych Żydów. Ja ją wziąłem za rękę. Ona najpierw nie wiedziała, kto, ale przemówiłem do niej. Prawie wyniosłem ją na rękach. Uciekliśmy w nocy. Już ja do domu nie poszedłem, bo wiedziałem, co będzie.

Zaraz rano przyjechali żandarmi po nas. Potem mnie szukali nawet bardziej niż Racheli. Jakby mnie znaleźli, zaraz bym w jakimś wądole leżał nieżywy. Od tego czasu kryliśmy się po różnych lasach, gdzie tylko można było. Tylko nocami chodziliśmy. Jeszcze w 1941

r. ja zawiozłem Rachelę F. do kościoła w Radziłowie, żeby ją ochrzcić. Chodziło o ratowanie jej życia. Potem jeszcze w czasie wojny, niedługo potem, jak uratowałem Rachelę z getta, wzięliśmy z nią ślub. Ona otrzymała moje nazwisko, a imię po chrzcie. Ja za ślub musiałem zapłacić proboszczowi z Radziłowa Aleksandrowi Dołęgowskiemu 2 metry zboża. Najpierw on chciał 6 metrów, ale stargowałem. Ja nie pamiętam już nazwisk, ale mówiło się powszechnie w Radziłowie, kto z Polaków brał udział w mordowaniu Żydów w lipcu 1941 r. i w rabowaniu ich rzeczy. Na pewno nie było wtedy żadnych Niemców zamieszanych w ten mord. Ja widziałem tylko jednego na balkonie, o czym powiedziałem.

[…] Ja zeznawałem w sprawie oskarżonych Feliksa G. i Henryka D. w Radziłowie. Ja informacji, co oni dokładnie robili, jak mordowali, nie mam. Ja już nie pamiętam, jak po wojnie dotarli do mnie. Ja musiałem zeznawać i złożyłem fałszywe zeznania. Musiałem mówić, że są niewinni. Musiałem to zrobić, żeby żyć i żeby żyła moja żona. Gdybym nie zgodził się zeznawać na ich korzyść, mogłoby coś grozić mi i mojej żonie.

CO Z WYDARZEŃ Z 7 LIPCA 1941 R. I KILKU POPRZEDZAJĄCYCH DNI ZACHOWALI W PAMIĘCI INNI POLSCY MIESZKAŃCY RADZIŁOWA?

PIOTR M.[44]

Polak, mieszkaniec Radziłowa

[…] Policja porządkowa była w mieście Radziłów zorganizowana w pierwszych dniach wejścia wojsk

niemieckich na nasze tereny. Do policji tej należeli następujący mieszkańcy osady Radziłów: K. Konstanty, komendant tej policji, obecnie nie żyje, G. Feliks, miał broń, K. Ludwik, miał broń, Ł. Władysław, posiadał broń, później przeszedł do żandarmerii, P. Leon, miał broń.

[…] Kiedy już Niemcy zajmowali urzędy, to zaczęli likwidować policję porządkową i zwalniali ludzi do domów. Natomiast w żandarmerii niemieckiej został G. Feliks z Radziłowa. […] Również D. Władysław z Radziłowa z policji porządkowej samorzutnie przeszedł do niemieckiej żandarmerii, dostając broń i umundurowanie.

HENRYK D.[45]

Polak, mieszkaniec Radziłowa

[…] W 1941 r. na dwa dni przed rozpoczęciem wojny niemiecko-sowieckiej rodzina G. została wywieziona przez NKWD. G. Feliks wraz z innymi kolegami wywieziony został do Białegostoku do więzienia, lecz kiedy Niemcy weszli już na nasze tereny, a Sowieci wycofali się, G. Feliks wrócił z więzienia, a z nim wszyscy, którzy byli aresztowani. Po powrocie do Radziłowa w miesiącu czerwcu 1941 G. Feliks, D. Henryk, G. Aleksander, M. Feliks, K. Ludwik, K. Leon, K. Antoni, Ł. Władysław, P. Leon, każdy z nich znalazł sobie broń – było dużo porzuconej przez wojska sowieckie – oraz nałożył sobie opaskę biało-czerwoną na rękę i założyliśmy policję. Komendantem tej policji był K. Konstanty, obecnie nie żyje. Do osady Radziłowa wtedy przyjechały dwa samochody gestapowców, którzy dodali jeszcze broni

i powiedzieli, że sprawcami tych aresztowań naszych rodzin i nas byli Żydzi. Niemcy kazali spędzać Żydów na rynek w Radziłowie.

W spędzaniu Żydów brał udział G. Feliks, który spędzał Żydów z karabinem w ręku, a często i bił Żydów. Po spędzeniu na rynek około sześciuset Żydów Niemcy kazali spalić tych Żydów. Wtedy Żydów tych spędzono do stodoły murowanej, odległej od rynku około 400 metrów. G. Feliks, jak też i inni eskortowali Żydów do tej stodoły. Po spędzeniu Żydów do stodoły zamknięto wrota, dach słomiany oblano benzyną i podpalił czternastoletni chłopak K., imienia nie znam. G. stał w pierścieniu dookoła stodoły, ażeby Żydzi nie uciekali. Kiedy już Żydzi palili się, chcieli wywalić wrota i uciec, lecz G. i inni nie pozwolili, ponieważ strzelali z karabinów w te wrota.

Po spaleniu Żydów zaczęły się rabunki po mieszkaniach i sklepach pożydowskich. G. Feliks wraz z bratem Aleksandrem zajęli bogaty sklep i towar, jaki się tam znajdował, G. wziął dla siebie i dla swych celów prywatnych. […] Brał również G. Feliks [udział] w łapaniu resztek pozostałych Żydów celem ich wyniszczenia. […] G. po zlikwidowaniu Żydów w Radziłowie wstąpił w tym samym roku, tj. 1941, na służbę niemiecką do niemieckiej policji mundurowej. Po wstąpieniu do niemieckiej policji G. otrzymał umundurowanie i karabin niemiecki. […] W sierpniu 1944 r. G. zdezerterował z niemieckiej policji, ponieważ Armia Czerwona już nadchodziła i front się zbliżał. G. uciekł do partyzantki, tj. do organizacji „AK”. […] Ludwik K. należał do milicji porządkowej. Milicja porządkowa jest to organ, który samorzutnie się zorganizował z miejscowych Polaków przed

wkroczeniem Niemców. Byli tam K., G., K. i ja, innych nie pamiętam.

JAN W.[46]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

[…] Kiedy w 1941 r. przyszli na nasze tereny wojska niemieckie, G. Feliks wstąpił do policji porządkowej zorganizowanej samorzutnie. Wstąpił razem z G. do policji D., K. Ludwik, który zawsze chodził z karabinem, oraz wielu innych z osady Radziłów.

STANISŁAW P.[47]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

W tym to czasie, kiedy tych Żydów gnali do stodoły, widziałem G. Feliksa z bronią, a na rękawie [miał] opaskę biało-czerwoną, jak brał udział w powyższym. […] Chcę dodać, że nie tylko w egzekucji, o której mowa, brał udział G., ale i inni Polacy, lecz nazwisk w tej chwili nie przypominam [sobie].

HENRYK D.[48]
Polak, mieszkaniec Radziłowa

[…] W czasie wymordowania Żydów w Radziłowie pamiętam, że widziałem, jak K. Ludwik i Feliks G., Feliks M. zapędzali Żydów do stodoły, tej samej, w której później zostali spaleni. Zeznania obciążające K. i G. odwołałem na ich prośbę, gdyż o to mnie prosili, w czasie gdyśmy bezpośrednio po osadzeniu w więzieniu przebywali razem na jednej celi, tzw. kwarantannie. Mianowicie nowo przybyli więźniowie przebywają przed rozdziałem po celach na celi

przejściowej przez okres 2 tygodni. […] Nieprawdą jest, by nieletni wówczas K. podpalił stodołę pod przymusem, gdyż uczynił to z własnej i nieprzymuszonej woli. Naftę K. podał M. z Radziłowa. Z okoliczności, że po polaniu płynem z bańki dachu stodoły i zapaleniu zapałki ogień zajął błyskawicznie dach, wnoszę, że był to płyn łatwopalny, a więc nafta czy benzyna.

Po chwili wypadł spod palącej się strzechy jakiś mężczyzna z palącym się na grzbiecie ubraniem. Mieczysław S., stojący niedaleko mnie, strzelił do niego z karabinu. Gdy bezpośrednio po strzale mężczyzna ów konwulsyjnie rzucił się czy podskoczył, zrobiło mi się niedobrze i odszedłem. Prosiłbym o konfrontację z K., inaczej nazywanym E., dla wyjaśnienia całej sprawy.

[…] Grupka ludzi, w której byli: G. Feliks, G. Aleksander i Feliks M., wypowiadała się za tym, by nie plamić sobie rąk krwią żydowską oraz by spalić ich w pustej stodole. Pamiętam, że słowa o pustej stodole wypowiedział Aleksander G.

Z rynku do owej pustej stodoły jest około 300 metrów. W prowadzeniu Żydów z rynku do stodoły wzięła udział prawie cała ludność osady. Byli tam mężczyźni, kobiety i dzieci. Żydzi nie próbowali uciekać, przynajmniej ja nie zauważyłem. „Szli jak barany”. Już obok stodoły jeden Żyd zaczął uciekać. Feliks M. dopędził go, uderzył trzymanym w ręku kijem po głowie tak, że wystąpiła krew, po czym ów Żyd zawrócił w kierunku stodoły. Więcej zeznać nie mogę, gdyż jak wyżej wspomniałem, po strzale S. odszedłem.

Po spaleniu stodoły z Żydami cała ludność osady rabowała cały dzień mieszkania Żydów. Mnie wziął taki wstręt, że odszedłem nad rzeczkę i tam przebywałem cały dzień aż do wieczora. Nad rzeką spotkał mnie Stanisław G. i pytał, dlaczego ja biedny nie idę brać rzeczy żydowskich. Odpowiedziałem, że nigdy nie miałem długich rąk i nie będę miał.

Wieczorem tego dnia widziałem, jak wróciłem do osady, jak K. vel E. prowadził na sznurku Żydówkę i zachwalał jakby krówkę prowadzoną na jarmark.

Ja odchodziłem nad rzeczkę, zwracałem się do rabujących ludzi z wezwaniem, by zamiast rabować po spaleniu Żydów, spalili ich rzeczy. Powiedziałem słowami: „spaliliście Żydów, spalcie ich rzeczy, bo tak, jak robicie, to niełądnie jest”. Odepchnięto mnie i poszedłem. Nie było siły, która by mogła ludzi powstrzymać.

HELENA K.[49]

Polka, mieszkanka Radziłowa

Dokładnej daty nie pamiętam, było to, zdaje się, w sierpniu, udałam się z Goniądza do Radziłowa celem wyszukania mieszkania dla rodziców męża, gdyż wiedziałam, że po likwidacji Żydów są tam wolne mieszkania. G., imienia nie pamiętam, oświadczył mi, że mieszkania są już pozajmowane. Wyraził się wówczas tak: „Jak trzeba było likwidować Żydów, to nikogo nie było, a teraz zjeżdżacie się po mieszkania”. Matka mego męża, już nieżyjąca, oświadczyła wówczas: „Teraz nie chcą dać mieszkania, a wnuczkę moją posłali do oblewania benzyną stodoły”. Dotyczyło to jakiegoś bliżej mi nieznanego K. Zaznaczam, że

tych samych słów co G. użył D., który miał opaskę na ręku. Bliżej go nie znam.

[…] Wiadomym mi jest dokładnie, że w czasie kiedy w stodole S. w Radziłowie spalono około tysiąca Żydów, Henryk D. i G. byli uzbrojeni w karabiny i nosili opaski biało-czerwone.

Przypisy

[1] J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi w Jedwabnem i okolicy do 22 czerwca 1941 roku*, IPN – OBEP Białystok, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn w sprawie spalenia osób narodowości żydowskiej 10 lipca 1941 r. w Jedwabnem, prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, OKŚZpNP, IPN Białystok.

[2] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.

[3] Akta śledztwa S15/01/Zn w sprawie zabójstwa w dniu 7.07.1941 r. w Radziłowie 800 osób narodowości żydowskiej, z których część zastrzelono, a część spalono w stodole, prowadząca prokurator Małgorzata Redos-Ciszewska (postępowanie zawieszone), OKŚZpNP, IPN Białystok.

[4] Tamże.

[5] Tamże.

[6] Tamże.

[7] Tamże.

[8] Jan R., *Dlaczego żywcem spaleni w 1941 roku?*, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.

[9] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.

[10] Tamże.

[11] T. Strzembosz, *Antysowiecka partyzantka i konspiracja nad Biebrzą X 1939 – VI 1931*, Warszawa 2004, s. 78.

[12] Akta śledztwa S25/03/Zk w sprawie fizycznego i moralnego znęcania się nad Janem Kiełczewskim przez

funkcjonariuszy NKWD w Brześciu 1940 r., prowadzący prokurator Jerzy Kamiński, OKŚZpNP, IPN Białystok.

[13] J. Orzechowski, *Aby pamięć nie zginęła. Służba Zwycięstwu Polski, Związek Walki Zbrojnej, Armia Krajowa na terenie powiatu grajewskiego w latach okupacji 1939–1944*, Rajgród 1993.

[14] T. Strzembosz, *Antysowiecka…*, dz. cyt.

[15] Akta śledztwa S50/04/Zn w sprawie zbrodni popełnionej przez żandarmów niemieckich na terenie Jedwabnego i okolicznych wsi powiatu Łomża, województwo białostockie, w okresie od 1941 do 1945 r., prowadzący prokurator Zbigniew Kulikowski, OKŚZpNP, IPN Białystok.

[16] Akta sygn. Sr 386/1947/, [w:] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.

[17] Podobnie kolejny polski zbrodniarz z Radziłowa Zygmunt S. po wojnie wskazywał, że to na polecenie polskiego podziemia antykomunistycznego została zorganizowana w Radziłowie milicja polska, a on na polecenie podziemia do niej wstąpił. Również felczer z Radziłowa, który wszedł następnie do polskiej rady miasta i był jednym z głównych organizatorów czystki etnicznej w miasteczku, Jan M., po wojnie zeznał, że jego syn Zygmunt M. „Kuba” vel „Kula”, który aktywnie brał udział w mordach, należał razem z Teofilem K. „Kosą”, „Dołęgą”, w latach 1939–1941 do polskiej organizacji podziemnej, jednocześnie pełniąc obowiązki nauczyciela we wsi Wierzbowo. Zygmunt M. po wojnie rozpoczął studia medyczne w Gdańsku.

[18] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.

[19] Wspomnienia Chai F. (Yad Vashem, 03/3033 – 2636/255, data spisania: rechowot 1946 r., maszynopis

w jidysz, k. 306), przeł. S. Szymańska, [w:] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.

[20] Halel (hebr., pochwała, dziękczynienie, psalmy dziękczynne) – termin odnosi się do psalmów 113–118 chwalących Boga. Są one śpiewane w czasie świąt: Pesach, Szawuot, Sukot i Chanuka. Psalm 136 jest nazywany Wielkim Halelem.

[21] Izrael F. w wywiadzie powiedział, że razem z żoną i dziećmi udał się do wsi Konopki, gdzie miał wielu znajomych. Przebywali tam przez pewien czas. Chodzi tu zapewne o pobyt rodziny F. we wsi po pogromie. Potwierdza to relacja Menachema F. (Archiwum ŻIH, relacje 301/1848), w której podaje, że rodzina przeżyła we wsi Konopki.

[22] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.

[23] E. Dmitrów, *Oddziały operacyjne niemieckiej Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa a początek zagłady Żydów w województwie białostockim w lecie 1941 r.*, s. 90–91 [w:] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.

[24] Jan Tabortowski, ps. „Bruzda” w AK i AKO, „Tabor” w WiN-ie (ur. 16 października 1906 r. w Nowogródku, zm. 23 sierpnia 1954 r. w Przytułach) – major Wojska Polskiego, żołnierz AK, AKO i WiN, inspektor inspektoratów III łomżyńskiego i IV suwalskiego AK, prezes rejonowy WiN.

[25] Akta sygn. Sr 386/1947, [w:] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.

[26] Tamże.

[27] IPN Bi 045/1447.

[28] IPN Bi 403/86.

[29] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.

[30] Tamże.

[31] Tamże.

[32] Tamże.
[33] Jan R., *Dlaczego żywcem spaleni w 1941 roku?*, [w:] Akta śledztwa S1/00/Zn, dz. cyt.
[34] Archiwum Państwowe w Suwałkach – Oddział w Ełku, Sąd Okręgowy w Ełku 1944–1950, V K. 154/48, k. 8–13, 1948 kwiecień 6, Grajewo – Protokół przesłuchania podejrzanego Antoniego K. przez oficera śledczego PUBP w Grajewie chor. Kazimierza T.
[35] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.
[36] Tamże.
[37] Tamże.
[38] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt., oraz akta sprawy IPN Bi 408/183.
[39] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.
[40] Archiwum ŻIH, relacja 301/1846, Białystok 14.06.1946 r. l.p. 57/46, oraz akta sygn. Sr 386/1947, [w:] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.
[41] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.
[42] IPN Bi 408/183; a także w: Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.
[43] Akta śledztwa S15/01/Zn, dz. cyt.
[44] Tamże.
[45] Tamże.
[46] Tamże.
[47] Tamże.
[48] Tamże.
[49] Tamże.

Wąsosz

> Interpretacja wydarzeń powstała na podstawie relacji polskich i żydowskich świadków, które są dostępne w materiałach sądowych i śledczych Instytutu Pamięci Narodowej, głównie w aktach śledztwa 19/06/Zn w sprawie wzięcia udziału w zabójstwach obywateli polskich narodowości żydowskiej w dniu 5 lipca 1941 r. w Wąsoszu, pow. Grajewo, prowadzonego przez prokuratora Radosława Ignatiewa, oraz w innych materiałach z epoki.

Między rozpoczęciem przez Niemcy 22 czerwca 1941 r. działań wojennych a pierwszym atakiem na Żydów w Wąsoszu upłynęło aż 13 dni. To stosunkowo długi okres. Długi, ponieważ biorąc pod uwagę siłę polskiego podziemia antykomunistycznego na tych terenach, stopień jego zorganizowania oraz siłę bojową, potwierdzoną wiosną 1941 r. zamachem na naczelnika jedwabieńskiego NKWD, byłoby można tego rodzaju akcji pacyfikacyjnej oczekiwać wcześniej. Uwzględniając jednak ogólne zamieszanie spowodowane wojną, walkami z Armią Czerwoną, w których polscy partyzanci brali udział, oraz proces wyłaniania się polskich władz w łomżyńskich miasteczkach, który też musiał potrwać, można stwierdzić, że ten czas został wykorzystany maksymalnie. Mord został dobrze przygotowany.

Mimo że w Wąsoszu przed wojną żyła liczna wspólnota żydowska, to Polacy przeważali wśród mieszkańców miasteczka. Na podstawie *Księgi adresowej Polski (wraz z W.M. Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosł i rolnictwa*, wydanej w 1929 r. przez Towarzystwo Reklamy

Międzynarodowej w Warszawie, można ustalić, że w tymże roku wśród 1764 mieszkańców miejscowości ponad 1000 było Polakami.

Podobnie jak w innych miasteczkach rejonu, w Wąsoszu przed wybuchem wojny wśród polskich mieszkańców dominowały postawy skrajnie nacjonalistyczne. Większość z tutejszych Polaków, z miejscowym proboszczem ks. Piotrem Krysiakiem i jego następcą (od 1938 r.) ks. Antonim Kuklewiczem na czele, była aktywnymi działaczami Stronnictwa Narodowego. Tak jak i w nieodległym Radziłowie czy Jedwabnem, członkowie ugrupowania atakowali swoich żydowskich sąsiadów, organizowali w miasteczku bojkoty sklepów żydowskich, wybijali szyby w żydowskich domach, bili żydowskich przechodniów na ulicach.

Spośród znanych przedwojennych członków Stronnictwa Narodowego, którzy 5 lipca 1941 r. wzięli udział w mordowaniu swoich żydowskich sąsiadów, wymienić można: Juliana P., Józefa L., Józefa Z., Kazimierza Sz., Tomasza K., Jana K., D., Józefa O., Bolesława K. Również Jan Ł.[1], sołtys pobliskiej wsi Nieciki, od 1932 r. należał do narodówki i uczestniczył w pogromie Żydów w miasteczku. Mieszkańcy Niecik brali także udział w zakopywaniu ciał Żydów zabitych w Wąsoszu w leżącym nieopodal miejscowości rowie przeciwczołgowym. Sam zaś Jan Ł. po wojnie został oskarżony o wydanie żandarmerii niemieckiej ukrywających się we wsi dwóch żydowskich chłopaków, jednak został od winy uwolniony prawomocnym wyrokiem sądu. Jan Ł. od 1941 r. należał również do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego i po 1945 r. aktywnie zwalczał władzę ludową, co nie przeszkadzało jednak komunistycznemu sądowi wypuścić go na wolność.

Spośród innych uczestników mordu w Wąsoszu, późniejszych członków Narodowych Sił Zbrojnych lub Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, wymienić należy: Mariana R., jednego z głównych sprawców, który, jak sam po wojnie opowiedział, w lipcu 1941 r. został zwerbowany do Armii Krajowej przez Józefa G., zamieszkałego w Zakrzewie, i Franciszka N. ze wsi Rydzewo. W organizacji był do chwili wyzwolenia Polski spod okupacji niemieckiej; nosił pseudonim „Lis". Po rozwiązaniu AK w 1945 r. wstąpił do podziemnego Narodowego Zjednoczenia Wojskowego – zwerbowali go Stanisław R. i Stanisław D. z Wąsosza. W NZW nadal posługiwał się pseudonimem „Lis". Ujawnił się w 1947 r.

Również Józef M. i Julian P. należeli do NSZ-NZW. Antoni J., kolejny ze sprawców wąsoskiego mordu, oświadczył, że w 1942 r. wstąpił do organizacji Narodowe Zjednoczenie Wojskowe, do której został zwerbowany przez Stanisława K. „Jastrzębia" z Wąsosza; służył w niej do 21 kwietnia 1947 r. Spośród zbrodniarzy z miasteczka do NZW należeli też: Jan Sz. „Ułan", Józef L., Stanisław G. oraz Stanisław R. Inny ze sprawców masakry, Józef M.[2], po wojnie służył w organizacji Wolność i Niepodległość w oddziale Piotra B., ps. „Poręba"[3].

Interesująca jest historia Józefa K., który po wojnie zeznał, że w 1941 r. jako komendant antyfaszystowskiego i lewicującego Związku Walki Wyzwoleńczej[4] prowadził z ramienia organizacji śledztwo w sprawie zbrodni w Wąsoszu i nakazał nawet wykonanie wyroków śmierci na kilku polskich zbrodniarzach. Ten sam jednak Józef K. już w 1943 lub 1944 r., gdy był zastępcą komendanta NSZ w powiecie Grajewo, był przez świadków wskazywany jako jeden z przywódców masakry Żydów w miasteczku.

JÓZEF K.[5]
Polak, mieszkaniec Wąsosza

Gdzieś w połowie lipca 1941 r. powróciłem do Wąsosza i wtedy od miejscowej ludności, a między innymi i P. Stanisława, dowiedziałem się, że w końcu czerwca lub początku lipca 1941 r. Polacy wymordowali kilkadziesiąt rodzin żydowskich zamieszkałych w Wąsoszy. Między innymi ze znanych mi rodzin żydowskich wymordowane zostały takie jak rodziny: W. – który był kowalem, M., G., F. i G. i inni.

Jak mówili mi następnie mieszkańcy wsi Wąsosz, to przywódcami tych masowych mordów byli: Tomasz K., G. Stanisław, P. Szczepan, D. Jakub, mieszkańcy Wąsosza. W sierpniu lub wrześniu 1941 r. interesowałem się sprawą mordu Żydów z ramienia organizacji Związku Walki Wyzwoleńczej, w której w tym czasie pełniłem funkcję komendanta rejonu na terenie gminy Wąsosz.

Czyniłem to dlatego, by nie przyjmować ludzi do organizacji skompromitowanych współpracą z Niemcami. W wyniku przeprowadzonych przez mnie dochodzeń ustaliłem, że organizatorami i przywódcami mordów na ludności żydowskiej byli właśnie ci, o których powiedziałem. W rezultacie tego organizacja ukarała karą śmierci, wykonując wyroki na G. Stanisławie i D. Jakubie. W trakcie tego dochodzenia ustaliłem udział w dokonywaniu mordów przez J. Antoniego. Dokładnych danych w tej sprawie udzieliła mi G. Judeska, obecnie występująca pod nazwiskiem G. Jadwiga. G. Jadwiga jest pochodzenia żydowskiego i w czasie omawianych mordów wymordowano całą jej rodzinę. W 1941 r.

> rozmawiałem z nią, lecz wówczas nie udzieliła mi wyczerpujących odpowiedzi, dlatego że obawiała się, by Niemcy jej nie wykryli. Każdy mieszkaniec Wąsoszy zna sprawę mordowania Żydów i o ile sam nie maczał w tym rąk, to udzieli odpowiedzi, kto i w jaki sposób mordów tych dokonał.

Do najbardziej tajemniczych i przerażających postaci, które wzięły udział w zbrodni w Wąsoszu, należał Mieczysław K., mieszkaniec pobliskiej wsi Świdry-Awissa, późniejszy agent gestapo na tym terenie, a najprawdopodobniej przedwojenny szpieg wywiadu niemieckiego. W swojej pracy agenturalnej używał nazwiska Eugeniusz Z. lub S. oraz pseudonimów „Gienek", „Walter Krause" i „Jan Łoś". Był jednym z inicjatorów zbrodni nie tylko w Wąsoszu, ale także w pobliskim Szczuczynie, gdzie zapisał się niebywałym wręcz okrucieństwem. Przed wojną oraz w czasie okupacji sowieckiej wykonywał pracę listonosza – to zajęcie w połączeniu z szerokimi kontaktami w miejscowych środowiskach Stronnictwa Narodowego czyniło z niego idealnego agenta dla wywiadu niemieckiego.

W Szczuczynie Mieczysław K. wszedł w skład tzw. sądu trzech[6], który wydawał w imieniu władz polskich, powstałych tam po wycofaniu się Sowietów w czerwcu 1941 r., wyroki śmierci na żydowskich mieszkańców miasta. W skład tego szczuczyńskiego „sądu" weszli również Marian Ś. oraz Jan Z. W takim samym zaś „sądzie" w Wąsoszu razem z Mieczysławem K. zasiadali przedwojenni narodowcy bracia K.: Tomasz K. pełnił funkcję sędziego, a jego starszy brat Jan K. – prokuratora. Obrońców nie powołano. „Sąd" ten, podobnie jak w innych miasteczkach rejonu, miał bowiem za zadanie wydawać

wyroki śmierci na ludzi powiązanych z aparatem komunistycznym w Wąsoszu oraz na miejscowych Żydów.

Na podstawie zeznań świadków oraz dokumentów można wskazać również innych, nienależących do żadnych organizacji, sprawców mordów Żydów w Wąsoszu: Jakuba K., Józefa L., Mariana H., Stanisława G., Szczepana P., Jakuba D. czy Józefa P. Niezwykle okrutnych czynów dopuścili się: Jan K., który z pistoletem w ręku zmuszał mężczyzn z Wąsosza do zabijania, oraz Bolesław K., Jan R., Jakub W., Marian M., Józef O., Julian P., Franciszek W. i Bolesław K. Potwornej zbrodni dokonał Antoni S.:

STANISŁAW D.[7]
Polak, mieszkaniec Wąsosza

> […] Pamiętam, że widziałem w niedzielę wieczorem, jak Antoni S. z Wąsosza zabił szpadlem, bijąc w głowę, dwie nieletnie dziewczyny. Jedna z nich to była 12-letnia córka Żyda M. Obie żydowskie dziewczynki wybiegły zza jednej ze stodół i chciały przebiec ulicę, ale dopadł je Antoni S. i zabił uderzeniem szpadla w głowę.
>
> Potem zabójca kazał mojemu sąsiadowi B., imienia nie pamiętam, na furmance zawieźć dwa trupy żydowskich dziewczynek do rowu, gdzie były pozostałe trupy żydowskie. Dwa dni nie mogłem przez to jeść.

Gdy przyjrzeć się koligacjom osób zamieszanych w mordy w rejonie Łomży, na pierwszy plan, obok rodzin K., K. oraz L., wysuwa się też ród G. Otóż Aleksander G. mordował Żydów w Grajewie i Rajgrodzie, w którym mordów dopuścił się również Franciszek G., Feliks G. zaś mordował w Radziłowie. Ten przykład pokazuje, że antysemityzm,

nacjonalizm oraz skłonność do przemocy z jakichś powodów w poszczególnych rodzinach łomżyńskich były bardziej obecne niż w innych. To bardzo interesujący aspekt całych badań, do przeanalizowania przez socjologów czy psychologów społecznych, nie ma tu niestety miejsca, by rozwijać ten wątek. Tutaj należy natomiast zająć się tym, co stało się w Wąsoszu 5 lipca 1941 r. i w okresie ten tragiczny dzień poprzedzającym.

DR SZYMON DATNER[8]
ekspert polskich organów ścigania zbrodni faszystowskich po wojnie

Małe miasteczko Wonsocz albo Wonsosz, powiat Grajewo, liczyło przed wojną 800 Żydów. Ciche to miasteczko padło jako jedno z pierwszych ofiarą zwierzęcych, krwiożerczych instynktów pseudoludzi. Położenie Żydów raptownie się zmieniło. Życie ich stało się teraz piekłem. Niemieccy ludożercy wraz z polskimi chuliganami stali się częstymi gośćmi w domach żydowskich. Niemcy terroryzowali, a chuligani bili i rabowali. W obecności Żydów zwykli byli chuligani „mędrkować" i pytali Niemców: co grozi za zabicie Żyda?

Odpowiedź była, że można „spokojnie" mordować. Jeszcze straszliwsze były noce, kiedy to potwory – zwierzęta zwykli byli wdzierać się do żydowskich domów, katować ludzi i rabować ich dobytek. Nie było dokąd uciekać; wprost przeciwnie, z sąsiednich wsi i osiedli przybywali gnani paniką i dzikim przestrachem pojedynczy i w grupach małych Żydzi, którzy ledwie zdołali uratować nagie życie z rąk rozjuszonych „autochtonów". Po tygodniu Niemcy

wyjechali, pozostawiając swoim miejscowym sprzymierzeńcom swoje błogosławieństwo i nastawienia. Stało się to dnia 5 lipca 1941 r. Polska policja razem z miejscową chuliganerią wdarła się do żydowskich domów miasteczka i przeprowadziła swe zbożne dzieło wedle wzorów rzezi kiszyniowskiej.

Mordowano w mieszkaniach i na ulicach, kobiety gwałcono i obcinano piersi, małe dzieci rozwalano o ściany, z martwych ciał obcinano palce ze złotymi pierścionkami, z ust wybijano złote zęby.

Gdy natknięto się w mieszkaniu na dzieci wraz ze swoimi rodzicami, wówczas mordowano najpierw dzieci, a następnie rodziców. Zamordowano również kilku radzieckich urzędników i żony radzieckich oficerów, którzy nie zdążyli ewakuować się.

Rzeź trwała trzy dni. Tyle czasu pozostawili Niemcy mordercom na dokonanie „roboty". Z 1200 Żydów, którzy znajdowali się wówczas w miasteczku, pozostało 15, którzy ukryli się. Tych 15 nie pozwolili Niemcy już zabić. Zwłoki około 1200 Żydów z Wąsoszy i okolic zostały pogrzebane koło kolonii pod miasteczkiem. […] Z powiatów szczuczyńskiego, grajewskiego, z Tykocina, Wasilkowa i innych pomniejszych miejscowości dochodzą wieści o potwornych, masowych mordach dokonywanych na ludności żydowskiej za aprobatą niemiecką przez miejscową czarną reakcję i chuliganerię.

Zatem, jak wynika z relacji doktora Szymona Datnera, wraz z wkroczeniem w czerwcu 1941 r. do Wąsosza wojsk niemieckich powstała w miasteczku polska milicja. Warto również podkreślić, że według zeznań m.in. Hieronima P. oraz meldunków operacyjnych samych Niemców z 221.

Dywizji Zabezpieczającej w czasie mordu w Wąsoszu nie było żadnych żołnierzy niemieckich:

> *Dowództwo Polowe Łomża. Przez polską ludność w Wąsoszu wykończona została stodoła pełna Żydów zaraz po wycofaniu się Rosjan, zanim dotarła tam niemiecka załoga*[9].

HIERONIM P.[10]
Polak, mieszkaniec Wąsosza

Pamiętam, że była to niedziela około godziny 3 nad ranem. Do mego mieszkania zapukał L. Józef, który to bardzo szorstkim głosem mówił: „P., wstawaj, ubieraj konia i czym prędzej wyjeżdżaj na rynek, gdy nie wyjedziesz, to ciebie spotka taki sam los, jak spotkał Żydów, że i ciebie zabijemy!”. Ja się nie spieszyłem, lecz widząc, że jadą gospodarze, jak K. Józef, K. Stanisław, widząc, że ci jadą, ja również wyjechałem na rynek. Jadąc, po drodze widziałem, jak R. Marian, W. Franciszek, K. Tomasz i D., imienia nie znam, gonili Żydówkę M., imienia jej nie wiem, którą to po dopędzeniu zabili, lecz kto ją zabił, tego nie zauważyłem, lecz pamiętam, że po zabiciu jej wrzucili mi ją na wóz, lecz nie mogę dokładnie powiedzieć, kto, gdyż koń mój przestraszył się i chciał uciekać. Wobec czego ja musiałem uważać na konia.

Dalej D. i K. nakładli mi pełen wóz trupów żydowskich, lecz ilu ich było, tego nie pamiętam. Po nałożeniu mi ich na wóz kazali mi jechać, gdy ja ich zapytałem, gdzie mam jechać, to K. mówił mi: jedź na pole Ś., tam jest rów i tam ich wywal.

I ja tam pojechałem, przy rowie tym był obecny G., pasał on tam krowy z całego Wąsosza i ten pomagał

mi zdjąć trupy z wozu do rowu.

Poza tym trupy pomordowanych Żydów woził jeszcze, jak mi wiadomo, S. Mieczysław. K. Józef oraz K. Stanisław zwozili piasek, którym to zasypywali kałuże krwi z pomordowanych Żydów. Za Żydami latało więcej osób, lecz nazwisk ich nie znam. Jak sobie przypominam, to K. miał bagnet, inni również mieli narzędzia mordu w postaci grubych kołków, szpadli i wideł, lecz co który z nich posiadał, tego nie pamiętam.

Jak słyszałem, to resztki Żydów gonili prosto do tego dołu, gdzie to ich na miejscu zabijali, lecz kto już dokonywał tego, nie wiem. Gonić mieli tam Żydów w różnych porach dnia.

Morderstwa te miały miejsce, gdy Rosjanie wyszli, a Niemcy jeszcze nie weszli do Wąsosza.

Podobnie jak później w sąsiednich Radziłowie i Jedwabnem, nic w Wąsoszu nie działo się chaotycznie – wszystko zostało skrupulatnie zaplanowane. Co o tym świadczy?

Po pierwsze, świadkowie podkreślali w zeznaniach, że mordercy używali do popełniania zbrodni specjalnie wcześniej przygotowanych narzędzi, takich jak okute pałki czy sprężyny z odważnikami. Żeby przygotować takie przedmioty, trzeba czasu, pomysłu i planu. Nie sposób ich wykonać w kilka chwil.

Po drugie, aby żaden Żyd nie zdołał uciec, Wąsosz został otoczony przez specjalnie do tego celu wyznaczonych polskich mieszkańców. Istnieli zatem dowódcy akcji eksterminacyjnej, którzy wydawali polecenia i rozkazy, rozstawiali ludzi na rogatkach miasta i w zbożu, wszędzie tam, gdzie mogli się ukryć Żydzi. Istniała zatem hierarchia

i struktura dowodzenia. Ktoś chodził po domach i wzywał Polaków do mordu, ktoś wyznaczał, kto ma konwojować Żydów, kto ma zabijać, a kto zwozić zwłoki i kto ma zacierać ślady krwi piaskiem.

Po trzecie, pochówku, a także części morderstw, dokonano w miejscu najlepszym z możliwych – głębokim rowie przeciwczołgowym wykopanym przez żołnierzy Armii Czerwonej – a więc miejsce to wybrano w sposób przemyślany.

Po czwarte, jeśli weźmiemy pod uwagę te wszystkie fakty, tj.: negocjacje z Niemcami, którzy przed zbrodnią zjawili się w miasteczku w towarzystwie Mieczysława K. i rozmawiali z przywódcami miejscowej ludności, obstawienie miasta przez Polaków, organizację mordu, hierarchię dowodzenia świadczącą o zorganizowaniu się sprawców, mordowanie na ogół w nocy i wreszcie zaplanowane pozbycie się ciał oraz zacieranie śladów – to otrzymamy schemat działań powtórzony następnie zarówno w Radziłowie, jak i Jedwabnem, Szczuczynie, Grajewie, Rajgrodzie, Goniądzu i innych miasteczkach regionu.

Co o wydarzeniach w Wąsoszu mówią ich świadkowie?

MARIAN R.[11]

Polak, mieszkaniec Wąsosza

> Po wyjściu wojsk radzieckich weszły patrole niemieckie, które to spaliły synagogę; po spaleniu jej wyjechali. Po patrolu do Wąsosza przybyło gestapo niemieckie, wraz z nim przyjechał Łoś Jan [Mieczysław K. – przyp. M.T.], który również był w gestapo. Do gestapowców przyszli K. Józef i L. Józef. Łoś i K. rozmawiali z Niemcami w języku

niemieckim, tak że o czym oni rozmawiali, ja nie wiem, gdyż nie znam języka niemieckiego.

Niemcy po krótkiej rozmowie pojechali do rynku, gdzie mieszkał G. oraz D. Za nimi poszedł L. Józef. O czym Niemcy rozmawiali z K., L., G. i D., nie wiem, gdyż wraz z nimi nie byłem. Te wydarzenia miały miejsce w sobotę przy końcu czerwca 1941 r. w godzinach rannych. Około godziny 13 do mnie do kuźni przyszedł L. Józef i polecił mi iść za stodoły w Wąsoszu w żyto i tam uważać, gdzie będą się chować Żydzi, gdyż tam będą oni uciekać. „Ty będziesz ich nawracał z powrotem do miasta, a my tam z nimi będziemy się załatwiać".

Ja, zgodnie z poleceniem L., udałem się we wskazane miejsce z kijem własnej roboty, taką sztachetą z płotu. W życie stałem sam, później mogła być godzina 19, względnie 20. D. Jakub przyprowadził mi jeszcze do pomocy W. Franciszka, który miał również sztachetę z płotu, i my we dwójkę chodziliśmy po Żydach. Wypędziliśmy rodzinę żydowską, która pochodziła z Grajewa, a ukrywali się u M. w Wąsoszu. Poprowadził ich G., który przyszedł nas skontrolować, G. miał przy sobie pistolet.

W życie stałem wraz z W. Franciszkiem przez całą noc, nad ranem przyszedł do nas K., G. i D., w tym czasie myśmy razem udali się w stronę rynku. Idąc przed nami, wyskoczyła Żydówka Z., imienia jej nie znam. Zauważył ją K. i polecił mi ją zabić. Ja rzuciłem kijem i trafiłem [w] nią, i Z. przewróciła się, mogła mieć ona około 20 lat. Gdy ona się przewróciła, to dobiegł do niej K. i rzuconą uprzednio przeze mnie w nią sztachetą dobił ją, uderzając pięć razy w głowę.

Całkowicie zabił ją P. Julian z Ławska, który również był z nami. Myśmy wszyscy razem szli dalej do rynku.

Gdy K. dobijał Z., w tym czasie nadjechał wozem Ch., jechał on od rynku, za nim szedł L. Polecił zabrać Ch. trupa Z., którego to G. z P. wrzucili mu na wóz. Miało to miejsce w niedzielę rano.

Ja z nimi udaliśmy się do rynku, gdzie K. wypędził z domu znajdującego się przy rynku, gdzie obecnie znajduje się gospoda, Żydówkę B. Uderzył ją kijem zakończonym w żelazo, później wbił jej nóż w piersi i to również wrzucili Ch. na wóz drabiniasty, na którym było już pełno Żydów pomordowanych.

Udział w mordowaniu Żydów, co ja widziałem, brali P. Julian, L. Józef, Z. Józef, Sz. Kazimierz, K. Tomasz, K. Jan, D., O. Józef, K. Bolesław i inni. Wszyscy wyżej wymienieni byli członkami Stronnictwa Narodowego. Jak sobie przypominam, do M. pędził K., który szedł przed nami, kto więcej brał udział w mordowaniu Żydów, tego nie mogę zeznać, gdyż Żydzi byli mordowani po całym Wąsoszu, a ja podaję tylko to, co widziałem.

STANISŁAW D.[12]

Polak, mieszkaniec Wąsosza

[…] Wiem, że do wojny w Wąsoszu było około 1000 Żydów, bo był taki spis przed wojną w gminie. Żydów było mniej w Wąsoszu niż Polaków. Po wybuchu wojny w 1939 r. wojsko niemieckie, jak się zjawiło, tak zaraz poszło dalej. Zaraz potem weszli Rosjanie. W tym czasie do Wąsosza przyjeżdżali różni uciekinierzy. Pamiętam trzy bogate rodziny żydowskie z Warszawy, które uciekły przed Niemcami. Potem te rodziny za

Stalina wywieziono na Syberię do Rosji. Rosjanie zaraz zrobili milicję.

Poszło do niej kilku młodych Żydków, ale byli w tej milicji krótko. Rabin przemówił im do rozsądku i oni wypisali się z tej milicji. W 1941 r., było to w tydzień czasu po zajęciu przez wojska hitlerowskie powiatu Grajewo, do miejscowości Wąsosz przybył K. Mieczysław, który pochodzi ze wsi Świdry-Awissa, wspólnie z dwoma gestapowcami. K. znałem jako listonosza, który obsługiwał Wąsosz.

Pamiętam dokładnie, że było to wieczorem w dzień piątkowy, i wspominam, że K. ubrany był w mundur gestapowca. Zorganizował wówczas z gestapowcami na rynku w Wąsoszu wiec, na którym obecnych nawoływał do mordowania ludności żydowskiej. Ja osobiście nie brałem udziału w tym wiecu, lecz wiem, że tak było, z opowiadań sąsiadów. Po skończonym wiecu dwaj gestapowcy oblali benzyną kościół żydowski, podpalając go.

W tym czasie K. omawiał na wiecu, w jaki sposób należy mordować Żydów, przy tym zaznaczył, że o ile Polacy tego nie dokonają, to sami zostaną wymordowani. Tegoż wieczora K. z gestapowcami odjechali w kierunku Szczuczyna, gdzie wówczas, jak później się dowiedziałem, zorganizowali podobny wiec. Przez cały dzień w sobotę był spokój, natomiast gdzieś około godziny 3 lub 4 nad ranem w niedzielę obudzony zostałem stukaniem do okna mego mieszkania. Gdy podszedłem do okna, zobaczyłem mego sąsiada P. Józefa, który trzymał jakieś narzędzie w ręku i powiedział, bym natychmiast zaprzęgał konia do wozu i przywiózł piasek potrzebny do zasypywania krwi na uliczkach, pozostałej jako ślady po

zamordowanych Żydach. […] Poszedł mój brat Czesław, który w tym czasie liczył 22 lata, już nie żyje. Przyjechał z powrotem około godziny 10 rano.

Wówczas z jego opowiadań dowiedziałem się, że zwoził pomordowanych Żydków do rowów pozostałych jako okop wojska radzieckiego. Brat Czesław opowiadał mi, że był świadkiem, jak J. Antoni, G. Stanisław mordów tych dokonywali.

W niedzielę w godzinach wieczornych udałem się do G. Stanisława i z nim poszedłem do K. Bolesława. Zmówiliśmy się, że we trzech warto by wypić trochę wódki, i w tym celu udaliśmy się na rynek. Stojąc na rynku, usłyszeliśmy krzyk ludzi w budynku gminnym. Spojrzeliśmy w tym kierunku i wówczas spostrzegliśmy, że z budynku wyszedł K. Jan z bronią, pistoletem w ręku. K. podszedł do nas i powiedział „musicie zagnać kilku Żydków do okopów w stronę wsi Nieczkowo" [Niećkowo].

[…] W budynku aresztu przedwojennej policji trzymano wtedy Żydów, także kilkunastoletnie dziewczynki. Wtedy Tomasz K. był sędzią dla Żydów, a jego starszy brat Jan K. był prokuratorem. Żydów już nie zabijali w osadzie, tylko łapali i prowadzili do tego dołu.

Wszyscy stawiliśmy sprzeciw temu, wówczas K. uderzył mnie ręką w twarz i zwolnił starego K., a mnie, G. i synowi K. Władysława pod groźbą broni, tj. użycia pistoletu, polecił iść naprzód. W tym czasie podszedł do nas K. Bolesław z siekierą na ramieniu, która była zbroczona krwią, i wszyscy podeszliśmy pod budynek gminy.

Tutaj na gwizd K. Jana z budynku gminy brat jego K. Tomasz i L. Józef wypędzili z budynku gminnego trzy

rodziny żydowskie, które ja osobiście znałem. Był to H. z żoną i dwojgiem dzieci, którzy posiadali malutki sklepik w Wąsoszu przy rynku. Dalej E. z żoną i jedenastoletnią wychowanką. Żona E. była kulawa na jedną nogę i dlatego nazywaliśmy ją „kulawką”, którzy również posiadali sklepik przy rynku w Wąsoszu. Trzecia rodzina była M., to znaczy on nie był tam, a tylko jego żona z dwojgiem dzieci. Ogółem było więc dziesięcioro osób.

K. Jan polecił tym ludziom iść środkiem ulicy w kierunku wsi Nyćkowo [Niećkowo], a nam iść za nimi. Sam K. Jan szedł z tyłu nas z lewej strony, trzymając pistolet w prawej ręce, a K. Bolesław z prawej strony za nami z siekierą na ramieniu. W ten sposób żaden z nas nie miał możności uchylenia się od prowadzenia ludności żydowskiej na śmierć. W drodze H. z dwojgiem dzieci, znała mnie osobiście, i zaczęła mnie i G. prosić, byśmy wstawili się za jej dziećmi i nie dopuścili do zamordowania ich, to idący z nami L. Józef podskoczył do niej i uderzył ją ręką w twarz, zabraniając rozmowy z nami.

Gdy doszliśmy na miejsce, gdzie były doły po okopach przeciwczołgowych, to jakkolwiek była godzina 21.00, to jednak w lipcu w dzień pogodny nie było tak ciemno. Tutaj zobaczyłem większą ilość ludzi, którzy zasypywali pomordowanych. Do nas podszedł J. Antoni z K. Bolesławem, wegnali wszystkich dziesięć osób do dołu przeciwczołgowego. Był duży płacz i lament tych osób, gdyż wiedziały, że jest to ostatnia chwila ich życia.

Ja, chcąc zobaczyć, kto i w jaki sposób będzie ich mordował, przystanąłem z G. Stanisławem tuż przy dole.

Widziałem naocznie, jak J. Antoni kazał się wszystkim Żydkom kłaść na ziemi, przy tym jedna osoba kładła się głową w jedną stronę, a druga w przeciwną. Następnie J. Antoni bił po głowach tych ludzi posiadanym narzędziem. Była to sprężyna, na końcu której miał umocowany odważnik wagowy. Czy wszystkich uderzył chociaż po razu, w to wątpię, bo robił to błyskawicznie, a następnie krzyknął do stojących opodal ludzi: „Kurwa go mać, zasypywać!”.

Na ten rozkaz ludzie ci zasypali pomordowanych i żywych ludzi żydowskich. Tych ludzi, którzy brali udział w zasypywaniu pomordowanych, ja osobiście nie znam, bo nie pochodzili oni z Wąsosza, lecz z okolicznych wiosek. Po tym fakcie ja z G. i K. udaliśmy się do swych mieszkań, a J. Antoni i inni pozostali nadal.

[…] W 1942 r. wstąpiłem do organizacji Narodowe Siły Zbrojne pod dowództwem „Jaworskiego”, nazwiska jego nie znam. „Jaworski” w 1944 lub też w 1945 r. zginął, a dowództwo objął K. Józef „Bystry” i od tego czasu aż do dnia ujawnienia, tj. wiosny 1947 r., jemu podlegałem.

STANISŁAW M.[13]

Polak, mieszkaniec Wąsosza

Po ustąpieniu władzy radzieckiej z Wąsosza, w miesiącu czerwcu 1941 r., dokładnej daty nie pamiętam, lecz wiem, że było to z soboty na niedzielę, około godziny 3 w nocy do mego mieszkania przybiegł L. Józef, który to polecił mi, abym wstawał i ubierał konia, i wyjechał nim na rynek, lecz po co mieliśmy tam jechać, tego mi nie mówił. Ja jednak nie

spieszyłem się ze wstawaniem i wyjazdem końmi w wyznaczone miejsce przez L. Gdy wyszedłem po paru minutach po obudzeniu, to na ulicy zauważyłem, że przez pole koło naszego zabudowania uciekał jeden Żydek, a za nim pędziło trzech mężczyzn, których nazwisk nie mogę podać. Dalej jednak nie chodziłem, gdyż nie chciałem się mieszać.

Około godziny 10 z rana, idąc do kościoła, widziałem, że Ch. Bolesław wiózł drabiniastym wozem pomordowanych Żydów, za nim szedł L. Józef, który to popędzał Ch., mówiąc: „Prędzej jedź!". Czy L. miał coś w ręku, tego nie pamiętam. Na ulicy było widać kałuże krwi. Najwięcej krwi było widać na ulicy idącej od Szczuczyna przez Wąsosz w kierunku Ławska, pomiędzy pierwszym mostem a drugim. Jak się później dowiedziałem, trupy pomordowanych Żydów wywożone były do rowów pod Miechowo.

Spotkany na ulicy K. mówił nam: „Chłopcy, nie chodźcie tam, gdyż ci złodzieje sprowadzają resztki Żydów do aresztu", areszt znajdował się tam, gdzie obecnie jest Gminna Rada Narodowa, jak dalej zaznaczył K.: „L. tam lata i zbiera Żydów, to może i was do tego wciągnąć". Ja wraz z K., z którym to wtedy szedłem, zawróciłem się do domu.

BOLESŁAW Ł.[14]

Polak, mieszkaniec Wąsosza

W roku 1941 w miesiącu czerwcu, daty nie pamiętam, lecz było to z soboty na niedzielę, w nocy, nad samym ranem. Byłem budzony, lecz przez kogo, tego nie mogę powiedzieć, ponieważ nie wyglądałem przez okno. Nieznany mi osobnik zapukał mi do okna,

mówiąc: „Wstawaj i wychodź na ulicę”. Ja na to wstałem i wyszedłem, spotkałem tam G. Stanisława, z którym to zatrzymałem się na ulicy i widziałem, że R. Marian wraz z innymi pędzili Żyda M. R., gdy prowadził M., to miał w ręku nóż, względnie krótki bagnet. Jak się później dowiedziałem, M. został zamordowany, lecz kto go zamordował, tego nie mogę zeznać, gdyż nie widziałem ani też nie słyszałem.

W czasie morderstw Żydów w Wąsoszu nie było żadnej władzy, gdyż Rosjanie wyszli, a Niemcy tylko się pokazali, lecz przy mordowaniu Żydów ich nie było. Morderstw w tym dniu dokonywali sami Polacy. Kałuże krwi, jak sobie przypominam, zasypywał K. Stanisław; z czyjego polecenia zasypywał, tego nie wiem. Kałuże krwi, zaznaczam, że były po zamordowanych Żydach.

JAN T.[15]
Polak, mieszkaniec Wąsosza

W 1941 r., dokładnej daty nie pamiętam, lecz było to w miesiącu czerwcu, gdy wyszli Rosjanie z Wąsosza, Niemcy najpierw weszli ze swoją patrolą, która to wyszła po paru godzinach. Po wyjściu patroli do Wąsosza przyjechało gestapo, wraz z gestapo przyjechał Łoś Jan, który to współpracował z gestapo, i ten namówił chłopów do bicia Żydów. Tak że w nocy z soboty na niedzielę najwięcej Żydów zginęło.
W mordowaniu Żydów brali udział K. Jan i Tomasz D., oni byli dość śmiałymi mordercami, gdyż w biały dzień chodzili z zawiniętymi rękawami i z nożami, którymi mordowali Żydów. Obecnie nie żyją, zostali zabici przez Niemców. Zaznaczam, że poza wymienionymi

w mordowaniu Żydów brało udział więcej osób, lecz kto, tego nie mogę zeznać, gdyż nie widziałem.

GABRIELA SZ.[16]
dziennikarka, mieszkanka Łomży

[…]Usłyszałam nazwisko pracownika Urzędu Gminy Wąsosz – Mariana K., który był inicjatorem uporządkowania zbiorowej mogiły pomordowanych i wystawienia pomnika. Pojechałam do Wąsosza. Marian K. powiedział mi, że uważał to za swój moralny obowiązek, aby zapewnić pomordowanym godne miejsce spoczynku.

O okolicznościach zbrodni dowiedział się od swojej matki, natomiast jego dziadek był jedną z osób, której mordercy nakazali pogrzebać zwłoki Żydów w rowie przeciwczołgowym.

Zarówno Marian K., jak i inni mieszkańcy Wąsosza, z którymi rozmawiałam o okolicznościach zbrodni, nie chcieli wymieniać nazwisk sprawców. Argumentowali, że chodzi o dobro potomków sprawców, którzy nie byli winni temu, co się stało. Po rozmowie z Marianem K. zaczęłam chodzić od domu do domu. Większość ludzi rozmawiała ze mną anonimowo lub nie chciała podawać swoich nazwisk, obawiając się posądzenia o sympatie prożydowskie. Jednak byli tacy, którzy nie ukrywali swojego nazwiska. Mieczysław M. mówił, że dość dobrze pamięta tamte czasy, ponieważ, jak się wyraził, był „sporym chłopakiem”. Opowiadał o przedwojennych akcjach członków Stronnictwa Narodowego z Wąsosza, tzw. narodowców. Prowadzili oni bojkot handlu żydowskiego, a gdy w 1941 r. wkroczyli Niemcy, zachęcali „Bić Żyda!” i sami tez bili

Żydów z Wąsosza. Co do zbrodni w dniu 5 lipca 1941 r. w Wąsoszu, użył biblijnego określenia, że była to sodoma i gomora; nie wiem, czy Mieczysław M. był naocznym świadkiem zbrodni. Czesława M. przyjaźniła się z Żydówką Enją S., z którą uczyła się w jednej klasie. Tej nocy Enja S. i jej rodzina wykupili się złotem i nie zostali zabici. Ukryli się w swoim domu, gdzie przyszło także około trzydziestu innych Żydów.

Czesława M. wraz ze swoją kuzynką o imieniu Zofia poszły do domu S. z proszkiem do zasypywania ran. Czesława M. mówiła, że Enja ze strachu pogryzła do krwi palce u rąk. Czesława M. z kuzynką Zofią przesiedziały u S. całą noc. Z czasem S. zostali zabrani do getta w Szczuczynie. Pani M. tej samej nocy, kiedy był pogrom, ukryła w snopkach zboża, chyba gdzieś na polu, inną swoją żydowską koleżankę, córkę piekarza, Henię G. Ta dziewczyna nie przeżyła jednak zimy. Gdzieś zamarzła. Czesława M. w noc zbrodni w Wąsoszu widziała zabójstwo Żyda M., jego żony i ich rocznego dziecka. Tę żydowską rodzinę zabili pałkami dwaj znani jej mieszkańcy Wąsosza. Nie chciała podać ich personaliów. Władysława J. miała wtedy 9 lat. Opowiadała, że następnego dnia po nocy zbrodni z innymi dziećmi biegała po opuszczonych żydowskich domach. Z jakiegoś okazałego domu, który nazywała Belwederem, wraz z siostrą zebrała rozsypane pocztówki.

Istotne informacje posiadała Sabina M., córka Władysława L. Jej ojciec był człowiekiem szanowanym w Wąsoszu. Uratował z pogromu Judeskę G., córkę kowala i krawcowej. Matka Judeski wieczorem w dniu zbrodni przyszła do domu L. Przerażona krzyczała, że

szykowany jest pogrom. Sabina M. zapamiętała zdanie: „Dzisiaj mają wybić wszystkich Żydów!”. W nocy Judeska schroniła się u L., a następnie w życie na polu. Także L. schronili się całą rodziną gdzieś na polu, jak określiła Sabina M. – „w torfach”, bowiem uprzednio sprawcy stukali również do okna ich domu. Wzywali kategorycznie, aby Władysław L. przyłączył się do „bicia Żydów”.

Ojca Sabiny M. wzywano kilka razy słowami: „L., do roboty! Bić Żydów!”.

Rankiem Sabina M. widziała skutki obławy przeprowadzonej przez morderców za ukrywającymi się Żydami ocalałymi z pogromu. Widziała prowadzonego przez morderców ojca Judeski G. oraz jej pięcioletniego braciszka Icka. Sabina M. wymieniła w rozmowie ze mną imiona innych członków rodziny G. – sióstr Judeski – Bełci, Ryfki i Ślomki. Te dziewczyny oraz ich dziadkowie, rodzicie i brat Icek zostali wówczas zamordowani w Wąsoszu. Drugi brat Judeski – Mejsiak – został zabity przez Niemców w Radziłowie.

Nie wiem, czy zamordowano go w dniu 7 lipca 1941 r., czy później. Po ocaleniu Judeska G. uciekła do Szczuczyna.

[…] Ci ludzie opowiadali o żydowskich mieszkańcach Wąsosza. Niejaka Ch. miała sklep ze słodyczami. S. prowadził sklep z materiałami łokciowymi. Niejaki M. zajmował się skupem zboża i w swoim sklepie sprzedawał bardzo dobre śledzie, których jakość zapamiętali. Z. i N. prowadzili dwie piekarnie.

Żydówka Rajna skupowała drób. Notek i Lejbka byli kowalami, szewc Moszka robił buty, Siaj i Ajzyk byli krawcami, Sydło – właścicielem olejarni, a G.

handlował owocami. Te dane spisywałam na bieżąco z rozmów ze starszymi mieszkańcami Wąsosza. Opowiadali oni także o sprawcach, ale bez podania nazwisk. Zawarta przeze mnie liczba morderców Żydów oparta jest na słowach moich rozmówców, którzy ocenili, że było ich około trzydziestu. Kiedy w styczniu 1995 roku pisałam tekst o Wąsoszu, miało żyć jeszcze dwóch morderców. Obaj byli wtedy w wieku około 80 lat. Ludzie nie mówili, czy sprawcami zbrodni byli wyłącznie mieszkańcy Wąsosza, czy także okolicznych wsi.

Zapisałam informacje o jednym ze sprawców, który miał być w czasie wojny członkiem Armii Krajowej. Wsławił się tym, że kreskami zaznaczał na kolbie karabinu kolejnych zamordowanych przez siebie ludzi. Moi rozmówcy określali obrazowo, że miał „zawsze ręce we krwi". O zabójcach Żydów mówili, że niektórzy z nich po wojnie dosłownie „doczekali się kombatanctwa". Charakterystyczne było to, że żaden z moich rozmówców nie wspomniał nigdy o inspiracji czy udziale Niemców w tej zbrodni. Ktoś wspomniał jedynie, że wkroczenie Niemców w 1941 r. było zbrodniarzom narodowcom na rękę.

Na koniec chciałabym podkreślić pewną niezgodność w dacie. Moi rozmówcy jako datę zbrodni podali noc świętojańską, czyli z 23 na 24 czerwca 1941 r., w nocy z soboty na niedzielę. Tymczasem, jak wiadomo, zbrodni dokonano w nocy 5 lipca 1941 r. Nie wiem, skąd wynika ta rozbieżność.

JADWIGA K.[17]
Żydówka, mieszkanka Wąsosza

Gdy wojska niemieckie wkroczyły do wsi Wąsosz w czerwcu 1941 r., wówczas zaczęło się prześladowanie Żydów. Również ja i moja rodzina byliśmy prześladowani przez miejscową ludność polską. […] Pamiętam, że uciekłam z Wąsosza w czwartek, a z soboty na niedzielę odbyło się mordowanie ludności żydowskiej, przy czym zginęła cała moja rodzina, tj. ojciec, matka i pięcioro rodzeństwa.

Wiadomo mi z opowiadań ludzi, że mordów na ludności żydowskiej dopuścili się Polacy, mieszkańcy wsi Wąsosz, a w szczególności L. Józef, K. Jan, K. Tadeusz, J. Antoni, lecz jaką rolę pełnił poszczególny z nich, tego nie wiem. Zginęło wówczas około 1000 osób narodowości żydowskiej.

Niemcy wówczas żadnego udziału w tym nie brali, tylko mieszkańcy polscy. […] Od ludzi dowiedziałam się, już po wyzwoleniu, że mojego ojca i brata zamordował niejaki R. Jan.

ZOFIA L.[18]

Polka, mieszkanka wsi Kownatki

Mąż mój przez krótki okres czasu pracował w roszarni lnu w Ełku. Wydaje mi się, że to właśnie w tej pracy spotkał się z zatrudnionym tam człowiekiem, pochodzącym z Wąsosza. W tym momencie nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. On w pracy opowiadał w obecności męża, a nawet chwalił się swoim udziałem w mordowaniu Żydów w Wąsoszu. Opowiadał, że w tej zbrodni brał udział jego stryj. Mąż mi przekazał relację tego zabójcy. Według jego słów spędzili żydowskich mieszkańców Wąsosza w okolice

cmentarza za wsią. Kazali się układać ludziom na wznak, przykładali im łopaty do gardeł i wbijali nogami. I już człowieka nie było. Stryja tego mordercy, który też uczestniczył w zbrodni, nawet znał. On pracował w transporcie w Ełku. Kiedyś wypadł przez burtę z samochodu i zabił się. […] Ten jego bratanek, który opowiadał mężowi o swoim udziale w zbrodni w Wąsoszu, dużo pił. Dość dawno spadł ze schodów w swoim bloku i zabił się.

Co smuci najbardziej, również po wojnie niebezpiecznie było przyznawać się do żydowskiego pochodzenia.

HALINA P.[19]
Żydówka, mieszkanka Ełku

Jestem córką nieżyjącej Jadwigi K. z domu G. Od matki wiem, że jej rodzice Fryda i Lejda G. mieszkali we wsi Wąsosz, pow. grajewski. Moja mama nie za bardzo chciała opowiadać o swojej rodzinie i jej losach. Pamiętam, że zawsze mówiła mi i mojemu bratu Wacławowi, abyśmy nikomu nie mówili o swoim pochodzeniu. Mama mówiła, że jej rodzinę w czasie wojny zabili polscy bandyci. Nie podawała szczegółów. Mówiła, że zabito jej dziadków, rodziców, siostry oraz jednego z braci. Mama bała się o tym mówić. Kiedyś, kiedy już byłam mężatką, w latach siedemdziesiątych, podczas odwiedzin u mamy pokazała mi kartkę pocztową. Nie było na niej żadnego nazwiska wysyłającego, była pieczęć pocztowa z Ełku. Na kartce takim nieporadnym pismem ktoś napisał, żeby mama nie pisnęła ani słowem na temat zbrodni w Wąsoszu, bo inaczej zabita zostanie nasza rodzina.

Mówiłam mamie, żeby poszła na milicję, ale nie chciała.

Ja sama dowiedziałam się o swoim pochodzeniu dopiero w wieku 16 lat.

Przypisy

[1] Jan Ł., wieś Nieciki, sprawa IPN Bi 408/14.
[2] Akta sprawy, IPN Bi 212/175.
[3] Akta sprawy, IPN Bi 212/4918.
[4] Związek Walki Wyzwoleńczej (ZWW) – konspiracyjna organizacja antyfaszystowska utworzona przez komunistów polskich w Warszawie we wrześniu 1941 r., po ataku Niemiec na ZSRR.
[5] Akta śledztwa 19/06/Zn w sprawie wzięcia udziału w zabójstwach obywateli polskich narodowości żydowskiej w dniu 5.07.1941 r. w Wąsoszu, pow. Grajewo, prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, OKŚZpNP, IPN Białystok.
[6] Akta sprawy, IPN Bi 415/118.
[7] Tamże.
[8] Relacja dr. Szymona Datnera *Churban Białystok – zagłada Białegostoku. Rozdział 13: Rzeź w Wąsoszy*, ŻWHK, Białystok, 28. 11.1946 r., sprawa sygn. Sr 674/50, [w:] Akta śledztwa 19/06/Zn, dz. cyt.
[9] Akta śledztwa 19/06/Zn, dz. cyt.
[10] Tamże.
[11] Tamże.
[12] Tamże.
[13] Tamże.
[14] Tamże.
[15] Tamże.
[16] Tamże.
[17] Tamże.
[18] Tamże.

[19] Tamże.

Szczuczyn i okolice

Interpretacja wydarzeń powstała na podstawie relacji Barbary K.-R., Chai S.-G., Mojsze F., Fiszla M., Ruwena F., Icchaka W. oraz zeznań polskich i żydowskich świadków, które są dostępne w materiałach sądowych i śledczych Instytutu Pamięci Narodowej, m.in. w aktach śledztwa S8/12/Zn w sprawie wzięcia udziału w zabójstwie dwudziestu kobiet narodowości żydowskiej, o nieustalonych personaliach, dokonanej w bliżej nieokreślonym czasie, w sierpniu 1941 r., w lesie w okolicy wsi Bzury i gm. Szczuczyn, obecnie w pow. grajewskim, woj. podlaskim, przez sprawców narodowości polskiej, prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, aktach śledztwa S36/03/Zn w sprawie zbrodni popełnionych przez żandarmów niemieckich w Szczuczynie, prowadzący prokurator Jerzy Kamiński, oraz materiałów z epoki.

SZCZUCZYN

W Szczuczynie od wieków istniała prężna, zamożna i liczna wspólnota żydowska. Według danych z 1921 r. Żydów było tu w tym okresie 2506, stanowili 56 proc. ludności miasteczka. Wobec braku twardych danych statystycznych można domniemywać, że liczba żydowskich mieszkańców przez następne lata wzrosła, ponieważ Szczuczyn był dużym miastem i dynamicznie rozwijającym się ośrodkiem handlu. W momencie wybuchu II wojny światowej liczebność szczuczyńskiego sztetlu wynosiła około 3000

osób, co potwierdziła w zeznaniach złożonych po wojnie Barbara K.-R.[1]

O relacjach między miejscowymi wspólnotami polską a żydowską najwięcej możemy się dowiedzieć ze wspomnień Icchaka W., żydowskiego mieszkańca miasteczka. Wedle jego relacji stosunki te, inaczej niż w Radziłowie czy Jedwabnem, były poprawne, ale oparte na zasadzie rozdzielenia obu wspólnot. Zasada uwidaczniała się np. w tym, że Żydzi i Polacy w zasadzie nie utrzymywali bliskich kontaktów towarzyskich, a odwiedzali się jedynie w celach biznesowych. Także młodzież nie zawierała przyjaźni i między uczniami polskiej szkoły powszechnej a wznoszącej się naprzeciwko niej żydowskiej jesziwy częściej niż do koleżeńskich zabaw dochodziło do bójek – pękały piórniki, puchły nosy, leciała krew.

Icchak W. wspominał, że również ceremonie religijne odbywano, starając się nie wchodzić sobie w paradę. W niedzielę, kiedy Polacy udawali się na mszę do kościoła, Żydzi pozostawali w domach, tak by swoją obecnością nie prowokować chrześcijańskich sąsiadów. Podobna zasada była przestrzegana na głównych ulicach Szczuczyna także w czasie procesji Bożego Ciała.

Bardzo charakterystyczne pod tym względem jest zeznanie świadka Eugeniusza B. z 4 kwietnia 1971 r.[2], w którym jednym tchem wymienił trzydzieści rodzin polskich zamordowanych przez Niemców w Szczuczynie w czasie II wojny światowej, podając skrupulatnie ich nazwiska. Ale już spośród żydowskich rodzin, których członkowie przed wojną stanowili ponad połowę mieszkańców miasta, znał nazwisko jednej. To pokazuje, jak daleko od siebie toczyło się życie obu społeczności.

Przepaść między Żydami a Polakami pogłębiała się wraz ze zbliżaniem się do tych terenów zawieruchy politycznej

poprzedzającej wybuch II wojny światowej. Napięcia między obiema wspólnotami stopniowo narastały od lat trzydziestych ubiegłego wieku. Wiadomo z zeznań złożonych po wojnie przez Icchaka W., ale także z zeznań polskich mieszkańców miasta, że wpływ członków Stronnictwa Narodowego i Obozu Narodowo-Radykalnego na życie w przedwojennym Szczuczynie i pogorszenie relacji między Polakami i Żydami był bardzo duży. Świetlica SN znajdowała się w rynku, w samym centrum miasteczka – przypomniał sobie o tym Franciszek K., jeden z oskarżonych po wojnie o mordy na Żydach w Szczuczynie, który jednak, jak sam twierdził, nie należał do Stronnictwa. Przed wojną należeli za to do tej partii późniejsi sprawcy zbrodni: Władysław Ł., Jan P., Antoni G. i Jan W., który po wojnie zmienił swoje barwy polityczne i został aktywnym działaczem PZPR w regionie.

Rodzina M. ze Szczuczyna, u góry od lewej: Liba, Szejna, Gitla, Etke; środkowy rząd od lewej: Brajna S., Sachar Lejba, Mejer; na dole od lewej: dzieci Gitly, pierwsza z lewej córka Rachela

Prawicowi bojówkarze przed II wojną światową urządzali w Szczuczynie, podobnie jak w innych miasteczkach rejonu, bojkoty sklepów żydowskich, wybijali w nich szyby, bili Polaków, którzy z nich korzystali, oblewali im naftą kupione od Żydów produkty[3]. Zarówno Mieczysław K., jak i Antoni G., główni inicjatorzy mordów w Szczuczynie w pierwszych tygodniach wojny niemiecko-radzieckiej 1941 r., też byli powiązani z prawicowymi środowiskami politycznymi.

W takiej sytuacji napięcia między obiema wspólnotami, jak wspominał o tym Mojsze F., do Szczuczyna i Grajewa z terenu Prus wkroczyły wraz z wybuchem II wojny światowej pierwsze oddziały niemieckie. Wśród szczuczyńskiej ludności żydowskiej wybuchła panika, ponieważ zdawano sobie sprawę, jaką falę antysemityzmu pociąga za sobą niemiecka armia. Część Żydów zaczęła uciekać w stronę Łomży, część w stronę Białegostoku, ale widząc wszędzie oddziały niemieckie, na ogół zawracali do miasta. W niedzielę 3 września 1939 r. około czwartej po południu do Szczuczyna weszły na krótko na powrót polskie oddziały, ale w środę, 6 września, o północy, Niemcy przeprowadzili silny kontratak i armia polska musiała opuścić Szczuczyn, wycofując się w kierunku twierdzy Osowiec. W czwartek, czyli 7 września 1939 r., Niemcy ponownie zajęli miasto.

Tego dnia wybuchł pierwszy w czasie tej wojny poważny konflikt pomiędzy polską i żydowską społecznością Szczuczyna. Przyczyną było zamknięcie przez żydowskich sklepikarzy – w obliczu nieuchronności upadku państwa polskiego i dewaluacji jego waluty – swoich sklepów

i odmowa sprzedaży towarów za polskie złote do czasu ustanowienia nowej, okupacyjnej waluty.

Posunięcie było racjonalne w kategoriach ekonomicznych, ale postawiło w trudnej sytuacji ludność polską, która nagle została pozbawiona możliwości nabywania niezbędnych towarów. Wywołało to oburzenie i wściekłość. Polacy udali się do żołnierzy niemieckich ze skargą na żydowskich handlarzy i żądaniem ich ukarania. Niemcy, zajęci walkami frontowymi z polskim wojskiem, poradzili im wziąć sprawy w swoje ręce i rozprawić się z Żydami własnymi siłami. W miasteczku pojawiły się po raz pierwszy nastroje pogromowe.

Mojżesz F. w swoich zeznaniach po wojnie opowiedział, że odbyła się wówczas zamknięta narada przedstawicieli polskiej społeczności z miejscowym proboszczem, w trakcie której ustalono, że ze względu na trudne położenie ludności polskiej, pozbawionej dostępu do potrzebnych towarów, trzeba siłą zająć sklepy żydowskie. Ponieważ Żydzi mieszkali między Polakami, uradzono, że aby uniknąć pomyłki w czasie grabieży, mieszkania i sklepy „chrześcijańskie” zostaną oznaczone krzyżami ustawionymi w oknach, tak by napastnicy wiedzieli, które należy omijać. Pogrom i rabunek miał się odbyć wieczorem w czwartek 7 września 1939 r. Ale wskutek interwencji Niemców, którzy w odpowiedzi na zagrożenie zostali w porę przekupieni przez społeczność żydowską, noc z czwartku na piątek minęła spokojnie.

W piątek 8 września o godzinie ósmej rano pojawiło się za to na szczuczyńskich ulicach zarządzenie wzywające wszystkich Żydów do przymusowej pracy na rzecz okupacyjnych wojsk niemieckich. Żydzi zostali zapędzeni do likwidacji uszkodzeń budynków i ulic miasta oraz pobliskiego mostu wysadzonego przez cofające się oddziały

polskie. Kto się nie stawił do pracy, miał zostać rozstrzelany. W polowaniu na Żydów i zaganianiu ich na roboty ochoczo uczestniczyła polska młodzież ze Szczuczyna. Na jednej z ulic niemiecki żołnierz zastrzelił dwunastoletniego żydowskiego chłopca, sądząc, że ten wymiguje się od pracy. To pozwoliło „rozładować napięcie" w mieście, polscy mieszkańcy poczuli się uspokojeni tym, że Żydzi zostali ukarani przez Niemców.

W kolejnych dniach armia niemiecka powołała też lokalne władze, szczuczyński komitet miejski, w którego skład weszło dwóch Polaków, tj. ogrodnik G. i niejaki B., jak twierdzi Mojsze F., obaj znani w Szczuczynie przedwojenni antysemici. W komitecie znalazł się także przedstawiciel społeczności żydowskiej – Awrom F. Znał język niemiecki i umiał porozumieć się z władzami okupacyjnymi, w czasie I wojny światowej pełnił obowiązki burmistrza Szczuczyna. W sobotę 9 września 1939 r. został wydany rozkaz, by wszyscy Żydzi do 45. roku życia stawili się przed godziną jedenastą rano na szczuczyńskim rynku. Gdy polecenie zostało wypełnione, niemieccy żołnierze, wiedząc, że na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow wkrótce będą musieli opuścić te tereny, wybrali około trzystu z nich i umieścili w szczuczyńskiej synagodze. Zamknięto tam m.in. Lejzera B., jak również brata Chai S.-G. o imieniu Isak, jej kuzyna Chaima L., Zalmena R., jej kuzyna Galanta i wielu innych.

Chaja K. z wnukiem Lejbą Z., mieszkali całą rodziną w Szczuczynie

Stamtąd wywieziono tych trzystu Żydów w stronę terenów polskich, które przypaść miały, na mocy paktu, III Rzeszy. Można sobie wyobrazić, jaki ta akcja miała wpływ na żydowskie rodziny w Szczuczynie. Nagle cała społeczność została pozbawiona ochrony najmłodszych i najsilniejszych mężczyzn. Żydzi zebrali pieniądze na wykupienie zabranych chłopaków, szukali wpływowych ludzi i kontaktów u władz niemieckich, pisali listy z apelami o uwolnienie uwięzionych. Bez skutku. Pewnego tylko dnia do Szczuczyna dotarły dwie kartki od aresztowanych i to były jedyne wiadomości od nich.

Zima 1940 r. była wyjątkowo ciężka, temperatura sięgała minus 40 st. C. Mówiło się, że „bolszewicy przywieźli mróz z Syberii”. Tamtej zimy z trzystu wywiezionych przez Niemców żydowskich mężczyzn wróciło do Szczuczyna

trzydziestu. Pozostali w czasie transportu zmarli z zimna bądź zostali rozstrzelani przez Niemców, którzy na jednej ze stacji dla zabawy ostrzelali wagony z broni maszynowej. Kilkunastu przedarło się w kierunku Brześcia i jeszcze dalej w głąb Rosji. Do Szczuczyna wrócili: Kojfman S., Szifrak K. (obecnie mieszkający w Izraelu), Binjomin S., Zejdke K., przedwojenny kierowca, i kilkunastu innych. Drogę powrotną z Niemiec przeżyli tylko najsilniejsi. Chaim L., uciekając z niemieckiej niewoli, zamarzł w drodze. Podobno przed śmiercią poprosił, by „pozdrowić Dorę w jego imieniu”. Bliscy L. z polskimi przemytnikami szukali później jego ciała, ale na próżno. W czasie powrotu zginęli wszyscy mężczyźni z rodziny S. Wycofujący się żołnierze niemieccy podpalili na koniec szczuczyńską synagogę.

Dokładnie w święto Jom Kippur 1939 r., o trzeciej po południu, wojska niemieckie wycofały się ze Szczuczyna. Wieczorem zaś pierwszego dnia święta Sukkot, jak opowiedział Mojsze F., przyszła wiadomość z Grajewa, że Armia Czerwona objęła już władzę nad miastem i szła z muzyką w kierunku Szczuczyna. Ludność żydowska, mając w pamięci niedawne zbrodnicze rządy nazistów oraz ekscesy antysemickie ludności polskiej, powitała Rosjan jak wyzwolicieli, bardzo serdecznie, kwiatami, śpiewami i gorzałką.

Następnego wieczora, dzień po objęciu władzy w Szczuczynie, bolszewicy aresztowali byłego burmistrza B., kilku bogatych Polaków oraz przedstawicieli inteligencji, a także wszystkich polskich ziemian, czyli tzw. obszarników, z całego miasta i okolic. Zostali oni wysłani do Grajewa, a stamtąd do więzienia w Łomży, skąd następnie wywieziono ich na daleką Syberię. Teraz to polscy mieszkańcy miasta byli zrozpaczeni, a rozpacz zrodziła wściekłość i żądzę zemsty na żydowskich sąsiadach, których powszechnie posądzano o współpracę z organami NKWD. Należy jednak zauważyć, że tak jak w innych miastach tego rejonu, skład osobowy sieci agenturalnej NKWD, utworzonej w ciągu następnych miesięcy, był w Szczuczynie etnicznie bardzo zróżnicowany i raczej dominowali w niej Sowieci i Polacy, choć oczywiście donosili i Żydzi. O tym jednak, że nie można w sposób zdecydowany i przesądzający mówić o „nadreprezentacji żydowskiej” w sowieckim aparacie przemocy, świadczy fakt, że z deportacji 10 lutego i 13 kwietnia 1940 r. oraz 20 czerwca 1941 r. ze Szczuczyna w głąb ZSRR ostatnia dotyczyła 130 osób, w tym 29 rodzin żydowskich, bogatych członków żydowskiej społeczności miasteczka,

i przeprowadzono ją na dwa dni przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej. Paradoksalnie te wywózki szczuczyńskich Żydów na Sybir uratowały im życie. Tak ocalał Mojsze F., który po trzech tygodniach podróży w bydlęcym wagonie dotarł z rodziną do białego piekła, które ochroniło go od piekła Holokaustu. Świadczy to o tym, że bolszewicy traktowali obie wspólnoty w podobnie rewolucyjnie „sprawiedliwy" sposób, wywożąc wszystkich tych ich przedstawicieli, których uznali za wrogów klasowych, niezależnie od etnicznego pochodzenia.

Trzeba też powiedzieć, że z powodu przeludnienia Sowieci przesiedlili również niektórych „podejrzanych klasowo" Żydów ze Szczuczyna do Radziłowa i Grajewa. Władze radzieckie nakazały im przeniesienie się tam pod groźbą wywózki na Syberię lub więzienia.

22 czerwca 1941 r. wybuchła wojna niemiecko-radziecka. Naziści ponownie błyskawicznie zajęli Szczuczyn. W miasteczku po wycofaniu się Rosjan i przejściu frontu zapanował chaos, bo Niemcy nie powołali swojej administracji, tylko kontynuowali ofensywę na Mińsk. Polska ludność utworzyła wtedy, podobnie jak w innych miasteczkach w rejonie, własną tymczasową milicję i władze.

Polscy partyzanci wyszli z okolicznych lasów, w których ukrywali się, prowadząc przez cały 1940 r. walkę z Rosjanami, stawili się w miasteczku i rozpoczęli organizowanie własnej administracji. W jej skład weszli: D., J., B. i Ś., ostatni jako były naczelnik poczty polskiej w Szczuczynie objął teraz stanowisko komendanta miejscowej straży obywatelskiej. Burmistrzem został Stanisław P., po miesiącu zastąpił go J., przed wojną dyrektor szkoły powszechnej, znacząca postać również w powojennej historii miasta.

W piątek 27 czerwca 1941 r., późnym wieczorem, gdy całe miasto spało, z inicjatywy braci Alberta i Stanisława P. oraz Mieczysława K., późniejszego agenta gestapo na tym terenie, zaczęła się w Szczuczynie pierwsza masakra Żydów, sprawnie i z rozmysłem przygotowana. Jedna grupa Polaków zaatakowała tzw. nową część miasta, druga żydowskie mieszkania na rynku, trzecia zaczęła pacyfikować ulicę Łomżyńską, a czwarta udała się na osiedle żydowskie, nazywane przez miejscowych Pawełki.

Na nowym mieście zamordowano rodzinę R., L. (krawców), Ester K., Sorę B., E. , P., W., M. (kierownika jesziwy) – w ich własnych domach. Rodzina S., słysząc krzyki mordowanych sąsiadów, uciekła na pola, w żyto. Fotograf K. i Riwe T. z dzieckiem i matką uciekli przed Polakami przez okno i schronili się w domu Chai S.-G., do której Polacy tamtej nocy nie dotarli. Zabili za to dzieci R. w rynku. Zabili również K. z dzieckiem w wieku sześciu miesięcy przy piersi i jej starszego syna Griszena, zamordowano Bejle Rohel G. z jej dziećmi, zabito rodzinę B., rodzinę S., dzieci Tewje Sz. i wielu innych. Na osiedlu Pawełki zamordowano tamtej nocy Gabriela F. z rodziną i jeszcze jedną rodzinę z rodu B. Lejzera S. zaprowadzono do rzeźni i tam kazano położyć mu głowę na pniu, a następnie odcięto mu ją maszyną do głuszenia bydła.

Później polscy mieszkańcy zaczęli rabować mieszkania zabitych tamtej nocy Żydów. Na przygotowane wozy załadowali zwłoki i wywieźli je na obrzeża miasta. Strażnicy z polskiej milicji natychmiast przemywali zakrwawione ulice, a ślady mordów zasypywali piaskiem. Chaja S.-G. twierdziła, że sami Polacy rozmawiali, że zabili tej nocy kilkuset Żydów. O udział w tych atakach i zabójstwach zostali po wojnie oskarżeni: Zygmunt D., Stanisław N., Stanisław K., Aleksander K., Piotr C., Stanisław W., Jan W.,

Stanisław M., Jan W., Jan N., Dominik D., Władysław D., Franciszek K., Jan M., Józef N., Józef N., Antoni D., Bolesław K., Jan P., W., Bolesław i Jan D., L., Dominik D., G., Lucjan D., Stanisław C., Edward P., P., K., L., Leon Z., Jan Z., Antoni P., Stanisław i Teofil O., Stanisław P., Wincent R. i Dominik D., Feliks B., Józef J., Władysław Z., Jan K., Leon K.[4]

Również na podstawie raportów z tego rejonu, sporządzonych przez Armię Krajową w następnych latach, podpisanych przez komendanta AK Obwodu Białystok Aleksandra R., ps. „Dzik", można stworzyć listę przypuszczalnych sprawców tej zbrodni: Teofil O., Antoni P., Stanisław J., Ludwik K., Witold L., Stanisław R., Mieczysław K., Piotr S., Bolesław G., Stanisław O., Leon Z., Michał R., Józef K.[5]

Interesująca jest odręczna adnotacja na sprawozdaniu AK. Otóż przy nazwisku Mieczysława K. znajduje się wiele mówiący wpis „zawód – gestapowiec". Również materiały niemieckie, odnalezione przez Edmunda Dmitrowa w trakcie kwerendy akt niemieckich w Ludwigsburgu i Freiburgu, potwierdzają fakt zorganizowania przez Polaków pogromu w Szczuczynie. W meldunkach komendantury polowej armii niemieckiej w Łomży z 14 października 1941 r. oraz za okres 9–11 października 1941 r. znajdują się dwie krótkie wzmianki informujące, że „w ostatnim okresie w Wąsoszu, jak również w Kolnie i Szczuczynie Polacy dokonali pogromu Żydów"[6].

Żydzi w Szczuczynie po tej pierwszej, nocnej rzezi byli całkowicie obezwładnieni strachem. Dzień po mordzie matka Chai S.-G. pobiegła do miejscowego proboszcza, aby błagać o litość dla Żydów w Szczuczynie, ale ksiądz odmówił jakiejkolwiek interwencji w ich obronie. Chaja z koleżankami pobiegła więc do przedstawicieli polskiej

inteligencji w Szczuczynie, ale ci również odmówili wstawiennictwa u polskich milicjantów, mężczyzn ze Szczuczyna i okolicznych chłopów, którzy zjechali do miasteczka na wieść o mordowaniu Żydów i rabowaniu ich mieszkań. Sekretarz rady miejskiej, niejaki T., nie tylko nie pomógł, ale nawet zabrał ubranie zabitego rabina i nakazał żydowskiemu krawcowi F. dopasowanie go dla siebie. Krawiec zrobił to; później powiedział Chai, że na płaszczu rabina widać było krople świeżo zaschniętej krwi. Rodzice Chai od czterdziestu lat prowadzili w Szczuczynie sklep, mieli wielu klientów ze wszystkich sfer społecznych. Nikt im nie pomógł. Nawet Z., sekretarz miejscowej rady parafialnej, zabijał wtedy Żydów.

Zbliżała się kolejna noc. Żydzi panicznie bali się nadejścia ciemności, bo domyślali się, że pod ich osłoną straszne wydarzenia poprzedniej nocy się powtórzą. Na szczęście około godziny 20 do Szczuczyna wkroczyły nowe oddziały frontowe wermachtu. Wtedy Chaja wpadła na pomysł, aby ponownie spróbować szczęścia z żołnierzami niemieckimi – liczyła, że to oni im pomogą, tak jak we wrześniu 1939 r. Z wielkim trudem, bo bali się tak samo Niemców jak Polaków, szczuczyńscy Żydzi wybrali delegację, która udała się do dwóch oficerów niemieckich z prośbą o ochronę przed Polakami. Na początku hitlerowcy odmówili pomocy i mieli powiedzieć: „To nie jest nasza sprawa, walczymy z żołnierzami, a nie z cywilami”. Kiedy jednak zaproponowano im mydło i kawę w zamian za ochronę, zgodzili się, by ich żołnierze pilnowali spokoju w miasteczku w nocy. Chaja z dwiema innymi kobietami zaczęła pracować u żołnierzy; później zostały wprowadzone do pracy w niemieckiej centrali w Osowcu. Tak ocalały, a kolejny pogrom w Szczuczynie został powstrzymany.

Później Żydzi byli niemal codziennie zmuszani przez polskich sąsiadów i milicjantów do pielenia szczuczyńskiego rynku. Każde żydowskie gospodarstwo domowe musiało wydelegować do wyrywania trawy spomiędzy kamieni bruku po dwie lub trzy osoby.

Chaja S.-G. i Barbara K.-R. oraz inni Żydzi ze Szczuczyna po wojnie zeznali, że wieczorem 14 lipca 1941 r.[7] doszło do największego mordu w mieście. Polska milicja zebrała Żydów na rynku, a później poprowadziła ich na kirkut do pobliskiej wsi Skaje. Tam Polacy zabili około 100 szczuczyńskich Żydów. Zabijano ich pojedynczo w bestialski sposób – siekierami, kijami i łopatami. Chaja zeznała, że na cmentarzu zamordowano mężczyzn z rodziny L., J., K., L., P. i wielu innych.

Po wojnie o bezpośrednie zabójstwa na kirkucie we wsi Skaje oskarżono: Wincentego R., Dominika G., Mariana J., Franciszka M., Czesława S., Napoleona G., Stanisława B. Zamordowanych pochowano na żydowskim cmentarzu w Skajach w jednej zbiorowej mogile w pobliżu bramy. Chaja S.-G. widziała ten grób. Jak mówiła, był to duży krąg pokryty świeżym białym piaskiem.

W 1942 r., już po utworzeniu w Szczuczynie getta, rada żydowska wystarała się u Niemców o pozwolenie na dokonanie ekshumacji tych, którzy zostali zabici wcześniej na Pawełkach, i przeniesienie ich na cmentarz żydowski, do tej zbiorowej mogiły. Gdy ekshumowano ciała z Pawełek, okazało się, że niektóre były pozbawione głów, rąk i nóg.

Jak już pisałem, dowódcą polskiej milicji obywatelskiej był Marian Ś., przedwojenny naczelnik poczty w Szczuczynie. W mordach wyróżnił się szewc Piotr S., który zabił rodzinę Zejdka B., po czym przeniósł się do jej mieszkania. Mordowali również D., B., K., G., Lutek K., B., O. i wielu innych.

Polacy w tym czasie założyli też tzw. sąd trzech[8], w którego skład weszli Marian Ś., Mieczysław K. (ten sam, który zasiadał w podobnym sądzie w Wąsoszu) oraz Jan Z. Należy zwrócić uwagę na Jana Z., przedwojennego nauczyciela w szczuczyńskim gimnazjum, przedstawiciela miejscowej inteligencji. Nauczyciela tego samego gimnazjum, którego dyrektorem przed wojną był J., burmistrz Szczuczyna z okresu największego nasilenia mordów na Żydach. „Sąd trzech" wydawał zaoczne wyroki śmierci na miejscowych komunistów narodowości zarówno polskiej, jak i żydowskiej. A miejscowe gimnazjum i miejscowa poczta były miejscami przetrzymywania skazanych.

Po mordzie na cmentarzu we wsi Skaje zjawili się w Szczuczynie esesmani i wspólnie z polskimi strażnikami obywatelskimi zagnali pozostałą przy życiu ludność żydowską do getta, które utworzono w mieście 20 lipca 1941 r. Jego komendantem mianowano Wincentego R. Zabito przy tej okazji rabina pomocniczego Jeszaję, rytualnego rzeźnika R. oraz G., T. i innych. W getcie zamknięto wraz z całą ludnością żydowską Szczuczyna: Maszkę G., Zemlę Z., Chaima K., Mosze Ch., K., Jankela D., Mukiego F., Dowida R., Mosze L., Sorekę Z., Mini R. Mężczyznom przed wejściem do getta golono brody. Po jego utworzeniu niektórzy z młodszych mężczyzn zostali zabrani przez polskich milicjantów w niewiadomym kierunku i nigdy nie powrócili, byli wśród nich: Z., G. i Chaim K.

Po utworzeniu w Szczuczynie zamkniętej dzielnicy żydowskiej władze niemieckie rozwiązały polską milicję obywatelską i zamiast niej na jesieni 1941 r. zorganizowały regularną polską policję pomocniczą, ale już na żołdzie niemieckim. W jej skład weszli niektórzy byli członkowie polskiej milicji obywatelskiej i ci, którzy pomagali im

w mordowaniu Żydów. Z zeznań Stanisława W.[9] wynika, że po utworzeniu getta w Szczuczynie administracja niemiecka powołała w mieście, również na początku 1942 r., własny posterunek żandarmerii, który mieścił się w przedwojennym domu przeznaczonym dla nauczycieli szkół szczuczyńskich. Jadwiga S., sprzątaczka na tym posterunku, wymieniła jego obsadę: komendant Kliss, Bohemel (z zawodu aptekarz), Rataj z okolic Berlina, Paul, amtskomisarz Zulaga. Potwierdziła też, że Niemcy rozstrzelali K. i Alberta P. za mordy, których ci dopuścili się na Żydach w Szczuczynie w lecie 1941 r.[10] Na podstawie kart zbrodniarzy wojennych ze Szczuczyna[11] można ustalić personalia kolejnych osób odbywających służbę na miejscowym posterunku żandarmerii: K., Edward M., W., Adam M., Franciszek M., Mieczysław K., Leon Z., Stanisław O., Michał R., Stanisław J. Piotr R. również wstąpił do tej polskiej żandarmerii utrzymywanej przez Niemców i po wojnie podał następujący skład posterunku w Szczuczynie: Teofil O., Antoni P., Stanisław R., Stanisław J., Ludwik K., L., Paweł H. Dostali oni niemieckie umundurowanie polowe i broń radziecką. Według jego zeznań posterunkowi w Szczuczynie podlegały również placówki w Wąsoszu, Radziłowie, Białaszewie oraz Grabowie[12].

Po utworzeniu getta wszyscy żydowscy rzemieślnicy w Szczuczynie byli wykorzystywani przez polską ludność, wspieraną powołanymi przez Niemców polskimi siłami policyjnymi, do niewolniczej pracy w gospodarstwach: szewc, krawiec, kowal, dwaj zegarmistrze i malarz mieli mnóstwo pracy. W getcie powołano radę żydowską, a także żydowskie siły porządkowe złożone głównie z pozostawionych przy życiu starców. W skład Judenratu weszli: Jojne L., Notke R. i Tuwia G., Jisroelke G., Michał K., S. i F.; policjantami zostali: F., L. i L., G., D.

Złożona z miejscowych policja pomocnicza zabrała z getta i zamordowała osoby starsze i schorowane, m.in. nauczyciela B. i Itsze T. Polacy zabili też kilkanaście kobiet: Mini R., Eni S., Szejnę M. i żonę Alarana J., P. i córki L., Riwcię S.

Później niektórzy właściciele polskich gospodarstw zażądali dziewczyn z getta do pracy w polu, ogrodzie itp. w czasie tzw. jarzynowych żniw w 1941 r. Płacili Wincentemu R., szefowi getta, za niewolnice żydowskie benzyną, jajkami, samogonem, czym kto mógł. Wybrano ponad 80 kobiet, była wśród nich Gutka R. Niektóre Żydówki poszły z własnej woli, licząc na to, że przyniosą swoim głodującym w getcie dzieciom i bliskim trochę ziemniaków. Odeszły i nigdy nie wróciły. Zostały zabite przez miejscowych pałkami, młotami, motykami na polach, tam gdzie pracowały.

Chyba najbardziej dramatyczny rozdział w tragicznej historii szczuczyńskich Żydów to losy żydowskich kobiet pozbawionych ochrony swoich mężczyzn, spośród których najpierw trzystu wywieźli Niemcy w 1939 r., a pozostałych po kolei zabijali polscy milicjanci i polscy sąsiedzi na jesieni 1941 r. Bezbronne Żydówki trafiły do szczuczyńskiego getta, gdzie znalazły się na łasce swoich oprawców, stając się niemal ich własnością. Były wynajmowane do pracy miejscowym gospodarzom i stanowiły dla nich łatwy cel. Kobiety te we wsiach Skaje i Bzury zostały najpierw zgwałcone, a później z premedytacją zamordowane. Polacy ze Szczuczyna, a wśród nich: Wincent R., Dominik G., Marian J., Franciszek M., Czesław S., Napoleon G., Stanisław B., Stanisław Z., Roman T., Zygmunt D., Czesław D., S., Jan M., Ś.[13], eksterminowali je przez kilka tygodni za pomocą okutych kołków, młotów i łopat; zbrodnie miały zawsze ten sam ustalony wcześniej przebieg. Do miejsca

pracy żydowskich kobiet polscy zbrodniarze przyjeżdżali na rowerach, broń zdobywali na miejscu u okolicznych gospodarzy, otaczali kobiety przy pracy, na polach, następnie gwałcili je i mordowali, a później zakopywali ich ciała w okolicznych lasach. Jeden z uczestników mordów Stanisław C. przyznał po wojnie, że wszyscy zbrodniarze byli przed 1939 r. członkami Stronnictwa Narodowego. Nawet niemieccy żandarmi okazywali niezadowolenie z faktu zabijania żydowskich kobiet i pobili jednego ze świadków, sołtysa wsi Skaje, za to, że dopuścił do mordu.

WKRÓTCE PO WKROCZENIU NIEMCÓW PEWNE DRAMATYCZNE ZAJŚCIE PRZED MIEJSCOWYM KOŚCIOŁEM ZAINICJOWAŁO MORDY NA ŻYDOWSKICH MIESZKAŃCACH SZCZUCZYNA. CO TO BYŁO ZA WYDARZENIE?

JÓZEF K.[14]
Polak, mieszkaniec Szczuczyna

> […] W pierwszych dniach, gdy do Szczuczyna wkroczyły wojska niemieckie w roku 1941, kilku mieszkańców miasta Szczuczyna przystąpiło do mordowania Żydów. […] W niedzielę, gdy wojska niemieckie były już w Szczuczynie, Wincenty R. zabił Żyda, którego nazwiska sobie nie przypominam, na oczach ludności miasta Szczuczyna. Widziałem ten wypadek na własne oczy oraz widziało to wielu mieszkańców Szczuczyna. Tego samego dnia Wincenty R. wymordował całą rodzinę zamordowanego Żyda, wypadek ten ja widziałem, jak również widzieli to mieszkańcy ul. Krzywej.

BARBARA K., Z DOMU R.[15]

Żydówka, krawcowa, mieszkanka Szczuczyna

Urodzona w 1920 r. w Szczuczynie. W czasie okupacji była w getcie w Szczuczynie, a po jego likwidacji ukrywała się w okolicznych wsiach. Po wojnie osiedliła się w Białymstoku[16]

[…] Jest mi wiadomo, że Józef J. i Władysław Z. brali udział w mordowaniu ludności narodowości żydowskiej w lipcu 1941 r.; które osoby przez nich zostały zamordowane, nie mogę powiedzieć, ponieważ mordowali masowo, jak również stwierdzić nie mogę, gdyż nie widziałam, a tylko słyszałam od drugich osób narodowości żydowskiej, którzy mówili, że wyżej wymienieni brali udział w mordowaniu. Osoby te, od których słyszałam powyższe dane, już dziś nie żyją.

[…] Jak mi jest wiadome, że mieszkaniec Szczuczyna R. (imię nie pamiętam) zaraz po wkroczeniu Niemców napadł jedną rodzinę narodowości żydowskiej, nazwiska nie pamiętam, zamieszkałych przy ulicy Krzywej, co ja słyszałam na własne uszy, ponieważ mieszkałam naprzeciw. Poranił ich nożem, których odwieźli do szpitala; co się z nimi stało w późniejszym okresie, nie wiem. Działo się to zaledwie trzy dni temu po wkroczeniu Niemców. Po dwóch tygodniach zaczęły się masowe mordowania, w których R. również brał czynny udział. Następnie był on komendantem robotników narodowości żydowskiej, którzy znajdowali się w getcie. Znęcał się w najróżnorodniejszy sposób, jak na przykład w czasie pracy bił robotników, żywności nie rozdawał, tej, która się należała; z chwilą gdy któryś z robotników szedł na miasto za żywnością, a R. ich zauważył, bił ich lub sadzał do więzienia przez noc, gdzie jednocześnie ich bił, a na dzień do pracy. Na własne oczy widziałam,

jak bił chłopca nazwiskiem L., którego tak pobił, że nie mógł iść. R. grabił mienie obywateli narodowości żydowskiej, biżuterię i inne rzeczy pod groźbą śmierci.

LEON K.[17]
Polak, mieszkaniec Szczuczyna

[…] Tak, jest to prawda, jak Wincenty R. i Dominik D. bili Żydów nożem, było to w niedzielę i ludzie szli z kościoła. Ja sam to widziałem.

TO WYDARZENIE STAŁO SIĘ SYGNAŁEM DO ROZPOCZĘCIA MORDÓW NA ŻYDOWSKICH MIESZKAŃCACH SZCZUCZYNA. POPEŁNIONO TĘ ZBRODNIĘ NA OCZACH POLSKIEJ LUDNOŚCI, PO NIEDZIELNEJ MSZY, I NIKT NIE ZAPROTESTOWAŁ, WIĘC W MIASTECZKU ZROZUMIANO, ŻE OD TEJ CHWILI ZABIJANIE ŻYDÓW NIE SPOTKA SIĘ ZE SPRZECIWEM ANI POTĘPIENIEM. CO BYŁO PÓŹNIEJ?

BARBARA K., Z DOMU R.[18]
Żydówka, krawcowa, mieszkanka Szczuczyna

Szczuczyn to miasteczko, w którym do wojny mieszkało około 3000 Żydów. Już w chwili wybuchu wojny w 1939 r. Żydzi poznali bestialstwo nazistów, gdyż przez dwa tygodnie hitlerowcy w nim buszowali. Przez ten krótki czas swojego pobytu w Szczuczynie Niemcy aresztowali 300 mężczyzn i tylko nielicznym udało się powrócić.

Do Szczuczyna Niemcy ponownie wkroczyli dopiero 24 czerwca 1941 r. Nie powołali od razu własnej

władzy, przez kilka dni rozpoznawali teren. A w tym właśnie czasie przyzwoici polscy młodzieńcy i chuligani organizowali pogromy na Żydów.

Ich przywódcami byli: J., D. – stójkowy, Ś. – naczelnik policji, J. – dyrektor szkoły. 25 czerwca 1941 r., w piątek, [świadek myli daty, najprawdopodobniej chodzi o piątek 27 czerwca 1941 r. – przyp. M.T.] w środku nocy, gdy wszyscy spali, na Żydów spadły razy, głównie na mieszkających na ulicach Parkowej i Łomżyńskiej. Zamordowali panią K. i jej zięcia, Ester K., jej córkę i wnuczkę, A., P., J., M. i innych. Na Nowym Mieście – rynku zamordowali dzieci Chany R., Griszę R., jego żonę i ich malutkie niemowlę, B., B. – Rachel, G., Zajdka R. z wnukiem, dzieci Sz., zamordowali Gabriela F. i Lejzora M. (tego ostatniego zaszlachtowali). Następnie wszystkich zabitych wywieźli furmankami za miasto i wrzucili zwyczajnie do rowów, nie zasypując ich.

Gwałty na Żydach powtarzały się, więc kobiety żydowskie zwróciły się do elity miasta o pomoc w powstrzymaniu owych napadów. Reakcji nie było żadnej, wobec czego kobiety poszły do niemieckich żołnierzy. Efektem prośby było to, że żołnierze patrolowali następnej nocy ulice zamieszkane przez Żydów.

Pomoc żołnierzy została sowicie opłacona, ale w końcu udało się spać spokojnie. Podobne zachowania mieszkańców wobec Żydów miało miejsce w Grajewie, Radziłowie, Wąsoszu i Stawisku. W Radziłowie Żydzi zostali zagnani do stodoły i spaleni.

ANTONI W.[19]

Polak, mieszkaniec Szczuczyna

[…] Zaraz kiedy Niemcy zajęli Szczuczyn w 1941 r., to poczęto mordować Żydów. Tak jednego dnia ja siedziałem z żoną moją i Szczepanem L., i S. Władysławem i wówczas przybiegł do nas Stanisław C., i wyraził się: „Chodźcie bić Żydów, a jak nie, to spać!”. I po upływie dwóch godzin wyrżnięto całą rodzinę żydowską Z., kupca zbożowego, który mieszkał w drugim podwórku ode mnie. U niego zamordowano w mieszkaniu całą rodzinę, lecz kto tam mordował, tego nie wiem, gdyż ja byłem w mieszkaniu.

MARIAN Z.[20]
Polak, mieszkaniec Szczuczyna

Wieczorem ja wyszedłem na ulicę Łomżyńską i zatrzymałem się przy gospodarstwie Wacława [nazwisko nieczytelne – przyp. M.T.], gdzie stali moi znajomi Stefan [nazwisko nieczytelne – przyp. M.T.], Władysław P., Stanisław W. i Stanisław N., mieszkańcy Szczuczyna. W tym właśnie czasie przechodził koło nas Stanisław P. i zwrócił się do stojącego opodal nas Wacława R. temi słowy: „Chodź, Wacek, ze mną, jak masz twarde sumienie”, i poszedł na dziedziniec Zarządu Miejskiego. Ja wraz ze stojącymi ze mną udałem się za nim i zastaliśmy tam na dziedzińcu stojących ze dwadzieścia osób, między którymi widziałem Stanisława P., K., Jana G., którzy obecnie nie żyją. Jak również C. Stanisława, a P. Stanisław, K. Mieczysław i P. Albert stali na ganku, gdzie K. wygłosił do zebranych następujące słowa: „Za nasze krzywdy wyrżniemy dziś tych złodziei!”.

Wszyscy całą grupą udali się na ulicę Pawełki, a ja z T. odszedłem od nich i poszedłem do domu, a T. odszedł kawałek za mną i zatrzymał się przy młynie na ulicy Senatorskiej. Po kilku kwadransach wyszedłem znowu z mieszkania i doszedłem do mieszkania Sz. przy ulicy Kilińskiego, gdzie zastałem stojących Stanisława W., nieżyjącego obecnie, i Władysława P. Staliśmy tam kilka minut i słyszymy, jak grupa ludzi zbliżyła się do mieszkania, gdzie mieszkali Żydzi. Zaczęli dobijać się do drzwi i myśmy uciekli do swoich domów. Właśnie w tych miejscach, gdzie udała się ta grupa z P., na Pawełkach, zostali wyrżnięci Żydzi, jak również w wielu punktach miasta. Rano o godzinie czwartej nad ranem ja wyszedłem na korytarz domu, gdzie mieszkaliśmy razem z P., i słyszę dobijanie się do drzwi, więc otwieram i widzę P., jak w jednym ręku trzyma zegar ścienny, a na drugiej ręce trzyma pełno ubrań i różnej garderoby męskiej i kobiecej. Był ubrany w kurtkę siwą i w kieszeni sterczał mu nóż zakrwawiony końcem ostrza do góry. Do mnie nic nie powiedział, tylko się uśmiechnął. Przed wyjściem P. tego wieczoru moja matka widziała, jak P. Stanisław brał od swojej matki nóż długości do 30 centymetrów i zawinął go w gazetę, wkładając za koszulę.

Hirsz P. ze Szczuczyna w polskim mundurze; Żydzi czuli się obywatelami Rzeczypospolitej, odpowiedzialnymi za jej los

Później, to jest, gdy już P. nie był burmistrzem, również Niemcy urządzili drugą rzeź Żydów. Po tej rzezi matka moja widziała, jak P. przyniósł do domu około dziesięciu par butów.

JANINA M.[21]
Polka, mieszkanka Szczuczyna

[…] Tak, znam P. Stanisława, mieszkamy w jednym domu, w czasie okupacji był na stanowisku burmistrza miasta Szczuczyna i później był administratorem na majątku. Razu pewnego ja wychodziłam z mieszkania [i] zauważyłam P. Stanisława, jak wychodził, niosąc coś zawiniętego. Matka jego wyszła za nim i coś do niego przemówiła, lecz ja nie słyszałam, co, a on machnął ręką i poszedł. Na drugi dzień widziałam, jak

P. Stanisław przyniósł kilka par butów i ubrania, lecz skąd – nie wiem. Do matki mej mówił, aby jemu otworzyła drzwi.

CZESŁAW R.[22]
Polak

Gdy do Szczuczyna latem w drugiej połowie 1941 r. wkroczyły wojska niemieckie, miejscowa ludność, a szczególnie element nacjonalistyczny, zaczęli masowo mordować oraz rabować ludność żydowską. Nie wiem, przez kogo było wydane zarządzenie, lecz słyszałem o tym w Szczuczynie, że wszyscy Polacy musieli brać aktywny udział w mordowaniu Żydów, ten zaś, który nie brał udziału, miał być policzony za Żyda i czekać go miały nieprzyjemności.

W związku z tym w dzień stale nie przebywałem w domu, ukrywałem się, lecz nie wiem, kto brał udział w morderstwach ludności żydowskiej.

JÓZEF D.[23]
Polak, mieszkaniec Szczuczyna

[…] Z mieszkańców Szczuczyna w mordach brali udział następujące osoby: R. Wincenty, Z. Władysław, N. Stanisław. Widziałem, jak Z. Władysław z nożem w ręku wpadł do mieszkania, gdzie mieszkali Żydzi przy ulicy Łomżyńskiej i po jakimś czasie wyciągano zabitych Żydów na fury i odwożono za miasto. N. Stanisław był jako dowódca tych morderstw, gdyż chodził po mieszkaniach i nakazywał przymusem iść dla ludzi i mordować Żydów. Fura, w którą kładli zamordowanych Żydów, była B. ze Szczuczyna, B. ich odwoził za miasto.

N. był i u nas, przychodził do mnie i do brata, mówiąc, żeby iść bić Żydów. Brat mój odmówił, gdyż był chory, ja natomiast poszedłem, ale udziału w tym nie brałem. Od mojego mieszkania N. poszedł dalej nakazywać; do kogo chodził, tego nie wiem, ponieważ za nim nie wychodziłem.

FRANCISZEK M.[24]
Polak, mieszkaniec Szczuczyna

[…] W tym czasie, jak rodzina Sz. była mordowana, byłem w tym samym budynku w domu, to była godzina dwudziesta trzecia czy północ. Słyszałem krzyki w rodzinie Sz. o ratunek, ale ja ze swego mieszkania nie wychodziłem, bo się bałem, i nie wiem, kto brał udział w mordowaniu rodziny Sz. […] Poznałem po głosie z tej bandy G. i P., którzy obecnie nie żyją, a resztę nie mogłem poznać, bo było ciemno. […] Słyszałem od D., imienia nie znam, że Z. Władysław i bracia Z. brali udział w mordowaniu ludności narodowości żydowskiej w Szczuczynie.

KONSTANTY W.[25]
Polak, mieszkaniec Szczuczyna

[…] Zwierzył mi się J., z zawodu malarz, obecnie zamieszkały w Szczuczynie, że zabił Żyda K., który dolary i złoto oddał mu zaraz, lecz on chciał zabrać po nim i rzeczy, lecz gdy on już do jego domu przyszedł, to Polacy dom jego rozgrabili. J. mówił mi, że tylko nocnik wziął z domu K. Mordu dokonał z Z., obecnie nieżyjącym.

[…] J. nie był obecny przy grzebaniu Żydów, lecz udział w ich mordowaniu brał. Sam tego nie

widziałem, lecz on sam mi mówił w moim mieszkaniu, że zabił K. fotografa wraz z Z. J. mówił, że K. dał mu złoto i dolary, aby mu darowano życie, lecz oni mimo tego zamordowali go. Aparaty fotograficzne zabrała W., kochanka Z., które posiada do dziś.

JADWIGA D.[26]
Polka, mieszkanka Szczuczyna

W pierwszych dniach po wkroczeniu Niemców do miasta Szczuczyna w 1941 r. w czerwcu odbywał się pogrom Żydów. W czasie tego pogromu brał udział również O. Stanisław. On zabił sam, własnoręcznie, jednego Żyda około dwudziestoletniego, który to Żyd ukrył się pod gankiem organisty. O. Stanisław, widząc ukrytego Żyda, zaczął go bić, trzymając coś w ręku, co on miał, żelazo czy też kij, dokładnie nie mogę określić, ponieważ byłam ukryta w ogrodzie księdza w odległości 100 metrów od tego miejsca, gdzie O. Stanisław zabił tego Żyda.

MARIA M.[27]
Polka, mieszkanka Szczuczyna

Nikomu nie mówiłam, że dlatego pojechałam do Glinek, że przestraszyłam się, gdy pewnej nocy zamordowali moich sąsiadów Żydów, chociaż to był główny powód mojego wyjazdu wtenczas. Zaprzeczam, abym mówiła komukolwiek, że dlatego wyjechałam, że w nocy śnią mi się Żydzi zamordowani przez męża, których pokrwawione rzeczy leżą w moim mieszkaniu.

MARIA D.[28]

Polka

[…] W sprawie mordowania Żydów w Szczuczynie w okresie okupacji niemieckiej nic nie wiem, ponieważ byłam zajęta pracą w domu. Nie pamiętam, aby mi kiedykolwiek K. Franciszek przyznał się do mnie, że on ścinał głowy Żydom, oraz nie pamiętam, aby mówić o tym miała w piekarni P. Czesława, może i mówiła, lecz tego obecnie nie pamiętam.

CO SIĘ STAŁO Z DWIEMA SŁYNĄCYMI Z URODY CÓRKAMI MIEJSCOWEGO KOWALA IZRAELA?

PIOTR W.[29]
Polak, mieszkaniec Szczuczyna

Polacy mordowali Żydów w Szczuczynie. Mówili ludzie zamieszkali w Szczuczynie, że W. zamordował dwie córki kowala, Żyda mającego swój warsztat kowalski w Szczuczynie. […] Na plecach miał przywiązaną siekierę w rodzaju karabina. Natomiast słyszałem od Żydów, jak i od ludności polskiej, że W. Jan miał zabić dwie córki Żyda kowala, który mieszkał w Szczuczynie. […] Sam widziałem, jak chodził po ulicy obryzgany cały krwią jak rzeźnik […], było po nim widać, że brał udział w mordowaniu Żydów.

JAKI LOS SPOTKAŁ SZCZUCZYŃSKIEGO CUKIERNIKA, KTÓREGO WSZYSTKIE DZIECI NAZYWAŁY „MAGIKIEM", BO JAK NIKT INNY POTRAFIŁ WYCZAROWYWAĆ NAJSMACZNIEJSZE W OKOLICY SŁODKOŚCI?

LEON R.[30]

Polak, mieszkaniec Szczuczyna

[…] W okresie okupacji niemieckiej, dokładnej daty nie pamiętam, lecz było to jesienią 1941 r., ja wraz ze swoją matką Kazimierą, obecnie nieżyjącą, wracałem drogą od wsi Skaje do Szczuczyna, od kopania kartofli. Widziałem dokładnie, jak K. Franciszek, ubrany w zielony płaszcz oraz kapelusz na głowie, trzymając w ręku brzozową pałkę grubości ręki, wraz z mieszkańcem Szczuczyna D. Aleksandrem, ubranym w butach z cholewami, czapce na głowie oraz marynarce, jakiego koloru, nie pamiętam, również trzymając w ręku taki sam brzozowy kij, gnali przed sobą w stronę mogiłek żydowskich, od Szczuczyna w stronę wsi Skaje, znajomego mi Żyda „Magika", który do 1939 r. w Szczuczynie wyrabiał cukierki.

Gdy wyżej wymienieni mijali się z nami, słyszałem, jak Magik prosił D.: „Puść mnie, Olek, przecież ja karmiłem twoich dzieci, wiele ja tobie dawałem bez pieniędzy cukierków? Ja mam złoty zegarek, to wam dam". Widziałem, jak K. uderzył szpicem buta Żyda Magika w tylną część ciała i powiedział: „Idź ty, kurwa twoja mać, Żydzie!". Widziałem, jak K. Franciszek i D. Aleksander zaprowadzili Żyda na mogiłki żydowskie i tam skryli się; co robili tam z Żydem, nie widziałem i nie wiem. Gdy ja z matką poszliśmy już do Szczuczyna i byliśmy około budynku, gdzie obecnie jest urząd pocztowy, widziałem, jak K. Franciszek i D. Aleksander wracali, niosąc coś pod sukmaną, lecz co – nie widziałem. Widział również to, jak K. i D. prowadzili w stronę mogiłek żydowskich Żyda Magika, W. Jan, który jechał w tym czasie rowerem od strony wsi Skaje do Szczuczyna.

[…] Za te przestępstwo K. Franciszek już siedział w więzieniu, lecz został uniewinniony, ponieważ W. Jan nie zeznawał w tym czasie na D. Aleksandra, który był kochankiem jego matki. Ja nie zeznawałem również, ponieważ i mój ojciec R. Wincenty współpracował z Niemcami i został aresztowany, obecnie doszedłem do wniosku, że ukrywanie przestępców biorących udział w mordowaniu ludności żydowskiej nie jest celowe, matka moja również nie zeznawała. Po śmierci mojej matki, która zmarła na gruźlicę dnia 23 kwietnia 1948 r., K. Franciszek powiedział w mieszkaniu P. Czesława, przy obecności mojej siostry P. Reginy i J. Aleksandry, że zmarł ostatni świadek, który był dla mnie groźny; i omylił się, ponieważ ja, chociaż na początku okupacji niemieckiej miałem czternaście lat, lecz pamiętam wszystko bardzo dokładnie.

JAN W.[31]
Polak

[…] Ogółem u nas [w Szczuczynie – przy. M.T.] Żydów mieszkało około sześciu tysięcy. Był u nas K., który utworzył policję. Broni nie mieli. Należał do niej Stanisław N. – którego widziałem z karabinem – kto jeszcze był, tego nie wiem. […] W lecie 1941 r., po zajęciu miasta Szczuczyna przez wojska niemieckie, jechałem rowerem ze wsi Zacieczki do miasta Szczuczyna.

Przejeżdżając obok cmentarza położonego w odległości jednego kilometra od Szczuczyna, usłyszałem krzyk – było to po południu. Ja wówczas zaciekawiłem się i zatrzymałem obok cmentarza,

i podszedłem pod parkan cmentarza, i wówczas widziałem, jak K. Franciszek, mieszkaniec Szczuczyna, prowadził przed sobą Żyda Magika, ubranego tylko w kalesony i koszulę, do wykopanego dołu, przy którym stał, obecnie nieżyjący, Stanisław W. […] Wspomniany K. doprowadził Żyda Magika do tego dołu i wówczas K. uderzył go grubym kijem z boku w głowę, wskutek czego Żyd Magik upadł do wykopanego dołu. Widziałem, że wówczas miał pałkę drewnianą długości około jednego metra, grubości takiej, że można ją objąć ręką. Po zabiciu Żyda Magika ja pojechałem dalej rowerem.

CZY PRAWDĄ JEST, ŻE W TRAKCIE TYCH MORDÓW NIE OSZCZĘDZANO ŻYDOWSKICH DZIECI I ŻE OBCHODZONO SIĘ Z NIMI SZCZEGÓLNIE OKRUTNIE?

JAN K.[32]
Polak, mieszkaniec Szczuczyna

W roku 1941, w kilka dni po przyjściu Niemców, spałem w mieszkaniu, ale usłyszałem jakiś szum na ulicy Krzywej, więc wyszedłem na miasto i byłem na ulicy Krzywej, więc widziałem, jak W. Józef był w jednym mieszkaniu żydowskim, w którym leżało dziecko w kołysce, więc W. dziecko to wziął za nogi i rozbił mu głowę o ziemię, ja w tej chwili z tej ulicy uciekłem i nic więcej nie widziałem.

JÓZEF Z.[33]
Polak, mieszkaniec Szczuczyna

Pewnej nocy w 1941 r. słyszałem jakieś krzyki około godziny drugiej w nocy, więc wyszedłem i widziałem W. Józefa, jak on w jednym żydowskim domu był, gdzie była wymordowana cała rodzina, i przy mnie zabił grubym kijem, uderzając w głowę, chłopca żydowskiego, który mógł mieć około dwunastu lat. Gdy to zobaczyłem, zaraz uciekłem do domu. Natomiast za chwilę przyszedł do mnie na podwórko W. Józef pijany z kijem w ręku i zapędził mnie, ażebym wynosił na furmankę pobitych Żydów. […] Poszedłem. Razem z W. zaszedłem do jednego mieszkania. W mieszkaniu na podłodze leżało kilku zamordowanych, a jeden leżał na łóżku przykryty pierzyną. Leżącym na łóżku był chłopak żydowski lat około trzynastu, cały zakrwawiony, poruszył się. Wówczas W. uderzył go pałką po głowie. Widok pobitych był tak straszny, że nie mogłem znieść tego i uciekłem. Oprócz W. i mnie w mieszkaniu było jeszcze kilku ludzi.

ALEKSANDER B.[34]

Polak, mieszkaniec Szczuczyna

W roku 1941 ja mieszkałem w Szczuczynie przy ulicy Krzywej. Pewnej nocy słyszałem jakieś krzyki, lecz nie wychodziłem z mieszkania. Dopiero rano wyszedłem i zauważyłem kilku ludzi koło mieszkania żydowskiego na tej samej ulicy, więc widziałem, jak wynosili różne rzeczy. Był tam i W. Józef, który miał kilka par butów, z których dał mnie jedną parę dla małego chłopca. Następnie widziałem, jak wyniósł małe dziecko żydowskie zabite i zawinięte w prześcieradło, w nocy zostało wymordowanych kilku członków tej rodziny.

Gdy W. wyniósł to dziecko, przejeżdżała w tym czasie furmanka, którą jechał K., który podczas bombardowania w 1945 r. zginął. Więc zatrzymał go i zmusił, ażeby zawiózł to dziecko zabite na żydowski cmentarz. Czy to W. to dziecko zabił, tego ja nie widziałem, gdyż w mieszkaniu nie byłem, lecz Z. Józef powiedział do mnie, że „W. to dziecko rozbił o ścianę".

HIPOLITA P.[35]
Polka, mieszkanka Szczuczyna

[…] K. Mieczysław mówił mi, że dla niego zamordowanie Żyda to jest niczym, a także przyszedł i pokazał mi plamę na ścianie domu, gdzie mieszkałam, mówiąc, że tu „pękały łepki żydowskie", i było tam znać krew, co widziałam na własne oczy. Do tego mówił mi K. Mieczysław, że w mordowaniu Żydów w Szczuczynie brali również udział Z. Władysław i B. Feliks, lecz ja tego nie widziałam.

POTEM NASTAŁA NAJSTRASZNIEJSZA NOC W HISTORII SZCZUCZYNA. POLACY WYPROWADZILI ŻYDOWSKICH MIESZKAŃCÓW MIASTA NA KIRKUT W POBLISKIEJ WSI SKAJE I TAM – DOKONAWSZY ICH SELEKCJI, TZN. PODZIAŁU NA TYCH, KTÓRZY MAJĄ ŻYĆ, I NA TYCH, KTÓRZY MAJĄ ZGINĄĆ – ZAMORDOWALI CO NAJMNIEJ 97 SPOŚRÓD NICH. PÓŹNIEJ NA TYM SAMYM CMENTARZU DOSZŁO JESZCZE CO NAJMNIEJ DWA RAZY DO MORDÓW NA ŻYDACH.

BARBARA K., Z DOMU R.[36]
Żydówka, krawcowa, mieszkanka Szczuczyna

Na tydzień przed utworzeniem getta polscy stróże porządku pod pozorem usuwania trawy z chodników wygnali Żydów z mieszkań, nikomu nie wolno było zostać w domu. Żydów pognano na cmentarz żydowski i tam ich stracono. W bratniej mogile było około 100 osób, m.in. syn Jony L., P. wraz z synem Majerem, Joszua K., Felek L. i inni. Zamordowany został także miejscowy rabin, ale najpierw go potwornie skatowano, a zwłoki podpalono.

JÓZEF Z.[37]
Polak, sołtys wsi Skaje

[…] Pomordowano na cmentarzu Skaje około 100 Żydów. Na wieczór tego samego dnia polska policja, tj. L., przed wojną służył w straży celnej (nie żyje), i K., który wyjechał do Niemiec, a przed wojną był listonoszem, nakazała mi, bym dał ludzi do zakopywania pomordowanych.

[…] Ja również udałem się na ten cmentarz, gdzie zastałem G. Antoniego, Alberta P. i Henryka K. Na drodze prowadzącej do cmentarza nie widziałem nikogo. […]

Ludziom ze Skaje kazano okrążyć cmentarz i poczęto Żydów mordować.

Kto brał udział w tym mordowaniu, nie wiem, lecz wszyscy mówili, że mordował G. (młody), B., R. (stary), G., P. i K. Mordowali Żydów na cmentarzu, gdyż było słychać krzyki, a potem zawołali mieszkańców wsi Skaje, którzy na ich polecenie zasypali ziemią znajdujące się tam trupy. Po zakopaniu tych trupów G. podał nam do wiadomości, że zamordowano 97 Żydów, po czym udaliśmy się

wszyscy do wsi Skaje. Pamiętam, że ludzie mówili, iż przed sprowadzeniem Żydów na cmentarz żydowski była tam jakaś przemowa, Żydów tych sprowadzono na rynek w Szczuczynie i stamtąd zaprowadzono ich na mogiłki żydowskie. Tam tylko część Żydów wymordowali, a Żydówki przyprowadzono z powrotem do Szczuczyna i także kilku Żydów.

[…] Po upływie kilku dni przybyli do mego mieszkania ci sami policjanci, tj. K. i L., i na ich polecenie poszło kilku mieszkańców wsi Skaje na wspomniany cmentarz, gdzie zakopywali trupów. Ja nie poszedłem wtenczas.

Po upływie, zdaje się, dwóch tygodni przybyli ci sami policjanci i również na ich polecenie wysłałem mieszkańców wsi Skaje oraz ja z nimi udałem się na tenże cmentarz, gdzie przywieziono pomordowanych Żydów ze Szczuczyna furmankami, z których trupów wyładowano i zakopano do wykopanych już dołów. Trupów przywieźli furmani Zygmunt R., nie żyje, Adam B., nie żyje, i Józef K. mieszkający w Szczuczynie. Po zakopaniu trupów wróciliśmy do swych mieszkań. Przy zakopywaniu Żydów byli następujący mieszkańcy wsi Skaje: Z. Władysław, L. Józef, Z. Kazimierz, M. Antoni, M. Józef, S. Stanisław, B. Jan, B. Antoni, B. Stanisław, S. Antoni, S. Zygmunt, M. Bolesław, O. Józef, O. Czesław, Ch. Piotr, S. Władysław, Ł. Franciszek, D. Stefan, G. Stanisław, O. Stanisław.

JÓZEF M.[38]
Polak, mieszkaniec wsi Skaje

Od urodzenia zamieszkuję we wsi Skaje, gm. Szczuczyn pow. grajewskiego. Znam dobrze mieszkańców naszej wsi oraz mieszkańców Szczuczyna. Gdy na nasze tereny latem w drugiej połowie 1941 r. wkroczyły wojska hitlerowskie, w Szczuczynie oraz na cmentarzu żydowskim około Szczuczyna przeprowadzono masowe morderstwa Żydów.

Z tych morderstw znane mi są trzy. Pierwsze, dokładnej daty nie pamiętam, lecz było to niedługo po wkroczeniu Niemców na początku jesieni 1941 r., wieczorem, przyszedł do mego mieszkania sołtys były naszej wsi Z. Józef i kazał mi wziąć szpadel i iść na cmentarz żydowski, i tam kopać dół. Do kopania dołu poszli wszyscy mieszkańcy naszej wsi, jak S. Stanisław, L. Józef, N. [nieczytelne – przyp. M.T.] Jan, B. Jan, Stanisław i Antoni S., B. Bolesław, obecny przewodniczący PZPR w Szczuczynie, i szereg innych, razem ze trzydzieści osób. Gdy zaszliśmy na cmentarz, spotkali nas G. Antoni, mieszkaniec Szczuczyna (nie żyje), K., imienia nie znam (nie żyje), P., imienia nie znam, mieszkaniec Szczuczyna (nie żyje, zabili ich Niemcy), u ostatniego widziałem w ręku pistolet. Ci kazali nam kopać dół oraz rozdzielono nas na trzy grupy. Każda grupa kopała oddzielny dół we wskazanym miejscu. Żydzi już byli przygnani na cmentarz i siedzieli, było ich, jak przypuszczam, około dwóch tysięcy. Naokoło ich stali i pilnowali Polacy.

Tam gdzie ja pracowałem przy kopaniu dołu, wykopaliśmy około 5 metrów długości oraz około 2 metrów szerokości, głębokości na wzrost średniego człowieka. Kopaliśmy dół, słyszałem, jak P. rozdzielał

Żydów „na prawo, na lewo”. Po wykopaniu dołu P. również kazał nam iść i pilnować Żydów, aby nie uciekali; gdy wychodziłem z dołu, widziałem, jak K. przyprowadził do dołu dwóch Żydów. Widząc to, natychmiast uciekłem i nie widziałem, kto ich zabił. Przy pilnowaniu Żydów stali koło mnie O. Leon, Z. Józef i ostatniego brat, imienia nie znam, mieszkańcy Szczuczyna, oraz zlazło [się ich] więcej, lecz nie poznałem, ponieważ było ciemno. O. Leon oraz Z. nie kopali dołów oraz nie widziałem, aby coś mieli w rękach. Kto mordował Żydów, nie widziałem oraz nie mówił mnie nikt. Widziałem, że dużo Żydów po rozdzieleniu zostało zwolnionych i poszli w kierunku Szczuczyna.

Gdy rozpoczęło się morderstwo i podniósł się na cmentarzu przeraźliwy krzyk, ja dalej odszedłem od Żydów i nie widziałem, kto doprowadzał Żydów oraz ich mordował. Jak wszystko ucichło, zawołano: „Kto z łopatami, zawalać!” Nie trafiłem do tego dołu, który kopałem, lecz zawalałem inny i widziałem, że był on pełny, zawalony trupami osób żydowskich. Dokładnie nie wiem, lecz jak przypuszczam, w tym morderstwie musiała brać [udział] większa część mężczyzn dorosłych z miasta Szczuczyna, widziałem bardzo dużo Polaków stojących naokoło cmentarza żydowskiego.

Dokładnie nie pamiętam, lecz jak przypominam [sobie], po tygodniu czasu po wyżej opisanej zbrodni sołtys Z. Józef ponownie wyznaczył mnie ze szpadlem na cmentarz żydowski; chodziło nas ze wsi Skaje przeszło dwadzieścia osób.

Zgodnie z jego poleceniem wraz z innymi rolnikami udaliśmy się na cmentarz, gdzie nikogo nie zastaliśmy.

Zasypaliśmy ziemią trupów znajdujących się w jednym dole. Było nas około 20 rolników ze wsi Skaje, a między innymi Antoni Sz., Bolesław B. oraz wymienieni wyżej, będący przy zakopywaniu po raz pierwszy trupów, i dalsi mieszkańcy wsi Skaje.

Po upływie około dwóch tygodni na polecenie sołtysa Z. ja oraz dalsi mieszkańcy wsi Skaje, ci sami co przedtem byli, udaliśmy się na wspomniany cmentarz i po kilku minutach przyjechały furmanki ze Szczuczyna z pomordowanymi Żydami. Przywiózł ich Adam B. (nie żyje), R. Zygmunt (nie żyje), S., imienia nie znam (nie żyje), wszyscy ze Szczuczyna.

Po załadowaniu trupów do wykopanego dołu zasypano ich ziemią, po czym wszyscy wrócili z powrotem do domu, a furmani pojechali do Szczuczyna.

SEWERYN K.[39]

Polak, mieszkaniec Szczuczyna

Ci, którzy prowadzili grupę Żydów w stronę wsi Skaje, byli uzbrojeni w różne żelazne pręty i kije. Żydów prowadził także S., blacharz. Siedział na ulicy Kilińskiego, trzymając pręt żelazny w ręku. Gdy ja spytałem, co on robi, to on powiedział, że „my będziemy Żydków bić", i potem widziałem, jak on również Żydów prowadził na cmentarz do Skaje.

[…] Byłem naocznym świadkiem, jak R. Wincenty, bracia G., K., Z. Władysław, B. Feliks, M. byli dręczycielami Żydów i na rynku spędzali Żydów, przy czym R. przemówił do wszystkich i popędzili wszystkich na cmentarz żydowski, i tam wszystkich Żydów pomordowali kijami, szpadlami i czym się dało,

po czym mieszkańcy wsi Skaje musieli pomordowanych zakopać.

REGINA K.[40]
Polka, mieszkanka Szczuczyna

W początkach okupacji niemieckiej w roku 1941 w Szczuczynie widziałam sama, jak większa ilość Polaków, wśród których znajdowali się osobiście: Zygmunt D., zam. przy ul. Warszawskiej, Stanisław N., Aleksander i Stanisław K., Piotr G., [nazwisko nieczytelne – przyp. M.T.] Stanisław i Jan W. pędzili uzbrojeni w młoty i siekiery duże grupy Żydów w stronę cmentarza żydowskiego koło Szczuczyna, gdzie Żydzi to zostali zamordowani. Na cmentarzu osobiście mordu tego nie widziałam.

ANTONI W.[41]
Polak, mieszkaniec Szczuczyna

[…] Za czasów okupacji niemieckiej zamieszkiwałem w Szczuczynie i miałem możność widzieć, jak M. Jan i N. Stanisław zabijali Żydów we wsi Skaje na cmentarzu, gdzie zostało zabitych przeszło stu pięćdziesięciu Żydów, gdzie był również Z. Józef i N. Stanisław, następnie N. Stanisław był szucmanem. Następnie M. Jan mordował Żydówki na robocie we wsi Bzury, w mieście Szczuczyn na dzielnicy Glinki, gdzie zostało zabitych około pięćdziesięciu Żydów, M. brał czynny udział w mordowaniu. Jednej nocy, dokładnie nie pamiętam daty, w Szczuczynie zostało zabitych około tysiąca Żydów, gdzie M. brał czynny udział w zabójstwie, ściągał buty, zabierał zegarki i pierścionki, aż Niemcy przyjechali i rozpędzili

bandytów, ponieważ Żydzi leżeli na ulicach. Te fakty mogą potwierdzić mieszkańcy miasta Szczuczyna.

Święto Purim w Szczuczynie, 1920 r. Hanka T., Zipora K., Chana O., Chaja S., Mosze K., Rachela L., Sara Z., Bobcia S., Szmuel K., Fela O., Sima S., R., Dora G., Chaja R., brat Izaaka S.

LEJBA F.[42]

Żyd, mieszkaniec Szczuczyna

[…] Nadmieniam, że w tym samym czasie na terenie miasta Szczuczyna został również zamordowany mój syn F. Gawrył, córka F. Sara i zięć mój S.G., i Brocha F. (synowa) oraz wnuczek Abram F. Będąc w Szczuczynie w roku 1945 na jesieni, udałem się do bliskiego znajomego, D. Józefa, mieszkańca w Szczuczynie, który był wraz ze mną w Rosji.

Tam odpocząłem i później udałem się do młynarza K. Bronisława, mieszkańca w Szczuczynie, który powiedział mi, że tej nocy, której zostało dokonane morderstwo, on ostrzył kamień młyński i o godzinie pierwszej w nocy usłyszał krzyk. Na co on zgasił światło i położył się spać. Więcej nic mi nie mówił.

SKAJE

NA MASOWYCH MORDACH NA CMENTARZU WE WSI SKAJE SIĘ JEDNAK NIE SKOŃCZYŁO. NIEMCY UTWORZYLI W SZCZUCZYNIE GETTO, Z KTÓREGO POLSCY ROLNICY BRALI ŻYDOWSKIE KOBIETY I WYKORZYSTYWALI JE DO NIEWOLNICZEJ PRACY W SWOICH GOSPODARSTWACH. MŁODZI LUDZIE ZE SZCZUCZYNA (NALEŻĄCY PRZED WOJNĄ DO ENDECJI, JAK ZEZNAŁ JEDEN Z NICH) ZORGANIZOWALI BOJÓWKI, KTÓRE Z WŁASNEJ INICJATYWY OBJEŻDŻAŁY OKOLICĘ I MORDOWAŁY PRACUJĄCE NA POLACH ŻYDÓWKI.

BARBARA K., Z DOMU R.[43]

Żydówka, krawcowa, mieszkanka Szczuczyna

20 lipca 1941 r. Niemcy zdecydowali o utworzeniu getta. Obejmowało ono teren między dworami Łopiana a Wilimowskiego. Tego dnia, to znaczy 20 lipca 1941 r., Żydów wypędzono z mieszkań, odseparowano młodych od starych i pognano do obozu, z którego co wieczór wybierano ludzi na stracenie. Wśród wyprowadzonych byli: Saul Z., Mosze G., Chaim K., Jankiel D., Chaim K., Fuki F., Dawid S. i inni.

Do getta głównie weszły kobiety i dzieci, wpuszczono też dziesięciu krawców, jednego zegarmistrza – Sz. Motla, dwóch kowali, jednego kamasznika. W getcie znaleźli się także tacy, którym udało się wśliznąć razem z bliskimi. W getcie znalazło się około 370 osób. Powołano Judenrat, w skład którego weszło 15 osób, wybrano czterech G., Michała K., P. i F. W szpitalu pracowali: L. Lejb, D. i dwaj lekarze. Wyżej wymienieni wraz z lekarzami W. i H. pozostali w getcie do jego likwidacji.

CHAJA S.-G.[44]
Żydówka, mieszkanka Szczuczyna

Wtorek, kilku właścicieli gospodarstw rolnych zażądało dziewcząt do pracy na polach przy żęciu zboża, do pracy w ogrodach i tak dalej. Szef policji z pięciu lub sześciu szlachetnymi młodzianami wybrali dziewczęta. Wybrali ponad osiemdziesiąt kobiet (Gutka R. była między tymi wybrana), podczas gdy inne poszły dobrowolnie z nadzieją, że przyniosą z powrotem może koszyk ziemniaków.

Odeszły i nigdy nie wróciły. Zostały zabite, niektóre kosami na polach ze zbożem, inne motykami i jeszcze inne w ogrodach. Dwie siostry i kuzynki nie zostały zabrane. Sorekeh Z. wróciła do getta.

KONSTANTY W.[45]
Polak, mieszkaniec Szczuczyna

Widziałem G. obok mojej kolonii, w odległości 250 metrów, prowadzącego Żydówki z getta w Szczuczynie czterema rzędami w kierunku kolonii D. do pracy. Obserwowałem. Pracowały przy owsie. G.

sprawował nadzór nad nimi. Później około godziny pierwszej czy drugiej zaprowadził je do drugiego owsa w kierunku żydowskiego cmentarza. Zauważyłem, że natychmiast po ich przejściu jacyś osobnicy poukładali się w moje zboże. Poznałem Mietka, przezwisko „czerwone ślepia", K., którego imienia nie znam, G. Henryka, B. i W.

Wymienieni mieli ze sobą siekiery i pałki. Na drugiej dróżce biegnącej za stodołą spostrzegłem jeszcze innych, kładących się szybko w zboże, bo G. w tym kierunku zaczął prowadzić Żydówki. Tych nie rozpoznałem. Gdy nadszedł, napastnicy wstali, otoczyli ofiary i poprowadzili w kierunku Glinek na cmentarz żydowski. Tam, wpędziwszy do szopy – wyprowadzali następnie po dwie czy trzy osoby i mordowali.

Wydaje mi się, że był tam B., lecz dokładnie nie przypominam sobie. Tam G. już nie zauważyłem i nie wiem, gdzie mógł się znajdować. G. nie widziałem tam także wówczas. […] Znajdowałem się w stodole, gdy wpadł K., mówiąc, aby dać mu szpadel. Syn nie zezwalał, lecz ten zabrał, mówiąc, że przyniesie. […] Później napastnicy zagarnęli ofiary. Napastników było więcej, ale szli poza stodołami dróżką i tych nie zauważyłem. Po dokonanym przez osobników morderstwie słyszałem, że ciała ofiar kazał pogrzebać sołtys ludziom ze wsi Skaje. W chwili dokonywanego zabójstwa od cmentarza wyraźnie dochodziły krzyki i płacz.

FRANCISZEK B.[46]
Polak

Pamiętam, było to w tydzień po wkroczeniu Niemców na nasze tereny (czerwiec 1941 r.), w jarzynowe żniwa jechałem, prostuję – razem z żoną Anną pieszo wracałem ze Szczuczyna. Blisko domu W. Konstantego zauważyłem sześciu osobników jadących drogą na rowerach, podchmielonych, którzy mi zagrodzili drogę, każąc mi stanąć, i oświadczyli mi, że będę im potrzebny. Zatrzymali również niejakiego P. zamieszkałego w Szczuczynie, z zawodu sitarza, o ile się nie mylę. Ja usiadłem na rowie, a P. stał na drodze przy furmance. Pilnowali nas D. i Stanisław B. Pozostali w pewnej chwili wyszli z gospodarstwa W. uzbrojeni już w kije i kołki od płotów, Stanisław B. niósł w ręku siekierę. Wtenczas drogę odgrodzili. Reszta osobników udała się na pole D. do pracujących tam Żydówek.

I zauważyłem w odległości jakichś 100 metrów, jak każdy z osobników wziął po dwie Żydówki pod ręce i skierował się z nimi w stronę okopów.

W tym czasie W., otrzymawszy polecenie, przyniósł szpadle, ze szpadlami przyszedł do mnie, a D. i B. udali się w kierunku pracujących Żydówek. B. pierwszy wziął po dwie Żydówki pod ręce. Widziałem wtenczas, jak stojąca przy krowach D. zaczęła prosić osobników, by Żydówek nie bili, i zaczęła głośno płakać. Ktoś z osobników wtedy krzyknął: „Wal tę starą kurwę, niech razem leży w okopie”. Na to D. uciekła do domu.

Wtedy osobnicy gwizdem zawołali nas do okopów, sami zaś przystąpili do mordowania Żydówek. Gdy ja z W. znalazłem się przy okopie, zobaczyłem, że Żydówki już pobite do krwi leżą w okopie na czworakach i słychać było rzężenie.

Osobnicy kazali nam jeszcze żyjących Żydówek zakopać. Rozkaz ja ten wykonałem częściowo, bo jak tylko zaczęli odchodzić ci osobnicy od okopów, to ja, nie mogąc na to wszystko patrzeć, udałem się do domu. Wśród osobników tych rozpoznałem: Stanisława B., dwóch braci G., synów Antoniego D. G. między nimi nie widziałem.

JANINA D.[47]

Polka, mieszkanka wsi Skaje

Żydów w getcie pilnowali Niemcy i Polacy, natomiast do pracy wydawał mi Żydów stale żandarm. W getcie widziałam dużo razy R. Żydzi z pola wracali do getta wszyscy, tylko pewnego razu nie wrócili Żydówki w liczbie dziewięciu kobiet, gdyż zostały na polu zamordowane. Kto mordował, tego ja nie widziałam, tylko to zeznam, że było to porą obiadową i wybierałam ja się z tymi Żydówkami do domu. Nagle przyjechali na rowerach ludzie i siedli na rowie, było ich kilku, między nimi byli: D., W., B. i wielu innych, których nie poznałam. Jeden z nich, nie pamiętam, który, zapytał mnie, czy wszystkie Żydówki [tu są], na co ja odpowiedziałam, że dwie są w domu.

Osobnik ten zażądał, abym ja je przyprowadziła. Jednak ludzie ci pijani byli i poczęłam płakać i prosić, niech nic nie robią tym Żydówkom, na co jeden z nich wściekł [się] i krzyknął: „Kurwa twoja mać, szkodujesz Żydów, to pierwszą cię wrzucimy w wondoł”, i że mam te dwie Żydówki przyprowadzić z domu na pole; więc ja popędziłam krowy i spotkałam na rowie siedzącego W. Konstantego i dwóch z tych oprawców, jak W.

i inny, jak prowadzili już na pole te dwie Żydówki z domu.

Ja byłam już w domu i Żydówki te już nie powróciły z pola, a tam zostały zgładzone jeszcze. W. Konstanty opowiadał do ludzi, że on zakopywał zwłoki w okopie. Do swego zeznania mogę dodać to, że B., żona B., ciągle mi się odgraża, że na rozprawie sądowej to ona mnie nożem przebije.

JÓZEF K.[48]

Polka, mieszkaniec Szczuczyna

[…] Za aprobatą Niemców Z. Józef, Z. Aleksander, W. Jan, K. Jan, K. Józef, R. Wincenty, K. Franciszek, M. Wacław, K. Bronisław, K. Antoni, O. Józef mordowali żydowskich mieszkańców Szczuczyna na cmentarzu żydowskim, bijąc ich siekierami. Z. Józef, Z. Aleksander, W. Jan przed dokonaniem morderstwa gwałcili młode Żydówki, a następnie mordowali, to ja widziałem na własne oczy i to na pewno widział stróż cmentarza żydowskiego O., który obecnie zamieszkuje na cmentarzu żydowskim, widział to także mój kolega Ł. Antoni, obecnie nie żyje, a z którym ja wówczas koło cmentarza żydowskiego pasłem krowy.

O mordach dokonanych przez wyżej wymienionych wiedzą wszyscy mieszkańcy Szczuczyna, ale obawiają się zeznawać, ponieważ wszyscy wyżej wymienieni posiadają liczne rodziny, niektórzy z nich należą do PZPR i obecnie straszą ludzi, którzy z tej racji dotychczas o tym nie meldują.

Nadmieniam, że starych Żydów wspomniani mordowali nocami.

Jeździli nawet po wsiach w poszukiwaniu Żydów, których mordowali tam, gdzie znaleźli.

Żydówki mordowali w dzień podstępem. Brali je na wozy, dawali im grabie i inne narzędzia i mówili im, że wiozą je do Niemiec na roboty, a w rzeczywistości wieźli je na cmentarz, zamykali je w szopie, następnie z szopy brali po jednej i mordowali uderzeniem siekiery w głowę. […] Przed zamordowaniem ofiary z posiadanej przez nie lepszej odzieży rozbierali i tym dzielili się między siebie, jak również zabierali drogocenne przedmioty od swych ofiar, jak zegarki, pierścionki, bransolety, kolczyki i inne, dzieląc to wszystko między siebie.

BZURY

DO PODOBNYCH ZBRODNI DOCHODZIŁO WE WSI BZURY I MAJĄTKU ZOFIÓWKA, GDZIE TEŻ PRACOWAŁY ŻYDÓWKI ZE SZCZUCZYŃSKIEGO GETTA.

WIKTOR C.[49]

Polak

[…] Ci osobnicy brali te Żydówki i pędzili do lasu, broni żadnej w rękach nie mieli, tylko pałki, i w wieczór dowiedziałem się, że te Żydówki zostały pobite, i jak słyszałem od ludzi, że oni są pobite tymi pałkami, co oni mieli ze sobą, a pałki te mieli jakieś półtora metra długości i grubości około 7 centymetrów, lecz to i z pewnością tak było, że ich pobili tymi pałkami, ponieważ nie było słychać strzałów, a gdyby strzelali, to strzały byłoby słychać.

Słyszałem, że było wziętych kilka osób do zawalania tych pomordowanych. Myśmy wszyscy należeli do Ndeci [endecji].

[…] Co do Żydówek, to mi jest wiadomo, że Niemcy dawali Żydówki za benzynę, z getta, które przywoził K. Stanisław do pielenia warzyw.

I razu pewnego, było to jakoś przy końcu sierpnia 1941 r., około południa pewnego dnia przyjechało pięciu cywilów rowerami do majątku [Bzury – przyp. M.T.], nigdzie nie zachodzili, tylko stali na podwórzu i gdy te Żydówki przyszły od roboty na obiad, to osobnicy ich nie wypuścili, tylko zaraz po obiedzie zabrali ich i popędzili do wsi Bzury. A było tych Żydówek dwadzieścia jeden i zapędzili ich do M. Aleksandra. Następnie po południu, o godzinie mniej więcej piętnastej, widzieliśmy, jak powieźli te Żydówki do lasu „bzurowskiego” ale wozili ich jakieś trzy razy, ponieważ na raz nie mogli zabrać ich [na] wóz. Woził ich mój teść K. Stanisław, któremu dał taki rozkaz administrator, a on otrzymał polecenie od tych osobników. Mój teść zawoził Żydówki na brzeg lasu, a oni brali te Żydówki i pędzili do lasu, broni żadnej w ręcach nie mieli, tylko pałki, i w wieczór dowiedziałem się od teścia, że te Żydówki zostały zabite.

[…] Lecz z pewnością tak było, że ich pobili tymi pałkami, ponieważ nie było słychać strzałów, a gdyby strzelali, to strzały byłoby słychać gdzieś dalej; od tego miejsca, gdzie ja pracowałem, nie było dalej jak pół kilometra.

STANISŁAW W.[50]
Polak

[…] Ja, W. Stanisław, w 1941 r. pracowałem w majątku Bzury. […] Około dwudziestego sierpnia 1941 r. przyjechało do majątku Bzur pięciu czy siedmiu osobników. […] Słyszałem później od ludzi z Bzur, że był tam M., Ś. i D. ze Szczuczyna. Nadmieniam, że D. nazywali komendantem. […] Z piwnicy brali ich na wóz i wozili do lasu bzurowskiego, co widziałem z pola, gdzie kosiłem owies, że oni powieźli te Żydówki do lasu, gdzie to one zostały pobite, lecz strzałów słychać nie było, bo jak mi zaznaczył W., to dani osobnicy, gdy tylko przyjechali do Bzur, kazali dla Kowala M. Tomasza, ażeby im na kije, które mieli ze sobą, ponabijał buksy od wózków, którymi to, jak zaznaczył mi W., zostały one pobite i zaraz na miejscu w starych okopach zawalone do ziemi. Lecz do zakopywania ich do ziemi dani osobnicy wzięli ze sobą Ł. Jana i S. Franciszka.

ANNA W.[51]
Polka, mieszkanka Bzur

Pracowało dwadzieścia dwie czy dwadzieścia cztery Żydówki. I pewnego razu, kiedy ja pieliłam marchew w ogrodzie, od strony Szczuczyna na rowerach nadjechało kilku mężczyzn, sześciu lub dziewięciu, i zajechali do kowala do majątku, i tam kazali sobie okuć kije.

Zagnali wszystkie Żydówki na podwórze w majątku i po mojego ojca przyszedł M. ze Szczuczyna, obecnie nie żyje, i powiedział: „Chodź, chodź, cholero, to samo z tobą będzie co z nimi”. Mój ojciec za Sowietów był kierownikiem kołchozu. Zabrali Żydówki na wóz

i zawieźli do lasu. Żydówki wiózł K. Wywieźli je do lasu i tam zabili, leżą tam zakopane.

NAJWIĘCEJ DO POWIEDZENIA W SPRAWIE ZBRODNI W BZURACH MAJĄ CI DWAJ MĘŻCZYŹNI: JEDEN Z NICH BYŁ W GRUPIE SPRAWCÓW, A DRUGI BYŁ ŚWIADKIEM TEGO, CO WYDARZYŁO SIĘ DZIEŃ PO MORDZIE.

STANISŁAW Z.[52]

Polak, mieszkaniec Bzur, oskarżony o tę zbrodnię

Po wejściu Niemców na nasze tereny ja mieszkałem w Grajewie, zaś ojciec mój pracował w majątku Bzury. Ja, mieszkając w Grajewie, poszedłem do ojca do majątku Bzury. Pracownik tegoż majątku K. Stanisław pojechał wozem drabiniastym do Szczuczyna i przywiózł dwadzieścia Żydówek w wieku od piętnastu do trzydziestu lat.

Po przywiezieniu Żydówek do majątku Bzury pracowały przy warzywach u ogrodnika S. przez przeciąg trzech dni. Po trzech dniach przyjechało ze Szczuczyna pięciu osobników na rowerach, a jeden przyszedł pieszo. Spośród nich poznałem tylko jednego, był to szwagier S. nazwiskiem T. Powiedzieli oni do fornali z majątku Bzury, że mają wydać Żydówki i iść ich zasypywać, gdyż mają rozkaz od żandarmerii niemieckiej Żydów zabić. Wówczas fornale nie poszli, mówiąc: „Kto zabija, niech zasypuje”. Zaś ja do fornali powiedziałem, że trzeba iść zasypać ciała, i powiedziałem, że ja z nimi pójdę, i poszedłem, biorąc ze sobą szpadel.

Osobnicy ze Szczuczyna poszli do majątkowej kuźni i okuli pałki na końcu żelazem, ażeby lepiej było zabijać. Po okuciu pałek żelazem zabraliśmy Żydówki do wioski Bzury i tam zapędziliśmy je do piwnicy jednego gospodarza, nazwiska nie znam.

[…] Gdy furmanki przyjechały pod dom, wypędziliśmy Żydówki z piwnicy i kazaliśmy im posiadać na wozy; powiedzieli Żydówkom, że wiozą ich do Grajewa.

Z wioski Bzury zawieźliśmy Żydówki do buczkowskiego lasu, gdzie był wykopany okop, i tam kazali Żydówkom zejść z wozu. Kazaliśmy kobietom porozbierać się do koszuli i majtek, tylko dwie młode Żydówki, które miały stare ubranie, nie kazaliśmy im się rozebrać. Po rozebraniu się Żydówek zaczęli prowadzić po jednej nad okop i tam zabijali pałkami drewnianymi na końcu okutymi żelazem. T. zabił cztery Żydówki. Jeszcze przed zabiciem pięciu osobników – oprócz T. – których nazwisk nie znam, gwałcili jedną Żydówkę.

Po zgwałceniu Żydówki ja wziąłem pałkę drewnianą od T. i sam osobiście zabiłem Żydówkę, którą gwałcili, uderzając ją pałką trzy razy w głowę, i wpadła do okopu, zaś pozostałe Żydówki zabili ci osobnicy, których nazwisk nie znam. Wyjaśniam, że w jednym okopie leży szesnaście Żydówek, a w drugim okopie leżą cztery Żydówki. Okopy te od siebie są odległe około 20 metrów.

Z pomordowanych Żydówek otrzymałem pantofle i jedną sukienkę, zaś resztę ubrania zabrali ww. i zanieśli do gospodyni na Dybełki, tam był tylko jeden dom. Pomordowanych Żydów ja sam zasypywałem

przez dwa dni. M. furman przyglądał się, jak my mordowali Żydów, zaś K. pojechał.

FRANCISZEK T.[53]

Polak, świadek historii

W roku 1941 na nasze tereny weszli Niemcy. W majątku Bzury i folwarku Zofiówka pracowały Żydówki za benzynę [tzn. komendant getta Wincenty R. wydawał je do pracy miejscowej ludności w zamian za benzynę, jajka, mięso itp. – przyp. M.T.]. Żydówek tych było dwadzieścia czy dwadzieścia cztery, dokładnie nie wiem. Pracowały cały czas przy żniwach. W czasie tych żniw w 1941 r. przyjechało kilka chłopaków ze Szczuczyna i Bzur. Wzięli te Żydówki na furmanki i wywieźli do lasu pod Wierzbowo, i tam ich pozabijali pałkami okutymi na końcu żelazem.

W zabójstwie brali udział S. z Bzur, młody, Z. Stanisław ze wsi Bzury, też młody, i kilku innych, których ja nie znam. Żydówki te wyprawił W. ze wsi Bzury, nie żyje obecnie. Na drugi dzień po zamordowaniu tych Żydówek ja, T., poszedłem tam, gdzie leżały zamordowane Żydówki, i jedna leżała na wierzchu z głową rozbitą i spuchniętą.

[…] Po prawej stronie stał bunkier, w którym zabijano, bo zauważyłem krew, spostrzegłem także grubą, nieokutą pałkę, oskrobaną, na końcu okrwawioną. Wziąłem ją i zaniosłem na mogiłę pomordowanych. Tam ujrzałem, że jedna z Żydówek była trochę wygrzebana, bo widać było bok, a drugiej kawałek nogi. Pierwsza w cienkiej sukience, a druga w czarnym fartuchu. Udałem się do wujka po szpadel,

aby przykryć zwłoki. Wtem nadszedł z łopatą Z. Wyraził się „tym kurwom to daliśmy”. […] Jedna gruba Żydówka miała złote zęby – odsłonił głowę zamordowanej – nie chciałem patrzeć. Powiedziałem, aby zagrzebał.

[…] Wujostwo nic mi nie mówiło, kto przywiózł Żydówki, nadmienili tylko, że osobnicy ci ze Szczuczyna przed morderstwem odzież Żydówek złożyli u nich na podwórku, a później ją zabrali.

Ciotka i wuj słyszeli tylko krzyk. Nic nie widzieli. Od W., który nie żyje już, słyszałem, że przed morderstwem osobnicy gwałcili Żydówki. W., były przodownik kołchozu, także zabrany był na stracenie, ale puszczono go wolno.

Przedtem zabierali jeszcze ubrania z tych Żydówek i obuwie zabrali ze sobą. […] Rzeczy zrabowane po tych Żydówkach zanieśli do G. i później od niej te rzeczy z powrotem zabrali.

LIPNIK

DZIAŁALNOŚĆ POLAKÓW ZE SZCZUCZYNA NIE OGRANICZYŁA SIĘ JEDYNIE DO WSI SKAJE I BZURY. BYŁA ZAKROJONA SZEROKO I ŚLADY KOLEJNYCH AKCJI MOŻNA ODNALEŹĆ W ZEZNANIACH MIESZKAŃCÓW WSI LIPNIK I DANOWO.

JÓZEF L.[54]

Polak, mieszkaniec wsi Lipnik

W okresie żniw jechało rowerami czterech mężczyzn do Lipnik. Naprzeciw mego domu mężczyźni ci się zatrzymali i krzyczeli, następnie jeden się odezwał, czy we wsi są Żydzi. Ja powiedziałem, że nie wiem.

Widziałem, jak jeden Żyd młody zaczął uciekać i został zastrzelony.

KONSTANTY O.[55]

Polak, mieszkaniec wsi Lipnik

[…] Widziałem, jak K. Franciszek, D. Zygmunt, G., imienia [sobie] nie przypominam, oraz czwarty osobnik, którego [sobie] nie przypominam, lecz był to brat albo K. lub też G., przygnali grupę Żydów i zażądali furmanki. Gospodarz mój Ch. Aleksander rozkazał mi wrzucić snopy i jechać. Gdy wsadzono Żydów na fury, nie pamiętam już, [kto] – ktoś spośród tych czterech – zaproponował dać Żydom czerwoną szmatę i zmusić ich do śpiewu.

Widziałem, jak sprawcy biegali po podwórzu, szukając tej szmaty, prosili żony Ch., lecz ta nie dała im, więc udali się do sołtysa Ł. Józefa, gdzie żona tego dała mu kawałek czerwonego płótna. Nie pamiętam już, kto, lecz ktoś z tych czterech zbrodniarzy przywiązał płótno do kija i dał go Żydom w ręce. Gdy wyjechałem, to przez całą drogę, poczynając od Olszynki, która [jest] zaraz za wsią Lipniki, Żydzi zmuszeni byli śpiewać aż pod sam Szczuczyn. Jadąc drogą, Żydzi siedzieli na furze, zaś K. Franciszek, D. Zygmunt, G. i czwarty jechali za nami rowerami. Żyd – rymarz, mieszkaniec Szczuczyna, znajomy mi dobrze z widzenia – miał na sobie szeroki pas wojskowy, zdjął go i dał mi, mówiąc, „że mu jest już niepotrzebny, ponieważ wszystko jedno zostanie zamordowany”.

Podjechałem pod Szczuczyn i uprosiłem „bandytów”, aby mnie zwolnili. Gdy zawróciłem konia, wziąłem pas i podałem K. Franciszkowi, mówiąc, że jest to pas

Żyda. Pamiętam, jak ten odpowiedział: „Pies go jebał z jego pasem, tego skurwego syna!”.

Wróciłem do wsi Lipniki, a K. i pozostali trzej pognali Żydów do Szczuczyna. Nie przypominam już [sobie] dokładnie, kto i co miał, lecz widziałem u tych czterech bandytów kije i bagnety. Pamiętam dokładnie, że G. na rowerze ze Szczuczyna przyjechał boso, lecz po zamordowaniu Żyda zdjął z niego buty i włożył je sobie na nogi.

JÓZEF Ł.[56]

Polak, sołtys wsi Lipnik

[…] Czterech osobników na rowerach przyjechało do naszej wsi, byli oni ubrani po cywilnemu, w garniturach, w kapeluszach na głowach. Gdy przyjechałem do wsi, spotkali mnie około podwórka i rozkazali, abym ja zabrał wszystkich Żydów, którzy zamieszkują w naszej wsi, ja chciałem zrzucić snopy, lecz mi nie pozwolili. Spośród tych czterech poznałem jedynie K. Franciszka ze Szczuczyna, reszty nie znałem i nie znam do dziś. Na rozkaz tych osobników i K. poszedłem po wsi i zakazałem [nakazałem], aby wszyscy Żydzi, którzy są w naszej wsi, zebrali się na moim podwórzu. Pomimo że ja zakazywałem [nakazywałem] Żydom zbierać się, K. Franciszek i pozostali trzej również chodzili po mieszkaniach i przypędzali Żydów. Wiem, że jeden młody Żyd w wieku lat dwudziestu zamieszkiwał u R. Antoniego; gdy już Żydzi byli na moim podwórzu, tych czterech bandytów denerwowało się, dlaczego tak długo R. nie prowadzi od siebie Żyda, i widziałem, jak K. i jeszcze

jeden bandyta poszli w kierunku domu R., lecz w tym czasie szedł już z Żydem im na spotkanie.

Spotkali się ze sobą naprzeciwko mieszkania Ch. Dominika, nie widziałem, kto powiedział, lecz słyszałem, że rozkazano Żydowi obrócić się plecami. W tym czasie Żyd krzyknął i zaczął uciekać.

Gonili za nim K. i ten drugi, jak długo go pędzili, nie widziałem, ponieważ skryli się oni za sadem oraz stodołą. Nie pamiętam już, kto, lecz jeden ze sprawców przyleciał na moje podwórko, zabrał jednego Żyda, któremu dał szpadel, i poprowadził go za stodołę S. Jana.

Dwóch innych zabrało Żydów i poprowadzili ich na podwórze Ch. Aleksandra. […] Słyszałem z opowiadań, że sprawcy dali Żydom kawałek czerwonego płótna na kiju i kazali im śpiewać. Odwoził Żydów na furmance do Szczuczyna parobek Ch.

DANOWO

CZESŁAW R.[57]

Polak

Latem 1941 r., dokładnej daty nie pamiętam, lecz było to na początku okupacji, w dzień wioząc żyto z pola do swoich budynków w Szczuczynie, widziałem dokładnie, jak drogą bitą, szosą, od strony Grajewa do Szczuczyna K. Franciszek, mający w ręku kij, wraz z młodym nieznanym mi chłopakiem gnali grupę Żydów; było tych Żydów dwanaście mężczyzn i jedna kobieta. Co z nimi potem zrobił K., nie wiem, lecz słyszałem, że ci Żydzi ukrywali się u gospodarzy we wsi Danowo, gm. Szczuczyn. Sam nie widziałem, lecz

słyszałem od mieszkańców wsi Lipnik, że tak samo K. Franciszek zabierał stamtąd ukrywających się Żydów i przyganiał do Szczuczyna.

DZIĘGIELE

ZABIJANO TEŻ ŻYDÓW PO TO, BY ODEBRAĆ IM ICH ZABUDOWANIA I GOSPODARSTWA, ŻEBY SIĘ WZBOGACIĆ.

PIOTR M.[58]

Polak, mieszkaniec wsi Dzięgiele

Ja zapoznałem O. w 1941 r. z chwilą wkroczenia na te tereny wojsk niemieckich. Zapoznałem go w następujących okolicznościach: w tymże roku, daty dokładnie nie pamiętam, przyszedł do mnie w godzinach wieczornych znany mi szucman niemiecki Sz. Zygmunt i powiedział mi, ażebym zaprzęgł swojego konia i przyjechał pod mieszkanie O. Edwarda. Gdy przyjechałem furmanką pod wskazane mi miejsce, wyszło kilku mężczyzn, a mianowicie: Sz. Zygmunt, Sz. Jan, Sz. Witold, Ch. Jan. Wszyscy oni, wsiadłszy na furmankę, pojechali do wsi Dzięgiele, gmina Stawiski, do zabudowań młynarza, nazwiska mi nieznanego, narodowości żydowskiej. Wszyscy oni weszli do mieszkania właściciela młyna i po kilku minutach wyprowadzili na dwór całą rodzinę żydowską. Pomiędzy Żydami zauważyłem O., obecnego właściciela młyna pożydowskiego w Dzięgielach. Na podwórzu szucman Sz. Zygmunt powiedział do braci O.: „Chcecie mieć majątek? Musicie Żydów zabić!”.

Na te słowa bracia O. zaczęli bić przyszykowanymi uprzednio pałkami drewnianymi rodzinę żydowską. Po zabiciu rodziny żydowskiej, składającej się z czterech osób: staruszki, starca, mężczyzny, lat około trzydzieści, i chłopca, lat czternaście, zwłoki ich bracia O. wrzucili do kopca po kartoflach. Po dokonanym morderstwie i pochowaniu zwłok O. zaprosił nas wszystkich – tych, którzy do niego przyjechali – na wódkę do mieszkania wymordowanej rodziny żydowskiej. Po odbytej libacji wszyscy wróciliśmy do Stawisk.

STANISŁAW M.[59]

Polak, mieszkaniec wsi Dzięgiele

Było to w 1941 r. na początku miesiąca lipca. Do wsi Dzięgiele przyjechali jacyś nieznani mi osobnicy do wiatraka, gdzie mieszkała rodzina żydowska, i po krótkiej chwili usłyszałem krzyk, i na wiosce rozeszła się pogłoska, że mordują Żydów. To moja żona kazała mi uciekać, mówiąc, że i mnie zabiją, to ja wybiegłem na podwórze, lecz w tym czasie jakiś osobnik z opaską na ręku krzyknął na mnie: „Stój, skurwysynie, bo cię zabiję! I bierz szpadel, i choć Żydów zawalać!”. Więc ja wziąłem szpadel i poszedłem z tym osobnikiem do tych zabudowań, gdzie w odległości od nich 20 metrów był dół i z tego dołu wychodziły jęki. I ja począłem zawalać. Zawalało tam więcej ludzi, lecz kto tam był, nie mogę powiedzieć. Po zawaleniu uciekłem do domu.

Wciąż się zastanawiam, spisując te historie, dlaczego do tego doszło. Czemu możliwe było to okrucieństwo? Co do tego doprowadziło? Najważniejszej odpowiedzi udzieliły mi

zdjęcia szczuczyńskich Żydów. Starając się spojrzeć na nie oczami przeciętnego Polaka z tamtego okresu, wyobrazić sobie, jak postrzegał swoich żydowskich sąsiadów, dostrzegam przede wszystkim to, jak oni, Żydzi, byli inni. Jak bardzo różnili się od ówczesnych Polaków nie tylko urodą, swoimi pięknymi czarnymi oczami, wspaniałymi czarnymi włosami, ale też makijażem, zadbanym, eleganckim strojem, zachowaniem, pozami, jakie przyjmowali.

Żydzi byli dla Polaków tacy „inni”, bo reprezentowali kulturę miejską. Dlatego byli obcy pośród chłopskich czy drobnomieszczańskich grup polskich. Polacy nie rozumieli ich, nie znali ich nazwisk, świąt, obyczajów, języka, bo mało kto znał jidysz. A to, co nieznane, wzbudzało lęk, ale i złość, bo lęk i niezadowolenie zwykle idą ze sobą w parze. Przyczyną zabójstw była również zazdrość, potężne i destrukcyjne uczucie. Polacy zazdrościli Żydom majątków prawdziwych lub rzekomych, kilogramów złota, jakie miały kryć się pod podłogami żydowskich domów i piwnic, zazdrościli im sklepów, ubrań, butów, zegarków, futer – tego wszystkiego, czego nie mieli lub czego nie mieli w takim stopniu, na jaki w swoim mniemaniu zasługiwali. Zazdrość odczuwali, patrząc na dostatek żydowskich domów, na schludność obejść. Zazdrościli, patrząc na piękno żydowskich kobiet. Nie dostrzegali przy tym biedy i nędzy, tak częstej we wspólnotach żydowskich z tamtego okresu, bo zarówno zazdrość, jak i nienawiść bywają ślepe.

I tu dochodzimy do najważniejszej emocji kierującej polskimi zbrodniarzami w tamtym czasie – do emocji, która zrodziła się z dwóch poprzednich, tj. lęku wobec tego, co inne, i zazdrości. Mianowicie zrodziła się z nich chciwość. Polscy mieszkańcy Szczuczyna chcieli mieć wszystko, co żydowskie, nie tylko to, co należało do Żydów, ale też to, co

wręcz było nimi. Polacy byli chciwi wobec samych Żydów, pragnęli ich mieć, dosłownie, uczynić z nich swoich niewolników, upokorzyć ich w ten sposób, podeptać ich godność.

Inność, z jaką obnosili się w ich oczach przez tyle lat przed wojną, musiała zostać zatarta, pochłonięta i zawłaszczona przez żywioł polski. Temu służyło uczynienie niewolnic z żydowskich kobiet. Temu służyły akty przemocy i gwałty, jakich stały się ofiarami. Chciwość oznaczała pragnienie odebrania Żydom majątków, domów, sklepów, warsztatów, młynów, odebrania im godności, nietykalności cielesnej, wreszcie odebrania im życia. Polscy sąsiedzi zabrali im wszystko. Na koniec odebrali im też godność śmierci, bo pogrzebali ich byle jak, pospiesznie, w masowych grobach, nagich, odartych z człowieczeństwa. Porzucili ich ciała w lasach, jak ten w okolicach Bzur, gdzie do dziś leżą pogrzebane w bezimiennej mogile żydowskie dziewczyny bez niczyjego szacunku i współczucia, bez pamięci.

Bo potem o tym wszystkim zapomniano, polscy sąsiedzi zakłamali własną historię, skazując swoje ofiary na zapomnienie.

W końcu pojawia się także najprostsza odpowiedź na pytanie „dlaczego”. Bo mogli. Bo nic ich nie powstrzymało. Mogli to zrobić polscy sąsiedzi, bo wraz z rozpadem państwa polskiego rozpadły się wszelkie więzy społeczne, autorytety moralne tej katolickiej wspólnoty zawiodły, nikt nie stanął w obronie Żydów. Życie ich zostało wyjęte spod prawa ludzkiego i boskiego. To pokazuje, że natura ludzka jest zawsze i wszędzie skłonna do przemocy.

O jednym jeszcze aspekcie zagłady żydowskiej wspólnoty w Szczuczynie trzeba powiedzieć. Otóż pozwoliła ona wyłonić się nowej, miejscowej, polskiej elicie. To mordowanie Żydów stało się swoistym testem dla

szczuczyńskich mężczyzn, pozwalającym ustalić między nimi, kto od tej pory będzie władał miastem przez następne pokolenia. Słowa „chodź z nami, jeśli masz twarde sumienie”, należy odczytywać jak wezwanie „chodź z nami, jeśli chcesz awansować, jeśli chcesz, byś ty i twoje dzieci zajęli w przyszłości miejsce pośród szanowanych obywateli miasta”. Wspólnota w zbrodni – oto co połączyło szczuczynian na siedemdziesiąt kolejnych lat.

Żydowskie dziewczęta ze Szczuczyna w ludowych polskich strojach, między nimi Rywka Sz., Ronia B. oraz ich nauczycielka

O awansie społecznym zbrodniarzy przesądził również fakt, że na zbrodniach się nagle wzbogacili, zajęli żydowskie domy, warsztaty, zrabowali inne dobra, tak jak to było w Szczuczynie czy Dzięgielach, Radziłowie, Jedwabnem czy Wąsoszu. Nagle, z dnia na dzień, uczestnicy

mordów stali się nową elitą, nie tylko etniczną, nie tylko polityczną, ale i ekonomiczną. Każdy, kto odpowiedział na wezwanie do zbrodni, mógł liczyć na to, że on i jego dzieci, i dzieci jego dzieci osiągną w życiu więcej, niż sam mógł kiedykolwiek marzyć.

Po wojnie odbyło się kilka śledztw i procesów uczestników mordów, w ich wyniku:

Stanisław Z. został skazany na piętnaście lat pozbawienia wolności;

Stanisław B. został skazany na piętnaście lat, a w wyniku wniesienia apelacji na dziesięć lat pozbawienia wolności;

Franciszek L. i Jan Ś. wyrokiem z 30 kwietnia 1952 r. zostali skazani na siedem lat (Franciszek L.) oraz pięć lat (Jan Ś.) pozbawienia wolności oraz przepadek mienia na rzecz skarbu państwa;

Stanisław O. wyrokiem z 18 maja 1947 r. został skazany na dziesięć lat więzienia oraz przepadek mienia na rzecz skarbu państwa;

Czesław D. został skazany na piętnaście lat pozbawienia wolności;

Stanisław Z. wyrokiem z 28 lutego 1951 r. został skazany na karę śmierci, 18 sierpnia 1951 r. prezydent Rzeczypospolitej Polskiej skorzystał z prawa łaski i zamienił mu karę na piętnaście lat pozbawienia wolności;

Franciszek K. został uniewinniony;

Władysław Z., Jan K., Leon K., wyrokami z 25 stycznia 1951 r. i 21 marca 1952 r., zostali uniewinnieni;

Wincenty R., Dominik G., Marian J., Franciszek M., Czesław S., Napoleon G., wyrokiem z 26 stycznia 1951 r., zostali uniewinnieni;

Stanisław N. został uniewinniony;

Stanisław W. – postępowanie przeciwko niemu zostało umorzone 13 kwietnia 1951 r. z braku dostatecznych

dowodów winy;
Stanisław P., wyrokiem z 8 listopada 1947 r., został uniewinniony;
Józef W., wyrokiem z 20 lutego 1948 r., został uniewinniony;
Albin G., wyrokiem z 17 lutego 1950 r., został uniewinniony;
Antoni P., wyrokiem z 17 kwietnia 1947 r., został uniewinniony;
Michał R. został uniewinniony;
Marian Ś., Mieczysław K., Jan Z. – śledztwo przeciwko nim zostało umorzone z braku dowodów winy;
Józef W. został uniewinniony.

Przypisy

[1] Akta śledztwa S8/12/Zn w sprawie wzięcia udziału w zabójstwie dwudziestu kobiet narodowości żydowskiej, o nieustalonych personaliach, dokonanej w bliżej nieokreślonym czasie, w sierpniu 1941 r., w lesie w okolicy wsi Bzury, gm. Szczuczyn, obecnie w pow. grajewskim, woj. podlaskim, przez sprawców narodowości polskiej, prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, OKŚZpNP, IPN Białystok.
[2] Akta sprawy, IPN Bi 07/298.
[3] Akta sprawy, IPN Bi 415/57.
[4] Akta sprawy, IPN Bi 413/22.
[5] Akta śledztwa S36/03/Zn w sprawie zbrodni popełnionych przez żandarmów niemieckich w Szczuczynie, prowadzący prokurator Jerzy Kamiński, OKŚZpNP, IPN Białystok.
[6] Akta śledztwa S1/00/Zn w sprawie spalenia osób narodowości żydowskiej 10.07.1941 r. w Jedwabnem,

prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, OKŚZpNP, IPN Białystok

[7] Na podstawie: 301/1958 J, ŻWKH, Białystok 11.08.1946 r., [w:] Akta śledztwa S8/12/Zn, dz. cyt.

[8] Akta sprawy, IPN Bi 415/118.

[9] Akta śledztwa S36/03/Zn, dz. cyt.

[10] Tamże.

[11] Tamże.

[12] Tamże.

[13] Sprawa Stanisława Z., oskarżonego o zabójstwo i pogrzebanie na jego polecenie 20 Żydówek, sygn. akt IPN Bi 403/135/3.

[14] Akta sprawy, IPN Bi 403/135/3.

[15] Akta sprawy, IPN Bi 408/167.

[16] *Życie i śmierć Żydów w Szczuczynie podczas okupacji hitlerowskiej*, [w:] ŻWHK Białystok 11.08.1946 r. L.p. 157/46.

[17] Akta sprawy, IPN Bi 413/22.

[18] Akta śledztwa S8/12/Zn, dz. cyt.

[19] Akta sprawy, IPN Bi 413/22.

[20] Akta sprawy, IPN Bi 405/84.

[21] Tamże.

[22] Akta sprawy IV S. 289/50.

[23] Akta sprawy, IPN Bi 403/135/3.

[24] Akta sprawy, IPN Bi 408/167.

[25] Akta sprawy, IPN Bi 403/135/3.

[26] Akta sprawy, IPN Bi 413/10.

[27] Akta sprawy, IPN Bi 403/135/3.

[28] Akta sprawy, IV S. 289/50.

[29] Akta sprawy, IPN Bi 415/57.

[30] Akta sprawy, IV S. 289/50.

[31] Akta sprawy IV S. 289/50 oraz akta sprawy IPN Bi 413/27.

[32] Akta sprawy, V K/753/1947, SOE 115.
[33] Tamże.
[34] Tamże.
[35] Akta sprawy, IPN Bi 408/167.
[36] Akta śledztwa S8/12/Zn, dz. cyt.
[37] Akta śledztwa S8/12/Zn, dz. cyt.; także fragmenty zeznań tego samego świadka ze spraw: sygn. akt IPN Bi 413/22 oraz IPN Bi 403/135/3.
[38] Sprawa Franciszka K., [w:] IPN S 8/12/Zn, dz. cyt.
[39] Tamże.
[40] Akta sprawy, IPN Bi 413/27.
[41] Akta śledztwa S8/12/Zn, dz. cyt.
[42] Akta sprawy, IPN Bi 408/167.
[43] Akta śledztwa S8/12/Zn, dz. cyt.
[44] Tamże.
[45] Akta sprawy, IPN Bi 403/135/3.
[46] Akta śledztwa S8/12/Zn, dz. cyt.
[47] Akta sprawy, IPN Bi 413/22.
[48] Akta sprawy, IPN Bi 403/135/3.
[49] Akta śledztwa S8/12/Zn, dz. cyt., oraz rozprawa Stanisława Z. z 28.02.1951, [w:] Akta sprawy K 29/50.
[50] Rozprawa Stanisława Z. z 28.02.1951, [w:] Akta sprawy K 29/50.
[51] Akta sprawy K 29/50.
[52] Tamże.
[53] Tamże.
[54] Akta sprawy IV S. 289/50.
[55] Tamże.
[56] Tamże.
[57] Tamże.
[58] Akta sprawy, IPN Bi 411/ 24.
[59] Tamże.

Goniądz

Interpretacja wydarzeń powstała na podstawie zeznań Tuviah Ivri Y. (Tewjego J.), autora księgi pamięci miasteczka Goniądz, materiałów ze śledztwa S71/04/Zn w sprawie zabójstw w latach 1941–1944 obywateli polskich przez funkcjonariuszy władz hitlerowskich z żandarmerii w Goniądzu, prowadzący prokurator Tomasz Kamiński, oraz zeznań świadków dostępnych w materiałach sądowych i śledczych z epoki, będących w dyspozycji Instytutu Pamięci Narodowej.

22 czerwca 1941 r. niemieckie samoloty przeleciały po raz pierwszy nad Goniądzem, bombardując miasteczko, a następnie znajdującą się w pobliżu twierdzę Osowiec. Armia Czerwona szybko uciekła, bo w tamtych dniach nie stać jej było na wiele więcej niż na paniczną ucieczkę przed Niemcami. Wracające znad Osowca samoloty przeleciały więc po raz drugi nad Goniądzem i urządziły masakrę, tym razem ludności cywilnej.

Tej nocy zebrała się na nadzwyczajnym spotkaniu polska rada miejska. Zwołano ją, by zmobilizować wszystkich obywateli, którzy mieli przeszkolenie wojskowe, a także tych, którzy powrócili z lasu z partyzantki, do zapewnienia porządku i zabezpieczenia własności w mieście. W efekcie tego zebrania zorganizowano tzw. straż obywatelską złożoną z polskich mieszkańców Goniądza. Na jej czele stanął Bernard K.[1], urodzony 11 sierpnia 1902 r. w Burbekhausen, Polak i katolik. W czasie okupacji zadeklarował narodowość niemiecką, choć po wojnie znów

podawał polską. Ukończył siedem klas szkoły powszechnej, z zawodu był górnikiem.

W swoich zeznaniach, złożonych przed organami bezpieczeństwa 6 kwietnia 1945 r., Bernard K. potwierdził, że urodził się w 1902 r. w Niemczech, jego ojciec był górnikiem w Westfalii. W 1917 r. wyemigrował do Polski, do Działdowa. W 1923 r. wstąpił do Wojska Polskiego i został przydzielony do Korpusu Ochrony Pogranicza w twierdzy Osowiec, a w 1937 r. przeniesiono go do Sarny, na granicę sowiecką, gdzie był do 1939 r. W Korpusie Ochrony Pogranicza, w stopniu podoficera, odsłużył jedenaście lat. Po 1943 r., gdy Niemcy rozformowali polską milicję w Goniądzu, otworzył w tym mieście punkt rozdzielnictwa mięsa, a następnie pracował dla Niemców w twierdzy Osowiec jako magazynier.

Z aktu oskarżenia, jaki wniesiono przeciwko niemu 12 listopada 1946 r., można się dowiedzieć, że w 1941 r. w Goniądzu Bernard K. stworzył polską milicję, znaną też jako straż obywatelska lub Komitet Wyniszczenia Komunizmu. Była złożona z mieszkańców miasteczka, a on, jako jej członek, a jednocześnie dowodzący z ramienia polskiej rady miejskiej, brał udział w mordowaniu Żydów w miasteczku i zabił m.in. Josela K. Aresztował także osoby narodowości polskiej, tj. Jana C. i Aleksandra R. z rodziną, za wrogość wobec Niemiec, sprzyjanie Rosjanom i poglądy lewicowe.

W trakcie rozprawy głównej, która odbyła się 3 lutego 1949 r., mimo że Bernard K. na niej się nie stawił, ponieważ ukrywał się wówczas przed organami ścigania w partyzantce, Jan C.[2] potwierdził, że w Goniądzu po wkroczeniu Niemców utworzony został zarząd miejski, w którym Bernard K. pracował jako sekretarz burmistrza Jana B. i tłumacz z języka niemieckiego. Zadaniem zarządu

miejskiego było wyłapanie komunistów i Żydów. C. również został aresztowany za komunizm i trzy dni przesiedział w areszcie. Do aresztowania miał się przyczynić właśnie Bernard K. Inny świadek, Józef P.[3], także potwierdził, że Bernard K. był sekretarzem w polskim zarządzie miasta. Chodził po cywilnemu ale z biało-czerwoną opaską na ramieniu i pistoletem za paskiem. Również Adolf W.[4] zeznał, że Bernard K. zaczął natychmiast współpracować z Niemcami po ich wkroczeniu do Goniądza.

O udziale Bernarda K., a także miejscowych księży katolickich, w tworzeniu polskiej straży obywatelskiej zeznawali również Marian K. oraz Leon K.[5], W ich wersji to Bernard K. razem z burmistrzem Janem B. zorganizowali tymczasowy zarząd miejski, który miał za zadanie utworzyć polskie władze administracyjne w Goniądzu. Jan B. mianował siebie burmistrzem miasta, a Bernarda K. swoim zastępcą i sekretarzem. Zarząd rozpoczął też natychmiast prześladowanie komunistów i Żydów. Dopiero później powołano tymczasową milicję, zwaną strażą obywatelską, na czele której stanął Adam P. W połowie lata 1941 r. Bernard K. wraz z Janem B. i polską milicją pod dowództwem Adama P. aresztowali komunistów i Żydów, a świadkowie widzieli, jak Bernard K. z całym swoim „sztabem” zaprowadził zatrzymanych do budynku szkoły i tam się nad nimi w niezwykle okrutny sposób znęcał. Kolejny polski świadek, W., widział również, jak następnie popędzili ofiary na cmentarz i zamordowali. Zabito wtedy także rodzinę polskiego komunisty K., braci G., kolejnego polskiego komunistę K.

Taki przebieg wydarzeń, tj. powołanie przez radę miejską podległej jej straży obywatelskiej w Goniądzu tuż po wkroczeniu Niemców do miasteczka, potwierdzili w swoich zeznaniach po wojnie także Tewel J. i Z., Wolf Z.,

mieszkańcy Goniądza narodowości żydowskiej ocalali z zagłady, oraz polscy mieszkańcy miasta: Józef P.[6], Stefania S.[7], Bolesław D.[8], a także oskarżani później o przynależność do owej paramilitarnej formacji: Franciszek K., Jan P., Władysław Ł., Leon K., Alfons D. i Bronisław P.

Jeden z nich, Jan P.[9] w zeznaniu z 18 września 1952 r. podał nawet skład osobowy straży obywatelskiej – wymienił: Stanisława Cz., Wacława Cz., trzech braci R. i trzech kuzynów R. oraz Władysława Ł.

Tewel J.[10], syn Chajkiela, mieszkaniec Goniądza wyznania mojżeszowego, zeznał po wojnie, że znał Bernarda K. od 1931 r. Poznał go w Osowcu, gdzie ten służył jako podoficer zawodowy Korpusu Ochrony Pogranicza. Jego relacje z nim przed wojną, jak twierdził Tewel J., były „normalne”.

TEWEL J.[11]
Żyd, mieszkaniec Goniądza

> […] Z przyjściem władzy sowieckiej w 1939 r. K. zaczął się ukrywać przed aresztowaniem i organami NKWD, do Goniądza on wrócił z przyjściem wojsk niemieckich. […] Dnia 27 czerwca 1941 r., idąc do wsi Downary gm. Goniądz, osobiście widziałem K. Bernarda w towarzystwie dwóch nieznajomych mi mężczyzn, którzy około wsi Downary zatrzymali dwóch żołnierzy Czerwonej Armii, których rozebrali i za sobą pociągnęli do lasu. Ze słów mieszkańców tejże wsi ja się później dowiedziałem, że rozbrojeni sowieccy żołnierze zostali zamordowani i pochowani w tym lasku około wsi Downary.

Z wkroczeniem wojsk niemieckich K. Bernard zjawił się w Goniądzu i razem z B. Janem i Ł., i W. organizował „Tymczasowy Komitet”, który miał za zadanie zorganizowanie niemieckiej władzy administracyjnej, wyniszczenie wszystkich sowieckich aktywistów i komunistów oraz prześladowanie ludności żydowskiej.

Podobnie zeznali Zelman J.[12] i Wolf Z.[13], urodzeni w Goniądzu Żydzi. Obu udało się przeżyć zagładę. Po wojnie Wolf Z. opowiedział, że do 1941 r. mieszkał w Goniądzu, gdzie po wkroczeniu Niemców polscy mieszkańcy miasteczka wymordowali całą jego rodzinę.

WOLF Z.[14]
Żyd, mieszkaniec Goniądza

[…] W czasie odwrotu Armii Czerwonej w końcu czerwca 1941 K. Bernard, P. Antoni, Z., R., K. Antoni, P. Władysław, J. Bronisław utworzyli bandę uzbrojoną i napadali na mniejsze oddziały Armii Czerwonej. W pierwszych dniach lipca 1941 r. przyszli do mieszkania mojej rodziny zamieszkałej w Goniądzu następujące osoby: K. Bernard, P. Antoni, Z., K. Antoni, P. Władysław, J. Bronisław i K. Bronisław, zamieszkali w Goniądzu, i aresztowali całą moją rodzinę, jak: ojca Lejba, matkę Rajłe, brata Jankiela, siostrę Fronię i mnie; bijąc po drodze, zapędzili do synagogi. W synagodze było zapędzonych około 400 osób narodowości żydowskiej i około 10 osób narodowości polskiej. Widziałem, będąc w synagodze, jak bili F. Bejlach, który był aktywistą radzieckim. Przy wyprowadzeniu aresztowanych z synagogi do piwnicy ja uciekłem i tym sposobem ocalałem.

> W parę dni po wspomnianym przeze mnie wypadku dowiedziałem się, że wyżej wymieniona banda zamordowała całą moją rodzinę i 180 osób narodowości żydowskiej i polskiej.

Podsumujmy, co udało się ustalić – burmistrz B. i miejscowi księża wyznaczyli w czerwcu 1941 r. na szefa straży obywatelskiej w Goniądzu Adama P., który zwerbował do niej od kilkunastu do kilkudziesięciu mężczyzn z miasteczka i okolic. Różni świadkowie podawali różny skład tej straży, więc trudno dziś odtworzyć pełną listę jej członków, niemniej pewne nazwiska powtarzały się w kolejnych zeznaniach.

Tewel J. wymieniał Ł., Z., M., W., R., Stanisława O., Józefa G. i Wojciecha B. Wolf Z. wymieniał Bernarda K., Antoniego P., Ł., Antoniego K., Władysława P., Bronisława J., Bronisława K. Zelman J. wymienił Jana Ł. (po wojnie pracował w ochronie kolei), K., M., W., Józefa R., Stanisława O. (po wojnie służył w Wojsku Polskim), Józefa G., Wojciecha B., Wojciecha P., Antoniego P., M., Franciszka K. [15]. Helena K.[16]mieszkanka Goniądza, dodawała jeszcze Leona K. Jan O., Polak z Goniądza[17], wymieniał Władysława P., dwóch braci Stanisława i Wacława Cz. oraz Witolda P. Marian G., mieszkaniec Goniądza, jako członka straży obywatelskiej podał Mariana K. Władysław Ł.[18], który był jednym z oskarżonych członków straży obywatelskiej, wymienił następujących mężczyzn: Alfons D., Leon K. i Marian K., bracia Cz., bracia R. i ich ojciec, J., Adam P. i Antoni P., P., Jan P.

Wtorek po ataku Niemców, 24 czerwca 1941 r., był spokojniejszy. Armii Czerwonej w Goniądzu już nie było, a Polacy i Żydzi, wśród nich Josel K., poszli łupić porzucone przez czerwonoarmistów magazyny. Mały oddział Armii

Czerwonej pojawił się jednak na chwilę w miasteczku i ostrzelał grupę szabrowników. Kilku z nich zginęło, reszta pochowała się z łupami. Drzwi i okna w spółdzielni utworzonej przez Sowietów zostały rozbite, a niezagrabione towary porozrzucane. Mogło się wydawać, że grom z jasnego nieba uderzył w to miejsce. Pobliski fort Osowiec zaczął płonąć w wyniku niemieckiego bombardowania. Po doszczętnym rabunku spółdzielni w Goniądzu polscy mieszkańcy miasteczka zaczęli włamywać się do domów i i sklepików żydowskich, próbowali dostać się też do domu J., wznosili przy tym okrzyki w rodzaju: „Dzięki Bogu, możemy pozbyć się żydowskich komunistów!”. Wciąż nie było Niemców w Goniądzu, bo przednie formacje wermachtu po prostu ominęły miasteczko i popędziły na wschód. Dopiero w czwartek 26 czerwca niemieckie motocykle pokazały się po raz pierwszy w centrum miasta, zajeżdżając najpierw na podwórko plebanii. Polscy mieszkańcy hurmem ruszyli, aby ich tam powitać. Żydzi siedzieli zamknięci w swoich domach i z przerażaniem wyglądali przez okna, próbując zorientować się w sytuacji. Następnie niemieccy żołnierze na motocyklach pojechali na rynek, gdzie polska ludność ponownie zgotowała im gorące powitanie.

Dwie młode Polki przyniosły im kwiaty. Polacy wołali: „Niech żyje Hitler, nasz wyzwoliciel! Precz z komunistami! Śmierć Stalinowi!”. Potem uroczyście spalili flagę Armii Czerwonej. Były śmiechy i tańce z żołnierzami niemieckimi do późnego wieczora.

Fakt witania hitlerowców przez polską ludność Goniądza potwierdził również w swoich zeznaniach złożonych po wojnie Zelman J.[19], który widział, jak Niemców wkraczających do miasteczka kwiatami witali: Bernard K., Ł., W., J., M., P. i wielu innych. Mężczyźni ci mieli, według niego, wznosić radosne okrzyki: „Cześć im i chwała, bo

oswobodzili nas od jarzma bolszewickiego!”. K. miał całować żołnierzy niemieckich na powitanie.

Gdy ustały działania wojenne, polska straż obywatelska wyszła na ulice Goniądza. Z relacji Tewiego J. wynika, że jej członkowie nosili szare mundury z czarnym krzyżem na lewym ramieniu (był to ubiór charakterystyczny dla przedwojennych polskich organizacji nacjonalistycznych, np. Obozu Narodowo-Radykalnego). Jednak inni świadkowie, np. Józef P.[20], twierdzili, że strażnicy w Goniądzu ubrani byli zwyczajnie, po cywilnemu, a na lewym ręku nosili jedynie biało-czerwone opaski. Na ulicach pojawiło się też kilku żydowskich mieszkańców, którzy odważyli się wyjść z domów. Prosili Polaków o żywność. Czasami udawało im się znaleźć chrześcijanina, który sprzedał im bochenek chleba lub ziemniaki. Żydzi jednak nie mieli odwagi pokazać się w centralnym punkcie miasta, czyli na rynku.

W piątek 27 czerwca 1941 r. wojska niemieckie pojawiły się w Goniądzu w większej liczbie. Żołnierze byli w drodze do Rosji, cieszyli się i byli bardzo butni. Polacy dali im wodę i zapewnili odpoczynek. Prosili też, by w ich imieniu „pokonali Rosjan”. Przez sobotę miasto znów było ciche i względnie bezpieczne, a obie społeczności, polska i żydowska, starały się nie wchodzić sobie w drogę. Spokój trwał aż do wieczora, kiedy to polska rada miejska podjęła uchwałę, by policzyć Żydów znajdujących się w miasteczku, nakazała też straży obywatelskiej aresztować wszystkich tych, którzy mieli być komunistami lub sympatykami władzy radzieckiej, i przyprowadzić ich do budynku miejscowego sądu. Aresztowanym nie wyrządzono krzywdy, choć samo spisywanie miało wydźwięk moralnie deprecjonujący i było rodzajem szykany. Po spisaniu Żydów oraz sporządzeniu

ewidencji podejrzanych o komunizm odesłano wszystkich do domów. W niedzielę od rana polska straż obywatelska ogłaszała na ulicach miasteczka, że Żydzi, którzy dzień wcześniej zostali uznani za komunistów i spisani, mają zgromadzić się na rynku. Rozkazali stawić się Jankielowi E., staremu G. z żydowskiej jesziwy, Abrahamowi szklarzowi i Henne, kantorowi z miejscowej synagogi, którego głos był sławny w całym powiecie, a sława ta docierała nawet do odległego Białegostoku.

W sumie straż obywatelska zebrała na rynku trzydziestu tzw. komunistów, po czym znowu odesłała wszystkich do domów, informując ich jednak wcześniej, że zgodnie z postanowieniem rady miejskiej od tego dnia wszyscy muszą się meldować w sądzie trzy razy dziennie, w przeciwnym razie zostaną zabici. Strach w miasteczku rósł z każdym dniem, kilku Żydów uciekło do pobliskich wsi, by się tam ukryć. Inni udali się do getta w Białymstoku, chociaż życie i tam było straszne. Spośród pozostałych w Goniądzu (a pozostała większość) strażnicy wybrali młodych mężczyzn, których wysłano do uprzątania gruzu po niemieckich nalotach i do rozbijania kamieni na drodze. Musieli być gotowi do pracy na każde wezwanie strażników, którzy, *nota bene*, zdążyli się już zaopatrzyć w grube drewniane pałki. Sytuacja taka utrzymywała się aż do „czarnego piątku”.

W czwartek 3 lipca 1941 r. wydano rozkaz, by wszyscy Żydzi powrócili ze wsi do miasta. Rada miejska poprzez straż obywatelską wydała obwieszczenie, że jeśli stwierdzi się, że starozakonni ukrywają się u chłopów na wsiach poza Goniądzem, to zarówno ukrywający się, jak i chłopi zostaną zabici. Przerażeni wieśniacy odesłali więc pośpiesznie wszystkich ukrywających się u nich Żydów do miasta.

W piątek 4 lipca rada miasta zarządziła, że o godzinie 10 rano wszyscy Żydzi muszą stawić się na rynku. Przed wyznaczoną godziną zaczęli więc grupować się na prowadzących do niego uliczkach. Nikt nie wiedział, co się dzieje. W ciągu pół godziny wszyscy żydowscy mieszkańcy Goniądza zostali zgromadzeni w centrum miasta. Ci, którzy nie przyszli z własnej woli, byli doprowadzani siłą przez strażników obywatelskich, którzy w ich poszukiwaniu sprawdzali każdy zakamarek miasteczka. Polscy mieszkańcy pomagali w tych poszukiwaniach, meldując natychmiast o każdym ukrywającym się Żydzie, lub samodzielnie doprowadzali go na rynek. Wreszcie blisko południa przybyło do Goniądza kilku oficerów niemieckich. Oddzielili żydowskich mężczyzn od kobiet. Mężczyznom rozkazano stanąć w ulicznych rynsztokach. Następnie jeden z oficerów kazał wystąpić fryzjerom. Było ich dwóch i obaj się zgłosili. Rozkazano im obciąć brody dorosłym Żydom oraz pejsy młodzieży. Polecenie zostało wykonane. Duża grupa strażników obywatelskich i polskich mieszkańców Goniądza stała wokół Żydów, gotowa na skinienie niemieckiego oficera pałkami wymusić na nich posłuszeństwo. Gestapowiec kazał Polakom wybrać spośród Żydów komunistów.

Burmistrz Jan B. i Bernard K. odpowiedzieli: „Dlaczego mamy wybierać? Wszyscy Żydzi są komunistami. Żaden nie jest lepszy od drugiego. Wszyscy oni powinni być doprowadzeni do rzeki i utopieni. My nie znamy lepszego sposobu rozprawienia się z tą zarazą!”[21].

Zostali jednak zmuszeni przez hitlerowców do dokonania selekcji. Wybrali więc spośród Żydów tych, którzy już wcześniej zostali wpisani na listę tzw. komunistów, i ustawili ich oddzielnie w grupie, którą natychmiast, za przyzwoleniem Niemców, pobili zgromadzeni na rynku

Polacy. Wiele osobistych porachunków zostało załatwionych przy tej okazji. Z pozostałych Żydów, którzy nie zostali pobici, zorganizowano brygadę, która miała odtąd być wykorzystywana przez polską ludność miasteczka do pracy jako niewolnicza siła robocza. Jeśli chodzi o kobiety żydowskie, strażnicy obywatelscy dali im zdjęcia Lenina i Stalina i kazali im trzymać je ponad głowami i śpiewać radzieckie piosenki. Następnie ta dziwna procesja Żydówek ruszyła dookoła rynku; zostały zmuszone obejść go kilkakrotnie.

Na uboczu grupę „komunistów” bito dalej, na rozkaz szefa straży obywatelskiej Adama P. Potem Adam P. z Bernardem K. postanowili umieścić ich w bożnicy, znowu za aprobatą Niemców. Niektórzy Żydzi próbowali uciec, ale zostali złapani i przyprowadzeni z powrotem. Strażnicy przynieśli słomę, z zamiarem spalenia synagogi z Żydami w środku, ale Polacy, którzy mieszkali w pobliżu, poprosili burmistrza, by nie palił budynku, bo ich domy również zajmą się ogniem. Bernard K. zgodził się i nakazał Żydów zaprowadzić do piwnicy nieodległego sklepu Motke K.

Nieco inaczej tę sytuację zapamiętali świadkowie zeznający przed organami bezpieczeństwa publicznego tuż po wojnie. Adolf W.[22], polski mieszkaniec miasteczka, zeznał, że tego dnia, zanim Żydów z Goniądza zebrano na rynku, najpierw pognano ich na łąki, aby się „paśli”, to znaczy jedli trawę. Świadek tego dnia przyszedł do rady miasta z prośbą, by oddano mu zarekwirowanego wcześniej konia, na co Bernard K. miał mu odpowiedzieć: „Dzisiaj ja nie mam czasu, muszę zakończyć z Żydami”.

Tewel J.[23] przesunął w zeznaniach termin wydarzenia na 3 lipca 1941 r., ale prawdopodobnie tylko pomylił daty, ponieważ dzień tygodnia określał już tak jak inni świadkowie – piątek.

TEWEL J.[24]
Żyd, mieszkaniec Goniądza

Dnia 3 lipca 1941 r., zdaje się, że w piątek, [Bernard K. – przyp. M.T.] zebrał wszystkich aktywistów i młodzież żydowską i wystawił na rynku w szeregach. Ja osobiście widziałem, jak K. sprowadził gestapowców, dokładnie skąd, nie wiem. Gestapowcy, przyjeżdżając, zapytali się K., co przedstawiają sobą ci ludzie, których on zebrał, ja osobiście słyszałem, jak on odpowiedział, że to są „wszyscy komuniści". Ja również słyszałem, jak K. powiedział w języku niemieckim, że on nie jest Polakiem, bo on jest z pochodzenia Niemcem i w jego żyłach płynie niemiecka krew. Oficer gestapo na to odpowiedział, że jemu daje wolną rękę i wszystkich zatrzymanych zostawia do jego dyspozycji. K. dał natychmiast rozkaz związać drutem jeden do drugiego i potem zostali odprowadzeni do sklepu K. (właściciel domu). K. ze swoimi współpracownikami Ł., Z., M., W., R., O. i B. Wojtkiem, i drugich, których sobie obecnie nie przypominam, przez całe trzy dni torturowali i prześladowali aresztowanych, przy czym wbijali im gwoździe do ciała (F. Chaimowi wbili gwoździe do głowy), K. Chaimowi, członkowi KPZB [Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi – przyp. M.T], został wbity gwóźdź do serca, G. ze wsi Białosuknie [Białosuknia], torturując, została połamana ręka. F. Mejłachowi został wyrżnięty język.

Na trzeci dzień wszystkich aresztowanych znaleziono już zamordowanych, których przedtem odwieźli do cmentarza i tam z nimi dokończyli. Ogółem zamordowanych było 41 osób, spomiędzy nich

znajdowali się trzy deputaty ze wsi Białosuknie [Białosuknia] gm. Goniądz, reszta wszystkie sowieckie aktywisty i komunisty żydowscy z Goniądza.

Po wojnie Zelman J. złożył podobne zeznanie[25], dodał jeszcze, że po trzech dniach zaprowadzono przetrzymywanych w piwnicy na cmentarz żydowski i zabito za pomocą młotów, kół i ciężkich pałek. Zamordowanych pochowano tamże we wspólnej mogile.

Warto w tym momencie zwrócić uwagę na szczegóły tych relacji. Zatrzymanych na rynku Żydów z Goniądza po odjeździe Niemców najpierw zagnano do synagogi, prawdopodobnie po to, by ich tam spalić, a dopiero po interwencji polskich mieszkańców miasteczka, wskazujących, że od płonącej bożnicy zajmą się ich zabudowania, Bernard K. z P. i B. podjęli decyzję, by uwięzić Żydów w piwnicy K. Bardzo istotna jest w tych okolicznościach reakcja polskich mieszkańców miasteczka. Polskich strażników było kilkunastu, a mieszkańców miasta kilka tysięcy. Gdyby nie udzielili wsparcia straży obywatelskiej – tzn. gdyby to rzeczywiście była jakaś „przestępcza banda", która narzuciła swoją wolę większości wbrew tej większości przekonaniom – łatwo mogliby ją powstrzymać, widząc, że chce wymordować ich sąsiadów. I tak by się zapewne stało, gdyby sąsiadami tymi byli Polacy. Mieszkańcy zabiliby K., Niemcom zaś opowiedzieli jakąś zmyśloną historię. Jednak sąsiadami byli Żydzi.

Zatem to, o co poprosili mieszkańcy domów usytuowanych wokół synagogi, dotyczyło ich zabudowań. Poprosili, by jej nie palić z ludźmi w środku nie dlatego, że to nieludzkie i zbrodnicze. Oni powiedzieli „nie palcie ich w synagodze, bo zajmie się od nich nasz dobytek", a to znaczy w istocie „spalcie ich, tylko gdziekolwiek indziej". Mordy w Goniądzu

były możliwe, bo zarząd miejski i straż obywatelska otrzymały wsparcie od mieszkańców miasta oraz duszpasterzy tamtejszej wspólnoty.

To, co wydarzyło się w synagodze, można zresztą odtworzyć na podstawie trzech kolejnych relacji jednego Żyda i dwóch Polaków.

Wolf Z.[26] zeznał po wojnie, że w pierwszych dniach lipca 1941 r. przyszli do mieszkania jego rodziny w Goniądzu Bernard K., Antoni P., Ł., Antoni K., Władysław P., Bronisław J., Bronisław K. i aresztowali go oraz wszystkich jego bliskich, tj. ojca Lejba, matkę Rajzlę, brata Jankiela, siostrę Fromę. Bijąc po drodze, zapędzili ich do synagogi.
W bożnicy zgromadzonych już było około 400 Żydów i około 10 Polaków. Świadek widział, będąc w synagodze, jak napastnicy zabili Bejłacha F., który był aktywistą radzieckim. Gdy zatrzymanych wyprowadzano po selekcji z synagogi do piwnicy w sklepie K., Wolf Z. uciekł i dlatego ocalał. Później dowiedział się, że tego dnia Polacy zamordowali całą jego rodzinę i, jak twierdził, około 180 innych osób.

Członek straży obywatelskiej z Goniądza Władysław P.[27], przedwojenny młynarz – wraz z bratem Wojciechem P., kowalem, do 1939 r. członek Narodowej Demokracji, a w latach 1939–1941 żołnierz partyzantki majora Burskiego i ks. Szumowskiego z Jedwabnego, aktywnie zwalczający Armię Czerwoną, od 1943 do 1944 r. dobrowolnie na służbie w policji niemieckiej – również potwierdził, że zamknięto Żydów w synagodze (widział to, gdy razem z innymi stał na rynku w Goniądzu). Potwierdził również w zeznaniach, że brał udział w aresztowaniu Z., zapędzaniu Żydów do pracy i że nakazywał im wyrywać trawę spomiędzy kamieni bruku, co robił na rozkaz burmistrza B.

Kolejny ze strażników obywatelskich w Goniądzu Franciszek K. również odznaczył się niebywałym okrucieństwem:

STEFAN K.[28]
Polak, członek straży obywatelskiej pod komendą Adama P., mieszkaniec Goniądza

[…] Pamiętam dobrze, że w roku 1941 r. na jesieni K. Franciszek z bożnicy żydowskiej polecił mnie wynosić papiery i składać na trupa z narodowości żydowskiej. Ja czułem się bardzo źle w stosunku do zabitego człowieka i nie miałem śmiałości przykrywać go papierami, on przymusem zaznaczył mi, że mam go nakryć papierami.

A drugich robotników, swoich wspólników, posłał, ażeby przyprowadzili jeszcze z parę sztuk, by razem na tej kupie papieru spalić.

Zaznaczam, że K. Franciszek podał nazwiska tych Żydów i miejsce ich ukrycia, ażeby natychmiast wykonali jego rozkaz. Ja nie pamiętam tych nazwisk z powodu tego, że sam czułem się w strachu, bo mnie zagrażał sam K. Franciszek, że jestem komunistą i komsomolcem, więc też powinienem razem z Żydami płonąć w tej kupie, ponieważ zaznaczył, że jak nie będę solidnie pracować, to mnie zaraz rozliczy ze światem. Pewną ilość papieru wynieśliśmy i on mnie kazał iść do domu.

Zaznaczam, że ja widziałem tego człowieka nogi, i wnioskuję, że on powinien być żywy, ponieważ pięty jego i nogi były całkiem żywe, pełne, krwiste, wydało mi się także, że jedna noga ruszała się. Potem on mnie kazał iść do domu. Nie zdążyłem odejść, jak papiery

te, którymi był przykryty człowiek, zaczęły się palić. To widziałem na swe własne oczy.

Nie można z całą pewnością dziś ustalić, kto został spalony przez Franciszka K. i pozostałych strażników obywatelskich na dziedzińcu przed synagogą w Goniądzu. Być może był to Bejłach F., sowiecki aktywista, a być może Josel K., postać ważna w historii Goniądza, bo będąca przykładem żydowskiego przedwojennego „niespokojnego ducha", zamożnego, ale niestroniącego od łamania prawa, po trosze handlarza na wielką skalę, a po trosze miejscowego przemytnika. To on razem z braćmi Cz. rabował składy sowieckie w Goniądzu w pierwszych dniach inwazji niemieckiej na ZSRR. Jednak czy to on został tam spalony, nie wiadomo. Istnieją bowiem sprzeczne informacje na temat jego śmierci.

Antoni T.[29] twierdził po wojnie, że Josela K. zabili w Goniądzu na rynku bracia Cz. Do Antoniego T. przybiegła Żydówka z prośbą, by ratował jej krewnego. On wybiegł na rynek i zobaczył tam pobitego Josela K. Ten prosił go o wodę, lecz bracia Cz. zagrozili, że jeśli mu tej wody da, to pobiją i jego. Potem furmanką przyjechali wspólnicy Cz., dobili Josela K., wrzucili zwłoki na wóz i odwieźli w nieznanym kierunku.

Józef P.[30] zaś słyszał, że Josela K. zabił R., i widział jego zwłoki zakopane niedbale w ten sposób, że nogi wystawały z ziemi. Być może powodem uśmiercenia Josela K. były porachunki na tle dóbr zrabowanych ze składnicy sowieckiej.

Jednak to, w jaki sposób zginął Josel K., nie jest tak istotne dla biegu spraw w dniach, które nastąpiły po „czarnym piątku". To wtedy strażnicy obywatelscy przekroczyli czerwoną linię w stosowaniu przemocy. Nie było już dla

nich odwrotu. Nastroje antysemickie w Goniądzu, długo duszone prawem i dobrymi obyczajami, a uwolnione przez wkroczenie Niemców, musiały znaleźć swoje ujście w zbrodni. Burmistrz B., Bernard K. i pozostali strażnicy obywatelscy, eskalując przemoc – najpierw poprzez szykany wobec ludności żydowskiej miasteczka, choćby zmuszanie jej do jedzenia trawy i „spisy komunistów", później przeprowadzając hańbiącą zbiórkę w obecności Niemców na rynku i następnie zapędzając Żydów do synagogi – ani razu nie napotkali oporu opinii publicznej miasta.

Nie słysząc zaś żadnego głosu sprzeciwu, zrozumieli, że działają niejako w jej imieniu, i w ten sposób wykonali ostatni krok na własnej drodze ku zbrodni. W biały dzień przed bożnicą w Goniądzu, na oczach wszystkich Polaków zabili, a następnie spalili ciało jednego z żydowskich mieszkańców miasta i… nic się nie stało, nikt nie zareagował, podobnie jak w Szczuczynie. Nikt ich nie przeklął, nikt nie napluł w twarz, ksiądz z Goniądza nie napiętnował ich do dziesiątego pokolenia za okrutny mord, którego się dopuścili. Teraz mogli być pewni, że nie napotkają oporu, a co więcej – być może zyskają poklask. Od tego momentu sprawy w Goniądzu mogły potoczyć się tylko w złą stronę. I rzeczywiście – wkrótce zamkniętych w piwnicy poddano torturom, a następnie w bestialski sposób zamordowano.

Żydowskim kobietom po zakończonej procesji z portretami Stalina kazano rozejść się do domów. Mężczyzn zaś, którzy zostali wyznaczeni do przymusowej pracy, w piątek w nocy zaprowadzono do stodoły R. na ulicy Dolistowskiej. Zamknięto ich tam, a drzwi zabito gwoździami.

Straż obywatelska i mężczyźni z Goniądza pilnowali, by nikt ze stodoły nie uciekł. Żydzi byli stłoczeni na bardzo

małej powierzchni, a upał tamtego lata był nieznośny. Starcy mdleli. Nie było wody.

Po zmroku na zewnątrz gromadziło się coraz więcej Polaków. Niektórzy młodzieńcy zabawiali się, rzucając kamieniami w drzwi. Za każdym razem, gdy trafili, wśród zebranych Polaków wybuchały salwy śmiechu. Żydzi zamknięci w środku obawiali się, że stodoła zostanie podpalona. W mieście rozległo się kilka strzałów, co w stodole wywołało panikę, bo domyślono się, że strzela się do Żydów.

Noc w końcu minęła. Zamknięci w stodole obserwowali szarości świtu przez szpary w drewnianych ścianach. Nad ranem drzwi się otworzyły. Odżyła nadzieja. Przyszły Żydówki z czymś do jedzenia dla swoich uwięzionych bliskich.

W południe tego samego dnia z pobliskich wsi przyszli chrześcijańscy chłopi i poprosili pilnujących o Żydów do pracy w swoich gospodarstwach – zbliżały się żniwa, roboty w polu było co niemiara. Żydzi z radością postanowili skorzystać z okazji wyrwania się ze stodoły R.

Tak, chcieli pracować na wolności z dala od ciemnego i zatłoczonego więzienia. Chrześcijanie jednak zażądali tylko tych Żydów, o których wiedzieli, że mają konkretne, przydatne im umiejętności: szewca, krawca, czapnika. Żydzi, wyspecjalizowani w tych zawodach od wieków, świadczyli im usługi za wynagrodzeniem. Teraz nadarzała się okazja, by zaprząc ich do pracy za darmo, a dodatkowo wykorzystać w pracy w polu, przy żniwach. Tym bardziej że na pracy pojedynczych rzemieślników mogła korzystać przez długi czas cała wieś, bo miejscowi posiadali teraz dużo materiałów zrabowanych ze składów sowieckich. Reszta Żydów została zapędzona przez straż obywatelską do Osowca do budowy drogi. Choć i to nie było złe,

przynajmniej można było oddychać świeżym powietrzem, mimo że praca była w słońcu i nadal bez wody. Wciąż też groziło im pobicie przez strażników, którzy uderzali pałkami za najdrobniejsze przewinienia.

Wieczorem ponownie pojawiły się kobiety z jedzeniem. Mężczyźni zauważyli, że nosiły już żółte naszywki symbolizujące ich narodowość. Pytali, co się stało z Żydami zamkniętymi w piwnicy K. Kobiety wiedziały, że są tam jeszcze, ale wiele więcej nie umiały powiedzieć. Kilka Żydówek zaoferowało burmistrzowi B. i Bernardowi K. swoje kosztowności w zamian za uwolnienie mężów. Próbowały rozmawiać z księdzem, ale nie zostały przez niego przyjęte. Ostatecznie po odejściu kobiet polscy strażnicy nakazali mężczyznom ze stodoły R., aby oni również przyczepili żółte łaty do ubrań. Wykorzystano do tego celu kawałek żółtego obrusu, który przyniósł jeden ze strażników. Na noc Żydów ponownie zamknięto w stodole. Nikt nie wiedział, co się działo z grupą mężczyzn zamkniętych w piwnicy w mieście, strach o bliskich potęgował niepewność uwięzionych w stodole. Mało kto spał tamtej nocy.

Dziś na podstawie zeznań zarówno ocalałych z zagłady Żydów, jak i polskich sprawców zbrodni oraz świadków możemy odtworzyć najbardziej tragiczne chwile, jakie przeżyli Żydzi z Goniądza zamknięci w piwnicy sklepu K.

ANTONI G.[31]
Polak, mieszkaniec Goniądza

> […] Na drugi dzień około godziny dziesiątej wieczorem przyszedł do mnie sołtys i kazał mnie stawić się na most. Gdy zaszedłem na most, stało tam około dziesięciu ludzi i jeden z policjantów Cz., który

zaprowadził nas na cmentarz żydowski i kazał nam kopać dół. Wymierzył krokami pole i tam kazał kopać dół. Kopało dziewięciu czy ośmiu grób. Miejsce tam było jeszcze niezajęte. Kopałem dół ja, Dz. Władysław, D. Władysław, L. Alfons, Cz. Antoni, sierżant, którego imienia nie znam, i K., zdaje mi się, że na imię ma Stanisław. Dół ten wykopaliśmy o głębokości 2,5 metra, długości około 5 metrów, a wysokość około 3 metrów. Wykopanie tego dołu trwało około 1,5 godziny czasu.

Gdy skończyliśmy kopać ten dół, spostrzegłem od strony Goniądza idącą jakąś kupę ludzi. Cmentarz od Goniądza jest w odległości około dwóch kilometrów. Od strony drogi mur był wysoki, a z drugiej strony był niski.

Gdy się zbliżyła ta gromada ludzi, spostrzegłem, że niektórzy byli uzbrojeni w drągi i kije. Tłum ten zatrzymał się przy cmentarzu na drodze. Policjant Cz. kazał nam odejść od wykopanego dołu i myśmy odeszli około 20 metrów i obserwowaliśmy. Widziałem, jak na cmentarz przyszedł Cz. i jego brat Wacław oraz P., który stanął przy nas, oraz P., który stał w odległości dwóch metrów od dołu. I w tym czasie przyprowadzili dwóch aresztowanych Polaków, którzy mieli powiązane ręce, i w tym czasie P. przemówił do nich. „Za wasze przekonania komunistyczne i za wasze pieskie życie giniecie jak psy”.

W tym czasie obaj Cz. uderzyli ich drągami po głowie i ci wpadli do dołu. Najpierw zamordowali ojca i syna G., a potem przyprowadził P. z P. B. i innych i każdego tak kolejno mordowali Cz. Z doprowadzanych ofiar do dołu poznałem P., P. i K.

> Potem podprowadzili po dwóch Żydów. P. coś tam mruczał, ale nie wiem co, gdyż patrząc się na te morderstwa, mnie źle się zrobiło i tego nie pamiętam. Również słyszałem, jak P. do Żydów przemawiał: „Jak świat światem, Żydzia komuna nie zapanuje”. P. stał przy nas cały czas. W ręku nic nie miał, a czy nas pilnował, tego nie wiem. Byłem na cmentarzu do samego końca. Kiedy ofiary ruszały się, to sam widziałem, jak Cz. dobijał ich młotem. Po zamordowaniu tych osób Cz. kazał nam zakopać dół. Po egzekucji P. poszedł razem z Cz. i grupą policji do Goniądza. Zamordowanych było około trzydziestu osób.
>
> […] Kiedy pierwszy raz zeznawałem w sądzie, to trochę nie mówiłem prawdy, gdyż żona P. prosiła mnie, ażebym ja jej męża nie wkopywał. […] Skończyła się ta masakra około godziny drugiej w nocy.

Władysław D.[32], Polak, mieszkaniec Goniądza, potwierdził mord na cmentarzu żydowskim. Był tam, ponieważ straż obywatelska zabrała go do zasypywania ciał. Na kirkucie było wiele osób, ale nikogo nie poznał, ponieważ było ciemno, a on, jak twierdził po wojnie, „miał słaby wzrok”. Również jeden z oskarżonych o udział w tej zbrodni, przedwojenny podoficer Wojska Polskiego Bronisław P.[33], złożył w śledztwie obszerne wyjaśnienia w tej sprawie. Otóż w dzień poprzedzający mord na cmentarzu, a już po uwięzieniu Żydów w stodole R. i piwnicy K., był świadkiem rozmowy burmistrza Jana B. z komendantem straży obywatelskiej Adamem P., w czasie której podjęto decyzję o zamordowaniu ludzi z piwnicy. To w jej trakcie burmistrz Jan B. miał wydać Adamowi P.

polecenie „oczyszczenia piwnicy tej nocy”. Nakazał mu także, z uwagi na obecność w mieście licznej wspólnoty żydowskiej, dokonanie tego w taki sposób, żeby nie doprowadzić do zamieszek. Aresztowanych postanowiono więc wyprowadzić za miasto „czy gdzie indziej i się z nimi załatwić”, jak twierdził świadek. Po zapadnięciu zmierzchu Bronisław P., który dowodził nocną strażą w Goniądzu, widział, że wyprowadzono Żydów z aresztu w kierunku ulicy Kościelnej; poszedł za nimi, po to, by, jak twierdził po wojnie, kogoś uratować. Widział, jak po drodze do grupy aresztowanych Żydów dołączano nowych, zatrzymanych tamtej nocy w mieście lub bezpośrednio wyciągniętych z domów. Na kirkucie zauważył około dziesięciu osób z łopatami i wielu gapiów, mieszkańców Goniądza. Bronisław P., mówiąc o Żydach wyciąganych z domów tamtej nocy i dołączanych do grupy wyprowadzonej z piwnicy, sugerował, że ostateczna liczba ofiar tamtego nocnego mordu mogła być większa i przekraczać liczbę trzydziestu.

Z ukrycia Bronisław P. miał też widzieć, jak cztery osoby, tj. dwóch oprawców i dwie ofiary, podchodziły na brzeg dołu, a oprawcy swoje ofiary „uderzali drągami żelaznymi i ludzie ci wpadali do dołu”. Według P. większość mordowanych była w podeszłym wieku, co miał poznać po tym, że poruszali się z trudem. Można jednak przypuszczać, że utrudniony sposób poruszania mógł być skutkiem tortur, jakim zostali poddani w piwnicy K. P., podobnie jak większość uczestników zbrodni, z powodu ciemności „nie mógł rozpoznać twarzy zabójców”. Słyszał tylko później, że zabijali bracia Cz. i R. Widział za to, że po jakimś czasie, gdy mord się dokonał, do dołu podbiegła grupa innych polskich mężczyzn z łopatami i zaczęła go zasypywać.

Także inni świadkowie potwierdzili taki właśnie przebieg krwawych wydarzeń w Goniądzu, m.in. Władysław D.[34], mieszkaniec miasta, Polak, w zeznaniach złożonych po wojnie powiedział, że Polacy przystąpili do mordowania Żydów zaraz po wkroczeniu wojsk niemieckich do Goniądza. Mordowano ich nocami przez cały czas istnienia pierwszej straży obywatelskiej pod dowództwem Adama P., tj. około dwóch tygodni.

Antoni G.[35] w kolejnym zeznaniu opowiedział o jeszcze jednej zbiorowej egzekucji Żydów, w trakcie której strażnicy obywatelscy zabili nie tylko mężczyzn, ale i kobiety z dziećmi. Również Marian K.[36], który był tamtej nocy wśród grupy gapiów na cmentarzu, opowiedział po wojnie o przebiegu egzekucji, potwierdził, że rozkazy wydawał tam Adam P. nazywany „Muchą". Marian K. twierdził, że w mordach na cmentarzu nie brał udziału. Przyglądał się.

Według relacji J. każdy Polak z Goniądza i okolic mógł mężczyzn przetrzymywanych w stodole wykorzystywać jako niewolniczą siłę roboczą. W niedzielę rano większość ludzi ze stodoły poszła pracować, bo choć chrześcijanie tego dnia odpoczywali, to uznali, że Żydów do pracy zapędzić można. Tego samego ranka mężczyźni ze stodoły dowiedzieli się, że ci zamknięci w piwnicy K. zostali zabrani w nocy w nieznanym kierunku ze związanymi na plecach rękami. Żony tych mężczyzn zaczęły płakać i podniosły na rynku lament, ale strażnicy obywatelscy kazali im uciekać do domów, grożąc pobiciem. Powiedziano im też, aby je uspokoić, że ich mężowie żyją, tylko zostali odesłani do pracy do folwarku za Goniądzem. Niektóre uwierzyły, inne nie, ale nie mając wyboru i pod groźbą bicia, rozeszły się.

W niedzielę Żydówki ponownie podjęły próbę wykupienia swoich mężczyzn. Udały się w tym celu do Bernarda K. z kosztownościami – i to wreszcie przyniosło oczekiwany skutek: niektórych Żydów, głównie starszych, uwolniono ze stodoły R. Tymczasem powstał nowy tumult w mieście. Polacy ogłosili, że gdzieś na polach pszenicy, które rozciągały się wokół całego Goniądza, nieznani Żydzi, którzy mieli się tam ukrywać, najpierw próbowali zgwałcić, a potem postrzelili Polkę. Cała polska społeczność miasteczka rozpoczęła poszukiwania napastników. Żydowskie kobiety zabarykadowały się przestraszone w domach i nawet nie ośmieliły się wyjść na ulicę. Mężczyzn zabrano z pól i ponownie zamknięto w stodole.

Straż obywatelska chodziła od domu do domu i tym razem zabierała do stodoły nawet małe żydowskie dzieci, którym przedtem dano spokój. Burmistrz B. po zmroku przyszedł do stodoły R. i oświadczył zamkniętym, że Żydzi postrzelili Polkę pracującą na polu; została ranna w rękę. Do tej pory sprawców nie znaleziono. Zagroził, że jeśli gmina żydowska nie wyda napastników, Polacy spalą stodołę ze wszystkimi w środku. Potem odszedł. Znowu nikt z uwięzionych nie mógł zasnąć tamtej nocy.

Noc jednak minęła spokojnie. W poniedziałek rano, 14 lipca 1941 r., Żydówki przyszły do stodoły ze śniadaniem. Opowiadały o pięciu chłopcach, którzy wrócili z Białegostoku. Jeden z nich pobiegł do polskiego przyjaciela i zapytał go, czy w miasteczku jest bezpiecznie. Przyjaciel powiedział, że to sprawdzi, a swoim żydowskim kolegom poradził ukryć się do jego powrotu w zbożu. Czekali na jego powrót schowani na polu pszenicy. W ciągu godziny chłopak wrócił z sześcioma strażnikami obywatelskimi, którzy schwytali chłopaków żydowskich

i zabrali ich do miasta. Tam zaprowadzono ich w okolice kirkutu, kazano im wykopać groby i zabito.

Znów Żydów ze stodoły pognano do pracy, dołączyli do nich niektórzy z mężczyzn, poprzedniego dnia wykupionych przez żony. Wieczorem Polacy postanowili się zabawić. Grupa złożona w większości ze strażników obywatelskich wpadła do stodoły, żeby część Żydów zabrać do piwnicy K., w której zwolniło się trochę miejsca. Wybrali młodszych. Lamenty i błagania o litość nie pomogły. Zabrani przepadli bez wieści.

Żydzi pozostali w stodole jeszcze kilka dni, aż burmistrz B. ogłosił, że są wolni. Pozwolono im wrócić do domu, ale wciąż każdego dnia musieli przychodzić do pracy u polskich gospodarzy. Burmistrz wybrał trzech z bogatszych kupców jako przedstawicieli żydowskich do polskiej rady miasta Goniądz. Uwolnieni byli szczęśliwi, że przeżyli. Powszechne było przekonanie, że to już koniec prześladowań, że wreszcie zapanuje spokój w miasteczku.

Dramatyczna była sytuacja miejscowych Żydówek. Pozbawione ochrony swoich mężczyzn, uwięzionych w stodole R. lub piwnicy K., stały się ofiarami notorycznych aktów przemocy ze strony Polaków. Częste były przypadki gwałtów, i to dokonywanych nawet na bardzo młodych dziewczętach.

Cenne są pod tym względem złożone po wojnie zeznania polskich mieszkańców Goniądza. Stefan K.[37] kilkukrotnie widział, jak niejaki Franciszek K., polski strażnik obywatelski, wieczorem w miejscach publicznych gwałcił młode Żydówki, plądrował także żydowskie mieszkania. Franciszek K., jego zdaniem, dokonał zabójstw wielu Żydów. Podobnie zeznała Helena K., jako sąsiadka znająca Franciszka K. od dziecka. Widziała, jak gwałcił on nawet bardzo młode dziewczęta żydowskie. Jej zdaniem

Franciszek K. często włamywał się też do żydowskich mieszkań i rabował; kobiety żydowskie napastował niemal codziennie, do chwili rozwiązania straży przez Niemców.

Tuż po uwolnieniu Żydów ze stodoły rozpoczęto w Goniądzu tworzenie getta. Wyznaczeni przez radę miejską strażnicy obywatelscy obeszli wszystkie ulice i place, szukając odpowiedniego miejsca. Po wielu dyskusjach wybrano tzw. stary rynek. Niemcy z jednostek żandarmerii przyfrontowej przybyli specjalnie w tym celu do miasteczka i opracowali plan przeniesienia wszystkich Żydów do getta. Zdecydowano się przeprowadzić akcję przeniesienia możliwe szybko, tak by Żydzi nie mieli na spakowanie więcej niż pół godziny i by mogli zabrać tylko bagaż podręczny, a cały swój majątek musieli pozostawić w domach. Niemcy utworzyli też Judenrat.

To Judenratowi pozostawiono przekazanie złej informacji żydowskim mieszkańcom Goniądza. Zażądano także od rady żydowskiej przygotowania określonej ilości złota dla Niemców, burmistrza B., Bernarda K. i pozostałych strażników. Judenrat wysłał kobiety do zbierania pieniędzy i złota. Bogaci dawali złote monety i złote zegarki. Biedni ofiarowywali biżuterię, pierścionki i łańcuszki, które były dotąd przekazywane w ich rodzinach z pokolenia na pokolenie i stanowiły zabezpieczenie na czarną godzinę. Zebrano siedemset pięćdziesiąt gramów złota. Później Niemcy ponownie zażądali złota. Kobiety na nowo zaczęły zbiórkę. Hitlerowcy zażądali następnie amerykańskich dolarów, i to szybko. Gdy je zebrano, dowódca powiedział, że opuszcza miasto i rusza na front. Niemcy wyjechali. Żydzi byli przerażeni, bo zdali sobie sprawę, że po ich wyjeździe znowu pozostają bez ochrony przed polskimi sąsiadami.

Polacy byli zadowoleni z wyjazdu Niemców. Tamtego dnia obrzucili kamieniami drzwi żydowskich mieszkań, a wieczorem zaczęli pić na umór. Gdy w końcu zrobiło się cicho, Żydzi pomyśleli, że najgorsze minęło, i poszli spać. Ale o pierwszej w nocy rozległ się kobiecy krzyk, który wszystkich obudził. „Pożar, pomocy!", wzywał głos. Grupy Polaków zaczęły wypadać na ulice z pałkami w rękach. Kilku wyciągniętych z mieszkań Żydów wsadzono na drabiniasty wóz, na którym już znajdowało się kilka ciał zabranych po zmroku z piwnicy K. Wóz ruszył w stronę rynku, po drodze Polacy bili stłoczonych na nim ludzi. Na rynku otoczył ich tłum. Gonili jednego Żyda ulicami miasteczka, złapali go i pobili. W końcu wóz razem z trupami i żywymi pozostawili na rynku, a sami ruszyli rabować żydowskie domy.

W mieście wybuchł pogrom.

Tewel J.[38] i Zelman J.[39], którzy po wojnie zeznawali przed organami śledczymi, twierdzili, że pogrom miał miejsce w nocy z 12 na 13 lipca 1941 r., ale bardziej prawdopodobna data to noc z 20 na 21 lipca 1941 r.

Wtedy to Bernard K. ze swoimi ludźmi, tj. Z., R., O., Stanisławem O., Wojtkiem B., M. oraz P., zamordowali dwadzieścia osób. Wśród nich akuszerkę Sonię Ł., która została zamordowana przez Stanisława O. żelazną pałką, oraz Nison F. z dziewięcioosobową rodziną, których zabił Ł. W morderstwie tej rodziny brali udział również J., W., M. i Alfons L. Pewien Żyd, uciekając przed oprawcami, wbiegł do budynku zajmowanego przez Polaków. Zapukał do drzwi chrześcijańskiego przyjaciela, ale drzwi pozostały zamknięte. Strażnicy obywatelscy złapali go, związali mu ręce za plecami drutem z linii telefonicznej, wetknęli szmatę w usta i zatłukli pałkami. Innej żydowskiej kobiecie drut zawiązano na szyi i wyrzucono ją przez balkon tak, że

wisiała tam, aż zmarła. Jej syn został pobity na śmierć żelaznym łomem. Zabito również jej brata. Zwłoki wrzucono na wóz.

Rodzinę R. umieszczono na tym samym wozie co trupy. Najstarszy syn zeskoczył i uciekł, ale w pół godziny później ktoś doniósł strażnikom, że ukrywa się w jego ogrodzie. Został natychmiast schwytany. Wszyscy zostali zawiezieni w pobliże polskiego cmentarza i tam zabici. Jedną osobę pochowano tej nocy żywcem.

Rano w poniedziałek 21 lipca 1941 r. w Goniądzu panowała straszliwa cisza, oddająca śmiertelną grozę tego, co wydarzyło się w nocy. W miasteczku nie było Niemców, opuścili je dwa dni wcześniej. Nie było nikogo, kto by mógł chronić Żydów.

Jedynym promykiem nadziei były dla żydowskiej społeczności młode Żydówki, które pracowały dla niemieckich oficerów w twierdzy Osowiec, świadcząc im m.in. usługi seksualne. Rada żydowska przekazała im złoto na łapówki i poprosiła, by powiedziały Niemcom, co dzieje się w miasteczku, i wymogły interwencję. Dziewczyny przekazały informacje. Komendant twierdzy Osowiec interweniował telefonicznie w niemieckiej żandarmerii wojskowej. Żandarmi obiecali przybyć we wtorek rano do Goniądza i zaprowadzić w mieście porządek. Dowódca poprosił też Żydówki, aby sporządziły listę polskich sprawców. To była dobra wiadomość dla Żydów w Goniądzu, ale musieli jeszcze przeżyć noc z poniedziałku na wtorek.

W tym czasie młodzi Polacy i strażnicy obywatelscy postanowili zorganizować kolejny pogrom w miasteczku, tym razem na większą skalę, i zabić wszystkich Żydów. Ich plany udaremnił jednak brak broni palnej. Żydzi natomiast

tego wieczoru sami się zorganizowali, utworzyli małe grupy samoobrony i uzbroili się w żelazne osie od wozów i młoty kamieniarskie. Postanowili bronić się tym razem tak długo, jak to będzie możliwe, w oczekiwaniu na przyjazd niemieckich żandarmów. Starzy ludzie opuścili swoje domy i ukrywali się na polach wśród łanów zbóż. Noc jednak minęła spokojnie.

Rano czterech oficerów żandarmerii niemieckiej, z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału, pojawiło się na motocyklach na rynku w Goniądzu. Rozpoczęli aresztowania Polaków odpowiedzialnych za mordowanie Żydów. Aresztowali najpierw siedmiu mężczyzn, których wskazała rada żydowska, w tym braci Cz. i R. Następnie rozpoczęli energiczne śledztwo, które polegało głównie na tym, że przez całą noc poddawali ich bestialskiemu biciu i torturom.

Katowani bracia Cz. i R. zaczęli oskarżać siebie nawzajem, a następnie wskazali jeszcze około 70 mieszkańców Goniądza jako odpowiedzialnych za mordowanie Żydów. Z tej grupy Niemcy wybrali siedemnastu (w niektórych zeznaniach siedmiu) i zabrali ich do Osowca. Odebrali także rzeczy zrabowane Żydom oraz materiały z obrabowanych magazynów sowieckich i przywłaszczyli je, nikt z Żydów ani Polaków nie ośmielił się zaprotestować.

Członkowie polskiej rady miasta udali się do fortu Osowiec interweniować w imieniu aresztowanych. Argumentowali przed władzami niemieckimi, że przecież ci nie zrobili nic złego, bo wolno zabijać Żydów, a zatem ich czyny były legalne, a uwięzieni zostali niesłusznie. Dowódca fortu Osowiec miał ponoć odpowiedzieć im jednak, że „będziemy się Żydów pozbywać bez waszej pomocy”. Polaków zaś nie aresztował za zamordowanie Żydów, ale za kradzież ich

majątku, który należał się III Rzeszy. „Tym zasłużyli sobie na karę śmierci” – zakończył komendant.

Słysząc to, członkowie rady miejskiej mocno się przestraszyli, ale się nie poddali i dalej próbowali interweniować u komendanta, aż udało im się oswobodzić jednego z Polaków. Pozostałych sześciu lub szesnastu (w zależności od relacji poszczególnych świadków) zostało rozstrzelanych przez Niemców. Zabito m.in. braci Cz. i R. Taki przebieg wydarzeń, tj. rozstrzelanie Cz. i R. oraz rozwiązanie przez Niemców straży obywatelskiej pod dowództwem Adama P., potwierdzili w swoich zeznaniach po wojnie Antoni P.[40], członek kolejnego składu straży obywatelskiej powołanego po tych wydarzeniach, mieszkaniec Goniądza, oraz Antoni T.[41], mieszkaniec Goniądza, obaj narodowości polskiej.

Sytuacja w miasteczku nieco się uspokoiła. Każdego dnia grupy młodych mężczyzn żydowskich szły do pracy w gospodarstwach polskich chłopów. Robotnicy byli przydzielani przez Judenrat, zgodnie ze wskazaniami polskiej rady miasta. Judenrat zyskał status oficjalnego organu ludności żydowskiej w Goniądzu. Niejaki P. został jego prezesem, a B. zaczął pełnić funkcję sekretarza. Członkowie rady żydowskiej oprócz naszywki żółtej nosili na lewym ramieniu niebieską, z wypisanym na niej wyrazem „Judenrat”. Mimo że sytuacja w miasteczku się uspokoiła, pozostali członkowie pierwszej straży obywatelskiej, którzy uniknęli śmierci z rąk hitlerowców, cieszyli się wolnością. Wywołało to przedziwną sytuację: ofiary i sprawcy pod czujnym okiem niemieckich nadzorców mijali się codziennie na ulicach miasta w pozornym spokoju, bez słowa, niczym duchy. Po kilku dniach burmistrz Jan B. powołał nową polską straż obywatelską, na której czele znowu postawił Adama P.

Jej skład można ustalić na podstawie obszernych wyjaśnień złożonych po wojnie w śledztwie przez samego Adama P.[42]. W straży znaleźli się następujący mężczyźni: Antoni P., Leon K., Marian K., K., Władysław P., Wojciech P., Stanisław O., O., Antoni T., Mieczysław W., Antoni Dz., Jan K., Seweryn D. i niejaki K.

Niemcy w tym czasie postanowili ogrodzić getto murem, ale członkowie Judenratu, obawiając się głodu i przeludnienia w wydzielonym fragmencie miasta, ponownie zarządzili zbiórkę kosztowności i złota i przekupili Niemców. Prace nad grodzeniem zostały wstrzymane. Getto w Goniądzu, aż do dnia jego likwidacji, zachowało charakter półotwarty. Po wstrzymaniu prac polska rada miejska w odpowiedzi przygotowała listę piętnastu żydowskich mężczyzn i kobiet i wydała podległej sobie straży obywatelskiej polecenie, by ich aresztowała i wysłała do Osowca jako kolejnych podejrzanych o komunizowanie i sympatyzowanie z Sowietami. Kiedy rozpoczęła się akcja aresztowania wymienionych na liście, wśród Żydów wybuchła panika – rzucili się do ucieczki, a Polacy za nimi w pogoń.

Zarządzający miastem zachęcali Polaków, aby przychodzili do magistratu i składali w obecności burmistrza B. podobne oskarżenia. Na ich podstawie B. z K. i P. sporządzili listę osób przeznaczonych do aresztowania przez Niemców, ale niemiecki pułkownik z Osowca nie potraktował jej poważnie i odmówił zatrzymania wpisanych na nią Żydów.

Rada miejska zwróciła się do Judenratu, aby niektórych ludzi z nowej listy, tzw. piętnastu, skierowano do pracy przy synagodze. Polacy bowiem postanowili rozebrać bożnicę w Goniądzu, gdyż ich zdaniem naruszona w czasie działań wojennych konstrukcja groziła zawaleniem. Osoby z „listy

piętnastu” wyznaczone do prowadzenia rozbiórki próbowały wszystkimi sposobami wykupić się od tej pracy, ponieważ nikt nie chciał brać udziału w likwidacji własnej świątyni. Tylko jednak dwóm mężczyznom udało się uzyskać od B. za gotówkę zwolnienie z pracy. Pozostali z listy postanowili się zatem ukryć. To się jednak nie udało, ponieważ Polacy znaleźli ich kryjówki i zameldowali o tym straży obywatelskiej. Żydzi zostali zagnani do rozbiórki synagogi i pracowali bez wytchnienia cały dzień i część nocy. Po skończonej pracy za karę, że się ukrywali, zamknięto ich w nowej piwnicy-więzieniu, tym razem w domu T., i trzymano ich tam przez dwa tygodnie. Żydowskie kobiety podjęły próbę wykupienia, wręczając strażnikom obywatelskim łapówki, ale nie przyniosło to spodziewanych efektów. Po dwóch tygodniach do miasta dwoma samochodami zajechała większa liczba niemieckich żandarmów, wezwana przez Żydów na pomoc, za którą oczywiście żandarmi ci zostali sowicie opłaceni. Niemcy udali się od razu do domu burmistrza B., gdzie przebywali pół godziny.

Potem rozpoczęli przeszukiwanie miasta i szukali tak długo, aż odnaleźli zamkniętych w piwnicy T. Żydów. Komendant żandarmów zapytał, kim są ci ludzie. B. odpowiedział mu z całym spokojem, że to „żydowscy komuniści”. Jednak jeden z uwięzionych w piwnicy, młody Żyd Samuel H., podszedł do komendanta i błagalnym głosem powiedział: „Ci bandyci zabrali nasze złoto i nasze dolary, a potem zamknęli nas bez powodu w tej piwnicy. Bogatych, którzy wciąż mają pieniądze, zostawiają w spokoju, ale nas nie, my biedni Żydzi. Ci bandyci już zabili sześćdziesięciu. Uwolnijcie nas, bo nas zabiją”, i wybuchł płaczem. Burmistrz B. podobno stał z głową pochyloną, pobladłą twarzą i nie powiedział ani słowa.

Komendant nakazał uwolnić Żydów, a oni, zaskoczeni nagłym odzyskaniem wolności, zaczęli wiwatować na jego cześć.

Żandarmi następnie udali się do domu burmistrza B., gdzie szukali złota i dolarów zrabowanych Żydom, ale B. w domu nic nie miał. Ostatecznie więc wsiedli do samochodów i opuścili miasto, zadowalając się łapówkami od społeczności żydowskiej.

Po dwóch porażkach w rozprawieniu się z Żydami w Goniądzu rada miejska postanowiła działać bardziej zdecydowanie. Szefowie straży obywatelskiej K. i P. wysłali do centrali gestapo w Białymstoku list z żądaniem aresztowania żydowskich komunistów ukrywających się, ich zdaniem, w mieście. Podczas gdy przywódcy polskiej społeczności oczekiwali na odpowiedź, pięciu niemieckich żandarmów z Osowca ponownie rozlokowało się w Goniądzu. Ich dowódca natychmiast wezwał do siebie prezesa Judenratu i dał mu listę towarów, które Żydzi mieli mu dostarczyć w zamian za opiekę. Niemcy zażądali pościeli, mebli i naczyń. Judenrat zebrał pozycje z listy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Komendant żandarmów miał radzie żydowskiej wówczas obiecać, że „jeżeli Żydzi będą dobrzy dla Niemców, my, Niemcy, będziemy dobrzy dla nich”. Oczywiście miał na myśli duże łapówki za ochronę.

Żydzi robili wszystko, co mogli, aby utrzymywać dobre relacje z żandarmami, bo świetnie rozumieli, że od tego zależy ich życie, i byli za to „lubiani” przez komendanta, który w dużym stopniu pozbawił władzy w mieście burmistrza B. i jego straż obywatelską. Żydzi poczuli się swobodniej. Niektórzy nawet wychodzili do pracy u chłopów za wynagrodzenie, a nie niewolniczo. Chłopi

z okolicznych wsi zaczęli też, jak przed wojną, przyjeżdżać do Goniądza, aby robić interesy u żydowskich sklepikarzy.

Ale też nadal żydowscy mieszkańcy musieli codziennie zgłaszać się do pracy przymusowej w wybranych miejscach miasta i żaden Żyd nie mógł usunąć żółtej naszywki ze swojego ubrania ani pójść na spacer do centrum. Rozpoczęto też prace publiczne, które polegały głównie na usuwaniu szkód wyrządzonych w czasie minionej ofensywy. Na czele grupy skierowanej do tych prac stanął niejaki Franz, niemiecki saper oddelegowany z twierdzy Osowiec. Oddano mu pod komendę trzydziestu żydowskich robotników wyznaczonych przez Judenrat. W grupie było też kilku Polaków. Praca była bardzo ciężka. Franz okazał się sadystą i bił podwładnych niemiłosiernie, równo Polaków i Żydów, za byle co, wyznaczał im też zadania ponad siły.

Niemieccy żandarmi z Osowca zarządzali miastem przez kilkanaście tygodni i w tym czasie mimo wszystko, nawet mimo obecności Franza, Żydom żyło się lepiej. Było przede wszystkim bezpieczniej. Po kilku tygodniach jednak żandarmi dostali rozkaz wyjazdu na front, a do Goniądza przyjechał komisarz niemiecki. Judenrat otrzymał polecenie znalezienia i umeblowania dla niego domu. Oddano do jego dyspozycji dom Chaima K.

Gdy komisarz przybył dwa dni później, natychmiast wezwał prezesa Judenratu i nakazał mu sporządzić listę cennych przedmiotów, jakimi dysponowała gmina. Społeczność żydowska, sukcesywnie ograbiana przez kolejne polskie i niemieckie zarządy miasta, nie miała mu już jednak wiele do zaoferowania, ale mimo to starano się spełnić materialne oczekiwania nowego komendanta. Do rady miasta przyszła też długo oczekiwana odpowiedź

z białostockiego gestapo i straż obywatelska otrzymała wreszcie pozwolenie, by jedenastu Żydów wskazanych przez nich jako komunistów uwięzić. Postanowiono przeprowadzić aresztowania po południu 12 września 1941 r.

Z wiadomych względów utrzymywano to w tajemnicy przed Żydami. Polscy strażnicy przyszli w nocy, wyciągnęli żydowskich mężczyzn z łóżek i ponownie zamknęli w piwnicy. W czasie transportu jednemu z zatrzymanych udało się uciec. Kilku strażników bez skutku goniło go uliczkami miasta. Kiedy raport o incydencie został przekazany władzom niemieckim, amtskomisarz natychmiast zarządził aresztowanie kolejnych pięciu Żydów, za tego, który uciekł. Komendant straży Adam P. zapytał, kogo dokładnie ma aresztować, na co amtskomisarz odpowiedział: „Weź pierwszą piątkę, jaką uda ci się zatrzymać”. Zabrano więc z domów pięciu przypadkowych Żydów, a ponieważ nie spodziewali się oni niczego złego, odbyło się to spokojnie. Wśród aresztowanych znalazł się prezes Judenratu i jego sekretarz.

Społeczność żydowska dowiedziała się, że piętnastu aresztowanych wywieziono do Knyszyna i uwięziono. Żony zatrzymanych mężczyzn postanowiły pojechać tam, aby zaświadczyć, że ich mężowie nie byli komunistami ani nie mieli nic wspólnego z polityką. Judenrat musiał wręczyć kolejne łapówki, aby uzyskać od komisarza pozwolenie na wyjazd kobiet. Gestapo zażądało również dużej ilości złota. Kobiety dostały dwa dni, aby je zebrać. Nie czekając jednak nawet dwóch dni, gestapowcy umieścili wszystkich więźniów na ciężarówce i wywieźli z Knyszyna do Białegostoku. Uwolnili jednego, piętnastoletniego chłopaka. Pozostałych czternastu zniknęło bez śladu.

Kilka tygodni później amtskomisarz ostatecznie rozwiązał polską radę miasta, zwolnił burmistrza B. i całkowicie przejął władzę w mieście, rozwiązując też polską straż obywatelską. Zamiast niej powołał podległą mu bezpośrednio polską policję pomocniczą, ale już na żołdzie niemieckim. Z zeznań Antoniego P.[43] można się dowiedzieć, że na czele tej formacji stanął Aleksander Z., Polak przybyły do Goniądza z Osowca, a w jej skład weszli: Antoni P., Leon K., Marian K., S., Władysław P., Wojciech P., Stanisław O., O., Antoni T., Mieczysław W., Antoni D., Jan K., Seweryn D., K., F., Adolf G. i Jan R.

Po dwóch–trzech miesiącach Aleksander Z. znikł z Goniądza i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa – prawdopodobnie został wysłany na szkolenie, bo po pewnym czasie pojawił się na tych terenach ponownie, ale wyższy rangą, już jako zastępca komendanta obozu karnego w Knyszynie. Na stanowisku dowódcy policji pomocniczej w Goniądzu zastąpił go Adolf G.; był komendantem tej formacji aż do 1944 r. Do 1943 r. policja ta nie była umundurowana, później otrzymała zniszczone umundurowanie polowe wermachtu oraz długą broń palną, przeważnie karabiny produkcji radzieckiej. Od 1943 r. jej skład stanowili: Bronisław K., Adolf G., Antoni S., Franciszek W., C. i Adam B.

Żydowską wspólnotę w Goniądzu tworzyły trzy grupy społeczne. Najwyżej postawieni byli kupcy, zajmujący się handlem wyrobami skórzanymi, z których przed wojną miasto słynęło w całym regionie. W czasie okupacji nie musieli zarabiać na życie. Większość z nich ukryła swoje towary w lasach okalających Goniądz lub wśród chłopów. Od czasu do czasu sprzedawali trochę tych produktów Niemcom lub Polakom, a były one cenne i zawsze

poszukiwane, nie mieli problemów ze zbytem nawet w czasie okupacji.

Druga grupa żydowskiej społeczności składała się z rzemieślników i ci również nie mieli się najgorzej w czasie wojny, bo byli w stanie zarobić na swoje utrzymanie. Chłopom zawsze była potrzebna ich praca, ponieważ rzemieślników nigdy nie było zbyt wielu i nawet jeśli w czasie okupacji wykorzystywali ich do pracy niewolniczej w swoich gospodarstwach, to jednak na ogół odwdzięczali się też, dając im żywność, najczęściej w postaci ziemniaków. Najlepiej mieli się krawcy z Goniądza, bo chłopi posiadali wiele tkanin skradzionych z sowieckich magazynów podczas odwrotu Armii Czerwonej. Po powstaniu Judenratu gospodarze płacili też ustalone stawki za pracę żydowskich rzemieślników, ale lwia jej część lądowała w kieszeni polskich rajców miejskich albo amtskomisarza.

Trzecia, najliczniejsza grupa, to ludzie biedni, którzy byli biedni i przed wojną, i w czasie okupacji; zaliczano ich do tzw. chałaciarzy. Ci mieli się najgorzej. Byli to najczęściej drobni sprzedawcy, którzy przed 1939 r. prowadzili małe sklepy spożywcze i stragany. Po wybuchu wojny w ciągu kilku miesięcy zostali bez środków do życia. Oddali więc za bezcen wszystko, co mieli. Za żywność oddawali ubrania, meble, prezenty ślubne, narzędzia, bieliznę, a na końcu nawet łóżka i drzwi. Dla chłopów pieniądze przestały mieć znaczenie, więc przyjmowali od Żydów wyłącznie sprzęty. Wszystkie transakcje były zresztą ukrywane, bo za handel z Żydami groziły surowe kary. Już na wiosnę 1942 r. nie pozostało „chałaciarzom” nic na wymianę. Ci, którzy nie mogli pracować w polskich gospodarstwach – chorzy, starzy, rzeźnicy rytualni, rabin – zaczęli cierpieć głód. Część

Żydów z Goniądza rozpoczęła pracę w niemieckich fabrykach w Osowcu.

Sto pięćdziesięcioro kobiet i mężczyzn w wieku od szesnastu do pięćdziesięciu lat pracowało tam codziennie. Szyli ubrania dla żołnierzy wermachtu, grube spodnie i kalesony na mroźny front rosyjski. Grupa Żydów sortowała porzuconą radziecką amunicję, bomby, pociski artyleryjskie i granaty. Najwięcej pracowało ich na stacji kolejowej przy załadunku i rozładunku pociągów, które wiozły dostawy z niemieckich fabryk na front wschodni.

Po długich i żmudnych negocjacjach popartych sowitymi łapówkami udało się też Judenratowi na wiosnę 1942 r. uzyskać pozwolenie na ekshumowanie[44], a następnie ponowne pochowanie Żydów zamordowanych dziewięć miesięcy wcześniej przez straż obywatelską m.in. w czasie pogromu. Ich zwłoki bowiem zostały zakopane na Cholerycznej Górze, gdzie od wieków grzebano zmarłych na wszelkie epidemie, a bliskim pomordowanych zależało, by ciała stamtąd przenieść w bardziej godne miejsce – na kirkut.

Ekshumacja była strasznym doświadczeniem, płacz bliskich, smród ciał, które uległy już znacznemu rozkładowi, były nie do wytrzymania. Mimo to identyfikacja zabitych okazała się częściowo możliwa, choćby dzięki odzieży. Na przykład żonę Żyda B. rozpoznano po charakterystycznej koszuli nocnej, którą miała na sobie w chwili śmierci. Drut kolczasty, na którym ktoś ją powiesił, wciąż był okręcony wokół szyi, prawa noga była złamana. Josel K. leżał w ziemi z rękami związanymi na plecach, usta wypełnione miał szmatami i kablem telegraficznym, na kościach czaszki były widoczne wgniecenia od uderzeń pałką. Sukcesywnie odkopując ciała zabitych Żydów,

natrafiono też na ciała części z tych, którzy zostali uwięzieni w piwnicy K.; wtedy jeszcze nie wiedziano, że największa liczba więźniów z piwnicy została zabita na cmentarzu żydowskim i tam pochowana. Na Cholerycznej Górze ekshumowano zwłoki z gwoździami powbijanymi w czaszki i w serca. Inne z głowami rozłupanymi siekierami lub odciętymi od tułowi. Jeden mężczyzna miał wycięty język, o czym świadczyła popękana szczęka, a wielu połamane ręce i nogi. Ośmiu mężczyzn miało ramiona związane za plecami drutem kolczastym, inni – głębokie rany cięte na głowach i szyi.

Kilka miesięcy później amtskomisarz znowu zarządził przeniesienie części rodzin żydowskich do getta. Przedstawiciele Judenratu udali się w odpowiedzi na to zarządzenie do Białegostoku i kupili mu w prezencie skórzany płaszcz, a jego żonie futro. Tym razem nie dało to żadnego efektu.

Zbliżał się termin „ostatecznego rozwiązania” dla miasteczka Goniądz. W niedzielę rano komisarz zarządził, aby wszyscy Żydzi mieszkający na ulicy Dolistowskiej w ciągu trzech godzin opuścili swoje domy. Zapanował straszny zamęt. Każdy Żyd z wyznaczonej ulicy biegł pożyczyć wóz od chłopów, by przewieźć swój dobytek. Żydzi mieli zostać dokwaterowani do rodzin już mieszkających na terenie getta. Trzy dni później komisarz znowu wydał zarządzenie dla Judenratu, tym razem nakazał, aby do getta przenieśli się Żydzi z ulicy Kościelnej. Minęło kilka dni. Pomału Żydzi w miasteczku zaczęli wierzyć, że wszystko się uspokoiło. Wiara stała się silniejsza, gdy komisarz zorganizował dla ludności miasta, w tym Żydów, dostawę ziemniaków na zimę w niskiej cenie rządowej. W zamian jednak amtkomisarz nakazał Judenratowi odstawić mu pod

dom dwieście futer. Prezes Judenratu zgodził się wykonać i to polecenie. Kilka dni później wóz załadowany żydowskimi futrami stanął przed domem komisarza.

Drugiego listopada 1942 r. pracownicy fabryk umundurowania w Osowcu obudzili się o piątej nad ranem, gdy jeszcze było ciemno, i jak co dzień udali się do pracy. Nieśli ze sobą przytroczone do pasków małe woreczki z chlebem na śniadanie. Na drodze do fortu, w pobliżu wsi Łazy, gdzie pracownicy z różnych miejsc spotykali się, aby wspólnie iść dalej razem do Osowca, zaczęły krążyć słuchy, że tego dnia może wydarzyć się coś niedobrego. Żydzi z Goniądza wkrótce natknęli się na pełną uzbrojonych żołnierzy niemiecką ciężarówkę zmierzającą do miasteczka. Po kolejnych dwóch kilometrach zauważyli w szarości świtu, że na drodze stoi grupa mężczyzn. Gdy podeszli bliżej, zauważyli dwóch polskich policjantów i niemieckiego żandarma. Zatrzymywali oni robotników żydowskich i zawracali w stronę Goniądza. Kiedy wraz ze świtaniem jeden z zawracanych Żydów zapytał polskiego policjanta, co się dzieje, ten tylko z uśmiechem odpowiedział: „Nie wiem”.

O ósmej trzydzieści oficjalnie kazano wszystkim Żydom z twierdzy wrócić do Goniądza, zapowiadając przy tym, że każdy, kto będzie próbował uciec, zostanie zastrzelony. Rozległ się płacz kobiet. Żandarmi, uzbrojeni w karabiny maszynowe, konwojowali robotników żydowskich w drodze powrotnej. Od miasteczka niosły się echa wystrzałów. Polacy stali na chodnikach i z uśmiechem patrzyli, jak Żydów prowadzono jak zwierzęta na rzeź. W miasteczku rozgrywały się dantejskie sceny, strzelano do próbujących uciec, rozdzielano matki od dzieci, bito mężczyzn. Przed wejściem do dawnego budynku sądu były burmistrz B., K. i ich dawni strażnicy śmiali się i wygrażali Żydom

maszerującym na rynek. Stało tam już dwieście furmanek z okolicznych wiosek i kolonii, którymi Żydzi mieli zostać wywiezieni z miasta.

Gestapowiec dowodzący akcją, wysoki blady mężczyzna z czarnymi bokobrodami, kazał Żydom ustawić się w szeregach na rynku i oznajmił, że „zostaną wywiezieni do pracy. Każdy z nich ma zatem udać się do domu na pół godziny i spakować ubrania robocze. Przynieść zmianę bielizny, dwa prześcieradła i poszewki na poduszki, łyżkę, widelec i nóż. Z tymi rzeczami musi wrócić na ulicę!”.

Słysząc to, Żydzi odetchnęli i uspokoili się, nie przeczuwając nawet, że to kłamstwo, a celem ich wędrówki nie będzie obóz pracy, tylko obóz śmierci. W tamtym czasie nikt w Goniądzu nie słyszał jeszcze, co działo się w Treblince. Uspokojeni Żydzi pobiegli do swoich domów, aby wykonać rozkazy gestapo. Tewel J. z bratem Zelmanem i siostrą Kajlą też pobiegli do siebie, ale dom zastali już zamknięty. Ktoś w czasie ich nieobecności powiesił ciężką kłódkę na drzwiach, najwyraźniej zamierzając zająć dom zaraz po wywiezieniu Żydów. J. zerwali jednak tę kłódkę i weszli do środka. Po krótkiej dyskusji zdecydowali się nie wracać na ulicę, ale schować się w kryjówce, którą ich ojciec zawczasu zbudował dla nich na strychu. Postanowili zaczekać, aż sytuacja w mieście się wyjaśni, bo przeczuwali coś niedobrego. W kryjówce mieli zgromadzoną wodę, żywność, zrobione przez ojca posłanie i niezbędną odzież. Ukryli się i zamknęli zamaskowane drzwi. Ojciec zrobił też mały otwór w dachu, przez który mogli obserwować ulicę.

Żydzi tymczasem zebrali się ponownie i ustawili w długim rzędzie wzdłuż ulicy Dolistowskiej w pobliżu oczekujących na nich chłopskich furmanek. Gestapowcy wciąż krzyczeli: „Szybciej, szybciej, przeklęci Żydzi”. Gdziekolwiek znaleźli spóźnionego, bili go i wyganiali z domu. Polacy energicznie

pomagali gestapowcom szukać ukrywających się Żydów. Gdy kilku młodych Polaków znalazło chłopca ukrytego w piwnicy, natychmiast powiadomili policję pomocniczą – funkcjonariusz zastrzelił go na miejscu. Od czasu do czasu przepędzano też ukrywających się Żydów na ulicę i dołączano ich do szeregów. Około południa, kiedy zgromadzono już wszystkich Żydów na Dolistowskiej, kazano im wsiadać na wozy. Po półgodzinie wozy ruszyły. To była przerażająca chwila: w kilkanaście minut Żydzi, którzy żyli w Goniądzu od pokoleń, zniknęli z miasta. Polacy stali na trasie ich ostatniej podróży z uśmiechniętymi twarzami. Powoli ostatni z wozów opuścił ulicę Kościelną. Cała społeczność zniknęła.

Kiedy społeczność żydowska została już wywieziona przez gestapo, polscy mieszkańcy Goniądza i polscy policjanci pomocniczy wyszli na ulice. Razem z kilkoma gestapowcami, którzy pozostali w miasteczku, zaczęli polowanie na ukrywających się jeszcze Żydów. J. mogli to obserwować schowani na strychu. W ciągu pół godziny z kryjówki w sąsiedztwie rozebranej synagogi polski policjant i grupa mieszkańców wyprowadzili dwóch żydowskich młodzieńców. Zabrano ich do samochodu gestapo. Grupki Polaków biegały jak oszalałe po miasteczku w poszukiwaniu Żydów. Szukano ich na każdej ulicy i alei, na każdym podwórku, w każdym domu i stodole, na każdym strychu i piwnicy.

Nawet w domu J., w ich kryjówce na strychu było słychać hałasy „gości” przeszukujących i grabiących dom. J. bardzo się bali, że zostaną odnalezieni. Leżeli w swojej kryjówce, starając się nie oddychać ani nie ruszać, by najmniejszym hałasem nie zdradzić oprawcom swojej obecności. Byli sparaliżowani ze strachu, czuli, że to ostatnie chwile ich

życia. Kryjówki na szczęście nie znaleziono, okradziono za to dom ze wszystkich cennych przedmiotów, jakie się tam jeszcze ostały.

Sytuacja w miasteczku się uspokoiła. W ciągu dwóch godzin Polacy wyłapali większość ukrywających się Żydów. Wśród nich był dziadek J. Gestapowcy wszystkich zabierali do swojego samochodu. Dzień zamienił się w noc. Po zmroku było mniej Polaków w mieście i na rynku zapanowała cisza, ale policjanci jeszcze schwytali dwóch ukrywających się. Ponieważ panowała cisza, przez otwór w dachu J. usłyszeli grupę Polaków rozmawiających w pobliżu ich domu.

Pierwszy powiedział coś w rodzaju: „Janek jest najlepszy. Schwytał dwóch w łaźni". Drugi miał mu odpowiedzieć: „Czego można chcieć więcej? Nawet ślepy Heniek, z jego jednym okiem, wypatrzył Szmula P. i jego synka. F., policjant od razu zabrał ich na cmentarz żydowski na rozstrzelanie". Trzeci głos: „Dlaczego gadacie o łapaniu Żydów? Cała grupa zdołała uciec". Pierwszy odpowiedział: „Nie martw się, złapiemy wszystkich". Zaczęli liczyć Żydów, których udało się do tej pory schwytać. Liczba urosła do trzydziestu. Ktoś powiedział: „O tych trzydziestu wiemy. Ale ilu jeszcze ich tam siedzi po domach, nie wiemy". Mówili też, że prezes Judenratu, P., został postrzelony w rękę i w plecy. Wreszcie rozmowa ucichła i odeszli. Śmiertelna cisza zapadła w mieście. J. na strychu słyszeli smutne miauczenie kota. Było jak płacz nad zniszczonym żydowskim miasteczkiem.

Następnego dnia polska policja w każdym żydowskim domu gwoździami zabiła drzwi i okna. Około szóstej wieczorem, gdy zrobiło się ciemno, grupy Polaków z pałkami w rękach zaczęły przy tych domach czuwać, żeby złapać ukrywających się, gdy wyjdą szukać czegoś do

jedzenia. Plan J., który polegał na tym, by wymknąć się tej nocy z kryjówki i uciec, został w ten sposób udaremniony. Pozostawało im zostać na miejscu i czekać na dogodny moment do ucieczki.

J. nie mogli spać w nocy. Gdy nastał ranek, wyjrzeli na ulicę, ale miasto było puste. Polacy, zmęczeni nocną „służbą", jeszcze spali. Jednak około dziewiątej rano rynek i ulica Dolistowska znów wypełniły się zgiełkiem. Pojawili się polscy policjanci, a i mieszkańcy niespiesznie budzili się ze snu.

W ciągu pół godziny dobiegł do J. ukrytych na strychu krzyk: „Ratujcie mnie… ratujcie mnie". To policjant G. prowadził M., żydowskiego kowala, bijąc go kolbą karabinu w głowę, plecy i nogi. Zabrał go do biura komisarza, a potem do piwnicy K., gdzie znowu gromadzono wszystkich schwytanych Żydów. W ciągu kilku minut drugi polski strażnik, F., doprowadził z pistoletem w ręku pięcioletniego chłopca Szolema R. i też zamknął go w piwnicy. F. wrócił w ciągu może dziesięciu minut z dwoma Żydówkami i Żydem. Zabrał ich do niemieckich żandarmów i tam zostawił. Niedługo później wyszedł tylko z kobietami i zaprowadził je do piwnicy.

W trzy dni po tym, jak Żydzi zostali wywiezieni z Goniądza, Polacy zdołali schwytać w miasteczku i okolicy większość ukrywających się. Niektórzy z nich od razu zostali zabici na cmentarzu żydowskim, nie odwożono ich do Niemców. Gdy usunięto ostatecznie żydowskich mieszkańców z miasteczka, Polacy mogli wreszcie rozpocząć okradanie ich domów. Robili to w nocy, ponieważ Niemcy zabronili rabunku i zapowiedzieli, że będą karali za niego śmiercią.

Po dwóch tygodniach pilnujący domu J. opuścił posterunek pół godziny wcześniej niż zwykle. W tym momencie Tewie J.

zszedł po cichu ze strychu, wyważył tylne okno i wymknął się przez nie z rodzeństwem. Pobiegli przez opustoszałe po zmroku uliczki, aż znaleźli się poza miastem. Tej nocy spadł pierwszy śnieg. Udali się do znajomego chłopa za Goniądzem. Początkowo nie chciał ich wpuścić, obawiając się, że zostanie za to rozstrzelany. Kiedy jednak powiedzieli mu, że mają dobre ubrania i inne rzeczy w swoich plecakach i że będą mu dobrze płacić za gościnę, ustąpił i przyjął ich do swojego domu. Dali mu nową koszulę, dwie srebrne łyżki i błagali go, by pozwolił im zostać choćby tylko na jeden dzień. Zgodził się.

Od niego dowiedzieli się, że Żydzi z Goniądza zostali wysłani do obozu w Boguszach, tam zgromadzono również Żydów z Grajewa, Rajgrodu, Szczuczyna, Radziłowa i okolicznych wsi. 22 grudnia 1942 r. o piątej rano SS weszło do obozu w Boguszach i wywiozło stamtąd dwie trzecie Żydów do Treblinki. 3 stycznia 1943 r. zakończono ostatecznie akcję likwidacji obozu, wywożąc wszystkich pozostałych na śmierć. Tak zakończyła się historia istniejącej od setek lat społeczności żydowskiej na tych terenach.

Analizując sytuację w Goniądzu, trzeba zauważyć, że wystąpiły tu wszystkie składowe Holokaustu. Właściwie można powiedzieć, że już w 1941 r. w tym polskim miasteczku przeprowadzono Szoah w mikroskali. Jego mieszkańcy z własnej inicjatywy powołali bowiem jednostkę specjalną policji, tzw. straż obywatelską, następnie przeprowadzili segregację żydowskich mieszkańców miasta, tak jak to się odbywało później w nazistowskich obozach koncentracyjnych; rozdzielili kobiety od mężczyzn, których skoncentrowali w dwóch odrębnych podobozach – funkcję podobozu pracy spełniała stodoła R., a podobozu

śmierci piwnica K. W tej ostatniej zostali umieszczeni więźniowie polityczni oraz ci z żydowskich mieszkańców, którzy również w inny sposób narazili się straży obywatelskiej. Następnie przeprowadzono ich eksterminację. W Goniądzu wykorzystywano niewolniczą siłę roboczą, dochodziło do gwałtów na żydowskich kobietach, do odbierania Żydom majątku.

Nic z tego, co się wydarzyło, nie świadczy za to o przypadkowości działań polskich mieszkańców Goniądza, „szale" mordowania czy „amoku" tłumu, a wszystko zdaje się raczej wskazywać na działania w pełni zaplanowane, doskonale zorganizowane, przeprowadzone z premedytacją i iście morderczym profesjonalizmem, i to jeśli chodzi nie tylko o zniewolenie Żydów i ich mordowanie, ale także o późniejsze ukrywanie ciał i dowodów zbrodni. I co trzeba podkreślić, początkowo, w pierwszych tygodniach wojny, praktycznie bez obecności w mieście niemieckich żołnierzy. Miejscowa ludność polska zagarnęła majątki swoich przedwojennych sąsiadów w atmosferze stale rosnącego napięcia i rozkręcania się spirali przemocy prowadzącej do mordów.

Zastanawiając się nad najbardziej może kontrowersyjną, bo obalającą mity funkcjonujące po II wojnie światowej, relacją Żydzi – Polacy – Niemcy, charakteryzującą się tym, że przez pewien czas w Goniądzu na przełomie 1941 i 1942 r. niemieccy żandarmi chronili Żydów przed ich polskimi sąsiadami, trzeba powiedzieć, że był to okres, gdy Holokaust, rozumiany jako zbiorowy i instytucjonalny mord na Żydach, nie był jeszcze strategią w pełni wcieloną przez nazistów w życie. Wydaje się więc możliwe, jak wynika z zeznań J., że to opłaceni złotem Niemcy chronili Żydów przed Polakami.

Zresztą wspólnoty żydowskie, żyjąc na tych terenach od wieków, były na pogromy przygotowane. Kahały gromadziły na wypadek zagrożenia odpowiednie sumy pieniędzy, zbierane w formie podatków od członków wspólnoty. Judenrat mógł je wykorzystać do ochrony ludności i opłacenia Niemców. Trzeba też pamiętać, bo to może najważniejsze, że mordy w Goniądzu były możliwe, gdyż zarząd miejski i straż obywatelska otrzymały wsparcie od duszpasterzy tamtejszej wspólnoty. Wsparcie w postaci milczenia.

WIADOMO, ŻE MIEJSCOWĄ POLSKĄ STRAŻĄ OBYWATELSKĄ, POWOŁANĄ W CZERWCU 1941 R. I MAJĄCĄ ZA ZADANIE ZWALCZAĆ KOMUNISTÓW I ŻYDÓW ORAZ PILNOWAĆ PORZĄDKU W MIASTECZKU, DOWODZILI DWAJ MĘŻCZYŹNI, MIESZKAŃCY GONIĄDZA, A JEJ SKŁAD ZMIENIAŁ SIĘ WRAZ Z UPŁYWEM CZASU. JAK WYGLĄDAŁA DZIAŁALNOŚĆ PIERWSZEJ POLSKIEJ STRAŻY OBYWATELSKIEJ POD DOWÓDZTWEM ADAMA P. I BERNARDA K., KIEDY TO DOKONANO NAJBARDZIEJ OKRUTNYCH ZABÓJSTW I POGROMU ŻYDÓW?

WŁADYSŁAW Ł.[45]
Polak, mieszkaniec Goniądza

Nie brałem udziału w mordowaniu Żydów oraz Polaków, natomiast brałem udział w ich konwojowaniu na cmentarz żydowski w Goniądzu, gdzie mordowano ich, oraz w tej sprawie wyjaśniam, że było to w pierwszych dniach okupacji niemieckiej, ksiądz rzymskokatolicki w Goniądzu oraz Jan B. z Goniądza

zorganizowali policję z miejscowej ludności, do niej wstąpiłem ja, D. Alfons, K. Leon i Marian, Cz. bracia, R. dwóch braci i ojciec, J., P. Adam i Antoni, P., P., P. Jan. Na komendanta tej policji został wybrany przez księdza i B. P. Adam.

Ostatni jako komendant zarządził zbiórkę w magistracie i do wszystkich policjantów przemówił, że należy obecnie połapać i wyniszczyć wszystkich Polaków, którzy współpracowali z władzami sowieckimi, oraz komunistów i Żydów. Po takim zebraniu, nie pamiętam dokładnie, zdaje się, że na drugi dzień, do Goniądza przyjechali Niemcy, zegnali wszystkich Żydów na rynek i z nich wybrali jednego na sołtysa. W tym czasie, jak już odjechali Niemcy, P. Adam oraz Cz. spośród zebranych Żydów wybrali około 15 osób, aresztowali ich i wsadzili do aresztu, który był zrobiony w budynku żydowskim, gdzie mieściła się w tym czasie apteka, nie widziałem, lecz słyszałem, że w tym czasie ze wsi Białosuknie [Białosuknia] przywieziono trzech Polaków i wsadzono do tego aresztu wraz z Żydami.

[…] Wieczorem już została zwołana wszystka policja na rynek w Goniądzu, gdzie P. Adam wydał rozkaz, że tej nocy zostaną zamordowani trzech Polaków komunistów i ci wszyscy Żydowie, co są aresztowani, i aby każdy z policjantów uzbroił się w kije i żelazo, oraz zaznaczył, że kto zwolni Żydka, zostanie tak samo zamordowany jak Żyd i komunista. Pamiętam, że w tym czasie odnalazłem drewniany kij, widziałem, jak wyprowadzono aresztowanych z piwnicy, ustawiono w rzędy, okrążono policją i tak prowadzono na cmentarz na miejsce kaźni. Prowadząc Żydów i Polaków na egzekucję, widziałem, że prowadzili ich

bracia K. Leon i Marian, a u ostatniego widziałem kij drewniany, u Leona nie widziałem nic, D. Alfons z kijem, Cz. bracia z żelaznymi młotami, P. z kijem, P., P. Jan, R. ojciec i bracia, P. Antoni oraz inni, których [sobie] nie przypominam.

Żydów i Polaków zaprowadzili na cmentarz żydowski pod ogrodzenie i stąd kolejno zaczęto brać ich i mordować. Pilnować Żydów przy ogrodzeniu zostałem ja, D. Alfons, K. Marian oraz P., P., P., Cz. i R. wzięli grupę Żydów i poprowadzili na miejsce, gdzie mordowali; jak mordowano Żydów i Polaków, nie widziałem, lecz słyszałem, że najwięcej mordowali ich Cz. Nie brałem więcej udziału w konwojowaniu Żydów ani Polaków oraz nie brałem udziału w mordowaniu, choć słychać było, że mordowano Żydów nadal. Chcę dodać, że Cz., R., J. i P. Adam oraz ksiądz obecnie nie żyją. […] Policja, w której byłem na początku okupacji, nosiła białe opaski na rękach. Pilnowałem Żydów do czasu, póki został zamordowany ostatni, po zamordowaniu wszystkich wróciłem do domu.

JÓZEF P.[46]

Polak, mieszkaniec Goniądza

[…] K. Bernarda znam bardzo dobrze jeszcze sprzed 1939 r., jak K. służył w Osowcu w Korpusie Ochrony Pogranicza i żyłem z nim w normalnych stosunkach. […] Zaraz po wkroczeniu Niemców na te tereny K. Bernard utworzył komitet antykomunistyczny i mianował się komendantem tymczasowej milicji. Na lewej ręce każdy milicjant miał przepaskę czerwono-białą i u boku pistolet. Pod przewodnictwem K. Bernarda przeprowadzili oni aresztowania byłych

aktywistów sowieckich i Żydów. K. Bernard i O., jeden z jego milicjantów, specjalnie się znęcali nad aresztowanymi przez nich ludźmi.

BOLESŁAW D.[47]

Polak, urzędnik magistratu w Goniądzu w czasie okupacji

[…] Zaraz po wkroczeniu Niemców na te tereny powstał w Goniądzu komitet antykomunistyczny składający się z Polaków zapatrywań hitlerowskich. Do tego komitetu należał także K. Bernard. Następnie, gdy do Goniądza przyjechał niemiecki komisarz, K. Bernard pracował u niego jako tłumacz sekretarz. Następnie w 1943 r. K. wyjechał do Osowa, co tam robił, tego ja nie wiem.

TEWEL J.[48]

Żyd, mieszkaniec Goniądza

Dnia 13 lipca K. w towarzystwie swoich współpracowników Z., R., O., O. Stanisławem, B. Wojtkiem, M. i P. wieczorem o godz. 23.00 organizował pogrom na ludności żydowskiej, przy czym oni zamordowali 20 osób, spomiędzy znajdowali się: akuszerka L. Sonia, która została zamordowana przez O. Stanisława (obecnie w wojsku), Nison F. z rodziną, razem 10 osób, przez Ł., który obecnie służy na posterunku w Osowcu, J., zamieszkały w Goniądzu, ul. Szpitalna, W., zamieszkały w Goniądzu, i L. Alfons, zamieszkały przy ul. Kościelnej.

[…] W miesiącu wrześniu 1941 r. po przyjściu niemieckiego amtskomisarza do Goniądza „Tymczasowy Zarząd” zorganizowany przez K. i B.

został przez Niemców rozpuszczony. K. żadnego oficjalnego stanowiska nie objął, natomiast wyzyskując prześladowanie ludności żydowskiej przez Niemców, szantażował poszczególne osoby, a mianowicie K. przychodził do różnych bogatych osób i powiadał, że jeśli oni jemu nie załatwią pewnych sum pieniędzy, on złoży na nich doniesienie do gestapo, że są komunistami. Ja osobiście dowiedziałem się od M. Jankiela, zamieszkałego w Goniądzu, że K. szantażował jego dłuższy czas i wyciągnął od niego 80 dolarów amerykańskich i złoty zegarek kieszonkowy. Ze słów krawca Wolfa ja się dowiedziałem, że on również był przez K. aresztowany i dzięki złotemu łańcuszkowi, który mu dał, o wadze 230 gram i 150 dolarów został wypuszczony na wolność. Ostatnio K. pracował w Osowcu w charakterze dozorcy nad robotnikami.

ANTONI G.[49]
Polak, mieszkaniec Goniądza

[…] [Jana P., Władysława Ł., Leona K., Alfonsa D., członków straży obywatelskiej pod komendą P., ps. „Mucha” – przyp. M.T.] znam. Za bytności władzy sowieckiej byłem kierownikiem piekarni i kiedy władza radziecka wycofała się, a władza niemiecka nie objęła swej władzy, w Goniądzu powstała policja zorganizowana z miejscowych obywateli, na czele której stał Jan B., który ją zorganizował. Policja poczęła zajmować się byłymi pracownikami sowieckimi, komunistami i Żydami.

ANTONI T.[50]

Polak, mieszkaniec Goniądza

[…] W tym dniu, kiedy wypadek mordowania miał miejsce na cmentarzu, wypiłem z K. Leonem i K. Stanisławem trzy czwarte litra wina rosyjskiego mocnego. K. powiedział mnie, ażebym wystrzegał się, bo chcą mnie zabić, za to, że jestem komunistą, a potem zaproponował mnie iść na cmentarz, ażeby zobaczyć, kto będzie mordował te ofiary. Więc ja się zgodziłem i razem z nami poszedł Leon K. Byliśmy mocno podchmieleni. Widziałem na cmentarzu P. i P., a poza tym było bardzo dużo ludzi, może sto osób. Kiedy myśmy zaszli, to jeszcze ofiar nie przyprowadzono i kopano dół. K. Leon był cały czas w moim towarzystwie. Weszliśmy na cmentarz i usiedliśmy na mogile w odległości około 40 metrów od wykopanego dołu. Widziałem, jak przyprowadzili jakieś osoby do wykopanego dołu i Cz. zamordowali te osoby, również widziałem tam P., ale co on tam robił, tego nie wiem. Były tam okropne krzyki. Potem ja z K. Leonem poszedłem do domu. „Mucha" był komendantem tych zbójów.

MARIAN K.[51]
Polak, mieszkaniec Goniądza

[W Goniądzu – przyp. M.T.] była „Straż Porządkowa", a nie policja, która została zorganizowana przez księdza S. i burmistrza B. Kiedy wkroczyli Niemcy na te tereny, zostałem powołany do straży porządkowej. Nadmieniam, że do straży powoływani byli sami bezrolni. Potem do tej straży dołączali też rabusie. […] Komendantem tej „Straży" był P., którego przezywano „Mucha". Obowiązkiem tej straży było utrzymanie

porządku. Przy mordowaniu nie byłem obecny, nie byłem na cmentarzu, a stałem obok cmentarza na drodze.

Gdy aresztowanych przyprowadzono na cmentarz, to zaczęto ich zabijać drągami, ale kto ich zabijał, tego nie widziałem.

[…] Słyszałem tylko, że ktoś powiedział do zamordowanych „gińcie!”. Do samej jamy nie zbliżałem się, gdyż ludzie tłoczyli się, a potem poszedłem do domu. Nadmieniam, że krzyku nie słyszałem.

CZY STRAŻ OBYWATELSKA W GONIĄDZU DOPUŚCIŁA SIĘ RÓWNIEŻ INNYCH MORDÓW NA ŻYDACH?

WŁADYSŁAW D.[52]
Polak, mieszkaniec Goniądza

[…] W pierwszych dniach po odejściu Armii Radzieckiej banda ta przystąpiła do mordowania, które odbywały się po nocach przez cały okres istnienia bandy, to jest około dwóch tygodni. Ja byłem świadkiem popełnienia dwóch masowych mordów na obywatelach polskich i żydowskich, byłych działaczy komunistycznych. W kilka dni po wyżej opisanym wypadku znowu nakazali mi iść na cmentarz, gdzie widziałem, jak ci sami Cz. zabijali w ten sposób, co poprzednio, kilkunastu Żydków, między którymi była jedna kobieta, po zabiciu znowuż kazali iść do domu. Zaznaczam, iż mordy te były popełniane przez tę bandę przez cały okres jej istnienia zawsze w nocy, to jest około dwóch tygodni.

Po przyjściu policji niemieckiej do Goniądza Niemcy aresztowali Cz. i R., których rozstrzelali za rabunek mienia pomordowanych Żydów, i banda ta przestała istnieć. Po przyjściu policji niemieckiej do Goniądza wstąpił do niej P. Antoni, K. Bronisław, pozostałych nazwisk nie znam, i służył w policji niemieckiej aż do wyzwolenia.

ANTONI G.[53]
Polak, mieszkaniec Goniądza

Składa dodatkowe wyjaśnienia

W tydzień po tym zapędzono znowu mnie i tych samych ludzi, którzy zakopywali dół, na pole za żydowskim cmentarzem, gdzie ci sami policjanci, w których gronie znajdował się również P. Antoni, kazali zakopać nam dół z nowo pomordowanymi obywatelami narodowości żydowskiej. Między zmasakrowanymi w okropny sposób Żydami znajdowały się kobiety i dzieci, razem było około dwunastu osób. Ja nie przystąpiłem do zakopywania zamordowanych, ponieważ zauważyłem, że policjanci byli pijani i po rozkazaniu zakopania zamordowanych odeszli w stronę Goniądza, a ja odszedłem do domu, a w ślad za mną uczynili to samo pozostali. W czasie popełnionego pierwszego i drugiego morderstwa zauważyłem, że policjanci byli uzbrojeni w młoty, sztylety i kije, a P. Antoni posiadał kij.

WIADOMO, ŻE NIEMCY ROZSTRZELALI BRACI CZ. I R. I ROZWIĄZALI STRAŻ OBYWATELSKĄ POD DOWÓDZTWEM P. I K., ALE DLACZEGO TO ZROBILI?

ANTONI P.[54]

Polak, członek straży obywatelskiej, mieszkaniec Goniądza

[…] Po upływie trzech, względnie czterech dni od chwili dokonania morderstwa na miejscowej ludności żydowskiej do tłumacza gestapo K. zgłosiło się trzech obywateli narodowości żydowskiej i przynieśli złoto. Niezwłocznie po tym wypadku gestapo dokonało aresztowań wśród ludności polskiej miasta Goniądza. Zostało aresztowanych około 70 osób, między innymi ja również zostałem aresztowany i byliśmy osadzeni w magistracie.

Przez całą noc gestapo nas biło i dochodziło w ten sposób, kto brał udział w dokonanym morderstwie, grożąc, że jeżeli do rana nie wydadzą, kto mordował Żydów, wszyscy zostaną rozstrzelani. Bracia Cz. zaczęli wskazywać jeden na drugiego jako biorących udział w dokonywanym mordzie. Wskazywali oni między innymi na 17 osób, którzy zostali później rozstrzelani. Nie wiem, ilu Żydów zostało zamordowanych. Brali udział w mordowaniu: Cz., R. i wielu innych. Po wycofaniu się wojsk radzieckich była organizowana policja porządkowa, policję tę organizował B. […] Porządkowa policja, która została zorganizowana na jesieni, nie była umundurowana i broni nie mieli. Nie wiem, dlaczego tych ludzi [tj. Żydów – przyp. M.T.] mordowano. Po morderstwach tych Żydów zaraz zajmowali ich domy ci, którzy ich mordowali.

CO WIADOMO O ZBRODNICZEJ DZIAŁALNOŚCI OSÓB, KTÓRE NALEŻAŁY DO STRAŻY OBYWATELSKIEJ?

STEFAN K.[55]

Polak, członek straży obywatelskiej pod komendą Adama P., mieszkaniec Goniądza

Również widziałem kilka razy, jak [Franciszek K., członek straży obywatelskiej pod komendą Adama P. – przyp. M.T.] gwałci młode Żydówki w godzinach wieczornych w miejscach publicznych, ja omijałem z daleka, by nie słyszeć płaczu i lamentu młodych Żydówek. […] Widziałem kilkakrotnie, jak K. Franciszek rabował żydowskie mieszkania. Słyszałem od ludzi, ponieważ nie było sekretem, że K. Franciszek dokonał dużo zabójstw ludzi z pochodzenia żydowskiego.

Pewnego razu pracowałem przy młóceniu żyta u S. zamieszkałego w Goniądzu na Kolonii i z tym gospodarzem pojechaliśmy do Goniądza celem okucia konia u kowala Josela. Słyszałem, jak rodzina Josela, płacząc, skarżyła się, że K. Franciszek zabił brata Josela.

Jaakow T., Arie T., Szejna R. w Goniądzu

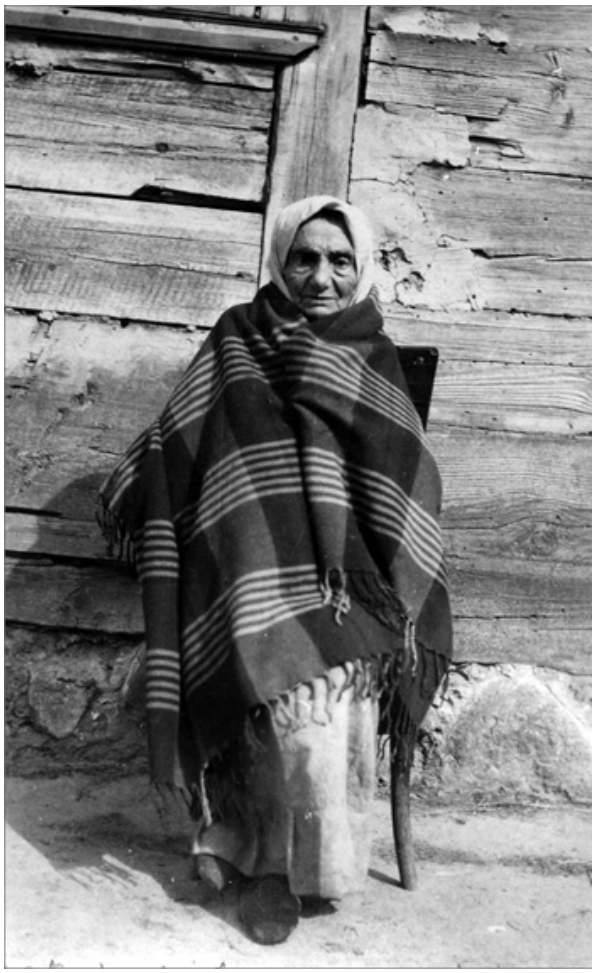

Tobe T., Goniądz, 1923 r.

HELENA K.[56]
Polka, mieszkanka Goniądza

[…] Gdy Armia Czerwona wycofała się, K. w nocy rabował z karabinem w ręku magazyny spółdzielni razem z Żydem K. Joselem, którego później on sam zabił. Stwierdzam, że na własne oczy widziałam, jak K. Franciszek gwałcił młode Żydówki czternastoletnie, i na podwórzu widziałam na własne oczy krew po zgwałceniu.

Robił włamania przez drzwi do Żydów, rabował i gwałcił każdy dzień, do chwili póki Niemcy go z komisji nie zwolnili, ponieważ on był zwolniony, ale

służył nadal i Żydów publicznie z nahajem w ręku spędzał, robiąc defiladę przed ich śmiercią.

Po wojnie odbyło się kilka procesów Polaków z Goniądza oskarżonych o mordowanie swoich żydowskich sąsiadów.

Bernard K., wyrokiem z 3 lutego 1949 r., został skazany na pięć lat pozbawienia wolności oraz na pięć lat pozbawienia praw publicznych.

Franciszek K., wyrokiem z 20 lutego 1950 r., został skazany na sześć lat pozbawienia wolności.

Bronisław P., wyrokiem z 8 czerwca 1951 r., został skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności.

Władysław P., wyrokiem z 8 czerwca 1951 r., został skazany na sześć lat pozbawienia wolności.

Jan P., na mocy wyroku z 8 czerwca 1951 r., został uniewinniony.

Władysław Ł., na mocy wyroku z 8 czerwca 1951 r., został uniewinniony.

Leon K., na mocy wyroku z 8 czerwca 1951 r., został uniewinniony.

Alfons D., na mocy wyroku z 8 czerwca 1951 r., został uniewinniony.

Marian K., na mocy wyroku z 8 czerwca 1951 r., został uniewinniony.

Antoni P., na mocy wyroku z 26 grudnia 1953 r., został skazany na cztery lata pozbawienia wolności.

Józef R., wyrokiem z 25 listopada 1947 r., został oczyszczony z wszelkich zarzutów.

Franciszek W. został skazany na dwanaście lat pozbawienia wolności.

Józef O., wyrokiem z 29 stycznia 1946 r., został skazany na dziesięć lat pozbawienia wolności.

Adolf G., wyrokiem z 29 stycznia 1946 r., został skazany na osiem lat pozbawienia wolności.

Jerzy B. ze wsi Kramkówka Duża, został skazany wyrokiem z 4 kwietnia 1951 r. na karę dożywotniego więzienia. Następnie wyrok ten zamieniono mu na piętnaście lat pozbawienia wolności.

Przypisy

[1] Akta sprawy, IPN Bi 404/42.
[2] Tamże.
[3] Tamże.
[4] Tamże.
[5] Akta sprawy, IPN GK 301/6, t. 1.
[6] Akta sprawy, IPN Bi 404/42.
[7] Tamże.
[8] Tamże.
[9] Akta sprawy, IPN Bi 408/119.
[10] Akta sprawy, IPN Bi 404/42.
[11] Tamże.
[12] Tamże.
[13] Tamże.
[14] Tamże.
[15] Akta sprawy, IPN Bi 403/101.
[16] Tamże.
[17] Tamże.
[18] Akta sprawy, IPN GK 301/6.
[19] Akta sprawy, IPN Bi 404/42.
[20] Tamże.
[21] Interpretacja wydarzeń powstała na podstawie zeznania Tuviah Ivri Y. (Tewjego J.), autora księgi pamięci miasteczka Goniądz, http://www.jewishgen.org/Yizkor/goniadz/gon591.html#destruction

[22] Akta sprawy, IPN Bi 404/42.
[23] Tamże.
[24] Tamże.
[25] Tamże.
[26] Tamże.
[27] Akta sprawy, IPN Bi 410/147.
[28] Akta sprawy, IPN Bi 403/101.
[29] Tamże.
[30] Akta sprawy, IPN Bi 404/42.
[31] Akta sprawy, IPN GK 301/6, t. 1.
[32] Tamże.
[33] Tamże.
[34] Akta sprawy, IPN Bi 408/119.
[35] Tamże.
[36] Akta sprawy, IPN GK 301/6.
[37] Akta sprawy, IPN Bi 403/101.
[38] Akta sprawy, IPN Bi 404/42.
[39] Tamże.
[40] Akta sprawy, IPN Bi 408/119.
[41] Akta sprawy, IPN GK 301/6.
[42] Akta sprawy, IPN Bi 408/119.
[43] Tamże.
[44] Przypadki ekshumowania przez rodziny żydowskie zdarzały się częściej, np. w Rajgrodzie.
[45] Akta sprawy, IPN GK 301/6, t. 1.
[46] Akta sprawy, IPN Bi 404/42.
[47] Tamże.
[48] Tamże.
[49] Akta sprawy, IPN GK 301/6, t. 1.
[50] Tamże.
[51] Tamże.
[52] Akta sprawy, IPN Bi 408/119.
[53] Tamże.

[54] Akta sprawy, IPN GK 301/6, t. 1.
[55] Akta sprawy, IPN Bi 403/101.
[56] Tamże.

Rajgród

Analiza wydarzeń powstała na podstawie materiałów śledczych sporządzonych przez sędziego sądu powiatowego w Grajewie Alfreda Chmielewskiego (IPN Bi 408/187), materiałów ze śledztwa Instytutu Pamięci Narodowej o sygnaturze IPN Bi 1/1233 w sprawie mordu na Żydach w „choinkach" rajgrodzkich, prowadzonego przez prokuratora Waldemara Monkiewicza (śledztwo zostało umorzone), oraz zeznań świadków, które znajdują się w materiałach sądowych i śledczych z epoki będących w dyspozycji Instytutu Pamięci Narodowej.

Przed II wojną światową w Rajgrodzie żyło około siedmiuset Żydów, co stanowiło niespełna 30 proc. ogólnej liczby mieszkańców. Wyznawcy religii mojżeszowej mieszkali głównie przy rynku, ulicy Warszawskiej, Szkolnej i Pacowskiej, zwanej też Pace, biegnącej od rynku nad jezioro i dalej ku majątkowi Pace – stała przy niej okazała murowana synagoga z 1823 r. Pod Górą Zamkową zaś znajdowała się bożnica drewniana oraz cheder – szkoła żydowska. Wśród rajgrodzkich Żydów majętne były rodziny Ellenbogenów, Cukierbraumów, Dołowiczów, Finkielsztejnów, Szapirów, ale w większości miejscowi starozakonni trudnili się drobnym handlem lub rzemiosłem i nie byli zamożni, a część z nich żyła nawet w prawdziwej nędzy[1].

Sprawy w miasteczku zaczęły zmierzać w złym kierunku jeszcze na długo przed wybuchem wojny, wraz ze wzrostem nastrojów i postaw nacjonalistycznych i antysemickich w międzywojennej Polsce. W ich apogeum przybył do

Rajgrodu niejaki Antoni L. vel Stanisław M., który 5 września 1935 r. pojawił się w Grajewie z zamiarem zatrudnienia się na stanowisku nauczyciela języka łacińskiego i niemieckiego w tamtejszym gimnazjum imienia Kopernika. Wiadomo o nim tyle, że ukończył studia w Poznaniu, otrzymując tytuł magistra filologii. Wywodził się z rodziny polskiej, ale jego żona miała nieokreślone bliżej związki z narodowością niemiecką, w każdym razie jego teściowa, mimo obywatelstwa polskiego, mówiła w domu po niemiecku, co w rzeczywistości międzywojennej Polski, dopiero co wyzwolonej spod zaborów, nikogo specjalnie nie dziwiło.

Z pamiętników Antoniego L., dostępnych w aktach spraw prowadzonych przeciwko niemu po wojnie przez polskie organy ścigania, wyłania się obraz człowieka niezwykle ambitnego, a jednocześnie niespełnionego i skłonnego do myślenia w kategoriach spiskowych. Uważał on, co charakterystyczne, że nie otrzymał wymarzonej posady nauczyciela w Poznańskiem z powodu swoich zapatrywań politycznych. We własnych oczach miał być prześladowanym politycznie polskim patriotą, szykanowanym za wierność narodowej sprawie. Odmówić miał bowiem wstąpienia do partii Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, natomiast pozostawał zwolennikiem Narodowej Demokracji, co miało być powodem, dla którego został zmuszony do udania się na banicję do Grajewa – tak w każdym razie pisał o tym w memuarach po wojnie.

W okresie studiów brał udział w wystąpieniach antysemickich i także zemstą Żydów (w Grajewie później był przekonany, że spiskowała przeciwko niemu żydowska nauczycielka C.) tłumaczył swoje niepowodzenia zawodowe.

Wbrew jednak patriotyczno-narodowym mitom na własny temat, jakie tworzył w swojej wyobraźni, Antoni L. był

karierowiczem. W życiu kierował się zasadą osiągania sukcesu za wszelką cenę oraz ulegał potrzebie bycia docenianym przez tych, których uważał za lepszych od siebie. Zabiegał zatem o względy władzy – jakakolwiek by ona była, nieważne: narodowa, komunistyczna czy faszystowska – i jeśli go doceniała, zawsze z zapałem wykonywał jej polecenia. To najprawdopodobniej ta wewnętrzna potrzeba, wyrosła na niskim poczuciu własnej wartości, popchnęła go do popełnienia niewyobrażalnej zbrodni.

Poczucie niespełnienia, chorobliwa ambicja, poszukiwanie autorytetu, któremu mógłby się podporządkować i o którego względy zabiegać, prawdopodobnie wynikały z jego pełnego lęków charakteru. Gdyby zagłębić się w przeszłość Antoniego L., z pewnością natknęlibyśmy się na postać surowego, pozbawionego wewnętrznego ciepła i uczuć wyższych ojca i równie jak on zimną matkę. Nie ma na to jednak miejsca w obecnych poszukiwaniach, dość powiedzieć, że Antoni L., by stłumić wewnętrzne lęki, przez całe życie nadużywał alkoholu.

Nie przeszkodziło mu to jednak, zarówno przed II wojną światową, jak i po jej wybuchu i wkroczeniu wojsk radzieckich na tereny Grajewa, cieszyć się w pracy nauczycielskiej bardzo dobrą opinią. Antoni L. był świetnym pedagogiem i cenionym wychowawcą młodzieży. Jak każdy pełen wewnętrznych lęków człowiek sztukę manipulacji innymi, zwłaszcza słabszymi od siebie, opanował do perfekcji. Miał też w sobie ten rodzaj sprytu, który pozwalał mu zdobywać zaufanie zależnych od niego i podporządkowywać ich swoim interesom.

Studencka manifestacja antyżydowska, Poznań, 1931 r.

W nagrodę za sukcesy dydaktyczne został służbowo przeniesiony z Grajewa do szkoły w Rajgrodzie i tam do wybuchu wojny pełnił obowiązki nauczyciela (wraz z nim przeniosła się cała rodzina). L. ze swojej pracy po przeprowadzce wywiązywał się równie dobrze co poprzednio, za co otrzymywał liczne nagrody od kierownictwa rajgrodzkiej szkoły. Po wrześniu 1939 r., za panowania władzy radzieckiej, mimo wcześniej deklarowanych poglądów narodowych brał udział w pracy społecznej i zasiadał w sowieckich komisjach wyborczych. Po godzinach pracy w szkole Antoni L. organizował w miejskiej świetlicy wieczorki literackie dla młodzieży, urządzał odczyty i dyskusje o dobrodziejstwach płynących z socjalizmu. Pozwoliło mu to oczywiście zaskarbić sobie względy sowieckich władz.

Gdy wybuchła wojna niemiecko-radziecka, Antoni L. przestał pracować w szkole i z polecenia dowództwa frontowych oddziałów niemieckich, które na chwilę wkroczyły do miasta, zaczął organizować w Rajgrodzie władze cywilne. Na stanowisko burmistrza Rajgrodu powołał w pierwszych dniach lipca 1941 r. Franciszka P., który wraz z nim był za czasów sowieckich samorządowcem. Ten z kolei na wyraźne polecenie Antoniego L. utworzył polską milicję porządkową, tzw. straż obywatelską, inaczej zwaną też „Samorządem Rajgrodzkim". Na jej czele stanął Mieczysław S., również nauczyciel gimnazjalny w Rajgrodzie.

W skład polskiej milicji weszli następujący mieszkańcy miasta: Aleksander G., Józef A., S., K., Jan L., Stanisław K., Stanisław K., Feliks B., Władysław K., S. stary i młody, Piotr Rz., Józef K., S., Franciszek P., G., M. i Władysław G. Składała się ona wyłącznie z Polaków, częściowo z byłych policjantów granatowych i byłych strażników Korpusu Ochrony Pogranicza, częściowo ze zwykłych mieszkańców Rajgrodu i chłopów z okolicznych wsi. Jej zadaniem było utrzymanie porządku w mieście oraz rozprawienie się z Żydami i osobami, które współpracowały z Sowietami. Było to możliwe, bo przez dwa miesiące, do września 1941 r., w Rajgrodzie nie było żadnych władz niemieckich, a Niemcy przyjeżdżali tu w tym okresie jedynie kilka razy, by sprawdzić, jak idzie „postęp prac nad odżydzaniem i dekomunizowaniem miasteczka". Całą władzę w Rajgrodzie sprawowali w tym czasie Polacy, a konkretnie nauczyciel Antoni L., któremu podlegał burmistrz miasteczka Franciszek P. i straż obywatelska na czele z komendantem Mieczysławem S. To interesujące, że Rajgrodem, podobnie jak pobliskim Grajewem, w czasie gdy dokonywano w tych miasteczkach najbardziej bestialskich

mordów na żydowskich mieszkańcach, zarządzali polscy nauczyciele z miejskich szkół, elita intelektualna i kulturalna polskiej społeczności. W Rajgrodzie utworzono także polski sąd miejski, w którego skład weszli: aptekarz M., gospodarz K. i niejaki S. W pierwszych dniach po powołaniu straży obywatelskiej rozpoczęły się najkrwawsze w historii miasta mordy na Żydach. Były dokonywane przez jej członków i mieszkańców Rajgrodu prawie wyłącznie nocami; codziennie rano na terenie miasta znajdowano po kilka ciał Żydów.

Kilka dni po ustanowieniu przez Antoniego L. władzy publicznej w Rajgrodzie przyjechało do miasteczka paru Niemców i z pomocą polskich strażników i ludności cywilnej spędzili wszystkich Żydów na rynek. Polacy tego dnia mieli na szyjach chrześcijańskie medaliki, by łatwiej się odróżnić od starozakonnych. Zgromadzonych na rynku Żydów ciężko pobili drewnianymi pałkami, sztachetami, czym kto mógł. Kazano im także skakać przez ustawione specjalnie w tym celu przeszkody, a opornych lub omdlałych „cucono” biciem lub „kąpielą” w pobliskim jeziorze. Między innymi zostali pobici i poddani torturom: rymarz Lejb B., Szeftel K., rodzina C., rodzina R. oraz handlarz zbożem i właściciel sklepu kolonialnego F. Potem wszystkich Żydów rozebrano i pozostawiono w bieliźnie na dworze. Dwudziestosiedmioletniej córce F. dano czerwoną chorągiew do rąk i tak wszyscy zebrani Żydzi, ustawieni czwórkami, musieli maszerować przez całe miasto i śpiewać. Ich ubrania rzucano Polakom, a oni je łapali.

Część Żydów, nie mogąc znieść tortur i poniżania, zaczęła uciekać, ale strażnicy obywatelscy i polscy mieszkańcy miasteczka szybko ich wyłapali. Przyprowadzili z powrotem na rynek około czterdziestu osób, głównie mężczyzn. Tę grupę Niemcy kazali Polakom otoczyć, trzymając się za

ręce, i poprowadzić w stronę Grajewa. Po drodze zastrzelono jednego z Żydów, który pobity nie miał siły iść dalej. W doprowadzeniu Żydów do lasu zwanego „choinkami rajgrodzkimi" brało udział około pięćdziesięciu mieszkańców Rajgrodu. Po wojnie jednak udało się ustalić nazwiska tylko kilku z nich, tj.: Władysława K., Narcyza A., Antoniego L., Franciszka S., S., Józefa J., Ryszarda M., w konwojowaniu brali również udział wszyscy strażnicy obywatelscy: Aleksander G., Józef A., S., K., Jan L., Stanisław K., Stanisław K., Feliks B., Władysław K., S. stary i młody, Piotr Rz. Józef K., S., Franciszek P. oraz M.

Żydów zaprowadzono do „choinek" i podzielono na grupy, które odprowadzano w głąb lasu i kolejno rozstrzeliwano. Niemiec dokonujący kilku pierwszych egzekucji zwrócił się do Polaków z pytaniem: kto potrafi strzelać? Zgłosił się jeden z obecnych. Niemiec rozstrzelał trzech pierwszych Żydów, pozostałych – Polak. I tu w zeznaniach świadków pojawiają się rozbieżności. Jedni twierdzą, że zadania rozstrzeliwania Żydów podjął się strażnik obywatelski nazwiskiem A., inni, że był to Władysław K. lub Józef J., kolejny z przedwojennych nauczycieli rajgrodzkiego gimnazjum. Przy rozstrzelaniu Żydów był obecny również nauczyciel Antoni L. Żydów, którzy zostali tylko ranieni – egzekutorzy nie mieli wprawy w zabijaniu – dobijano łopatami, uderzając nimi w głowy ofiar. Potem ciała zasypano ziemią. Na polecenie Niemca jednego z zabitych Żydów wkopano w ziemię do połowy, wciskając w zesztywniałą dłoń kij, po to, by, jak żartowano, „pilnował pozostałych". Ciałem później zajęły się zwierzęta.

Po powrocie do Rajgrodu Antoni L. ze swoją żoną jeszcze tego samego wieczoru udał się do państwa R., by tam się zabawić i zapomnieć o masakrze Żydów. Zabijanie męczyło go psychicznie, dlatego, jak wspominał w pamiętnikach, dla

uspokojenia zwykle po egzekucjach chadzał do R. na domówki, na wino lub wiódł uczone rozmowy z miejscowym proboszczem. Najbardziej jednak lubił dla odprężenia zajmować się obkładaniem i porządkowaniem swoich ukochanych książek o cywilizacjach antycznych.

Po mordzie w „choinkach” komendant polskiej straży obywatelskiej, dawny nauczyciel Mieczysław S., oświadczył Antoniemu L., że zrzeka się swojej funkcji. Antoni L. miał mu wtedy powiedzieć: „Ty mi zrywasz robotę”, ale dymisję przyjął i powołał na to stanowisko Jana T., przedwojennego komendanta polskiej policji granatowej w Rajgrodzie. Jan T. za władzy sowieckiej ukrywał się w partyzantce mjr. Burskiego, za co jego żonę wywieziono w głąb Rosji. Teraz pałał żądzą zemsty na komunistach i Żydach. Do straży Jan T. powołał dodatkowo Jana M.

Jakiś czas później jeden z członków straży obywatelskiej, nazwiskiem A., przyprowadził na posterunek w Rajgrodzie Stanisława K., byłego aktywistę sowieckiego z okresu władzy radzieckiej. Stanisław K. został osadzony w areszcie, a Antoni L. postanowił wezwać gestapo, by go zabrało. Niemcy przesłuchali Stanisława K. w obecności Antoniego L. Bity, aby ratować życie, zgodził się na współpracę. Gestapowcy postanowili go zatem wypuścić. Mimo to po wyjeździe gestapo Antoni L. z Janem T. uradzili, że Stanisława K. sami powieszą nad rzeką Jegrznią.

Rajgrodzkim proboszczem był ks. Bronisław Krzepko. Tamtej nocy w sierpniu 1941 r. kazał kościelnemu Janowi K. przygotować świątynię, bo do spowiedzi miał zostać przyprowadzony aresztant z posterunku polskiej straży. Przyprowadzili go, związanego, Józef A. i kilkunastu innych, których kościelny nie rozpoznał. Ksiądz proboszcz aresztanta po chrześcijańsku wyspowiadał. Potem człowieka tego odprowadzono nad rzekę i powieszono.

Zrobił to Józef A. z Janem S. Ciało zawieziono na cmentarz i pochowano.

Kościelny wykopał dół. Helena A. słyszała, jak Stanisław K. błagał o darowanie życia – znał swoich oprawców od małego, wspólnie się wychowywali w Rajgrodzie – ale nic to nie pomogło. W następnych dniach w podobny sposób powieszono w mieście za komunizm jeszcze dwóch innych mężczyzn. Lecz Antoniego L. i jego ludzi, choć niektórzy z nich też pracowali dla Sowietów, nikt nie ośmielił się tknąć.

W miasteczku niepodzielnie rządził Antoni L.

Na posterunku straży porządkowej przetrzymywano także, oprócz Polaków, miejscowych Żydów, głównie tych bogatych, bo Antoni L. wraz z podległymi sobie ludźmi biciem próbował wydobywać z nich informacje o ukrytych kosztownościach. Z różnym jednak skutkiem. Helenie A. bracia, gdy nosiła im jedzenie do aresztu, opowiadali, że Józef A. i Feliks B. tak strasznie mocno zbili Żyda, miejscowego fryzjera, za to, że ośmielił się wziąć jedzenie od brata Heleny A., że sam z bólu, gdy bracia spali, założył sobie pasek na szyję i powiesił się na kracie w oknie. Zobaczyli go powieszonego dopiero po przebudzeniu. W jednym z następnych dni bracia opowiedzieli jej też, że zamordowano Żyda Sz. – Feliks B., Józef A. i Ch. wyprowadzili go z aresztu za ustęp i tam powiesili, a ciało pochowali w pobliskim ogrodzie.

Po tej egzekucji na polecenie Antoniego L. przeprowadzono wśród Żydów w miasteczku selekcję: oddzielono starych i chorych od zdolnych do pracy. Wyglądało to w ten sposób, że Antoni L. chodził do mieszkań żydowskich razem z żandarmem Józefem A. i wskazywał mu, których Żydów należy wywieźć. Chorym umieszczonym na chłopskich furmankach Antoni L.

powiedział, że zostaną przewiezieni do szpitala w Augustowie. Po Żydów zajechały trzy furmanki, na każdej mogło zmieścić się od sześciu do ośmiu ludzi, jak zeznawali furmani biorący udział w transporcie.

Zamiast do Augustowa jednak powieziono ich na Rykową Górę w pobliżu Rajgrodu. Tam strażnicy z polskiej straży obywatelskiej, na czele z Józefem A., kazali Żydom zdjąć ubrania i położyć się na brzuchu na ziemi, po czym zabili ich wszystkich ciosami bagnetów pod lewą łopatkę. Nie było przy tym Niemców, Polacy działali na własną rękę, jeśli nie liczyć sugestii, przekazanej dwa dni wcześniej Antoniemu L. przez jednego z odwiedzających Rajgród Niemców, że „w Grajewie lepiej radzą sobie z Żydami". Takich mordów na Rykowej Górze było co najmniej kilka, Mieczysław S. wspominał dwa, inni świadkowie mówili o przynajmniej jeszcze jednej popełnionej tam zbrodni, a Antoni L. miał prowadzić statystyki ofiar. Przepadły one jednak w wojennej zawierusze.

MIECZYSŁAW S.[2]

Polak, mieszkaniec Rajgrodu, przedwojenny księgowy, pierwszy komendant straży obywatelskiej

> […] Została zarządzona przez L. tak zwana selekcja chorych i starych Żydów. Słyszałem, jak L. mówił do A., żeby wykonał polecenie odnośnie [do] selekcji Żydów. […] Kto był z nami na furmance, nie przypominam sobie, bodajże P., L. też był. Na terenie getta, gdzie wszyscy udaliśmy się, Żydzi zostali zebrani starzy i chorzy.
>
> L. powiedział, że Żydzi mają być wywiezieni do szpitala w Augustowie. Po załadowaniu Żydów na furmanki Żydzi byli wiezieni w stronę Augustowa,

iloma furmankami, nie pamiętam. Z Polaków na pewno jechał A. i B. Nie wiem, skąd tam się wzięli K. Józef i Rz. Piotr, oni w skład policji nie wchodzili.

Ja też tam byłem osobiście. L. był na terenie getta, jak Żydzi byli ładowani na furmanki, a czy był na miejscu mordowania Żydów, nie pamiętam. Ja wiedziałem, że Żydzi jadą na mord. Było powiedziane, że Żydzi zostaną wymordowani. Zamordowaniem Żydów miał się zająć A. Trudno mi określić, ilu tych Żydów mogło być, mogło ich być kilkunastu lub więcej. Żydzi ci zostali wywiezieni na Rykową Górę. Żydzi wszyscy byli w wieku ponad pięćdziesięciu lat.

Na Rykowej Górze A. polecił Żydom zejść z wozu i rozebrać się, i kazał się kłaść im twarzą do ziemi, przebijał z tyłu bagnetem. Tak wymordował wszystkich Żydów. Oprócz A. Żydów mordowali Rz. i K. Ja zachowałem się biernie. […] A. był typem psychicznie zboczonym. Żydzi zostali zasypani w okopie ziemią. […] A. z gestapo miał dość bliskie stosunki i słyszałem, że gestapo z Rajgrodu przywoziło do getta w Grajewie jakiegoś człowieka do mordowania Żydów. Ja w każdym razie obawiałem się A. […]

[…] Słyszałem, że L. miał prowadzić statystykę straconych Żydów. To L. nakazał, że pod pretekstem wywiezienia Żydów do Augustowa należy wywieźć ich na Rykową Górę i wymordować. Wiem, że przy rewizji były zabrane kosztowności i zawiezione do magistratu. W tym czasie nie było Niemców. Co się stało z kosztownościami, nie jest mi wiadome. […] Ja do L. czułem wielkie zaufanie jako wieloletniego nauczyciela. Od niego dowiedziałem się, że Żydzi z selekcji mają zostać wymordowani. […]

> W Rajgrodzie były przeprowadzone dwie selekcje. Słyszałem tylko o drugiej selekcji Żydów, że byli oni wiezieni w jakimś kierunku. Z czyjego polecenia była ona organizowana, nie wiem.

We wrześniu 1941 r. przybył do Rajgrodu niemiecki amtskomisarz. Natychmiast nakazał rozwiązać straż obywatelską, choć jej członków przyjął w większości na swoją służbę – oprócz braci A. i S., których kazał rozstrzelać za mordy na Żydach. Nawet dla niemieckiego komisarza to było za wiele, tym bardziej że rozstrzelani nie chcieli podzielić się z nim kosztownościami zrabowanymi Żydom. Antoni L. jednak i w tych okolicznościach potrafił znaleźć dla siebie szanse na zrobienie kariery. Został tłumaczem, a następnie zastępcą amtskomisarza i z równym zapałem co poprzednio przy mordach przystąpił do organizowania w Rajgrodzie getta. W 1941 r. Niemcy zgromadzili w getcie około pięciuset osób narodowości żydowskiej. Miało ono charakter półotwarty i mieściło się w rejonie ulicy Pace, wokół murowanej synagogi. Początkowo Niemcy zamierzali na nie przeznaczyć kwartał miasta, poczynając od zachodniej pierzei rynku ku polom za ulicą Pace. Jednak po interwencji ludności polskiej wydzielono obok głównej bramy do getta posesje Sz. i M. oraz pięć posesji od strony jeziora[3]. Żydzi pracowali przy rozbijaniu kamieni na szosie Grajewo – Augustów, polscy gospodarze mogli też ich wynajmować do niewolniczej pracy na swoich polach. Zarządzanie gettem powierzono G., funkcjonariuszowi przedwojennego Korpusu Ochrony Pogranicza. Jednym ze strażników został Wincenty M., który wprost uwielbiał od czasu do czasu „wykąpać” Żydów w pobliskim jeziorze, ale do najbardziej bestialskich strażników był zaliczany niejaki K., miejscowy rolnik.

Żydów wyprowadzanych z getta do prac w polskich gospodarstwach czasem mordowano tak, jak to miało miejsce w Bzurach czy wsi Skaje. Znane są te historie jedynie z opowiadań ludzi, którzy pragną nawet dziś, po tylu latach, zachować pełną anonimowość. O wydarzeniach w Rajgrodzie w tym okresie możemy jednak przeczytać w cytowanym już raporcie sytuacyjnym Delegatury Rządu RP na Kraj, sporządzonym przez polski wywiad:

> *Białystok. Tworzone jest getto, do którego spędzani są Żydzi z okolicznych miasteczek. Prowokowane są pogromy z udziałem ludności miejscowej (Rajgród, pow. szczuczyński), po czym dokonuje się filmowania ekscesów*[4].

W 1942 r. strażnik Feliks B. okrutnie pobił Berla L. By odwieźć jego na wpół martwe ciało, wezwał ojca pobitego, czyli Herszla L., kazał mu zaprzęgnąć się do fury, zawieźć syna na kolonię Orzechowskiego pół kilometra za miastem i tam go pogrzebać. Po złożeniu syna do dołu ojciec musiał rzucać na jego ciało kamienie. Rzeźnicy miejscy, bracia Jakow P., Mosze i Icel C. zginęli u siebie w domu, stawiając opór polskim żandarmom. W Rajgrodzie umarła pani Sz. Jej synowi Szlomowi udało się po wielu trudnościach pogrzebać matkę na żydowskim cmentarzu poza miastem.

Antoni L. jeszcze prawie przez rok przebywał w Rajgrodzie, potem jednak wszedł w konflikt z miejscowym amtskomisarzem, podobno na tle łapówek, którymi nie chciał się dzielić z Niemcem, i przeniósł się do Grajewa, gdzie doczekał końca wojny. Tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej znajomy ksiądz pomógł mu wyrobić papiery na nazwisko Aleksandra M. i z nimi Antoni L. rozpoczął nowe życie w powojennej Polsce.

W PRL ponownie podjął pracę w edukacji, ale swojego sposobu działania nie zmienił, tzn. gdy zwierzchnicy go chwalili, nagradzali i wyróżniali, pracował za dwóch, otwierał nowe szkoły, budował świetlice, walczył z analfabetyzmem na białostockich wsiach. Gdy jednak w dowód uznania przeniesiono go do nowej placówki, gdzie skłócił się z miejscową kadrą kierowniczą, to z miejsca zaczął pić, popadł w depresję, nawet był posądzony o kradzież pieniędzy ze szkolnej kasy. Wreszcie dostał się w ręce polskich organów ścigania, gdy rozpoznał go przypadkiem jeden z dawnych mieszkańców Rajgrodu.

Getto w Rajgrodzie Niemcy zlikwidowali 2 listopada 1942 r. Żydów, na czele z rabinem Lejbem F., wywieziono do obozu przejściowego w Boguszach, a następnie koleją do obozu zagłady w Treblince. Tym samym zakończyła się historia rajgrodzkich Żydów, którzy mieszkali w tym mieście od początku XVI w. Pozostały tylko strzępy dokumentów, pojedyncze fotografie oraz kirkut na Okoniówku, gdzie zachowała się tylko jedna macewa. Dziś na prochach wyznawców religii mojżeszowej rośnie dorodny las.

KTO ZORGANIZOWAŁ POLICJĘ PORZĄDKOWĄ W RAJGRODZIE, PRAWDOPODOBNIE 29 CZERWCA 1941 R., I JAKI BYŁ PRZEBIEG WYDARZEŃ PRZED ZAMORDOWANIEM ŻYDÓW W „CHOINKACH RAJGRODZKICH”?

MIECZYSŁAW S.[5]

Polak, mieszkaniec Rajgrodu, przedwojenny nauczyciel, pierwszy komendant straży obywatelskiej

W pierwszych dniach lipca 1941 r. L. powiadomił mnie przez jakiegoś osobnika, żeby przyjść do niego do mieszkania. Ja poszedłem do niego, nie wiedząc, o co chodziło. W jego mieszkaniu było dwóch Niemców w brązowych mundurach. To nie było wojsko ani gestapo.

L. powiedział do mnie, że w mieście trzeba zaprowadzić porządek i w tym celu zorganizować policję. Zaproponował mi, abym objął komendę nad policją. Ja wyraziłem zgodę. L. mówił, że jestem nauczycielem i działaczem z okresu władzy radzieckiej i żeby uniknąć represji, należy wstąpić.

Powiedział mi, że zadaniem policji będzie pilnowanie porządku. Osobiście do tej policji zwerbowałem: Ł. Henryka, a L. zaproponował J. Józefa i A. A. do policji ludzi dokooptował więcej. W kilka dni po powstaniu tej policji z polecenia L. zostało zorganizowane getto w Rajgrodzie. Ja słyszałem, jak L. polecił zorganizowanie getta w Rajgrodzie. Między wypadkami zamordowania Żydów w lesie „choinki rajgrodzkie", a zorganizowaniem getta miały miejsce wypadki mordowania Żydów w nocy w ich własnych mieszkaniach. Kto tego mordu dokonywał, trudno mi powiedzieć. Zorganizowanie getta według słów L. miało być zapobieżeniem mordowania Żydów.

W tym samym czasie, gdy powstała policja, powstał też magistrat i sąd. Burmistrzem magistratu został P. Policja i magistrat podlegały L. Polecenia L. były wykonywane.

[…] Na drugi dzień po tych wypadkach zamordowania Żydów powiedziałem, że nie chcę być w policji porządkowej. Wtedy L. powiedział do mnie: „Ty mi zrywasz robotę". Ja odszedłem z policji

porządkowej. Komendantem został T. L. w okresie tym nałogowo pił wódkę, sam z nim piłem.

JÓZEF J.[6]
Polak, mieszkaniec Rajgrodu

Do wstąpienia [do straży obywatelskiej – przyp. M.T.] skłoniło mnie koleżeństwo z L. Antonim, który z zawodu jest – również jak ja – nauczycielem. Po wycofaniu się wojsk radzieckich w roku 1941, gdy Niemców jeszcze nie było, przyszedł do mnie do piekarni, w jakiej pracowałem wtedy, L. Antoni i zaproponował mi wstąpienie do tej policji, wyjaśniając, jaki stoi cel, to jest pilnowanie porządku w mieście oraz wyłowienie osób, które podczas pobytu władzy radzieckiej na tutejszych terenach aktywnie współpracowały z rządem i nazywani byli „sympatykami komunistów". Na propozycję L. Antoniego zgodziłem się, po wstąpieniu pełniłem funkcję sekretarza posterunku. […] Podczas swej pracy prowadziłem całość pracy technicznej w postaci księgowania radioodbiorników, zdanej broni i wielu innych czynności technicznych.

[…] W 1941 r., dokładnie daty nie pamiętam, działo się to w końcu czerwca, po wkroczeniu Niemców na tereny Rajgrodu. W tym czasie do miasta przybyło dwóch gestapowców, co kazali do Polaków zbierać Żydów. Gdy wyszedłem na rynek w Rajgrodzie, zobaczyłem tam Żydów stojących w szeregu zbitych do krwi. Następnie gestapowcy kazali ich pędzić. W tym pędzeniu zostałem ja zmuszony, S. Franciszek i inni, których nazwisk [sobie] nie przypominam. W tym brało udział około pięćdziesięciu Polaków,

ażeby Żydów trzymać w kółku, ażeby nie uciekali. Gdyż gestapowców było tylko dwóch.

[…] Żydów pędziliśmy w kierunku Grajewa szosą. W odległości czterech kilometrów od Rajgrodu skręcił cały orszak do lasu, który był niedaleko szosy. Po zapędzeniu do lasu Żydów zagnano w jedną kupę, a Polacy stali naokoło. Po pewnej chwili ktoś odliczył Żydów, kto, tego nie zauważyłem. Żydzi zostali poprowadzeni w bok w celu wykonania egzekucji, przy tej grupie był obecny L. Antoni, ja i jeszcze kilku Polaków, i kilku gestapowców. Na miejscu egzekucji, nad okopami, postawiono ofiary tyłem do nas i w tym czasie otrzymałem karabin od gestapowca, z którego to strzeliłem kilka razy w kierunku ofiar, lecz czy trafiłem, tego nie przypominam sobie. Po chwili karabin mi się zaciął i wziął go gestapowiec, ja natomiast odszedłem do tej grupy, co pilnowała stojących Żydów w większej grupie. Do osobistego brania udziału w egzekucji, to jest strzelania Żydów z karabinu, skłoniło mnie to, iż gestapowiec zapytał się: „Kto umie strzelać?” I w tym czasie L. Antoni wskazał dla gestapowca mnie i ja otrzymałem karabin. Kto więcej własnoręcznie strzelał Żydów, tego nie mogę dokładnie zeznać, ponieważ nie przypominam sobie. W pędzeniu i doprowadzeniu brali udział następujący mieszkańcy Rajgrodu: A. Józef, K. Władysław, A. Narcyz, L. Antoni, S. Franciszek i wielu innych. Żydzi, którzy byli przyprowadzeni, zostali kolejno wszyscy wystrzelani. Zostało tam zastrzelonych 39 osób. Następnie Żydów zakopali.

HELENA K.[7]
Polka, mieszkanka Rajgrodu

[…] Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w 1941 r. L. stał się bardzo znany wśród mieszkańców Rajgrodu, wszędzie było o nim słychać, bo o wszystkim w Rajgrodzie decydował. Był całym komendantem w Rajgrodzie. O wszystkim w tym czasie decydował. W Rajgrodzie L. w tamtym czasie zorganizował policję. Pamiętam, że w tej policji byli T., A., S. i inni. […] W okresie okupacji w Rajgrodzie miały miejsca masowe morderstwa ludności żydowskiej. Po tych morderstwach ludzie mówili, że morderstwa Żydów poleca wykonywać L. i on jest odpowiedzialny za wszystkie morderstwa, jakie miały miejsce w tym czasie. Pewnego razu A. w moim mieszkaniu powiedział do mnie, że mam schować swą córkę, która była komsomołką, bo „jeśli ją zabiją, to do nikogo nie powinnam mieć żalu, tylko do L., on wydaje rozkazy, a my musimy je wykonywać".

JAKIE ZBRODNIE – OPRÓCZ MORDU W „CHOINKACH RAJGRODZKICH" – POPEŁNIONO NA ŻYDACH PRZED ICH WYSIEDLENIEM DO BOGUSZ? KOGO ZAMORDOWANO NA RYKOWEJ GÓRZE?

CZESŁAW K.[8]
Polak, mieszkaniec Rajgrodu

[…] W 1941 r., w miesiącu lipcu lub w sierpniu, gdy Niemcy zajęli tutejsze tereny, przez pewien czas w Rajgrodzie było tak zwane „bezprawie", gdzie w tym czasie utworzyła się z Polaków z tutejszego terenu Rajgrodu policja i przy policji sąd tymczasowy.

W skład policji weszli: B. Feliks, A. Józef, K. Henryk, T., L. oraz G.

[…] Przyszedł do mnie B. Feliks i kazał mnie, abym ja jechał furmanką, więc ja pojechałem do rynku w Rajgrodzie. B. Feliks dał rozkaz wszystkim Żydom ubrać się i ww. kazali zabrać Żydom wszystkie swoje bogactwa, jakie kto posiadał, bo już więcej nie wrócą na swoje miejsca, gdyż zostaną wywiezieni do szpitala w Augustowie. Reszta zaś poszła rabować Żydów po mieszkaniach. […] B. Feliks nasadzał na furmankę około dziesięciu lub piętnastu Żydów mężczyzn i kobiet. Wraz z nim byli Ż. Piotr, T., K. Henryk, K. Władysław. Odjeżdżając z ulicy Paca, skoczył do mnie na wóz P. Jan i pojechaliśmy razem. B. szedł za wozem z karabinem. Na ulicy Warszawskiej zaczepili wiezionych przez mnie Żydów Rz. Jan i Piotr oraz K. i zaczęli bić Żydów kijami.

Następnie wsiedli do mnie na wóz i pojechaliśmy w stronę Augustowa za Rajgród około 2,5 km, na tak zwaną Górkę Rykową, gdzie na rozkaz B. Feliksa przed tą górą skręciłem wozem na dróżkę polną z lewej strony od szosy około 500 metrów. Po przyjeździe na wskazane miejsce zauważyłem tam już wyżej wymienionych oprawców z karabinami, łopatami, bagnetami i siekierami.

[…] Wtenczas B. Feliks kazał Żydom, jak również Żydówkom rozebrać się do naga oraz kazał oddać, kto jakie miał sygnety. Pozabierał to wszystko, a potem kazał Żydom położyć się na ziemi do góry plecami. Kiedy Żydzi ci leżeli na ziemi, to B. Feliks wziął bagnet i każdego Żyda po kolei przebijał bagnetem pod lewą łopatkę, a ci, którzy z nim byli, to szpadlami rozcinali Żydom głowy i wrzucali do okopu, potem

zasypali ich ziemią. Leżą tam do dnia dzisiejszego. Po zasypaniu wszyscy ww. podzielili się między sobą ubraniami, zegarkami, sygnetami pożydowskimi. Morderstwa były popełnione wieczorem około godziny dziesiątej. Do tego jeszcze, kiedy myśmy wrócili do Rajgrodu, to B. Feliks chodził po mieszkaniach żydowskich i gdzie napotkał Żyda, to mordował i zabierał złoto. […] W ogóle o tym wiedzą wszyscy ludzie zamieszkali w Rajgrodzie, tylko boją się mówić.

[…] L. był rzecznikiem nacjonalizmu w Rajgrodzie, zorganizował „samorząd rajgrodzki", którego wyłącznym celem było rżnąć Żydów i rabować ich. Dzięki temu wielu mieszkańców Rajgrodu wzbogaciło się i obecnie widać efekty tej działalności w postaci stawianych pokaźnych domów piętrowych, co wprost rzuca się w oczy, jeśli zna się przedwojenne możliwości ich gospodarzy. […] Po tych wydarzeniach uciekłem za Białystok i tam ukrywałem się do końca wojny.

W JAKICH OKOLICZNOŚCIACH OSĄDZONO K. I WYKONANO NA NIM WYROK? CZY TO BYŁO JUŻ PO POWOŁANIU NOWEGO KOMENDANTA STRAŻY OBYWATELSKIEJ, PRZEDWOJENNEGO KOMENDANTA POLICJI W RAJGRODZIE, JANA T.?

JAN K.[9]
Polak, kościelny w Rajgrodzie

[…] W początku lipca 1941 r. w nocy obudził mnie proboszcz Krzepko Bronisław, abym ja wziął klucz i poszedł do kościoła, co ja uczyniłem. Po odemknięciu przeze mnie kościoła proboszcz mi kazał postawić

klęcznik przy kratkach przy ołtarzu, co ja i uczyniłem. Następnie przyszykowałem szaty dla księdza potrzebne do spowiedzi.

Po pewnej chwili przyprowadzony został ze związanymi rękami K. Stanisław, który podczas władzy radzieckiej był aktywnym działaczem na terenie Rajgrodu, przyprowadzony został on przez A. Józefa, który obecnie nie żyje, i jeszcze wielu innych, których dokładnie nie mogę podać, ponieważ siedzieli oni w ławkach, a w kościele było ciemno. Po wyspowiadaniu go udzielono mu komunii i następnie A. wraz z innymi wyprowadzili go na zewnątrz. Po zamknięciu kościoła ksiądz udał się do plebanii, ja natomiast poszedłem w kierunku, gdzie poprowadzono K., a prowadzono go do rzeki [nieczytelne – przyp. M.T.].

Po doprowadzeniu go nad rzekę do stojących drzew A. zrobił pętlę ze sznura i przywiązał do gałęzi; wraz z A. był obecny S. Jan, K. Stanisław, obecnie nie żyje, zabity przez bandytów po wyzwoleniu, i Ch. Henryk, i K. Władysław. Po przywiązaniu pętli do gałęzi A. postawił stołek pod nogi ofiary i założył mu pętlę na szyję i kopnął nogą stołek. Po skonaniu K. został on zdjęty z pętli i furą odwieziony na cmentarz. Wszyscy my wspólnie wykopaliśmy dół łopatą, którą mieliśmy ze sobą, i wspólnie pogrzebaliśmy jego zwłoki.

[…] Po kilku dniach jak poprzednio zbudził mnie proboszcz i kazał otworzyć kościół. Po odemknięciu kościoła ksiądz poszedł do konfesjonału, ja natomiast zostałem w zakrystii. Po spowiedzi zauważyłem, że do komunii podeszło dwóch osobników mi nieznanych, którym to proboszcz udzielił komunii. Kto wspomnianych osobników przyprowadził do kościoła,

tego dokładnie nie mogę zeznać, ponieważ w nocy nie mogłem poznać.

Następnie osobnicy, co zostali wyprowadzeni przez nieznanych mi ludzi z kościoła w kierunku rzeki Jegrzni, ja natomiast dostałem rozkaz od proboszcza Krzepki pójść na cmentarz w celu wykopania dołu na dwie ofiary, na co ja się zgodziłem i poszedłem na cmentarz, i kopałem dół. Jeszcze nie skończyłem kopania dołu, a fura z ofiarami już przyjechała. Podszedłem do fury, gdzie byli obecni K. Bolesław, Ch. Henryk no i inni. […] Po wrzuceniu ofiar do dołu zasypałem je razem z osobami, co ich przywieźli.

HELENA A.[10]

Polka, mieszkanka Rajgrodu

Po dokonaniu masakry na Żydach w Rajgrodzie powstała nowa policja składająca się z Polaków. Ci policjanci, którzy rządzili w tym czasie, zabrali się za aresztowanie Polaków, którzy pracowali w instytucjach radzieckich. W tym czasie byli również aresztowani i kolejni Żydzi. Pamiętam, że na samym początku policja aresztowała Żydów Lejzera P. i drugiego, którego nazwiska już nie pamiętam. Aresztowali też K. Aleksandra, J., P., P. Juliana, M. Józefa i moich braci Stanisława i Czesława K. Wszyscy oni zostali aresztowani tego samego dnia. O tym, że wszyscy wymienieni są aresztowani, dowiedziałam się dlatego, że braciom nosiłam do aresztu jedzenie i przy okazji dowiedziałam się, kto przebywa w areszcie na posterunku w tej policji.

W tym czasie, kiedy bracia ośmielili się dać jedzenie Żydowi, to podobnie jak on zostali pobici przez Ch., B.

i A. w ten sposób, że przykryli ich kocami i bili powrozami, z bólu to płakali wtedy, kiedy przyniosłam im jedzenie. Po powieszeniu Żyda Sz. to moi bracia Stanisław i Czesław zostali wypuszczeni z aresztu.

Od ludzi dowiedziałam się, że moich braci to policja rajgrodzka nie powiesiła, bo bała się zemsty, bo jest nas duża rodzina i dlatego obawiali się nas, i dowiedzieli się, że ich pilnujemy.

[…] B. Feliksa znam dobrze od młodych lat jego, gdyż jest on mieszkańcem Rajgrodu. Kiedy weszli Niemcy w 1941 r. na nasze tereny, a Sowieci cofnęli się, wtedy w Rajgrodzie powstała samorzutna władza, w której był B. Feliks. Nosił on jakąś opaskę na ramieniu i w ręku karabin. Będąc w tej policji samorzutnej, tzw. porządkowej, aresztował M. Józefę, Zofię Ż. Mnie też aresztował w domu.

Przyszedł do mego domu z karabinem, ale ja nie chciałam iść, wtedy krzyknął na mnie: „Ty kurwa twoja mać! Idź pielić z Żydami, bo już czas na ciebie”, i zaprowadził mnie na rynek, gdzie pielili Żydzi rynek, i ja tam musiałam pielić [tj. wyrywać trawę spomiędzy kamieni bruku – przyp. M.T.]. Na rynku tym pieliłam przez dwa tygodnie. Nad Żydami i nade mną stał B. Feliks i inni z Rajgrodu. Bił przy tym Żydów. Widziałam na własne oczy, jak tłukł szkło i przez to szkło pędził Żydów boso do kąpania [tj. podtapiania – przyp. M.T.] w jeziorze, bijąc ich przy tym mocno powrozami, gdy byli już w wodzie. Widziałam, jak B. Feliks w nocy chodził z nożem i rżnął Żydów. Widziałam to na własne oczy, gdyż pilnowałam swego brata, ażeby i jego nie zamordowali. Widziałam Żydów porżniętych, a krew to była w każdym mieszkaniu żydowskim. Ja raz szłam z pola w 1941 r., w czerwcu

czy lipcu, i spotkałam Żydówkę G. z dzieckiem, która opowiadała mi, że spotkał ją B. Feliks i zabrał jej złoto, jakie miała przy sobie. Chciał ją zarżnąć, lecz szła jakaś kobieta w tym czasie i ją puścił. Ja tę Żydówkę odprowadziłam w stronę Grajewa, żeby ją B. nie zabił, i ona sobie poszła do Grajewa. […]
Z żydowskiego złota teraz buduje się w Rajgrodzie.

CO WIADOMO O INNYCH ZBRODNIACH STRAŻNIKÓW Z „SAMORZĄDU RAJGRODZKIEGO”?

GENOWEFA K.[11]
Polka, mieszkanka Rajgrodu

K. Czesław zabił pięciu Żydów, całą rodzinę, i ja to widziałam, a Stanisław ze swoją siostrą przyjechali i zabrali to. Ja nie meldowałam, bo myślałam, że inni wiedzą.

N.N.[12]

W 1941 r. niedaleko miejscowości Wojdy koło Rajgrodu zostało zamordowanych 40 osób narodowości żydowskiej. Do dziś niektórzy mieszkańcy pobliskiej wsi nie mogą zapomnieć tej wielkiej masakry.

JAN S.[13]
Polak, mieszkaniec Rajgrodu

W okresie międzywojennym zamieszkiwałem [w] Rajgrodzie, gdzie pracowałem jako grabarz. […]
W latach 1939–1941 L. Antoni trudnił się pracą

nauczycielską w miejscowej szkole i zachowywał się należycie.

[…] W czerwcu 1941 r. bezpośrednio po wkroczeniu do Rajgrodu wojsk niemieckich przez pewien okres nie było tam żadnych władz niemieckich ani nawet Niemców. Wojska z frontem posuwały się naprzód, nie zostawiając chwilowo żadnych swych władz. W tym czasie całym Rajgrodem zarządzał L. Antoni. Wszystkim zarządzał i wszyscy mu podlegali, i byli zobowiązani do wykonywania jego poleceń.

Wiem, że L. w tamtym okresie zorganizował w Rajgrodzie nowy zarząd miasta oraz policję porządkową. […] Do getta w Rajgrodzie było tylko jedno wejście, przy którym stał zawsze jeden z policjantów rajgrodzkich. O tym, że getto w Rajgrodzie zostało zorganizowane w 1941 r. na polecenie L., to mówili wszyscy mieszkańcy Rajgrodu i stąd wiem, że to właśnie on był organizatorem.

Poza tym było takie zdarzenie, że ja, pracując u gospodarza W. Jana z Rajgrodu, pewnego razu przyjechał do tego gospodarza policjant rajgrodzki S., który powiedział do W., że przyszedł z polecenia L. Antoniego nakazać mu jechać furmanką do wsi Żrobki, przenieść stamtąd do getta rodzinę żydowską Z. S. zagroził mu, że jeśli nie wyśle natychmiast furmanki, to doniesie o tym L. Gospodarz wysłał mnie z furmanką, a ze mną udało się dwóch policjantów, to jest S. i A. Józef, obaj obecnie nie żyją. Ze wsi Żrobek furmanką przy pomocy tych milicjantów przywiozłem do getta w Rajgrodzie rodzinę żydowską Z., składającą się z dwóch dorosłych kobiet i dwojga dzieci w wieku 8 i 10 lat. Żyda staruszka na polecenie A. wywiozłem furmanką na pole i tam go zabiłem,

w tym czasie rodzina Z. przygotowywała się do wyjazdu.

Po wojnie za udział lub pomocnictwo w mordowaniu ludności żydowskiej w Rajgrodzie sądzono następujące osoby:

Feliks B., wyrokiem z 7 maja 1949 r., został uniewinniony. Wyrokiem z 13 czerwca 1950 r. uchylono poprzednie orzeczenie i skierowano sprawę do ponownego rozpatrzenia. Wyrokiem z 23 września 1953 r. uniewinniono Feliksa B. ponownie.

Antoni L. vel Aleksander M., wyrokiem z 15 lipca 1957 r., został skazany na karę 15 lat pozbawienia wolności. Wyrokiem z 7 maja 1958 r. został uniewinniony.

Aleksander Ch., wyrokiem z 17 listopada 1952 r., został skazany na 15 lat więzienia.

Jan T., wyrokiem z 21 marca 1957 r., skazano go na karę śmierci, zamienioną następnie na wyrok dożywotniego pozbawienia wolności.

Czesław K., wyrokiem z 1957 r., został skazany na 6 lat pozbawienia wolności.

Aleksander G., wyrokiem z 1952 r., został skazany na 10 lat pozbawienia wolności.

Jan S., wyrokiem z 1952 r., został skazany na 10 lat pozbawienia wolności.

Władysław K., wyrokiem z 6 lipca 1949 r., został uniewinniony.

Śledztwo Instytutu Pamięci Narodowej o sygnaturze Bi 1/1233 w sprawie mordu na Żydach w „choinkach rajgrodzkich”, prowadzone przez prokuratora Waldemara Monkiewicza, zostało pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku umorzone.

W 2001 r. profesor Cezary Kuklo, dyrektor białostockiego oddziału IPN, odmówił ponownego zajęcia się sprawą „choinek rajgrodzkich” oraz wsparcia budowy w Rajgrodzie pomnika upamiętniającego zabitych, a jako powód podał wielokrotne i nieudane próby zlokalizowania zbiorowej mogiły Żydów.

Przypisy

[1] Za: J.S., *Getto w Rajgrodzie*, „Rajgrodzkie Echa” 2008, nr 4 (218), http://www.rajgrod.pl/pliki/raj_echa_getto_w_rajgrodzie.htm
[2] Akta sprawy, IPN Bi 408/187.
[3] Za: J.S., *Getto…*, dz. cyt.
[4] Mikrofilm 2266/3, sygn. 202/III/8 t.1, Delegatura Rządu RP na Kraj, Departament Informacji i Prasy. Aneksy do raportów. Aneks nr 19, za okres 16 X – 15 XI 1941 r., s. 64.
[5] Akta sprawy, IPN Bi 408/187.
[6] Tamże.
[7] Tamże.
[8] Akta sprawy, IPN Bi 408/111.
[9] Akta sprawy, IPN Bi 414/15.
[10] Akta spraw, IPN Bi 408/187 i IPN Bi 408/111.
[11] Akta sprawy, IPN Bi 408/187.
[12] Akta sprawy, IPN Bi 1/1233.
[13] Akta sprawy, IPN Bi 408/187.

Kolno

Interpretacja wydarzeń powstała na podstawie relacji Erica S., Herszela K., Diny K.-Ch. zawartych w księdze pamięci sztetlu Kolno, zeznań świadków zawartych w materiałach archiwalnych polskiego Instytutu Pamięci Narodowej oraz materiałach z epoki.

Na skraju miasteczka Kolno stała piękna greckokatolicka cerkiew ze złoconą kopułą, symbol dawnego statusu miasta. Przestała pełnić swoją funkcję po ucieczce Rosjan wraz z zakończeniem I wojny światowej, a jej ogrody stały się parkiem miejskim i miejscem spotkań kolneńskiej młodzieży. W pobliżu cerkwi biegła obrośnięta drzewami ścieżka, zwana „alejką zakochanych”, którą młodzi wykorzystywali jako miejsce schadzek.

W późniejszych latach alejka ta, prowadząca w kierunku osady Wincenta i przebiegająca przez tereny leśne, stała się główną trasą dla amatorów pikników i pieszych wycieczek urządzanych przez żydowskich mieszkańców miasteczka. Wiodła także do popularnej miejscowości wypoczynkowej Kozioł nad pobliską rzeczką Pisą. Miejscowość ta, położona wśród lasów sosnowych, była dla bogatszych rodzin żydowskich modnym miejscem spędzania letnich wakacji. Bo Kolno przed wojną było typowym żydowskim miasteczkiem, jakich wiele znajdowało się na Podlasiu. Zamieszkiwało je około 5000 osób, z czego 3000 stanowili Żydzi. A ponieważ Kolno leżało blisko granicy z Prusami, stanowiło także prężne centrum handlowe, zatopione w morzu małych, polskich gospodarstw rolnych z kilkoma dużymi majątkami liczącymi od 200 do 400 hektarów.

Większość ludności nieżydowskiej trudniła się rolnictwem; niewielu Polaków angażowało się w handel, przed 1930 r. nieliczni pracowali też w administracji państwowej.

Kontakty pomiędzy polską a żydowską społecznością Kolna były nikłe i życie obu wspólnot, od lat mieszkających obok siebie, biegło w dość głębokiej separacji, podobnie jak działo się to w innych miasteczkach rejonu. Żydzi z sukcesem zorganizowali swoją wspólnotę na zasadzie pełnej odrębności i samowystarczalności zarówno religijnej, jak i kulturowej. Żydowskie dzieci pobierały naukę w przeznaczonych dla nich szkołach religijnych bądź rządowych ośrodkach. Co prawda działało w Kolnie przez krótki okres polskie gimnazjum, ponieważ jednak wielu polskich chłopów nie było stać na czesne, przyjmowano do niego bez limitu dzieci żydowskie – i z tego powodu szkołę tę w 1927 r. zamknięto. Kiedy bowiem liczba żydowskich uczniów sięgnęła jednej trzeciej wszystkich gimnazjalistów, została cofnięta dotacja rządowa – gimnazjum uznano, na mocy obowiązującego prawa, za żydowską szkołę religijną.

Jak opowiadał Eric S. w swoich wspomnieniach, zawartych w księdze pamięci sztetlu Kolna, ten krótki okres wspólnej edukacji był jedynym epizodem zbliżenia żydowskich i polskich dzieci w międzywojennej historii miasteczka. Między obiema wspólnotami istniały jednak różnego rodzaju powiązania, zwykle o charakterze ekonomicznym. Tego typu kontakty były nawet intensywnie rozwijane – głównie na środowym targu, kiedy to chłopi przyjeżdżali do Kolna sprzedawać swoje produkty i kupować w żydowskich sklepach to, co było im potrzebne w gospodarstwach. Cotygodniowe targi były charakterystyczne nie tylko dla Kolna, ale też dla wszystkich podlaskich miasteczek.

Kolneńscy Żydzi utrzymywali się z zaopatrywania polskich chłopów w artykuły powszechnego użytku i świadczenia

usług krawieckich, szewskich, kowalskich, szklarskich itp., jak też usług lekarskich i prawniczych. Ekonomia targowa była zatem kombinacją dwóch systemów, tj. pieniężnej sprzedaży produktów rolnych oraz gospodarki wymiennej, „z rąk do rąk” – zwykle w ten sposób wymieniano polskie jedzenie na rozmaite żydowskie dobra lub usługi.

Z handlu wymiennego korzystały przede wszystkim gospodynie domowe, traktując targ jako jedyne miejsce, gdzie mogły pozyskać masło, ser, owoce i warzywa itp., z przeznaczeniem do natychmiastowego spożycia bądź też jako zapasy na zimę. Pieniężny sposób wymiany był zarezerwowany dla hurtowników, którzy skupowali m.in. zboże, nasiona, bydło, drób w celu odsprzedaży w miastach bądź eksportu poza granice kraju. Ci żydowscy sprzedawcy i hurtownicy bydła i koni mieli szerokie kontakty w kraju i za granicą. Handlarze zboża zawarli kontrakty z młynami w Polsce i Prusach Wschodnich, wysyłali też zboże, groch, nasiona roślin oleistych itp., wykorzystując porty w Królewcu i Gdańsku. Udawało im się to wszystko pomimo relatywnie prymitywnych środków komunikacji i pomimo tego, że Kolno nie posiadało stacji kolejowej.

Najbliższe stacje znajdowały się w Łomży, oddalonej o 30 kilometrów na południe, i w Dłutowie, 7 kilometrów na północny wschód od Kolna. W dniu targowym zboże i produkty kupione od chłopów w stosunkowo małych ilościach, jednorazowo od 100 do 200 kilogramów, transportowano zatem do kilku spichlerzy niedaleko rynku. Tam produkty sortowano i opakowywano do wysyłki. Oczywiście każdy kupiec zbożowy posiadał własny sklep w jak najbliższej odległości od rynku i starał się zbudować krąg stałych klientów spośród polskich chłopów, by w ten sposób zapewnić sobie regularne dostawy zboża.

Niektórzy kupcy byli mocno związani gospodarczo ze swoimi dostawcami, współpracując z nimi przez całe lata. Jednakże konkurencja pomiędzy żydowskimi kupcami była ostra i pomimo pomysłowości i ciężkiej pracy niewielu Żydów w Kolnie było stać na zbytki i luksusy. Wielu z nich za to żyło w prawdziwej biedzie, inni podreperowali domowe budżety za sprawą paczek przysyłanych im przez krewnych z Ameryki. Pomimo tych trudności kolneńscy Żydzi dużo wysiłku wkładali w edukację swoich dzieci w szkołach religijnych – jesziwach – a także w szkolnictwie świeckim, wliczając w to uniwersytety. Wielu synów i wiele córek żydowskich krawców, piekarzy, szewców, kowali z Kolna uczęszczało też do państwowego gimnazjum do dnia jego zamknięcia.

Żydowska wspólnota w Kolnie, podobnie jak w innych miasteczkach rejonu, funkcjonowała na zasadzie zrzeszania zawodów. Istniało zatem stowarzyszenie żydowskich kupców, związek zawodowy żydowskich rzemieślników, a także tzw. Związek Handlowy, do którego należeli rzemieślnicy i ich uczniowie. Wszyscy terminujący chłopcy byli nastolatkami. Kiedy osiągali wiek właściwy do założenia rodziny, przyjętą regułą było zakładanie przez nich małego warsztatu bądź emigrowanie z miasta.

W Kolnie kwitł też handel końmi, będący miejscową specjalnością. Tutejszy rynek był znany daleko poza granicami powiatu. Na początku XX w. nawiązano kontakty z handlarzami spoza kraju. Bliskość niemieckich i pruskich granic i dobra sieć komunikacyjna pomiędzy Niemcami a Danią, Belgią, Holandią, Francją i Szwajcarią przyciągały handlarzy końmi, zainteresowanych w dostarczaniu mocnych polskich koni roboczych dla rolnictwa i kopalni. Żydowscy handlarze z Kolna działali głównie jako przedstawiciele dokonujący zakupów w imieniu

zagranicznych importerów. Końcowy odbiorca odwiedzał Kolno osobiście bądź powierzał swoim przedstawicielom zakup koni na polskim rynku. Każdy zagraniczny handlarz końmi miał swoich kupców, z którymi utrzymywał osobiste relacje oparte na wzajemnym zaufaniu. Handlarze ci byli profesjonalistami, ciężko pracowali, przemierzając duże odległości w najcięższych warunkach, aby być obecnymi w kilku miastach targowych w tygodniu.

Handel końmi był jednym z głównych źródeł zatrudnienia żydowskich mężczyzn w Kolnie. Zapewniał utrzymanie wielu ludziom bardzo różnych specjalności: jeźdźcom, stajennym, koniuszym itp. Jeźdźcy odbierali konie z odległych gospodarstw i przyprowadzali je do Kolna. Stajenni przygotowywali konie do wywozu. Najlepsi jeźdźcy byli wybierani do podróży zagranicznych i towarzyszyli koniom podczas transportu koleją czy statkiem do punktu przeznaczenia. Woźnice kierowali zaprzężonymi w konie wozami, później karetami, w których handlarze końmi i zagraniczni kupcy podróżowali do miast targowych w całej Polsce. Zatrudniano kancelistów przygotowujących faktury, świadectwa weterynaryjne i dokumenty przewozowe wymagane w handlu z różnymi państwami Europy. Spedytorzy uczestniczyli w dopełnianiu formalności po obu stronach granicy. Biznes się kręcił, przysparzając dochodów wspólnocie kolneńskiego sztetlu.

Warto jeszcze wspomnieć o jednym specyficznym aspekcie rzeczywistości gospodarczej Kolna i na jego przykładzie przedstawić charakter życia w międzywojennych sztetlach Podlasia – a mianowicie o handlu świeżymi grzybami pochodzącymi z otaczających miasteczko lasów, w szczególności z okolic Kozła. Pradziadek Erica S. pierwszy rozpoczął tu eksport grzybów do Niemiec i Szwajcarii, jeszcze przed I wojną światową. Podczas

niemieckiej okupacji z okresu I wojny rozwinął swój biznes i nawiązał nowe kontakty. Po wojnie jego syn dołączył do przedsięwzięcia, prowadzonego jesienią, i z powodzeniem rozwijał je aż do wybuchu II wojny światowej. Otoczony lasem sosnowym Kozioł stał się głównym punktem skupu „leśnego złota", jak mawiano w Kolnie. Grzyby były dostarczane przez młode chłopki, które zbierały je w okolicy i niosły na plecach przez 15–25 kilometrów. W Koźle grzyby sortowano i pakowano. Ponieważ nie istniały urządzenia chłodnicze, podstawową kwestią była codzienna wysyłka. Odpowiednią temperaturę podczas transportu utrzymywano przez zastosowanie specjalnych ocienionych skrzyń, chłodzonych przez naturalną wilgoć.

Brak nowoczesnych, w naszym rozumieniu, chłodni wcale nie utrudnił także handlu rybami, z których również słynęło Kolno. Pomysłowi żydowscy handlarze i przetwórcy jeszcze zimą z zamarzniętych rzek wycinali lodowe bloki, następnie składowali je w głębokich, specjalnie skonstruowanych piwnicach nakrytych słomą, tak by przetrwały do lata. Handel rybami stanowił poważne źródło dochodu, blisko związane z sąsiedztwem granicy. Prusy Wschodnie, szczególnie jeziora w rejonie mazurskim, oddalone od Kolna o 30–40 kilometrów, były bardzo bogatymi łowiskami wielu gatunków ryb słodkowodnych. Kilka żydowskich rodzin sprowadzało ryby z Prus Wschodnich do Polski i sprzedawało je na rynku lokalnym bądź w większych miastach regionu – Łomży, Białymstoku, a także w Warszawie. Biznes kwitł, jednakże restrykcje związane z pozwoleniami na import ograniczały skalę przedsięwzięcia. Powodem było porozumienie handlowe pomiędzy Polską a Niemcami, które nakładało limit na eksport określonych dóbr do Polski, poza najważniejszymi towarami. W późniejszym czasie, wraz ze zbliżaniem się

wojny, wymiana handlowa ustała na skutek napięć politycznych między oboma krajami.

W kolneńskim sztetlu bardzo prężnie rozwijała się również tak charakterystyczna dla żydowskich miasteczek samopomoc i działalność społeczna. Typowym przykładem była tu organizacja „Chleb dla Biednych” – prowadzona głównie przez żydowskie kobiety. Ta organizacja dobroczynna pozyskiwała fundusze z cotygodniowych zbiórek po domach. Od czasu do czasu fundację wspierali kolnianie, którzy wyemigrowali do Ameryki, Niemiec i innych państw. Każdego tygodnia pozyskane pieniądze pozwalały zaopatrzyć najbardziej potrzebujące rodziny w chleb i inne podstawowe produkty.

Podobna fundacja była prowadzona jednoosobowo przez jednego z handlarzy, który w lecie za zebrane pieniądze kupował drewno opałowe. Składował je na placu niedaleko budynku kahału i w środku zimy, kiedy temperatura sięgała –25 stopni Celsjusza, wydawał niewielkie ilości najbardziej potrzebującym. Było to niesamowite osiągnięcie. Dzięki swoim samodzielnym staraniom uratował on wiele istnień ludzkich. Innym wspaniałym przykładem fundacji dobroczynnej działającej w sztetlu było towarzystwo opieki nad chorymi, podzielone na sekcje męską i żeńską. Kolno nie posiadało szpitala, więc rodzina opiekująca się obłożnie chorym po pewnym czasie była nieustanną opieką bardzo wyczerpana. Istniała wówczas możliwość skorzystania z pomocy towarzystwa i wezwania kogoś do opieki nocnej. W miasteczku działało też powszechne towarzystwo pogrzebowe, za darmo świadczące ubogim pełen zakres usług, łącznie z bezpłatnym miejscem pochówku. Koszty pogrzebów biedaków pokrywali ci, których było na to stać.

Nadrzędnym celem wszystkich fundacji była służba i pomoc ubogim, zwłaszcza w czasach kryzysu i trudności

ekonomicznych. Kahał miał prawo do nakładania podatków powiązanych z kwotą podatku dochodowego. Pieniądze te przeznaczano na funkcjonowanie synagogi, opłacenie rabinatu, zapewnienie czesnego dla biednych dzieci, tak by ulżyć, w skromnym zakresie, egzystencji najbardziej potrzebujących obywateli. Pod wieloma względami kolneński kahał służył przykładem skutecznej organizacji wielu sąsiednim sztetlom.

W Kolnie istniał też żydowski bank spółdzielczy, który odgrywał specjalną rolę, jako jedyna taka instytucja w mieście. Należał do rozległej sieci małych żydowskich banków założonych przez lokalne społeczności przy asyście Połączonego Amerykańskiego Komitetu Rozdzielczego. Bank udzielał niewielkich kredytów kupcom i rzemieślnikom na bieżącą działalność oraz zapewniał młodym przedsiębiorcom kredyty dwuletnie na założenie firmy.

W Kolnie kwitła też żydowska działalność polityczna. Raz w roku, podczas święta Purim, przedstawiciele ruchów syjonistycznych przyłączali się do barwnego pochodu, aby manifestować swoje wsparcie dla niepodległego Izraela, co nie bardzo podobało się miejscowym Polakom. W Kolnie działała w tym czasie organizacja „Chalutz”, mająca ewidentnie syjonistyczne korzenie. Najważniejszymi, choć już nie politycznymi punktami obchodów święta Purim, były parady organizowane przez amatorskich wykonawców z dwóch organizacji dobroczynnych. Wkładali oni jaskrawe karnawałowe stroje, osłaniali twarze maskami, niektórzy mieli do tego instrumenty muzyczne, głównie bębenki i cymbały, i tak przebrani odwiedzali każde żydowskie domostwo. Czas trwania i styl ich występów zależały od datków, na jakie mogli liczyć. W kilku z najbogatszych

domów prezentowano pełne widowisko ze śpiewem, a nawet tańcami, zbierając przy tym pieniądze na biednych.

Na ulicy Łomżyńskiej, w budynku należącym do Ochotniczej Straży Pożarnej, znajdował się Teatr Żydowski. Na jego deskach występowały popularne grupy wędrownych aktorów i muzyków. Jeszcze bardziej emocjonujące były amatorskie spektakle sponsorowane przez różne organizacje. W dniu przedstawienia całe miasto ogarniała świąteczna atmosfera, a bilety rozchodziły się jeszcze w przedsprzedaży. Pierwszą żydowską sztuką teatralną wystawioną w Kolnie był *Uriel Acosta*, oparty na biografii słynnego filozofa żydowskiego, wykluczonego ze wspólnoty Amsterdamu w XVII w. Miejscową grupę aktorską założył na początku wieku Abraham Izaak Kamiński, ojciec znanej później wielkiej aktorki Idy Kamińskiej.

Tak oto spokojnie i pracowicie biegło życie żydowskiej wspólnoty w Kolnie w latach poprzedzających II wojnę światową. Nie udało mi się odnaleźć relacji o szczególnie dużych napięciach pomiędzy społecznością polską i żydowską z tego okresu. Nie natrafiłem w trakcie badań na informacje świadczące o bojkotach żydowskich sklepów, atakach czy manifestacjach antysemickich polskiej narodówki, która, podobnie jak w innych miasteczkach Łomżyńskiego, miała w Kolnie silne wpływy. Coś jednak musiało być na rzeczy, o czym dokumenty i świadkowie milczą, bowiem wybuch przemocy Polaków wobec Żydów, wraz z wkroczeniem do Kolna wojsk niemieckich w 1941 r., nie mógł pojawić się znikąd.

W 1939 r. dla żydowskich mieszkańców Kolna miała rozpocząć się gehenna, którą według wszelkich danych udało się przeżyć tylko jednej żydowskiej dziewczynie Dinie K.-Ch.

Po analizie akt sprawy Władysława W.[1], mieszkańca Kolna, można powiedzieć, że w miasteczku tym, podobnie jak w Grajewie, Radziłowie, Wąsoszu czy Szczuczynie, wraz w wycofaniem się Sowietów została utworzona polska milicja złożona z ludzi wchodzących w skład polskiej organizacji podziemnej. Potwierdzają to zeznania złożone tuż po wojnie przez Towje G., Henryka B. i Kazimierza G. [2]. Pierwszy powiedział, że w Kolnie powstała polska milicja, a na jej czele stanął właśnie Władysław W., ostatni zeznał zaś, że Władysław W. miał przed 1941 r. kontakty z bliżej nieokreśloną polską organizacją podziemną i w jego domu uzbrojeni członkowie tej organizacji spotykali się, nocowali, pili i bawili się.

W kwietniu bądź maju 1941 r., po upadku bazy partyzanckiej na Kobielnie i dostaniu się listy polskich konspiratorów w ręce NKWD, Władysław W. został aresztowany, umieszczony w więzieniu w Białymstoku i tam poddany brutalnemu śledztwu. Jego rodzinę zaś deportowano w głąb Rosji. Gdy wraz z rozpoczęciem ofensywy niemieckiej został z więzienia wypuszczony, powrócił w rodzinne strony i przyłączył się do polskich działań antysowieckich, wspierających pochód wermachtu na wschód. Stanął na czele polskiej grupy w Kolnie i rozpoczął krwawą zemstę na Żydach, których obwinił o swój tragiczny los.

Kilka dni po rozpoczęciu ofensywy 5 lipca 1941 r. kierowana przez niego polska grupa wraz z żołnierzami niemieckimi zagnała żydowskich mieszkańców Kolna na rynek i kazała im go pielić. Następnie rozkazała rozbić pomnik Lenina, ustawiony tam w czasie okupacji sowieckiej. Tak jak to miało miejsce w Jedwabnem czy Radziłowie, Żydzi zostali następnie zmuszeni biciem i groźbami do zaniesienia rozbitych fragmentów pomnika

na miejscowy kirkut i pochowania. Biciem zmuszano ich też do płaczu na „pogrzebie Lenina”. Następnie Polacy zagnali Żydów do domów.

Jeszcze tej samej nocy, tj. z 5 na 6 lipca 1941 r., polscy milicjanci oraz polscy mieszkańcy miasteczka rozpoczęli w Kolnie pogrom, w trakcie którego siekierami zamordowano ponad trzydziestu Żydów, gwałcono młode Żydówki, a nawet, by je dodatkowo zhańbić, kazano im chodzić po uliczkach miasta nago. W mordowaniu okrucieństwem wyróżniał się właśnie Władysław W., który miał zabijać Żydów rzeźnickim toporem.

FAJGEL G.[3]
Żyd, mieszkaniec Kolna

> Podczas operacji wojennych, gdy wkraczały wojska niemieckie 22 czerwca 1941 r., mieszkańcy, a wśród nich Żydzi, wiele ucierpieli. Było wielu rannych i zabitych. […] Po kilku dniach do miasteczka przyjechali chłopi ze wsi Czerwone i Zabiele, którzy wyszli z sowieckich więzień, i zabili 30 Żydów. Wśród ofiar znalazła się rodzina D. i Jakub R. z żoną i dzieckiem. Przez tydzień Żydzi musieli pielić trawę na ulicach, wielu przy tym zastrzelono, dziewczęta gwałcono i kazano im biegać nago po ulicach. W dniu 5 lipca 1941 r. – w szabas – Żydzi zostali zmuszeni do rozbicia znajdującego się na rynku pomnika Lenina i zakopania go na cmentarzu żydowskim. Przy wyjściu z cmentarza stali Polacy z kijami i każdy Żyd otrzymywał kilka uderzeń w głowę.

TOWJE G.[4]
Żyd, mieszkaniec Kolna

Władysława W., szewca z Kolna, znam jeszcze sprzed wojny z Kolna. Po wojnie, jak wróciłem z ZSRR, mieszkańcy Kolna, tj. żona furmana i rolnika [nieczytelne – przyp. M.T.] oraz Tomasz P. i Żyd Mojsze K., którego obecnie w Polsce nie ma, opowiedzieli mi, że jak w dniu 22 czerwca 1941 r. Niemcy wkroczyli do Kolna, to W. Władysław oraz jego kompanii, a to Albin Sz. i jego dwóch synów, P. (który obecnie zajął mój plac po spalonym domu), Franciszek P. i jeszcze [nieczytelne – przyp. M.T.] Tomasz – zorganizowali bandę i w dzień zamordowali siekierą moją matkę Rachelę G., moje siostry też siekierą, lokatorów naszych, a to Szmula K., jego żonę Taubę i ich córkę oraz rodzinę Szmula [nieczytelne – przyp. M.T.], jego żonę i kilkoro ich dzieci, i jeszcze kilkoro Żydów, których nazwisk już nie pamiętam. O tym wszystkim opowiedział mi P. Tomasz, który opowiadał mi, że dał on w nocy ojcu memu wóz i konia celem wywiezienia mojej matki i siostry na cmentarz i że dostał on za to od mego ojca maszynę do szycia i krowę z cielęciem. Sąsiadka A. znów opowiadała mi, że W. zorganizował tę bandę, że banda ta zamordowała moją matkę i resztę Żydów w nocy na ulicy, i to samo mówił mi P., przy czym mówił mi, że W. zbił go jak był komendantem milicji w Kolnie. Zamordowany został też Mosze oraz Derek [nieczytelne – przyp. M.T.].

Pogrom na terenach Polski zajętych przez Niemców w 1941 r., miejsce nieznane, być może jest to Lwów

[…] Zamordowali oni trzydzieści kilka osób oraz obrabowali je w mieście Kolnie w drugi dzień wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej.

HENRYK B.[5]
Żyd, mieszkaniec Kolna

W trzecim dniu wojny radziecko-niemieckiej w roku 1941 W., z zawodu szewc, zamieszkały w mieście Kolno, zamordował z toporem w ręku rodzinę K. i G. w domu przy ulicy Piłsudskiego lub 11 listopada i rodzinę B. w domu przy ulicy Nowy Świat oraz wielu innych.

DR SZYMON DATNER[6]

ekspert polskich organów ścigania zbrodni faszystowskich po wojnie

> 5 lipca 1941 r. Niemcy i ich polscy pomocnicy wygnali całą żydowską ludność i zebrali ją wokół pomnika Lenina. Przy akompaniamencie okrutnego bicia i wrzasków statua zostaje rozbita. Gruzy zostają załadowane na wozy, do których wprzęgnięto Żydów w tałesach.
>
> […] Odprowadzana żartami i śmiechem mieszkańców rusza kolumna Żydów ze śpiewem „Hatikwa" na żydowski cmentarz. […] Na cmentarzu Żydzi wykopali grób, kazano im modlić się, śpiewać i przy wielkiej radości znęcających się gruz po statui Lenina zostaje zakopany. Przy wyjściu z cmentarza i zakończeniu „uroczystości" polscy chuligani tworzą szpaler i pałkami biją głowy żydowskie.

W kilkanaście dni po krwawym pogromie dokonanym przez Polaków do dzieła zniszczenia przystąpili Niemcy. 15 lipca 1941 r. rozkazali wszystkim mężczyznom powyżej szesnastego roku życia, aby zebrali się na rynku. Wywieziono ich poza miasto i rozstrzelano. Naziści zamordowali także żydowskich nauczycieli Mosze E. i Jankiela B. 17 lipca 1941 r. żołnierze niemieccy rozkazali rodzicom i żonom wszystkich wywiezionych dwa dni wcześniej mężczyzn zjawić się na rynku z zapasem żywności oraz kosztownościami. Oświadczono im, że wyruszą w podróż, by spotkać się ze swoimi bliskimi. Wszystkich wywieziono do pobliskiej wsi Mściwuje, gdzie zostali wymordowani.

Pod koniec lipca pozostałym przy życiu Żydom w Kolnie rozkazano zebrać się na rynku. Rozegrały się tam przerażające sceny. Rozjuszeni oprawcy niemieccy

z „komand śmierci” wyrywali z rąk matek dzieci i ciskali je na płyty chodnikowe. Kobiety i starsze dzieci zostały ciężarówkami przewiezione do Mściwuj, a mężczyzn popędzono pieszo do wsi Kolimagi, gdzie wszystkich wymordowano.

Z tego okresu w pamięci miejscowych zapisał się wyróżniający się szczególnym okrucieństwem Ślązak Bogdan L.[7], który przyjechał do Kolna wraz z wojskiem niemieckim. Zwykł on mawiać, że jak nie zabije dziennie kilku Żydów, to mu nie smakuje obiad. Później była jeszcze jedna egzekucja we wsi Kolimagi, w trakcie której Niemcy rozstrzelali około osiemdziesięciu ostatnich żydowskich mieszkańców Kolna. Około pięćdziesięciu Żydom udało się uciec w pobliskie lasy, jednakże większość z nich została wyłapana i wydana Niemcom bądź zabita przez okolicznych polskich chłopów. Z całej wspólnoty w Kolnie pozostała prawdopodobnie przy życiu jedynie Dina K.-Ch.

DINA K.-CH.[8]
Żydówka, mieszkanka Kolna

> Nagle, nie wiadomo jak, ta żałosna egzystencja pod sowieckimi rządami dobiegła końca. W przeddzień 22 czerwca 1941 niemieccy spadochroniarze zajęli wszystkie strategiczne punkty wokół Kolna i wyeliminowali patrole graniczne, podczas gdy żołnierze Armii Czerwonej i aktywiści partyjni bawili się i pili na sowieckiej gali.
>
> Ostrzał artyleryjski Kolna rozpoczął się o 13.30. Nikt nie zdawał sobie sprawy z przebiegu zdarzeń, niektórzy myśleli, że to grom. Kilkoro Żydów było jednymi z pierwszych ofiar, jak np. rodzina Sz., której dom otrzymał bezpośrednie trafienie. Dwie siostry –

Rywka i Keila – cudem ocalały z ostrzału.
W późniejszym czasie zmarły w łomżyńskim getcie.
O świcie pijani enkawudziści i inni oficjele uciekli. Byli z nimi pewni młodzi Żydzi, jednak nie udało się całej grupie daleko uciec – miasto było otoczone, a wszystkie drogi odcięte. W niedzielę, w pierwszym dniu wojny, Niemcy rozpoczęli okupację Kolna.

Żydowskie życie straciło wszelką wartość. Przypadki upodlenia i upokorzenia stały się codziennością – niekończący się łańcuch prób i kłopotów, rozciągający się pomiędzy porankiem a nocą. Polscy sąsiedzi i rosyjskie lizusy robili wszystko, co w ich mocy, aby wkraść się w łaski nazistowskich władz. Ci chrześcijańscy zdrajcy nie sprzedali swojej duszy nazistom za trzydzieści srebrników, tylko wyceniali życie Żyda na pół funta soli, a niektórych satysfakcjonował już tylko uśmiech nazisty bądź jego klepnięcie po ramieniu. Ukryte źródła antysemityzmu eksplodowały z szatańską siłą. Polacy radośnie okradali i mordowali swoich sąsiadów na oczach nazistów. Tego rodzaju rzeczy miały miejsce już od początku okupacji. Jakow Z. i starszy B. zostali zmuszeni do rozebrania się, po czym brutalnie pobito ich na śmierć w takt drwiących okrzyków i wyśmiewania; Chaim G. i Mosze M. – kowal – zostali zastrzeleni przez żandarmów na środku ulicy.

Pogrzeb Lenina

W piątek, 4 lipca 1941 r., którejś z kolei nocy po rozpoczęciu niemieckiej okupacji, policja ogłosiła dekret nakazujący wszystkim Żydom bez wyjątku zgłosić się w przeciągu 24 godzin w czasie szabatu na rynku przy pomniku Lenina (częściowo zniszczonego

przez Polaków w dzień po rozpoczęciu okupacji). Wszyscy rzemieślnicy musieli przynieść swoje narzędzia; każdy, kto nie zgłosił się na czas, miał zostać rozstrzelany. Rozległ się okrutny dźwięk syreny alarmowej, cień żałoby i strachu przykrył każde domostwo. Świtało, nadszedł letni szabasowy poranek, lecz zamiast udać się do synagogi na modlitwę, jak robiono to od pokoleń, kolneńscy Żydzi udali się grupami i rodzinami na rynek. Ich głowy pochylone trwogą i myślą, że zdążają na własny pogrzeb. Na rynku skupili się już ich polscy sąsiedzi, czekając niecierpliwie. Nazistowscy policjanci rozkazali Żydom dokończenie burzenia pomnika Lenina. Była to przerażająca scena, przywołująca w pamięci sceny z hiszpańskiej inkwizycji. Chrześcijańscy mieszkańcy otoczyli scenę *autodafe*, w tym wypadku – pomnik Lenina. W obu przypadkach, czerpiąc radość z cierpienia torturowanych Żydów.

Niektórzy Żydzi poczęli rozbijać pomnik ciężkimi młotami, kiedy naziści smagali ich biczami, kobiety i dzieci załadowywali dwa wozy, podprowadzone wcześniej. Polacy stali tam cały czas – mężczyźni i kobiety, starcy i młodzież, z rozpalonymi i podnieconymi twarzami – przeklinając głośno i robiąc sobie żarty z ciężko pracujących i torturowanych Żydów.

Słońce wzniosło się już wysoko, niemiłosiernie paląc schylone karki Żydów, którzy krztusili się pyłem z rozbijanego pomnika. Byli pogrążeni w beznadziei, upokorzeni, z krwawiącymi ranami na plecach. Słońce sprzymierzyło się mimowolnie z Niemcami i ich polskimi sługami w ich szatańskiej grze i zaatakowało Żydów z góry, podczas gdy Niemcy smagali Żydów na

ziemi. Kiedy ostatecznie zburzono pomnik, zmuszono niektórych Żydów do zaciągnięcia ciężkich wozów na kirkut, oddalony o prawie 4 kilometry. Reszta została wciągnięta do pochodu idącego za wozami. Zmuszono ich do płaczu i śpiewów pogrzebowych.

Zakończył się „pogrzeb Lenina”. Niemcy i Polacy zaczęli się rozchodzić, donośnie się śmiejąc. Żydzi pozostali z tyłu, nie wiedząc, gdzie się podziać. Mieli mało czasu na wahanie, ponieważ zbliżała się godzina policyjna, podczas której każdy Żyd widziany na ulicy zostałby zastrzelony na miejscu. Zaczęli biec do swoich domów (nadal posiadali domy…), jednak tej nocy nie każdy dom był rajem dla jego domowników. Ja także zaczęłam mimowolnie biec, tak naprawdę nie wiedząc dokąd. Droga do domu, mijająca posterunek żandarmerii, była niebezpieczna. Dlatego pobiegłam do domu D. z zamiarem przenocowania i pójścia do domu rano. Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu drzwi były zamknięte.

Następnego dnia kolneńscy Żydzi byli przerażeni wiadomością o zamordowaniu w nocy piętnastu żydowskich rodzin. Niczym dzikie bestie, Polacy zaatakowali nieszczęśliwych ludzi, rabując domy i mordując każdego, na kogo się natknęli, a także gwałcąc niewinne żydowskie dziewczęta. Moja kuzynka – Debora D., rodziny B. i D. (u której chciałam przenocować) znalazły się pośród ofiar tamtej nocy. Dwie córki D. zostały zgwałcone, a później zabite. Nazajutrz po nocnej zbrodni i „pogrzebie Lenina” niemieccy żołnierze wkroczyli do synagogi, paląc Torę i inne święte księgi, łamiąc ławy i stoły oraz profanując aron ha-kodesz (świętą skrzynię, w której przechowuje się Torę). Następnie

zebrali kilku Żydów z sąsiadujących uliczek i zmusili ich do pochodu za kantorem z synagogi, K., który śpiewał „Boże zastępów, spójrz z nieba i zobacz”.

Władysław W., wyrokiem z 7 listopada 1949 r., został uznany za winnego tego, że od 1943 r. współpracował z Niemcami. Skazano go na trzy lata więzienia oraz 5000 zł opłaty sądowej. Wyrok uwolnił go od oskarżeń dotyczących mordowania Żydów.

Na jego procesie nie zjawił się żaden z żydowskich świadków, którzy w tym czasie wyemigrowali już z Polski. Polscy świadkowie zaś nic o masakrze Żydów nie umieli lub nie chcieli opowiedzieć.

Przypisy

[1] Akta sprawy, IPN Bi 407/130.
[2] Tamże.
[3] Relacja nr 301/1860, Archiwum ŻIH.
[4] Akta sprawy, IPN Bi 407/130.
[5] Tamże.
[6] Relacja nr 301/1996 w opracowaniu zatytułowanym *Zagłada Żydów w Kolnie*, Archiwum ŻIH.
[7] Akta sprawy, IPN Bi 415/98.
[8] Kolneńska księga pamięci –- zagłada kolneńskiej wspólnoty, http://kolnoteka.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=104:kolneska-ksiga-pamici-zagada-kolneskiej-wspolnoty&catid=28:yizkor-kolno-tre&Itemid=

Suchowola

> Interpretacja wydarzeń powstała na podstawie księgi pamięci miasta Suchowola oraz relacji polskich i żydowskich świadków, które są dostępne w materiałach sądowych i śledczych Instytutu Pamięci Narodowej.

Suchowola to kolejne miasteczko Białostocczyzny z tajemniczą przeszłością wojenną. W swoich badaniach nad historią zagłady narodu żydowskiego na tych terenach nie zetknąłem się z innym przypadkiem tak starannego wymazania z pamięci Polaków historii trzystuletniej obecności prężnej wspólnoty żydowskiej. A przecież przedwojenna Suchowola to był sztetl, z jedną z najpiękniejszych synagog w regionie, z dużym kirkutem, z domami Żydów skupionymi wokół rynku oraz z ich ponadtysięczną wspólnotą, zamożną i wykształconą, prowadzącą bujne życie religijne i kulturalne, posiadającą własną szkołę, bibliotekę, dom spotkań i studiów nad Torą.

Co się stało z ich dziedzictwem? Dlaczego zniknęło z powierzchni ziemi, jakby nigdy nie istniało? Co się takiego wydarzyło w tym miasteczku, że potomni pamięć o swoich żydowskich sąsiadach tak starannie wymazali z przestrzeni miasta, z otaczających ich symboli, z własnej pamięci? Zastanawia też brak wielu dokumentów dotyczących zagłady suchowolskich Żydów. Coś wiadomo, coś było mówione, trochę akt przetrwało do naszych czasów, ale to coś, w porównaniu z Jedwabnem czy Radziłowem, jest niekompletne, zagubione, zniszczone.

Suchowola już w XVII w. została zasiedlona przez wyznawców religii mojżeszowej. Na mocy przywileju króla

Augusta II przybywający tu na stałe Żydzi otrzymali prawo do budowy domów i świątyń oraz handlu. Wspólnota rozwijała się szybko i już pod koniec XVIII w. jej członkowie stanowili 30 proc. ludności miasteczka. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, według spisu z 1921 r., w Suchowoli mieszkało 1262 Żydów, a w 1937 r. – 1521, co stanowiło 49 proc. ogółu ludności. Do żydowskich mieszkańców należały sklepiki skupione wokół rynku. Byli też oni właścicielami dwóch browarów i młyna.

> *Największe skupisko domów i placów żydowskich usytuowane było wokół rynku oraz przy głównej ulicy miasteczka i w południowej pierzei rynku. Dzielnica żydowska znajdowała się w południowo-wschodniej części miasta. Tu też stała główna bożnica. Centrum religijne znajdowało się wokół bożnic oraz na tzw. żółtym wzgórzu. Cmentarz żydowski w północnej części miasta za Olszanką na początku XX wieku został poważnie poszerzony*[1].

W bardzo ciepłych barwach maluje portret miasta Abraham Szapira, Żyd z Suchowoli. W jego wspomnieniach[2] centrum sztetlu stanowił rynek i pobliskie uliczki zamieszkane głównie przez starozakonnych. Z rynku, nazywanego „długim”, promieniście rozchodziły się pełne zieleni alejki. Suchowola nosiła przed wojną nazwę „miasto ogrodów”, bo rozciągały się one wokół miasteczka aż po horyzont. Niedaleko leniwie płynęła rzeczka Olszanka i tylko wczesną wiosną, na czas świąt Purim i Pesach, występowała z brzegów, zalewając łąki wokół stojącego na jej brzegu żydowskiego młyna. W otoczonej sosnowymi lasami Suchowoli kwitło życie kulturalne żydowskiej wspólnoty, co roku urządzano Lag

Ba-Omer, festiwal kultury, organizowano też obozy dla młodzieży z pobliskiego Białegostoku i Grodna.

W Suchowoli odbywały się również cotygodniowe targi, które były wielkim wydarzeniem w miasteczku – ważnym zwłaszcza dla mieszkających w nim Żydów, bo stanowiły źródło ich utrzymania. Dniem targowym był czwartek, jednak przygotowania zaczynały się wcześniej. Drobni handlarze przynosili swoje towary już w środowy wieczór i starali się zająć jak najlepsze miejsce. Pilnując miejsca i towaru, pozostawali zwykle na rynku przez całą noc. W dni targowe Suchowola zamieniała się w tętniące życiem miasto. Od samego rana zmierzały tu na wozach i na piechotę tłumy chłopów z okolicznych wiosek, by zaopatrzyć się w potrzebne towary i sprzedać własne warzywa, owoce, bydło i drób. Zarobione pieniądze nieśli następnie do szynku, by tam się zabawić. Oprócz cotygodniowych organizowano też w Suchowoli targi sezonowe, które odbywały się raz lub dwa razy w roku, a przygotowania do nich zajmowały wiele miesięcy. Targi te słynęły daleko poza granicami województwa i przybywali na nie kupcy z najdalszych zakątków kraju. To były naprawdę wielkie wydarzenia w miasteczku.

Choć Suchowola była miejscem niezwykle spokojnym i pogodnym, to jednak trawił ją wewnętrzny konflikt, który zapisał się w pamięci potomnych Żydów. Sztetl był bowiem położony na niewielkim wzniesieniu i ci, których domy stały wyżej, bliżej rynku, z pogardą odnosili się do mieszkających w „dolnej” Suchowoli. Co ciekawe, podział ten przeniósł się również na podział zawodowy. W Suchowoli „górnej” zamieszkiwali kupcy i sklepikarze, w „dolnej” zaś rzemieślnicy. Podział ten dotyczył również ludności polskiej i wśród polskiej młodzieży, tak jak wśród żydowskiej, dochodziło na jego tle do ostrych konfliktów.

Nie raz bowiem, kiedy spotkały się grupki z górnej i dolnej części miasteczka, w ruch szły języki, padały zaczepki i obelgi, a bywało, że i zaciskały się pięści i krwawiły rozbite nosy. To była jedna z niewidzialnych granic dzielących miasto.

Była jednak jeszcze jedna, znacznie ostrzejsza. Tak jak w innych miasteczkach rejonu, wyrosła pomiędzy Polakami a Żydami z nacjonalizmu. W Suchowoli bowiem, podobnie jak w Radziłowie, Jedwabnem czy Szczuczynie, Polacy ulegali silnym wpływom obozu narodowego. Zwłaszcza od lat trzydziestych ubiegłego wieku, kiedy zarówno działalność agitatorów Stronnictwa Narodowego i miejscowych księży, jak i kryzys ekonomiczny oraz związana z nim bieda, które bardzo dotknęły te tereny, zaczęły wywoływać groźne skutki.

Jednak już i przed tym okresem zdarzały się w Suchowoli niepokoje o charakterze antysemickim. Do najgłośniejszych, a zarazem najkrwawszych wystąpień antyżydowskich doszło tu w 1920 r., kiedy wycofały się z miasteczka oddziały Armii Czerwonej, a wkroczyły do niego bataliony polskiej armii Hallera. Prawie natychmiast wybuchły w mieście antysemickie zamieszki. Polscy mieszkańcy razem z niektórymi hallerczykami zaczęli wdzierać się do żydowskich mieszkań, doszło do rabunków, pobić i gwałtów. Mieszkańcy razem z żołnierzami obcinali też brody pochwyconym Żydom. Było kilka ofiar śmiertelnych. Do kolejnych krwawych wystąpień antyżydowskich doszło w Suchowoli na rok przed wybuchem II wojny światowej, w 1938 r., w przeddzień żydowskiego święta Jom Kippur. Wtedy to w wyniku ulicznej burdy między członkami Stronnictwa Narodowego a młodzieżą żydowską rozruchy rozlały się na całą Suchowolę, a ich efektem było kilkanaście ofiar śmiertelnych. W aktach IPN odnalazłem

taki oto dotyczący tego wydarzenia wpis w pamiętniku Szlomy P.:

SZLOMA P.[3]
Żyd, mieszkaniec Suchowoli

> 1938 r. Jest mroźna noc, wszystko jest zakołysane we śnie. Gdzieś wyje pies. Skądś pokazuje się Rebe z paczką. A oni… w ręku z nożami, żelazem i kijami, oczy wyglądają u zabójców, szukają ofiary, rabują. Oni palą! Biją i palą! Pali się świątynia!
>
> Dziesięcioro leży na ulicy, nikt nie broni żydowskiej krwi. Policjanty patrzą zadowoleni, oni czekają z bandytami na koniec wszystkich Żydów. Noc zaraz przeszła, już zaczyna się robić dzień. Bandyci biją i biją, i czeka na niedaleki dzień, kiedy nastąpi koniec, kiedy drzwi i okna, i szyby nie będą wybite. Słońce jeszcze zaświeci na tych ulicach. Bądź mocny, mój ludu, nie bądź u siebie upadły. Najgorsze zdarzyło się w moim miasteczku. Mój lud jest wyrżnięty.

Trzy lata później, w lipcu 1941 r., słowa Szlomy można było powtórzyć w znacznie bardziej tragicznych okolicznościach. Tak jak w innych miasteczkach rejonu, po wyjściu z Suchowoli żołnierzy Armii Czerwonej, w czasie gdy nie wkroczyły tu jeszcze oddziały niemieckie, powołano milicję złożoną z miejscowych Polaków. Na jej czele stanął Franciszek K., a w skład weszli, jak można ustalić na podstawie zachowanych świadectw, następujący mieszkańcy Suchowoli: Aleksander S., Józef S., Mateusz S., Edward R., Wincenty G., Aleksander R., Władysław Sz., Aleksander B.[4]

Milicjanci mieli w swoim wyposażeniu kilka karabinów rosyjskich, w większości jednak byli zaopatrzeni w grube

drewniane pałki. W niedzielę 6 lipca 1941 r. po ucieczce z Suchowoli Rosjan do miasta przyjechało jednym samochodem pięciu Niemców. Udali się prosto do miejskiego felczera nazwiskiem L. i kazali mu zebrać polskich mężczyzn gotowych zabijać Żydów. L. natychmiast powiadomił polską milicję i rozpoczęły się przygotowania do pogromu. Na podstawie zeznań m.in. Edwarda R.[5], mieszkańca Suchowoli, można ustalić listę – niepełną – mężczyzn biorących w nim udział: Antoni Sz., Jan W., Franciszek W., Mateusz S., Mieczysław R., Leonard W., Julian S., Edward S. (późniejszy szucman z posterunku w Suchowoli), Zygmunt Z., Antoni R., Józef O. Lista jest niepełna, ponieważ zgłosiło się znacznie więcej chętnych, był to bowiem dzień świąteczny. W porannej mszy niedzielnej w suchowolskim kościele uczestniczyło wielu chłopów nie tylko z Suchowoli, ale też pobliskich wsi. Po wojnie za udział w pogromie byli sądzeni jednak nieliczni, głównie członkowie milicji.

Zgodnie z „logiką Jedwabnego” najpierw Polacy zagnali około siedemdziesięciu Żydów z Suchowoli na rynek, gdzie powtórzył się znany już nam „rytuał” pielenia bruku, połączony z biciem ofiar.

ADOLF R.[6]
Polak, mieszkaniec Suchowoli

> W niedzielę, w którą została dokonana akcja przeciwko Żydom przez bicie, topienie i palenie ich, ja w tym dniu około szesnastej zostałem wezwany przez S., który kazał mi natychmiast stawić się na rynek i jeśli się nie stawię, czeka mnie śmierć, co też i ja uczyniłem, udając się tamże. Po przyjściu S. kazał mi pilnować Żydów, którzy pleli rynek, wyznaczając mi

odcinek wraz z Żydami, których miałem pilnować. Podczas pilnowania Żydów żadnej broni nie miałem, ubrany byłem po cywilnemu i bez żadnej opaski. Pilnowałem do wieczora, następnie po zagonieniu Żydów na noc do szkoły żydowskiej także ich pilnowałem przez całą noc, bez żadnej broni, wraz ze mną pilnował także S. Władysław, W. Antoni, B. Józef, G. Władysław, M. Wiktor, nikt z nich żadnej broni ani opaski białej nie posiadał. Nazajutrz rano przyszedł S. z Niemcami, rozkazując nam iść do domu.

Potem polscy milicjanci razem z niemieckimi żołnierzami i zgromadzonymi na rynku chłopami z okolicznych wsi dokonali pierwszej selekcji Żydów. Silni i młodzi zostali odprowadzeni na bok – mieli zostać uwięzieni w getcie, którego organizację na terenie Suchowoli planowali Niemcy. Uznanych zaś za niezdolnych do pracy bądź za sprzyjających komunistom i władzy radzieckiej zaprowadzono nad pobliskie stawy pod młyn S. i tam utopiono. Akcją topienia bezpośrednio kierował niejaki D., ale nie tylko polscy milicjanci i Niemcy byli przy niej obecni. Po porannej mszy wieść o tym, że tego dnia będzie w mieście „bicie Żydów”, obiegła okolicę lotem błyskawicy i z okolicznych przysiółków pozjeżdżało się różnego rodzaju towarzystwo. Przede wszystkim jechano na rabunek, ale jak ktoś miał jakieś porachunki z Żydami lub był z narodówki, to i na zabijanie. Reszta, głównie dzieciarnia, przybiegła przede wszystkim zwabiona okazją obejrzenia niecodziennego „widowiska”.

JAN W.[7]
Polak, mieszkaniec Suchowoli

Było to z samych początków okupacji niemieckiej, gdy Niemcy wraz z miejscową ludnością zorganizowali pogrom na Żydów suchowolskich. Żydzi ci spędzani byli do rzeki, gdzie byli topieni przez Niemców i miejscową ludność, a następnie byli paleni. W tym czasie, gdy Żydzi byli topieni, ja zobaczyłem, że wszyscy lecą popatrzeć się, jak topią tych Żydów. Ja też pobiegłem zobaczyć, jak topią Żydów, gdy ja przyszedłem do rzeki, to Żydzi niektórzy już pływali po wodzie.

Ja podszedłem do samego brzegu i wtedy ktoś mnie wepchnął do wody. Gdy ja byłem w wodzie, to jeden Niemiec podał mi kij i kazał, abym ja tym kijem topił pływającego Żyda. Ja wziąłem kij ode Niemca i kilka razy popchnąłem tym kijem pływającego Żyda, jednak Żyda tego nie udało mi się utopić, ponieważ ja sam nie umiem pływać i zacząłem się topić. Gdy ja zacząłem się topić, to R. Edward wyciągnął mnie z wody. Gdy wyciągnięto mnie z wody, to około rzeki Żydów już nie było, gdyż Żydów tych zapędzili do budynku i, zapędziwszy do budynku, zapalili ten budynek wraz z Żydami, natomiast ja udałem się do domu, ponieważ byłem bardzo słaby. Widziałem na własne oczy, jak O. Józef oraz W. Edward brali czynny udział w spędzaniu, następnie topieniu Żydów. Przy topieniu Żydów O. nie miał na rękawie opaski, natomiast w późniejszym czasie O. należał do Hilfspolizei i chodził z opaską białą.

ANTONI B.[8]
Polak, mieszkaniec Suchowoli

W czasie okupacji niemieckiej, po wkroczeniu władz frontowych do Suchowoli, przyjechało około pięciu Niemców samochodem, udając się do felczera L., któremu polecili, aby zebrał chętnych chłopaków, uzbrajając ich w kije, i aby spędzili na rynek miejscowych Żydów. Co też mi jest wiadomym, że miejscowi ludzie spędzili Żydów na rynek, sami zaś rabowali mienie żydowskie będące w ich domach. Następnie bili tych Żydów kijami, a później zapędzili ich do stawu i tam topili. Pozostałych dobili, oddając do nich wystrzały.

Komendantem tej akcji był D., pochodził ze wsi Horodnianka, gmina Suchowola, który w tym czasie chodził z karabinem. Także podczas tej akcji spotkałem biegnącego S. Juliana i na moje zapytanie: „Dokąd biegniesz zdyszany?", odpowiedział mi, że: „Zabiłem czterech Żydów i biegnę szukać więcej"; uzbrojony był w pałkę drewnianą. Czy dokonał więcej zabójstw, tego nie wiem. Późniejszą porą był szucmanem getta, w cywilu ubrany i z karabinem, czy kogoś w getcie bił lub zastrzelił, tego nie wiem.

MARIA R.[9]
Polka, mieszkanka Suchowoli

Widziałam, jak wepchnął do wody Żyda W. Edward, obecny restaurator w Suchowoli, czy się utopił ten Żyd, tego nie wiem. […] Widziałam też, jak S. Julian biegał z kijem spędzać Żydów.

PIOTR M.[10]
Polak, mieszkaniec Suchowoli

Widziałem pewnego razu, jak S. Julian i T. Józef gnali Żydów do stawu z zamiarem potopienia. Po drodze znęcając się, bili ich kołkami po głowach.

ANTONI K.[11]
Polak, mieszkaniec Suchowoli

Widziałem na własne oczy, jak T. Józef, mieszkaniec Suchowoli, z zakasanymi rękawami wspólnie z niemiecką żandarmerią spędzają Żydów na rynek w Suchowoli; żeby posiadał przy sobie jakąkolwiek broń, tego nie spostrzegłem. Po niedługim czasie M. Piotr twierdził, że na własne oczy widział, jak T. wraz z Niemcami pędził Żydów do wody. Jak stwierdziłem, sam będąc obok stawu, widziałem potopionych Żydów leżących na brzegu stawu.

Po utopieniu części Żydów zgromadzonych na rynku rozpoczęła się najbardziej dramatyczna, ale też i najmniej znana część tragicznych wydarzeń z 6 lipca 1941 r. Relacje, jakie się na jej temat zachowały, są nader skąpe, dlatego bardzo trudno jest przedstawić dokładny przebieg wypadków. Najprawdopodobniej jednak wszystko odbyło się tak jak w Jedwabnem i Radziłowie.

Polscy milicjanci, okoliczna polska ludność i kilku żołnierzy niemieckich biorących udział w pogromie powrócili na rynek i wtedy większość Polaków ruszyła rabować żydowskie domy. Część Żydów była już uwięziona na terenie żydowskiej szkoły, mieli oni zostać skierowani do getta.

Polscy milicjanci, Niemcy oraz grupka polskich mężczyzn, biorących udział w pogromie do samego końca, podjęli decyzję, by zapędzić pozostałych jeszcze przy życiu Żydów znajdujących się na rynku do jednego z żydowskich domów

w pobliżu i tam ich spalić. Ale kto brał w tym bezpośrednio udział oprócz znanych już uczestników masakry? Jak przebiegał proces podejmowania decyzji? Źródła milczą. Można tylko dodać, że Żydzi zaprowadzeni do owego domu i zamknięci w nim, gdy budynek stał już w płomieniach, próbowali się z niego wydostać, ale zostali zabici pałkami przez otaczających dom Polaków.

Wszystko wskazuje na to, że tego dnia w miasteczku to Polacy grali pierwsze skrzypce, to oni sterowali procesem decyzyjnym. Niemieccy żołnierze, uzbrojeni, wyszkoleni i zaprawieni w walkach nie wybraliby bowiem tak nieprofesjonalnej i, proszę wybaczyć określenie, nieefektywnej metody egzekucji, jaką było topienie w stawie. A Polacy topienia Żydów próbowali przecież także w Jedwabnem.

JAN W.[12]
Polak, mieszkaniec Suchowoli

> R. Edward, G. Wincenty, B. Aleksander, K. Franciszek, Sz. Władysław, mieszkańcy Suchowoli, widziałem na własne oczy, jak brali udział w pogromie i spędzaniu na rynek Żydów. […] Uzbrojeni byli w drewniane pałki, którymi dopuszczali się bicia tych Żydów. Następnie widziałem, jak ci wyżej wymienieni pomagacze niemieccy brali czynny udział w pędzeniu Żydów do stawu koło młyna, gdzie tam brali udział w ich topieniu, a niektórych później spędzili do budynku i tam podpalili. Nadmieniam, że w czasie zapalenia budynku, w którym znajdowali się Żydzi – oni, ratując swoje życie, poczęli uciekać z tego zapalonego budynku, więc wymienieni przeze mnie

stosowali represje w stosunku do uciekających Żydów, uśmiercając ich kilkunastu na miejscu.

STEFAN B.[13]
Polak, mieszkaniec Suchowoli

Widziałem osobiście, jak G. Wincenty brał udział w spędzaniu, topieniu i paleniu Żydów. Wówczas był uzbrojony w pałkę drewnianą. Później był strażnikiem getta w Suchowoli, posiadając broń palną, karabin. Ponadto zeznaję, że widziałem, jak brali w tej samej akcji udział przeciwko Żydom: R. Wincenty, B. Aleksander, K. Aleksander, Sz. Władysław. […] Widziałem to osobiście, zarówno brali udział w topieniu, jak i podpaleniu ich. Zeznaję też, że J. bił Żydów kijem, tych, którzy nie chcieli iść na rynek.

Tamtego dnia w Suchowoli rozegrał się jeszcze jeden dramat. Polka Maria D. za czasów radzieckich była sklepową w miejscowym sklepie spożywczym. Aleksander S., mszcząc się za to, że nie chciała mu kiedyś sprzedać tyle wódki, ile zażądał (chciał dziesięć butelek, D. sprzedała mu zaś trzy), zadenuncjował ją przebywającym w Suchowoli Niemcom jako „komunistkę”. Niemcy ją natychmiast aresztowali i uwięzili w żydowskiej szkole. Kilka dni później przeprowadzili ponowną selekcję Żydów. Większość odesłali do utworzonego w następnych tygodniach getta, by pracowali niewolniczo na rzecz III Rzeszy oraz miejscowej polskiej społeczności. Z takiej niewolniczej pracy przy budowie swojego domu korzystał później choćby Józef S., jeden z uczestników pogromu.

D. jednak nie trafiła do grupy poprowadzonej do getta. Razem z częścią Żydów wyprowadzono ją za miasto i kazano wykopać sobie grób. Gdy go kopała, widziała, jak

po kolei Niemcy rozstrzeliwali wybranych Żydów. Gdy w końcu przyszła jej kolej, podobno sama zawiązała sobie chustką oczy i poprosiła Niemców, by wreszcie ją rozstrzelali, bo nie może dłużej tego wszystkiego znieść. Wtedy przyszło ocalenie. Żołnierz niemiecki wydał rozkaz zwolnienia jej do domu.

JAN W.[14]
Polak, mieszkaniec Suchowoli

Składa dalsze wyjaśnienia

> Podczas okupacji widziałem z daleka, jak Aleksander S. podbiegł do D., schwycił ją za rękę i poprowadził do samochodu, lecz jak ją prowadził, nie pamiętam. Z nim szedł S. i Niemiec. Sądzę, że zabrał ją za to, że była sklepową w spółdzielni w 1940 r., za czasów bytności władzy radzieckiej. Przy czym widziałem, jak matka D. płakała, prosząc o darowanie życia córce, a córeczka D. padała do nóg Niemcowi, prosząc o zwolnienie matki. […] Z podwórza widziałem dobrze, co się działo na rynku, i widziałem, jak K., R., Sz., G. i B. spędzali Żydów na rynek. Czy mieli kije? Chyba mieli. […] Czy bili? Dokładnie nie widziałem, nie pamiętam. Po tym widziałem, jak oni popędzili Żydów do stawu w odległości 100–200 metrów od rynku, i ja poszedłem za nimi z tyłu, lecz kija nie posiadałem. Będąc w odległości 80–100 metrów od stawu, widziałem, jak wpędzono Żydów do wody. Było tam dużo ludzi, nawet z sąsiednich wsi. Czy wymienieni przeze mnie brali później udział w paleniu Żydów, nie przypominam sobie.

Po wojnie odbyło się kilka procesów w sprawie pacyfikacji żydowskiej społeczności w Suchowoli. Przed sądem stanęli

głównie członkowie polskiej milicji: Aleksander S., Józef S., Franciszek K., Mateusz S., Edward R., Wincenty G., Aleksander R., Władysław Sz. Oskarżono ich o zbrodnie popełnione 6 lipca 1941 r. oraz o późniejsze wstąpienie na służbę okupanta do tzw. policji pomocniczej (Hilfspolizei), utworzonej w Suchowoli przez Niemców w końcu 1941 r. Jednak mimo że wyrokiem z 27 listopada 1949 r. zostali oni uznani za winnych i skazani na karę piętnastu lat więzienia, a sędzia orzekający w ich sprawie uznał, że świadkowie zeznający na ich korzyść zwyczajnie kłamią („świadkowie ci mogli być równie dobrze pouczeni przez rodziny oskarżonych, co mają zeznawać, co niejednokrotnie sąd na tym terenie zauważył”[15]) – to jednak Sąd Najwyższy przychylił się do zdania obrony i wyrokiem z 27 czerwca 1951 r. wszystkich oskarżonych uniewinnił.

MARIANNA M.[16]
Polka, mieszkanka Suchowoli

S. Józef z Niemcami żył dobrze i otrzymał od nich materiały na budowę domu. Przy budowie tej pracowali Żydzi, którzy byli przyprowadzani z getta i pilnowani przez straż z policji niemieckiej, a po pracy z powrotem byli gnani do getta. Z opowiadań ludności wiem, że S. bił Żydów wraz z Niemcami i palił ich w budynku żydowskim w Suchowoli, gdzie byli zagnani, oraz topił ich w rzece.

W sprawie jego mogłoby bardzo dużo ludzi zeznać, lecz boją się z powodu tego, że jego żona straszy, że gdy mąż wyjdzie z więzienia, to po powrocie rozprawi się i pokaże tym, co na niego zeznają prawdę. Żona też mówi, że jak mąż nie wyjdzie z więzienia, to ma

synów, którzy pomszczą ojca, i z tego powodu nikt nie chce mówić, jak było, bo się boją.

W 1942 r. Żydzi zamknięci w suchowolskim getcie zostali wywiezieni do obozów koncentracyjnych. W dzisiejszej Suchowoli nie ma nawet śladu po żydowskiej historii miasteczka.

Przypisy

[1] T. Wiśniewski, *Bóżnice Białostocczyzny. Żydzi w Europie Wschodniej do roku 1939*, Białystok 1991.
[2] Za: Księga pamięci miasta Suchowola, red. Kh. Shteynberg, M. Vonkhotsker, Y. Levin, Y. Tsaban, Jerusalem, Tel-Aviv 1957, http://www.jewishgen.org/yizkor/suchowola/suchowola.html
[3] Akta sprawy, IPN Bi 1/1763.
[4] Akta sprawy, IPN Bi 408/35.
[5] Akta sprawy, IPN Bi 408/37.
[6] Akta sprawy, IPN Bi 403/214.
[7] Tamże.
[8] Akta sprawy, IPN Bi 408/37.
[9] Akta sprawy, IPN Bi 408/37 oraz IPN Bi 408/35.
[10] Akta sprawy, IPN Bi 408/35.
[11] Tamże.
[12] Tamże.
[13] Akta sprawy, IPN Bi 408/37.
[14] Akta sprawy, IPN Bi 408/35.
[15] Tamże.
[16] Akta sprawy, IPN GK 301/39.

Brańsk

> Interpretacja wydarzeń powstała na podstawie relacji polskich i żydowskich świadków, które są dostępne w materiałach sądowych i śledczych Instytutu Pamięci Narodowej.

Historia miasteczka Brańsk oraz żydowskiej społeczności żyjącej w nim przez wieki pod pewnymi względami przypomina historię Jedwabnego, ale też pod wieloma bardzo się od niej różni. To, co upodobnia wojenne i powojenne historie obu tych miejscowości, to ich miejsce w zbiorowej świadomości Polaków w kraju i za granicą. Brańsk znalazł się w niej za sprawą słynnej książki Evy Hoffman *Sztetl. Świat Żydów polskich*, filmu Mariana Marzyńskiego *Sztetl* oraz filmu Władysława Pasikowskiego *Pokłosie*, którego historycznym tłem było także Jedwabne – ono z kolei stało się słynne głównie za sprawą książki Jana Tomasza Grossa *Sąsiedzi*.

Dzieło Mariana Marzyńskiego i opowiedziana w nim historia młodego historyka Zbigniewa Romaniuka, który pracując w Brańsku, odkrywa jego wojenną tragiczną historię, a następnie pod wpływem poznanej prawdy zaczyna gromadzić macewy z żydowskiego cmentarza, porozrzucane po okolicy, wywarła na mnie w młodości duże wrażenie. Zbigniew Romaniuk bowiem to w filmie Marzyńskiego prawdziwie świetlana postać, młody Polak bez antysemickich kompleksów, który rzuciwszy się w wir poszukiwań, poznaje dramatyczne dzieje brańskich Żydów. Następnie zaprzyjaźnia się z Nathanem Kapłanem, który wyemigrował z miasteczka do Ameryki jeszcze przed wojną,

a u schyłku życia pragnie poznać losy swoich brańskich przodków i wraca do Polski.

Zapamiętałem jednak tę historię nie z powodu szlachetności głównego bohatera, ale dlatego że ostatecznie Zbigniew Romaniuk po latach swojej pracy jako historyk poniósł moralną klęskę. Oskarżany przez współmieszkańców z Brańska o sympatyzowanie z Żydami, otoczony zewsząd symbolami swastyki i słowami „Jude" wymalowanymi na klatce schodowej domu, pouczany przez intelektualne elity prawicowych środowisk, zarówno polskich, jak i żydowskich, o „błędach i wypaczeniach" swoich badań, Romaniuk niczym Galileusz wyparł się tego, co odkrył; w jednej z ostatnich scen filmu jako członek rady miasta bierze udział w uroczystości odsłonięcia pomnika z okazji okrągłej rocznicy istnienia Brańska – uroczystości, w trakcie której nikt nie wspomina mieszkających tam przed wojną Żydów.

Tak go zapamiętałem i choć wiem, że później Zbigniew Romaniuk pisał wiele tekstów poświęconych żydowskiej historii miasteczka, spisywał losy Polaków ratujących brańskich Żydów, to jednak do pytań związanych z bezpośrednim udziałem Polaków w zbrodni już nie wrócił. To wywołało we mnie niepokój: jak może człowiek szlachetny, młody, wyzbyty uprzedzeń ulec naciskom swojego środowiska tak dalece, że zaprzeczy własnym przekonaniom i odkrytej prawdzie?

Niepokój ten pozostał ze mną na lata. Być może dlatego też postać samego Romaniuka zafascynowała mnie tak bardzo, że historia jego życia jest antycypacją losów każdego urodzonego po Holokauście młodego Polaka, który odkrywał tragiczną przeszłość swojej rodziny, wspólnoty, swojego kraju, miasta czy swojej wsi. Każdego, kto musiał – jak Zbigniew Romaniuk – zderzyć się z niedowierzaniem,

ale też wrogością wszystkich tych, którzy chcą tę historię ukryć.

Zresztą dzieje samego Brańska, podobnie jak losy Zbigniewa Romaniuka, są skomplikowane. W historii miasteczka odnajdziemy bowiem chyba najbardziej uniwersalne prawdy dotyczące Holokaustu w Polsce, całą mnogość postaw, która nie pozwala patrzeć na zachowania mieszkańców kraju z czasów II wojny światowej w jeden wyłącznie pozytywny lub negatywny sposób. Być może właśnie dlatego, że nie wszystko było tu czarno-białe, Brańsk jest ikoną lepiej niż Jedwabne opisującą bardzo trudne i wymykające się wszelkim historycznym kliszom relacje polsko-żydowskie.

W Brańsku, podobnie jak w Jedwabnem, powstała złożona z przedwojennych sympatyków Stronnictwa Narodowego oraz innych partii nacjonalistycznych polska milicja, która prześladowała Żydów od 1941 do 1944 r., a nawet później, w konspiracji, już po wyzwoleniu. Dopuszczała się na ludności żydowskiej gwałtów, mordów i grabieży. Ale też w tym samym Brańsku, inaczej niż w Jedwabnem, pewna część polskiego społeczeństwa stawiła opór temu złu. Sprzeciwiła się mordercom zarówno niemieckim, jak i polskim.

Brańsk, pomnik poświęcony miejscowym Żydom

Odnotowano tu bowiem wiele przykładów pomocy Żydom: ukrywano ich w domach, stodołach, chlewach, karmiono, gdy była potrzeba, opiekowano się ich dziećmi nawet z narażeniem życia. Bo przecież zarówno Niemcy, jak i polscy faszyści za pomoc Żydom karali tak samo – śmiercią lub w najlepszym razie pobiciem i zniszczeniem dobytku. Mimo to część ludzi z miasteczka i okolicznych przysiółków umiała powiedzieć im „nie”, zasługując po wojnie na zaszczytne miano Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Z pewnością zdali egzamin z człowieczeństwa i powinniśmy być z nich dumni, a pamięć o nich zachować na zawsze.

Brańsk na kartach historii pojawił się stosunkowo wcześnie. Znany jest zapis z 1560 r., mówiący o Żydach dzierżawiących w mieście siedemnaście młynów, i pochodząca z 1613 r. wzmianka o oberżyście Mosze i jego

żonie Chai. W czasie potopu szwedzkiego miasto podupadło, niemniej pod koniec XVIII w. zaczęło się odradzać. Wiązało się to z ponownym napływem ludności żydowskiej. Nie mogli jednak Żydzi w tym czasie osiedlać się w samym miasteczku, dlatego zaczęli zajmować parcele w okolicznych wsiach. Z przeprowadzonego zaś w XIX w. spisu wynika, że Brańsk zamieszkiwało wówczas 156 starozakonnych, stanowiących 12 proc. ludności miasteczka. W okresie wojen napoleońskich miasto zostało ponownie spustoszone, odbudowano je jednak szybko i w 1821 r. została oddana do użytku pierwsza synagoga, tzw. Alter Bejt Midrasz, a po dziesięciu latach wzniesiono kolejną bożnicę, Naje Bejt Midrasz, przeznaczoną dla miejscowych żydowskich elit. Później wybudowano w Brańsku jeszcze kilka synagog, a w XX w. otwarto dom modlitwy dla chasydów. W połowie listopada 1939 r. po zajęciu tych terenów przez ZSRR ruszył z miasteczka pierwszy transport na Syberię; znalazło się w nim 94 Polaków, 14 Żydów i 5 Rosjan. Okupanci sowieccy skonfiskowali też większość majątku mieszkańców[1].

Trzeba również dodać, że w Brańsku, tak jak w innych miasteczkach tej części kraju, w okresie międzywojennym bardzo silne wpływy polityczne mieli polscy nacjonaliści skupieni wokół Stronnictwa Narodowego i ONR-u. I podobnie jak w całej okolicy, organizowali tu bojkoty sklepów żydowskich, napadali na osoby, które się w nich zaopatrywały, oraz prowadzili agitację antysemicką. Nastroje antysemickie potęgował też okres okupacji sowieckiej, mimo że Żydzi byli często takimi samymi ofiarami bolszewickiego terroru jak Polacy. W dniu rozpoczęcia działań wojennych pomiędzy III Rzeszą a ZSRR dzieje miasteczka weszły w nową, tragiczną fazę.

Podobnie jak w Jedwabnem, Radziłowie, Suchowoli i innych miasteczkach regionu, zgodnie z wykrystalizowanym i powtarzalnym schematem wydarzeń, w Brańsku z inicjatywy miejscowego dziekana ks. Bolesława Czarkowskiego i nauczycieli tutejszej szkoły powszechnej zostały powołane polskie władze, na czele których stanął przedwojenny burmistrz dr Władysław D. Powstała również polska milicja, w której szeregi wstąpiło około czterdziestu mieszkańców miasteczka. Dowodził nią przedwojenny działacz PSL „Wyzwolenie" Józef P. – najpierw aresztowany przez Sowietów, w czasie inwazji Niemiec na ZSRR został zwolniony z więzienia w Białymstoku i pod koniec czerwca 1941 r. powrócił do Brańska. Jak większość „mścicieli" uwolnionych w tym czasie przez niemieckie wojska z sowieckich więzień, pałając żądzą odwetu na komunistach i Żydach, zaangażował się w ich eksterminację. Jako komendant polskiej milicji rozpoczął krwawą rozprawę z miejscowymi komunistami i osobami żydowskiego pochodzenia. Oddział jego, jak zeznali świadkowie, m.in. Józef B., nie miał broni palnej, był wyposażony tylko w pałki; członkowie nosili na rękawach biało-czerwone opaski z napisem „Straż Obywatelska". Szeregi tej milicji zasilili też znani przedwojenni działacze miejscowego Stronnictwa Narodowego, o czym po wojnie opowiedzieli żydowscy świadkowie, m.in.: Mosze O., Wolwel A. i Lejb P. Wśród milicjantów w Brańsku znaleźli się: Bronisław R., Wacław M., bracia B., F. (imiona nieznane).

W tym czasie w Brańsku stacjonowały bliżej nieokreślone oddziały niemieckiej żandarmerii polowej, jak o tym wspominają żydowscy i polscy świadkowie, ale administracja niemiecka w miasteczku została powołana dopiero kilkanaście tygodni po zajęciu tych terenów przez

Niemców, we wrześniu 1941 r. Do tego czasu władzę sprawowali Polacy, z Władysławem D., przedwojennym burmistrzem, na czele.

Polscy milicjanci poprzestali na pojedynczych zabójstwach oraz terroryzowaniu ludności żydowskiej, polegającym na obcinaniu bród starym Żydom czy nakazaniu wszystkim wyznawcom religii mojżeszowej rozbicia postawionego w 1940 r. przez Sowietów pomnika Lenina. Zmuszono ich przy tym do zbiorowego lamentu oraz zaniesienia ciężkiej figury, ułożonej na płachtach, do przepływającej przez miasto rzeki Nurzec i utopienia jej. W asyście polskiej milicji oraz niemieckich żandarmów odbył się ten spektakl, zwykle stanowiący preludium do masowych mordów i czystek etnicznych – ale nie w Brańsku. W tym mieście miejscowi milicjanci na tym poprzestali. Później zabijali też „tylko" pojedynczych Żydów oraz rabowali pożydowskie mienie. Denuncjowali również żandarmerii niemieckiej ukrywających się, ale czystki etnicznej na skalę Jedwabnego czy Radziłowa nie przeprowadzili.

Zastanawia oczywiście, dlaczego tak się stało. Jedyna odpowiedź, jaką znalazłem w dostępnych dokumentach, to taka, że polscy mieszkańcy stawili opór tym spośród siebie, którzy mieli poglądy nacjonalistyczne i antysemickie. Umieli powiedzieć im „nie". Być może również obecność w miasteczku Niemców – nie z jednostek specjalnych SS, ale z przyfrontowych oddziałów żandarmerii wojskowej – wpłynęła tonująco na nastroje pogromowe.

Po wojnie o sposobie wyłaniania się polskich władz i ogólnej sytuacji w miasteczku w czerwcu 1941 r. mieszkańcy Brańska napisali w oświadczeniu skierowanym do organów śledczych PUBP. Napisali to oświadczenie sami, z własnej inicjatywy, kierując się chęcią obrony Józefa P., komendanta polskiej milicji, i uwolnienia go od zarzutu

współpracy z hitlerowskim okupantem, stawianego mu przez śledczych komunistycznych. Podkreślali wyraźnie, że to na wniosek miejscowego proboszcza, a nie z polecenia Niemców – co miało w ich mniemaniu dowodzić, że Józef P. pozostał lojalnym patriotą – wyłoniły się polskie władze po wkroczeniu Niemców w 1941 r. Miało to miejsce w sytuacji, gdy w miasteczku przez kilka pierwszych tygodni okupacji niemieckiej władz okupanta nie było. Oto tekst oświadczenia:

> *[…] W tym to czasie z inicjatywy ks. Dziekana Parafii Brańskiej Czarkowskiego Bolesława i dr. Dąbrowskiego W., byłego burmistrza miasta Brańska, została powołana Straż Obywatelska z obywateli miasta Brańska. Do Straży Obywatelskiej powołano czterdzieści osób i w tym Józefa P., którego spośród siebie wybrali Józefa P. na komendanta. Nadmieniamy, że Straż Obywatelska broni nie miała. Józef P. pełnił funkcję komendanta Straży Obywatelskiej dwa i pół miesiąca, tj. kiedy nie było żadnej władzy (nie było wojsk sowieckich ani niemieckich) i półtora miesiąca przy władzy niemieckiej*[2].

Dość długo trwały polskie rządy w miasteczku przy biernej postawie oddziału niemieckiej żandarmerii polowej.
Z cytowanego oświadczenia oraz opowieści mieszkańców wynika, że ten stan polskiej samorządności trwał dwa i pół miesiąca, a więc do połowy września 1941 r., jednak niektórzy świadkowie, jak Józef B.[3], twierdzili, że Józef P. komendantem polskiej milicji pozostawał nawet aż do grudnia 1941 r.

Wtedy to utworzono już w Brańsku typową niemiecką administrację i, podobnie jak w innych miejscowościach rejonu, polską policję pomocniczą na żołdzie niemieckim,

tzw. Hilfspolizei. Józef P. ze swoimi ludźmi przeszedł na tę nową służbę, ale w przeciwieństwie do swoich podwładnych nie zabawił zbyt długo u nowych panów. Niemcy bowiem szybko wykryli, że Józef P. nie dzielił się z nimi jak należało złotem zrabowanym Żydom oraz że zakopał w ziemi zbiornik z kilkoma tysiącami litrów paliwa, którym pokątnie handlował. To wystarczyło, by władze okupacyjne wydały nakaz aresztowania Józefa P. i zaczęły go ścigać. Józef P. ukrywał się więc u partyzantów już do końca wojny.

Niemcy wraz z umacnianiem swojej władzy zorganizowali na terenie Brańska getto. Miejscowa wspólnota żydowska była liczna, a poza tym ściągano do niego też Żydów z okolicznych miejscowości. W miasteczku utworzono właściwie dwa obszary z wydzielonym tzw. małym i dużym gettem. Łącznie w obu tych dzielnicach przebywało około 3000 osób. Połączono je dopiero w 1942 r. Przełomowe były 1 i 2 listopada 1942 r., kiedy to Niemcy rozpoczęli likwidowanie „dużego getta”. Wiadomość o tym dotarła do Żydów wcześniej, bo zostali uprzedzeni przez nieznanych Polaków. To sprawiło, że gdy Niemcy rozpoczęli operację likwidacyjną, Żydzi rzucili się do ucieczki. Do pobliskich lasów zbiegło co najmniej kilkuset z nich, naoczny świadek tych wydarzeń, Mosze O., twierdził, że było to nawet ponad 850 osób[4]. Ci, którym nie udało się uciec, zostali zamordowani w Treblince, prawdopodobnie 10 listopada 1942 r.

I tu dochodzimy do jednego z najtrudniejszych momentów w całej wojennej historii Brańska. Jeśli naoczny świadek tych wydarzeń Mosze O. mówi prawdę, szacując liczbę uciekinierów z brańskiego getta na 850, a dodatkowe szacunki potwierdzają, że około 200 Żydów przeżyło wojnę w okolicznych lasach i doczekało wyzwolenia – głównie za sprawą pomocy, jaką otrzymali od partyzantów sowieckich

z oddziału im. Żukowa oraz niektórych Polaków z okolicznych wsi – to trzeba postawić pytanie: jaki los spotkał pozostałych 650 Żydów z Brańska, którzy zbiegli z getta do pobliskich lasów w 1942 r., ale wojny nie przeżyli? I to w sytuacji obecności w Brańsku małych sił policji niemieckiej oraz dość licznego oddziału polskiej policji pomocniczej?

Zresztą podawane przez niektórych badaczy szacunki mówiące o 200 brańskich Żydach, którzy przeżyli Holokaust, są raczej zawyżone. Badając akta spraw, które toczyły się po wojnie przeciwko Polakom oskarżonym o mordowanie Żydów w miasteczku, spotykałem nazwiska zaledwie kilkunastu świadków żydowskich z Brańska, którzy pojawili się tu po wojnie – zawsze tych samych i powtarzających się przy każdej okazji i w każdej ze spraw – oraz dodatkowo kilkanaście nazwisk ocalałych wymienianych w poszczególnych relacjach. Na tej podstawie ostrożnie szacowałbym liczbę Żydów, którzy przeżyli okupacyjną gehennę, co najwyżej na 70 osób. Niektóre relacje mówią o 76 uratowanych Żydach. Co jednak w takim razie stało się z pozostałymi? Co się stało z uciekinierami z brańskiego getta i dlaczego nie przeżyli do wyzwolenia?

Część Żydów razem z sowieckimi żołnierzami, zbiegami z obozów jenieckich, utworzyła w pobliskich lasach oddział partyzancki imienia Żukowa, zapewne niektórzy padli w boju. Nawet jeśli przyjmiemy, że ich umiejętności bojowe nie były duże, mogło ich zginąć w walkach co najwyżej 100. Pozostaje zatem liczba około 600 uciekinierów, którzy nie doczekali końca wojny. Trzeba powtórzyć pytanie: dlaczego? Po wojnie kilkunastu Polaków z Brańska i okolic było oskarżonych o mordowanie lub wydawanie ukrywających się przed Niemcami brańskich Żydów. Ale

tych spraw też nie było wiele. Dlaczego? Czy dlatego, że Polacy nie brali w procederze mordowania Żydów udziału, czy raczej dlatego, że po wojnie nikt się nie starał, aby postawić ich w stan oskarżenia? To pytanie trzeba pozostawić bez odpowiedzi. Jasne jest jednak, że kilkunastoosobowa załoga niemieckiej żandarmerii nie byłaby w stanie wyłapać i zabić ponad 600 ukrywających się w lasach Żydów bez pomocy miejscowych polskich milicjantów i zwykłych mieszkańców miasteczka.

Spośród rozpatrywanych po wojnie spraw dotyczących mordowania Żydów jedną z najgłośniejszych był proces pomocnika gajowego Janusza W.[5] oraz gajowego K. Wiosną 1943 r. natknęli się oni w lesie na małżeństwo żydowskich uciekinierów, adwokata W. i jego żonę, która była w zaawansowanej ciąży. Od momentu ucieczki z getta w Brańsku w listopadzie 1942 r. ukrywali się u Stanisława P., ale wiosną 1943 r. skończyły im się pieniądze i P. ich wygnał. Błąkającą się w lesie adwokacką rodzinę wypatrzył gajowy K. i jego pomocnik Janusz W. K. miał zresztą zadawniony spór z adwokatem W. Przed wojną przegrał bowiem sprawę, w której adwokat W. reprezentował stronę jego adwersarzy procesowych.

W. nie byli pierwszymi ofiarami gajowego K., bo jak zeznał Alter T.[6], Żyd z Brańska, któremu udało się przeżyć wojnę, już na początku 1943 r. K. z Januszem W. złapali Nojme K., 30-letniego szewca z Brańska, związali go i oddali w ręce niemieckiej żandarmerii. Wcześniej, w grudniu 1942 r., K. schwytał rodzinę żydowską złożoną z trzech osób: Ajzyka W. (lat 50), jego żony Bejli W. (lat 46) i Szlomy W. (lat 18), ich syna. Z pomocą Janusza W. złapanych oddał w ręce brańskiej żandarmerii; cała rodzina została rozstrzelana.

Zostali schwytani przez K. i Janusza W. również Icze O. z Brańska i jego 20-letni syn Berla. Wszystkim było także wiadomo, że K. zastrzelił w lesie Josela P. (lat 50) i jego córki: Tojbę (lat 20) i Chaję Ester (lat 18). Jego ofiarami byli też znany brański kupiec zbożowy Mendel G. (lat 60) i jego brat Lejzer (lat 52) – K. zatrzymał ich w lesie, związał, a następnie z Januszem W. sprowadził Niemców, którzy obu G. zastrzelili. Janusz W. i K. wyrwali im jeszcze przed śmiercią złote zęby, którymi podzielili się z żandarmami. K. zastrzelił również dwoje dzieci żydowskich ukrywających się w kolonii Klichy: Jankiela F. (lat 9) i Mordechaja P. (lat 10).

Małżeństwo adwokackie W. prawdopodobnie znało przynajmniej część z tych historii, więc na widok gajowego K. i jego pomocnika Janusza W. rzuciło się z miejsca do ucieczki. Nie odbiegli jednak daleko. Pani W. ze względu na zaawansowaną ciążę nie była w stanie biec dostatecznie szybko, a mąż nie chciał jej zostawić. Jego pierwszego zastrzelił K. Potem razem z Januszem W. zgwałcili ciężarną. W końcu K. z zamiarem zabicia uderzył kobietę kolbą dubeltówki w głowę. Jednak tylko rozbił jej głowę i ogłuszył. Obaj napastnicy byli tego dnia pijani. Po sprowadzeniu pomocników ciało adwokata W. wrzucono do dołu, a wraz z nim, po makabrycznych próbach zabójstwa, zakopano jeszcze żywą żonę.

K. został później zastrzelony w akcie zemsty przez samych Żydów z oddziału partyzanckiego Żukowa (wykonali na nim wyrok śmierci), a Janusza W. po wojnie wyrokiem z 1 czerwca 1967 r. skazano na pięć lat i sześć miesięcy pozbawienia wolności oraz utratę praw publicznych na trzy lata.

Również inny gajowy z brańskich lasów, Franciszek D.[7], członek przedwojennego Stronnictwa Narodowego, był po

wojnie oskarżony o zabijanie uciekinierów z getta. W latach 1941–1942, wykorzystując stanowisko, we wsi Szmurły najpierw odebrał Żydom ukrywającym się w lasach wszystko to, co jeszcze posiadali, a następnie kilkunastu z nich schwytał i oddał w ręce żandarmów, którzy ich rozstrzelali. Brał też udział w ujęciu przechodzących przez wieś Oleksin trzech Żydów i jednej Żydówki, których również odprowadził na posterunek żandarmerii w Brańsku – tam zostali rozstrzelani.

Za rabowanie żydowskiego złota był jednak aresztowany przez Niemców, którzy chcieli go ukarać za to, że się z nimi tym złotem nie podzielił. Oddał im jednak tyle, ile zażądali, i w ten sposób ocalił skórę. Po wojnie oskarżono również: Bronisława W., Franciszka D. i R.[8] (imię nieznane), polskich policjantów pomocniczych na żołdzie niemieckim, mieszkańców wsi Rudka w pobliżu Brańska, o zastrzelenie dwóch nieznanych Żydów przy murze cmentarnym. Śledztwo przeciwko nim zostało umorzone, ponieważ polscy świadkowie w trakcie procesu wycofali obciążające ich zeznania. Również po wojnie oskarżono Bronisława R.[9], przedwojennego członka Stronnictwa Narodowego, o to, że po likwidacji getta w Brańsku w 1942 r. pochwycił Chaję Bejkę J. wraz z jej przyjaciółką, które uciekły z getta, i zaprowadził je na posterunek żandarmerii, gdzie zostały zabite. Bronisław R. został uniewinniony, ponieważ polscy świadkowie odwołali swoje zeznania złożone w trakcie śledztwa. Również Józef P.[10] z Brańska był oskarżony o znęcanie się nad Polakami i Żydami w czasie pełnienia funkcji komendanta polskiej milicji w Brańsku oraz o pojedyncze zabójstwa Żydów. Jednak wyrokiem z 20 października 1948 r. został uniewinniony – polscy świadkowie odwołali swoje zeznania ze śledztwa, a świadkowie żydowscy na procesie się nie stawili.

Podobnie Józef P.[11] ze wsi Pietraszki, o którym z aktu oskarżenia z 1 kwietnia 1950 r. możemy się dowiedzieć , że w marcu 1942 r. wydał Niemcom Żydów ukrywających się w leśnym bunkrze po ucieczce z getta w Brańsku. Żandarmi niemieccy wrzucili do bunkra granaty, zginął Mendel Ś. i Lejzor R. Polscy świadkowie zaprzeczali jednak w czasie procesu, by Józef P. brał udział w zabijaniu Żydów we wsi Pietraszki, wbrew mówiącym o tym zeznaniom złożonym w śledztwie. Wyrokiem z 7 listopada 1950 r. Józef P. został uniewinniony. Żaden z żydowskich świadków nie zeznawał na jego procesie, bo w tym czasie nie było ich już w Polsce. Henryk B.[12], mieszkaniec wsi Oleksin, po wojnie oskarżony o udział w masowych łapankach Żydów organizowanych przez tamtejszego sołtysa A., również uniknął odpowiedzialności, a jego sprawę umorzono.

Skazani za to zostali bracia H.[13], którzy w grudniu 1942 r. zarąbali siekierą ukrytych w schronie leśnym Chanę J. (lat 25) i Rywkę C. (lat 45). Usiłowali też zamordować Moszka O., uderzając go w głowę tą samą siekierą, ale zdołał uciec. Zdarli za to z trupów ubranie i wyrwali im złote zęby, jednej z ofiar odrąbali palec z pierścionkiem. Potem złapali w lesie Jankiela J. (lat 50), Moszka S. (lat 17) i Chaima P. Udusili ich i po obrabowaniu i rozebraniu do naga zwłoki wrzucili do rzeki. Natknęli się następnie na Lejba T., który z odmrożonymi nogami błąkał się po lesie, torturowali go przez kilka godzin, zanim zdołał wreszcie uciec, rzucając się do lodowatej rzeki. Obaj H. byli mieszkańcami wsi Chojewo, leżącej niedaleko Brańska, Aleksander miał pięćdziesiąt trzy lata, a Józef niespełna szesnaście.

Losy brańskich Żydów były jednak bardziej skomplikowane, niż można byłoby się spodziewać. Do zagłady przyczyniali się bowiem także ich pobratymcy.

Niejaki Izajasz C., członek brańskiego Judenratu, wrócił kilka dni po likwidacji getta z Bielska w towarzystwie gestapowców i, najprawdopodobniej licząc na uratowanie życia, zaprowadził ich do kilku żydowskich kryjówek w mieście. W sumie był odpowiedzialny za wydanie w ręce gestapo siedemdziesięciu Żydów i dwóch pomagających im Polaków. Zabrano ich na brański kirkut, gdzie rozkazano im rozebrać się do naga, po czym zastrzelono. Po likwidacji getta ocalała jedna większa kryjówka żydowska: bunkier, w którym kuliło się około trzydziestu ludzi. Ale na nieszczęście wybuchł w nim pożar, wzniecony przez samych Żydów, najpewniej przypadkiem. Wszyscy spłonęli.

Żydzi ginęli w Brańsku także po wojnie. Polak Władysław F.[14], mieszkaniec miasteczka, zeznał, że pod koniec lutego 1947 r. został zabity w „niewyjaśnionych okolicznościach" jego żydowski znajomy, który trudnił się handlem końmi. Moszko O.[15] opowiedział zaś, że po wyzwoleniu w 1944 r. na brańskim domu, w którym wspólnie mieszkali ocalali (mieszkali razem, bo obawiali się ataku miejscowego oddziału Narodowych Sił Zbrojnych), wywieszono odezwy do Żydów z żądaniem, by wszyscy wynieśli się z miasta, bo w przeciwnym wypadku spotka ich śmierć. Przedtem podrzucono im list z żądaniem okupu za pozostawienie przy życiu. Czy może w takim razie dziwić, że gdy rozpoczęły się procesy polskich zbrodniarzy z Brańska, nie było już w Polsce żadnego z żydowskich świadków?

Ale historia Brańska obfituje nie tylko w zbrodnie popełnione na Żydach. Można znaleźć przykłady heroizmu polskich mieszkańców, a ocalali Żydzi w dużej mierze tylko takim cichym bohaterom, ludziom dobrej woli, zawdzięczali życie. Siedem polskich rodzin z Brańska i okolicy odznaczono medalem Sprawiedliwy wśród Narodów

Świata. Za ratowanie Żydów zginął ks. Henryk Opiatowski, miejscowy kapelan Armii Krajowej. Walentyna Jakubowska do końca broniła życia dwóch młodych żydowskich braci D. i została wraz z nimi zabita przez żandarmów. Dwa gospodarstwa chłopskie, w tym rodziny Gołębieckich, spalono do fundamentów, co było karą za pomoc okazywaną Żydom. W swoich kazaniach zakazywał prześladować Żydów nawet przedwojenny narodowiec ks. Bolesław Czarkowski.

CZY BRONISŁAW P. BYŁ ZNANĄ POSTACIĄ W BRAŃSKU? CO WIADOMO O JEGO DZIAŁALNOŚCI PRZED WOJNĄ I JEGO UDZIALE W PONURYCH WYDARZENIACH CZASÓW OKUPACJI NIEMIECKIEJ?

MOSZKO O.[16]
Żyd, mieszkaniec Brańska

Ja R. znam od młodych lat jako mieszkańca Brańska, ponieważ urodziłem się w Brańsku i mieszkałem przez cały czas w Brańsku aż do 1945 roku. Sprzed wojny jest mi on znany jako organizator antyżydowskich działań w tak zwanej organizacji „Narodówka". Działalność przejawiała się w tym, że organizował pogromy na Żydów, wysuwał hasła antyżydowskie, żeby nie kupować u Żydów, bić Żydów itp. Ja widziałem na własne oczy, jak chodził on po ulicy miasta Brańsk, ubrany w żółtej bluzie, w berecie i z pasem koalicyjnym i agitował przeciwko Żydom.

Z okresu okupacji niemieckiej o nim wiem to, że z chwilą wkroczenia Niemców do Brańska, na drugi czy trzeci dzień po wkroczeniu, R. Bronisław, P. Józef, M., był policjantem potem za okupacji, i inni, których

nazwisk [sobie] nie przypominam, zebrali przeważnie starych Żydów i kazali rozbijać pomnik Lenina, który stał w parku w Brańsku, a następnie kazali nieść do rzeki i płakać. Powyższe wykonali bez rozkazu Niemców, na swoją rękę, gdzie głównymi inicjatorami byli: P., R. i P. oraz inni.

LEJB P.[17]
Żyd, mieszkaniec Brańska

Ja R. Bronisława znam od młodych lat, ponieważ mieszkałem w Brańsku i znałem go jako mieszkańca miasta Brańsk. Przed wojną wspomniany organizował bojkoty dla Żydów, był w tak zwanej organizacji „Narodówka". W 1937 r. stał on przed sklepami żydowskimi i nie wpuszczał ludzi do sklepu, krzycząc „precz z Żydami", „swój do swego kupować", co widziałem na własne oczy. Prowadził agitację antyżydowską wśród miejscowej ludności.

W okresie okupacji niemieckiej, w tydzień czasu po wkroczeniu Niemców do Brańska, zebrali się na czele z P. Józefem, R. Bronisław, P., imię nie pamiętam, M., imię nie pamiętam, bracia B., imion nie wiem, F., imię nie znam, i inni, wygnali Żydów do pomnika Lenina, który stał w parku miasteczka Brańsk, i kazali go Żydom rozedrzeć rękami, następnie włożyć do płachty i płakać nad nim, i nieść do rzeki Nurzec, gdzie sam brałem udział w powyższym fakcie. Głównymi organizatorami tego byli P. Józef i R. Bronisław, było parę Niemców przy tym, którzy stali z boku i śmiali się. Słyszałem od Oskara M., będąc w lesie w 1942 r., że widział on, jak R. gnał kijem przed sobą przez ulicę

Boćkowską i Bielską do żandarmerii J. Chaję i jeszcze jedną, której nie poznał.

W LISTOPADZIE 1942 R., W CZASIE LIKWIDACJI BRAŃSKIEGO GETTA, UDAŁO SIĘ ŻYDOM ZBIEC I UKRYĆ W OKOLICZNYCH LASACH.

MOSZKO O.[18]

Żyd, mieszkaniec Brańska

Rodzice moi, Zachariasz, Cahaja, oraz rodzeństwo Lejzorg, Juda z córką Bejdą i Szajną zostali deportowani w czasie likwidacji getta do Treblinki, gdzie zginęli. Ja 2 listopada 1942 r. wyszedłem z okrążenia i zbiegłem do lasu. Zbiegło w tym dniu i następnych kilku dniach około 850 osób, w tym dorośli przeważnie, ale były także i dzieci.

Pierwszą zimę do wiosny chodziliśmy niezorganizowani, poszukując pomocy po okolicznych wioskach. Ja szukałem pomocy u moich znajomych we wsiach: Brzeźnica, Oleksin, Poprawy [Popławy], Widźgowo, Kiersnowo, Chajewo [Chojewo], Klichy, Borchaty [Burchaty], Glinki i innych. Mało było przypadków, że można było zatrzymać się na parę dni. W lecie 1942 r. zaczęliśmy się organizować w partyzantkę. Broń kupowaliśmy u chłopów. Był wypadek, że pistoletem marki „Vis” dysponował pocztowiec niemiecki. Niektórzy znaleźli trochę broni w lesie. Jednocześnie organizowali się zbiegli z obozu jeńcy radzieccy. Budowaliśmy bunkry prowizoryczne, w których ukrywaliśmy się. W czasie wędrówki wiosną 1942 r. ja, Josel i Zawel, zwani „Bałtarzukami”, byli mieszkańcy Brańska, chodziliśmy po koloniach

i wioskach Pietraszko [Pietraszki], Kolonia Domanowska. To mógł być marzec 1942 r., pamiętam, że był to czwartek o zmroku, ja poszedłem na kolonie za chlebem, a moi towarzysze Josel i Zawel poszli poszukać „okopu”, w którym chowali się Mendel Ś. i Lejb R., byli mieszkańcy Brańska.

Po paru godzinach wrócili oni na miejsce umówionego ze mną spotkania i opowiedzieli mi, co następuje: gdy Josel i Zawel weszli do lasu, byli niedaleko okopu Mendela Ś. i Lejzora R., to usłyszeli głosy niemieckie z odległości 2–3 metrów. Skryli się oni wtedy w gęste zarośla. Czy widzieli Niemców, nie wiem, bo nie przypominam sobie, aby mi mówili, że widzieli ich. Nadmieniam w tym miejscu, że obaj mieli krótki wzrok. Gdy chodzili ze mną do lasu, to trzymali się mnie blisko, prawie że trzymali się za „poły”. Jednakowoż słyszeli wyraźnie z tak bliskiej odległości wszystkie pojedyncze głosy. Wśród głosów niemieckich odróżnili oni głos P., mieszkańca wsi Pietraszko [Pietraszki], którego dobrze znali osobiście.

Czy widzieli oni wówczas P. wśród Niemców, nie wiem. Nie przypominam [sobie], aby mówili oni o tym, że go widzieli. Usłyszeli za to, jak Niemcy rzucili granaty do schronu, które wybuchły. Gdy Niemcy odeszli, to Josel, Zawel przyszli do mnie, do okopu nie chodziliśmy patrzeć. Okop ten znajdował się na kolonii [nieczytelne – przyp. M.T.]. Następnego dnia we trójkę byliśmy u gajowego M., imienia nie znam, który i obecnie jest gajowym, w sąsiedztwie wsi Potoki.

M. powiedział nam, że Niemców przyprowadził do okopu Mendla Ś. i Lejzora R. ówczesny sołtys wsi

Pietraszko [Pietraszki], radził nam wystrzegać się go. Inni ludzie zamieszkali na koloniach mówili nam, że sołtys Pietraszko [Pietraszki] naprowadzał Niemców na okop Ś. i R.

[…] P. wydawał Żydów i Sowietów za kilo cukru.

ALTER T.[19]
Żyd, prezes Koła Żydów Brańskich

W zebranych przeze mnie materiałach o likwidacji brańskich Żydów figuruje nazwisko P. P. za czasów niemieckiej okupacji był sołtysem we wsi Pietraszko [Pietraszki], gmina Brańsk, powiat bielskopodlaski. Zajmował się dobrowolnie wyłapywaniem Żydów. Na wieś Pietraszki na początku 1943 r. przyszli dwaj Żydzi, bracia P. (przezwisko Baltarze), Joel, lat 27, szewc, i Zawel, lat 24, krawiec, zamienić ubranie na chleb. Chowali się w lesie na terenie wyżej wymienionej wsi. Sołtys P. śledził za nimi, zatrzymał ich, zmusił swoich ludzi do związania ich, przyprowadził żandarmerię, poprowadził ofiary na pole ze strony Domanowa. Razem z żandarmerią rozebrał Żydów do naga, rozstrzelał i pochował tamże. Dostał ubranie zamordowanych Żydów jako wynagrodzenie za swoją „pracę”.

WRAZ Z WKROCZENIEM NIEMCÓW DO BRAŃSKA W 1941 R. ZOSTAŁA UTWORZONA PRZEZ POLSKICH MIESZKAŃCÓW TZW. POLICJA OCHOTNICZA.

MOSZKO O.[20]
Żyd, mieszkaniec Brańska

Komendantem policji ochotniczej w Brańsku od początku okupacji był P. Jak długo był, określić nie mogę, lecz był nim dłuższy czas, jakie 7–8, a może 9 miesięcy. Zaczął grasować ze swymi podwładnymi strażnikami po Brańsku. Odnosił się do ludności żydowskiej gorzej jak gestapowcy, bił Żydów oraz obrywał Żydom brody.

JÓZEF P.[21]
Polak, mieszkaniec Brańska

Urodziłem się w 1898 r. w Kominach, woj. poznańskie. Ojciec posiadał trzy hektary ziemi. Uczęszczałem do szkoły powszechnej w Koninie do roku 1913. W tym roku wstąpiłem do gimnazjum. Nie skończyłem go, ponieważ w roku 1918 wstąpiłem jako ochotnik do 1. batalionu powstańczego z Poznania. W 1919 r. brałem udział w powstaniu poznańskim. Następnie poszedłem jako ochotnik na front pod Zbąszyń i Babimost.
W 1922 r. zostałem zwolniony z Wojska Polskiego. Powróciłem do domu i zacząłem pracować w urzędzie celnym w Dubaniu na Pomorzu. Stamtąd się zwolniłem w 1925 r. i pojechałem do Konina, pracowałem na gospodarstwie. W 1925 r. wstąpiłem do organizacji politycznej „Wyzwolenie”. W roku 1930 zostałem wysłany przez centralne władze „Wyzwolenia” na powiat bielskopodlaski w celach organizacyjnych. W 1930 r. ożeniłem się w Brańsku z M. Filomeną i osiadłem w tym mieście.
[…] W 1940 r. zostałem aresztowany przez władze sowieckie, siedziałem w Białymstoku i w Brześciu do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. W lipcu 1941 r. wróciłem do rodziny do Brańska, pracowałem na

gospodarstwie. W lipcu 1941 r. na zebraniu zwołanym przez księdza proboszcza Czarkowskiego i nauczyciela zostałem wybrany na komendanta straży obywatelskiej z Brańska.

SPOŚRÓD UCIEKINIERÓW Z BRAŃSKIEGO GETTA CHYBA W NAJBRUTALNIEJSZY SPOSÓB ZAMORDOWANO MAŁŻEŃSTWO W.

MULE K.[22]

Żyd, mieszkaniec Brańska

Pochodzę z Brańska, mieszkałem tam do czasu likwidacji getta. Później ukrywałem się w pobliżu Brańska. Pomocnikiem gajowego na kolonii Oleksin był w tym czasie Janusz, nazwiska nie pamiętam. W 1943 r., wspólnie z nieżyjącym K. (został zabity przez partyzantów w 1943 r.) złapali w lesie ukrywającego się adwokata, wraz z żoną. Widziałem, jak K. i Janusz zgwałcili żonę adwokata, a następnie K. postrzelił ich z dubeltówki. Działo się to na kolonii Oleksin, gdzie się ukrywałem. Następnie zawołali sąsiadów, których nazwisk nie pamiętam. Kazali im wykopać dół. Adwokat i jego żona jeszcze żyli. Wtedy Janusz i K. schwycili ich za nogi i za ręce i wrzucili ich do jamy, i sami ich zakopali. Ręka adwokata wystawała z ziemi. Wtedy Janusz począł ją nogami przydeptywać. Działo się to wiosną 1943 r.

[…] Janusz był na stanowisku gajowego i aktywnie współpracował z okupantem niemieckim. W roku 1942, 1 listopada, jak było zlikwidowane getto, to niektórzy z narodowości żydowskiej pouciekali, więc Janusz, będąc na stanowisku gajowego, łapał ludność

żydowską i zapędzał do żandarmerii w Brańsku, między innymi to byli W. Ajzyk z żoną i synem, R. Jankiel i kilka dzieci do lat 10, których imienia nie pamiętam, a także sam Janusz zastrzelił ze swoim wspólnikiem adwokata z żoną.

W roku 1943 na wiosnę we wsi Klichy pracowało dwóch Sowietów, później rzucili tę pracę i poszli w partyzanty. Janusz zobaczył tych dwóch partyzantów w swoim obchodzie w lesie, zawołał ich do siebie, podpuścił ich, a później zastrzelił. […] Był taki wypadek, że jeden chłopak zrobił sobie schron na polu. Janusz odnalazł ten schron, zabrał tego chłopaka ze sobą, obrabował go, u którego było przy sobie 200 dolarów, i z dubeltówki podstrzelił go, a później podstrzelonego, który jeszcze żył, zakopał żywcem. W tym samym czasie złapał Nechema K., którego zaprowadził do Brańska do żandarmerii, którego Niemcy rozstrzelali.

PAWEŁ D.[23]
Polak, mieszkaniec wsi Oleksin

Jak przypominam sobie, było to w 1943 r. wiosną, sadzono w tym czasie ziemniaki. Będąc w domu, usłyszałem w lesie oleksińskim dwa strzały. Po pewnym czasie przyszedł do mnie gajowy K. i kazał mi zaprzęgać konia do wozu.

Mówił, że pojedziemy do lasu wozić Żydów, albowiem pytałem się, dokąd pojedziemy. Z początku nie chciałem jechać, bo miałem pracę przy sadzeniu ziemniaków, wtedy K. powiedział: „Popróbuj nie pojechać, komunisto!”. K. wiedział, że gdy byli na naszym terenie Sowieci, ja pracowałem jako poborca,

i dlatego mnie tak nazwał. Bałem się K. i zmuszony byłem jechać. Po zajechaniu do lasu na dziewiąty kwartał zobaczyłem siedzącą na ziemi Żydówkę, która miała pokrwawioną głowę i rękoma przeczesywała sobie włosy. Ręce miała powalane krwią. K. mi powiedział, że siedząca Żydówka jest żoną adwokata, i kazał jechać dalej. W odległości około 200 metrów zobaczyłem leżącego Żyda, jako nieżyjącego. Zorientowałem się, że musiał on uciekać i postrzał otrzymał z tyłu w plecy. Śrut przeszedł na wylot i utkwił poza skórą na piersiach. Żyd ten był adwokatem. Adwokata tego włożono na furę i ja zawiozłem go do wykopanego już dołu przy gościńcu Brańsk – Dołubowo. Byli przy tym pomocnik gajowego Janusz W. i robotnik leśny Kazimierz J. – obecnie funkcjonariusz MO – był również Wacław K.

Następnie pojechaliśmy do siedzącej w lesie Żydówki, którą K. kazał kłaść na furmankę, a ponieważ ona jeszcze żyła, nie chciałem na to pozwolić, wówczas K. wysłał Wacława K. na gajówkę po naboje – bo przy sobie już nie miał. K. przyniósł dwa naboje, K. załadował strzelbę i strzelił do siedzącej Żydówki z odległości około 15–20 metrów, lecz chybił. Wówczas wziął strzelbę Janusz W. i też strzelił do niej, lecz nie trafił. Może dlatego, gdyż obaj byli pijani. Nie mając już naboi, Żydówkę załadowali na moją furmankę K., W. i J., którą również zawiozłem do wykopanego rowu. Wyrzucając ją z furmanki do jamy, Żydówka złapała się jeszcze ręką za kłonicę wozu, pozostawiając na niej odcisk krwawy całej dłoni. W ten sposób jeszcze żyjącą Żydówkę wrzucono do jamy. Jamę tę zasypał na polecenie K. Kazimierz J.

Przy tym K. i W. mówili, że w taki sposób trzeba wyniszczyć wszystkich Żydów i komunistów. Gdy Żydówkę przywieźliśmy do jamy, Janusz W. ściągnął z niej spódnicę i oddał Wacławowi K.

TO NIE BYŁA JEDYNA ZBRODNIA W POBLIŻU WSI OLEKSIN POMIĘDZY 1942 A 1944 R.?

JAKÓB S.[24]

Żyd, mieszkaniec Brańska

Wyłapywał Żydów i oddawał Niemcom sołtys wsi Olekszyn [Oleksin], gm. Olekszyn [Oleksin], pow. Bielsk Podlaski, A. Józef i B. W roku 1942, w miesiącu listopadzie, kiedy nieliczni Żydzi uciekli spod likwidacji getta w Brańsku i ukrywali się we wsi Olekszyn [Oleksin], to sołtys wsi A. Józef i jego wspólnik B. zorganizowali łapankę na ukrywających się Żydów. W tej liczbie ukrywających się byłem i ja, S. Jakub. Ja jak posłyszałem, że łapią, to czym prędzej schowałem się i schował się ze mną P. Arie Lejb. Z ukrycia swego myśmy widzieli, jak A. Józef i B. chodzili na czele watahy chłopów wiejskich i szukali wszędzie Żydów. A. Józef krzyczał na chłopaków: „Prędzej szukać i zamykać do chlewa! A potem prędzej jechać do Niemców”.

W wyniku tej łapanki złapali jedenastu Żydów, ale tego im nie wystarczyło. A. krzyczał, że tu powinni ukrywać się „J”, tak nas nazywali, lecz po dłuższym szukaniu nie znaleźli nas i odeszli. Za godzinę po tej łapance przyjechali Niemcy i wszystkich złapanych Żydów rozstrzelali. Ja sam słyszałem strzały. W międzyczasie, nim Niemcy przyjechali po tej

łapance, A. Józef i B. bili i znęcali się nad swymi ofiarami.

JÓZEF M.[25]
Polak, mieszkaniec Oleksina

Podczas okupacji niemieckiej w roku 1942, w porze jesiennej, jednej nocy nad samym ranem, przybiegł do mnie sołtys naszej wsi A. Józef, wraz ze swoim szwagrem, nazwiska go nie znam. Zapytali mnie, czy u mnie nie ma Żydów, ja im odpowiedziałem, że u mnie Żydów nie ma. Jednak nie uwierzyli dla mnie i zaczęli szukać w moich zabudowaniach. Przy czym znaleźli u mnie Żydów, co byli pochowani w chlewie. Tejże samej nocy, jak przychodził do mnie, to A. Józef nałapał na czele z innymi Żydów i zamknął ich do spichlerza. Powiadomił niemiecką żandarmerię, to przybyła i nałapanych Żydów przez A. wyprowadziła za wieś i rozstrzelała.

ZABIJALI TAKŻE BRACIA H.?

SYMCHA P.[26]
Żyd, mieszkaniec Brańska

Znam mieszkańca wsi Chojewo H. tylko z widzenia. Wolf A. i ja jesteśmy koledzy z lat dziecinnych. Chodziliśmy do jednej szkoły. W czasie okupacji, w listopadzie 1942, gdy Niemcy przystąpili do likwidacji getta, przyszedł do mnie w getcie Wolf A. i powiedział mi, że musimy się razem trzymać, aby się jakoś wyratować. Uciekliśmy z getta razem – ja, Wolf A., Szloma O. i Moszko S. Uciekliśmy za miasto Brańsk. Szloma O. i Moszko S. udali się w kierunku

wsi Chojewo i wsi Pacy [Pace]. Ja zaś i A. udaliśmy się do lasu w pobliżu Brańska, gdzie A. chciał poszukać swego brata.

Powiedział on S., iż jeśli brata nie znajdzie, to on po tygodniu postara się spotkać z S. koło Chojewa. Po tygodniu A. poszedł w kierunku Chojewa, aby z S. się zobaczyć. Po około 2 dni Wolf wrócił do mnie, do lasu koło Brańska, w towarzystwie K. Josela. A. opowiedział mi, że H. i K. złapali Moszka S. Co z nim zrobili, to on nie wie.

Po tygodniu przyszedł z lasu Rudka (w pobliżu wsi Rudka) P. Niomko oraz P. Chaim, którzy wiedzieli, gdzie my jesteśmy, i opowiedzieli mnie, Wolfowi A. i K, że znaleźli w rzece Nurzec, w pobliżu lasu, w którym się ukrywali – zwłoki Moszka S., które koło brzegu się zatrzymały. Udaliśmy się, ja, Wolf, K. Josel i P. Chaim oraz P. Niomko, w to miejsce, gdzie były zwłoki, i stwierdziliśmy, iż istotnie były te zwłoki S. Moszka. Były już wyciągnięte z wody. Pochowaliśmy je w pobliskim lesie. P. Niomko został zabity w 1943 czy 1944, K. Josel i P. Chaim wyjechali po zakończeniu wojny – dokąd, nie wiem. Dodaję, że głowa Moszka S. była prawie odcięta i trzymała się tylko na skórze.

MORDOWAŁ ŻYDÓW TAKŻE INNY GAJOWY Z BRAŃSKICH LASÓW, FRANCISZEK D.

PRYBUT LEJBKO P.[27]

Żyd, mieszkaniec Brańska

D. Franciszek, będąc gajowym, z początku okupacji niemieckiej chodząc po lesie z bronią, jaką wydali mu Niemcy, trafiając na jeńców sowieckich, natychmiast

ich likwidował, nawet nie odprowadzając ich do władz niemieckich. O powyższym fakcie ja dowiedziałem się z jego ust w czasie mojego spotkania z nim, zaznaczył mi on, „że dziś położył do dołu trzech kacapczuchy”, to znaczy żołnierzy Armii Czerwonej, którzy uciekli z niewoli od Niemców.

Po likwidacji getta w Brańsku, było to 1 listopada 1942 r., gdy część Żydów uciekła do lasu, wówczas D. Franciszek, spotykając ludność żydowską, która ukrywała się od Niemców w lasach, natychmiast ich wiązał do drzewa i dokonywał rewizję osobistą, z tym że który z Żydów miał przy sobie pewną ilość pieniędzy czy też złota i dobre ubranie na sobie, natychmiast osób tych likwidował na miejscu, zabierając wszystkie pieniądze, ubranie i obuwie. Natomiast, gdy spotkał się z biednymi osobami, którzy przy sobie nic cennego nie mieli, z miejsca wiązał im ręce i doprowadzał ich do żandarmerii niemieckiej w Brańsku. Spośród tych osób byli mi znani i sam widziałem naocznie, jak D. Franciszek doprowadził do żandarmerii niemieckiej Ajzyka W. oraz żonę jego Bejłę W. i syna ich Szlomę W., Herszka K., lat szesnaście, Nochima K. i szereg innych.

WOLF A.[28]

Żyd, mieszkaniec Brańska

Zamieszkując przed rokiem 1939 w Brańsku, znałem D. Franciszka, mieszkańca kolonii Szmurły, jako „narodowca”, który brał czynny udział w napadach na Żydów w Brańsku. W czasie okupacji niemieckiej D. Franciszek był gajowym. Będąc gajowym, posiadał on broń, z którą chodził po lesie i napadał na ludność

żydowską, która po ucieczce z getta brańskiego ukrywała się w lasach. Z miejsca zabierał ich i odprowadzał do żandarmerii niemieckiej w Brańsku.

NIE TYLKO ZE ZŁEM I ZDRADĄ ZETKNĘLI SIĘ UCIEKINIERZY Z BRAŃSKIEGO GETTA W CZASIE NIEMIECKIEJ OKUPACJI. SPOTKALI SIĘ TAKŻE Z PRZYPADKAMI BEZPRZYKŁADNEGO BOHATERSTWA SWOICH POLSKICH SĄSIADÓW.

ALEKSANDRA CZ. (Z.)[29]

Polka, mieszkanka Brańska

Przed naszym domem usłyszałam płacz dziecka. Gdy wyszłam na podwórze, zobaczyłam oparte o schody dziecko. Był to chłopak. W okolicy nie było nikogo widać. Wobec powyższego wraz z matką postanowiliśmy dziecko to zabrać do domu. Co uczyniliśmy. Później po pewnym okresie czasu od ludzi dowiedzieliśmy się, że dziecko jest żydowskie, a jego matka nazywa się Brocha Sz. Wiedzieliśmy, że matki w Brańsku nie ma i gdzieś się ukrywa.

Celem utrzymania dziecka przy życiu i w obawie przed konsekwencjami ze strony okupanta dziecko to ochrzciliśmy w kościele i nadaliśmy mu imię Adam. Adam wychowywał się w naszym domu. Dochodziły nas słuchy, że hitlerowcy chcą dziecko zabrać, lecz minęło kilka miesięcy i nikt się tym nie interesował. Pod koniec okupacji do mieszkania przyszli żandarmi i nakazali Adama dość ciepło ubrać, gdyż go zabierają. Nie chcieliśmy wydać dziecka, ale oni postawili na swoim i zabrali dziecko.

Podczas zabierania mówili nam, że wywożą dziecko do

matki. Później od ludzi dowiedzieliśmy się, że zostało ono rozstrzelane przed miejscowością Łubin Kościelny. Po powrocie jego matki do Brańska pytaliśmy się jej, czy wie coś na temat syna. Ona odpowiedziała, że nic nie wie. Powiedzieliśmy jej, że jej syn został rozstrzelany.

PO WOJNIE NIE DANE BYŁO OCALAŁYM ŻYDOM WRÓCIĆ DO BRAŃSKA NA STAŁE. ZOSTALI PRZEPĘDZENI PRZEZ MIEJSCOWYCH POLAKÓW. NIEKTÓRZY ZGINĘLI W TAJEMNICZYCH OKOLICZNOŚCIACH JUŻ PO WYZWOLENIU.

WOLWEL A.[30]
Żyd, mieszkaniec Brańska

W 1944 r. w Brańsku zostały wywieszone afisze następującej treści, że jeśli Żydzi nie wyniosą się z miasta, to ich wybiją! To było już po wyzwoleniu. Jak następnie dowiedziałem się od Sz. Lejba i Sz. Fajgiel, których obecnie nie ma w Polsce, bo wyjechali za granicę, że głównym agitatorem tego był R. Bronisław. Przed tym dniem, kiedy mieli oni [Polacy – przyp. M.T.] wywiesić afisze, otrzymali oni [Żydzi – przyp. M.T.] list, który był podrzucony dla wyżej wspomnianych Sz., ażeby oni odnieśli 50 tysięcy złotych kontrybucji pod klatkę nad rzekę Nurzec w Brańsku, co idzie się z Brańska do wsi Popławy.

MOSZKO O.[31]
Żyd, mieszkaniec Brańska

Po wyzwoleniu w 1944 r. zostały wywieszone afisze na tym domu, gdzie mieszkali Żydzi wspólnie w obawie

przed bandą. Na tej afiszy było napisane, ażeby wszyscy Żydzi wynosili się z Brańska, bo w przeciwnym wypadku pobiją. Przedtem został podrzucony list do Sz. Fajbla i Lejbka, w którym było napisano, ażeby Żydzi podłożyli pod klatkę na rzece Nurzec, idąc do wsi Popławy, 50 tysięcy złotych. Jak potem opowiadali Sz., że to było z inicjatywy R. Bronisława. Pieniądze te zostały podłożone pod klatkę czy nie, tego nie mogę stwierdzić.

Przypisy

[1] A. Cyruk, *Brańsk*, http://www.kirkuty.xip.pl/bransk.htm.
[2] Akta sprawy, IPN Bi 403/172.
[3] Akta sprawy, IPN Bi 404/257.
[4] Akta sprawy, IPN Bi 403/172.
[5] Akta sprawy, IPN Bi 408/248.
[6] Tamże.
[7] Akta sprawy, IPN Bi 403/133.
[8] Akta sprawy, IPN Bi 415/19.
[9] Akta sprawy, IPN Bi 415/82.
[10] Akta sprawy, IPN Bi 404/257.
[11] Akta sprawy, IPN Bi 403/172.
[12] Akta sprawy, IPN Bi 412/15.
[13] Akta sprawy, IPN Bi 403/52/1.
[14] Akta sprawy, IPN Bi 415/82.
[15] Tamże.
[16] Tamże.
[17] Tamże.
[18] Akta sprawy, IPN Bi 403/172.
[19] Tamże.
[20] Akta sprawy, IPN Bi 404/257.
[21] Tamże.
[22] Akta sprawy, IPN Bi 408/248.

[23] Tamże.
[24] Tamże.
[25] Akta sprawy, 386/PSOBiał/15.
[26] Akta sprawy, IPN Bi 403/52/1.
[27] Akta sprawy, IPN Bi 403/133.
[28] Tamże.
[29] Akta sprawy, IPN Bi 1/1083.
[30] Akta sprawy, IPN Bi 415/82.
[31] Akta sprawy, IPN Bi 404/257

Jasionówka

Interpretacja wydarzeń powstała na podstawie relacji polskich i żydowskich świadków, które są dostępne w materiałach sądowych i śledczych Instytutu Pamięci Narodowej.

Z kwestią udziału współmieszkańców w zagładzie ludności żydowskiej wiąże się zagadnienie służby Polaków w szeregach niemieckiej policji pomocniczej, powoływanej na terenach zajętych przez armię niemiecką, już po ukonstytuowaniu się na nich nazistowskiej administracji. Zjawisko to miało swoje podłoże w procesie, który rozpoczynał się na ogół na przełomie 1941 i 1942 r., kiedy niemiecka władza okupacyjna likwidowała, zorganizowane samorzutnie przez polskie podziemie antykomunistyczne, administracje miasteczek w rejonie białostockim i łomżyńskim, zajętych w czerwcu 1941 r. Następnie powoływała w ich miejsce własne siły policji pomocniczej, ale już na żołdzie niemieckim, bezpośrednio podporządkowane nazistowskiemu aparatowi terroru. W szeregi takich Hilfspolizei wstępowali na ogół członkowie pierwotnych milicji powoływanych od czerwca 1941 r., a proces ich formowania był przede wszystkim próbą wzięcia w karby przez niemieckie władze okupacyjne wcześniej samorzutnie utworzonych struktur polskiej administracji.

Oczywiście nie wszyscy członkowie milicji powołanych przez polskie podziemie antykomunistyczne w 1941 r. wstępowali do nowych formacji, część z nich natychmiast po otrzymaniu propozycji zmiany munduru szła do lasu i podejmowała walkę z niemieckim okupantem,

w szeregach Związku Walki Zbrojnej, Armii Krajowej czy Narodowych Sił Zbrojnych. Tym bardziej że polityka hitlerowców z początkowo łagodnej wobec ludności polskiej na Białostocczyźnie – co było konsekwencją jej wspierającej postawy wobec działań okupacyjnych wojsk niemieckich i wspólnych pogromów Żydów – z czasem się zbrutalizowała. Spotkało się to ze zdecydowanym oporem polskiego podziemia na tym terenie. Część jednak członków pierwotnych polskich milicji, które wystąpiły w roli gospodarzy wobec wojsk niemieckich w czerwcu 1941 r., a następnie wzięły udział w czystkach etnicznych ludności żydowskiej i romskiej, przeszła na służbę okupanta i nadal, w szeregach już niemieckich formacji policyjnych, stosowała terror, także przeciwko osobom narodowości polskiej, prowadzącym np. działalność konspiracyjną, zwłaszcza tym z partyzantki radzieckiej i komunistycznej.

W Jasionówce przed II wojną światową żyli obok siebie przedstawiciele trzech różnych wyznań, tworzący grupy o różnej kulturze, tradycjach i obyczajach: chrześcijanie wyznania rzymskokatolickiego, Żydzi oraz Tatarzy. Dwie pierwsze społeczności miały tu swoje świątynie i cmentarze, jasionóweccy Tatarzy natomiast udawali się na większe święta do meczetu w Bohonikach, także na tamtejszym mizarze grzebali swoich zmarłych.
W Jasionówce działały dwie bożnice, położone pomiędzy ulicami 3 Maja i 11 Listopada.

Tworzenie aparatu ucisku na terenie wsi Jasionówka rozpoczęło się w ten sam sposób jak w niemal każdej miejscowości rejonu. Zainicjowało go utworzenie pod koniec czerwca 1941 r. polskiej milicji antykomunistycznej, która przyjęła tu nazwę Komitetu Porządkowego. W jej skład weszli głównie członkowie przedwojennego Stronnictwa Narodowego.

Komitet utworzono z inicjatywy proboszcza miejscowej parafii Cypriana Łozowskiego, który także wyznaczył na stanowisko wójta gminy Jasionówka Marcelego K.[1], przed wojną najpierw członka miejscowego Koła Młodzieży Wiejskiej, następnie kierownika jego sekcji oświatowej, w końcu prezesa. Marceli K. wystąpił z organizacji w 1930 r., potem był członkiem Stronnictwa Ludowego „Piast” i z ramienia tej partii członkiem rady gminnej i członkiem wydziału powiatowego. Ostatnie lata przed wojną pełnił funkcję prezesa Stronnictwa Narodowego w Jasionówce. Trzeba bowiem pamiętać, że przed 1939 r. wieś była, jak i inne miejscowości tego regionu, poddana silnym wpływom środowisk prawicowych i narodowych. W 1941 r., tuż przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej Marceli K. został aresztowany przez NKWD pod zarzutem przynależności do nielegalnej organizacji mjr. Burskiego i ks. Szumowskiego z Jedwabnego. Pozostał w więzieniu w Białymstoku przez trzy miesiące. Wrócił do Jasionówki wraz z wkraczającymi na te tereny wojskami niemieckimi latem 1941 r., jak wielu innych polskich działaczy podziemia narodowego.

Komendantem milicji – Komitetu Porządkowego – został niejaki Leon K., a w jej skład wszedł również Antoni F., przedwojenny pracownik miejscowej poczty. Wraz z innymi członkami milicji 27 lub 28 czerwca 1941 r. dokonali pierwszego pogromu żydowskich mieszkańców miejscowości, zabijając tych, którzy w trakcie aresztowania próbowali uciekać lub stawiać opór. W czasie akcji zostało zamordowanych około 150 osób. Tydzień później, 6 lipca 1941 r., Antoni F. z członkami Komitetu Porządkowego aresztowali około 40 Żydów i Białorusinów posądzanych o sympatie komunistyczne i zawiadomili o tym organizujące się dopiero gestapo w Białymstoku. Niemcy zabrali, a następnie zabili aresztowanych.

Ostatecznie na jesieni 1941 r. Komitet Porządkowy został przemianowany przez władze okupanta na „policję pomocniczą” i podporządkowany niemieckiej żandarmerii w Knyszynie. Polscy milicjanci w większości zasilili szeregi niemieckiej policji pomocniczej, tak jak to miało miejsce w Knyszynie, Szczuczynie, Rajgrodzie, Grajewie czy w innych miejscowościach regionu. Dla władz okupacyjnych byli wiarygodnymi współpracownikami, ponieważ w okresie istnienia Komitetu Porządkowego, ale też i później, z własnej inicjatywy prześladowali, aresztowali i dopuszczali się zabójstw komunistów i Żydów – co potwierdzało ich skrajnie prawicowe i antysemickie zapatrywania polityczne i stanowiło dla okupantów zachętę do korzystania z ich usług. Niektórzy jednak z członków owego polskiego Komitetu Porządkowego zostali później przez Niemców rozstrzelani, bo okazywali się zbyt brutalni lub zbyt pazerni na majątek żydowski, nawet jak na „standardy niemieckie” – był to zresztą dość częsty przypadek, obserwowany też w innych miejscowościach.

Na podstawie ankiet *Egzekucje i miejsca straceń*, wykonywanych na zlecenie sądów grodzkich w 1946 r., można stwierdzić, że w Jasionówce w 1941 r. życie straciło około 300 Żydów. Pochowano ich na tamtejszym cmentarzu[2].

Z oskarżenia przeciwko Marcelemu K., wniesionego po wojnie, można się dowiedzieć, że w 1941 r. jako wójt Jasionówki wydał on Niemcom Władysława P., Antoniego Sz., Antoniego T. jako komunistów i wrogów III Rzeszy. Wszyscy trzej zostali zabici – Antoni T. zmarł w białostockim więzieniu po wstrzyknięciu trucizny, Antoni Sz. i Antoni T. zostali rozstrzelani. W akcie oskarżenia można również przeczytać, że Marceli K. wręczył władzom niemieckim sporządzoną przez podległych mu sołtysów listę

jasionóweckich Żydów, przez co ułatwił zorganizowanie w Jasionówce getta, a następnie wywiezienie Żydów do obozu koncentracyjnego. Wskutek tych działań śmierć poniosło około 1050 obywateli polskich narodowości żydowskiej.

26 sierpnia 1949 r. sąd skazał Marcelego K. na karę śmierci. Sąd apelacyjny podtrzymał wyrok wydany w pierwszej instancji. Dopiero Sąd Najwyższy 9 grudnia 1949 r. uchylił wyrok i wymierzył Marcelemu K. karę piętnastu lat więzienia. Sąd Najwyższy z uwagi na nowe okoliczności 13 listopada 1953 r. uchylił wyrok i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia. Pojawiło się bowiem zeznanie kuzynki Marcelego K., która w 1953 r. przypomniała sobie, że to ona wskazała Niemcom działaczy komunistycznych, a była wówczas dzieckiem i nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Ówczesny komisarz gminy, Polak, przypomniał sobie także w tym samym czasie, że listę Żydów sporządziła sama rada żydowska, a nie Marceli K. Było to sprytne posunięcie procesowe, bo członkowie Judenratu nie żyli i nie mogli opowiedzieć, jak było naprawdę. Sąd wyrokiem z 16 grudnia 1953 r. oczyścił Marcelego K. z wszelkich zarzutów.

Wracając jednak do niemieckiej policji pomocniczej: w jej skład weszli w części członkowie poprzedniego polskiego Komitetu Porządkowego oraz w części nowi ochotnicy. Należeli do niej m.in. Edward B.[3] (robotnik, ukończone sześć klas szkoły powszechnej) i Czesław N. (robotnik; żonaty, czworo dzieci). Aktem oskarżenia z 27 listopada 1967 r. zarzucono im, że latem 1943 r. jako funkcjonariusze policji pomocniczej, biorąc udział wraz z innymi policjantami w obławie na partyzantów dowodzonych przez „Krzywosza”, wypłoszyli z zagajnika żydowską kobietę o nieustalonej tożsamości i zabili ją na miejscu strzałem

z karabinu w klatkę piersiową. 13 września 1943 r. nieznany donosiciel poinformował policjantów w Jasionówce, że w zabudowaniach Feliksa N. na kolonii Ogrodniki ukrywają się partyzanci żydowscy. Poinformowani otoczyli stodołę, a następnie wystrzałem z rakietnicy ją podpalili. Z płonącego budynku wyskoczył jeden partyzant, którego zastrzelono, pozostali trzej się spalili. 24 grudnia 1943 r. polscy żandarmi na kolonii Słomianka uczestniczyli w akcji likwidacyjnej, w wyniku której śmierć ponieśli Honorata P. i Wacław K. Ponadto w toku śledztwa ustalono, że obaj ochotniczo wstąpili do polskiej żandarmerii na żołdzie niemieckim w Jasionówce, obu przydzielono umundurowanie, karabiny i amunicję.

Kolejny policjant pomocniczy z Jasionówki, Antoni M.[4], zeznał, że powodem podjęcia przez niego służby w tej formacji była chęć uchronienia się przed wywiezieniem na roboty do Niemiec. Podał również skład osobowy posterunku: Józef Sz., Sabin G., Stanisław Z., Edward B., Jan S. i Wacław M., Edward R., Władysław G., Jan G., Antoni R., Konstanty M., Edward B.; w trakcie śledztwa zeznał także, że został zaprzysiężony jako członek Armii Krajowej przez Edwarda P., pseudonim „Popiel”, w Jasionówce i przez niego wysłany do miejscowej żandarmerii w charakterze wywiadowcy. Jego zadaniem było obserwowanie ruchów wojsk niemieckich oraz donoszenie partyzantom o akcjach planowanych przez policjantów. Służył w policji pomocniczej do 1943 r. Ubranie miał cywilne, ale dostał karabin mauzer z 15 nabojami i opaskę na ramię. Otrzymywał wynagrodzenie pieniężne wraz z kartkami żywnościowymi. Razem z nim pracowali w policji: Sz., S., G., G., Jan S., Edward R., Stanisław Z., Wacław M., Czesław N., K.

Żandarmi pomocniczy z Jasionówki

W swoich zeznaniach utrzymywał, że w czasie likwidowania getta w Jasionówce w styczniu 1943 r. w zabijaniu ludności żydowskiej udziału nie brał. Potwierdził natomiast, że miejscowych Żydów wywieziono na stację kolejową w Knyszynie, a stamtąd przetransportowano do Treblinki. 6 grudnia 1967 r. skazano N. na karę pięciu lat pozbawienia wolności, a B. od stawianych mu zarzutów uwolniono.

Kolejnym policjantem pomocniczym z Jasionówki sądzonym po wojnie był Sabin G.[5], Polak, przedwojenny robotnik, mieszkaniec wsi, z ukończonymi trzema klasami szkoły powszechnej. W akcie oskarżenia z 29 listopada 1966 r. zarzucono mu, że jako ochotniczy funkcjonariusz policji niemieckiej w Jasionówce od lata 1942 r. do lipca 1944 r., wraz z innymi policjantami brał udział w akcjach,

podczas których dokonano następujących zabójstw: latem 1943 r. na kolonii Bagno zastrzelono Żydówkę o nieustalonych personaliach; 13 września tego samego roku w zabudowaniach Feliksa N. w Ogrodnikach zabito czterech nieznanych Żydów; 24 grudnia na kolonii Słomianki zamordowano Wacława K. i Honoratę P. Sąd 20 stycznia 1967 r. skazał go na sześć lat pozbawienia wolności i utratę praw obywatelskich i honorowych na okres lat trzech.

Następny policjant, Władysław G.[6], także był mieszkańcem Jasionówki, Polakiem i w czasie okupacji niemieckiej komendantem jasionóweckiej policji pomocniczej. W akcie oskarżenia z 10 czerwca 1949 r. można przeczytać, że brał udział w zabójstwie dziesięciu osób podejrzanych o przynależność do partii komunistycznej: Josela A., Lejba D., Motela i Szejny O., Owsieja D., Josela B., Motela S. i trzech innych Żydów o nieustalonych personaliach. Dopisano później odręcznie na akcie oskarżenia ich nazwiska: Motel A., J., M. W 1941 r. dostarczył żandarmerii niemieckiej listę 41 Żydów, rzekomych członków partii komunistycznej; wszyscy wskazani zostali rozstrzelani. W tym samym czasie G. zastrzelił ukrywającego się w lesie w okolicach Jasionówki żołnierza radzieckiego, a później dwóch kolejnych, o nieustalonych personaliach. Wskazał też na Żydów Dawida J. i Zejdlę M. jako komunistów i ci też zostali rozstrzelani. W 1942 r. w Jasionówce zastrzelił Szyję A. i żydowską rodzinę Ch. i W., a we wsi Grabówka ukrywających się G. i Sz. W 1943 r. w Jasionówce wydał w ręce żandarmów niemieckich troje dzieci Szlomy Sz., które zostały wywiezione do obozu i tam zamordowane. W tym samym czasie schwytał dwie Żydówki o nieustalonej tożsamości, zgwałcił je, a potem odstawił na jasionówecki

posterunek żandarmerii, gdzie zostały zabite. W tym samym roku w pobliżu fabryki M. w Jasionówce zastrzelił Polaka o nieustalonej tożsamości.

25 stycznia 1943 r. w Jasionówce w czasie likwidacji getta zastrzelił ukrywających się Żydów: Maszkę P., Maszę M., Uysela S., Icka P., Abrama B. oraz żydowskiego młynarza z Knyszyna, tożsamości nieznanej. W maju 1943 r. w kolonii Krzywa zastrzelił zatrzymanego Feliksa D. Latem 1943 r. zastrzelił ukrywającego się oficera radzieckiego o nieznanej tożsamości. W okresie między 1941 a 1944 r. pobił: Szmula K., Szlomę Sz., Michaela S., Zelika A., Marię S., Kazimierza G., Edwarda G. W 1942 r. w Jasionówce dokonał gwałtu na ukrywającej się Helenie G., Żydówce, córce rabina.
W okresie od 1941 do lipca 1944 r. wymusił pod groźbą wydania Niemcom od Szmula K. – biżuterię, od Abrama P. – 250 marek niemieckich, 2 obrusy, materiał na ubranie, od Marii S. – zegarek i biżuterię, a od Szymona Z. – 5 par butów. 10 stycznia 1950 r. sąd uznał G. za winnego zarzucanych mu czynów i skazał na karę śmierci. Wyrok wykonano.

Konstanty M.[7], narodowość: polska, wykształcenie: siedem klas szkoły powszechnej, mieszkaniec Jasionówki. Z aktu oskarżenia z 31 sierpnia 1967 r. wynika, że na kolonii Bagno brał udział w akcji likwidacyjnej, w trakcie której zabito Żydówkę o nieustalonych personaliach, 13 września 1943 r. na kolonii Ogrodniki uczestniczył w zabójstwie czterech Żydów, a 24 grudnia 1943 r. na kolonii Słomianka – zabójstwie P. i K. Sąd 27 września 1967 r. orzekł, że Konstanty M. jest winny zarzucanych mu czynów, i skazał go na sześć lat pozbawienia wolności oraz utratę praw publicznych na okres lat czterech.

Stanisław Z.[8], Polak, przedwojenny robotnik, z zawodu zbrojarz; ukończył siedem klas szkoły powszechnej; ojciec

czwórki dzieci. 20 lutego 1967 r. oskarżono go, że od 1942 do 1944 r. w Jasionówce, jako funkcjonariusz policji niemieckiej, brał udział w akcjach, w trakcie których zastrzelono: na kolonii Bagno Żydówkę o nieustalonej tożsamości; 13 września 1943 r. czterech nieznanych Żydów; 24 grudnia tegoż roku Honoratę P. i Wacława K. 28 kwietnia 1967 r. zapadł wyrok skazujący go na pięć lat pozbawienia wolności i sześć miesięcy pozbawienia praw publicznych.

JAK ZAPAMIĘTALIŚCIE DZIEŃ LIKWIDACJI SPOŁECZNOŚCI ŻYDOWSKIEJ W JASIONÓWCE?

ANTONI M.[9]
Polak, mieszkaniec Jasionówki

Daty dokładnie nie pamiętam, był mróz, wywożono Żydów z Jasionówki, dokąd, nie wiem, zabrano wówczas wszystkich Żydów. Dużo zastrzelono na miejscu, zwłoki zabitych następnie rakarz zwoził na cmentarz żydowski i tam grzebał. Nazwiska rakarza nie znam. Osobiście nie widziałem, kto strzelał Żyda. Ja na polecenie amtskomisarza wyprowadzałem Żydów z domów i prowadziłem na rynek w Jasionówce, robiłem to przeważnie z Z. Stanisławem. […] Następnie wywieziono Żydów furmankami z Jasionówki.

JAN S.[10]
Polak, mieszkaniec Jasionówki

[…] Od jesieni 1942 r. do końca maja 1944 r. pracowałem w charakterze policjanta przy amtskomisarzu w Jasionówce. Prócz posterunku

policji niemieckiej przy amtskomisarzu był jeszcze jeden posterunek żandarmerii. Na posterunku żandarmerii była większość Niemców, żandarmów, oraz kilku Polaków, policjantów. Pamiętam, że na posterunku żandarmerii pracowali: M. Konstanty, Czesław N., S. Jan, S. Konstanty, K. oraz G. Władysław. Żydów wywożono z Jasionówki w styczniu 1943 r., był śnieg i silny mróz. Na akcji tej żandarmi niemieccy byli ubrani w białe ochronne ubrania. Ilu Żydów zastrzelono w Jasionówce, nie wiem, pochowano ich na cmentarzu żydowskim w Jasionówce. Ja w tym dniu miałem za zadanie pilnowanie mienia pożydowskiego w rynku, by cywile nie rozkradli.

KIM BYŁ WŁADYSŁAW G., ZNACZĄCA POSTAĆ W WOJENNEJ HISTORII JASIONÓWKI?

WOLF S.[11]

Żyd, mieszkaniec Knyszyna

Po wojnie zamieszkał w Rzymie i tam w Związku Żydów Polskich we Włoszech opowiedział poniższą historię

Przed wojną i w czasie okupacji niemieckiej mieszkałem w Knyszynie, pow. Białystok, gdzie się urodziłem. Mieszkałem tam aż do likwidacji Żydów w tym mieście, to jest do dnia 2 listopada 1942. Razem z żoną, synkiem i kuzynką – Jadzią L., c. Ajzyka i Lei, ur. w Łodzi i tamże do wojny zamieszkałą (przy ul. Kamiennej 4), która w czasie okupacji niemieckiej od r. 1939 mieszkała u mnie w Knyszynie, w dniu 2 listopada 1942 opuściłem Knyszyn i uciekłem do pobliskich lasów. Po 10 dniach przeniosłem się z lasów do miasteczka Jasionówka (pow. Białystok), 12 km od

Knyszyna, gdzie Niemcy pozostawili Żydów, nie likwidując ich aż do dnia 25 stycznia 1943 r.

G. Józefa [świadek myli imię – przyp. M.T.], także jak i ja urodzonego i zamieszkałego w Knyszynie, znałem od dzieciństwa. Był on woziwodą. W czasie okupacji niemieckiej został on volksdeutschem i wstąpił do niemieckiej policji (nosił zielony mundur), brał czynny udział w likwidowaniu getta i wysiedlaniu i mordowaniu ludności żydowskiej. Znał język żydowski. 25 stycznia 1943 r. uciekliśmy z Jasionówki ponownie do lasu. Byłem z całą rodziną, tj. żoną, synkiem i kuzynką. Po trzech dniach, w czwartek dn. 28 stycznia 1943 r., szliśmy brzegiem lasu we wsi Wodziłówka po żywność. Była godz. 1 min 30 po pół. Zauważyłem, że jadą sanki, a na nich G., w niemieckim płaszczu. Był on sam. Uciekłem z żoną i synkiem do lasu, kuzynka biegła również, lecz została z tyłu, po trzech dniach błąkania się w lesie na mrozie była już słaba, i G. ją dogonił. Usłyszałem strzał. Działo się to w pobliżu domu szewca S. Feliksa, na górce, gdzie ten dom stoi samotnie w lesie, należy do wsi Wodziłówka. W nocy wróciłem na to miejsce, kuzynka leżała zabita z raną w czole, niepogrzebana. Potem ludzie ze wsi pochowali ją w tymże miejscu. W wrześniu 1944 r. po oswobodzeniu nas przez Armię Czerwoną pojechałem wraz z 6 osobami na to miejsce, wykopaliśmy zwłoki kuzynki i pochowaliśmy na cmentarzu w Knyszynie.

[…] Uzupełniając, podaję, że 25 stycznia 1943 rano G. porwał żonę i syna i oddał przy mnie w ręce Niemców, bijąc ich przykładnie (karabinem). W czasie transportu do pociągu (droga była 14 km) miały miejsce fakty opisane w piśmie.

SZLOMA A.[12]
Żyd, mieszkaniec Jasionówki

Znam G. Władysława, ponieważ razem z nim mieszkałem w Jasionówce, pow. białostockiego, […] gdzie również pracował [on] we młynie Dawida J. i jak okupant niemiecki objął Jasionówkę, to oskarżony wstąpił do policji i początkowo chodził tylko z opaską, a potem nosił mundur i broń. Oskarżony za bytności władzy radzieckiej pracował w sieloswiecie i wiedział o wszystkim, kto służył w wojsku sowieckim, bo Sowieci brali do wojska na 6 tygodni i wysyłali do Osowca na ćwiczenia, i kto należał do partii, i na tej podstawie chodził z Niemcami i wyłapywał Żydów. W 1941 r. latem wydał on w ręce niemieckie 42 osoby, które służyły w Armii Czerwonej i należały do partii, gdzie ludzie ci zostali rozstrzelani przy koszarach dziesiątego pułku w Białymstoku. Między tymi ludźmi znajdował się również mój brat A. Motel. Nadmieniam, że z tych 42 ludzi dwóch zdołało zbiec. […] Następnie dopuszczał się gwałtu na kobietach, które zabierał z domu pod karabinem i mówił, że prowadzi do posterunku. Miało to miejsce w Jasionówce, gdzie G. zabrał z domu G. Helę wieczorem pod pozorem aresztowania i dopuścił się gwałtu, co osobiście widziałem, a gdy napotkał jej opór, to groził, że ją zastrzeli. Było to u S. na podwórku. Dopuszczał się rabunku osób cywilnych, u K. Szmula zamieszkałego w Jasionówce, gdzie zrabował biżuterię wartościową i pobił członków tej rodziny w dotkliwy sposób kolbą karabinu, za to, że nie chcieli mu dobrowolnie oddać.

[…] Następnie wydał w ręce niemieckie dwóch obywateli, Dawida I. i M. Zejdla, których Niemcy rozstrzelali. Wydani byli za to, że należeli do partii. W tymże roku 1942 pobił dwóch Żydków, którzy należeli do „Judenradu” [Judenratu], za to, że nie chcieli mu dać złota, i powiedział: gdy mu nie dadzą, to weźmie dwudziestu zakładników [za] to.

Pobił ich w Jasionówce na ul. Grodzieńskiej, gdzie ja sam widziałem. Z pobitych było to Sz. Szloma i Michael S. Sz. miał złamaną rękę od uderzenia kolbą karabinu; oraz ob. A. Zelika, który pracował w fabryce kleju i nie miał środków do utrzymania dla swojej rodziny, więc poszedł prosić do ludzi żywności, to G. złapał go na kol. K. przy rowie i pobił tak, że nie mógł wstać, to włożył go na furmankę i przywiózł do „gestapo”, gdzie trzymali go przez cały dzień i bili go do nieprzytomności, a G. trzymał go za głowę. W 1943 r. w m-cu styczniu 25 podczas likwidacji „Getha” [getta] w Jasionówce ludność zaczęła uciekać, to G. osobiście strzelał do uciekających, gdzie został zabity P. Maszko i młynarz z Knyszyna, nazwiska nie pamiętam, a dla mnie udało się później zbiec z pociągu i ocalałem. Ponadto G. wziął od Sz. Szlomy troje dzieci na przechowanie, za co pobrał od ww. większą sumę pieniędzy w złocie i dolary, a później podczas likwidacji przyprowadził ich i oddał w ręce Niemcom, gdzie zostali wywiezieni razem z innymi.

Ciała Żydów zamordowanych w akcji eksterminacyjnej w Jasionówce, styczeń 1943 r.

[…] W styczniu 1943, kiedy Niemcy w Jasionówce likwidowali Żydów, to ja zbiegłem do lasu koło Grabówki i tam ukryłem się za kupą kamieni. Pod wieczór około godz. 3 zauważyłem, jak G. z 4 Niemcami prowadził rodziny G. i Sz., składających się z 9 osób, i zatrzymali się oni na skraju lasu przy jamach po glinie, w odległości około 100 metrów od naszej kryjówki, i widziałem, jak oskarżony zdjął karabin i postrzelał wszystkich prócz syna Bejlacha, który płakał, a Niemcy kazali go dostarczyć do getta do Białegostoku, to oskarżony bez rozkazu Niemców wówczas na miejscu i jego zastrzelił. Z naszej

kryjówki było dobre pole widzenia, bo byliśmy na górce.

[…] W Jasionówce getta nie było, bo było za mało Żydów, lecz w styczniu 1943 r. Niemcy likwidowali Żydów w ten sposób, że otoczyli Jasionówkę i wyłapywali Żydów, lecz ktokolwiek mógł, to uciekał, i ja zbiegłem, ukrywając się początkowo w chlewie u D., to oskarżony tam mnie przyłapał i poprowadził na rynek, skąd już nie uciekłem, a tylko ja z bratem uciekliśmy już od Niemców z pociągu. Widziałem, jak oskarżony zastrzelił uciekających z rynku P. i młynarza z Knyszyna B. […] Zdjęcia robił mój brat na cmentarzu, który był pod Jasionówką. Fotografie przedstawiają pomordowanych Żydów pozbieranych po likwidacji Żydów w Jasionówce oraz Żydów zabitych w lesie; jak również i negatyw z tego samego zdjęcia.

Jak oskarżony gwałcił G., to widziała tylko nasza rodzina.

[…] Następnie [G.] sam osobiście rozstrzelał całą rodzinę żydowską Chackiela W. bez żadnych przyczyn, jedynie za to, że byli Żydami. Zabił on również ob. polskiego koło fabryki M. w Jasionówce, bez żadnej przyczyny. G. również osobiście rozstrzelał dziesięciu ludzi w lesie księdzowskim koło Jasionówki za to, że podczas pobytu wojsk sowieckich od 1939 do 1941 pracowali w fabryce i należeli do partii.

MARIA S.[13]

Żydówka, mieszkanka Jasionówki

[…] Wiem, że [G.] sporządził listę wszystkich Żydów i ci mieli się stawić do Niemców w liczbie 42, i kiedy

stawili się najlepsi obywatele, Niemcy ich zwolnili, lecz kiedy następnie znowu kazali stawić się, a jeśli kto nie stawił się, to aresztowany spędzał, to już oni nie wrócili, a wywieziono ich do Białegostoku i tam pomordowano. Z liczby 42 wrócił tylko S., któremu udało się uciec i o tym wszystkim opowiadał. Wówczas jeszcze nie była ustalona żadna władza niemiecka i tylko oskarżony sam się tym zajął.

W tydzień znowu oskarżony zebrał 11 Żydów, w tej liczbie był mój wujek Szloma O., z synami, i ich wywieźli do lasu księżowskiego. Zaznaczam, że zabierane było początkowo 7 osób, a po tym 4 osoby. Ciotka moja przyjechała do mnie zdenerwowana i razem z nią pobiegłyśmy do tego lasku, z ukrycia w niedalekiej odległości widziałam, jak oni kopali sobie jamy i oskarżony dał do nich pierwszy strzał, a 2 stojących Niemców udziału nie brało i jak zakopywali zabitych, to jeszcze się ziemia ruszała. Ja zostałam z bratem, a kiedy on poszedł do pracy, to przyszedł oskarżony po mnie i na moje zapytanie, dokąd on mnie poprowadzi, odpowiedział: „Nie pytaj, a chodź”, i uderzył mnie pytą, i zaprowadził do aresztu, a następnie chciał mi obciąć włosy, abym się od tego wykupiła, dając mu kożuszek oraz pierścionek.

Następnie dopuszczał się gwałtu na kobietach młodych. Miało to miejsce w Jasionówce, kiedy pod pozorem aresztowania zabrał z pola młodą dziewczynę G. Helę i pod groźbą zmusił do czynu nierządnego. […] Widziałam, jak oskarżony puścił prowadzoną przez siebie Helę G., i ona mówiła, że ją zgwałcił, a następnie ona po tym zwariowała. Do tego czasu, dopóki oskarżony z nią tak nie postąpił, była ona normalna. Miała ona lat 18.

[…] W okropny sposób pobił mojego kuzyna, że ten dłuższy czas nie mógł chodzić i był chory bez przerwy, a później przyszedł na rewizję z powrotem i zabrał wszystkie lepsze rzeczy i biżuterię oraz zagroził, żeby nikomu nie mówić, bo jak się Niemcy dowiedzą, to przyjdzie i wszystkich wystrzela. Przy likwidacji „getha" [getta] G. chodził i zabierał całe rodziny i zaprowadzał na rynek oraz do uciekających osobiście strzelał; zabił P. Moszka oraz bardzo dużo innych i dużo ludzi było w straszny sposób pobitych przez niego, między tymi była pobita moja siostra.

ROMUALD S.[14]
Polak, urodzony w Jasionówce;

W 2002 r. złożył niniejsze zawiadomienie do IPN

Mordu dokonał Polak, który pracował w policji niemieckiej, o nazwisku G. Zamieszkiwał on w Jasionówce przy ul. Grodzińskiej 52, naprzeciw naszego domu. Rodzina G. to: córka Katarzyna, syn Kajetan G. oraz żona, imienia nie znam. […]
O zdarzeniu mordu Żydów w Jasionówce opowiadała mi, gdy byłem już dorosły, moja siostra Apolonia K. z domu S., która już nie żyje od 1998 r. Stwierdziła, że mając 15 lat, urodzona była w 1926 r., widziała osobiście, jak pan G. zebrał na ul. Grodzińskiej dużą ilość Żydów i wszystkich wystrzelał osobiście, a potem trupy załadowano / wrzucono na furmanki chłopskie i wieziono w kierunku rynku w Jasionówce. Niektóre z osób rozstrzelanych jeszcze dawały oznaki życia, głowami zwłoki zwisały w dół z furmanek i czaszkami gruchotały o bruk. Chłopak, nastoletni Żyd, schował się w zabudowaniach Polaków, ale G. wytropił go i zabił.

Ilu Żydów mieszkało przed wojną we wsi Jasionówka, nie wiem, ale było ich sporo, ponieważ trupów wieźli na kilku furmankach. Gdzie spoczęły ciała tych Żydów, nie wiem. Nigdzie nie ma ich grobu w Jasionówce.

CZY BYŁY INNE WYPADKI ZABIJANIA W OKOLICACH JASIONÓWKI CZŁONKÓW SPOŁECZNOŚCI ŻYDOWSKIEJ?

JÓZEF SZ.[15]

Polak; ochotniczo w policji pomocniczej na żołdzie niemieckim

W pierwszych zimowych miesiącach 1943 r. był śnieg, daty bliższej nie pamiętam, ja, tj. Sz. Józef, G. Jan i S. Konstanty – wszyscy trzej uzbrojeni w karabiny, ja w rosyjski, natomiast G. i S. w karabiny włoskie – szliśmy w pobliżu jednej kolonii, oddalonej od Jasionówki około 1,5 km […]; budynków mieszkalnych tam nie było, jedynie na wzgórku na polu była zrobiona piwnica. Około godziny dwunastej, przechodząc w pobliżu tej piwnicy, zauważyliśmy, jak od piwnicy w kierunku Jasionówki szedł samotny mężczyzna bez broni. Przypuszczam, że on nas zauważył i dlatego zaczął biegiem uciekać. Który z nas, obecnie już nie przypominam [sobie], krzyknął na tego mężczyznę, żeby się zatrzymał. Nieznany mężczyzna uciekał w dalszym ciągu. Wówczas S. Konstanty i G. Jan z pozycji stojącej […] oddał strzał z posiadanego karabinu do tego mężczyzny. Po strzale mężczyzna ten upadł. Zbliżyliśmy się do leżącego, który jeszcze żył – trafiony był kulą w okolice brzucha. Na podstawie wyglądu zewnętrznego

wywnioskowaliśmy, że postrzelony jest Żydem, ponieważ miał wybitnie semickie rysy. Ja tego Żyda nie znałem, możliwe, że znał go G. Jan. Do leżącego Żyda z odległości około 1 m G. Jan oddał strzał z posiadanego karabinu. Strzelał, trzymając karabin w jednej ręce. Wyjaśniam, że karabiny włoskie były lekkie, dlatego też z łatwością mógł celować z tej odległości, trzymając karabin w jednej ręce. Ten strzał był śmiertelny […]. Trupa nie grzebaliśmy, zostawiając na śniegu.

JAN S.[16]

Polak; wstąpił do policji pomocniczej z lęku przed wywiezieniem na roboty, służył od 1942 do 1944 r.

Gdy byliśmy na patrolu […] w pewnym momencie z jednego lasku do drugiego przebiegła młoda dziewczyna w wieku około 19 lat bez broni, któryś z policjantów lub żandarmów zastrzelił ją. Później chwalił się Ś., imienia nie pamiętam, że to on zastrzelił tę dziewczynę. Okazała się, że zabita była Żydówką, która ukrywała się razem z K.

Dziewczynę tę zabito w pobliżu kolonii Bagno; gdzie ją pochowano, nie wiem. Na akcji tej prócz mnie, to jest Jana S., byli inni policjanci i żandarmi, między innymi A. i K.

OSKAR M.[17]

Polak, żandarm z Jasionówki

[…] Przymusu do zabijania nie było, bo zawsze był ktoś chętny, kto to wykonał. Komendant tylko powiedział, że trzeba zabić, a zaraz znalazł się taki, co uczynił to z przyjemnością. Ta akcja z Żydami to był

pierwszy wypadek w moim życiu, gdy widziałem, jak zabijają ludzi, a zabicie Jana O. i jego żony to drugi wypadek.

[…] Był taki wypadek, że na posterunku siedział w areszcie od kilku dni mężczyzna młody, przyprowadzony na posterunek, mówili, że to Żyd. Gdy żandarm T. i komendant M. jechali do wsi, a mnie wzięli jako tłumacza, M. powiedział, że na furmankę trzeba zabrać tego mężczyznę, który siedzi w areszcie. Wzięto go na furmankę i podjechali w rejon cmentarza żydowskiego w Gródku. Tam M. kazał się zatrzymać, T. zszedł z wozu, kazał zejść temu mężczyźnie i poprowadził go do lasku na górkę. Na wozie ja zostałem, komendant M. i ten, co prowadził furmankę. Po chwili usłyszałem strzał, a następnie wrócił sam T. i powiedział: „Już gotowy”, zrozumiałem, że został zabity.

KIM BYLI ŻANDARMI Z JASIONÓWKI PRZED WOJNĄ? DO JAKICH PARTII POLITYCZNYCH NALEŻELI?

KONSTANTY B.[18]
prokurator z prokuratury białostockiej

[…] Marceli K., będąc aktywnym działaczem Stronnictwa Narodowego do 1939 r., postanowił w okresie okupacji „rozwiązać” kwestię żydowską. W tym celu sporządził spis wszystkich ob. polskich narodowości żydowskiej i wręczył go Niemcom, umożliwiając im w ten sposób zorganizowanie „getha” [getta], a następnie likwidację Żydów. W lipcu 1941 r. Marceli K., kontrolując wraz z gestapowcami mieszkania ludności żydowskiej, przewyższał Niemców w gorliwości zabierania mienia i inwentarza Żydom […]. Będąc do 1939 r. aktywnym działaczem Stronnictwa Narodowego, Marceli K. z sadyzmem odnosił się do ludności żydowskiej i zabrał u Z. konia wysokiej jakości, którego używał do 1944 na swoim gospodarstwie […]. Faktem jest, że Marceli K. zabierał mienie ludności żydowskiej, gdyż po ustąpieniu ze stanowisku wójta był nawet ścigany przez władze niemieckie za chciwość w zabieraniu mienia ludności żydowskiej.

SZLOMO SZ.[19]
Żyd, mieszkaniec Jasionówki

[…] F. Antoni, z chwilą gdy Armia Czerwona ustąpiła z terenów Polski, nawiązał współpracę z komitetem,

który został wybrany spośród „narodowców”, czyli Narodowych Sił Zbrojnych. W pierwszy dzień [czyli 27 lub 28 czerwca 1941 r. – przyp. M.T.] F. Antoni z całym komitetem urządzili aresztowanie Żydów, przy aresztowaniu którzy próbowali uciekać, zostali zabici, w tym dniu zostało zabitych około 150 Żydów.
W tydzień później [prawdopodobnie 6 lipca – przyp. M.T.] F. Antoni z komitetem aresztowali około 40 ludzi wyznania mojżeszowego i Białorusinów, o których zawiadomili gestapo w Białymstoku, którzy zostali zabrani i wybici męczarnią, spośród 40 osób zdołało zbiec parę osób, którzy o powyższym opowiedzieli. […] F. był współpracownikiem szefa komitetu, Leona K.

Oskar M. wskazuje po wojnie miejsce rozstrzelania siedmiu Żydów

Przypisy

[1] Akta sprawy, IPN K 146/53.
[2] Akta sprawy, IPN GK 162/419.
[3] Akta sprawy, IPN Bi 408/252.
[4] Akta sprawy, IPN Bi 408/243.

[5] Tamże.
[6] Akta sprawy, IPN Bi 403/49/1.
[7] Akta sprawy, IPN Bi 408/249.
[8] Akta sprawy, IPN Bi 408/247.
[9] Akta sprawy, IPN Bi 408/252.
[10] Akta sprawy, IPN Bi 408/243.
[11] Akta sprawy, IPN Bi 403/49/1.
[12] Tamże.
[13] Tamże.
[14] Tamże.
[15] Akta sprawy, IPN Bi 408/242.
[16] Akta sprawy, IPN Bi 408/279/1.
[17] Akta sprawy, IPN Bi 408/281.
[18] Akta sprawy, IPN K 146/53.
[19] Akta sprawy, IPN SOB nr 47.

Chaim Nachman Bialik

W mieście pogromu

(fragment)

Człowiecze! przejdź się po mieście pogromu
I niech się duch twój nie wzdryga, nie lęka,
Niech patrzy oko, niech dotyka ręka,
Wejdź na dziedzińce, do każdego domu;
Zobacz, jak drzewa, mury i parkany
Plami krew skrzepła i mózg rozpryskany
Twych braci... jest to po nich znak jedyny;
Idź błądzić między gruzy i ruiny,
Zburzone piece, skrzywione kominy,
Czarne kamienie i spaloną cegłę...
Tu wczoraj gody wróg wyprawił krwawe

I topór z ogniem szły w siarczyste tany…
Wleź w ciemne lochy, na strychy odległe
I wysuń głowę przez dachy dziurawe:
Nie, to nie dziury, to otwarte rany,
Czarne a nieme — gdzie jest na nie lek?!
Patrz, ot ulica: mgła pierza dokoła:
Głęboka biała rzeka, miękki śnieg.

Niech mienie ludzkie noga twa potrąca,
Zdobyte ciężką pracą w pocie czoła,
Depcz ten płód nędzny żywotów tysiąca,
Strzaskany wrażą ręką w drobny miał.
Depcz, niechaj zmiażdży do cna twoja pięta.
Czego nie zniszczył topór i pożoga:
Nie same czaszki leżą tu i żebra,
Patrz, ot kawałki miedzi, złota, srebra —
To zakłócone soboty i święta,
Posagi córek, synów spadek wszystek;
A oto zwoje Tory, pismo Boga,
W błocie tarzają się, jak lichy świstek,
I własną nogą pogrążasz je w kał.

Chcesz biec do słońca, w jasną dal błękitną,
Lecz z ciebie słońce jeno drwi złowrogo,
Promienie jego, jak kata sztylety,
Blaskiem ci tylko oczy wykłuć mogą:
Patrz, jak szyderczo lśnią w stłuczonym szkle…
A te akacje białe, co tam kwitną,
Jeno przypomną ci rozprute bety,
A, wraz z balsamem, krwią ich zapach tchnie.
Bóg cię obdarzył wspaniałym obrazem,
Dając ci piękną wiosnę z rzezią razem:
Z naturą zbrodniarz wspólny wydał bal,

Świeciło słońce, zarzynała stal. […][1]

[1] Przeł. z hebrajskiego Samuel Hirszhorn; http://izrael.org.il/historia/3739-w-miescie-pogromu-chaim-nachman-bialik.html

Wykaz materiałów archiwalnych i śledczych wykorzystanych w badaniach

Jedwabne

Akta śledztwa S1/00/Zn w sprawie spalenia osób narodowości żydowskiej 10.07.1941 r. w Jedwabnem, prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, OKŚZpNP, IPN Białystok.

Akta śledztwa S15/01/Zn w sprawie zabójstw w dniu 7.08.1941 r. w Radziłowie 800 osób narodowości żydowskiej, z których część zastrzelono, a część spalono w stodole, prowadząca prokurator Małgorzata Redos-Ciszewska, postępowanie zawieszone, OKŚZpNP, IPN Białystok.

Akta śledztwa S25/03/Zk w sprawie fizycznego i moralnego znęcania się nad Janem Kiełczewskim przez funkcjonariuszy NKWD w Brześciu 1940 r., prowadzący prokurator Jerzy Kamiński, OKŚZpNP, IPN Białystok.

Archiwum Diecezjalne w Łomży, Akta parafii Jedwabne – pismo ks. M. Lisa z dn. 17.09.1930 r.

Dane statystyczne dotyczące wyników wyborów do sejmu w latach 1922–1930 podawane za: „Statystyka Polski”, t. X, Warszawa 1930; „Statystyka Polski”, ser. C, z.4, Warszawa 1935 r.

APB, z. UWB, sygn. 70.

APB, z. UWB, sygn. 94.

WAPB UWB, sygn. 97, Miesięczne sprawozdania sytuacyjne z ruchu politycznego polskiego oraz z życia społeczno-politycznego mniejszości narodowych 1937.

WAPB UWB, sygn. 82, Miesięczne sprawozdania sytuacyjne z zakresu spraw społeczno-politycznych

i narodowościowych 1935.
WAPB UWB, sygn. 73, Miesięczne sprawozdania sytuacyjne z zakresu spraw społeczno-politycznych i narodowościowych 1933.
WAPB UWB, sygn. 100, Miesięczne sprawozdania sytuacyjne z ruchu politycznego polskiego oraz z życia społeczno-politycznego mniejszości narodowych 1938.
WAPB UWB, sygn. 59, Tygodniowe sprawozdania sytuacyjne 1931.
WAPB UWB, sygn. 97.
Życie i Praca 1928, nr 53.
WAPB UWB, sygn. 59, k. 194n.; ŻiP 5(1928), nr 53.
WAPB UWB, sygn. 91, Miesięczne sprawozdania sytuacyjne z zakresu spraw społeczno-politycznych i narodowościowych 1936.
WAPB UWB, sygn. 59, k. 194; Majecki, Obóz narodowy w Łomżyńskiem.
WAPB UWB, sygn. 64, Miesięczne sprawozdania sytuacyjne 1932, k. 125 nn.
IPN BU 188/3/012.
WAPB UWB, sygn. 91, Miesięczne sprawozdania sytuacyjne z zakresu spraw społeczno- politycznych i narodowościowych 1936.
Życie i Praca 1928, nr 34, s. 2.
WAPB UWB, sygn. 39.
IPN BU 188/3/011.
Archiwum ŻIH, relacja 301/4391, Rkps, k. 5, mnps, k. 3.
IPN BU 188/3.
PAOSOG, sygn. 6195/1/759.
PAOSOG, sygn. akt 6204/1/1.
PAOSOG, sygn. akt 6204/1/2.
PAOSOG, sygn. akt 6195/1/296.
IPN BU 188/3.

PAOSOG, sygn. 6195/1/188.
NARB, sygn. 4/21/2062.
PAOSOG, sygn. 6204/1/3, k. 4.
PAOSOG, sygn. 6195/1/188, k. 42; NARB, sygn. 4/21/2062.
AAN, NSZ, mikrofilm 1866/2, k. 85, oraz ten sam meldunek: AAN, Antyk, 228/24-6, k. 87, 92, 93.
AAN, Delegatura, mikrofilm 2266/3.
AAN, Delegatura, sygn. 202/III – 7 t. 1.
AAN, mikrofilm 2225/1, sygn. 202/II – 6, Delegatura Rządu RP na Kraj, Departament Spraw Wewnętrznych, Sprawozdanie sytuacyjne 1941–1942.
AAN, mikrofilm 2266/3, sygn. 202/III/8 t.1, Delegatura Rządu RP na Kraj, Departament Informacji i Prasy. Aneksy do raportów.
AAN, mikrofilm 2266/3, sygn. 202/III/8 t.2, Delegatura Rządu RP na Kraj, [w:] Aneks nr 17, za okres 16–30.09.1941 r.
Die Einsatzgruppen in der besetzten Sowjetunion 1941/1942, red. Peter Klein, Berlin 1997.
Archiwum ŻIH, sygn. 2405, ŻIH, Białystok 3.04.1947 r.

Radziłów

Akta śledztwa S15/01/Zn w sprawie zabójstw w dniu 7.08.1941 r. w Radziłowie 800 osób narodowości żydowskiej, z których część zastrzelono, a część spalono w stodole, prowadząca prokurator Małgorzata Redos-Ciszewska, postępowanie zawieszone, OKŚZpNP, IPN Białystok.
Akta śledztwa S25/03/Zk w sprawie fizycznego i moralnego znęcania się nad Janem Kiełczewskim przez funkcjonariuszy NKWD w Brześciu 1940 r., prowadzący prokurator Jerzy Kamiński, OKŚZpNP, IPN Białystok.

Akta śledztwa S50/04/Zn w sprawie zbrodni popełnionej przez żandarmów niemieckich na terenie Jedwabnego i okolicznych wsi powiatu Łomża, województwo białostockie, w okresie od 1941 do 1945 r., prowadzący prokurator Zbigniew Kulikowski, OKŚZpNP, IPN Białystok.
Akta śledztwa 19/06/Zn w sprawie wzięcia udziału w zabójstwach obywateli polskich narodowości żydowskiej w dniu 5.07.1941 r. w Wąsoszu, pow. Grajewo, prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, OKŚZpNP, IPN Białystok.
IPN Bi 045/1447 k. 8,25.
Archiwum Państwowe w Suwałkach – Oddział w Ełku, Sąd Okręgowy w Ełku 1944–1950, V K. 154/48, k. 8–13, 6.04.1948 r., Grajewo – Protokół przesłuchania podejrzanego Antoniego K. przez oficera śledczego PUBP w Grajewie chor. Kazimierza Tchórza.
Dotyczący ojca i syna z żydowskiej rodziny D. meldunek likwidacyjny przewodnika obwodu AKO Grajewo krypt. „nr 8” por. Franciszka Warzyńskiego „Wawra”. Pod meldunkiem znajduje się podpis mjr. Jana Tabortowskiego „Bruzdy”. Dokument pochodzi z byłych zasobów Centralnego Archiwum MSWiA, z. AK, sygn. D/48.
Wspomnienia Chai F. (Yad Vashem, 03/3033 – 2636/255, data spisania: rechowot 1946 r., maszynopis w jidysz, k. 306), przeł. S. Szymańska.
Archiwum ŻIH, relacja 301/1846, Białystok 14.06.1946 r. l.p. 57/46.
AIPN, SWB, 179, k. 170.
AIPN, SAB, 86, k 43–46.

Wąsosz

Akta śledztwa 19/06/Zn w sprawie wzięcia udziału w zabójstwach obywateli polskich narodowości żydowskiej

w dniu 5.07.1941 r. w Wąsoszu, pow. Grajewo, prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, OKŚZpNP, IPN Białystok.
IPN Bi 408/14.
IPN 212/175.
IPN Bi 212/4918.
IPN Bi 415/118.

Szczuczyn i okolice

Akta śledztwa S8/12/Zn w sprawie wzięcia udziału w zabójstwie dwudziestu kobiet narodowości żydowskiej, o nieustalonych personaliach, dokonanej w bliżej nieokreślonym czasie, w sierpniu 1941 r., w lesie w okolicy wsi Bzury i gm. Szczuczyn obecnie w pow. grajewskim, woj. podlaskim, przez sprawców narodowości polskiej, prowadzący prokurator Radosław Ignatiew, OKŚZpNP, IPN Białystok.

Akta śledztwa S36/03/Zn w sprawie zbrodni popełnionych przez żandarmów niemieckich w Szczuczynie, prowadzący prokurator Jerzy Kamiński, OKŚZpNP, IPN Białystok.
IPN Bi 07/298.
IPN Bi 415/57.
IPN Bi 413/22.
IPN Bi 415/118.
IPN Bi 403/135/3.
IPN Bi 408/167.
IPN Bi 405/84.
II S. 22/51/W,
GK 457/191,
GK 292/14/59.
IPN Bi 413/10.
IPN Bi 415/57.
IPN Bi 408/167.
IV S. 289/50.

IPN Bi 413/27.
V K/753/1947, SOE 115.
IPN Bi 415/118.
ŻWHK Białystok, L.p. 157/46
K 29/50.
K 6/51.
IPN BI 411/ 24.

Goniądz
IPN Bi 404/42.
IPN GK 301/6.
IPN Bi 408/119.
IPN Bi 404/42.
IPN Bi 403/101.
IPN Bi 410/147.
IPN 230/115.
IPN Bi 411/121,
IPN Bi 403/247.

Rajgród
IPN Bi 408/187.
AAN, mikrofilm 2266/3, sygn. 202/III/8 t.1, Delegatura Rządu RP na Kraj, Departament Informacji i Prasy. Aneksy do raportów, Aneks nr 19, za okres 16.10– 15.11.1941 r.
IPN Bi 1/1233.
IPN Bi 1/1028.
IPN Bi 408/187.
IPN Bi 1/1736.
IPN Bi 408/187.
IPN Bi 1/1736.
IPN Bi 415/2.
IPN Bi 408/187.
IPN Bi 408/111.
IPN Bi 414/15.

IPN Bi 1/1233.

Kolno
IPN Bi 407/130.
IPN Bi 403/128/1.
IPN Bi 415/98.

Suchowola
IPN Bi 408/35.
IPN Bi 408/37.
IPN Bi 403/214.
IPN GK 301/39.
IPN Bi 1/1060.
IPN Bi 408/32.
IPN Bi 408/34.
IPN Bi 1/1763.

Brańsk
IPN Bi 1/1670.
IPN Bi 404/257.
IPN Bi 403/172.
IPN Bi 408/248.
IPN Bi 403/133.
IPN Bi 415/19.
IPN Bi 415/82.
IPN Bi 412/15.
IPN Bi 403/52/1.
IPN 386/PSOBiał/15.
IPN Bi 1/1083.
IPN Bi 415/82.

Jasionówka
IPN K 146/53.
IPN GK 162/419.
IPN Bi 408/252.

IPN Bi 408/243.
IPN Bi 403/49/1.
IPN Bi 408/249.
IPN Bi 408/247.
IPN Bi 408/279/1.
IPN Bi 403/49/1.
IPN Bi 408/242.
IPN Bi 408/281.

Bibliografia

J. Adelson, *W Polsce zwanej ludową,* [w:] *Najnowsze dzieje Żydów w Polsce w zarysie (do 1950 roku),* red. J. Tomaszewski, PWN, Warszawa 1993.

N. Aleksiun, *Dokąd dalej? Ruch syjonistyczny w Polsce (1944–1950),* Wydawnictwo Trio, Warszawa 2002.

N. Aleksiun, *The Situation of the Jews in Poland as Seen by the Soviet Security Forces in 1945,* „Jews In Eastern Europe" 1998, t. 3, nr 37.

J. Andrzejewski, *Zagadnienie polskiego antysemityzmu,* „Odrodzenie", 7 i 14 lipca 1946, nr 27 i 28.

Antologia poezji żydowskiej, wybór S. Łastik, red. A. Słucki, PIW, Warszawa 1983.

Antysemityzm w Polsce i na Ukrainie. Raport z badań, red. I. Krzemiński, Scholar, Warszawa 2004.

Archiwum Łomżyńskiej Kurii Diecezjalnej, *Stanisław Kostka Łukomski biskup łomżyński,* maszynopis.

Archiwum Państwowe w Białymstoku, *33/V/26, Analiza działalności kurii łomżyńskiej (Białystok 9.12.1953 r.).*

Archiwum Ringelbluma – relacje z kresów, t. 3, oprac. A. Zbikowski, ŻIH IN-B, Warszawa 2000.

Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945, t. 1, komitet redakcyjny pod przewodnictwem T. Percińskiego, Londyn 1970.

J. Bauman, *Nigdzie na ziemi. Powroty. Opowiadania*, Officyna, Łódź 2011.

D.L. Bergen, *Wojna i ludobójstwo. Krótka historia Holokaustu*, przeł. R. Witkowski, M. Sosnowski, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2011.

O. Bergmann, *Narodowa Demokracja wobec problematyki żydowskiej w latach 1918–1929* , Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1998.

P. Bialowitz, *Bunt w Sobiborze. Opowieść o przetrwaniu w Polsce okupowanej przez Niemców*, przeł. P. Kowalik, Nasza Księgarnia, Warszawa 2008.
Cz. Bielecki, *Niekończąca się historia,* „Rzeczpospolita”, 14 sierpnia 2006.
A. Bikont, *My z Jedwabnego*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2004.
H. Bortnowska, *Zły cień muru,* „Gazeta Wyborcza”, 19 kwietnia 2003.
J. Brent, V.P. Naumov, *Stalin’s Last Crime: The Plot Against the Jewish Doctors, 1948–1953,* Harper Collins Publishers, New York 2003.
Ch.R. Browning, *Pamięć przetrwania. Nazistowski obóz pracy oczami więźniów*, przeł. H. Pustuła, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2012.
Ch.R. Browning, *The Origins of the Final Solution. The Evolution of Nazi Jewish Policy, September 1939 – March 1942,* Lincoln–Jerusalem 2004.
A. Cała, *Wizerunek Żyda w polskiej kulturze ludowej*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1992.
A. Cała, *Żyd – wróg odwieczny? Antysemityzm w Polsce i jego źródła*, Nisza, Warszawa 2012.
I. Chmieleńska, *Dzieci wojenne,* „Kuźnica”, 9.12.1945 r., nr 15.
M.J. Chodakiewicz, *Po zagładzie. Stosunki polsko-żydowskie* 1944–1947, IPN, Warszawa 2008.
A. Cichopek, *Pogrom Żydów w Krakowie 11 sierpnia 1945,* Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2000.
P. Cichoracki, *Droga ku anatemie: Wacław Kostek-Biernacki (1884–1957),* IPN, Warszawa 2009.
Ciszej nad tą zbrodnią. Z prof. Andrzejem Rzeplińskim rozmawiał Piotr Lipiński, „Gazeta Wyborcza”, 20–21 lipca

2002.
I. Cukierman, *Nadmiar pamięci*, PWN, Warszawa 2000.
J. Daniel, *Żyd w zielonym kapeluszu. Rzecz o kieleckim pogromie 4 lipca 1946,* Scriptum, Kielce 1996.
S. Datner, *Las sprawiedliwych. Karta z dziejów ratownictwa Żydów w okupowanej Polsce*, Książka i Wiedza, Warszawa 1968.
T. Dąbal, *Powstanie krakowskie: Polska w październiku i listopadzie r. 1923 w świetle faktów i dokumentów*, Wydawnictwo Państwowe Białorusi, Mińsk 1925.
L. Dobroszycki, *Reptilejournalism. The Official Polish-Language Press under the Nazis, 1939–1945,* Yale University Press, New Haven–London 1994.
Dokumentacja najważniejszych wydarzeń, kłamstw, oszczerstw i zbrodni na narodzie polskim w powiązaniu ze sprawą mordu na Żydach i Polakach w Jedwabnem, z serii „Polski Holokaust", cz. 3, wybór i oprac. L. Bubel, Goldpol, Warszawa 2001.
A. Dudek, G. Pytel, *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej,* Aneks, Londyn 1990.
M. Edelman, *Bóg śpi. Ostatnie rozmowy prowadzą Witold Bereś i Krzysztof Burnetko*, Świat Książki, Warszawa 2010.
J. Eisler, *Fale emigracji żydowskiej z powojennej Polski,* „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej" 2002, nr 3.
A. Elon, *The Pity of It All: a History of Jews in Germany, 1743–1933,* Henry Holt and Co., New York 2002.
D. Engel, *Between Liberation and Flight: Holocaust Survivors in Poland and the Struggle for Leadership, 1944–1946,* Am Oved Publisher, Tel Aviv 1996.
D. Engel, *Patterns of Anti-Jewish Violence In Poland, 1944–1946,* „Yad Vashem Studies" 1998, t. 26.
B. Engelking, *„Szanowny panie gistapo". Donosy do władz niemieckich w Warszawie i okolicach w latach 1940–1941*,

Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2003.
B. Engelking, *Jest taki piękny słoneczny dzień… Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej 1942–1945*, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2011.
M. Fabjański, *Polska wina i „strach”,* „Przekrój” 13 lipca 2006, nr 28.
S. Friedländer, *Czas eksterminacji. Nazistowskie Niemcy i Żydzi 1939–1945*, przeł. S. Kupisz, K. Masłowski, A.M. Nowak, Prószyński i S-ka, Warszawa 2010.
K.P. Friedrich, *Collaboration in a „Land without a Quisling”: Patterns of Cooperation with the Nazi German Occupation Regime in Poland during World War II,* „Slavic Review”, grudzień 2005.
M. Fuks i in., *Żydzi polscy. Dzieje i kultura*, Interpress, Warszawa 1982.
K. Gałczyński, *Sprawa kielecka,* „Kuźnica”, 19 sierpnia 1946, nr 32.
S. Gawrychowski, *Na placówce AK 1939–1945*, Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, Łomża 1997.
M. Głowiński, *Czarne sezony,* Open, Warszawa 1998.
M. Gnatowski, *Białostockie Zgrupowanie Partyzanckie*, Dział Wydawnictw Filii UW w Białymstoku, Białystok 1994.
M. Gnatowski, *W radzieckich okowach. Studium o agresji 17 września 1939 r. i radzieckiej polityce w regionie łomżyńskim w latach 1939–1941*, Łomżyńskie Towarzystwo Naukowe im. Wagów, Łomża 1997.
Ch.I. Goldstein, *Bunkier*, Ośrodek KARTA, Dom Spotkań z Historią, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2011.
J. Górski, *Na przełomie dziejów,* „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2006, nr 2.

J. Grabowski, *Judenjagd. Polowanie na Żydów 1942–1945. Studium dziejów pewnego powiatu*, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2011.
J. Grabowski, *Polscy zarządcy powierniczy majątku żydowskiego. Zarys problematyki*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały" 2005, nr 1.
A. Grabski, M. Pisarski, A. Stankowski, *Studia z dziejów i kultury Żydów w Polsce po 1945 roku*, Trio, Warszawa 1997.
M. Grochowska, *Lista Sendlerowej*, „Gazeta Wyborcza", 9–10 czerwca 2001.
J.T. Gross, *Upiorna dekada. Eseje o stereotypach na temat Żydów, Polaków, Niemców, komunistów i kolaboracji 1939–1948*, Austeria, Kraków 2007.
J.T. Gross, *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Pogranicze, Sejny 2000.
J.T. Gross, *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści*, Znak, Kraków 2008.
J.T. Gross, współpraca I. Grudzińska-Gross, *Złote żniwa. Rzecz o tym, co się działo na obrzeżach zagłady Żydów*, Znak, Kraków 2011.
J.T. Gross, *Revolution from Abroad. The Soviet Conquest of Poland's Western Ukraine and Western Belorussia*, Princeton University Press, Princeton 1988.
J.T. Gross, *Niepamięć zbiorowa*, „Tygodnik Powszechny" 8 sierpnia 2004, nr 32.
J.T. Gross, *Studium zniewolenia. Wybory październikowe 22.09.1939 r.*, Universitas, Kraków 1999.
J.T. Gross, *Wokół „Sąsiadów". Polemiki i wyjaśnienia*, Pogranicze, Sejny 2003.
N. Gross, *Kim pan jest, panie Grymek?*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991.

A. Grossman, *Jews, Germans, and Allies; Close Encounters in Occupied Germany,* Princeton University Press, Princeton 2007.
B. Grott, *Nacjonalizm chrześcijański*: *narodowo-katolicka formacja ideowa w II Rzeczypospolitej na tle porównawczym*, wyd. 3 uzup., Instytut Religioznawstwa UJ, Dom Wydawniczy „Ostoja", Krzeszowice 1999.
H. Grynberg, *Monolog polsko-żydowski*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2012.
Ch. Hale, *Kaci Hitlera. Brudny sekret Europy*, przeł. M. Habura, Znak, Kraków 2012.
G. Herling-Grudziński, *Inny świat. Zapiski sowieckie,* Czytelnik, Warszawa 1991.
R. Hilberg, *Sprawcy, ofiary, świadkowie. Zagłada Żydów 1933–1945*, przeł. J. Giebułtowski, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Wydawnictwo IFiS PAN, Wydawnictwo Cyklady, Warszawa 2007.
M. Hochberg-Mariańska, N. Grüss, *Dzieci oskarżają,* Centralna Żydowska Komisja Historyczna w Polsce, Kraków–Łódź–Warszawa 1947.
I. Hurwic-Nowakowska, *Żydzi polscy (1947–1950). Analiza więzi społecznej ludności żydowskiej,* Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 1996.
Imiona przez Żydów polskich używane, red. L. Kośka, Wydawnictwo Austeria, Kraków 2002.
M. Janion, *Do Europy – tak, ale razem z naszymi umarłymi*, Sic!, Warszawa 2000.
M. Janion, *Bohater, spisek, śmierć. Wykłady żydowskie*, W.A.B., Warszawa 2009.
D. Jarosz, *Młodzież Wszechpolska 1922–1926*, Warszawa 1983.
K. Jasiewicz, *Pierwsi po diable. Elity sowieckie w okupowanej Polsce 1939–1941*, Instytut Studiów

Politycznych PAN i Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2001.
K. Jasiewicz, *Zagłada polskich Kresów. Ziemiaństwo polskie na Kresach Północno-Wschodnich Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką 1939–1941*, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1997.
M. Jastrun, *Potęga ciemnoty,* „Odrodzenie", 17 czerwca 1945.
W. Jemielity, *Z dziejów diecezji łomżyńskiej w latach 1925–1945,* „Studia Łomżyńskie" 2000, t. XI.
M. Jesenska, *Ponad nasze sity. Czesi, Żydzi i Niemcy. Wybór publicystyki z lat 1937–1939,* wybór V. Burian, L. Engelking, przeł. L. Engelking, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2003.
T. Judt, *Zapomniany wiek dwudziesty. Retrospekcje*, przeł. P. Marczewski, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2011.
S. Kalbarczyk, *Jedwabne 1939–1941. Polacy, Żydzi, okupant sowiecki – wzajemne relacje w świetle przejrzanych źródeł*, IPN – OBEP Białystok.
F. Kalicka, *Powstanie Krakowskie 1923 roku,* Książka i Wiedza, Warszawa 1953.
N. Kameraz-Kos, *Święta i obyczaje żydowskie*, Cyklady, Warszawa 2000.
I. Kamińska-Szmaj, *Judzi, zohydza, ze czci odziera. Język propagandy politycznej w prasie 1919–1923*, Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1994.
P. Kenney, *Rebuilding Poland: Workers and Communists, 1945–1950,* Cornell University Press, Ithaca 1997.
Kershaw I., *Hitler, 1936–1945: Nemesis,* WW Horton, New York 2000.
K. Kersten, *Wstęp,* [w:] B. Szaynok, *Pogrom Żydów w Kielcach 4 lipca 1946,* Wydawnictwo Bellona, Warszawa

1992.
Z. Kleczewski, *Jedwabne. Wielkanocna spowiedź antysemity*, Oficyna Wydawnicza Stopka, Łomża 2001.
J. Korczak, *Pamiętnik i inne pisma z getta*, W.A.B., Warszawa 2012.
G. Kostyrchenko, *Out of the Red Shadows: Anti-Semitism in Soviet Russia,* Prometheus Books, Amherst–New York 1995.
J. Kowalczyk, *Komunistyczna Partia Polski w okręgu łomżyńskim 1919–1938,* PWN, Warszawa 1978.
J. Kowalska-Leder, *Doświadczenie Zagłady z perspektywy dziecka w polskiej literaturze dokumentu osobistego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2009.
E. Koźmińska-Frejlak, I. Krzemiński, *Stosunek społeczeństwa do zagłady Żydów,* [w:] *Czy Polacy są antysemitami? Wyniki badania sondażowego,* red. I. Krzemiński, Oficyna Naukowa, Warszawa 1996.
H. Krall, *Zdążyć przed Panem Bogiem,* Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977.
G. Krzywiec, *Szowinizm po polsku. Przypadek Romana Dmowskiego (1886–1905)*, Wydawnictwo Neriton, Instytut Historii PAN, Warszawa 2009.
Kto był kim w II Rzeczypospolitej, red. J.M. Majchrowski, G. Mazur, K. Stepan, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1994.
W. Kula, *Nasza w tym rola (Głos pesymisty),* [w:] M. Kula, *Uparta sprawa. Żydowska? Polska? Ludzka?,* Universitas, Kraków 2004.
S. Kuśmierski, *Świadomość społeczna, opinia publiczna, propaganda*, PWN, Warszawa 1987.
A. Landau-Czajka, *W jednym stali domu. Koncepcje rozwiązania kwestii żydowskiej w publicystyce polskiej*

w latach 1933–1939, Wydawnictwo Neriton, Instytut Historii PAN, Warszawa 1998.
J. Leociak, *Ratowanie. Opowieści Polaków i Żydów*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010.
D. Libionka, *Kwestia żydowska w Polsce w ocenie Delegata Rządu RP i KG ZWZ-AK w latach 1942–1944,* [w:] *Zagłada Żydów. Pamięć narodowa a pisanie w Polsce i we Francji,* red. B. Engelking i in., Wydawnictwo UMCS, Lublin 2006.
J.J. Lipski, *Katolickie Państwo Narodu Polskiego*, Aneks, Londyn 1994.
J.J. Lipski, *Antysemityzm ONR „Falangi”,* Wydawnictwo Myśl, Warszawa 1985.
C. Lubetkin, *Zagłada i powstanie*, Książka i Wiedza, Warszawa 1999.
E. Maj, *Narodowa Demokracja w województwie lubelskim w latach 1918–1928*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2002.
M. Majecki, *Obóz narodowy w okręgu łomżyńskim w latach 1918–1928,* „Studia Łomżyńskie” 1989, t. 2.
E. Marciniak, *Jedwabne w oczach świadków,* Wydawnictwo Duszpasterstwa Rolników, Włocławek 2001.
A. Margolis-Edelman, *Ala z elementarza*, Aneks, Londyn 1994.
T. Markiel, A. Skibińska, *„Jakie to ma znaczenie, czy zrobili to z chciwości?”. Zagłada domu Trynczerów* , Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2011.
M. Melchior, *Zagłada a tożsamość. Polscy Żydzi ocaleni „na aryjskich papierach”*, IFiS PAN, Warszawa 2004.
A. Meller, *Wychowanie „nowej Polki”. Kwestia kobieca w myśli politycznej narodowego radykalizmu w okresie lat 30. XX w.,* www.konserwatyzm.pl/artykul/10006/wychowanie-nowej-polki-kwestia-kobieca-w-mysli-politycznej-n, dostęp 1.07.2015 r.

W. Mich, *Problem mniejszości narodowych w myśli politycznej polskiego ruchu konserwatywnego (1918–1939)*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1992.
W. Mich, *Obcy w polskim domu. Nacjonalistyczne koncepcje rozwiązania problemu mniejszości narodowych 1918–1939*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1994.
B. Milch, *Testament*, Ośrodek KARTA, Warszawa 2012.
J.J. Milewski, *Polacy – Żydzi w Jedwabnem i okolicy do 22 czerwca 1941 roku*, IPN – OBEP Białystok, materiały wewnętrzne.
J.J. Milewski, *Stosunki polsko-żydowskie w Ostrołęckiem i Łomżyńskiem w latach trzydziestych i w czasie II wojny światowej,* „Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego" 2002, nr 16.
J.N. Miller, *Obrona konwencjonalizmu i szablonu,* „Warszawa" 16.06.1946 r., nr 2.
T. Mocarski, *O Jedwabne, Jedwabne*, nakładem autora, Warszawa 2001.
R. Modras, *Kościół katolicki i antysemityzm w Polsce w latach 1933–1939*, przeł. W. Turopolski, Homini, Kraków 2004.
L.Z. Niekrasz, *Operacja Jedwabne. Mity i fakty*, Nortom, Wrocław 2001.
Niepokorna Białostocczyzna. Opór społeczny i polskie podziemie niepodległościowe w regionie białostockim w latach 1939–1941 w radzieckich źródłach, red. M. Gnatowski, Uniwersytet w Białymstoku, Białystok 2001.
J.R. Nowak, *100 kłamstw J.T. Grossa o żydowskich sąsiadach i Jedwabnem*, Von Borowiecky, Warszawa 2001.
„Obcy i niemili". Antysemickie rysunki z prasy polskiej 1919–1939, katalog wystawy, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2013.

J. Obrębski, *Polesie. Studia etnosocjologiczne,* Oficyna Naukowa, Warszawa 2007.
J. Orlicki, *Szkice z dziejów stosunków polsko-żydowskich 1918–1949*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Szczecin 1983.
J. Orzechowski „Strzała", *Aby pamięć nie zginęła. Służba Zwycięstwu Polski, Związek Walki Zbrojnej, Armia Krajowa na terenie powiatu grajewskiego w latach okupacji 1939–1944*, Towarzystwo Miłośników Rajgrodu, Rajgród 1993.
Ostatnie pokolenie. Autobiografie polskiej młodzieży żydowskiej okresu międzywojennego ze zbiorów YIVO Institute for Jewish Research w Nowym Jorku, oprac. i wstęp A. Cała, Sic!, Warszawa 2003.
A. Paczkowski, *Żydzi w UB, próba weryfikacji stereotypu,* [w:] *Komunizm, ideologia, system, ludzie,* red. T. Szarota, Wydawnictwo Neriton Instytutu Historii PAN, Warszawa 2001.
H. Pająk, *Jedwabne geszefty*, Retro, Lublin 2001.
C. Perechodnik, *Spowiedź*, Ośrodek KARTA, Warszawa 2011.
A. Piesiewiczówna, *Kronika Panien Benedyktynek Opactwa Świętej Trójcy w Łomży 1939–1954*, Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej i Opactwo Trójcy Przenajświętszej Mniszek Benedyktynek w Łomży, Łomża 1995.
Polacy i Żydzi pod okupacją niemiecką 1939–1945. Studia i materiały, red. A. Żbikowski, IPN, Warszawa 2006.
S. Poleszak, *Jeden z wyklętych. Major Jan Tabortowski „Bruzda"*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1998.
L. Poliakov, *The Vatican and the Jewish Question*, „Commentary", listopad 1950.
A. Polonsky, *Politics in Independent Poland 1921–1939*, The Clarendon Press, Oxford 1972.

Polski słownik judaistyczny. Dzieje, kultura, religia, ludzie, t. 1–2, oprac. Z. Borzymińska, R. Żebrowski, Prószyński i S-ka, Warszawa 2003.
K. Popiński, A. Kokurin, A. Gurjanow, *Drogi śmierci. Ewakuacja więzień sowieckich z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej w czerwcu i lipcu 1941*, Karta, Warszawa 1995.
Prowincja Noc. Życie i zagłada Żydów w dystrykcie warszawskim, red. B. Engelking, J. Leociak, D. Libionka, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2007.
S. Przechodzki, *Szatan wstąpił do Jedwabnego,* „Gazeta Wyborcza”, 5 kwietnia 2001.
H. Raort, *Walki rewolucyjne w Polsce w latach 1918–1923. Powstanie krakowskie 1923 r.,* GZP MON, Warszawa 1950.
E. Ringelblum, *Kronika getta warszawskiego. Wrzesień 1939 – styczeń 1943*, przeł. A. Rutkowski, Czytelnik, Warszawa 1983.
E. Ringelblum, *Stosunki polsko-żydowskie w czasie drugiej wojny światowej*, Czytelnik, Warszawa 1988.
J. Rojewski, *Siedem dni,* „Kuźnica”, 22.07.1946 r., nr 28.
Różne oblicza nacjonalizmu. Polityka – Religia – Etos, red. B. Grott, Nomos, Kraków 2010.
S. Rudnicki, *Obóz Narodowo-Radykalny. Geneza i działalność*, Czytelnik, Warszawa 1985.
M. Rudawski, *Mój obcy kraj?,* Agencja Wydawnicza TU, Warszawa 1996.
M. Rusiniak, *Treblinka – Eldorado Podlasia?,* „Kwartalnik Historii Żydów” 2006, nr 2.
J. Rzepecki, *Wspomnienia i przyczynki historyczne*, Czytelnik, Warszawa 1983.
T. Sadowski, *Jeszcze raz Jedwabne. Dojść prawdy*, nakładem autora, Ciechanów 2001.

A. Schaff, *Stereotypy a działanie ludzkie*, Książka i Wiedza, Warszawa 1981.
H. Schönker, *Dotknięcie anioła*, Ośrodek KARTA, Dom Spotkań z Historią, Warszawa 2011.
A. Schramm, *Roman Dmowski w Drozdowie*, Muzeum Przyrody w Drozdowie, Drozdowo 2000.
T. Segev, *Siódmy milion. Izrael – piętno Zagłady*, przeł. B. Gadomska, PWN, Warszawa 2012.
S.L. Shneiderman, *Between Fear and Hope,* Arco Publishing Co., New York 1947.
H. Sierzputowski, *Stanisław Kostka Łukomski – biskup łomżyński*, http://historialomzy.pl/stanislaw-kostka-lukomski-biskup-lomzynski/, dostęp 1.07.2015 r.
A. Skibińska, J. Petelewicz, *Udział Polaków w zbrodniach na Żydach na prowincji regionu świętokrzyskiego,* „Zagłada Żydów. Studia i Materiały" 2005, nr 1.
W. Skrodzki, *Żydzi z Wodzisławia,* „Tygodnik Powszechny", 24.07.2006 r., nr 30.
Y. Slezkine, *The Jewish Century,* Princeton University Press, Princeton–Oxford 2004.
H. Smolar, *Aj der lecter pozicje mit der lecter hojenung,* I. Peretz Verlag, Tel Aviv 1982.
J. Smurzyński, *Czarne lata na łomżyńskiej ziemi*, Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, Warszawa–Łomża 1997.
T. Snyder, *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, przeł. B. Pietrzyk, Świat Książki, Warszawa 2011.
A.J. Socha (pseudonim), *Jedwabne życie*, Łomżyńska Oficyna Wydawnicza, Łomża 1990.
M.C. Steinlauf, *Pamięć nieprzyswojona. Polska pamięć zagłady*, przeł. A. Tomaszewska, Cyklady, Warszawa 2001.

D. Stola, *Nadzieja i zagłada,* Oficyna Naukowa, Warszawa 1995.
T. Strzembosz, *Antysowiecka partyzantka i konspiracja nad Biebrzą X 1939 – VI 1941,* Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2004.
Z. Stypułkowski, *Zaproszenie do Moskwy,* Editions Spotkania, Warszawa 1991.
K. Sychowicz, *Ziemia łomżyńska i jej mieszkańcy w latach 1944–1956*, Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, Białystok 2005.
T. Szarota, *U progu Zagłady. Zajścia antyżydowskie i pogromy w okupowanej Europie. Warszawa, Paryż, Amsterdam, Antwerpia, Kowno*, Sic!, Warszawa 2000.
T. Szarota, *Karuzela na placu Krasińskich. Studia i szkice z lat wojny i okupacji*, Rytm, Warszawa 2007.
B. Szaynok, *Pogrom Żydów w Kielcach 4 lipca 1946,* Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1992.
W. Śleszyński, *Okupacja sowiecka na Białostocczyźnie w latach 1939–1941. Propaganda i indoktrynacja*, Agencja Wydawnicza Benkowski, Białostockie Towarzystwo Naukowe, Białystok 2001.
W. Śleszyński, *Zajścia antyżydowskie w Brześciu nad Bugiem 13 V 1937 r.*, Wydawnictwo Prymat, Białystok 2004.
W. Śleszyński, *Obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej 1934–1939*, Instytut Historii Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2003.
M. Tauchner, *Po zbrodni nad zbrodniami,* „Opinia”, 25 lipca 1946, nr 2.
Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–1945, red. W. Bartoszewski, Z. Lewinówna, wyd. II rozszerzone, Znak, Kraków 1969.

J.J. Terej, *Rzeczywistość i polityka. Ze studiów nad dziejami najnowszymi Narodowej Demokracji*, Książka i Wiedza, Warszawa 1979.
The Neighbors Respond. The Controversy over the Jedwabne Massacre in Poland, red. A. Polonsky, J.B. Michlic, Princeton University Press, Princeton 2004.
W.I. Thomas, F. Znaniecki, *Chłop polski w Europie i Ameryce*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1976.
J. Tokarska-Bakir, *Okrzyki pogromowe. Szkice z antropologii historycznej Polski lat 1939–1946*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2012.
J. Tokarska-Bakir, *Śrubka w polskiej wyobraźni, czyli jakiego chcemy społeczeństwa,* „Gazeta Wyborcza", 16–17 marca 2007.
J. Tomaszewski, *Zarys dziejów Żydów w Polsce w latach 1918–1939*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1990.
T. Torańska, *Oni,* Aneks, Londyn 1985.
M. Urbanek, *Broniewski. Miłość, wódka, polityka*, Iskry, Warszawa 2011.
S. Vincenz, *Tematy żydowskie*, Atext, Gdańsk 1993.
W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali… Polska a Rosja 1939–42, wybór i oprac. J.T. Gross, I. Grudzińska-Gross, Aneks, Londyn 1983.
R. Wapiński, *Roman Dmowski*, Iskry, Lublin 1989.
K.S. Wasserstein, Y.M. Arce, *La denuncia. 10 de Julio de 1941,* Editorial Guayacan Centroamericana, San José 2001.
A. Wat, *Mój wiek*, Czytelnik, Warszawa 1990.
W. Wielopolski, *Bez antysemityzmu*, nakładem autora, Centrum Druku, Pisz 2003.

W. Witos, *Moje wspomnienia*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Lublin 1978.
Wokół Jedwabnego, t. 1, *Studia*, t. 2, *Dokumenty*, red. P. Machcewicz, K. Persak, IPN, Warszawa 2002.
Yedwabne. History and Memorial Book, red. Julius L. Baker, Jacob L. Baker, M. Tzinovitz, Jerusalem–New York 1980, www.jewishgen.org/Yizkor/jedwabne/Yedwabne.html, dostęp 1.07.2015.
Zagłada Żydów na polskiej prowincji, red. A. Sitarek, M. Trębacz, E. Wiatr, IPN, Łódź 2012.
„Zagłada Żydów. Studia i Materiały", pismo Centrum Badań nad Zagładą Żydów, numery 1–9 (2005–2013).
M. Zaremba, *Wielka trwoga. Polska 1944–1947*, Znak, Kraków 2012.
Zarys krajobrazu. Wieś polska wobec zagłady Żydów 1942–1945, red. B. Engelking, D. Grabowski, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Wydawnictwo IFIS PAN, Warszawa 2011.
S. Zgliczyński, *Antysemityzm po polsku*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2008.
S. Zgliczyński, *Jak Polacy Niemcom Żydów mordować pomagali*, Czarna Owca, Warszawa 2013.
F. Znaniecki, *Studia nad antagonizmem do obcych,* Rolnicza Druk. i Księg. Nakładowa, Poznań 1931.
J. Żaryn, *Przez pomyłkę. Ziemia łomżyńska w latach 1939–1945,* „Biuletyn IPN" 2002, nr 8–9.
J. Żaryn, *Hierarchia Kościoła katolickiego wobec relacji polsko-żydowskich w latach 1945-1947,* [w:] *Wokół pogromu kieleckiego,* red. Ł. Kamiński, J. Żaryn, IPN, Warszawa 2006.
A. Żbikowski, *Pogromy i mordy ludności żydowskiej w Łomżyńskiem i na Białostocczyźnie latem 1941 roku w świetle relacji ocalałych Żydów i dokumentów*

sądowych, [w:] *Wokół Jedwabnego,* red. P. Machcewicz, K. Persak, t. 1, *Studia*, IPN, Warszawa 2002.
J. Żurek, *Wstęp,* [w:] *Wokół pogromu kieleckiego,* red. Ł. Kamiński, J. Żaryn, IPN, Warszawa 2006.
J. Żyndul, *Zajścia antyżydowskie w Polsce w latach 1935–1937*, Agencja Scholar, Warszawa 1994.

Źródła zdjęć

Nacjonalizm w międzywojennej Polsce – szkice z ideologii:
Narodowe Archiwum Cyfrowe (2-NAC-1-P-73a), „Rózga Podlaska” 1924, nr 6 (15 rozga_podlaska_nr_6_1924_1_0001-Bielska Biblioteka Cyfrowa)

Jedwabne, Radziłów, Kolno, Brańsk, Jasionówka, Chaim Nachman Bialik *W mieście pogromu:*
archiwum autora

Szczuczyn i okolice:
© Jose Gutstein www.szczuczyn.com and © Marvins/Kaplan Archives

Goniądz:
Dave Bloom, wykorzystane za zgodą M. Rothschilda

Rajgród:
Narodowe Archiwum Cyfrowe (371-NAC-1-N-3523-1)

Autor i Wydawnictwo RM dołożyli wszelkich starań, aby dotrzeć do wszystkich właścicieli i dysponentów praw autorskich do zdjęć zamieszczonych w książce. Osoby, których adresu nie udało nam się ustalić, prosimy o nawiązanie kontaktu z naszym wydawnictwem.

Od redakcji

W przywoływanych w książce zeznaniach świadków poprawiono ortografię i interpunkcję; właściwą formę niektórych prawdopodobnie błędnie zapisanych nazw miejscowych podano w nawiasach kwadratowych. Oprócz powszechnie przyjętych zastosowano następujące skróty:

AAN – Archiwum Akt Nowych
APB – Archiwum Powiatowe w Białymstoku
KP(b)B – Komunistyczna Partia (bolszewików) Białorusi
NARB – Narodowe Archiwum Republiki Białorusi
OKŚZpNP – Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
PAOSOG – Państwowe Archiwum Organizacji Społecznych Obwodu Grodzieńskiego
WKP(b) – Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików)
ŻIH – Żydowski Instytut Historyczny
ŻWHK – Żydowska Wojewódzka Komisja Historyczna